

# CONN IGGULDEN

## PROTEKTOR

WOJNA SZALEJE. WROGOWIE ROSNĄ W SIŁĘ.  
ZACZYNA SIĘ GRA.



CONN  
IGGULDEN

# PROTEKTOR

Przełożył  
Jerzy Moderski



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Siostron Andrei MacEachen  
i Mauraid Moran –  
przewodniczkom na pustkowiu*



Świat starożytny



Bitwa pod Salaminą 480 p.n.e.

## TERMINY WOJSKOWE

archont	ἄρχων	jeden z dziewięciu najwyższych urzędników ateńskich wybieranych na rok
epistates	ἐπιστάτης	przewodniczący zgromadzenia ludowego (eklezji)
falanga	Φάλαγξ	szuk piechoty ciężkozbrojnej
keleustes	κελευστής	podający tempo wioślarzom
lochagos	λοχαγός	odpowiednik kapitana
strateg	στρατηγός	dowódca
trierarcha	τριήραρχος	nawigator triery

## MIEJSCA

agora	Ἀγορά	główny plac, rynek, koncentrowało się tam życie polityczne
Areopag	Ἄρειος πάγος	Skała Aresa, wzgórze w Atenach, na którym obradowały sądy
Plateje	Πλάταια	miasto w Beocji
Pnyks	Πνύξ	„mównica”, miejsce obrad ateńskiego zgromadzenia (eklezji)
Salamina	Σαλαμίς	wyspa w pobliżu Aten
Termopile	Θερμοπύλαι	nadmorski przesmyk, miejsce ostatniego boju króla Leonidasa

## POSTACI

Agarysta	Ἀγαρίστη	żona Ksantypposa
Aryfron	Ἀρίφρων	najstarszy syn Ksantypposa i Agarysty
Arystydes	Ἀριστείδης	strateg, archont eponim, którego imieniem nazwano rok 489 p.n.e.
Eleni	Ἑλένη	córka Ksantypposa i Agarysty (żadne źródła historyczne o niej nie wspominają)
Epikleos	Ἐπικλέος	przyjaciel Ksantypposa
Kimon	Κίμων	syn Miltiadesa
Klejstenes	Κλεισθένης	Ateńczyk, twórca zasad demokracji
Ksantyppos	Ξάνθιππος	strateg, mąż Agarysty
Kserkses	Ξέρξης	król Persji
Leotychidas	Λεωτυχίδας	król Sparty
Perykles	Περικλῆς	syn Ksantypposa i Agarysty
Temistokles	Θεμιστοκλῆς	archont, którego imieniem nazwano rok 493 p.n.e.
Tisamenos	Τισαμενός	wróżbita

## DZIESIĘĆ FYL ATEŃSKICH

Ajantis	Αϊαντής
Ajgeis	Αιγής
Akamantis	Άκαμαντής
Antiochis	Άντιοχίς
Erechteis	Έρεχθής
Hippochoontis	Ίπποθοντής
Kekropis	Κεκροπίς
Leontis	Λεοντής
Ojneis	Οϊνής
Pandionis	Πανδιονίς



# CZEŚĆ PIERWSZA

Nie ma przysiąg i umów pomiędzy ludźmi  
i lwami, ani jagnięta i wilki do zgody serc nie  
skłaniają.

**HOMER, *ILIADA*** <sup>[1]</sup>

1. Wszystkie cytaty z *Iliady* w przekładzie Kazimiery Jeżewskiej ↩

# 1

Perski król patrzył na serce Aten.

Słońce grzało mu kark, ale czuł też powiew bryzy, ciepły i łagodny, niosący słodki zapach zgnilizny i morza. Kserkses zamknął oczy i odetchnął, czując spokój. Wielki rynek, świątynie, ulice z domami, warsztatami i tawernami – wszystko było opuszczone. W jakiś sposób kameralne. Czuł się tak, jakby siedział przy damskiej toalecie i otwierał kolejno szufladki, poznając ich sekrety.

Wszyscy żołnierze w tym miejscu należeli do niego. Przeszukali Ateny od krańca do krańca, każdy magazyn, sklep i puste domostwo. Jedynymi Grekami wewnątrz murów było kilku zniedołężniałych starców pozostawionych przez rodziny. Bezzębni i ślepi wybuchali sykliwym, nerwowym śmiechem, słysząc obce głosy perskich wojowników. Kserkses ich nie potrzebował. Jak bezpańskie psy zostali prędko zabici. Był to niemal akt litości.

Wódz Mardoniusz szedł trzy kroki za wielkim królem, pogrążony w marzeniach. Zarówno on, jak i Kserkses, wkroczywszy do Aten, doświadczyli dziwnego uczucia powrotu. Miejsca i naturalne ukształtowanie terenu znane z setek raportów nagle wynurzyły się z rzeczywistości. Jednym z tych miejsc był Akropol, wapienne urwisko po lewej stronie, znak rozpoznawczy całego miasta; a może bardziej znacząca była blada skała Areopagu, gdzie od stuleci zbierała się rada znamienitych Ateńczyków.

Kserkses miał też przed sobą wzgórze Pnyksu, najeżone drzewami jak ostrzami mieczy, z białymi schodami po bokach. W zwykłych czasach słynne ateńskie zgromadzenie zbierało się i debatowało w tym miejscu, nie godząc się na żadnego króla ani tyrana. Poczł nagle ochotę, by zobaczyć tych ludzi zajętych ustanawianiem swoich maleńkich praw. Tego dnia jednak nie było tam nikogo, obecny był jedynie powiew wiatru. Ludność miasta należącego do bogini Ateny zeszła do portu, żeby statkami przepłynąć na drugą stronę głębokiej cieśniny. Zamiast znosić prześladowania ze strony jego wojsk, zamiast poznać konsekwencje swojej arogancji, po prostu przed nim *uciekli*.

Kserkses kroczył ulicami wzdłuż szeregów otwartych drzwi, gdzie każdy odgłos odbijał się echem. Poza kilkoma kotami wygrzewającymi się na dachach

jedynymi żywymi istotami w zasięgu wzroku byli Nieśmiertelni. Wielki król kochał ich tak samo jak jego ojciec, jak ulubione dzieci lub psy; byli tarczą i ozdobą jego panowania. Połowa z nich została zabita przez odzianych w czerwone płaszcze rzeźników z Termopil. Nieśmiertelni wciąż nie pozbiali się po tym ciosie, choć przecież udało im się na koniec otworzyć przejście! Kserkses postanowił pamiętać tylko o tym końcowym zwycięstwie, zachowując ich jako swoją straż i honorując błogosławieństwem. Pięć tysięcy spośród nich ocalało: poranionych i posiniaczonych, ale pokrzepionych po tym, jak widzieli egzekucję ostatnich Spartan. Nieśmiertelni nie ustąpili w termopilskim przesmyku. Wierzyli dotąd, że są niepokonani i nie mają sobie równych na całym świecie. A jednak Kserkses dostrzegł ich szok, niedowierzanie. Spartanie sprawili, że poczuli się bezradni.

Władca rozważał odesłanie całej formacji na odpoczynek, wycofanie jej ze straży. Ich dowódcą był Hydarnes, mężczyzna wielki niczym byk. Z twarzą wciśniętą w piasek błagał o zmiłowanie dla Nieśmiertelnych, mówił, że muszą pracować, że jeśli da się im zbyt wiele czasu na myślenie, zgniją jak źle gojąca się rana. Kserkses się zgodził. Honoru nie można zagwarantować. Trzeba go zdobywać przez ofiarność i ciężką służbę.

Na końcu ulicy, gdzie stały znieruchomiałe koła garncarskie, światło się zmieniało. Przestrzeń była tam szersza, jaśniejsza niż dochodzące ulice. Kserkses wkroczył na rynek, na słynną Agorę. Stały na niej posągi dziesięciu fyl, plemion ateńskich, a obok wisiały kamienne tablice z obwieszczeniami do głośnego odczytywania. Nie podszedł tam, ale wyobraził sobie, że przynajmniej kilka ostrzegało o jego nadejściu. Na tę myśl ogarnęła go duma.

Spojrzał w górę i ujrzał nad głową jastrzębia. Żałobny krzyk ptaka zabrzmiał donośnie w czystym, cichym powietrzu. Jastrząb zatoczył kilka wielkich kręgów nad miastem, a Kserkses dostrzegł, jak porusza głową, wypatrując zdobyczy. W zwykły dzień głos jastrzębia pozostałby niezauważony, zagubiłby się w szumie i zgiełku. Kserkses poczuł się tak, jakby siedział na szczycie góry i wszystko wokół zamarło. Taki jest cud wojny, uświadomił sobie, coś, czego zwykli ludzie nigdy nie zaznają.

– Przysięgam, że nie zostawię tu kamienia na kamieniu, Mardoniuszu – mruknął Kserkses. Wódz tylko skinął głową, czując, że król nie oczekuje od niego odpowiedzi. – Powiedziałem ojcu, że dokończę jego dzieło, doprowadzę armię do tego miasta. Przysięgłem, że ukarzę ich za wzgardzenie naszymi wysłannikami, za odmowę ofiarowania mi ziemi i wody. Ojciec dziesięciokrotnie dawał im szansę, aby zgięli kolana, a oni za każdym razem

odmawiali. To oni dokonali wyboru, nie my. Tak czy inaczej, znaleźć się w tym miejscu... – Pokręcił głową z widoczną przyjemnością.

Mardoniusz uśmiechnął się w marszu. Istotnie, w taki dzień jak ten nie było rzeczy niemożliwych.

Wysoko nad ulicami, gdziekolwiek spojrzeć, widok wypełniał masyw Akropolu. Kserkses widział tam świątynie, niektóre z drewnianymi rusztowaniami przy murach, z nieukończonymi kolumnami, a wszystko to miało służyć uczczeniu greckich bogów. Jego szpiedzy opisywali to, łącznie z pomnikami mającymi upamiętnić bitwę pod Maratonem sprzed dziesięciu lat. To greckie zwycięstwo nad Persami bardzo ubodło jego ojca i Kserkses dobrze o tym wiedział. Wyrządziło szkodę jego duszy, może nawet doprowadziło do choroby, która później zabrała go ze świata, osłabionego i o połowę chudsze. Kserkses na tę myśl poczuł wściekłość i tętno zapulsowało mu w skroniach. Miał ochotę obrócić w perzynę te głązy!

Zatrzymał się nagle, ujrawszy jakiś ruch na wielkiej skale.

– Czy tam... wciąż są ludzie?

Mardoniusz przysłonił oczy i spojrzał w górę.

– Kilka tuzinów, Wasza Królewska Mość. Jacyś kapłani, o ile wiem. Wykopiemy ich stamtąd.

Nie powiedział królowi, że chudzi starcy na Akropolu zablokowali główną drogę na szczyt. I że uzbroili się w starożytną broń i zbroje najwyraźniej zdjęte ze ścian świątyni. Ich obecność tam nie była groźniejsza od ugryzienia muchy, ale nie udało się ich stamtąd usunąć, gdy młody król zapragnął wejść do miasta. Mardoniusz marzył, by jakoś odwrócić uwagę patrzącego ze zmarszczonymi brwiami Kserksesa.

Pod wpływem nagłego impulsu władca spojrzał na skałę Areopagu widniejącą niecałe sto kroków dalej. Nie odzywając się ani słowem do swego wodza, Kserkses podbiegł do jej podnóża przy ulicy i z młodzieńczą energią wspiał się prędko po prowadzących w górę schodach. Wciąż oddychał lekko, gdy stanął na rozległym, płaskim wierzchołku.

Ateńscy nobile stawali w tym miejscu od setek lat. Król wsparł stopę o najwyższy punkt skały i skierował wzrok na wznoszący się opodal Akropol. W porównaniu z nim nawet Areopag wyglądał skromnie.

Mardoniusz także był sprawny, wzmocniony miesiącami marszu. On też oddychał bez trudu, towarzysząc królowi. Kserkses skinął na niego. Władca był w dobrym nastroju, gotów odwiedzić wszystkie święte miejsca swoich wrogów.

Mardoniusz zmarszczył brwi, ujrawszy jakiś ruch na Akropolu. Uważnie analizował scenę. Nie działo się tam nic, co mogłoby go zmartwić.

– Posłałem tam cały hazardarabam, aby wspięli się na tę wielką skałę od tyłu, Wasza Królewska Mość. U dołu schodów jest mnóstwo naszych ludzi, którzy mają odwracać uwagę Greków, strzelając z łuków. Widzisz ich? Kiedy reszta wejdzie na szczyt, pokonają obrońców.

– A potem uczyni z nich przykład – powiedział Kserkses. – Podoba mi się to, wodzu. Zrób to. Wystaw ciała na widok publiczny, aby ich bogowie je widzieli.

– Jak sobie życzysz, Wasza Królewska Mość.

Mardoniusz zauważył, że król obraca się powoli, rozkoszując się widokiem z tego wysokiego miejsca. Morze na południowym zachodzie było ciemne. Kserkses zmrużył oczy, gdy patrzył w dal, mając Akropol za plecami.

– Nie będę czekał, Mardoniuszu – stwierdził. – Chcę zejść na brzeg, żeby popatrzeć, jak moja flota niweczy ich ostatnie nadzieje. Spał to miasto. Wydaje się dość suche. Wyobrażam sobie, że płomienie łatwo je ogarną.

Kserkses przyjrzał się płóciennie-drewnianym konstrukcjom na rynku, kilka ulic dalej. Miasto było dużo mniejsze, niż sądził. To wyimaginowane zbrodnie mieszkańców powiększyły je w jego wyobraźni.

Rynek z pewnością spłonie, podobnie jak ulice, domy z cegieł i tynku, pokryte dachami z drewna i dachówek. Kserkses uśmiechnął się na myśl o iskrach unoszących się nad głowami i ulatujących wokół. Chciał wielkiego ognia, miasta płomieni za sobą. Pragnął, żeby Grecy widzieli pióropusz dymu, żeby zdali sobie sprawę, że nic nie obroni ich drogiej bogini Ateny, że zostanie splądrowana, obalona i zgwałcona. To była dobra myśl.

– Podaj mi żagiew, Mardoniuszu – powiedział.

Patrzył niecierpliwie, gdy wódz gwizdnął na wyczekujących niedaleko służących, zawsze gotowych służyć kaprysom swego pana. Kiedy zrozumieli, w czym rzecz, jeden z nich wszedł na skałę i nerwowo zaczął uderzać krzemieniem o stal. Był zręczny w krzesaniu iskry, po czym dmuchał na hubkę trzymaną w złożonych dłoniach, a gdy się zajęła, przeniósł ją na nasmarowany smołą kij owinięty naoliwioną szmatą. Po chwili pochodnia buchnęła trzaskającym płomieniem, przyciągając wzrok. Oddawszy ją, służący padł pokornie na twarz, aż pył przylepił mu się do skóry.

Mardoniusz podążył za królem. Wyglądało to tak, jakby Kserkses prowadził procesję. Płomień i dym niesionej przez młodego króla pochodni unosił się za nim czarną od sadzy wstęgą, znacząc ślad w powietrzu, a on zeskakiwał ze stopnia na stopień, aż zatrzymał się na ulicy w dole.

Po długim lecie miasto było wysuszone. Kserkses podniósł zagiew do krawędzi dachu i drewniana więźba pod dachówkami zajęła się ogniem. Po każdym dotknięciu ogień przenosił się dalej, wypuszczając cienkie smugi białego dymu. Niektóre dachówki pękały z trzaskiem od gorąca, wydając niemal muzyczne dźwięki. Kserkses śmiał się radośnie i kroczył przed siebie, przykładając pochodnię do każdego mijanego domu. Na końcu ulicy odwrócił się i stanął na środku, patrząc, jak słupy ognia i dymu łączą się ze sobą i wznoszą coraz wyżej, dzikie i nieposkromione.

Mardoniusz towarzyszył królowi. Twarz młodego władcy jaśniała uśmiechem, wyraźnie cieszyło go to, co zrobił. Rzucił wodzowi płonąca pochodnię, a ten złapał ją w locie.

– Skończ to, co zacząłem – polecił Kserkses. – Oznajmiłem, że to miasto się nie ostanie. To ich nagroda za rzucenie wyzwania memu ojcu. Spal je całe! Mam okręty! Zadbam o to, by flota ateńska została zniszczona. Dziękujemy Bogu! Zrobiliśmy to razem. Zapamiętasz ten dzień na zawsze.

Mardoniusz patrzył, skłoniwszy głowę, jak król idzie w kierunku morza. Kiedy zrozumiał, że Kserkses nie zawróci, zacisnął usta w wąską linię. Szybkim gestem przywołał tuzin królewskich strażników i sześćdziesięciu łuczników i posłał ich ulicą za królem. Gwizdnął po liczniejsze wsparcie i usłyszał, że wezwanie dotarło do głównych sił. Jego ludzie zameldowali, że miasto jest wolne od zagrożeń, ale jak było za murami? Droga na brzeg mogła nie być bezpieczna. Kto wie, czy nie pozostali tam jacyś fanatycy i nie urządzili zasadzki na perskiego króla? Nie byłoby dobrze, gdyby Kserkses został zaszytowany przez jakiegoś starca w momencie swego triumfu.

Mardoniusz zmienił chwyt na pochodni, gdy w podmuchu bryzy owionęły go płomienie. Jeśli nawet kiedyś wątpił w błogosławieństwo Ahura Mazdy dla rodziny królewskiej, to tego dnia wątpić nie mógł. On i Kserkses maszerowali i żeglowali miesiącami, aby dotrzeć do tego miejsca i doprowadzić tu armię i flotę tak wielką, że nie było takiej rzeczy, której nie zdołaliby dokonać.

Zmarszczył brwi na wspomnienie długiego, mozolnego marszu przez most z połączonych okrętów, a potem wokół greckiego morza. On i jego ludzie znosili wiele, aby stanąć w Atenach. Wielu z nich nie wróci do domu. Mardoniusz był świadkiem nadzwyczajnych umiejętności i odwagi nieprzyjaciół pod Termopilami. Przyznawał to w najskrytszych myślach. Ale nawet Spartanie w końcu ulegli. Kserkses kazał odciąć ich królowi głowę, porąbać jego ciało na kawałki i rzucić do morza, jakby lękał się, że ten wielki wojownik powstanie z martwych. Mardoniusz zadrżał na to wspomnienie. Nie pobili Spartan mieczem

i tarczą. Nie zdołali. Kserkses rozkazał cofnąć się i rzucać włócznie bez przerwy, aż ostatni Spartanie padli.

Na morzu ateńska flota cofała się, spychana coraz bardziej, uświadomił sobie Mardoniusz, przesądnie pohamowując poczucie triumfu. Pomimo całego kunsztu i odwagi Grecy nie zdołali ocalić Aten, serca i źródła swojej potęgi. Bóg najwyraźniej sprzyjał Persom; Mardoniusz pochylił głowę na tę myśl. Posłał cichą modlitwę królowi Dariuszowi, ojcu ludów i towarzyszowi jego młodości, kiedy cały świat zdawał się słodki i czysty jak świeża brzoskwinia. Rzecz jasna, starzec będzie się im przyglądał.

Zmienny wiatr przyniósł ze sobą kolejny powiew gorąca, a płomień smagnał go po ramieniu. Mardoniusz ocknął się z marzeń i skupił na stojącym przed nim zadaniu. Czuł się zmęczony, potrzebował długiego odpoczynku. Nie był już młody! Westchnął. Król był właścicielem jego oddechu, jego obolałych kolan. Kserkses nie dostrzegał słabości i żadnej nie tolerował. Mardoniusz musiał wytrwać.

Kilka kotów wyglądało tu i ówdzie zza drzwi, ocierając się z miauczeniem o nogi jego wojowników. Wszystkie miały spłonąć. Może jego ludzie przytkną pochodnie do kocich ogonów i pošlą zwierzaki, by z wrzaskiem roznosiły płomienie. Tego rodzaju rzeczy zdarzały się w innych miastach, choć Mardoniusz uważał je za ekstrawagancję. Doświadczenie mówiło mu, że to, co proste, zawsze jest lepsze od skomplikowanego.

Pomyślał o murach opasujących Ateny. Wielkie bramy i wieże były raczej symbolem niż rzeczywistą osłoną. Czymkolwiek były, mogły zostać rozbite i obalone młotami i bosakami. Dysponował armią liczącą ponad ćwierć miliona ludzi, sprawną jak posłuszny wierzchowiec albo sfera psów. Obróć te mury w perzynę.

Mardoniusz usłyszał dalekie krzyki i szcęk broni dobiegające z Akropolu, lecz wznoszący się pióropusz dymu zasłaniał mu widok. Zagryzł wargi. Żle by było, gdyby jego ludzie wpadli w pułapkę ogarniętych pożarem ulic. Nie, musiał myśleć jak inżynier i wykonywać swoje zadanie ze spokojną głową. Niech król cieszy się zwycięstwami! Kserkses na to zasłużył.

Kolejny hazardarabam w sile tysiąca wojowników szybko nadbiegł ulicą, wyłaniając się z gęstniejącego i rozprzestrzeniającego się dymu. Mardoniusz posłał kilku niższych rangą żołnierzy z rozkazami, a resztę za Kserksesem. Król zupełnie nie myślał o swoim bezpieczeństwie. Po prostu ufał, że jego wódz mu je zapewni.

Mardoniusz wiedział, że dobrze służy królowi. Serce zapłonęło mu dumą na tę myśl, równie gorąco jak dachy wokół.



## 2

Rozbryzg wody sięgnął Temistoklesa, gdy triera skoczyła do przodu, nabierając prędkości. Morze zazwyczaj było spokojne w cieśninie między Salaminą a Pireusem, głównym portem Aten. Teraz jednak ich taran przebijał się przez fale wzbudzone setkami płynących okrętów i uderzeniami tysięcy wiosł.

Temistokles doznał chwili dezorientacji spowodowanej uczuciem ciężkiego jak ołów zmęczenia. Przesłonił oczy wolną dłonią, zdając się na swoje silne nogi zapewniające mu równowagę na chwiejnym pokładzie. Przez moment utracił poczucie porządku, jakby okręty wokół nagle ogarnął chaos. A jednak porządek wciąż tam panował, przynajmniej na tyle, na ile mógł to zobaczyć! Otarł morską wodę z oczu, poczuwszy chropawość soli na skórze. Nie miał na sobie zbroi. Tylko hoplici i sternicy je nosili, jako że to oni stanowili cel strzał nieprzyjaciela.

Temistokles zapiął hoplon na lewym ramieniu, obserwując wrogie okręty. Pod jego stopami trzy rzędy wiosłarzy, po trzydziestu z każdej strony, trzymało wiosła. Razem stu osiemdziesięciu wolnych Ateńczyków. Wszyscy bowiem byli ludźmi wolnymi. Jak słyszał, nawet domowym niewolnikom zaoferowano wolność, jeśli zgodzą się wiosłować. Pokręcił głową. Z pewnością koszty okażą się wysokie, jeśli przeżyją wojnę.

Wiosłarze pracowali z przymrużonymi oczyma, a każdy ich oddech był jak płynne żelazo – ale jakoś wytrzymywali. Przez szpary w dulkach dostatecznie dobrze widzieli okręty płynące po obu stronach. Taran i dziób okrętu były skryte przed ich wzrokiem, w zachowaniu kierunku i wyborze celów zdawali się więc na sternika i dowódców. Ich wola była dla nich dodatkowym źródłem pewności, że wysiłek nie pójdzie na marne. Nie trzeba wspominać, jak bardzo byli już wyczerpani.

Przed godziną Temistokles musiał posłać dwóch hoplitów, aby zastąpili wiosłarzy, którzy zmarli na swoich miejscach, bo ich serca nie wytrzymały. Ciała wyrzucono za burtę. Pozostali odprowadzili je ponurym wzrokiem. A przecież wszyscy byli całkiem młodymi ludźmi, co do jednego. To nie oni będą następni. Nigdy się to im nie przydarzy.

Temistokles pozostał z dwunastką hoplitów na pokładzie, gotów do nich dołączyć, gdyby przyszło do abordażu. Ci ludzie, przybrani w złocisty spiż, obserwowali go uważnie, czekając na rozkazy, tak samo jak niegdyś on w czasach swej młodości. Uniósł prędko głowę w odpowiedzi na ich spojrzenia, starając się wyglądem budzić zaufanie. Kilku z nich uśmiechnęło się, zanim znów spojrzeli na morze. Temistokles niezwycięzony. Temistokles mocny jak byk, zادیorny, nieznający strachu! Temistokles szczęściarz.

Obojętne mu było, jak go nazywali. Nieważne, jak bardzo, ich zdaniem, błogosławili mu bogowie. Nic z tego, co dla siebie zdobył, nie było zasługą przypadku i szczęśliwego zrządzenia losu. Skrzywił się na tę szaloną myśl i dotknął językiem przyczepionego do hełmu medalionu, który dała mu matka. Widniała na nim sowa Ateny, on zaś, choć zerwał się rzemień, wciąż nosił go przy sobie. Wolał nie kusić bogów, by ukarali jego pychę, przynajmniej nie w chwili, gdy prowadził tę kruchą łupinę pośrodku nieprzyjacielskiej floty.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli tuzin galer z podniesionymi flagami Ksantypposa wypłynął z boku, by przeciąć drogę ścigającym. Temistokles spojrzał ponownie na widniejący na nich wzór i pobłogosławił stratega za ten pomysł. Rozkazał wioślarzom zwolnić o połowę, a serce aż podskoczyło mu na myśl o przyłączeniu się do tamtych. Kto sprowadził Ksantypposa z wygnania? On. Szlachetny Temistokles, który odłożył na bok własne ambicje i osobiste animozje, ściągając z powrotem do Aten największe talenty! Ksantyppos może był zimnym sukinsynem, widzącym tylko czubek własnego nosa i przyjmującym srogą postawę Spartanina. A jednak naostrzył tę flotę jak miecz na osełce. Trzysta okrętów z wyćwiczonymi załogami pracującymi zgodnie w obliczu największego wyzwania. Temistokles nie miał problemów z uznaniem talentów tego człowieka. W końcu głównie z ich powodu przyczynił się do jego wygnania. Ale w czasie wojny stratedzy tacy jak Ksantyppos byli na wagę złota.

Zacisnął pięść na rzemiennym uchwycie tarczy, w odruchowym spazmie dzikości, jak na widok pierwszej krwi w zawodach bokerskich. Ksantyppos wbijał się właśnie między nieprzyjacielskie okręty. Żaden z perskich dowódców nie zdołałby tak skrócić, aby jednocześnie stawić czoło dwóm lub trzem trierom nadpływającym z różnych kierunków. Temistokles zauważył, jak jeden z wrogów zbliża się z pełną szybkością, wzbijając białe bryzgi spod wiosł. Trzy okręty z przepływającej formacji wykonały w tym momencie zwrot, jak wilki odrywające się od pędzącej watahy.

Pers zrozumiał swój błąd i skrzywił ster, ale zwrot był zbyt wolny bez współpracy pracujących równo wiosł. Jedynie wystawił kadłub na uderzenie

i myśliwy nagle stał się zwierzyną. Dwa greckie okręty wojenne wbiły się w niego z potężnym trzaskiem łamanych desek.

Gdy Temistokles tam dopłynął, już się wycofały, wiosłując wstecz, po czym ruszyły na poszukiwanie nowego celu. Perski okręt, trafiony taranami w samo serce kadłuba, zaczął się gwałtownie przechylać, a morską wodą chlusnęła do środka. Temistokles był dostatecznie blisko, by usłyszeć dobiegające z wnętrza krzyki przerażonych wioślarzy. Inaczej niż na okrętach greckich niektórzy z tych biedaków przykuci byli do ławek łańcuchami. Tonący okręt zabierze ich ze sobą na dno. Zadrżał na tę myśl, choć zaraz powiedział sobie, że to tylko dreszcz od bryzgów morskiej wody, i wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu.

– Przejdziemy do abordażu, kyriosie? – zapytał jego kapitan, podszedłszy do niego, aby spojrzeć przed siebie.

Temistokles pokręcił głową, po czym przemówił, gdy dostrzegł na twarzy mężczyzny zgrozę na widok wrogiej galery, która odwróciła się do góry dnem. Powietrze bulgotało, uchodząc z jej wnętrza, a woda tłumiła dochodzące ze środka wrzaski, po czym zapadła cisza.

– Trochę na to za późno – odpowiedział.

Galery były bardzo groźne, ale też niestabilne. Przez niskie, otwarte burty łatwo wlewały się morskie fale. Rzadko kiedy udawało im się przetrwać zderzenie. Temistokles wypatrywał zagrożeń i dobrych okazji, pozwalając chwilami odpocząć wioślarzom. Cieśnina jak okiem sięgnąć wypełniona była okrętami. Za nimi wciąż manewrowały główne siły perskiej floty, napierając i szukając najmniejszych szczelin, stłoczone coraz bliżej brzegu w miarę wplywania w zwężającą się cieśninę.

Temistokles zdążył już stracić rachubę, w ilu akcjach walczył ze swoją załogą. Jedynie chlupot zabarwionej krwią wody przelewającej się przez pokład świadczył o tym, czego dokonali. Obok sternika sterczało kilka ułamanych strzał, a niektórzy ludzie odnieśli rany, których nie mogli właściwie opatrzyć w wilgoci i rozbryzgach wody. Dysponowali jedynie przewiązаныmi chustami. Kolejnego człowieka stracił krótko przed tym, gdy zauważył Ksantypposa. Był to hoplita z jego domu w Atenach. Mężczyzna omdlał od sporej rany, której nikt nawet nie zauważył, po czym ześliznął się za rufę pociągnięty ciężarem zbroi.

Załoga składała się wówczas z samych weteranów, zmęczonych i obolałych. Walczyli dotąd i mieli walczyć dalej, bo oznaki wyczerpania splukiwały woda i morską sól. Temistokles zatęsknił za stałym lądem pod stopami, gdzie martwi nie znikają, jakby ich nigdy nie było.

Coś kazało mu spojrzeć na dziwną widownię zgromadzoną na brzegu Salaminy. Cała ateńska ludność została przewieziona. Setki galer wiosłowały tam i z powrotem przez całą noc, aby ewakuować miasto. Rano, gdy słońce już wstało, słychać było mężczyzn pochrapujących na wiosłarskich ławkach albo wylizujących pospiesznie miski z potrawką jak zgłodniałe wilki, podczas gdy flota perska opływała cypel wybrzeża.

Temistokles widział z dala rodaków, dostatecznie jednak blisko, by im pomachać i zostać zauważonym. Kobiety, dzieci i starcy z dziesięciu tysięcy domostw co najmniej. Stali na klifach jak mewy i obserwowali, jak decyduje się ich los. W tym momencie Temistokles im nie zazdrościł. Wiedział, że sam staje oko w oko ze śmiercią za każdym razem, gdy perski łucznik napina łuk albo wroga galera próbuje połamać im wiosła i dokonać abordażu, a wojownicy na niej ryczą, tłukąc mieczami o tarcze. Ale on wybrał swoją drogę. Przynajmniej umrze, machając mieczem. Ludzie na brzegu nie mieli takiego komfortu. Persowie ściągnęli tu osiemset okrętów. Jeśli zatriumfują, nie będzie już ucieczki dla kobiet i dzieci ateńskich. Stały w pułapce wybrzeża, gotowe dać się pojmać i uprowadzić w niewolę.

Spojrzał za siebie, gdzie nad miastem wznosił się wielki kłęb dymu. Knykcie mu zbiegły, gdy ścisnął w bezradnej furii uchwyt tarczy. W dali widać było Akropol. Temistokles mruzczał modlitwy do Aresa. Choć nie było tam świątyni tego krwawego boga, to czas na modlitwę był właściwy. W poczuciu winy posłał również modlitwę do Ateny. W końcu też nosiła zbroję. Oni zaś byli jej ludem. Należał do niej i nigdy nie czuł się bezsilny, gdy darzyła go uśmiechem.

Patrząc w stronę miasta, zauważył maszerującą portowym nabrzeżem kolumnę wojska. Jego żołnierskie wyćwiczone oko dostrzegło natychmiast, że nie byli to hoplici, nie Grecy. Naszywane płaszcze były inne, tarcze miały inny kształt... Jeszcze raz przysłonił oczy dłonią, a widział lepiej z dala niż z bliska, za co tego dnia był wdzięczny. Przynajmniej mógł widzieć wrogów wyraźnie jak owady. Przygryzł wargę na myśl o perskich żołnierzach przechadzających się ze śmiechem po ulicach Aten, stojących bezkarnie pod dachami świętych przybytków. Było to wstrętne, ale jeśli mężczyzna nie zdoła obronić tego, co zdobył, zostanie mu to odebrane. Bogowie wymagali siły albo skazywali na jarzmo i niewolę. Ta prosta prawda obecna była w ogrodach i gimnazjonach Aten. Brońcie się albo bądźcie niewolnikami.

– Ten tutaj! – zawołał kapitan. – Albo te dwa. Wyglądają na uszkodzone.

Nie było teraz ważniejszej sprawy i Temistokles ponownie skierował uwagę na otaczające okręty. Ksantyppos już przepłynął, a drugie skrzydło pod wodzą

Kimona pozostało nieco w tyle. Temistokles zlustrował wzrokiem możliwe cele i zauważył połamane wiosła oraz zbytne zanurzenie najbliższej pary perskich galer. Ktoś już zdążył im dołożyć. Skinął głową.

– Staranujmy najpierw jednego. Nie ma wielu ludzi na pokładzie. Ten drugi nie prześcignie nawet dziecka, tak przynajmniej wygląda. Zajmiemy się nim potem. A później, z błogosławieństwem Ateny, weźmiemy się do trzeciego.

Trierarcha klepnął go po ramieniu, co Temistokles zignorował. Usłyszał rozkaz przekazany keleustesowi, któremu tylko głowa wystawała ponad pokład. Mężczyzna pochylił się, by ryknąć do wioślarzy, aby zwiększyli szybkość. Sternik ujął mocniej stery, a trierarcha pomknął na dziób, skąd gestami zaczął naprowadzać okręt. Wystarczyła połowa szybkości, by triera pięknie skoczyła na wroga.

Hopliti na pokładzie znowu przygotowali się do przeprowadzenia albo przyjęcia abordażu. Temistokles poklepał tkwiący w pochwie u boku krótki miecz, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam jest. Gdy wyciągnął rękę, natychmiast wsunięto mu w nią długą dorycką włócznię. Miała dobry ciężar. Mógł zostać pierwszym Ateńczykiem, ale teraz Ateny stały w ogniu. Aby ratować swój lud, ogłosił się nauarchą floty po formalnym spotkaniu ze Spartaninem Eurybiadesem. To też miało swoją wagę. Gdy stanęli w szyku, Temistokles wydał wraz z innymi bojowy okrzyk, a w oczach perskiej załogi pojawiła się panika, gdy próbowali uniknąć swego losu.

Chwilę przed zderzeniem okrętów nie mógł odmówić sobie zerknięcia na port, gdzie dojrzał gromadzące się nieprzyjacielskie siły. Wzniesiono tam na brzegu wielki namiot, na którym skwapliwi wojownicy przypięli wielkiego białego orła. Wyglądał tak, jakby był blisko i w każdej chwili można było go dosięgnąć i dotknąć. Temistokles poczuł skurcz w żołądku. Tylko jeden człowiek mógł zażądać czegoś takiego w środku bitwy.

Wciągnął głęboko powietrze i zatrzymał je w płucach. Świat chwiał się w górę i w dół wraz z ruchem okrętu. Nagle na brzegu pojawił się Kserkses, daleki, jedyny, który nie pracował wraz z innymi. Perski król stał w długim płaszczu, osłaniając dłonią oczy.

Zapatrzony Temistokles omal nie wypadł za burtę, gdy taran uderzył, wywołując głęboki jęk w całej konstrukcji okrętu. Dlatego właśnie montowali tego spizowego zabójcę na końcu belki będącej przedłużeniem kilu i biegnącej wzdłuż kadłuba. Była to jedyna część okrętu mogąca wytrzymać takie uderzenie.

Perski kapitan przeskoczył na drugą stronę, a za nim kilku ludzi. Temistokles dostrzegł w jego oczach błysk desperacji, gdy został zablokowany tarczami,

a potem przeszyty mieczami, które wielokrotnie zagłębiały się w jego piersi. Ciało zepchnięto kopniakami do morza. Pozostawiły na deskach wielką, czarnoczerwoną, śliską plamę, z którą słona woda miała się prędko uporać, zostawiając tylko różowawe ślady na drewnie.

Krzyk przebiegł aż do tylnych wiosł i okręty się rozdzieliły. Gdyby mieli więcej czasu, załoga chętnie przeszukałaby wrogą galerę. Persowie zwykli mieć na sobie mnóstwo złota, lecz Temistokles postanowił ignorować wiszące już na zbrojach hoplitów błyskotki. Jeśli o niego chodziło, dałby im cały świat, gdyby go zapragnęli.

Druga perska załoga próbowała umknąć i zgubić się w chaosie okrętów. Udało im się wykonać zwrot, choć Temistokles dobrze widział, że jedna strona ich galery straciła już wiosła, co tłumaczyło powolność jej ruchów. Jakiś grecki taran ześlizgnął się i przeciągnął wzdłuż całej burty, miażdżąc wszystkie wiosła po jednej stronie i zabijając wiosłarzy, którzy je trzymali. Z połową wiosł okręt, nawet po przesadzeniu części wiosłarzy, był zbyt powolny, aby uciec. Temistokles się uśmiechnął, gdy trierarcha dokonał zwrotu, ruszając w pościg. Trwałby on długo, gdyby nie to, że wróg miał kadłub wypełniony zwłokami i resztkami połamanych wiosł.

W chwili oddechu omiół spojrzeniem pole bitwy tak, jak uczyniłby to na lądzie. Kiedy walczył jako strateg, starał się jak najlepiej zachowywać w umyśle szeroki obraz bitwy. Niektórzy mężczyźni w walce ograniczali swoje widzenie tylko do własnego miejsca w szeregu, do tych, którzy walczyli tuż obok i których mieli bezpośrednio przed sobą. Jednak dowódca musiał widzieć dalej i szerzej – to samo odnosiło się do starcia na morzu.

Persowie ściągnęli ogromną flotę. Jedyne wąskie wody cieśniny utrzymywały Grecję na powierzchni i Temistokles dobrze to widział. W tej sytuacji nieprzyjaciel nie mógł wykorzystać swojej miażdżącej przewagi. Ewakuacja na Salaminę mogła kupić wytchnienie ludności Aten, ale wrogów wciąż było zbyt wielu! Okręt po okręcie Persowie pokonają siły sprzymierzonych. Taki był szeroki obraz. Z czterdziestu dzielnych okrętów korynckich pozostała zaledwie połowa. Tuziny ateńskich trier zatoneły albo zostały wzięte abordażem i spalone. Cierpieli, ale zabijali więcej wrogów i walczyli jak szaleńcy, wiedząc, że ich żony i dzieci patrzą. Zastanawiał się, czy ludność Troi patrzyła z murów z taką samą bezradnością i strachem. Zniszczenie pod Salaminą też było straszliwe. Gdzieniegdzie ciała i szczątki tak szczelnie pokrywały wodę, że dzioby prących naprzód okrętów musiały spychać wszystko na boki.

W przebłysku jasności Temistokles zrozumiał, że nie zdołają zwyciężyć. Na tę myśl ogarnęła go nagle panika. Potem zaczął myśleć, korzystać z umysłu, który był mu dany, z geniuszu, który uczynił go pierwszym mężem w Atenach, pierwszym ze złotego pokolenia. Przypomniawszy sobie, że Spartanie zawsze sarkali na ateński spryt i przemyślność. A on w końcu był największym Ateńczykiem, nieprawdaż? Musiał być jakiś sposób odwrócenia losów bitwy. Zbliżając się do nieszczęsnego Persa, Temistokles raz jeszcze spojrzawszy na brzeg, skąd Kserkses obserwował floty walczące na śmierć i życie. Połowa floty perskiej nie weszła jeszcze do bitwy, czekając jak rekiny, żeby wśliznąć się do cieśniny i włączyć do walki. Nad miastem, które Temistokles ukochał, unosił się dym. Patrzył na nieunikniony koniec wszystkiego, co znał – niczym wznoszący się młot, którego uderzenia nie mógł powstrzymać.

### 3

**N**ie stój tak blisko skraju urwiska, Peryklesie! – rzuciła Agarysta. – Co powiesz ojcu, kiedy rozbijesz się na tych skałach?

Najmłodszy syn spojrział na nią spod ciemnej gęstej grzywki, która opadała mu niemal na oczy. Zawsze zerkał spod jej cienia, a teraz był wyraźnie urażony. Agarysta czekała, nie odwracając wzroku, aż chłopak w końcu uznał, że dostatecznie zaznaczył swoją wolę, i cofnął się o pół kroku od krawędzi. Prawdę mówiąc, powiedziała to bardziej po to, żeby ukoić nerwy, niż z lęku o niego. W wieku szesnastu lat Perykles był giętki jak węgorz, krępy i muskularny. Wiedziała, że umie pływać, nie bała się więc, że wpadnie do głębokiej wody. Skały były jednak ostre jak noże. Agarysta nie była zbyt przesadna, ale teraz, w cieśninie pod Salaminą, gra toczyła się o los Aten. Tego dnia czuła lęk na widok czerwonej krwi, zwłaszcza że jej mąż ryzykował życie, walcząc z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Potrzebowali bogów, aby dali im siłę i zapewnili zwycięstwo. Potrzebowali też sztormu, aby rozproszył Persów.

Ksantyppos był gdzieś tam, choć może już nie żył. Nie mogła tego wiedzieć, lecz sama ta możliwość kładła się ciężarem na jej sercu. Czy poczuje jego śmierć, jego ostatni oddech, zanim on zniknie ze światła dnia? Owszem, Ksantyppos stał się twardy i bezwzględny, ale na bogów, dorósł do pozycji mężczyzny, jakiego chciała w nim widzieć. Jej ojciec uważał, że nie jest on godny córki z rodziny Alkmeonidów, ale ona coś w Ksantypposie dostrzegła – może samodyscyplinę połączoną z ambicją? Na myśl o tym poczuła przypływ dumy. Wzięła sobie mężczyznę trochę zbyt miękkiego, ale w żarze ich rodzinnego ogniska, w ogniu ich małżeństwa, doprowadziła do tego, że stwardniał. Stał się mężem, jakiego potrzebowała, jej największym dziełem.

Potem oczywiście wtrącił się Temistokles, który wymusił głosowanie w zgromadzeniu i doprowadził do tego, że Ksantypposa wygnano z miasta i z rodziny. Agarysta zacisnęła wargi na to okrutne wspomnienie. Tych straconych lat nie da się odzyskać. Temistokles nigdy nie będzie mile widzianym gościem w jej domu, przynajmniej nie za jej życia.



Perykles znowu postąpił krok naprzód, aby lepiej widzieć bitwę. Potrafiła zrozumieć jego niepokój, ale w tej sytuacji nic nie mogła poradzić. Syn osłaniał oczy przed blaskiem porannego słońca, śledził wzrokiem ruchy nieprzejednanego wroga i marzył, żeby być razem z flotą. Już wcześniej próbował zostać na pokładzie, kiedy Ksantyppos przewiózł ich na drugą stronę cieśniny. Ojciec przykląkł przed synami i nakazał im strzec Agarysty oraz siostry Eleni. Agarysta zauważyła noże, które chłopcy od niego dostali. Zastanawiała się, czy będą umieli się nimi posłużyć i czy naprawdę będą zdolni zabić matkę i siostrę, aby nie zostały wzięte w niewolę. Znowu zagryzła wargi. Rozumiała, jakie niebezpieczeństwo groziło jej i córce. A jednak wyrwałaby im te noże, gdyby próbowali to zrobić. Kobietom udawało się przeżyć. Zawsze była jakaś droga wyjścia. Zawsze. Podniosła ostrzegawczo rękę, gdy Perykles, wychylając się za skraj urwiska, niemal się ześliznął i w ostatniej chwili odzyskał równowagę, machając rozłożonymi szeroko rękami.

– Wracaj, Peri – powiedziała gniewnie.

Zauważyła, że był zszokowany. Zarumienił się i cofnął kilka kroków, po czym usiadł ciężko na piasku. Jego brat Aryfron obejrzał się z irytacją. Nie miał czasu na kaprysy młodszego rodzeństwa. Odczuwał obowiązek jako brzemie odpowiedzialności. Agarysta dostrzegła u niego związany z tym ból. On także chciał popłynąć z ojcem. W wieku siedemnastu lat był już prawie dorosły i miał otrzymać prawo głosu podczas zgromadzenia. Zamiast tego Ksantyppos kazał mu zostać. Kilku innych w tym wieku również musiało zostać, garstka młodzieńców w wielotysięcznym tłumie. Wszyscy domowi strażnicy i niewolnicy zostali skierowani do floty. Agarysta słyszała, jak Ksantyppos obiecywał wolność wszystkim, którzy będą wiosłować albo walczyć dla Aten z najeźdźcą. Gdy schodziła z dziećmi z okrętu na płyciznę, ujrzała nagle tęsknotę na twarzy Maniasa, najstarszego z jej domowych niewolników. Nie wątpiła, że ją kochał – tę dziewczynkę, którą kołysał na kolanach, gdy była jeszcze maleńka. Agarysta wiedziała, że chętnie by został, ale mimo panującego zamieszania zauważyła też, że obejrzał się za siebie.

Jej mąż zajęty był pilnowaniem okrętu, który w tym momencie był dla niego najważniejszy. Agarysta, nie namyślając się wiele, wyciągnęła rękę i położyła ją na ogorzałej i pomarszczonej dłoni niewolnika. Kiedyś, w dzieciństwie, gdy biegała w koło na bosaka, Manias brał ją na barana i parskał jak Minotaur. Opowiadał jej historie z Homera i uczył wiązać węzły. Przez całe życie był jej własnością.

– Idź – powiedziała. – Szybko. Zdobądź swoją wolność.

Wiedziała, że podjęła dobrą decyzję, gdy w milczeniu skłonił się przed nią i ucałował jej rękę. Staruszek otarł łzy z oczu, a potem zszedł pod pokład, by ująć wiosło.

Uświadomiła sobie, że pozostawieni na brzegu młodzi synowie Aten mają na twarzach taki sam wyraz frustracji. Trudno byłoby jej prosić o Aryfrona i Peryklesa, ale Ksantyppos nawet o tym nie myślał. Byli jego synami! Musieli czekać i być mu posłuszni. Zachowywał ich do wyższych celów. Do czasu ukończenia osiemnastu lat byli bezużyteczni dla zgromadzenia. Nie mogli też walczyć w armii, chyba że nosząc tarczę u boku starszego wojownika.

Starszy syn siedział, objąwszy rękoma kolana, gołe nogi przyprószone miał piaskiem. Agarysta sięgnęła i odgarnęła mu kosmyk włosów z oczu, zaskakując go i zmuszając, aby na nią spojrzął. Naburmuszony młodziutki Perykles usunął się z zasięgu jej ramion. Aryfron zrozumiał wszystko, tak jak zawsze.

– Twój ojciec chciał, żebym była bezpieczna... – zaczęła.

Przerwał jej niespokojnie:

– Wiem. Kazał mi obiecać, złożyć przysięgę. Że nie opuszczę tego miejsca do jego powrotu albo do chwili, gdy będę pewien, że nie wróci. Ale jak mógłbym to zrobić, nie mając okrętu ani nawet łodzi.

– Ufa ci – powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

Aryfron potaknął, nie odwracając wzroku, choć wiedziała, że czuje się pokrzywdzony.

Zauważyła, że Perykles ich obserwuje, podsuwając się na kolanach coraz bliżej urwiska. Widział, że ona kieruje uwagę gdzie indziej. Jakby nie potrafiła tego dostrzec! Chłopak nigdy nie znajdował prostej drogi kontaktu z rodzicami, przynajmniej na razie. Wolał się upierać albo irytować, po czym nagle stawał się słodki jak miód. Nie potrafił nawet *zobaczyć* właściwej drogi, nie skręciwszy najpierw w złą.

Eleni wysunęła podstępnie nogę i kopnęła Peryklesa w plecy, na co ten zaklął i zerwał się gwałtownie.

– Siadaj, Peryklesie – powtórzyła Agarysta. – Czy nie dość mam zmartwień, myśląc o waszym ojcu, który tam jest? Jak możesz być taki nieposłuszny? Siadaj, powiedziałam! – Ostatnie słowa wyrzekła, przekrzykując protesty syna.

Jego siostra patrzyła z miną niewiniątka.

Ciała zaczynały wypływać na brzeg. Nie było wiatru, najwyraźniej przynosił je ruch fal. Agarysta zrozumiała natychmiast, że Perykles chciałby tam zejść i się im przyglądać. Nie miała już ochoty na kolejną próbę sił, jaka za chwilę miała nastąpić. Zmęczył ją strach o Ksantypposa, o dzieci, o siebie i pozostałych

członków rodziny. Ateny były jej domem. Nie wyobrażała sobie zaczynać życia gdzie indziej.

– Długo potrwa, zanim otrzymamy jakieś wieści – oznajmiła.

Nie musiała wskazywać na liczne perskie okręty, które nie włączyły się jeszcze do walki. Tylko z powodu braku miejsca w cieśninie nie mogły podpłynąć, ale pozostawały w szyku, świeże i groźne. A Grecy byli zmęczeni i krwawili. Oczywiście, że się boją, powiedziała sobie w duchu. Tego dnia nie będzie zwycięstwa. Modliła się cicho do Ateny, żeby włączyła się do walki. Jakże to: jej własne miasto w płomieniach! To obraza.

– Aryfron może tu zostać i się przyglądać – stwierdził Perykles. – Ja zejdę na brzeg. Widzę tam już paru chłopaków. Zdobędę informacje. Sprawdzę, co wiedzą.

Wstał i przesłonił dłonią oczy. Jego matka odetchnęła głęboko, próbując zachować spokój. To nie jego wina, powiedziała sobie w duchu. Nie został stworzony do tego, by siedzieć spokojnie.

– Nie, zostań tu ze mną i z siostrą.

Zaczął oponować, jakżeby inaczej. Nie chciał jej słuchać! Aryfron potrafił napisać z pamięci tysiąc wersów z Homera, a Perykles nie miał dość cierpliwości, by nauczyć się jednego. Nienawidził pisać, choć mówił doskonale; ciemne oczy skrywały sprawny umysł, nie było co do tego wątpliwości, ale był niczym dziki koń, marnujący siły na niepotrzebne sprzeczki i humory.

– Siadaj! – poleciła. Jeszcze raz wytrzymała jego spojrzenie, zmęczona jego uporem. – Myślisz, że pierwszy raz nasza rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie? Przeżyliśmy gorsze rzeczy, Peryklesie. Bo umieliśmy słuchać rozkazów.

Gniew młodszego syna minął jak południowy upał. W końcu to ona miała tu władzę, a on przywykł do posłuszeństwa. Zastanawiała się, jak długo jeszcze, bo był już silniejszy od matki. Miała trzydzieści pięć lat. Młodość i uroda wciąż jednak były u niej widoczne. Gestem wskazała na brzeg i Ateńczyków czekających, by dowiedzieć się, jaki czeka ich los.

– Widzisz, jak siedzimy tu osamotnieni? Jaka przestrzeń dzieli nas od całej reszty? Myślisz, że to z grzeczności?

Eleni wzruszyła ramionami, a chłopcy rozejrzeli się wokół z konsternacją.

Agarysta potrząsnęła głową. Podniosła rękę i zatoczyła nią krąg.

– Nie jesteśmy tłumem. Jesteśmy Alkmeonidami, najstarszą linią rodu. – Pochyliła nieco głowę, by przyjrzeć się dzieciom. – Wasz ojciec walczył na koprowym polu pod Maratonem; razem z Temistoklesem, Arystydesem

i Miltiadesem, ojcem Kimona. Wuj ustanowił połowę ateńskich praw. Powiększył zgromadzenie, nadał nazwy dziesięciu fylom i dokonał setek innych rzeczy. Ludzie wiedzą, że są jemu i nam winni swoje głosy. Drogie dzieci, wasza krew jest złotą nicią. Może znajdzie się jeszcze jedna, najwyżej dwie rodziny o równie wysokiej pozycji, ale nie więcej. A żadna nie stoi wyżej.

Perykles zmarszczył brwi na widok rojących się wszędzie grupki Ateńczyków. Nie wyglądali na zbyt przepelnionych szacunkiem, przynajmniej nie po szybkim spojrzeniu, jakim ich obrzucił. A jednak pozostawiali wolną przestrzeń wokół Agarysty i jej dzieci. Wydawało się, że to jednak prawda. Czasem sądził, że matka pokłada zbyt wielką ufność w opiece i wpływach swojej rodziny. Nigdy nie widziała krętych zaułków, po których Perykles czasem włóczył się samotnie, z dala od tłumów. Niekiedy widział tam zwłoki porzucone w słońcu albo rozszarpywane przez psy. Głęboko w duchu wiedział, że śmierć może zabrać każdego, niezależnie od miejsca. Teraz śmierć spozierała na nich z okrętów. Nie powiedział tego jednak. Nie chciał zranić matki.

Agarysta usiadła prościej, patrząc na ciała topielców w spienionej wodzie. Zadrzała. Niektóre odwracały się, przetaczały, wlokąc bezwładne kończyny. Morze zrzucało je z siebie jak skórę, wraz z odłamkami desek i połamanych wiosel. Gdy tak patrzyła, dwa kolejne okręty zderzyły się, ocierając gwałtownie burtami wzduż, krusząc wiosła i miażdżąc wiosłarzy w kadłubie. Agarysta przełknęła ślinę.

– Spójrz! Popatrz tam!

On też oczywiście przyglądał się zabitym, zafascynowany widokiem trupów. Agarysta wiedziała, że nie widział w nich ludzi, przynajmniej nie do końca. Chłopcy powinni wychowywać się w łagodności, pomyślała. Mężczyźni wzrastają i kształtują się wolno, jak wieże z miejskich murów. Nie kochała go przez to mniej. W gruncie rzeczy kochała nawet bardziej, gdyż tak bardzo jej potrzebował. W krótkim przebłysku Agarysta przypomniała sobie, jak Perykles znalazł martwą wronę i zrobił jej sekcję na kuchennym stole. Przyłapała go, jak patrzył w podziwie na wydobyte ze skrzydeł kości.

Otrząsnęła się z tych myśli i podążyła wzrokiem za jego palcem, tam gdzie pośród innych zwłok przetaczał się jakiś ciemny kształt.

– To chyba Konis! – powiedział. – Właściwie jestem tego pewien.

Pies jej męża. Agarysta miała mieszane uczucia. Przebywając na wygnaniu w Koryncie, Ksantyppos związał się z miejscową kobietą. Pies wrócił razem z nim i był nieustannym przypomnieniem o tym okresie jego życia. Nie przejęła

się zbytnio, kiedy skoczył do morza, żeby popłynąć za swoim panem. Jej mąż był bliski łez, ale nie mógł zatrzymać okrętu i zawrócić, zwłaszcza że miał na pokładzie pełno kobiet i dzieci, a za cyplem osłaniającym wejście do cieśniny gromadzili się już Persowie. Agarysta przyjęła za pewnik, że mastyf utonął tego dnia wraz z wieloma ludźmi.

Perykles skorzystał z wahania Agarysty. Zlazł na dół po skałach, zanim zdążyła zebrać w sobie dość siły woli, aby go powstrzymać. Właściwa chwila minęła i Agarysta została na urwisku z Aryfronem i Eleni, tylko patrząc błagalnie za najmłodszym synem.

– Och, już dobrze. – Odprawiła ich machnięciem dłoni. – Idźcie i sprawdźcie. Ale wracajcie szybko!

Po chwili wszystkie dzieci się od niej oddaliły. Agarysta wstała i otrzepała suknię z piasku. Czuła na sobie każde krótkie spojrzenie i każdy ruch głowy zwróconej w jej stronę. Pochodziła z Alkmeonidów. Widzieć ją bez znamion bogactwa i władzy, bez ochrony i niewolników, bez osłony wysokich murów, to było niemal tak, jakby ujrzeć ją nagą. Głowy pochyliły się ku sobie, dobiegły do niej szepty, a ona tylko zacisnęła zęby. Jej dzieci biegły brzegiem, kierując się w stronę brunatnego kształtu pośród martwych mężczyzn. W milczeniu skinęła głową i wypatrzyła ścieżkę prowadzącą w dół. Może pies przeżył. Dzieci potrzebowały jakiejś okazji do radości i świętowania. Wszyscy potrzebowali.

\* \* \*

Temistokles patrzył. Zaryzykował życie własne i całej załogi, żeby wysadzić na brzeg jednego młodzika, chłopaka cieśli, zdrowego, świeżego, bez żadnych ran, za to pełnego powagi z powodu wagi zadania, jakie mu powierzono. Nie mając małej łódki, postanowili podpłynąć trierą blisko brzegu. W tym czasie perscy wojownicy otaczali swego króla gromadą jak szerszenie, gotowi zaatakować każdego, kogo uznaliby za zagrożenie. Sprawa wydawała się zrazu niemożliwością, dopóki cieśla nie pokazał Temistoklesowi cedrowej skrzyneczki, którą można było oblać woskiem, podgrzewając go i wygładzając, aby utworzył skorupę. Chłopak umiał pływać, a oni dobrze znali brzeg i najlepsze miejsca do lądowania. Temistokles opuścił chłopca do morza z paczuszką przywiązaną sznurem do ramienia, którą pociągnął za sobą w wodzie.

Potem wycofali okręt z powrotem do cieśniny; wiosłarze wciąż dyszeli ze zmęczenia. Zadanie wypatrywania zagrożeń Temistokles pozostawił trierarsze. Całą uwagę skupił na drobnej sylwetce biegnącej do najpotężniejszego

człowieka świata, Kserksesa, który siedział w swoim pawilonie, podczas gdy za jego plecami płonęły Ateny.

## 4

Kserkses patrzył z wysoka na przemokniętego chłopca. Jego strażnicy mocno dzieciaka poturbowali, szukając broni. Widząc rozgrywającą się przed ich oczami bitwę, mogli żywić podejrzenie, że ktoś spośród Greków posłał truciznę albo ukrył przy posłańcu kawałek ostrza. Pakunek rozbito, wosk zdrapano, skrzyneczkę otwarto i przeszukano. Nawet strzęp papirusu, złożonego z suszonych na modłę egipską warstw, nie mógł dotknąć dłoni króla.

Chłopiec drżał pod naciskiem postawionej na jego karku stopy, z twarzą wciśniętą w nadbrzeżny piasek. Herold króla stał obok zwrócony w jego stronę, oczekując na skinienie Kserksesa. Został wezwany ze względu na swoją znajomość obcych języków i jego oczy błyszczały zainteresowaniem, gdy czekał, by przetłumaczyć słowa Ateńczyka.

Władca siedział na tronie z drewna i płótna. Pawilon łopotał mu nad głową, cały jego front był szeroko otwarty, aby mógł obserwować wiosłujące przed nim triery. Jego ludzie walczyli wtedy lepiej, jak zapewniał go Mardoniusz. Czuli na sobie jego spojrzenie.

– Przeczytaj mi to – powiedział Kserkses.

Herold w jednej chwili legł na piasku obok chłopca, który spojrzał na niego skonsternowany. Kiedy mężczyzna wstał, chłopiec też zaczął się podnosić. Stojący przy nim strażnik ponownie musiał docisnąć go do ziemi, aby leżał spokojnie.

– „Wasza Królewska Mość, Wielki Królu Persji...” – zaczął czytać herold. Mówił wolno, starannie dobierając słowa. Kserkses podniósł wzrok, coraz bardziej zaciekawiony. – „Ja, Temistokles, piszę jako przyjaciel...”, może „sojusznik byłoby lepszym słowem... Dostałem zaszczytu dowodzenia flotą Aten i całej Grecji. Nie chciałbym zguby moich ludzi, gdybym tylko mógł ich ocalić”.

Na te słowa Kserkses usiadł prosto, po czym wstał i zaczął się przechadzać, słuchając. Herold mówił głośniej, podczas gdy chłopiec wił się na piasku, nieświadomy znaczenia tłumaczonych na perski słów.

– „Wielki Królu, moja władza jest ograniczona. Gdybym wezwał do poddania się, zostałbym po prostu zastąpiony kimś innym, a bitwa trwałaby dalej. Obok moich ludzi zginęłoby też wielu Persów. Zamiast tego proszę cię... i pokornie błagam. Twoja rodzina zawsze okazywała miłosierdzie tym, którzy o nie proszą. Ten czas właśnie nadszedł. Widzę dymy nad miastem i szlocham”.

Kserkses podniósł dłoń i powstrzymał herolda. Król patrzył na cieśninę, zastanawiając się, czy w tym momencie Temistokles czyni to samo z pokładu jednego z okrętów krążących tam jak żądłące owady i widzi kadłuby i wiosła kołyszających się na wodzie świeżych okrętów czekających w równym szyku, by wpłynąć w głąb cieśniny. Kserkses rozumiał, dlaczego Grek może na ten widok odczuwać rozpacz. Ledwo jedna trzecia perskich jednostek weszła w cieśninę. Dwa razy tyle czekało na zewnątrz, nietkniętych, wypoczętych, z wielką liczbą mieczy na pokładzie. Kserkses wiedział, że kapitanowie, widząc królewski pawilon na brzegu, dadzą z siebie wszystko, mogąc dla niego walczyć, nie bacząc na śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy król obserwował, gra toczyła się o ich kariery i losy całych rodzin. Kiedy tak patrzył, dwa okręty niemal się zderzyły, zaczepiając o siebie wiosłami.

– Jeszcze coś? Czytaj dalej – rzucił do herolda, skinąwszy dłonią.

– Jeszcze kilka linijek, Wasza Królewska Mość... „Ziemia naprzeciwko ciebie, która graniczy z cieśniną, to mała wyspa zwaną Salaminą. Gdybyś posłał połowę floty wokół niej, mogłaby ona wrócić do cieśniny na samym jej końcu. Widząc twoje okręty nadpływające z dwóch stron, będę mógł się poddać, nie tracąc godności. W tym właśnie proszę o zmiłowanie. Modlę się o to i także o to, żebyśmy już po wszystkim mogli się spotkać znowu, z całą należną czcią”. Podpisano „Temistokles”, Wasza Królewska Mość.

Herold obrócił papirus, szukając jeszcze jakiegoś znaku lub sekretnego symbolu. Nie było żadnego.

– Przywołajcie Mardoniusza. I przyślijcie do mnie paru moich greckich sojuszników. Chcę, żeby potwierdzili, że Salamina jest wyspą. Ktoś musi wiedzieć, czy to prawda.

Jeden ze strażników pobiegł, żeby przekazać królewskie polecenie. Herold czekał z pochyloną głową na nowe rozkazy. Chłopiec przestał się wyrywać i rysował coś palcami na piasku.

Kserkses uśmiechnął się na ten widok. Kiedyś też był taki młody. Oczywiście ojciec kazałby go zbić za taki brak koncentracji. Zamiast tego Kserkses kazał zabrać chłopca do najbliższej polowej kuchni i nakarmić. List napełnił króla wielkim zadowoleniem. A jednak jego ojciec dobrze rozumiał Greków! Jedność



ich przywódców rzeczywiście można było rozbić. Złoto i okazanie litości warte były całej armii.

Było już po południu, kiedy pojawił się Mardoniusz, zaczerwieniony po intensywnym biegu. Kserkses zauważył, że wszyscy towarzyszący mu Tebańczycy zostali rozbrojeni. Strażnicy nie byli tak szaleni, żeby dopuszczać do króla ludzi z włóczniami i mieczami, nawet zaufanych sojuszników.

Król nie odprawił herolda, który wciąż czekał w tym samym miejscu, na drżących z wysiłku nogach. Jego głos zabrzmiał chrapliwie, gdy Kserkses nakazał mu odczytać list raz jeszcze po grecku, ciekaw ich reakcji. Kiedy mężczyzna skończył, jeden z Tebańczyków zapytał, czy mógłby obejrzeć list osobiście. Rzadkością było spotkanie człowieka umięjącego czytać, więc Kserkses pozwolił na to i obserwował uważnie, gdy Tebańczyk poruszał wargami, mrużąc powoli słowa, jakby je smakował. Po przeczytaniu wzruszył ramionami i oddał list heroldowi.

– Nie znam dobrze Temistoklesa, Wasza Królewska Mość, tyle że to znane w Atenach nazwisko. – Tebańczyk odczekał, aż herold przetłumaczył to królowi. – To prawda, że Salamina jest wyspą. Mogę to potwierdzić, bo sam w młodości przepływałem tamtędy do samego portu.

– A czy zaufałyś jego ofercie?

Przez chwilę, jaką zajęło przetłumaczenie tych słów na grecki, Kserkses uważnie przyglądał się Grekowi. Zauważył, jak Tebańczycy spoglądali po sobie, szukając u siebie nawzajem zachęty. Oczywiście byli Grekami, którzy zdecydowali się raczej przyjąć perskie złoto, niż podnieść włócznie przeciwko jego armii. Kserkses w duchu uważał ich za gatunek gorszy od ludzi. Zastanawiał się, czy takie kreatury mogą rzeczywiście oceniać motywację tych bardziej dumnych, którzy odmówili przejścia na perską stronę, tych, którzy wypłynęli w morze i ruszyli łądem, żeby stawić opór nieprzyjacielowi, choć nie mieli szans go pokonać.

– Tak mi się zdaje, Wasza Królewska Mość, ale trudno o pewność. Plan, który on proponuje, z pewnością zakończy bitwę. Żadna armia nie może walczyć na dwie strony.

Gdy herold powtórzył to, co usłyszał, Kserkses skinął głową. Niedbałym gestem pozwolił Tebańczykom paść na ziemię, by oddali mu hołd, modląc się głośno o jego długie życie. Zastanawiał się, czy dobrze rozumieją, że mogą oddać mu cześć, dostępując wyjątkowego zaszczytu, który jest nagrodą za oddaną mu przysługę. Miał wrażenie, że subtelności tego rodzaju są niedostępne dla

Hellenów, przynajmniej tych, którymi dowodził. Kiedy odeszli, zwrócił się do Mardoniusza.

– Ten Temistokles niewiele obiecuje – powiedział. – Jest dowódcą, ale twierdzi, że nie może się poddać. A jednak proponuje mi sposób szybkiego zakończenia bitwy. Co radzisz?

– Nasza liczebność pozwala nam się o tym przekonać – odparł Mardoniusz. – Jeśli to się uda, bez wątpienia oszczędzimy życie tysięcy. Może samo to ma swoją wartość, nie wiem. Musi też być jakiś plan dla greckich jeńców. Pozwolisz im wrócić do swego miasta? Kiedy tu rozmawiamy, moi ludzie burzą właśnie jego mury.

– Mury zostaną zburzone jako symbol ich kapitulacji – odrzekł Kserkses. – Nie chcę barwić morza na czerwono, Mardoniuszu. Przybyłem tutaj po zemstę, to prawda, ale co powinienem zostawić za sobą, gdy kampania się zakończy? Tylko popiół i kości? Co by na to powiedział mój ojciec?

Mardoniusz myślał przez chwilę, wiedząc, że od jego słów może zależeć życie całych ludów.

– Wierzę... że Jego Królewska Mość król Dariusz chciałby pokazać swoją siłę i wymierzyć karę, tak żeby już nigdy nie musiał wyprawiać się tak daleko na zachód. Potem, jak mi się zdaje, nie myślałby już o tym dłużej. Z perskimi napastnikami rządzącymi w jego imieniu, z garnizonami zapewniającymi spokój i podatkami wpływającymi do skarbu sądzę, że Jego Królewska Mość byłby usatysfakcjonowany. Twój ojciec podbił wiele ludów. Z czasem zaczęły się one zaliczać do najbardziej lojalnych prowincji wielkiego imperium. Wysyłają żołnierzy, żeby walczyli w naszych szeregach, noszą z dumą nasze barwy i znaki twojego rodu. Może twój ojciec uśmiechałby się dzisiaj na taki obrót zdarzeń. Decyzja jednak należy do ciebie, Wasza Królewska Mość, a jego osąd żyje w tobie. Wie, że czcisz go każdym oddechem.

Kserkses uśmiechnął się i uścisnął ramię wodza.

– Bardzo dobrze. Wyślij sygnał do naszego okrętu flagowego, żeby spuścili łądź na wodę i przysłali ją do nas po nowe rozkazy. Niech kapitan Iswant poprowadzi... trzysta okrętów wokół Salaminy. Dobrze im zrobi powiosłować trochę po całym poranku leniuchowania! Mają wpłynąć z tamtej strony w cieśninę, ale się nie angażować. Czekać na Temistoklesa, żeby dotrzymał słowa i się poddał. Może nawet się z nim spotkam.

Mardoniusz opadł na kolana w piasek.

– Wasza Królewska Mość, a co z kobietami i dziećmi na wyspie? Okażesz im miłosierdzie?

Kserkses wzruszył ramionami. Nie potrzebował jeńców, a apetyt na osobiste niewolnice przygasł już nieco z upływem lat. Dni namiętności były już za nim. Wiedział jednak, że nie dotyczy to wielu młodych oficerów.

– Wybierz co... dziesiątą osobę. Zetnij, tylko prędko. – Uśmiechnął się i pomachał palcem. – No dobrze. Możesz wybrać i ocalić najładniejsze kobiety, Mardoniuszu, jako dar dla tych, którzy dobrze służyli i wykazali się odwagą. Tak, to wystarczy. Niech kilka najpiękniejszych kobiet i dzieci będzie nagrodą za szczególne zasługi. Pozostałe połącz z ich mężami i rodzicami. W ten sposób będą mogły wykrzykiwać radośnie na moją cześć i sławić moje imię. Ale w Atenach murów już nie będzie. Nigdy. Niechaj będzie to symbolem mego zwycięstwa.

Mardoniusz celowo padł znowu na ziemię, łzy zabłysły mu pod powiekami, a na twarzy odmalował się jeszcze jeden zamysł. Syn był żywym wcieleniem swego ojca. W tym zwycięskim momencie Kserkses ucieleśniał miłosierdzie swego rodu.

– Wasza Królewska Mość, zmieniłeś ten dzień w czyste złoto. Każę skrybom opisać to ze szczegółami.

\* \* \*

Napinając mięśnie i stawy, Perykles wyciągnął wielkiego psa z wody. Na brzegu Agarysta właśnie unosiła dłoń, aby go powstrzymać, ale zrezygnowała. Uznała, że i tak by jej nie posłuchał. Mastyf jej męża bez wątpienia nie żył. Łeb psa pozostawał zbyt długo pod wodą. Ale Perykles podniósł psu głowę i pociągnął w desperacji za bezwładne nogi. Siostra i brat złapali za fałdy skóry i razem wywlekli Konisa na suchy piasek. Eleni płakała, głaszcząc bok zwierzęcia.

Agarysta patrzyła za ich plecy, na walczące okręty. Niektóre przepływały tak blisko, że mogła dostrzec wyraz twarzy mężczyzn trzymających wiosła oraz tych na pokładzie. Widziała wśród nich łuczników i zastanawiała się, czy któryś mógłby napiąć łuk dla sportu lub zabawy. Fakt, że przyszła jej do głowy taka myśl, oznaczał tyle, że widząc dzieci na odkrytym terenie, bała się o nie. Stanowczo do zbyt wielu śmierci doszło już na tym brzegu. Agarysta starała się nie patrzeć na trupy kołyszące się w swoim strasznym, szyderyczym tańcu. Z ich otwartych ust wypływała woda. Niektórzy mieli greckie chitony, inni zaś splecione na perską modłę brody i czarne, namaszczone olejem włosy, których nie miała się nawet słona morska woda.

– Myślę, że powinniśmy jak najprędzej stąd odejść – powiedziała. – Persowie mają łuczników na okrętach. Nie chcę, żeby obrali was sobie za cel albo

machnęli wiosłami, żeby przybić do brzegu.

Była to całkiem nowa myśl, która przejęła ją dreszczem strachu. Ksantyppos zostawił na Salaminie grupkę hoplitów, których i tak nie miał wielu. Nie wiedziała, czy wystarczyłoby ich, gdyby któraś załoga rzeczywiście postanowiła lądować.

Perykles wpatrywał się w oczy psa, nie bacząc na matkę i jej niepokój.

– Ruszaj stąd, Peryklesie. *Już!*

Zawsze ignorował pierwsze wezwanie, jakby trzeba było kilku powtórzeń, aby otworzyć mu uszy. Szczerze mówiąc, chłopak doprowadzał ją do szału.

– Chodź, Peri – rzucił Aryfron.

Perykles mruknął w odpowiedzi coś, co sprawiło, że Aryfron poczerwieniał z gniewu. Nikt na świecie nie potrafił wyprowadzić z równowagi jej starszego syna tak skutecznie jak Perykles, gdy nie zwracał na niego uwagi. Jego brak uprzejmości wobec matki też zdawał się obrażać Aryfrona, jakby to on był drugim rodzicem. Agarysta przemówiła, żeby uprzedzić kolejny argument albo, gorzej, ich bójkę na oczach ateńskich kobiet patrzących z wydm i z urwiska.

– Konis nie żyje, Peryklesie. Bardzo mi przykro. Chodź, zanim skusisz któryś z tych okrętów do wylądowania.

Jej syn spojrzał w górę złym, dzikim wzrokiem.

– Chciałem go powstrzymać. Mówiłem ci, że utonie. Mówiłem ojcu! Konis nie dał za wygraną, a teraz...

Ku jej zaskoczeniu syn nagle zaszlochał, zanurzając twarz w fałdach skóry na psim pysku. Agarysta nie miała pojęcia, że tak kochał tego zwierzaka.

– Przepraszam – powiedziała już łagodniej. – Ale nic nie możemy dla niego zrobić. Nie podobają mi się te ciała, Peryklesie. Chodźmy stąd.

Podniósł się i jeszcze raz spojrzał pod nogi na zmokłego psa. Konis zagubił się w panującym zamieszaniu wśród tłumu, a potem skoczył do wody, by popłynąć za okrętem swego pana. Wydawało się to trywialne w obliczu szalejącej śmierci i zniszczenia, w zestawieniu z tym wszystkim, o co toczyła się gra, a jednak w niepojęty sposób poczuła napływające do oczu łzy.

Co najdziwniejsze, widok płaczącej matki najwyraźniej uspokoił Peryklesa. Wziął ją za rękę i wrócili na swoje miejsce na klifie, wspinając się razem, całą rodziną. Nikt go nie zajął, zauważyła Agarysta. Wciąż miała należny sobie status, pomimo piasku na ubraniu i pustki w żołądku.

Kiedy usiedli, Perykles po chwili znowu stanął nad urwiskiem, ale ona nie napomniała go już za to. Powietrze było czyste i miało słony smak. Wszyscy

widzieli w dole brązowy kształt psa, pływający z dala od reszty trupów jak bezwładna kłoda.

Jej wzrok powędrował w stronę słupa dymu, gdzie wciąż płonęły Ateny.

– Może wszystko zakończy się tutaj – szepnęła do siebie. Nie chciała, by ją usłyszeli, ale Perykles jakoś wyłowił jej słowa. Potrząsnął głową.

– Nie – powiedział. – Nasze załogi i hoplici rozgromią Persów. Nie zawiodą. Są w końcu Ateńczykami.

Patrzył na nią, czy ośmieli się zaprzeczyć. Agarysta tylko skinęła głową.

W oddali perskie formacje zaczęły powoli zmieniać szyki. Ich ruch był inny niż zwykle bitewne ruchy floty i z początku trudno było zrozumieć, co się dzieje. Galery, dotąd długo pozostające w miejscu i gotowe przystąpić do walki, nagle powiosłowały w inną stronę. Z tej odległości wyglądało to jak ruch piasku zmywanego falą albo nagły odlot roju pszczoł.

Agarysta zamilkła, zastanawiając się, co to może znaczyć. Wolno się podniosła wraz z innymi ateńskimi kobietami i dziećmi i patrzyła na okręty w zgodnym szyku odpływające od wejścia do cieśniny. Ich wiosła pozostawiały na wodzie biały ślad. Eleni i Perykles patrzyli na matkę, spodziewając się wytłumaczenia, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Agarysta mogła tylko zagryzać wargi, gdy niemal połowa perskiej floty, oddzieliwszy się, zaczęła opływać Salaminę.

## 5

Przekazywanie rozkazów pośrodku szalejącej morskiej bitwy byłoby zupełnie niemożliwe, gdyby nie innowacje wprowadzone przez Ksantypposa. Natychmiast po powrocie z wygnania zrozumiał, że flota sprzymierzonych jest zbyt wielka i zbyt nieruchawa, by móc dowodzić nią z jednego okrętu. Spartański dowódca Eurybiades może i nazywał się nauarchą, ale jego rozkazów słuchały tylko triery spartańskie, a i tak rozkazy te często nie docierały do nieustannie pozostających w ruchu spartańskich kapitanów. Dopiero Ksantyppos wprowadził flagi sygnałowe i mianował dowódców formacji. Nawet wtedy musieli jednak udawać, że Spartanin wciąż jest głównodowodzącym, a przynajmniej było tak do chwili, gdy Eurybiades wydał flocie rozkaz opuszczenia Aten i wycofania się na Peloponez.

Owej nocy, przed tygodniem, Temistokles z widoczną niechęcią powiedział zgromadzeniu dowódców, że tego rozkazu słuchać nie zamierza. Zamiast tego Ateny mają być ewakuowane, a cieśnina broniona. Poinformował rozwścieczonego Eurybiadesa, że spartańskie okręty mogą sobie płynąć, dokąd zechcą, ale niech wie, że jeśli Salamina nie zatrzyma Persów, to morze stanie przed nimi otworem aż do samego Peloponezu, gdzie leżą Sparta i Korynt. Kilkanaście spartańskich jednostek nie powstrzyma ośmiuset, chyba że będą walczyć razem z główną flotą.

Temistokles wypowiedział Eurybiadesowi posłuszeństwo tak łagodnie, jak tylko się dało, ale też tak, że nie było miejsca na żadne nieporozumienie. Ateny dały dwieście trier z załogami, w których byli wolni ludzie i wyzwoleni niewolnicy, wszyscy, którzy mogli siedzieć na ławkach i wiosłować, dopóki serce im nie pęknie. W porównaniu z okrętami Sparty, a nawet czterdziestoma załogami z Koryntu, mężczyźni z Aten *tworzyli* flotę. Temistokles obserwował czarną flagę powiewającą nad pokładem, długi pas płótna rozpięty na dwóch doryckich włóczniach. Gdy ją dostrzeżono, zaczęto przekazywać sobie wiadomość. On i Ksantyppos uzgodnili między sobą ten sygnał, ale miał on się pojawić tylko wtedy, gdyby nie było żadnej innej możliwości. Czekał więc, podczas gdy ludzie z jego okrętu starali się przez jakiś czas unikać walki. Nie

było to łatwe zadanie, gdy tak wiele perskich załóg czyhało, by ich zniszczyć. Przed wywieszeniem flagi Temistokles wezwał sześć ateńskich okrętów do swego boku i kierował nimi jak małą eskadrą w sposób, jaki opisał wcześniej Ksantyppos. Gdy tylko jakaś wroga galera podpływała zbyt blisko, atakowali ją w grupie. Była to skuteczna taktyka i Temistokles zdążył staranować dwa perskie okręty w czasie oczekiwania na odpowiedź. Nikt nie wypłynął, gdy perskie galery obróciły się do góry dnem, ukazując niebu kadłuby. Wioślarze w nich byli przykuci do wiosł, a wojownicy mieli na sobie zbyt ciężkie zbroje, by wydostać się na powierzchnię.

Czuł, jak w miarę upływu czasu coraz mocniej bije mu serce. Wojna na morzu toczyła się znacznie wolniej niż na lądzie. Pod jego stopami wioślarze odchylali się w ławach, spalali albo siorbali z miseczek fasolową potrawkę i popijali rozcieńczonym winem, podając sobie w koło skórzane bukłaki.

Temistokles już zaczynał się niepokoić, gdy wreszcie ujrzał zmiany w ustawieniu okrętów przed sobą. Ksantyppos nie był jego przyjacielem, zwłaszcza po powrocie z wygnania. Ale ufali sobie nawzajem, szczególnie w obliczu wroga. Gdy Ateny płonęły, odłożyli na bok wszystkie animozje. Ksantyppos nie był jednak pierwszym dowódcą, który odpowiedział na sygnał.

Temistokles dostrzegł zbliżającą się grupę trier. Płynęły równo niczym jeden okręt, jak rekin tnący wodę pełną ciał i drewnianych szczątków. Rozpoznał młodego człowieka na przednim pokładzie. Kimon stał przy wysokim dziobie na lekko rozstawionych nogach, uginając je wraz z opadaniem i wznoszeniem się okrętu. Strateg odziedziczył zdolności dowódcze ojca, choć może lepiej byłoby mówić o bogactwie i rodowym nazwisku. Ale nie, to nie byłoby sprawiedliwe, pokajał się w duchu Temistokles. Kimon poruszał się dobrze, stał pewnie, ważył słowa, zanim coś powiedział. Nieważne, dzięki czemu zyskał autorytet. Skoro ludzie go słuchali, to się liczyło.

Prawdę mówiąc, nie miało wielkiego znaczenia, co Temistokles sądził o swoich towarzyszach, przynajmniej nie podczas walki, nie wtedy, gdy ich rodziny patrzyły na nich z tej jałowej wyspy. Na tę myśl Temistokles zagryzł wargi. Czy na Salaminie w ogóle była woda? Żywność? Chyba nigdy tam nie był, choć setki razy łowił ryby wokół wyspy. Za wąską cieśniną oddzielającą ich od Aten było to jedyne możliwe schronienie, gdy perska flota dopłynęła do wybrzeża. On i inni uratowali swoich bliskich, choć możliwe, że tylko na jeden dzień. Temistokles marzył, żeby istniała jakaś szansa ucieczki stamtąd, ale to była tylko wyspa, która równie dobrze mogła stać się dla nich więzieniem...

Gdy podpłynął Kimon, obaj zauważyli zbliżającego się Ksantypposa. Trzej Ateńczycy zamienili swoje okręty w rodzaj tratwy, zwartej ciasno pośrodku cieśniny. Ich zaufane załogi wypatrywały nagłego pojawienia się nieprzyjaciela. Wokół szalała bitwa, a flota sprzymierzonych cierpiała z powodu wyłączenia z walki trzech swoich dowódców.

Temistokles poczuł rosnące napięcie, gdy Ksantyppos zbliżył się do skraju jego pokładu. Zastanawiał się, czy ten słynny pływający most Kserksesa, złożony z powiązanych okrętów, łączący brzegi Hellespontu, zbudowany był w taki sam sposób. Wyobrażał sobie długi wąż złożony z setek galer, po których szerokich pokładach przeszła w swoim marszu na zachód cała perska armia.

Sternicy Kimona dopłynęli z drugiej strony. Temistokles znalazł się pośrodku. Bez ostrzeżenia Kimon przeskoczył na jego otwarty pokład. Wylądował sprężysto tuż obok niego. W jego wykonaniu cały ten niebezpieczny manewr wyglądał na bardzo łatwy.

Ksantyppos nie przeskoczył na drugi okręt. Mając posiwiałe skronie i charakter naznaczony gorzkimi doświadczeniami, nie chciał się narażać na kpiny młodzieży. Temistokles zauważył, że ma obwiązane ramię. Co gorsza, na jego obrzmiałym czole widniał zawiązany na węzeł opatrunek zakrywający ślad po jakimś uderzeniu. W pokładzie okrętu tkwiły ułamane brzeszczoty strzał, stercząc jak łodygi jakiegoś dziwnego zielska. Strateg odwzajemnił jednak jego spojrzenie, nie użalając się nad sobą. Wszyscy tego dnia brali udział w bitwie, zabijając innych mężczyzn, rozbijając perskie okręty i zdobywając je abordażem.

W Ksantypposie nie było śladu cierpliwości. Przybył na wezwanie sygnałowej flagi. Pytając poderwał podbródek, nie mogąc się doczekać powrotu do walki.

– No cóż, ojczulku, jestem – rzucił Kimon, stając przy nim.

Temistokles spojrział na młodego mężczyznę, poirytowany tym mianem. Nie był przecież taki stary! Choć nie dało się ukryć, że dobrze znał też ojca Kimona. Odetchnął głęboko i zwrócił się do Ksantypposa, którego okręt unosił się i opadał na falach, za każdym razem odrobinę później niż okręt Temistoklesa.

Niełatwo mu było wypowiedzieć te słowa, trudniej, niż myślał. Z wahaniem przełknął ślinę.

– Posłałem wiadomość do perskiego króla Kserksesa – powiedział głośno.

Ksantyppos przedtem wyglądał srogo. Teraz jego brwi uniosły się w wyrazie bezgranicznego zdziwienia.

– Zrobiłeś co? Nie pytając mnie?

– Jaka była ta wiadomość, starszku? – zapytał Kimon.



W jego tonie był jakiś chłód, a Temistokles zauważył też, że dłoń tamtego powędrowała ku rękojeści krótkiego miecza u pasa. Temistokles przygarbił ramiona, przyjmując bardziej obronną pozycję. Mocno wparł się nogami w deski pokładu. Uprawiał pięściarstwo i zapasy od najwcześniejszej młodości. Nieważne, jak młody był Kimon i jak zdolnym był dowódcą, Temistokles wiedział, że jeśli wyciągnie broń, on wrzuci go do morza.

Więcej lin uderzyło o pokład u jego stóp. Jego hoplici przyciągnęli galere Ksantypposa bliżej, burty zaczęły się ocierać, a strateg zdołał przejść jednym krokiem na pokład Temistoklesa, który poczuł się nagle przytłoczony nadmiarem ludzi na własnym okręcie.

– No więc, Temistoklesie? – zapytał Ksantyppos. – Powiesz nam, co zrobiłeś?

Stanęli z Kimonem po jego bokach, jakby mieli do czynienia z wrogiem. Ten zastanawiał się, czy w razie ataku jego załoga przyjdzie mu z pomocą.

– Posłałem do niego chłopca okrętowego, tam, na brzeg, skąd Kserkses przygląda się bitwie, jakbyśmy byli atletami na igrzyskach olimpijskich. Napisałem, że jesteśmy skłonni się poddać...

Przerwał, gdy Kimon parsknął z wściekłością i sięgnął ku niemu jedną ręką, a drugą złapał za miecz. Temistokles odwrócił się plecami do Ksantypposa, ufając jego dojrzałej postawie i długim latom znajomości. Złapał Kimona za nadgarstek i przytrzymał. Szansa chwycenia go też za nogę i wrzucenia do wody przysła, gdy Ksantyppos przyciągnął swój okręt tak blisko, że aż skrzypiały burty. Ku swemu zdziwieniu Temistokles poczuł, że Kimon jest silniejszy, niż sądził. Czuł, że nie zdoła go długo utrzymać, przemówił więc prędko:

– Powiedziałem Kserksesowi, żeby wziął połowę swojej floty i opłynął Salaminę, a wtedy my będziemy zmuszeni się poddać.

– Zdrajco – rzucił Kimon. – Tak na oczach wszystkich naszych ludzi? Zatkne sobie twoją głowę na dziobie.

– Milcz, szczeniaku! – warknął Temistokles. – Jeżeli Kserkses to zrobi, rozdzieli swoją flotę, rozumiesz? Może zechciałbyś użyć trochę tego rozumu, który odziedzyczyłeś po swoim prawdziwym ojcu. Nie zdołamy wygrać, kiedy jest ich tak dużo, kiedy rzeczy mają się tak jak teraz. Ścierają nas jak żelazo na kamieniu, aż całe zniknie! Ksantypposie, powiedz coś, zanim chłopak zabije mnie w złości.

Temistokles musiał odstąpić, gdy Kimon wyszarpnął miecz z pochwy. Młody człowiek okazał się jednak nieodrodnym synem Miltiadesa, który walczył pod Maratonem u boku Ksantypposa i Temistoklesa. Nie dał się ponieść szaleństwu. Spojrzał na stratega.

Temistokles ukradkiem rozmasowywał wykręcone przez młodzieńca palce.

– Temistoklesa można różnie nazywać, Kimonie – powiedział Ksantyppos – ale mimo wszystko nie wierzę, że jest zdrajcą. – Przez chwilę patrzył w stronę wejścia do cieśniny, gdzie przynajmniej połowa perskiej floty wciąż czekała, żeby wpłynąć i włączyć się do bitwy. Potem spojrzął na Temistoklesa. – Aczkolwiek wątpię, czy zdoła zabezpieczyć swoją przyszłość, nawet w środku tej wojny. Jeśli Kserkses pójdzie za twoją radą i wygra, to czy spojrzy na ciebie łaskawym okiem, Temistoklesie? Wyobrażam sobie, że tak.

– Jeśli przyjmie moją ofertę, rozdzieli flotę – rzucił Temistokles. – Tylko to się liczy. Wypróbowywaliśmy nowe okręty, pływając wokół Salaminy. O ile dobrze pamiętam, opłynięcie całej wyspy zajmowało nam jeden dzień. Osiem albo dziesięć godzin. Tyle czasu da nam wielką szansę... a wtedy to ty będziesz mi wdzięczny, Ksantypposie.

– *Ja* mam być ci wdzięczny? – mruknął cicho strateg. – Człowiekowi, który wygnał mnie z Aten?

– Człowiekowi, który ściągnął cię z powrotem, choć prawdę mówiąc, musiałem w tym celu nakłonić połowę zgromadzenia! – odparł Temistokles, wysunąwszy zaczepnie szczękę.

Spośród nich to Kimon miał najbystrzejszy wzrok. Kiedy ci dwaj się kłócili, on nagle zeszywniał. Ku zaskoczeniu towarzyszy złapał Temistoklesa za ramię, obrócił go i wskazał w dal wolną ręką.

– Patrz tam! – rzucił. – Złapali twoją przynętę, Temistoklesie. – Spojrzął na niego z podziwem, nie nazywając go już kpiąco „ojczulkiem” czy „staruszkiem”.

Czekające poza zgiełkiem bitwy setki okrętów oderwały się od głównych sił i zaczęły wiosłować na południe. Temistokles patrzył za nimi jak w malignie, nie mogąc uwierzyć, że nie zatrzymują się nagle, by zniweczyć jego nadzieje. Cała trójka Ateńczyków odczekała jeszcze chwilę, aż perskie galery wyraźnie skręciły za Salaminę i nie było już wątpliwości, że Persowie podjęli sugerowany manewr.

– Nie mogliśmy wcześniej mieć nadziei na pokonanie tak licznego wroga, Ksantypposie! – powiedział Temistokles. – Ale teraz? Mamy osiem albo nawet dziesięć godzin, a jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, nawet do jutra rana. W tym momencie, jeżeli rzucimy wszystko, co mamy, przebijemy się przez tych, którzy zostali. Niech Atena i Posejdon czuwają, by się nam udało.

– Bardzo dobrze – stwierdził Ksantyppos.

Skinął głową, rozważając sposobność, jaką dał im ten podstęp. Kserkses wycofał z bitwy świeże okręty. Jeżeli uda się zwyciężyć, zanim powrócą do

walki, to nie będzie już miało znaczenia, z której strony się pojawią. Istniała szansa zdobycia przewagi i to Temistokles ją dla nich stworzył.

Szybko uściskał dłonie dwóm pozostałym. Nie potrzebowali słów i nie trzeba było im przypominać, o jak wielką stawkę toczy się gra. Ich ludzie patrzyli, a perskie okręty wciąż roily się w cieśninie jak krewetki.

Ksantyppos odwrócił się i rażnym krokiem przeszedł z powrotem na swój pokład, z niewielką pomocą podtrzymujących go hoplitów. Keleustesowie na obu okrętach słyszeli każde słowo. Gdy tylko Ksantyppos ponownie objął dowództwo na swojej tryerze, keleustes krzyknął do wiosłarzy, by byli gotowi. Spod pokładu dobiegł łomot wiosła.

– Luzujcie liny! – ryknął Temistokles. – Jest rozkaz atakować! Przekażcie to dalej. Każdej grupie i wszystkim okrętom. Bez wytchnienia! Nikt się nie zatrzyma, zanim nie będzie po wszystkim. Słuchać rozkazów! Żadnego zmiłowania, żadnej litości. Wytrwale, aż do zwycięstwa.

Kimon przeskoczył na swoją galerę, jego ludzie rozdzielili okręty, odpychając je włóczyniami, i zwinęli liny na pokładzie w wielkie pętle. Między trzema galerami ukazała się ciemna woda, a opuszczane wiosła ponownie zagrzechotały. Załogi obserwowały ten zabieg z uwagą. Wrogowie nadal tłoczyli się w wejściu do cieśniny. Trzy greckie formacje, posłuszne rozkazom, uformowały szyk i ruszyły przeciwko nim, a po drodze dołączały do nich kolejno pojedyncze okręty. Temistokles i Spartanie utworzyli prawe skrzydło złożone z sześćdziesięciu trier. Ksantyppos zajmował środek z podobną liczbą okrętów. Kimon zebrał rozproszonych czterdziestu Koryntczyków i dołączył ich do własnej dwudziestki, obsadzając kilkoma liniami okrętów lewe skrzydło. Zagarniali za sobą załogi tych trzydziestu małych sprzymierzonych miastpaństw, które wciąż pływały, rozproszone, przetrzebione i zmęczone. Rozkazy przekazywano z okrętów krzykami, ale były one proste: atakować w formacjach, zanim reszta Persów opłynie Salaminę. Był to wyścig z czasem i Grecy, wiosłując albo pochylając się na wietrze, mamrotali modlitwy.

\* \* \*

Na brzegu Kserkses z rosnącym niepokojem obserwował przemierzające się masy okrętów. Podniósł się ze swego krzesła i stał, podczas gdy cała grecka flota była coraz bliżej, posuwając się w uporządkowanych formacjach. Mknęła w rozbryzgach białej piany, zostawiając za sobą potrzaskane kadłuby i niezliczonych zabitych. Widział, jak niektórzy z jego kapitanów próbują zejść z drogi tej zwartej linii galer. Inni usiłowali się przez nią przebić, co jednak

znaczyło, że przy zwrotach odsłaniaли Grekom burty. Perskie okręty poruszały się nerwowymi skokami i manewrami, niezdolne stawić czoło zwartym formacjom przeciwnika i nie mając czytelnych rozkazów.

Król patrzył w przerażeniu, jak jego flota zostaje rozbita przez nieprzyjaciela mniej licznego, który w jakiś niepojęty sposób dokonał tego niezwykłego wyczynu. Dzięki swoim bogom, którzy wpadli w szaf? Przez dym, który wypełniał powietrze nad Atenami? A może sprawił to widok ich rodzin, które czekały na wyspie za cieśniną? Nie wiedział. Grecy przedtem walczyli desperacko i bezradnie. W ciągu godziny coś się zmieniło.

Kserkses spojrział na zachód w rozpaczliwej nadziei, że stanie się cud i jego trzysta wojennych okrętów pojawi się nagle w głębi cieśniny. Słońce na zachodzie zeszło już nisko i musiał osłonić oczy przed czerwono-złocistym światłem. Wody po tamtej stronie były puste, nie licząc unoszących się zwłok i szczątków. Opadł ciężko na krzesło, czując nagle miękkość w kolanach.

Temistokles zawył z satysfakcją, gdy w powietrzu wokół niego zawirowały drzazgi. Odgłos był jak uderzenie pioruna, a teraz ujrzał Persów biegających w panice po pokładzie. Niektórzy próbowali przeskoczyć nad wodą na jego pokład, gdy okręty otarły się o siebie. Zostali natychmiast zabici przez zaprawionych w boju hoplitów albo zepchnięci tarczami na ostre kikuty połamanych wiosł. Po zderzeniu zalały ich bryzgi wody. Zimne piekło ostrych odłamków i trzaskających desek wbiło się jak zęby w perskich wiosłarzy.

Temistokles zbił mieczem odłamany kawał drewna, który odskoczył skądś i wirując, nadleciał ku niemu jak wróbel. Zanim minęli perską galerę, jego spiżowy taran połamał ławki wiosłarzy, druzgocząc im kości, kalecząc i unieszkodliwiając. Temistokles słyszał ich wrzaski w masie strzaskanego drewna, miażdżonych naporem wdzierającej się wody... i radował się tym. Potrójna formacja poczyniła straszliwe szkody, posyłając na dno dziesiątki okrętów. Widział, jak jedna z perskich galer wywróciła się do góry kadłubem, gdy jej kapitan, wymykając się Grekom, wykonał zbyt ostry zwrot. Wiosła po jednej stronie zanurzyły się zbyt głęboko i cały okręt poszedł na dno nietknięty taranem. Nieważne, jak do tego doszło. Tamci w środku utonęli tak samo jak inni.

Losy bitwy się odwróciły, ale jej skutki wciąż jeszcze trudno było ocenić. Temistokles nie mógł uwierzyć, że tak wielki chaos spowodowali w perskich liniach ani że tak dobrze on, Kimon i Ksantyppos współdziałali, gdy rozkaz był prosty, a strategia jasna. Doznał dzikiej rozkoszy, gdy kolejny pozbawiony wiosł perski okręt zatonął. Osiem spartańskich okrętów płynęło jego śladem,

a on miał nadzieję, że na jednym z nich, pod czerwonymi znakami, znajduje się sam Eurybiades i patrzy na wpływ ateńskiego dowodzenia, ateńskiego srebra, ateńskiego sprytu!

Zerknął na brzeg i ujrzał wyraźnie, jak młody król podniósł się ze swego krzesła i wyszedł na zewnątrz pawilonu, który wzniesli dla niego żołnierze. Na Aresa, pomyślał, czy gdyby miał łucznika wartego swojej ceny, to czy zdołaliby podплыnąć dostatecznie blisko brzegu? Kserkses z pewnością by się cofnął, dostrzegłszy zagrożenie, ale może wcześniej udałoby się posłać choć jedną strzałę? Myśl była kusząca, ale Temistokles w końcu pokręcił głową i zaśmiał się ze swoich szalonych pomysłów będących skutkiem zmęczenia. Upojony przewagą miał ochotę krzyczeć, śmiać się i płakać równocześnie.

Umilkł, gdy zaczął rozważać kolejny plan. Oto on wraz ze swoją flotą w ciągu kilku godzin rozbił tyły przeciwnika. Słońce świeciło złotawo na zachodnim widnokręgu, lecz światło powoli zmieniało się w purpurę i szarość, posyłając przed siebie długie cienie. Zostało jeszcze około setki perskich okrętów, a prawdę mówiąc, tempo było coraz wolniejsze.

Wioślarze byli tylko ludźmi. Nie liczyło się już nic, ani walka, ani krzyki keleustesów, żeby dali z siebie wszystko, musieli po prostu odpocząć albo umrzeć. Niektórzy byli już tylko cieniem samych siebie, gdy tak wiosłowali niezmordowanie, z zapadłymi w głąb czaszki oczyma. Nie, Temistokles potrzebował czegoś innego, czegoś, co zapewniłoby im odrobinę odpoczynku, zanim druga część floty wielkiego króla wyłoni się z głębi cieśniny, żadna krwi i zemsty chociażby z powodu tego, jak się nią posłużono.

Potał szczękę, czując zarost, który zdążył już nieco odrosnąć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł. Czy tego dnia o brzasku razem z wioślarzami? Musiał zarządzić kolejną przerwę, żeby mogli znów opróżnić miseczki z potrawką... Uśmiechnął się na myśl o własnej zuchwałości, gdy dotarło do niego, co zamierza zrobić.

Spojrzał ku rufie, gdzie leżały zwinięte, gotowe do użycia flagi sygnałowe. Nie, nie było już czasu na przywoływanie Ksantypposa i Kimona, ale pewnie i tak nie zgodziliby się przybyć w tak krytycznej chwili, u progu zwycięstwa. Po długiej walce Grecy w końcu zyskali przewagę. Każda chwila ją zwiększała, gdy przygważdżali perskie okręty, pozostawiając za sobą jedynie te tonące. A jednak szybkość natarcia malała. Patrząc krytycznym okiem, zauważał, że wiosła zaczynają zahaczać o siebie i słabo zanurzają się w morzu. Było tak, jakby znowu stał pod Maratonem, patrząc, jak szereg nieprzyjaciela łamie się i drży i wazą się losy całodziennych zmagania.

Zacisnął zęby. Było teraz coś, co musiał zrobić sam, aby ich uratować, niezależnie od tego, czy to docenią, czy nie. Rozejrzał się za chłopakiem, którego posłał poprzednio, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że Persowie go nie odesłali. Temistokles posłał krótką modlitwę w jego intencji, mając cichą nadzieję, że puścili go wolno.

– Dajcie mi jednego wiosłarza, który umie pływać. I rozpalcie znowu piecyk... potrzebuję też trochę wosku i papirusu. Mam drugą wiadomość do wysłania.

Niektórzy z załogi słyszeli jego rozmowę z Ksantyposem i Kimonem. Wiedzieli doskonale, co zrobił i jakie ryzyko podjął, żeby doprowadzić ich do tego etapu. Ku swemu zdziwieniu Temistokles usłyszał, jak chichoczą między sobą i szepczą, że pewnie ma nowy plan. Byli jak dzieci w dniu świątecznym, poklepywali się po ramionach i przywoływali wiosłarza. Temistokles odetchnął głęboko, próbując się opanować. Pierwszy list odesłał połowę perskiej floty. Drugi musiał być arcydziełem perswazji, jeśli w ogóle miał coś zdziałać.

## 6

Ciemność przyniosła ze sobą lęk, jaki często odczuwał w dzieciństwie. Kserkses przechadzał się tam i z powrotem przed wejściem do pawilonu, słuchając chrzęstu piasku pod stopami. Daleko za jego plecami migotał poblask wciąż płonących Aten. Wody cieśniny również połyskiwały w księżycowej poświacie. Mimo to zniknął cały nastrój spokoju i wyciszenia, jaki towarzyszył mu wcześniej. Czując strach, bezwiednie miał fałdy szaty.

Nie było śladu po statkach, które wysłał wokół Salaminy. Zanim zapadła ciemność, posłał jeszcze swoich ludzi wzdłuż brzegu, aby ich wypatrywali. Nie przynieśli żadnych wieści o wiosłujących okrętach. Kserkses błogosławił imię Temistoklesa za próbę wcześniejszego zakończenia bitwy, ale koszt był jednak zbyt wysoki.

Daleko na wodzie umilkł odgłos pracujących wiosł i bitewny zgiełk ucichł niemal zupełnie. Nawet w blasku księżyca nikt nie był w stanie wiosłować z taką szybkością, by taranować inne okręty, nie mając przy tym pewności, że dostrzeżony ciemny kształt nie jest własną jednostką. Nie mogli też naprawdę odpocząć z obawy, że wrogowie przeskoczą na ich pokład i wymordują podczas snu. W godzinach nocnych nie było rozejmu. Od czasu do czasu słychać było jednak krzyk i odgłos zderzenia, któremu towarzyszyły gniewne greckie i perskie wrzaski. Na tych głębokich wodach rządził strach. Najczęściej uciekano się do unikania walki przez ruch wiosł wstecz i zniknięcie w ciemnościach.

Wiele okrętów rzuciło kotwice w pobliżu brzegów Salaminy, aby rozpląnąć się na ciemnym tle wyspy. Ich załogi chrapały, pozostawiając tylko nielicznych ludzi na wachcie. Tłumy na wyspie wciąż trwały stłoczone jak mewy na wydmach i urwiskach. Niektórzy zasypiali, wycieńczeni długim wypatrywaniem.

Na brzegu w pobliżu portu w Pireusie, z widocznym w oddali mglistym żarem Aten, czekał Kserkses, do którego sen nie chciał przyjść. Nieśmiertelni czuwali na nabrzeżach i wydmach, wpatrując się w głąb cieśniny. Cała reszta armii spała twardo po wielu dniach ciężkiego marszu i burzenia murów.

Kserkses splótł ręce za plecami i kołysał się na piętach, nieświadomie naśladować ojca. Widział już zbyt wiele zatopionych perskich galer, aby odczuwać jakąkolwiek satysfakcję. Mniej niż sto okrętów pozostało pod Salaminą. Straty w ludziach i majątku były niewyobrażalne. Grecy w walce na morzu okazali się straszliwym przeciwnikiem, jakby w ich żyłach zamiast krwi płynęła słona woda. Potrząsnął w ciemnościach głową, jakby chcąc odegnać czające się w nich zło. Nie potrafił zliczyć tysięcy tych, którzy tego dnia utonęli lub zostali zabici z jego imieniem na ustach. Ich lojalność przepełniała go dumą. Pragnął tylko, by ojciec mógł dożyć tej chwili, by zobaczyć ich poświęcenie. Kserkses wiele się dowiedział tego dnia. Przede wszystkim że flota jest czymś więcej niż tylko środkiem do przewozu ludzi i koni. Flota mogła walczyć jak ławica ryb, atakując, uderzając i wycofując się.

Grecy mieli taktykę i strategię, jakich nigdy wcześniej nie widział. Ani żaden z jego kapitanów. Dziwne flagi sygnałowe, które działały jak na polu bitwy, przywołując okręty, a nawet odsyłając je daleko, do jakichś odległych sektorów. Kserkses uniósł dłoń w gwałtownym geście i machnął nią w powietrzu, gdy tak wspominał i przeżywał doznane upokorzenia. Jęknął głośno. Nie był swoim ojcem! Sen nie przyjdzie do niego tej nocy. Nie zazna spokoju.

Z pewnością Grecy wiosłowali i walczyli do zupełnego wyczerpania. Trudno było stwierdzić, czy wycierpieli tyle samo, co jego kapitanowie. Kiedy pogrupowali się w trzy wielkie formacje-włócznie, bitwa zaczęła przybierać zły obrót, jakby jacyś rybacy przeciągali pod wodą trójzębem. Na jego oczach stali się nagle sprawniejsi i bardziej pewni siebie, zmieniając jego flotę w krwawą miazgę. Winien im był zemstę, na Ahura Mazdę i na miłość aniołów. Należała im się.

To jeszcze nie koniec, powiedział sobie w duchu, choć przygniatała go rozpacz. Jeśli brzask ukáže drugą część jego floty nadciągającą cieśniną, Grecy wciąż jeszcze mogą się poddać. Kserkses wyobrażał sobie, jak okaże im miłosierdzie, o którym rozmawiał już z Mardoniuszem. Może walczyli tak zaciekle pod presją grożącej im niewoli. Kiedy pies gryzie rękę trzymającą go za kark, trudno nie docisnąć go do ziemi, żeby pokonać jego opór z taką siłą, że albo się podda, albo umrze. Kserkses miał na to wielką ochotę, a marzenia o zemście rosły w nim jak dziko rozkrzewiające się pędy. Z pewnością spali ich okręty razem z załogami, gdy już się poddadzą. Uczyni to dla pouczenia tych, którzy patrzą z wydm i urwisk Salaminy. Król widział ich przez cały dzień po drugiej stronie cieśniny, jak machali rękami, wspierając i zagrzewając walczących. Było to zachowanie niewybaczalne, zupełnie pozbawione godności.



Pomyślał, że uczyni z tych kobiet przykład, i ku swemu zdziwieniu poczuł podniecenie. Uczucie to minęło jednak równie szybko, jak się pojawiło, pozostawiając go zimnym i odrętwiałym.

Jak dziecku przejeżdżonemu miodem Kserksesowi przejadła się słodycz. Jedynie myśl o zmiżdżeniu wrogów potrafiła go teraz poruszyć, a było to wyobrażenie tak żywe, że bladł przy nim świat realny.

Przerwał swoje rozmyślenia, co przypominało puszczenie cugli dzikiego rumaka. Skrzywił się na widok nadchodzącego Mardoniusza. Wódz szedł w blasku księżyca w towarzystwie dwóch królewskich strażników oraz szczupłego herolda. Padli na twarz razem, jak rażeni piorunem. Kserkses odczekał chwilę, po czym dał im znak, by powstali.

– Nasz sprzymierzeniec z floty przysłał następny list, Wasza Królewska Mość – powiedział Mardoniusz. – Niestety twoi strażnicy zabili posłańca, myśląc, że jest szpiegiem albo zabójcą. Przynieśli mi jednak pakunek, który miał przy sobie. Wybacz, Wasza Wysokość, kazałem wychłostać odpowiedzialnych za to zabójstwo.

Jakąkolwiek irytację skrywał w duszy Kserkses, na wieść o liście minęła ona jak ręką odjął.

– Nie traktuj ich zbyt srogo – rzekł łaskawie. – Ich najważniejszym obowiązkiem jest dbanie o moje bezpieczeństwo. Wolę, żeby reagowali zbyt mocno niż zbyt słabo.

– Twoje miłosierdzie jest nieskończone, Wasza Królewska Mość. Dziękuję ci.

– Gdzie ta paczuszka od naszego przyjaciela Temistoklesa? – zapytał król. Ciągłe żywił nadzieję, nieważne, jak bezzasadną. Czuł, jakby jakieś straszliwe imadło zaciskało się mu na czaszce. Marzył o uwolnieniu się od tego nacisku, by ponownie ujrzeć prostą drogę, którą mógłby podążać.

– Oto ona, Wasza Królewska Mość – odezwał się Mardoniusz beznamiętnym tonem.

Wręczył papirus królewskiemu heroldowi. Jeden ze strażników, nie czekając na polecenie, podniósł pochodnię i trzymał ją w bezpiecznej odległości, aby światło padało na list. Palce tłumacza drżały, gdy zaczął czytać:

– „Do Jego Królewskiej Mości Kserksesa, władcy wszystkich... wiem, że moi kapitanowie pyszną się dzisiejszym sukcesem. Miałem nadzieję, że twoje okręty zdążą zablokować cieśninę przed zmrokiem, abym mógł poprosić o zgodę na kapitulację i zostać uhonorowany za swoje zasługi. Zamiast tego moi ludzie mówią o tym, by odciąć ci odwrót i zatrzymać cię tutaj. Opisują twój wielki most ze statków i twierdzą, że bardzo łatwo byłoby... – tu herold otarł pot

z czoła, patrząc na trzymaną w dłoni stronicę – ...zniszczyć coś takiego i zostawić twoją armię w Grecji bez zaopatrzenia. Blisko stu kapitanów zamierza wyrwać się stąd tej nocy i ruszyć w tym celu na wschód. Wasza Królewska Mość, mówię jako twój najbardziej lojalny sługa. Moje życie będzie skończone, jeśli dowiedzą się, że cię ostrzegłem. Wierzę, że wykorzystasz to, co powiedziałem, aby zaprowadzić pokój. Mam też nadzieję, że będziesz pamiętał, kto stanął po stronie imperium i twojej szlacheckiej rodziny. Temistokles”.

W miarę jak tłumacz czytał, Kserkses czuł narastający skurcz w żołądku. Na koniec zapadło grobowe milczenie.

– Rzeczywiście mogą to zrobić? – zapytał. – Mogą zniszczyć mój most z okrętów?

Mardoniusz zastanawiał się tylko przez chwilę. Było to śmiałe posunięcie, jak zatrzasknięcie drzwi za groźnym napastnikiem i uwięzienie go ze sobą w pokoju. Wyglądało na to, że Grecy byli bardziej pewni siebie, niż mu się zdawało. Zanim odpowiedział, zamknął na chwilę oczy, jakby nagle poczuł się chory.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość. Zostawiliśmy jeden bajwarabam na straży mostu, ale jeśli Grecy wezmą sto okrętów, to owszem, zdołają go rozerwać. Widzieliśmy już, co się dzieje, kiedy sztorm uderza w powiązane statki. Jeśli choć jeden się zerwie, reszta wije się jak bicz. Nie trzeba wiele, żeby zniszczyć taką morską drogę.

Kserkses poczuł nagły chłód, choć spocił się i krople potu zaperliły się na jego twarzy. Przyprowadził ze sobą flotę i armię największą z tych, jakie znał świat, ale Grecy nie ulegli. Stanęli w przesmyku termopilskim, morze biło o brzeg, a oni się nie poddali. Na morzu z każdym zatopionym przez siebie okrętem stawali się silniejsi, współdziałając, tworząc wielkie formacje w kształcie włóczni i topiąc jego ludzi... Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może nie uda mu się ich złamać, że może nie zwyciężyć. Koszmar ten stanął mu przed oczyma jak przepaść, on zaś drżał na krawędzi otchłani. Zawstydzony zwrócił twarz ku ciemności.

Mardoniusz milczał. Czekał na słowa króla, na jego rozkazy. Taka była królewska wielkość, a zarazem przekleństwo królewskiej krwi. Cokolwiek Kserkses postanowi, wykonają jego rozkaz. Gdyby zażądał, żeby Mardoniusz odebrał sobie życie, wódz wyciągnąłby sztylet i bez szemrania zrobił, co mu kazano. Jego los nakazywał służyć królowi, natomiast Kserkses nigdy się nie spodziewał, żeby jego los mógł być zagrożony. Myśl, że Grecy mogli konspirować, żeby zatrzymać go w swoim zasięgu, była niczym topór uderzający w korzenie jego władzy, niepokojąca i przerażająca. Mógł jedynie błogosławić

imię Temistoklesa, który go ostrzegł, stawiając jego dobro ponad dobrem współziomków. Podjął decyzję.

– Mardoniuszu, masz pod sobą armię złożoną z czterdziestu ludów: moich Nieśmiertelnych, oddziały Lidów, Medów, Egipcjan, Asyryjczyków, Persów najlepszej krwi... wszystkich plemion imperium. Moją elitę. Twój synowie są w ich gronie. Ty i oni... zasłużyliście na moje zaufanie pod każdym względem.

Mardoniusz zdecydował się paść ponownie na twarz, ukrywając w ten sposób lęk, jaki wzbudziły w nim wypowiedziane dziwnym tonem słowa. Nie wiedział, do czego młody król zmierza, ale się tego bał. Kserkses przemawiał niemal marzycielsko. Najwyraźniej Grecy podkopali jego wiarę w siebie, co rozdarło serce wodza. Mardoniusz również widział ostatni bój Greków pod Termopilami. Aż do tamtej chwili on i Kserkses nie sądzili, by perscy wojownicy mogli mieć sobie równych. To, czego byli świadkami w tamtych dniach, poruszyło ich obu.

– Powstań, Mardoniuszu – nakazał Kserkses. Powróciła mu pewność siebie. –

Nie mogę im pozwolić na rozerwanie mostu. Oto więc moje rozkazy: zachowujesz dowództwo całej armii i floty. Za miesiąc zimowe sztormy uniemożliwią powrót do domu. Lepiej dla mnie będzie wracać, niż dać się tu... złapać w potrzask. Tak, takie jest moje postanowienie. Wrócę do domu, żeby pilnować mostu i naszych ludzi tam, na miejscu. Będę dla nich królewską tarczą. A kiedy będzie po wszystkim, uhonoruję ciebie i twoich synów ponad wszelkie wyobrażenia. Przemawiaj moim głosem. Przynies mi zwycięstwo, a ja dam ci na własność całe miasto, Mardoniuszu. Przyrzekam w obecności świadków, że tak uczynię.

Mardoniusz zaniemówił. Wolał nie wchodzić w spór z najbardziej umiłowanym przedstawicielem Boga na ziemi. Kserkses cuchnął strachem, drżał w świetle księżyca jak dziewczyna w przeddzień zaślubin. Jego ojciec nigdy by nie uciekł, nawet w obliczu wielkiego zagrożenia! Wódz miał uczucie, jakby po pierwszych niepowodzeniach kampanii wyszła u króla na jaw jakaś wielka słabość.

Mardoniusz wiedział, że synowie potężnych ojców okazują się czasem niewiele wari. Jeden z jego synów nie był takim mężczyzną, jakim Mardoniusz chciałby go widzieć. Bardziej polegał na wpływach i pozycji ojca niż na sobie. Podobnie mogło być z Kserksesem, pomyślał. Zastanawiał się, jak to możliwe, żeby Dariusz aż tak pomylił się co do syna, zwiedziony jego manierami i pewnością siebie. Być może Kserkses zawsze był słaby. Wojna ujawnia prawdę o mężczyznach. Rzadko kiedy ich stwarza.

Zdawało się, że milczenie trwa całe wieki. Młody król zmarszczył brwi, patrząc na swego wodza niemal wyzywająco. Mardoniusz chciał coś powiedzieć. Patrzył jednak tylko, otwierając i zamykając usta, w miarę jak słowa wzbierały w nim i odpływały wraz z oddechem.

– Jestem posłuszny, Wasza Królewska Mość – powiedział wreszcie. W końcu przecież jedynie takich słów od niego oczekiwano. On jednak, pchnięty jakimś niezrozumiałym impulsem, mówił dalej, zapominając o ostrożności: – Przynajmniej spaliliśmy Ateny, Wasza Królewska Mość. To wielki triumf! Nasza armia nie została pokonana. Straciliśmy najwyżej dwadzieścia tysięcy ludzi w przesmyku. Proszę, pozwól mi wysłać do domu mego zastępcę Artabazusa! Niech *on* zabezpieczy okrętowy most. Błagam, byś nie pozbawiał nas światła swojej obecności, Wasza Królewska Mość. Jeśli zostaniesz, dam ci zwycięstwo, przysięgam.

Król nie odpowiedział i Mardoniusz poczuł przenikający go chłód, gdy zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Niezależnie od tego, jaką słabość czy tchórzostwo odkryli w Kserksesie Grecy, był on jednak wciąż wielkim królem, władcą czterdziestu ludów, a jego władza sięgała aż po krańce świata. Nie można było przeczyć jego słowom i Mardoniusz poczuł nagle, że jego życie zawisło na włosku. Padłszy na twarz, czekał, obejmując dłońmi głowę i dysząc w piasek. Po chwili dostatecznie dłużej, by wódz zrozumiał, że jego słowa nie spodobały się młodemu władcy, Kserkses pozwolił mu wstać.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia? – zapytał.

Mardoniusz pokręcił głową.

– Nie, Wasza Królewska Mość. Jestem posłuszny, jak powiedziałaś. Cokolwiek będę musiał zrobić, nie spocznę, aż Grecy będą błagali o rozejm.

– Jakżeż jestem szczęśliwy, mając cię na służbie! – powiedział Kserkses łagodnie, lecz w jego głosie czaiła się groźba. Usta wykrzywiły się gniewnie. –

Podjąłem decyzję. Król... rozkazuje to, co uważa za stosowne. Nie muszę patrzeć, jak wykonujesz moje rozkazy. Przywiodłem cię tutaj. Wypełnij powierzone ci zadanie! Zmusz ich do posłuszeństwa, Mardoniuszu. Chcę, żeby mnie popamiętali.

Król odwrócił się i ruszył drogą prowadzącą do miasta, nad którym w nocy świeciła luna. Nieśmiertelni podążyli za nim długą białą kolumną, a ich kroki dudniły bez echa na otwartej przestrzeni. Mardoniusz patrzył za nimi, czując, że wali mu się świat.

\* \* \*

Świt wstawał później niż latem, choć niebo pozostawało czyste, powietrze ciepłe i wiała łagodna bryza. Okręty kołysały się na kotwicy bliżej albo dalej od wyspy, na środku cieśniny. Światło było zrazu delikatne, szare, a ludzie budzili się, ziewając, po czym podchodzili do burt po kilkunastu naraz, żeby się wysikać. Inni, wciąż senni, dreptali na rufę i wypróżniali się do morza. W tym samym czasie cieśla z pomocnikiem podgrzewali grube kawały potrawki, odwijając kolejno zawinięte w płótno kostki twardej, wymieszanej z fasolą masy, bardziej przypominającej kamień niż pożywienie. Rozcieńczone świeżą wodą i posolone porcje mieszały w kociołku na piecyku. Nigdy nie było tego dość. Wioślarze jedli jak psy, wielkimi kęsami, które powodowały u niektórych kaszel i nagłe rumieńce. Byli wychudli, a pod zapadłą skórą widać było nabrzmiałe węzły mięśni.

Na pokład wytoczono ostatnie baryłki wody, cennej, upragnionej. Woda w jednej z beczulek zgniła i pełna była cienkich, wijących się robaków. Choć ludzie patrzyli i oblizywali suche wargi na jej widok, wylano ją za burtę. Resztę rozlewano z niewielką domieszką wina. Każdy z mężczyzn miał prawo wypić rano dwie pełne chochle, zanim nastał upał. Gdy wszyscy wypili, baryłki były niemal puste. Nikt nie spodziewał się, że pozostaną na morzu przez tyle dni. W normalnych czasach, płynąc wzdłuż wybrzeża, szukaliby na lądzie naturalnych źródeł, nawet takich, które wpływały do morza niewidocznie, pod jego powierzchnią. Świeżą wodę zwykle się wydobywało ze słonej wiadrami na linach. Miejscowi chłopcy zawsze rozpoznawali takie chłodne miejsca tam, gdzie kiedyś pływali jako dzieci.

Zesztywniali i obolali mężczyźni pojękiwali, siadając na wioślarskich ławkach, stłoczeni jak na zgromadzeniu. Rany i otarcia z poprzedniego dnia pękały i sączyły się, gdy umieszczali wiosła w dulkach. W rany i strupy wcierano świeżą oliwę, ale nie przynosiło to wielkiej ulgi. Stawy protestowały, gdy przygotowywali się, przyjmując pozycję do wiosłowania, i ciemnymi oczyma wyglądali nadchodzącego dnia, bojąc się, że nie zdołają go przeżyć.

Temistokles stał na pokładzie, patrząc w kierunku wschodzącego słońca. Światło jaśniało prędko, nabierając złotego koloru, ale on wciąż nie mógł uwierzyć w to, co widziały jego oczy. Spał tej nocy niespokojnie, prześladowały go sny. Były echem czegoś, co działo się w ciemnościach.

Poprzedniego dnia jego flota, kapitanowie i trierarchowie dokonali cudów. Walczyli jak lwy dla niego i dla tych, których kochali, a którzy patrzyli na nich z wyspy. Nie zauważył nikogo, kto nie dałby z siebie wszystkiego, dzięki czemu udało im się zniweczyć perskie nadzieje. Poczul budzące się w piersi ciepło, a po

chwili ucisk pęcherza uświadomił mu, że jeszcze go nie opróżnił. Zanadto przejęty był tym, co objawi poranek, żywiąc wbrew wszelkim przesłankom nadzieję, że jego list do króla przyniósł jakiś skutek.

Nie śmiał marzyć o czymś wielkim. Myślał, że perski władca wycofa tuzin, może dwa tuziny okrętów, że odeśle część ludzi, którzy mogliby przyłożyć ręki do zatapiania greckich trier. Zamiast tego morze było puste. Temistokles rozglądał się wokół, spoglądając w twarze ludzi, którzy wyszli na pokład. Nowina rozeszła się szybko. Wiwaty zaczęły się w dole, po czym wezbrały jak fala, gdy wszystkie załogi je usłyszały i zrozumiały.

Pawilon królewski na brzegu zwinięto. Kserkses i jego strażnicy zniknęli, setka jego okrętów również odpłynęła, gdy jeszcze było ciemno. Temistokles uniósł nagle ramiona jak zwycięski bokser. Osiągnął to! Okpił króla i zrobił to idealnie.

W tejże chwili kolejny okrzyk podniósł się i zagłuszył ten pierwszy, wycie zupełnie inne od radosnego krzyku wioślarzy, których głosy zamarły nagle jak zdławione. Temistokles podążył wzrokiem za wzniesionymi na kilkunastu okrętach rękami wskazującymi na zachód, tam, gdzie kładł się jego własny cień. Ludzie na wydmach Salaminy też krzyczeli ostrzegawczo. Do swoich mężów, braci i synów.

W cieśninie pojawiła się druga część perskiej floty. Jej załogi wiosłowały ostrożnie po nieznanym wodach, uważając na skały i ukryte płycizny. Temistokles odsłonił zęby i warknął wściekle. Trzysta okrętów, ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi nadpływających, aby ich zaatakować. Ale niedoświadczonych, niezaprawionych w boju.

Na jego twarzy pojawił się dumny grymas, uśmiech dzikiej pewności siebie. Te okręty, odpływając, widziały jego flotę oblężoną i osaczoną. Powróciły i ujrzęły ją mocno poturbowaną, zmęczoną, ale nie wiedziały, że mają przed sobą flotę, która nauczyła się walczyć.

– Wywiesić sygnał dla mojej grupy. Niech zbierze się przy mnie. Każdy okręt, każdy kapitan dołącza i atakuje w zwartych formacjach. Z Ksantyposem, z Kimonem, z Eurybiadesem, ze mną. Przynieśli nam wojnę. Dajmy im to, czego chcą.

Na jego rozkaz odpowiedział radosny ryk. Ludzie wstawali roześmiani, patrząc na niego z podziwem. Jego załoga wiedziała, czego dokonał, ale pozostałe jeszcze nie, przynajmniej nie wtedy. Temistokles poczuł się lekko, gdy chwycił włócznię i tarczę. Otarł ogorzałą twarz z białymi zmarszczkami. Wysilek poprzedniego dnia sprawił, że poczuł się dwadzieścia lat starszy niż

w rzeczywistości. Dał jednak swoim ludziom szansę, której potrzebowali. Spartanie nazwali to ateńską przebiegłością, gdy dowiedzieli się o jego dwóch listach, ale bynajmniej nie odrzucili stworzonej dzięki temu sposobności.

Wiedziony nagłym impulsem Temistokles uklęknął na pokładzie i pochylił głowę. Usłyszał, że jego dwunastu ludzi przerywa przygotowania i czyni to samo.

– Ateno, ocaliłaś nas. Pozwól nam dokonać zemsty, na którą oni z pewnością zasługują. Proszę, byś pobłogosławiła ten statek i jego wierną załogę. Daj nam siłę, jakiej potrzebujemy, aby dokończyć dzieła i uratować nasze kobiety i dzieci. Proszę w twoje imię. Proszę o błogosławieństwo Aresa i potężnego Posejdon. Pozwólcie nam być waszym mieczem i waszą włócznią. Waszą *odpowiedzią*.

Wstał i otworzył oczy, świadom, że wojownicy i wioślarze pod pokładem wznoszą własne modły albo powtarzają jego słowa. Dostrzegł w nich wielką determinację. Byli jego ludźmi. Wiedział, że choć poranieni, zmęczeni, nie zawiodą, w każdym razie tego dnia.

Idąc główną ulicą Eleuzis, Arystydes skrywał oznaki irytacji. Spartański regent szedł obok niego z założonymi z tyłu rękoma, a jego czerwony płaszcz powiewał na wietrze. Pauzaniasz był w sile zdrowia i młodości. Zawsze unosił lekko jedną brew, co nadawało jego twarzy niezmiennie sardoniczny wyraz. Odnosiło się wrażenie, że wszędzie dostrzega coś, co budzi w nim obrzydzenie.

Po drugiej stronie Ateńczyka kroczył wróżbita Pauzaniusza, w sandałach i przepasanej szacie, spod której wyzierały opalone ramiona. Obaj przypominają młode lwy, pomyślał Arystydes. Nigdy nie odnoszą ran, zawsze zdrowi. Pewni swojej wartości i pozycji w świecie. Nie okazywał konsternacji, jaką odczuwał, mając do czynienia z tak młodymi mężczyznami. Ateny nigdy nie wyznaczyłyby regenta liczącego sobie mniej niż trzydzieści lat.

– Muszę powiedzieć, że jestem nieco rozzarowany, że nie byłem świadkiem misteriów – stwierdził Pauzaniasz. – Ojciec i stryj wyrażali się bardzo pochlebnie o oferowanych tu usługach. Nigdy jednak nie zostałem na nie zaproszony, to znaczy nie do miejsca najświętszego ze świątyni.

W odczuciu Arystydesa głos regenta miał szorstki ton, zawsze na granicy niezadowolenia. Kusiło go, by zapytać Pauzaniusza, czy jego zdaniem misteria powinny odbyć się ponownie na jego życzenie. Boginie z pewnością nie obraziłyby się na te słowa i raczej potraktowały je jak żart. Zachował jednak milczenie. Wspomniał już regentowi o przyczynie, dla której wszyscy znaleźli się w Eleuzis, ale spotkał się z niechętną reakcją na swoje słowa i nie otrzymał odpowiedzi, jakby naruszył jakąś zasadę dobrego wychowania. Arystydes musiał jednak w jakiś sposób przekonać człowieka, którego wsparcia potrzebował. To, że Pauzaniasz wydawał się arogancki albo zwyczajnie głupi, nie miało wielkiego znaczenia. Arystydes zamierzał chwalić go i komplementować, robić wszystko, co trzeba, aby nakłonić Spartanina do okazania dobrej woli. Postanowił działać ostrożnie. Pauzaniasz sprawiał wrażenie odległego, nieobecnego, jak niektórzy znani Arystydesowi nobile, zachowujący się, jakby tylko ich interes się liczył. Podczas gdy Pauzaniasz wyglądał na nieświadomego, jego wróżbita miał



w sobie ostrość obsydianu. Skrzyła się w nim inteligencja, obecna w każdym spojrzeniu rzucanym spod przymrużonych powiek i w każdym półuśmiechu.

Więści o śmierci króla Leonidasa rozchodziły się coraz szerzej po miastach-państwach Hellady. Dla Arystydesa i dla każdego obywatela Aten bitwa pod Termopilami była jednak czymś stosunkowo błahym. Wiedział, że Sparta straciła swego wojennego króla, a Pauzaniasz stryja! Ta świeża żałoba stanowiła jednak jedyny powód do okazywania mu szacunku. Czymże była ta strata w porównaniu z postępowaniem perskiej armii bezczeszczącej święte przybytki Aten, obalającej ich mury i profanującej groby? Arystydes odczuwał ich obecność w mieście jak osobiste brzemię przygniatające mu ramiona, jak nienawistną szatę, której nie mógł z siebie zedrzeć, choćby nie wiadomo jak go paliła. Uświadomił sobie, że lud został jednak uratowany i przewieziony na Salaminę. Przez Zatokę Eleuzyjską widział tę wyspę i połyskujące wokół niej morze. W tej właśnie chwili ateńskie zgromadzenie wiosłowało i walczyło. Ksantyppos był gdzieś tam wśród nich, podobnie jak Temistokles i Kimon. Ich żony, matki i siostry patrzyły i modliły się. Arystydes zacisnął szczęki. W czasie gdy decydowały się losy jego miasta, on musiał się zajmować uprawianiem polityki ze Spartanami.

Wiedział, że miasto to coś więcej niż tylko ulice i rynek. Ateny żyły w pamięci tych, którzy w nich mieszkali. Mury można było odbudować, nawet świątynie wznieść ponownie. Arystydes wciąż czuł się jak ktoś, komu sponiewierano żonę, wściekły i bezradny. Persowie chodzili i sikali w pył ulic jego miasta, a jedyną rzeczą, którą mógł zrobić, było czekanie na neutralnym dla Pauzaniusza gruncie, by się z nim spotkać.

Arystydes czuł się tak, jakby jakaś dłoń trzymała go za kark, jakby przytłaczał go narastający ciężar. Liczył na to, że spotka się z Leonidasem, mężem o wielkim doświadczeniu, znanym z mądrości. Brat króla też był takim człowiekiem, ale wyglądało na to, że Kleombrotos był już zbyt stary albo schorowany, żeby zostać regentem. Pauzaniasz zbył to pytanie jak zwykłą impertynencję.

Gdy schodzili ze wznesienia, młody Spartanin zmarszczył brwi i osłonił oczy, patrząc na morze w poszukiwaniu floty. Salamina z tej odległości była tylko niewyraźnym zarysem licznych zachodzących na siebie wzgórz, ale wzdłuż jej wybrzeża widać już było pozostałości po bitwie. Ich linia, jak kreska węglem podkreślająca oczy kobiety, była coraz grubsza wraz z napływającymi zwłokami i szczątkami okrętów. Widok aż prosił się o wyjaśnienie, jednak Arystydes nie mógł chwycić Pauzaniusza za ramię i potrząsnąć, zmuszając go, żeby przyjrzał

się uważniej i zrozumiał! Arystydes raz jeszcze poczuł na sobie spojrzenie wróżbity Tisamenosa. Mężczyzna przyszedł nieuzbrojony, choć w towarzystwie objuczonego bronią Pauzanasza i kilkunastu idących z tyłu spartańskich strażników ów brak broni nie miał zapewne wielkiego znaczenia.

Stracili kolejny dzień, pozwolili mu wymknąć się im z rąk. Arystydes tłumiał narastającą desperację. Jasne było, że nie mógł błagać Spartan o pomoc. Czuł to od pierwszych chwil. Pauzanasz doznałby niekłamaney rozkoszy, odwracając się od potrzeb Ateńczyków. Nie, trzeba go było spokojnie przekonać, *poprowadzić*, jeśli oczywiście wystarczy Arystydesowi cierpliwości. Westchnął. Zrobi to dla Aten.

Święto bogiń dobiegło końca poprzedniego dnia, po całym miesiącu posług i ofiar składanych Demeter i Persefonie. Arystydes, czekając na delegację ze Sparty, wziął udział w kilku procesjach. W ciągu ostatnich tygodni Eleuzis zdążyło już przywyknąć do przybyłych z Aten ośmiu tysięcy hoplitów. On i jego ludzie po rozpoczęciu jesiennych świąt praktycznie z dnia na dzień podwoili liczbę miejscowej ludności. Misteria eleuzyjskie nie zmieniły się w ciągu tych lat, kiedy po raz ostatni odwiedził te uliczki i proste świątynie. Arystydes wyszeptał wtedy święte słowa znane tylko tym, których dopuszczano do najświętszego miejsca przybytku. Inni wyznawcy z zazdrością patrzyli, gdy zapraszano go do wnętrza.

Małe miasto wciąż przesycone było wonią narcyzów i granatów unoszącą się w morskim powietrzu. Płatki kwiatów niesione wiatrem opadły w morze, brunatniejąc powoli, gdy uchodziło z nich życie. Tłumy rzedły, w miarę jak ludzie ruszali w drogę do domu, pozostawiając za sobą przeżyte doświadczenia nawróceń i większych lub mniejszych sekretów, jakie udało im się poznać. Przepychali się uliczkami, rzucając niespokojne spojrzenia na przechodzących Spartan. Wojna wisiała w powietrzu wraz z towarzyszącymi jej strachem i plotkami. Na rogach ulic wystawiali żebracy, którzy z zamkniętymi oczyma i wzniesionymi brudnymi rękami odprawiali modły do bogów, wieszcząc koniec świata.

Arystydes czuł u towarzyszących mu dwóch Spartan wyraźną dezaprobatę. Ale nie, przypomniał sobie nagle, przecież tylko Pauzanasz był spartiatą czystej krwi. Tisamenos miał inne pochodzenie. Trudno było zanegować jego moc przepowiadania przyszłości. Bogowie dawali ją tylko niewielu mężczyznom i kobietom w każdym pokoleniu. Arystydes poznał proroctwa delfickie powiązane z jego własnym życiem i losem Ateńczyków. Czymże była flota, jeśli nie „drewnianymi murami”, które zgodnie z przepowiednią miały uratować

miasto? Jednak Tisamenos był zbyt bystrooki i zbyt sprawny fizycznie, bardziej jak wojownik niż świątobliwy mędrzec bądź nawiedzony prorok mieszkający w odludnej jaskini. Wyraźnie były w nim też obecne humor i przenikliwość, które w dziwny sposób budziły niepokój. Nikomu nie podoba się towarzystwo człowieka, który na wylot przejrzy każdą sztuczkę. Z błyskiem w oku i lekkim skrzywieniem ust Tisamenos sprawiał takie właśnie wrażenie. Oszczędnie używał słów, najwyraźniej pozwalając Pauzaniaszowi mówić za nich obu. Arystydes wiedział, że ten młodzik go ocenia, ale nic nie mógł na to poradzić.

Razem dotarli do położonej u stóp wzgórza wielkiej świątyni Demeter. Podstawy jej kolumn były szerokie jak wóz. Same kolumny z kremowego wapienia pięły się wysoko w górę. Aby je objąć, czterech mężczyzn musiało chwycić się za ręce. Arystydes usłyszał, że wewnątrz świątyni wciąż śpiewają kapłanki. Ale jej wielkie wrota były zamknięte.

Pauzaniasz wyciągnął dłoń i przyłożył do ich drewnianej powierzchni. Dzień zrobił się zimny, lecz Spartanin najwyraźniej tego nie zauważał. Doskonale wiedział, że Arystydes czeka na jego odpowiedź. Ten z kolei obawiał się, że Pauzaniasz jest takim typem, który na koniec każe mu zniżyć się do błagania, po czym i tak odmówi. Pragnął się mylić i modlił się o to. Ateny potrzebowały spartańskiej armii.

– Mówiono mi, że tym, których dopuszcza się do najświętszego miejsca, podają jakiś napój – powiedział Pauzaniasz – który... porywa ludzi, wywołując uniesienie silniejsze niż wino.

Mówił niemal obojętnie, ale widać było, że udaje. Arystydes poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie. Pewnych rzeczy nie mógł ujawnić nawet spartańskiemu regentowi.

– Żeby wejść – odparł – żeby zostać wpuszczony, suplikant musi spędzić całą zimę na modlitwach do bogini, przychodząc codziennie przed świtem. Musi nauczyć się pieśni małych misteriów i powtarzać ją każdego ranka, o wschodzie słońca, bez najmniejszej pomyłki. Jeśli opuści choć jeden dzień, nie zostanie wpuszczony dalej.

– A ty zostałeś dopuszczony? – zapytał Pauzaniasz.

Spojrzał szybko na Arystydesa, jednym krótkim błyskiem oczu, w pełni świadomy, że Ateńczyk też czeka na jego odpowiedź. O tak, pomyślał Arystydes, w tym młodym mężczyźnie jest jakieś okrucieństwo. Bogowie okazali się kapryśni, wynosząc Pauzaniusza na szczyt właśnie wtedy, gdy Ateny były w największej potrzebie.

– Owszem – odpowiedział – kiedy byłem młody. Od tamtego czasu przebywałem tam kilka razy. Podają napój, to prawda, lecz niektórzy odmawiają jego wypicia. Nie do końca ufam moim wspomnieniom z tamtego czasu, choć są... bardzo żywe. Jednakże, regencie Pauzaniażu, wolałbym...

– I uczą cię jakiegoś zdania, tak? Widziałem ludzi pochylających się do uszu kapłanek, po czym wpuszczano ich do środka, do wewnętrznej świątyni.

– Rzeczywiście... – odrzekł Arystydes. Bał się, że regent mógłby próbować wyciągnąć od niego te słowa w zamian za to, czego on potrzebował. Czy wszystko było dla Spartanina tylko grą, podczas gdy ludzie naprawdę walczyli i umierali? Gdy rozbijano młotami posąg Ateny?

Pauzaniaż zauważył jego rozterkę, roześmiał się i zbył to machnięciem ręki.

– Och, nie martw się, Arystydesie. Zasłużę na te słowa sam albo wcale. Nie będę cię nakłaniał do ich ujawnienia. Jaką wówczas miałyby wartość?

Przeciągnął dłonią po drewnianych drzwiach dwa razy wyższych od niego. Arystydes na sugestię, że mógłby zostać zmuszony do ujawnienia tajemnic Demeter, poczuł napływający rumieniec. W sytuacji, gdy stawką były Ateny, wcale nie był taki pewien, że by odmówił.

– Dostatecznie przyjrzałem się temu miejscu – powiedział Pauzaniaż. – Chyba że chciałbyś, żebym zbudził kapłanki, Tisamenosie? Jeśli masz do nich jakieś pytania, jestem pewien, że chętnie ci odpowiedzą.

– Byłem tu już dawniej – odparł Tisamenos. Arystydes zauważył, że się nie uklonił, tylko odpowiedział jak człowiek o wysokiej pozycji społecznej. –

Poznałem pieśń śpiewaną o świcie i zostałem dopuszczony do wielkich misterii. Nie wolno mi o nich mówić pod karą utraty nieśmiertelnej duszy. To było... cudowne.

Pauzaniaż nie wydawał się zachwycony wieścią, że jego wróżbita również był w świątyni. Drzwi wciąż pozostawały przed nim zamknięte i Arystydes zauważył, że regent uderza nasadą dłoni w drewno, jakby z wyrzutem, że musi odejść.

Jego strażnicy usunęli się na bok, gdy Pauzaniaż ruszył z powrotem główną ulicą, mając morze po lewej stronie. Arystydes uważał się za cierpliwego człowieka, ale czekał już całe wieki na przyjazd Pauzaniaża, a teraz regent zdawał się niefrasobliwie obojętny na przyczynę swej obecności w tym miejscu.

– Regencie, czy rozważyłeś już poparcie dla naszej sprawy? – zapytał.

Pauzaniaż nie odpowiedział i po prostu szedł dalej, tylko kiwając głową, jakby w głębokim zamyśleniu. Dlaczego niektórzy ludzie zmieniają wszystko w zmagania siły woli? Arystydes nienawidził sytuacji, gdy był zmuszony

występować w roli żebraka. A władza nad nim najwyraźniej podobała się Spartaninowi.

– Tym, co powinieneś zrozumieć, Arystydesie – odezwał się wreszcie Pauzaniasz – jest to, że ludom Peloponezu Persja nie zagraża. Nasz mur w poprzek Przesmyku Korynckiego jest ukończony. Człowiek może w godzinę przejść z jednego końca na drugi i nie znaleźć przejścia przez kamienną fortyfikację, która ma wysokość trzech ludzi. Muru strzegą żelazne wrota i spartańscy wojownicy, a jest to jedyna droga. Mój ojciec Kleombrotos nadzorował budowę i osadził tam garnizon.

– To właśnie Kleombrotos przysiągł pomoc Sparty przeciwko perskiej inwazji – powiedział prędko Arystydes. – Twój ojciec jest człowiekiem honoru.

Pauzaniasz zatrzymał się nagle pośrodku ulicy. Jego spojrzenie stwardniało i Arystydes po raz pierwszy odniósł wrażenie, że ma do czynienia z prawdziwym mężczyzną. Patrzył spokojnie i czekał.

– Ta przysięga... została złożona jeszcze przed śmiercią mojego stryja i jego osobistej straży pod Termopilami.

Arystydes dostatecznie dobrze znał Spartan, nie odezwał się więc ani słowem. Jego milczenie wynagrodził rumieniec na twarzy i szyi regenta.

– No cóż, Ateńczyku – dodał Pauzaniasz, pochylając głowę w nieco kpiącym geście. – Przysięga to przysięga. Jesteśmy pobożnym ludem.

– Mnie też tak mówiono. Wyjdziecie więc z za waszego muru? Zima już niedaleko, Pauzaniasz. Armia tej wielkości, jaką przyprowadził Kserkses, zacznie przymierać głodem, nim zdąży zdobyć zaopatrzenie. Nadejdzie niebawem chwila, kiedy zabraknie im żywności. Będziemy mogli zmusić ich wówczas do bitwy, jeśli zechcesz honorować przysięgę złożoną przez twego ojca. Dołączycie do nas w polu przed zimą? Wyprowadzicie swoją armię, jak obiecaliście?

– Nie budowaliśmy tego muru, aby zostawiać go za sobą, archoncie – odpowiedział ostro Pauzaniasz. Zauważył, że Arystydes otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz ciągnął dalej: – Nie powiedziałem, że nie przybędziemy. Nie stanie się to jednak na prośbę Ateńczyków, tylko we właściwym momencie, kiedy będziemy gotowi.

Arystydes musiał skorzystać z całozyciowego doświadczenia, żeby zapanować nad sobą i nie odpowiedzieć ostro. Skłonił głowę.

– Modlę się, żeby nastąpiło to wkrótce, regencie. Nie dla Ateńczyków, choć jesteśmy w wielkiej potrzebie, ale dla całej Grecji.

Pauzaniasz machnął niedbale dłonią, jakby odganiał muchę.

– Nie ma Grecji. Są tylko miasta-państwa, jak Sparta... oraz Ateny, choć, jak rozumiem, ostatnio mocno pomniejszone.

Była w tych słowach jakaś złośliwa satysfakcja i Arystydes przez chwilę stał bez słowa.

– My też złożyliśmy przysięgę, Pauzaniasz. Że będziemy bronić kraju przed obcym królem. Wypłynęliśmy na morze, a ja przyprowadziłem tu osiem tysięcy ludzi w przekonaniu, że słowo Sparty, raz wypowiedziane, będzie miało moc żelaza.

Arystydes zamilkł. Nie musiał głośno wyrażać swego niepokoju. Przywódcy Sparty znani byli z niechęci do omawiania własnej polityki wewnętrznej i wewnętrznych podziałów. Arystydes wiedział jedynie, że eforowie zaangażowani są w wojnę domową. Pauzaniasz nie zamierzał niczego mu powiedzieć, więc o tym, czy jego armia wyruszy, wiadomo będzie dopiero z chwilą, gdy rzeczywiście to zrobi. Albo Persowie zabiją ostatniego członka ateńskiego zgromadzenia i wszystko przepadnie.

– Słyszałem cię, Arystydesie – powiedział Spartanin. – I odpowiedziałem. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, zjawimy się. Nie wcześniej.

Regent dał znak Tisamenosowi i wróżbita się zatrzymał. Pauzaniasz ruszył dalej, pozostawiając ich obu za sobą. Arystydes patrzył, jak Spartanie odchodzą. Było ich siedmiu, ale w tym miejscu byli nie do zatrzymania. Nie mógł ich zmusić do wysłuchania go lub zrozumienia. Dygotał cały, czując dogłębną frustrację.

– To dobry człowiek – stwierdził Tisamenos.

W jego głosie dało się słyszeć uczucie i Arystydes był ciekaw, czy są kochankami.

– Czy poprowadzi swoich ludzi? To jedyna rzecz, która się liczy.

– W domu ma... wiele trudności. Obawiam się, że mówiąc o tym, zawiódłbym jego zaufanie. Jestem przekonany, że Pauzaniasz znajdzie jakiś sposób, żeby je przewyciężyć. Chce dotrzymać obietnicy danej przez ojca, możesz być tego pewien.

Arystydes zwrócił się ku niemu zaciekawiony.

– Kim tak naprawdę jesteś? Tisamenos to nie jest spartańskie imię.

– To prawda. A jednak jestem Grekiem. Tylko to się liczy.

Arystydes roześmiał się.

– A więc nie zgadzasz się z Pauzaniaszem? On widzi tylko Spartę, a cała reszta to dla niego wrogowie albo niewolnicy. My, Ateńczycy, widzimy Greków,

ludzi wyznających tych samych bogów, mówiących tym samym językiem! Mam więcej wspólnego z najgorszym nawet Spartaninem niż z perskim królem.

– Myślę, że to piękny sen. – Tisamenos skłonił głowę.

– Podobno umiesz przepowiadać przyszłość? – zapytał Arystydes. – Mógłbyś w takim razie powiedzieć, czy zwyciężymy, czy zostaniemy unicestwieni?

– Nie jestem wyrocznią... – odparł z westchnieniem Tisamenos. – Ale... – Tu zamilkł na chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy mówić dalej, czy nie. Wreszcie skinął głową. – Gdy byłem jeszcze chłopcem, udałem się do Delf, aby zapytać Pytię, co mnie w życiu czeka. Odparła, że pięciokrotnie wygram zawody. W młodości uznałem, że ma na myśli igrzyska olimpijskie, a konkretnie pentatlon. Zacząłem więc trenować, biegać, skakać i uprawiać zapasy, rzucać dyskiem i włócznią.

– Ja... cię pamiętam! – stwierdził Arystydes ze zdziwieniem. – Byłem tam owego dnia. Na Atenę, byłeś... jesteś świetnym atletą. Ale nie wygrałeś, prawda? O ile mnie pamięć nie myli.

– Nie. Przybiegłem drugi, za Spartaninem. Moje całe życie ukierunkowane było na tę jedną chwilę i... przegrałem. Zobaczył moje rozczarowanie, a ponieważ był dobrym człowiekiem, zabrał mnie, żeby się ze mną napić. Opowiedziałem mu o wyroczni...

Tisamenos odwrócił wzrok, pogrążony we wspomnieniach. Arystydes poczuł wiejącą coraz silniej morską bryzę przynoszącą do Eleuzis chłód.

– W Sparcie nazywają bitwy „zawodami”, wiedziałeś o tym? Mój przyjaciel był bardzo podekscytowany, gdy usłyszał o tym proroctwie. Uwierzył i nadal wierzy, że moim przeznaczeniem jest wygranie w życiu pięciu wielkich bitew.

– To był Pauzaniasz? – zapytał Arystydes. – Ten Spartanin, który wygrał? Tisamenos potaknął.

– Tak, to był on. Bratanek wojennego króla Sparty. Wierzy, że jestem czymś w rodzaju talizmanu i że pięć razy przyniosę mu zwycięstwo. Odwiedziłem eforów w Sparcie, a oni to potwierdzili. On przywrócił mi sens życia.

Młody wróżbita sięgnął ręką i przyciągnął Arystydesa za ramię, na tyle blisko, żeby mówić zniżonym głosem.

– Nie osądzaj go zbyt surowo, kyriosie. Śmierć stryja zmieniła mu życie, podobnie jak moje życie zmienił tamten dzień na igrzyskach olimpijskich. Trzeba trochę czasu, żeby do tego przywyknąć.

– Myślisz, że dotrzyma przysięgi złożonej przez ojca?

– Jest teraz wojennym królem Sparty, przynajmniej do chwili, gdy jego kuzyn dorośnie. A Pauzaniasz chce zwyciężać w bitwach, ze mną u boku. Zaufaj temu.

Chce zwyciężyć.

Arystydes odpowiedział łagodnym tonem, próbując skłonić młodego człowieka do wynurzeń:

– A te „trudności” w domu? Nie powstrzymają go?

– Pauzaniasz jest człowiekiem honoru, Arystydesie. Uwierz w to. Heloci są...

– Tisamenos przerwał i roześmiał się. – Nie sądzę, żeby Pauzaniasz chciał, abym dyskutował o takich sprawach z Ateńczykiem.

– Synu, ten Ateńczyk stanie na polu bitwy jako strateg, gdy ukaże się perska armia. Widziałem ich. Wtedy nie będzie rozróżnień, nie między nami. Jeśli staniemy tam jako Spartanie, Platejczycy, Ateńczycy, Koryntczycy... zostaniemy pokonani. Jeśli tamtego dnia będziemy wszyscy Grekami o jednej kulturze, jednym języku, mamy szansę zwyciężyć. Może wiesz o czymś, co zatrzymuje Spartan za ich murem. Powinieneś zaufać człowiekowi, który utracił już wszystko. Moje miasto  *płonie*  tego wieczoru, Tisamenosie. Moje poświęcenie jest poza wszelkimi wątpliwościami. Jeśli potrzebujesz rady, pytaj. Jesteśmy po tej samej stronie.

Stali sami na głównej ulicy Eleuzis. Arystydes czekał ze spokojnym wyrazem twarzy. Dał z siebie wszystko. Młody mężczyzna miał ochotę mówić, czuł to.

– No dobrze – powiedział Tisamenos. Zerknął przez ramię w stronę, w której zniknęli Spartanie, wracając na noc do swego obozu. Możliwe też, że byli już w drodze do Przesmyku Korynckiego, który strzegł Peloponezu, dzień lub dwa dni marszu na południowy zachód. – W Sparcie jest wielu helotów. Są niewolnikami, chociaż słowo to oznacza „jeńców”. Ludzie tacy jak Pauzaniasz niewiele o nich myślą. Heloci są dla nich czymś w rodzaju kóz albo wołów, czerpiących wodę i nawadniających pola.

– Jestem obyty z niewolnikami – wtrącił się Arystydes. Niecierpliwiał się, bo zdenerwowany Pauzaniasz mógł wysłać swojego człowieka po wróżbitę. Jeśli w ogóle mógł go tak nazywać po tym, co od niego usłyszał.

– Nie takimi. – Tisamenos potrząsnął głową. – Niewolników wszędzie kupuje się i sprzedaje, za długi, do pracy, czasem dla rozkoszy. Heloci dziedziczą swój stan. Rodzą się niewolnikami, pokolenie za pokoleniem. Są wśród nich tacy, którzy czują wielką gorycz z tego powodu. Patrzą, jak rosą ich córki i synowie, wiedząc, że nigdy nie będą ludźmi wolnymi... Jest w nich wielki gniew. Widziałem to.

– Nie rozumiem... – powiedział Arystydes. Zauważył w oddali migoczący czerwono płomyk. Niewątpliwie Pauzaniasz dziwi się, dlaczego jego talizman jeszcze nie wrócił.



– Spartańska armia nie lubi oddalać się zbyt od domu. Wiedzą, że heloci mogą się zbuntować i zaszlachtować im żony i dzieci. Wygląda to tak, jakby każdy Spartanin miał nóż na gardle!

Nie oglądając się za siebie, Tisamenos nie widział samotnego spartańskiego wojownika, który wracał ku nim po pochyłości wzgórza. Arystydes przez całe swoje życie nie słyszał tyle o spartańskiej polityce. Śpieszył się, by zadać ważne pytanie.

– A jednak wychodzili przedtem, i to jak! Sam Leonidas albo dwa tysiące tych, którzy uwolnili Ateny od tyrana w poprzednim pokoleniu. Jakże to było możliwe, skoro sytuacja wygląda tak, jak ją opisałeś?

– Zawsze zostawiają tyłu wojowników, by wystarczyło do utrzymania posłuchu u helotów – wyjaśnił Tisamenos. – Ale tym razem... jeśli wyślą wszystkich spartiatów i periojków...? Przeciwno perskiej armii będą potrzebowali każdego żołnierza. Kto zabezpieczy wówczas ich rodziny, kiedy heloci zobaczą, że wszyscy wojownicy wyruszyli na wojnę? Wrócą i zastaną zgliszcza i kości.

Spartanin, który podszedł, zmarszczył brwi, domyślając się ożywionej rozmowy między nimi. Tisamenos zrozumiał, co oznaczają zbliżające się kroki i wyraz twarzy Arystydesa. Zamilkł.

– Rozwiązanie jest oczywiste – mruknął Ateńczyk.

Tisamenos odczekał chwilę, nim się odwrócił.

– Cóż to takiego?

– Zabierzcie helotów ze sobą. Wszystkich.

Tisamenos otworzył i zamknął usta jak ryba.

– Ale...

Arystydes wzruszył ramionami.

– To ty jesteś wróżbitą. Przekonaj Pauzanasza.

Przybyły zatrzymał się, a na jego twarzy odmalowała się podejrzliwość.

– Regent Pauzanasz kazał mi dopilnować, żeby nie opóźniły cię jakieś błahe pogawędki – powiedział.

Arystydes ukrył rozczarowanie i uśmiechnął się.

– Przepraszam. To ja go zatrzymałem. Gadulstwo to nasza wrodzona wada.

Spartanin skinął głową z sarkastyczną miną. Tisamenos poszedł z nim, nie oglądając się za siebie.

## 8

Temistokles marzył o wypoczynku. Jego ciało tęskniło do tego, a on nie pragnął niczego poza wyciągnięciem się na pokładzie, spojrzeniem w niebo i zaśnięciem. Słyszał wiwaty w całej cieśninie. Zamknął na chwilę oczy, lecz zaraz je otworzył, gdy okręt stuknął dziobem o jakiś ciężki kawałek strzaskanego drewna. Nie byłoby to miłe wypaść za burtę w najpiękniejszej chwili swego życia.

On, Ksantyppos i Kimon harowali jak woły, a raczej jak wioślarze, od pierwszych promieni brzasku aż do momentu, gdy słońce skłoniło się ku zachodowi, barwiąc ogniście nieboskłon. Formacje i przyjęta przez nich taktyka zdały egzamin. Co najmniej trzecia część perskich okrętów, które opłynęły Salaminę, pozostała w cieśninie na zawsze. Niektóre płonęły smolistym ogniem pogrzebowego stosu, sycząc donośnie, w miarę jak zimna woda wlewała się im do środka. Inne pływały tuż pod powierzchnią, zagrażając przepływającym nad nimi jednostkom. Topielcy patrzyli z głębi martwymi oczyma, prześlizgując się za rufę.

Temistokles zadrżał. Ktoś podszedł i objął go, ktoś inny klepnął mocno w plecy, choć miał tam już dość siniaków. Powoli opadł na jedno kolano i oparł się na drugim. Dyszał ciężko, czując wyczerpanie przekraczające granice zwykłego zmęczenia. Potrzebował nabrać tchu, odetchnąć głęboko, wypełnić się czystym powietrzem i czymś więcej poza oszałamiającą pustką.

Myślał, że zdążył przez te wszystkie lata uodpornić się na widok trupów. Zabijał już wcześniej. Mieczem i włócznią. Żaden z zabitych nie miał dla niego znaczenia, nie liczył się bardziej niż słoma, ponieważ próbowali odebrać mu to, czym był, i to, co posiadał. Nie było prostszej rzeczy niż Salamina: należało tylko odeprzeć inwazję, podczas gdy jego żona i dzieci siedziały i modliły się! W chwili, gdy to pomyślał, ujrzał następną falę zwłok wpływających pod kil i znikających w głębinie. Poczuł, jak coś dławi go w gardle. Widział pochłonięte przez morze blade ciała, widział też tych, którzy krzyczeli i walczyli ostatkiem sił na powierzchni, bijąc wodę rękoma. Wszyscy zostali na koniec wciągnięci

w głąb ciężarem swoich zbroi, wypuszczając srebrzyste bańki ostatniego oddechu.

Zadrzał. Tylko tego jednego rodzaju śmierci się bał: że zostanie wciągnięty, coraz głębiej i głębiej, i zniknie tam, bez grobu, bez światła, bez obola dla przewoźnika i bez modlitw. Sam nie wiedział, ile razy w ciągu tych kilku dni walki na morzu powracała do niego ta myśl! Kolana go bolały, czuł, jakby miał piasek w stawach, ręce były zbyt ciężkie, by nimi poruszać. Powoli opuścił wielką głowę. Ponownie zamknął oczy, nie bacząc na odgłosy dobiegające z okrętu. Potrzebował tylko chwili, żeby się pozbierać, a potem znów stanie między ludźmi i ze śmiechem będzie przyjmował gratulacje, przypominając im, jak wyglądają ateńscy herosi.

Choć oczy miał zamknięte i głowę nisko zwieszoną, uśmiechnął się na tę myśl. Ściągnął z powrotem do Aten Ksantypposa i Arystydesa. Był mentorem Kimona w polityce i zachowaniu, czyniąc z niego mężczyznę, jakim powinien być, a nie płacznego pijaczynę. Lepiej niż ktokolwiek inny zwodził wroga. Kserkses rozdzielił flotę na dwie części, które można było skutecznie pokonać. Na jedno słowo Ateńczyka ustąpił ze swej silnej pozycji! Temistokles zachichotał. To właśnie dostrzegł w chaosie bitwy. Król ze zdradzieckimi greckimi sojusznikami przyjął za pewnik to, że *każdy* Grek może zechcieć z nim współpracować. W tym była największa siła perskiej armii, że żaden z ludzi występujących przeciwko niej nie mógł być pewien lojalności współbraci. I Kserkses w to właśnie uwierzył, gdy zwały się ich floty. Temistokles otworzył oczy piekące jeszcze od soli. Spojrzał z dumą na cieśninę.

Jego załoga zebrała się w szyku na pokładzie. Rozumiał, że te drobne hałasy były odgłosami szurania stóp na deskach, ustawiania się na baczność w szeregu pomimo ran, w powgniatanym ekwipunku. Odchrząknął, co zabrzmiało jak warknięcie. Ten dźwięk zamaskował nieco protest osłabłego ciała. Powoli podniósł się na nogi, czując się po trosze jak stary lew. Jego jasne włosy opadały zmierzwionym kołtunem zaschniętej soli, krwi i potu. Spróbował przeczesać je dłonią, ale mu się nie udało. Palcami potarł nadgarstki, co było starym nawykiem, gdy sprawdzał i dociągał rzemienie i zapięcia karwaszy.

Z jego oddziału pozostało tylko ośmiu hoplitów. Jeden ze sterników dostał strzałę w oko. Drugi trzymał oba sterowe wiosła, stojąc pośrodku. Pod ich stopami siedzieli w milczeniu wiosłarze. Musi upłynąć trochę czasu, nim będą zdolni do czegoś więcej poza dyszeniem i patrzeniem. Wiosłowali i odpoczywali, i wiosłowali znowu przez parę dni, wykonując tysiące dzikich przyspieszeń i zwrotów, a wszystko to przy minimalnych racjach

żywnościowych, uwięzieni w ciasnocie na ławkach. Ich światem stały się wiosła w rękach, odgłosy bębna i krzyki keleustesa.

Ten ostatni też przeżył, zauważył Temistokles. Wyszedł, porzucając swe zwykłe miejsce w szerokim łuku, by stanąć na pokładzie. Po jego twarzy spływały łzy, ale Temistokles nie potrafił wpaść na żadne słowa, które mogłyby go pocieszyć. Zamiast tego po prostu skinął głową i ujął go dłonią za kark, ściskając przyjaźnie. Taki sam gest mógłby uczynić ojciec wobec ukochanego syna. Twarz mężczyzny skrzywiła się, a oczy zniknęły w zmarszczkach uśmiechu, co było jedynym przejawem podziękowania i podziwu.

Temistokles rozpoczął przegląd swoich ludzi, podchodząc do każdego blisko, czasem ścierając im z twarzy ślady oliwy lub krwi, klepiąc ich po brzuchach i ramionach, dzięki czemu stawali prościej. Wywoływało to uśmiechy na twarzach hoplitów pomimo całego bólu i wyczerpania, jakie odczuwali. W jednej chwili Temistokles też zaczął się do nich śmiać, nadal nic nie mówiąc. Nikt z tej grupki nie umiałby powiedzieć, dlaczego się śmieje, ale tak było dobrze.

Kiedy Temistokles dotarł do końca szeregu, śmiechy ucichły. Odwrócił się ku zebranym.

– Szlachetni towarzysze, to był zaszczyt służyć razem z wami. Wszyscy straciliśmy w tej walce wielu przyjaciół. Oni wiedzą, że nie ulegliśmy. Walczyliśmy dalej i zwyciężyliśmy. Ich śmierć nie poszła na marne. Powiedzcie to kobietom i dzieciom na Salaminie! Kiedy zapytają, jak zginęli ich ojcowie i bracia, odpowiadajcie, że odeszli z honorem, aby ocalić nas wszystkich. Że gdyby mogli, zrobiliby to jeszcze raz. Powiedzcie im, że nigdy nie było sprawy równie czystej i szlachetnej. Ofiarowaliśmy wszystko, co mieliśmy, i wciąż jesteśmy tutaj. Podziękujcie za to Posejdonowi, który zadbał o nasze bezpieczeństwo, Aresowi, który kierował naszymi dłońmi, i Atenie, która przeprowadziła nas przez to wszystko. W jej imię i w imię wszystkich bogów... w imię tych, którzy już nie mogą stanąć tu z nami, dziękuję wam. – Spojrzał na nich i poczuł napływające do oczu łzy. Nie był to wstyd, przynajmniej nie dla Ateńczyka. – Stałem pod Maratonem, chłopcy. Myślałem, że nigdy więcej czegoś podobnego nie zobaczę ani nie poznam równie dzielnych ludzi. Teraz nie mogę tego powiedzieć. Bo poznałem was. I jestem z was dumny.

Niektóre z perskich okrętów przemknęły przez sieć trier zastawioną w poprzek cieśniny. Ksantyppos pozostawił w niej szczelinę; wołał pozwolić im uciec, niż walczyć do ostatniego okrętu i ostatniego człowieka. Temistokles widział, że około stu perskich kapitanów wycofało się w końcu z bitwy

i umknęło na pełne morze, pozostawiając swoich prześladowców za plecami. Od strony niektórych galer dobiegły głośnie pluski, gdy załogi wyrzucały za burtę protestujących dowódców.

Mało brakowało, żeby wiedziony żądzą wymierzenia im kary Temistokles popłynął w kilka okrętów za nimi, ale się powstrzymał. W każdej bitwie jest taka chwila, gdy obie strony są na skraju załamania. Wyczerpanie potrafi zmusić do ustąpienia każdą armię, nieważne, jak zaangażowaną. Z czasem Temistokles poczuł, jak bliscy jego ludzie byli tego, by ulec przewadze nieprzyjaciela. Zastanawiał się, czy w ich decyzji o niezłomnym oporze miał jakiś udział jego własny geniusz. Uznał, że chyba jednak nie, a przynajmniej nie w porównaniu z całą resztą.

– A teraz doprowadźcie się do porządku, dobrze? – zawołał ożywionym tonem. – Płyniemy na Salaminę zabrać naszych bliskich. Spróbujcie nie wyglądać tak, jakbyśmy przegrali! Weźcie wiadra i umyjcie pokład. Przyglądźcie włosy. Jeszcze przed zmrokiem będziemy mieli gości na okręcie.

Jego słowa sprawiły, że rzucili się do gorączkowej pracy, biegali na wszystkie strony, przypominając sobie o życiu sprzed nieustannego zagrożenia. Wyglądało to tak, jakby stopniowo budzili się w radosnym niedowierzaniu. Temistokles odchrząknął. W takich sytuacjach najważniejszą rzeczą jest dać ludziom zajęcie. Widział już inne okręty płynące w stronę Salaminy. Morze było wolne od wrogów i po wodzie niosły się triumfalne okrzyki i wiwaty. Potrząsnął głową, gdy wyczerpanie znów dało o sobie znać i powieki zaczęły mu ciążyć. Jedna Atena wiedziała, dokąd zabiorą kobiety i dzieci. Dym jeszcze unosił się nad Atenami, a perska armia wciąż gdzieś tam była, nietknięta, niepobita.

Jeden z jego ludzi przebiegał obok z wiadrem morskiej wody. Temistokles zatrzymał go, zanurzył obie dłonie, przeciągnął nimi po grzywie i po policzkach. Chłód nieco pomógł. Okręt zakołysał się na wodzie... Temistokles zamrugął. Wioślarze! Na sztywnych nogach zstąpił powoli w głąb luku i wsunął głowę pod pokład, w mrok i odór ładowni.

Wioślarze cuchnęli potem i uryną, a także smrodem tego, czego pod wpływem nędznego pożywienia i straszliwego wysiłku nie zdołały utrzymać ich jelita. Żałośnie wychudli. Gdziekolwiek spojrzeł, widział wpatrzone w niego ogromne oczy, zbyt wielkie w porównaniu z głowami. U wszystkich widać było wystające żebra, ale też wielką dumę. To, czego od nich zażądano, było brutalne, lecz mimo to byli tutaj, żywi. Spojrzenia wioślarzy były już spokojne i powoli zaczynał iskrzyć się w nich humor. Temistokles na ten widok uśmiechnął się do nich szeroko.

– Szlachetni towarzysze – zaczął znowu – to był zaszczyt służyć razem z wami...

\* \* \*

Mardoniusz ściągnął uzdę i zsiadł z konia. Przegalopował z końca maszerującej kolumny na czoło, do pierwszego popasu, gdzie przez suchą okolicę, znacznie suchszą niż w Persji, przepływał strumień. Całe oddziały rozłożyły się już nad jego brzegami, napełniając wodą bukłaki i beczułki, spryskując się oraz gasząc pragnienie, aż wojownicy poczuli się orzeźwieni i weseli. Wiedział, że jego ludzie lubią być czyści. Zazdrościł im tej wolności, gdy patrzył, jak parskają i spluwają, mocząc długie, luźne włosy i otrzepują je z wody, machając głowami. Zawsze pojawiał się ten efekt rozluźnienia dyscypliny, gdy tylko do wojska dochodziły wieści o wyjeździe króla. Niektórzy czuli się wręcz jak dzieci, których wychowawca się spóźnił albo zachorował. Jakiegokolwiek ciemne chmury zbierały się przed nimi na horyzoncie, póki co czuli się upojeni względną swobodą. Mardoniusz zmarszczył brwi. Najkrótszą drogą do przywrócenia dyscypliny było wychłostanie kilku ludzi. Miał jednak przeczucie, że jego irytacja wypływa z tego samego źródła. On również czuł się opuszczony, choć nie czuł z tego powodu żadnej radości. Myśli krążące pod sklepieniem jego czaszki graniczyły ze zdradą.

Wszystko się zmieniło, a zarazem nie zmieniło się nic. Mardoniusz powtarzał sobie, że wciąż ma armię. Kserkses odesłał kilka oddziałów lądem do domu, kilka innych załadował na okręty. W sumie zabrał z powrotem czterdzieści tysięcy ludzi. Przynajmniej zostawił mu Nieśmiertelnych, choć mocno przeredzonych. Mimo to król nie przyjąłby żadnego usprawiedliwienia, gdyby Mardoniusz wrócił do Persji bez zwycięstwa. Miał zmienić Greków w wasali albo jego życie, a wraz z nim życie jego synów, córek i żon, będzie tylko popiołem na wietrze. Rodziny służących władcy ludzi były królewskimi zakładnikami, pomyślał Mardoniusz. Oni sami byli więc lojalni, to oczywiste! Należało brać to pod uwagę.

Zsiadłszy z konia, rzucił uzdę służącemu. Pod nieobecność Kserksesa słudzy i obozowi robotnicy rozłożyli ponownie jego wielki pawilon, aby wódz mógł przyjmować podwładnych. W złocistych koszach dymią wonności, nasycając aromatem powietrze. Dzbanek miętowego naparu stał nad małym płomykiem, gotowy do podania. Mardoniusz powitał przybyłego Artabazusa ze sztywną kurtuazją, całując go w policzki.

– Witaj, bracie – powiedział. – Zechcesz coś zjeść? Jeśli chodzi o mnie, to sądzę, że odrobina mięty i słodkie ciasteczko dobrze mi zrobią o tej porze dnia.

Słońce zachodziło i Mardoniusz wiedział, że połowa jego ludzi nie przygotowała sobie jeszcze posiłku ani nawet nie rozłożyła koców. Grunt był tu kamienisty, a noce zdumiewająco zimne. Przynajmniej było sucho.

– Jesteś bardzo szczodry, wodzu. Jednak z największą przykrością muszę odmówić poczęstunku. Mam u siebie Hydarnesa z Nieśmiertelnych i Masistiusza, dowódcę konnicy, którym muszę powiedzieć, gdzie rozlokować oddziały, gdzie ustawić wozy i ogrodzić zwierzęta, bo beze mnie nic nie zrobią! Czasem wydaje mi się, że ty i ja jesteśmy ojcami małych dzieci.

Mardoniusz nic nie odpowiedział, ale niemal bezwiednie uniósł brew. Artabazus był małym, tłustym człowieczkiem, o głowę niższym od przywódcy Nieśmiertelnych i od dowódcy konnicy perskiego króla. Mardoniusz był ciekaw, czy Artabazus mówiłby równie arogancko, gdyby Hydarnes lub Masistiusz byli tu obecni. Odnosił wrażenie, że raczej nie.

– Sprawiłoby mi przyjemność, gdybyś zechciał zasiąść ze mną przy tym skromnym posiłku, Artabazusie. Bardzo sobie cenię twoje zdanie.

Był to oczywiście zwyczajowy rytuał dobrych manier. Pierwsze zaproszenie zawsze odrzucano, drugie zaś przyjmowano. Mardoniusz od samego początku widział, jak spojrzenie Artabazusa biegnie w stronę miodowych ciasteczek. Miał on słabość do takich smakołyków i dlatego właśnie Mardoniusz kazał je ułożyć na złotym talerzu.

– Skoro nalegasz, zjem jedno maleńkie – powiedział Artabazus. – Czynisz mi wielki zaszczyt. Co do mnie, to pragnę tylko służyć.

Zasiedli obaj ze skrzyżowanymi nogami na jedwabnym dywanie, ciesząc podniebienia miękkimi ciastkami i winem, wychwalając ich smak, aż zjedli wszystko do ostatniego okruszka. Artabazus pochłoniął zadziwiającą liczbę ciasteczek, choć uważał się w miarę jedzenia, a na koniec westchnął głęboko.

– Byłem kiedyś szczupłym młodzieńcem, uwierzysz? – rzucił.

Wyciągnął wykałaczkę z kości słoniowej. Mardoniusz uśmiechnął się, widząc go tak zrelaksowanego, lecz wciąż się zastanawiał, czy zdoła to obrócić na swoją korzyść. Z pewnością gość był ciekaw, co powie.

– Wiem, że mogę ci zaufać, Artabazusie – powiedział w końcu Mardoniusz.

– Nie ma co do tego wątpliwości – odparł tamten, skłaniając głowę.

– Będę rozmawiał z Hydarnesem i Masistiuszem. Wszyscy trzej jesteście moimi najwierniejszymi dowódcami, razem z moimi synami oczywiście. Muszę teraz polegać na was, że udźwigniecie całe brzemie powagi i odpowiedzialności,

przekazując moje rozkazy oddziałom i dopilnowując, by zostały właściwie wykonane. Powierzono mi wielkie zadanie, Artabazusie. Muszę mieć pewność, że rozumiesz jego wagę. Nie będzie żadnego nieposłuszeństwa i żadnych własnych interpretacji, czy to dostatecznie jasne?

– Oczywiście! – rzekł Artabazus. Pochylił się, aż jego brzuch oparł się na splecionych pod nim dłoniach. – Przybyłem tu służyć perskiemu rodowi królewskiemu, wodzu. To się nie zmieniło. Nic się nie zmieniło! Tylko zły rzemieślnik potrzebuje nadzorcy, który musi dbać, żeby nie przesypiał całego dnia. My wiemy, co mamy robić.

Zadowolony Mardoniusz potaknął skinieniem głowy.

– Dobrze. Jego Królewska Mość powierzył mi zadanie podporządkowania Greków. Chce, żeby stali się lojalnymi wasalami perskiego dworu.

Zauważył, że między brwiami mężczyzny pojawiła się lekka zmarszczka. Artabazus mrugał wolno, słuchając.

– Wydaje mi się... że rozumiem, wodzu. Masz władzę, żeby unicestwić, żeby zniewalać... Wystarczy, że mi rozkażesz, a ja będę posłuszny.

Mardoniusz przez dłuższą chwilę patrzył w bok. Milczenie służyło mu częściowo do zebrania myśli, a częściowo miało przypomnieć siedzącemu przed nim człowieczkowi, że winien czekać cierpliwie na jego postanowienia. Mardoniusz spędził cały poprzedni dzień na obserwowaniu Greków rozbijających perską flotę, z każdą godziną silniejszych i sprawniejszych. Rozglądał się wokoło, patrząc na zrujnowane miasto, na jego obalone mury i na ulice wciąż jeszcze ogarnięte pożarem, i o tej ponurej godzinie posłał intendentów, aby podliczyli aktualny stan zaopatrzenia.

Liczby, które mu przynieśli, nie napawały optymizmem. Armia perska maszerowała od miesięcy, a każdy z jego ludzi musiał otrzymywać dwa lub trzy posiłki dziennie. Potrzebne do tego ilości jedzenia były niewyobrażalne, a pomimo całego planowania i wszystkich tajnych składów ukrytych po drodze zapasy niebezpiecznie malały, zbliżały się zaś zimne miesiące. Mardoniusz wyczuł u swego zastępcy kiepsko skrywaną troskę. On również poczuł się osierocony i opuściła go odwaga, kiedy Kserkses uległ panice. Czuł również gniew, czego Mardoniusz nigdy by głośno nie powiedział. Zostali porzuceni w obcym kraju, z marnym zapasem żywności i dwustoma tysiącami ludzi do utrzymania przy życiu. Nikt nie walczył zimą! To było niemożliwe. Ludzie wracali do domów, wieszali broń nad drzwiami i jedli suszone jabłka oraz zboże, które przechowały ich rodziny. Armia musiała wozic żywność ze sobą albo zdobywać ją w terenie. Kiedy nadchodziły chłody, głód i śmierć głodowa groziły



wszystkim szaleńcom, którzy pozostali w polu. I na to mu przyszło. Został z zapasem żywności ledwie wystarczającym na najbliższy miesiąc.

– Zamierzam ruszyć na północ – powiedział – do Tesalii. To bogata, płaska kraina, z dużymi stadami owiec i obfitymi zbiorami złocistych zbóż. Mówiono mi, że zwą ten region chlebowym koszem Hellenów. – Wódz sięgnął poza brzeg dywanu, na którym siedział, i zaczerpnął garść pyłu. – To nie taka ziemia jak ten nędzny piach. Jeżeli zostaniemy w Attyce, wymrzemy do wiosny.

Artabazus przetrwał to, co usłyszał, pochyliwszy głowę i przymknąwszy oczy. Po dłuższej chwili skinął potakująco.

– Jak powiedziałaś, wodzu. Ja jestem posłuszny. Jego Królewska Mość tobie powierzył prowadzenie kampanii. To ty jesteś odpowiedzialny.

Czy w tym doborze słów było coś ostrego? Mardoniusz nie był pewien. Artabazus na pewno nie lekceważył swojej przyszłości i zapewne brał też pod uwagę własny awans, gdyby Mardoniuszowi nie udało się zapewnić zwycięstwa. Wódz pozwolił sobie na nikły uśmiech i lekko skinął głową swemu konkurentowi. Rzeczywiście, to na nim spoczywała cała odpowiedzialność. Nie należał jednak do tych, którzy boją się sprawować władzę. Mardoniusza cieszyła władza i wszystko, co się z nią wiązało. Zawsze przyjemniej było opierać się na innych, niż żeby inni opierali się na tobie. Ta myśl pokierowała jego odpowiedzią.

– Wiem, że będziesz moją prawą ręką, Artabazusie, i że wszelkie rozkazy, jakie wydam, zostaną wykonane szybko i akuratnie. Dziękuję Bogu i aniołom, że mam takich ludzi jak ty, Hydarnes i Masistiusz. Dajcie mi z siebie wszystko, a ja wyniosę was wysoko.

Dla kogoś, kto umiał słuchać, nie był to przekaz szczególnie dodający otuchy. Mardoniusz powiedział jasno, że składa odpowiedzialność, a także winę, na swoich podkomendnych. Zawsze tak było i Artabazus nie był tym zdziwiony. Jego usta wykrzywiły się, gdy się rozprostował i legł płasko na ziemi, okazując posłuszeństwo przez położenie rąk na głowie.

– Jestem naprawdę zaszczycony, wodzu – powiedział, gdy Mardoniusz pozwolił mu wstać. – Prawdę mówiąc, myślę, że nie ma innego wyboru. W mieście, które spaliliśmy, nic nie zostało. Ktokolwiek jeszcze tam żyje, nie przetrwa zimy. Powiem Masistiuszowi, że ruszamy na równiny Tesalii. Nasz dowódca konnicy myśli więcej o zwierzętach niż o swoich ludziach, będzie więc zadowolony.

Na chwilę na jego twarz powrócił ten sam skryty wyraz wynikający z politycznego wyrachowania. Mardoniusz z westchnieniem zaobserwował tę

krótką zmianę na jego obliczu. Wszyscy ludzie władzy musieli ugłaskiwać tych będących powyżej i onieśmielać tych stojących niżej. Artabazus był wobec niego słuźalczy i ochoczy, ale wobec swoich podwładnych był okrutnym tyranem. Wprowadzało to na wszystkich poziomach sprawowania władzy element oszustwa, gdyż każdy dowódca obierał taki sposób zachowania, jaki najlepiej podtrzymywał jego status. Ważną rzeczą była też jednak czytelność. Mardoniusz czekał więc, aż pojawi się pytanie, które, jak czuł, powoli wypływało na powierzchnię.

– Wodzu... w tym marszu na północ... czy przypadkiem nie będziemy przechodzić blisko Spartan? Przypominam sobie, że widziałem mapę, na której ich ziemie leżą na zachód od naszej drogi, ale nie na tyle daleko, żeby nie mogli ku nam wyjść.

Mardoniusz wiedział, że Termopile zasiały strach w całej armii, nie tylko w nim samym. Nikt z nich nigdy nie widział takiej siły wojennej, jaką przedstawiali sobą ci maniacy w czerwonych płaszczach. Sama liczba zabitych była przerażająca. Myśl o stawieniu czoła tysiącom takich wojowników wystarczała, by lęk zmroził serca najdzielniejszych mężów.

– Według naszych oswojonych Greków Spartanie zbudowali mur i kulą się za nim ze strachu. Na pewno nie wyjdą, a nawet jeśli, to ich zmiażdżymy. – Mardoniusz machnął lekceważąco ręką, kierując uwagę swego zastępcy na krajobraz i widoczne dalej wzgórze, pokryte jak okiem sięgnąć obozującymi perskimi oddziałami. – Nie było dotąd na ziemi siły tak wielkiej jak ta, Artabazusie. Nie lękam się tych nielicznych, których Sparta może wystawić w polu przeciwko nam.

Zostało to powiedziane z wielką pewnością siebie. Artabazus jeszcze raz złożył mu pokłon, woląc ponownie ucałować sandał wodza, niż przemówić. Dopiero kiedy odszedł, Mardoniusz zastanowił się, czy miało to oznaczać, że się z nim zgadza, czy nie.

## 9

W cieśninie salamińskiej zerwał się wschodni wiatr. Na głębokiej wodzie załogi okrętów stawiały wyciągnięte z ładowni maszty i zakładały takielunek. Inni wiosłowali z impetem w stronę plaż, ryjąc kilami głębokie rowy w piasku.

Głodne tłumy na Salaminie nie triumfowały. Wciąż było widać cienką smugę dymu nad Atenami i dla wielu tych ludzi oznaczało to utratę wszystkiego. Nie było powrotu do domu, bo dom już nie istniał, podobnie jak życie, jakie wiedli przed inwazją. Wchodzili jednak na okręty, tłocząc się na otwartych pokładach i czekając żałośnie na przeprawę na kontynent.

Na morzu Temistokles zwołał strategów, wywieszając czarną flagę. Nie było słowa, które lepiej spełniłoby tę rolę, pomyślał. Jak na polu bitwy pod Maratonem, Ksantyppos i Kimon działali jak dobrzy starsi dowódcy, nadzorując ruchy okrętów. Żaden z nich nie kierował się ślepym posłuszeństwem, stwierdził z dumą Temistokles. Zgromadzenie wychowywało myślicieli, nie niewolników. Rada pięciuset mężczyzn co miesiąc rozpoczynała obrady od uroczystej przysięgi: „Radzić zgodnie z prawem, z największym pożytkiem dla ludu Aten”. Przysięga ta wydawała się prosta, nawet gdy skutkiem były wojna i ewakuacja.

Kiedy Ksantyppos i Kimon dobili swymi galerami do jego okrętu i weszli na pokład, Temistokles zauważył na ich twarzach raczej nieufność i podejrzliwość niż ochotę do gratulacji. Wciąż było tak wiele do zrobienia.

Jeszcze jedna galera podwiosłowała na tyle blisko, że wiosłarze mogli złapać nawzajem za wiosła i wciągnąć je do środka. Temistokles nie był zaskoczony, widząc Eurybiadesa ze Sparty. Dał mu znak gestem dłoni, by przeszedł na jego pokład, używając okrętu Kimona jako mostu. Temistokles zwrócił uwagę na niezwykłą precyzję, z jaką Spartanin stawiał kroki, choć okręty kołysały się na fali, ocierając się o siebie. Taki sam był też kontakt ze Spartanami, pomyślał. Szorstki.

Gdy Kimon i Ksantyppos witali nauarchę, Temistokles zauważył, że przybywają też inni. Przywódcy Koryntczyków, Megaryjczyków, Eginetów i jeszcze kilku innych podpłynęło do ich flotylli, choć niektóre okręty płynęły nierówno i nabierały wody. Temistokles nie spodziewał się konferencji

wszystkich sojuszników. Przywołując ich, miał na myśli tylko przywódców ateńskich, ale najwyraźniej czegoś nie dopatrył. Zjawili się wszyscy biorący udział w walce. Przewozili ateńskie kobiety i dzieci oraz ryzykowali życie w tych dniach cierpienia i zmęczenia. Temistokles skinął im głową, podobnie jak Kimonowi i Ksantypposowi. Jego ludźmi byli przede wszystkim Ateńczycy, owszem, ale jeśli uwzględnić prawdę o tej wielkiej flocie, to wszyscy byli też Grekami. Tak czy owak czuł się zbyt znużony, by zapewnić im radosne przyjęcie, stając się gładką oliwą między nimi, a zarazem solą przydającą smaku! Pomyślał, że chyba już nigdy nie polubi soli, gdyż połknął jej zbyt dużo w ciągu minionych dni. Pokrywała jego skórę i pokład okrętu, a także wiosła, niczym zimowy szron. Gdy wszyscy znaleźli się na pokładzie, Temistokles posłał im uprzejmy uśmiech, po czym uściśnął każdą wyciągniętą ku niemu dłoń.

– Składam dzięki Atenie i Posejdonowi... i wam wszystkim – powiedział. W końcu przecież przyszli na jego okręt. On był gospodarzem, a oni winni wysłuchać tego, co im powie. – Walczyliśmy razem bardzo dobrze, a ci, którzy tu byli, na zawsze zapamiętają, w jaki sposób tego dokonaliśmy. W formacjach, taktyką włóczy. Dziękuję Ksantypposowi, którego sprowadziłem do domu, a którego wartość zawsze była dla mnie oczywista. – Nie zwrócił uwagi na grymas irytacji, jaki na te słowa przemknął po twarzy wymienionego. – Składam hołd ludziom z Koryntu, którzy walczyli jak wilki i nie ustępowali na krok. Oddaję cześć trierarchom ze Sparty, którzy stracili w tej dzikiej walce połowę okrętów, ale nie ulegli.

Eurybiades pochylił głowę, a jego usta poruszyły się w niemej modlitwie. Temistokles przerwał. Przyszła pora na odrobinę polityki, subtelną perswazję i nacisk. Prawdziwy przywódca wymieniłby ich wszystkich z nazwiska, wyróżnił każdy kontyngent. Upamiętniłby wszystkie ich zwycięstwa i wychwalał, wynosząc pod niebiosa. Jednakże tego dnia za nic nie zdołałby się do tego zmusić.

– Wysłałem dwa listy do perskiego króla – poinformował.

Eurybiades otworzył szerzej oczy na nagłą zmianę tematu. On również znał obowiązujące po bitwie rytuały.

Temistokles spojrział na ich zmarszczone brwi. Mieli takie poważne miny!

– Pierwszy list zaniósł pomocnik naszego cieśli. Poprosiłem w nim Kserksesa, żeby posłał połowę floty wokół Salaminy. Powiedziałem, że nie zdołamy obronić obu końców cieśniny. W rezultacie rozdzielił swoją flotę. Działając wedle moich instrukcji, podzielił ją na pół i dzięki temu mogliśmy

pokonać każdą z jej części osobno. Gdyby zaś pozostała w jednej wielkiej formacji, nie udałoby się to nam. Ta jedna decyzja uratowała nas wszystkich, ale nawet wtedy Ateny jeszcze płonęły, a przyszłość Grecji wisiała na włosku. Zeszłej nocy wysłałem drugi list, w którym napisałem, że grupa naszych wojowniczych kapitanów postanowiła popłynąć i zniszczyć jego słynny okrętowy most. Aby temu zapobiec, Kserkses wymknął się nocą, zabierając ze sobą drugą setkę okrętów! Tak więc, kiedy będziecie pić za nasze zwycięstwo, to koniecznie wzniescie jeden lub dwa kielichy za nasze szczęście i za ateńską przebiegłość. A może i, czemużby nie? Za Temistoklesa!

To ostatnie powiedział, wznosząc rękę, jakby spełniał toast. Spartański dowódca zamrugał. Nic nie odpowiedział. Kimon jednakże się zaśmiał i odchylił lekko w tył, jak pchnięty podmuchem wiatru.

– Za Temistoklesa! – rzucił.

Ten schylił w podzięcie głowę.

Ksantyppos skrzywił się, patrząc na nich.

– Szlachetni towarzysze – wtrącił – nie stanąłem w tym miejscu, aby chwalić i być wychwalanym. Być może umknęło waszej uwagi, że na pokłady naszych okrętów wchodzi już ludzie z Salaminy. Musimy obrać jakiś cel podróży! Moja załoga nie ma już zapasów wody i pożywienia. Bardzo ich potrzebuje. Chcę się dowiedzieć, czy ktoś z was ma jeszcze trochę rezerw i może się nimi podzielić, zwłaszcza świeżą wodą. Stoję tu też, aby zapytać, czy ktoś zna jakieś bezpieczne miejsce, do którego moglibyśmy zawieźć nasze kobiety i dzieci, zanim wioślarze padną. Nawet jeśli Temistokles ma rację... – Tu umilkł i popatrzył na swego rodaka, który wciąż stał z uniesionymi brwiami zdumiony, że mu przerwano. –

Jeżeli ma rację co do perskiego króla, to pamiętajmy, że w Attyce wciąż przebywa jego armia. Zakładam, że odeszli, gdy podpalili miasto, ale czy bezpiecznie będzie przybić do brzegu w Pireusie? Nie chciałbym po wygranej na morzu wydać naszych ludzi w ich ręce!

Ksantyppos mówił cicho i poważnie. Za pomocą kilku słów zmienił nastrój ze stanu upojenia i egzaltacji w poczucie rozważnej celowości. Choć jego słowa miały wielki sens, Temistokles poczuł, że nigdy nie lubił go mniej.

– Ja zaś przyszedłem, żeby się pożegnać – oznajmił nagle Eurybiades. – Jak powiedziałeś, połowa z moich szesnastu okrętów została zatopiona, a ich załogi zginęły. Teraz moim obowiązkiem jest wrócić na Peloponez, zawieźć te wieści, a potem patrolować tamtejsze wybrzeża.

– No i wezwać armię Sparty – dorzucił Ksantyppos.

Eurybiades najwyraźniej wyczuł krytykę w jego głosie. Możliwe, że rzeczywiście.

– To będzie zależało od decyzji regenta i eforów. Uważaj, Ateńczyku. Mój lud poświęcił już tej sprawie króla Leonidasa i połowę swej floty. Nie będziesz kwestionował wypełnienia złożonej przez nas przysięgi.

Za plecami Ksantypposa, po drugiej stronie cieśniny, widać było Ateny. Dym wciąż się nad nimi unosił, ale białe smugi były niczym w porównaniu z ognistymi kłębami sadzy wznoszącymi się nad miastem ubiegłej nocy. Spartanin najwyraźniej zrozumiał, że nie wygra, porównując straty i zaangażowanie.

Zamiast tego zwrócił się do Temistoklesa:

– Powiedziałem wcześniej, że zgłoszę się do ciebie, kiedy będzie po wszystkim.

– Ale nie jest po wszystkim – odparł ten ze wzruszeniem ramion. – Jeśli jednak sobie życzysz, mogę się z tobą spotkać. W pojedynku pięściarskim. Teren Akademii nad rzeką Ilisos powinien się do tego nadawać, pod warunkiem że z gimnazjonu nie został już tylko popiół. Wybierz dzień, a ja się stawię.

Ku zaskoczeniu wszystkich strategów Spartanin się roześmiał.

– Chciałbym ci tylko coś przypomnieć. Czas nie jest właściwy. Jednakże wybieram tarczę i miecz. Kiedy to się zakończy, zgłoszę się do ciebie.

Temistokles się najeżył, a jego zmęczenie ustąpiło jak ręką odjął. Zastąpił je gniew.

– Na twoim miejscu zabrałbym ze sobą paru przyjaciół. Nie wydaje mi się, żebyś dał radę sam.

– Nie potrzebuję przyjaciół...

– Och, czyżbyś żadnych nie miał?

Spartanin poczerwieniał na twarzy i Ksantyppos musiał ich przekrzyczeć:

– Szlachetni towarzysze, jeśli mogę wam przerwać: nie określiliśmy jeszcze naszych prawdziwych potrzeb. Nauarcho Eurybiadesie? Chciałbym prosić cię o użyczenie nam twoich okrętów na jeszcze jeden dzień w celu zabrania naszych kobiet i dzieci.

– Nie, Ksantypposie – rzucił Eurybiades, wciąż wpatrując się groźnie w Temistoklesa. – Obowiązek wzywa mnie do domu. – Najwyraźniej jednak zrozumiał, że jego odpowiedź była zbyt oschła. Twarz mu pociemniała. – Znam cię jako człowieka honoru, Ksantypposie z Aten. Moi kapitanowie dobrze mówią o twoim dowództwie. Przyjmij moje podziękowania. – Nacisk położony na „przyjmij” wyłączał z podziękowań Temistoklesa.

– Gdyby nie ja, nie miałbyś już żadnych kapitanów – prychnął Temistokles. – Lepiej, żebyś ugiął kolano i podziękował Atenie, Eurybiadesie.

– Dość! – rzucił ostro Ksantyppos, zaskakując ich obu, zanim Eurybiades zdążył odpowiedzieć. – Jeśli nie umiesz liczyć się ze słowami, rozmawiając z naszymi sojusznikami, Temistoklesie, to w jakim celu nas tu zwołałeś? Nauarcha dobrze wie, o jaką stawkę gramy. Spartanie wyjdą w pole. Arystydes połączy naszych hoplitów z nimi i z wszystkimi siłami naszych sojuszników! Znamy wroga i wiemy, że nie zdołamy pobić tej armii sami, tak jak nie mogliśmy sami zwyciężyć ich floty. Tu nie ma miejsca na małe rywalizacje.

– Masz rację, Ksantypposie, oczywiście – odparł oschle Temistokles. – Bardzo dobrze. W drogę, nauarcho Eurybiadesie. I dziękuję.

Tytułowanie go „nauarchą” było subtelnym przytykiem, biorąc pod uwagę fakt, że Temistokles odebrał mu dowództwo i tytuł stracił swoje znaczenie. Rumieniec gniewu znowu oblał twarz Spartanina aż po szyję.

– Jeszcze słowo, Temistoklesie – wtrącił się Ksantyppos – a wniosę przeciwko tobie sprawę przed zgromadzeniem.

Po tych słowach poczuł na sobie zimne spojrzenie Kimona, ale nie było na to rady. Przecież Ksantyppos w taki właśnie sposób zniszczył jego ojca. Nie była to więc próżna groźba i zaszokowany Temistokles obrócił się ku niemu. Przez jakąś dziką nieostrożność, spowodowaną zmęczeniem lub głodem, Temistokles naraził ich wszystkich na niebezpieczeństwo. Powinni się teraz rozstać, odpocząć, zjeść, wypić i znowu odpocząć. Ksantyppos zastanawiał się, czy któryś z nich będzie miał potem lepsze szanse w rozmowach.

Gdy Temistokles umilkł, Spartanin skinął głową Ksantypposowi. Chciał poprzeć człowieka, który potrafił uciszyć Temistoklesa.

– Mogę poczekać jeszcze jeden dzień, Ksantypposie. Użyczę w tym celu moich okrętów. Ale dokąd chcecie zabrać waszych ludzi?

Ksantyppos spojrział na Salaminę. Eleuzis leżało na wybrzeżu po drugiej stronie, tam, gdzie Arystydes rozłożył obóz dla ateńskich hoplitów. Ale z perską armią przebywającą gdzieś w pobliżu to nadmorskie miasto było równie podatne na jej atak jak wszystkie inne miasta w Attyce. Poczul ogarniające myśli zmęczenie. Po chwili odchrząknął i głos zabrał strateg koryncki:

– Myślę... szlachetni towarzysze, że nigdzie nie jest naprawdę bezpiecznie, dopóki Persowie pozostają w Grecji. Mogą ruszyć na dowolne miasto i zniszczyć je, tak jak zrobili to z Atenami. Zanim nie zostaną rozbici albo zmuszeni do ucieczki, nie będzie schronienia.

Była to prawda, ale tak przygnębiająca, że wszyscy milczeli.

W końcu, niechętnie, przemówił Eurybiades:

– Wasza ludność może się udać na Peloponez. Mur przegradzający Przesmyk Koryncki zapewnia bezpieczeństwo Sparcie i Koryntowi. Ludzie będą mogli tam odpocząć i nabrać sił jako uchodźcy.

Ksantyppos i Temistokles skrzywili się na to słowo. Myśl o ukrywaniu się za murem była dla nich dostatecznie ponura. Ale zależność od Sparty jeszcze gorsza.

– Dziękujemy, nauarcho – powiedział oficjalnie Ksantyppos, w jego głosie nie było jednak śladu uszczypliwości, jaką okazywał Temistokles. – Ale zanim podejmiemy decyzję, pošlę najpierw ludzi do Aten, aby sprawdzili, czy Persowie nie zostawili tam wojowników.

– Z pewnością nie, chyba że umieliby oddychać ogniem – burknął Temistokles.

Znowu miał mętne oczy i najwyraźniej opuściła go resztką energii. Ksantyppos był za to wdzięczny, bo Spartanin jeszcze przed chwilą bliski był sięgnięcia po broń i poskromienia złośliwca. Gdyby to uczynił, ateńska załoga z pewnością nie stałaby beczynnie, obserwując, jak Eurybiades atakuje Temistoklesa. Bardzo szybko źle by się to skończyło.

– Powiedziano mi, że Persowie obrócili mury Aten w ruinę – odezwał się Spartanin.

Ksantyppos uśmiechnął się, choć w uśmiechu tym była spora doza goryczy.

– W Sparcie nie macie murów – przypomniał.

Eurybiades zamrugał, zbity z tropu.

– No cóż, nie. My jesteśmy murami... – tu przerwał, zrozumiałwszy, do czego nawiązuje strateg.

– Te okręty są naszymi murami – powiedział Temistokles. – Jeśli Persowie zagrożą miastu, możemy schronić się w tych drewnianych murach i uciec! Już tak zrobiliśmy. Wygląda na to, że teraz nie mają własnej floty, co?

Wydawało się, że ten pomysł ponownie go ożywił. Temistokles przypominał Ksantypposowi kapiący ostatnimi kroplami oliwy knot, który na zmianę to przygasa, to ożywa płomieniem.

Ksantyppos skinął głową. Być może dlatego wszyscy zwracali się do niego, oczekując podjęcia decyzji, że Temistokles ledwo trzymał się na nogach. Niektórzy ludzie mieli głęboko zakorzeniony w sobie autorytet. U niektórych wynikało to z rodowego nazwiska albo więzów krwi. Inni osiągnęli to z wiekiem, ciężką pracą i wysiłkiem, ale również tym, że w ważnych sprawach częściej



mieli rację, niż się mylili. Jakakolwiek była przyczyna, wszyscy stratedzy floty patrzyli na niego.

– Zabierzemy naszą ludność do domu – powiedział Ksantyppos. – Gdy tylko się przekonam, że w mieście jest bezpiecznie, okręty odwiozą ludzi do Pireusu. Miasto to nie są mury ani nawet świątynie. To ludzie, którzy ocaleli. Odbudują je, ale wciąż będziemy mieli okręty, żeby ich wywieźć, gdyby Persowie wrócili. Nie zapomnę wam wszystkim tego, czego dokonaliście.

Kolejno uściskał ręce pozostałym i posunął się nawet do tego, że złapał Temistoklesa za ramię i pociągnął dwa kroki, aby mógł jeszcze raz podać Eurybiadesowi dłoń. Nie był to jednak przyjazny uścisk.

– Nie zapomnij naszej małej dyskusji – rzucił Temistokles.

– Nie zapomnę – odparł Eurybiades, ukazując w grymasie zęby. – Nie mogę się doczekać jej dalszego ciągu.

Po odjeździe Kserksesa Mardoniusz zdał sobie sprawę, że minął już rok od rozpoczęcia kampanii. Ani on, ani wielki król nie spodziewali się, że uda się zakończyć ten konflikt w jeden sezon. Przypomniawszy sobie o tym w drodze na północ, ku ziemiom, które jego greccy sojusznicy opisywali jako żyzne i bogate, z rozległymi polami żyta i licznymi stadami owiec i kóz. Miał nadzieję, że to prawda. Jego armia otrzymywała teraz połowę racji żywnościowych, żołnierze mieli smętny wzrok i burczało im w brzuchach. Choć ludzie wybili wszystkie żywe stworzenia w promieniu jednego dnia marszu, z ledwością starczało to na porządny posiłek, nie mówiąc o trzech. Co ważne, dwieście tysięcy żołnierzy potrzebowało też kucharzy, kowali i rymarzy, żeby przebywać w polu. Po kilku dniach ciężkiej pracy przy niedostatku żywności zużyty ekwipunek wymagał napraw, a konie chudły. Perska armia spadła na Attykę jak chmara szarańczy, zagarniając wszystko, co żyło i co rosło, a po jej przejściu nie zostawało nic. Mardoniusz wiązał wielkie nadzieje z równinami Tesalii, przynajmniej dla zwierząt. Wyciągnął rękę i poklepał swego wałacha po szyi. Był to świetny i wytrzymały wierzchowiec, ale musiał każdego ranka skubać świeżą trawę albo, jeszcze lepiej, jeść ziarno, jeśli miał podołać całodzienną jeździe.

Kiedy tak stał, oddziały mijały go w marszu. Ludzie robili wszystko, żeby wyglądać na zdolnych do walki, ale on widział w nich zmęczenie, a nawet lęk. W miarę upływu dni zaczęli odczuwać brak królewskiej obecności. Zastanawiali się, dlaczego Kserkses ich opuścił, choć Mardoniusz uśmiechał się do nich jak dumny ojciec, skinieniem głowy pozdrawiając przejeżdżających dowódców, podczas gdy oni kłaniali mu się z siodła. Specjalne mrugnięcie okiem i znaczący ruch głową zachowywał dla swoich czterech synów, ale w sumie nie mógł narzekać na ludzi, których Kserkses poprowadził za sobą przez te suche wzgórza. Wielki król pozostawił skład i ćwiczenie wojsk Mardoniuszowi oraz starszym dowódcom, dzięki czemu wojownicy byli twardzi i wytrzymali. Wyglądało na to, że jedynym słabym punktem był sam władca.

Mardoniusz wciąż bronił się przed takimi myślami, podobnie jak koń odruchowo cofa się, wjeżdżając do cienia. Wskutek utrwalonego nawyku

wodzowi trudno było krytykować nie tylko króla, ale i członków jego rodziny. Stanowili odrębny gatunek, bardziej podobny do aniołów niż ludzi, i nie można było z nimi dyskutować ani podawać w wątpliwość ich zdania. Na razie jednak, w miarę jak wojsko przemierzało kolejne wzgórza, oddalając się od Aten, poranki były ciche i spokojne. Armia tej wielkości niczego nie robiła prędko. Dni mijały w drodze, na długich rozważaniach.

W najbardziej skrytych myślach Mardoniusz wciąż powracał do klęski Kserksesa, młodego mężczyzny, którego podziwiał. W taki sam sposób dotykał językiem ukruszonego zęba. Wiedział, że powinien wezwać kowala, aby go wyrwał. Ból potrafił uczynić dziecko z każdego mężczyzny; nieraz był tego świadkiem. Wola powoli słabła, pochłonięta przez lęk i cierpienie... Mardoniusz był wściekły, że postawiono go w tej sytuacji, ale nie powiedział głośno nawet słowa na ten temat. Nie z powodu szeptów, które w końcu dotarłyby do domu, ale z lojalności. Wobec Kserksesa oczywiście, ale najbardziej przez pamięć dla jego ojca. Mardoniusz był bardzo lojalny. Samo to pozwoli mu wytrwać, kiedy już wino wyschnie, a chleb pokryje się pleśnią. Taką przynajmniej miał nadzieję. Z dala zobaczył dwóch konnych zwiadowców, którzy wyjechali na szczyt wzgórza. Zauważył, że nie mieli tarcz ani włócznie. Najwyraźniej obserwowali przemarsz wojsk perskich i meldowali o tym dowódcom Aten, Sparty albo któregoś z innych, mniejszych miast-państw. Mardoniusz ich zignorował. Gdyby podjechali bliżej, mógłby posłać w pościg za nimi kilku jeźdźców, żeby ich przepędzili. Potrząsnął głową, wracając myślami do tego, co musi jeszcze zrobić, zanim będzie mógł ruszyć do domu. Zamknawszy oczy, ujrzał swój ogród z pięknymi kwiatami, które nasycaly powietrze cudowną wonią. Persja wiosną! Kiedy znowu otworzył oczy, ziemię pokrywał suchy pył, z rosnącymi gdzieś drzewami oliwnymi, poskręcany jak sylwetki starców.

Kserkses powiedział mu, żeby podporządkował sobie Greków, zmusił ich do ugięcia kolan i poddania się perskiemu imperium. Mardoniusz nastawił umysł na wypełnienie zadania, jakie mu powierzono. Po jakimś czasie stwierdził, że go to cieszy. Mieć problem, do którego rozwiązania trzeba mądrości i doświadczenia, kojarzyło mu się z uczuciem towarzyszącym podnoszeniu ciężarów. A nawet z czymś więcej. Mardoniusz tak długo pozostawał pod okiem Kserksesa, że niemal zapomniał, jak cieszy uczucie zwykłego sprawowania władzy. Gdy wiatr owionął mu twarz, poczuł ogarniający go spokój. Dowodził wszystkimi perskimi siłami w Grecji. Był wolny. Mógł ponieść klęskę, zdechnąć z głodu, ale też odnieść triumf, wiedząc, że to dokonanie jest wyłącznie jego dziełem.

Mardoniusz prowadził kampanię wraz ze swymi dzielnymi synami i zaufanymi dowódcami! Dla starego wyjadacza jak on nie było to zbyt wielkim ciężarem.

Kilku jeźdźców na przedzie zadęło w rogi, przywracając jego myśli do teraźniejszości. Mardoniusz zmrużył oczy. Daleko na zachodzie dostrzegł mgiełkę ciemnego błękitu, ale również ciemnobrunatną linię; był to mur postawiony w poprzek sławetnego przesmyku. Poczul kwaśny smak w ustach, gdy zrozumiał, że czerwone plamki na jego tle to ubrani w swoje płaszcze Spartanie, którzy obserwują jego ludzi. Mruknął jakieś przekleństwo pod ich adresem i splunął na ziemię.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego wojska przemaszerują tak blisko tego lądowego przesmyku, który oddzielał Peloponez od reszty Grecji. Przypomniał sobie, że Artabazus coś o tym wspomniał, ale rzeczywistość trochę go jednak zaskoczyła. Wszyscy perscy dowódcy słyszeli o murze zbudowanym przez Spartan. Mardoniusz skrzywił się, przypomniawszy sobie, jak śmiał się kiedyś, słuchając opowieści o nim. Niewiele przecież znaczył, skoro perska flota mogła wylądować w dowolnym punkcie ich skalistego wybrzeża! A teraz ta flota leżała na dnie salamińskiej cieśniny, jej szczątki zaś wciąż wypływały w różnych miejscach egejskiego brzegu. Na koniec wyszło na to, że ten głupi mur Spartan okazał się dziełem geniuszu. To wystarczyło, żeby uwierzyć w ich bogów...

W obecności obserwujących nieprzyjaciół Mardoniusz poczuł ukłucie żalu, patrząc na swoją armię w marszu. Kroczyła w dwóch tysiącach szeregów, a każdy szereg liczył od osiemdziesięciu do stu ludzi. Tworzyła nieskończenie długą, wijącą się kolumnę, ciągnącą przez nieznaną kraj, ale nie wyglądała tak groźnie, jak by sobie życzył. Trwało długie godziny, zanim całkowicie minęła daleką spartańską linię. A niech sobie patrzą! Oddziały perskiej jazdy sunęły po bokach, wzbijając gęsty obłok pyłu, który wisiał w powietrzu przez pół dnia.

Na murze nikt się nie poruszył, jak zauważył Mardoniusz. Po tym, co widział z bliska pod Termopilami, niemal się spodziewał, że brama otworzy się nagle na oścież i Spartanie ruszą przez nią do ataku. Ponownie splunął pyłem, zde gustowany ulgą, jaką poczuł. Niech ich diabli wezmą za szkodę, jaką wyrządzili jego armii! Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła stanąć naprzeciw tych czerwono odzianych wojowników, nie czując przy tym skurczu wewnętrznego.

Rozmyślał, czy to, o czym zapewniali go wtedy Tebańczycy, było prawdą. Spartanie mieli najwyżej dziesięć tysięcy wojowników, na pewno nie więcej. Podobnie jak Kserkses rozkazał postąpić z Leonidasem, tak i Mardoniusz mógłby teraz ich otoczyć, zasypać włóczniami, strzałami i pociskami z proc.

Byli przecież tylko ludźmi. Ich bogowie byli fałszywi. Powtarzał to sobie, choć czuł ucisk w żołądku, który był jak ostrzeżenie.

\* \* \*

Agarysta ponownie zeszła z okrętu w Pireusie. Wiedziała doskonale, że Ateny nie będą już takie same, ale trudno było pogodzić się z rzeczywistością. Brzeg zasłany był połamanymi deskami i wygiętymi wręgami okrętów jak rozkładającymi się truchłami wielorybów. Martwe ciała wciąż obijały się o kadłuby, a niektóre drżały, jakby wciąż było w nich życie. Wiedziała jednak, że to niewidoczne na powierzchni zgłodniałe ryby podżerają je od spodu. Widziała wyciągane na brzeg zbielełe ciało jakiegoś biedaka, któremu brakowało części twarzy. Reszta zwłok na razie leżała tam, gdzie woda je wyrzuciła. Prawdziwe życie, zwykłe życie, wciąż jeszcze nie powróciło.

Stała z trojgiem swoich dzieci na kamiennym nabrzeżu. Konie, które wcześniej przyprowadziła z domu, oczywiście zniknęły. Ukradziono je albo same uciekły. Agarysta zrozumiała, że musi pójść piechotą. Rozejrzawszy się, zauważyła jedną z młodych kobiet należących do jej domowników, która podbiegła ku niej prędko z opuszczoną głową i włosami w nieładzie. Dwie inne też odnalazły swoją panią i kajały się z powodu nieobecności. Agarysta dostrzegła je podczas swego krótkiego wygnania za wodą. Była pewna, że jedna z nich również ją widziała, lecz Agarysta nie przywołała jej do siebie, bojąc się, że mogłaby nie podejść. Teraz, z każdą mijającą godziną, dawne prawa i życiowe zależności znów powracały. Po prawdzie jej domowi niewolnicy nie mieli dokąd pójść. Jeśli nawet pojawił się u nich jakiś odruch urazy czy rezygnacji, prędko był ukrywany.

Agarysta poczuła, jak zabiło jej serce, kiedy ujrzała w tłumie jeszcze jedną znajomą twarz. Cała ludność miasta przepływała teraz przez port, zmierzając do swych domów w Atenach lub do tego, co mieli w ich miejscu odnaleźć. Akropol był stąd widoczny, jakby nic się nie zmieniło. Gdyby nie swąd dymu i odór zwłok unoszących się w wodzie, mógłby to być niemal zwyczajny dzień.

– Maniasie! – krzyknęła.

Wyglądało to tak, jakby jej głos był haczykiem wyciągającym jedną rybę z ławicy. Poczuła ulgę, gdy Manias stanął przy jej boku. Zauważyła wyraz dziwnego zakłopotania na jego twarzy, ale powód tego stanu umknął jej, przesłonięty radością spotkania.

– Tak się cieszę, widząc cię żywego! – zawołała.

Manias wyglądał na zmęczonego, lecz poświęcił chwilę, by poklepać Peryklesa po ramieniu.

– Straciliśmy... wielu – powiedział. Pobladłymi wargami dodał słowo, którego używali ludzie niskiego stanu wobec panów i przełożonych: – ...kyrio.

– Och, jesteś wolny, Maniasie! Mój mąż zaręczył słowem.

– Jeśli to słowo zostanie dotrzymane – mruknął, patrząc nad jej ramieniem na tłum wciąż wysiadający z okrętów.

Nie było chaosu, ale też nie świętowano. Stratedzy oznajmili, że miasto jest bezpieczne i wolne od wrogów, przynajmniej tego dnia. Każda rodzina wracająca z Salaminy chciała jak najprędzej wejść do Aten i zobaczyć, co uda się jeszcze uratować, najlepiej zanim sąsiedzi zaczną przetrząsać zgliszcza.

Manias wiosłował dla Aten, ale robił to też z powodu obietnicy odzyskania wolności. W tym momencie Agarysta nie była pewna, czy autorytet jej męża sięga naprawdę tak daleko. Będzie to przedmiotem debaty zgromadzenia, które wyda formalny osąd... Jej myśli odpłynęły. Czy nadal istniało zgromadzenie ateńskie? Rada? Jej wuj Klejstenes nigdy nie wyobrażał sobie obcej armii najeżdżającej i palącej miasto. Ksantypoos powiedział jednak, że zgromadzenie tworzą otaczający ją ludzie, idący od strony portu zwartymi grupami. Rodziny odnajdywały się na nabrzeżu, podczas gdy tysiące innych wędrowały, powracając do tego, co znane, uciekając od wspomnień strachu i desperacji.

– Maniasie, znasz słowo mego męża. Jesteś wolny. Ale czułabym się bezpieczniej, gdybyś pozostał przy mnie, przynajmniej do czasu powrotu do naszego majątku albo domu męża...

Zatrzymała się gwałtownie, uświadamiając sobie nagle, że miejsca te są już zapewne tylko popiołem pośród zwęglonych krokwi. Poczowała się wykorzeniona, łzy zakręciły się w jej oczach. Manias spojrzał, ale nie odezwał się od razu. Milczał dłuższą chwilę. Był wolny dopiero jeden dzień, ale wolność ta była ciężko zdobyta i nie zamierzał jej oddać.

– Wolny człowiek pracuje za zapłatę, kyrio... – powiedział, rumieniąc się.

Agarysta kiwnęła głową, wyjęła sakiewkę i wyłowiła z niej dwie srebrne monety.

– To dzienna zapłata dla wolnego człowieka, Maniasie. Czy to wystarczy?

Roześmiał się cicho, a jego oczy rozbłysły silną emocją.

– O tak, kyrio. Dziękuję. – Przyjął pieniądze niemal z czcią; były pierwszymi, jakie zarobił w swoim nowym życiu.

Kilka chwil później rozległ się jego donośny głos przywołujący zabłąkane służące, zbierający je w jedną grupę i wskazujący drogę. Agarysta patrzyła na

synów i córkę. Oczywiście wciąż traktowali to wszystko jak wielką przygodę. Podróże na pokładzie triery, bitwa morska rozgrywająca się na ich oczach. Agarysta ukrywała przed nimi swój strach. Perska armia w sile przewyższającej wojska wszystkich greckich miast-państw wciąż przebywała w Grecji. Gdy Persja prowadziła wojnę, losy córek i synów bywały bardzo różne. Rozpacz tliła się w niej jak światło dogasającego ognia. Zbyt okrutne byłoby odniesienie niemożliwego zwycięstwa pod Salaminą, by potem zaznać klęski.

Powtarzała sobie, że zawsze jest nadzieja. Ksantyppos, Temistokles i Kimon zatriumfowali nad wielką królewską flotą. Zaczęła po cichu mrużyć stary hymn modlitewny do Ateny, którego nauczył ją kiedyś mąż. Powiedział, że śpiewano go pod Maratonem, i to przyniosło jej pociechę. Podniosła oczy, gdy posłyszała, że ton tej modlitewnej pieśni podchwyciły tłumy zmierzające do miasta. Coraz więcej ludzi zaczynało śpiewać, przekazując sobie pieśń z ust do ust. Znali jej słowa, bo byli Ateńczykami. Choć nie była to radosna melodia, zrobiło jej się ciepło na sercu, gdy do śpiewu włączyli się Aryfron, Perykles i Eleni.

Weszli do Aten ze śpiewem na ustach, lecz widok spalonych ulic i gruzów zdławił ich głos do pełnego zgrozy szeptu. Gdy strumień mężczyzn, kobiet i dzieci mijał ruiny, które kiedyś były murami i bramą miasta, wielu szlochało i zawodziło głośno z żalu. Dla wielu z nich to, co dotąd przeżyli, było jak nierzeczywisty sen. Mężczyźni wiosłowali albo walczyli na pokładach okrętów, a ich świat skurczył się do tych, którym musieli stawić czoło. Ich rodziny czekały w przerażeniu na piaszczystym brzegu.

Rzeczywistość ukazała im się dopiero teraz. Każdy róg ulicy objawiał kolejny obraz zniszczenia i był jak cios w serce. Popiół pokrywał wszystko i ci, którzy przeszli przez bramę i dotknęli czegoś lub coś podnieśli, szli dalej umorusani sadzą. Agarysta z rodziną zmierzali dalej, widząc, jak ludzie tulą się do siebie w ruinach swoich domów. Matki i ojcowie szukali całych dachówek, które można było ocalić, choć łzy spływały im po brudnych policzkach. Ku zdziwieniu Agarysty były tam też dzieci goniące się w zgliszczach i nurkujące ze śmiechem pod zwęglonymi belkami. Uśmiechnęła się, przechodząc obok i kierując się do miejskiego domu swego męża.

Persowie byli skrupulatni. Podpalali wszystko albo ściągali w dół linami i hakami. Tylko same ulice pozostały otwarte, choć ścieki w rynsztokach zagotowały się od szalejącego w górze ognia. Po raz pierwszy zwykły smród miasta zginął pod swądem zwęglonego drewna i pieprzną wonią spękanych od gorąca kamieni.

Agarysta, mijając grupy krzyczących i kłócących się młodych mężczyzn, cieszyła się, że ma przy sobie Maniasa. Wiedziała, że porządek zostanie wkrótce przywrócony. Jej mąż zaprzęgnie ich do pracy aż do wyczerpania nadmiaru buzującej w nich energii. Ksantyppos wiedział, jak stosować siłę i jak naginać ludzi do swej woli. Miał do tego talent, dla którego Temistokles wezwał go z powrotem do domu.

Gdy dotarli do miejskiej willi jej męża, okazało się, że też została spalona. Gdzieś w głębi duszy Agarysta wierzyła, że ocaleje coś więcej niż kilka poczerwiałych krokwi i zwalonych kolumn. Drzwi można było jeszcze rozpoznać, ale zamieniły się w czarną błyszczącą płytę, która runęła pod naciskiem dłoni.

– Będziemy potrzebowali drewna, a także narzędzi – powiedziała. – Wydaje mi się, Maniasie, że te żelazne chyba nie powinny się spalić? Uważasz, że droga będzie bezpieczna? Moglibyśmy ściąć drzewa w naszym majątku, jeśli jakieś ocalały. Na pewno nie wszystkie spłonęły. Będziemy potrzebować do pracy tylu ludzi, ilu zdołasz zatrudnić. Uda ci się ich zebrać?

– Tak sędzę – odparł Manias.

Był niewolnikiem w jej domu od trzydziestu lat, a przedtem służył jeszcze jej ojcu i wujowi. Choć owłosienie na jego rękach i piersiach było zupełnie siwe, on sam był jeszcze silny i w jakiś sposób ożywiony tym, że miał przed sobą cel. Wolność zakorzeniła się w nim jak zdrowe ziarno. Czuł to w sobie. A jednak gdy słyszał, jak Agarysta wyrzuca z siebie całą masę pouczeń, dało mu to rodzaj znajomego komfortu w nowym świecie, w jakim się znalazł.

– Odbudujemy to, Maniasie – zapewniła. – Weź Aryfrona i zróbcie obchód majątku. Perykles zadba o moje bezpieczeństwo, zanim wrócicie. Ja i Eleni trochę tu posprzątamy i pozbieramy to, co jeszcze da się wykorzystać. Myślę, że to dobry czas, aby kupić działki po obu stronach, jeśli zaoferujemy właścicielom godziwą cenę.

Manias spojrział na nią zdziwiony. Rozglądała się, jakby jakimś sposobem widziała przyszłość. Skinął głową. Przez głowę przebiegła mu ulotna myśl, skąd Agarysta zdobędzie srebro, aby zapłacić robotnikom, kiedy wszyscy w Atenach potrzebowali tego samego. Wiedział jednak, że jakoś tego dokona. Albo jej mąż. Dla niektórych rodzin znalezienie się między zrujnowanymi ścianami ich domów, przy otoczonych zgliszczami ulicach, było końcem świata. Oni jednak byli Ateńczykami, a on dobrze wiedział, co to oznacza u Agarysty. Świat nie był im nic winien, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Odbudują wszystko. Lepiej i wspanialej niż przedtem.



# CZĘŚĆ DRUGA

Mojry zaś umknąć wyrokom – na to nie  
znajdzie sposobu ani tchórz, ani szlachetny,  
nikt na tej ziemi zrodzony.

**HOMER, *ILIADA***

Słońce stało nisko na niebie, choć było dopiero południe. Ateny rozbrzmiewały odgłosami młotów, pił, całą muzyką powracającego życia. Minęły zaledwie trzy tygodnie, odkąd ostatni Pers odszedł stąd i pomaszerował na północ, a miasto straciło już martwy spokój pogrzebowego stosu.

Z wysokości Pnyksu Temistokles mógł objąć spojrzeniem wszystkie nowe, odbudowywane ulice. To niewiarygodne, co ludzie skupieni na jednym zadaniu potrafią razem osiągnąć. Na początek naprawiono piece do wypalania gliny w dzielnicy garncarzy. Wrogowie zostawili wiele z nich nietkniętych albo zburzonych zwykłym kopnięciem. Ich rozsypane, glazurowane cegły zebrano i wymurowano na nowo. Wkrótce znów były gorące od ognia, pracując dniem i nocą. Wypalano w nich dachówki, aby zdążyć przed zimowymi deszczami. Nowe dachy kładziono setkami na świeżo przyciętych krokwiach i deskach. Cieśle wiedzieli dobrze, że świeże drewno będzie się krzywić i wypaczać, ale ten problem odkładano na następne miesiące. Kiedy osadzono siekiery na nowych styliskach i przydano piłom nowe drewniane rękojeści, całe grupy ruszyły na wzgórze, by wyrąbywać dęby, topole, jodły i wszystko, co udało się znaleźć. Skutkiem tego wokół rozchodziła się woń żywicy i świeżych trocin zmieszana z cierpkim zapachem smoły. Była to woń pracowitości oraz nadziei.

Zgromadzenie zebrało się na Pnyksie, aby wysłuchać najnowszych doniesień, co oznaczało przerwy w trakcie dni wypełnionych pracą. Dla Temistoklesa wspinanie się na wzgórze w każde południe wiązało się z dziwnie przyjemnym uczuciem. Zasiadał spokojnie i słuchał opowieści kupców z portu albo wystąpienia majstra górniczego z Laurion, który błagał o więcej rąk do pracy. To ostatnie było najważniejsze. Mieli Ateńczyków i surowce do odbudowy miasta. Brakowało jednak srebra do opłacenia ich i żywności, którą trzeba było dla nich zakupić. Temistoklesowi nie umknął fakt, że Ksantyppos wyzwolił też tysiące niewolników. Być może ta obietnica pomogła w odniesieniu sukcesu; Temistokles nie potrafił szczegółowo ocenić każdego drobnego wkładu w dzieło zwycięstwa. Nie mógł też podważać autorytetu Ksantypposa, który złożył tę obietnicę. W tamtym momencie, w chwili ewakuacji, Ksantyppos uosabiał

zgromadzenie, był kimś w rodzaju tyrana, tylko bez tytułu. Gdyby rzecz dotyczyła plagi albo wielkiej burzy, Temistokles mógłby rozważyć zwołanie pilnej narady w celu przedyskutowania koniecznych decyzji. Teraz jednak sprawy miały się tak, że wciąż trwała wojna, a nie sądził, żeby dziesięć tysięcy niewolników dobrowolnie powróciło do swych dotychczasowych właścicieli bez walki, której nikt nie zdołałby wygrać. Temistokles zmarszczył brwi i ścisnął dwoma palcami nasadę nosa. Sprowadził Ksantypposa do domu pod naciskiem okoliczności, głównie w celu podjęcia tej jednej decyzji. I została ona podjęta.

Tydzień wcześniej ateńska flota wypłynęła w uporządkowanych formacjach z rozkazem przywiezienia ziarna albo jakichkolwiek żywych zwierząt. Persowie ograbili miasto ze wszystkiego, choć w pośpiechu pominęli kilka magazynów. Temistokles postawił straż przy piwnicy wciąż wypełnionej workami zboża. Ziarno pociemniało na brąz od wysokiej temperatury, a wypiekany z niego chleb smakował bardzo gorzko. Wciąż jednak trzeba było wyżywić wielu ludzi.

Skomplikowany rozkład miasta był czymś, z czego wielu nie zdawało sobie wcześniej sprawy. Ateny rozrastały się przez długie stulecia, ulica po ulicy. Kiedy duża grupa ludzi potrzebowała butów, szewc otwierał warsztat. Trudno było jednak sprawić, aby coś ruszyło szybko jak wielki kamień toczący się z góry.

Ta myśl kazała Temistoklesowi spojrzeć tam, gdzie na swoją kolej do przemawiania czekał Arystydes. Sprowadził on hoplitów z powrotem, aby utrzymywali w Atenach porządek. Temistokles podejrzewał, że Arystydes nie miał wyjścia i musiał to zrobić, gdy Persowie odeszli, a zbliżała się zima. Ludność miasta była w palącej potrzebie. Ci, którzy wzięli do ręki tarczę i włócznię, mogliby zechcieć wrócić do swoich rodzin w czasie, gdy Arystydes czekał na posłuchanie w zgromadzeniu.

Temistokles uśmiechnął się nieco szerzej, a reszta zgromadzonych umilkła. Arystydes nigdy nie był szczególnie lubiany, choć niewątpliwie darzono go szacunkiem. Wygnanie go za pierwszym razem było dostatecznie trudne. I nie udałooby się to ponownie. Temistokles był więc na niego skazany, przynajmniej na jakiś czas.

– Mówca tutaj! – krzyknął ktoś obok Arystydesa.

Epistates wyznaczony tego dnia przywołał go i cofnął się z respektem dla wygnańca, który powrócił. Arystydes nie miał wielkiego udziału w morskim zwycięstwie pod Salaminą, uświadomił sobie Temistokles. Zgromadzenie nie miało powodu, by okazywać mu tyle szacunku.

– Dziękuję – powiedział mówca.

Nie miał na sobie zbroi. Zamiast niej włożył swój zwykły płaszcz, postrzępiony ze starości, który wyglądał jak ten noszony jeszcze przed udaniem się na wygnanie. Gdy Arystydes zaczął mówić, Temistokles wzniósł oczy w niebo albo na pobliski Akropol.

– Nie mogę donieść o żadnych postępach w rozmowach ze Spartanami. Ich regent wiedział o przysiędze swego ojca. Nie wydawał się... szczególnie związany danym przez niego słowem. Spartanie i Koryntczycy czują się zbyt pewnie za swym murem, który zbudowali, jakby perskie armie w ogóle im nie zagrażały. Nie znalazłem jak dotąd sposobu, by zburzyć ich pewność siebie.

– Ruszą wiosną w pole? – zawołał ktoś.

Arystydes zamilkł i opuszkami palców potarł górną wargę.

– Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Odczekał, aż ustał gniewny harmider wśród tysięcy zgromadzonych. Większość z nich była brudna i spocona. Ciężko pracowali przez całe przedpołudnie, a w domu czekał na nich posiłek. Niecierpliwie oczekiwali wieści. Arystydes potoczył spojrzeniem po zebranych. Jego wzrok zatrzymał się na Kimonie, który stał w otoczeniu przyjaciół, swoich młodych wilków; a potem spoczął na Temistoklesie, odnotowując jego obecność.

– Sparta robi to, co jest najlepsze dla Sparty – stwierdził. – Naszym zadaniem jest ustalenie, czy jest to najlepsze również dla nas. Potrzebujemy ich. Zrozumcie to. Bez dziesięciu tysięcy Spartan nie zdołamy przeciwstawić się Persom. Obserwowałem ich przemarsz i mogę tylko powiedzieć, że nie ma na świecie drugiej takiej armii. I nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek była. To armia *czterdziestu* ludów, takich jak nasze, siła tak ogromna, że będziemy potrzebowali wszystkiego, co mamy, aby odesłać ich do domu. I nie myślcie, że się pysznię. Nawet jeśli Sparta ruszy z nami w pole, to tylko wiatr zna odpowiedź, ilu z nas powróci. Persowie mają jazdę uzbrojoną we włócznie i łuki, niezliczonych piechurów, a ich łucznicy są bardzo sprawni. Stałem pod Maratonem! Widziałem, jak dobrze ateńscy hoplici poradzili sobie z trzykrotnie większą siłą, z żelazną dyscypliną zachowując szyki i dobrze posługując się tarczą i włócznią. Ci Persowie jednak co najmniej pięciokrotnie przewyższają liczbę wojsk, jakie możemy przeciw nim wystawić. Śledzę ich poczynania na północy, wykorzystując szybkich jeźdźców kryjących się za wzgórzami. Jeśli ruszą, będziemy o tym wiedzieli. Sądzę zaś, że *kiedy* już to zrobią, odniesiemy zwycięstwo, bo Atena jest z nami. Ale łatwo nie będzie. Na wiosnę, kiedy zagrają nam rogi triumfalne, zapanuje też wielki smutek.

Tłum milczał. Po chwili zerwała się bryza, targając płaszczami zgromadzonych. Temistokles obserwował zamieszanie, jakie powstało wokół schodów. Widział Ksantypposa na ostatnich stopniach i ciżbę, która go otoczyła. Niektórzy mężczyźni poklepywali go po plecach, gdy przechodził, a on się do nich uśmiechał. Temistokles pokiwał głową, czując posmak goryczy w ustach, choć wiedział, że to dziecinne uczucie powoduje próżność. Czy naprawdę świat był aż tak mały, że musiał zazdrościć innemu mężczyźnie poklasku tłumów? A może rzeczywiście wielbili go bardziej niż tego, kto naprawdę ich wszystkich ocalił?

– Mówca tutaj – powiedział Arystydes i cofnął się.

Epistates przywołał gestem Ksantypposa, schylając przed nim głowę, gdy powtórzył wezwanie. Strateg wynurzył się z morza głów i stanął na podwyższeniu nad nimi jak wielki głaz. Temistokles uświadomił sobie, że patrzy na niego spode łba, i zmusił się do przybrania bardziej przyjaznego wyrazu twarzy.

– Dziękuję zgromadzeniu, że zgodziło się mnie wysłuchać – powiedział przybyły. Uśmiechnął się do zebranych, a Temistokles pomyślał, że dobrze wygląda, taki silny i opalony. Nie mogło być nic bardziej irytującego. – Mogę potwierdzić – ciągnął dalej – że powróciły kolejne trzy okręty wypełnione zbożem i wędzonymi szynkami. Flota rybacka doniosła o wielkich ławicach, tak dużych, że istniała obawa rozerwania sieci. To na początek, ale mogę też potwierdzić dostawy na następny tydzień. Jeśli zachowamy dyscyplinę i będziemy się ograniczać, żywności wystarczy dla wszystkich. Bądźcie pewni, że będziemy kontynuować połowy i nadal poszukiwać pożywienia. Nikt nie będzie głodował.

Rozległy się wiwaty mówiące jasno o wcześniejszych obawach. Ksantyppos uniósł rękę i wskazał Arystydesa.

– Jeśli chcecie kogoś uczcić, powinien to być Arystydes, który zorganizował załogi, co najważniejsze, uczciwie rozdzielił połów.

Rozległy się kolejne owacje, choć bardziej stonowane. W pierwszych kilku dniach wybuchały zamieszki, nacisk na rybaków był ogromny i sześciu ludzi straciło przy tym życie. Arystydes przywrócił porządek z brutalną skutecznością, rozstawiając hoplitów, aby pełnili nadzór. Wszystko to było dla nich nowe, ale nauczyli się prędko.

– A co z Persami? – zawołał jakiś głos z tłumu.

Ksantyppos mógł zignorować to pytanie, ale towarzyszyło mu kilkanaście innych okrzyków, coraz głośniejszych, gdy się zawahał. Nie był typem

człowieka, który łatwo ustępuje tłumowi. Nie potrafił ich ucieszyć i rozbawić, jak robił to Temistokles. Hałas jednak nie ustawał. Oczywiście martwią się, uświadomił sobie. Już raz zostali zmuszeni do ucieczki. Perska armia wciąż przebywała w Grecji i w każdej chwili mogła wyłonić się zza wzgórz. Ksantyppos zasypywany był już podobnymi pytaniami przez dzieci, żonę, przyjaciela Epikleosa i sto innych osób. Niewiedza była dla nich ogromnym ciężarem. Ciekaw był, czego się po nim spodziewali. Temistokles powiadał, że w takich sytuacjach ludzie potrzebują pewności, że dorośli nie różnią się w tym od dzieci, przynajmniej wtedy, kiedy się boją. Ksantyppos westchnął i skinął głową, patrząc ponad głowami zgromadzonych. Rzeczywiście się bali. Byliby szaleni, gdyby nie czuli strachu.

– Persowie rozłożyli obóz w Tesalii. Zorganizowali patrole, ścięli mnóstwo drzew, usypali wokół obozu wały z ziemi i kamieni. Nasi zwiadowcy mówią, że to wszystko wygląda... solidnie. Wydaje się, że zamierzają tam zimować. – Ktoś krzyknął coś jeszcze i Ksantyppos dorzucił: – Jeśli ruszą wcześniej, być może z zapasami zrabowanymi z sadów i stad Tesalii, to razem z naszymi sojusznikami spotkamy ich w polu albo, jeśli Sparta nie przybędzie, opuścimy Ateny po raz drugi. – Podniósł głos, przekrzykując tumult przestraszonych i gniewnych nawoływań. – *I dlatego...!* Dlatego przygotowałem na Salaminie miejsca do lądowania, zaopatrzone w wodę i zapasy żywności. Przedtem zrobiliśmy wszystko najlepiej jak się dało, bez wcześniejszego ostrzeżenia. Jeżeli będziemy musieli przenieść się tam ponownie, zrobimy to lepiej. Modłę się, żeby to nie nastąpiło, ale zarzucilibyście mi niedbalstwo, gdybym nie uwzględnił każdej ewentualności. – Zacisnął wargi i stojąc bez ruchu, patrzył na zgromadzonych, jakby go obrazili.

Temistokles odchrząknął. Czekał na tę chwilę i zrozumiał, że nadeszła. Ksantyppos spojrział na niego z ulgą.

– Mówca tutaj – mruknął.

Wielu mężczyzn w tłumie wznosiło okrzyki, wyrażając swoje poparcie, i imię Temistoklesa przemknęło nad głowami jak wiatr. Nie był to dokładnie ten rodzaj uznania, na którym najbardziej Temistoklesowi zależało, ale wystarczyło. Wszedł po stopniach i stanął obok Arystydesa i Ksantypposa. Poczł ożywienie i przyspieszony rytm serca, jakie zawsze towarzyszyły mu w chwilach, gdy miał przemawiać do tłumów. Uwielbiał to albo raczej uwielbiał je i nie dało się ocenić, co w tym momencie było prawdziwsze.

– Krok po kroku, szlachetni towarzysze – powiedział. – Krok po kroku przejdziemy leżącą przed nami drogę. Świątynie Akropolu znów się podnoszą,

nasze domy wyrastają z ziemi! Dzieci śmieją się i biegają wśród popiołów, czarne jak wilki albo Etiopczycy. Widzę w nich ducha Ateny, a także w nas, kiedy tutaj stoimy. Żywność? Przy pływa do nas i jest rozdzielana sprawiedliwie, aby każdy mógł zjeść. Schronienie? Śpimy pod dachem sąsiadów albo oni pod naszym. To my jesteśmy Atenami! Kiedy powiedziałem Eurybiadesowi ze Sparty, że was nie opuścimy, że możliwe jest wykorzystanie floty do ocalenia mieszkańców, był tak zły, że wezwał mnie do dyskusji z mieczem i tarczą! Gdy wojna się skończy, będę musiał spotkać się z nim w polu, żeby pokazać mu ateński spryt. – Roześmiał się. – Nie wiem, czy nie powinienem modlić się o to, żeby wcześniej umarł. Spartanin to srogi przeciwnik.

Śmiech rozlegał się w tłumie, gdy powtarzano jego słowa tym, którzy ich nie dosłyszeli.

– O siłach perskich usłyszeliśmy od Arystydesa i Ksantypposa. Nie wydaje mi się, żeby ruszyły przed wiosną, ale jeśli to zrobią, wyjdziemy im na spotkanie.

Wszystkie głowy kiwnęły z aprobatą, oczy zapłonęły entuzjazmem. Temistokles nie zdecydował się na powtórzenie wzmianki o powtórnej ewakuacji. Ta perspektywa była nazbyt bolesna.

– Słabą częścią naszego planu – ciągnął – jest Sparta. Nie wydaje mi się, abym ich rozumiał, przynajmniej nie teraz, kiedy Persowie obozują w Grecji. Oczywiście zbudowali ten swój mur, ale odgradza on znacznie więcej niż tylko Spartę. Ludność Koryntu i kilkunastu miast Arkadii żyje za murem. Zastanawiam się, czy uda się przekonać Spartan, aby stamtąd wyszli, gdy zobaczą przemarsz wrogów. Sam przyjmowałem ich przysięgę, drodzy towarzysze! Że staną wraz z nami do walki, jeśli przybędą Persowie. Być może nadszedł czas, aby przypomnieć o tym naszym sojusznikom.

Tłum ryknął z aprobatą. Temistokles potaknął skinieniem głowy.

– Powinniśmy wysłać kogoś starszego, kogo będą darzyć szacunkiem. – Pokręcił głową, gdy ktoś wykrzyknął jego imię. – Nie ja, nie dzisiaj. Muszę zadbać o ponowne otwarcie kopalni w Laurion, żeby srebro znów popłynęło do miasta szerokim strumieniem, czego tak bardzo potrzebujemy. Nie, proponuję do tej roli Ksantypposa. Jego ocena jest rozsądna. Mieszkał też jakiś czas w Koryncie i jest tam znany. – Z tłumu dobiegły szepty i pomruki, a Temistokles dodał cicho: – Niektórzy powiadają przy tym, że jest bardziej Spartaninem niż Ateńczykiem.

Po nagłym zeszywnieniu Ksantypposa poznał, że jego uwaga była celna. Nie był to plan, który omawiali wcześniej. Ale niektórych ludzi trzeba czasem

popchnąć.

– Za pozwoleniem zgromadzenia chciałbym pojechać razem z nim – odezwał się głos z lewej strony.

Temistokles odwrócił się i ujrzał wznoszącego rękę Kimona. Wzruszył ramionami i zerknął pytająco na Ksantypposa, czy zaakceptuje ten pomysł. Strateg sprawiał wrażenie nieufnego, ale czegoż miałby się spodziewać po kimś, kto wciąż jeszcze winił go za śmierć swego ojca.

– To przyzwoity młody człowiek – mruknął Arystydes.

Ksantypposowi wystarczyła jego aprobata. Skinął głową, nie zgłaszając zastrzeżeń.

– To będzie dla mnie zaszczyt, Kimonie – powiedział. A potem zwrócił się do Temistoklesa. – Dlaczego mnie po prostu nie zapytałeś? – rzucił cicho. – Dlaczego musisz nas zawsze rozstawiać jak gliniane figurki?

– Pytać cię? I jaka byłaby z tego przyjemność? – odparł Temistokles. Kiwnął na epistatesa. – Młodzieńcze, wezwij do głosowania. Choć wydaje mi się, że nie będzie tu niezgody. Moi przyjaciele udadzą się do Sparty!

\* \* \*

Pogoda się zmieniła. Dni były pochmurne i nieustannie padał deszcz. Był to smętny czas, jakże daleki od wspomnień o upałach w Persji. Mardoniusz dygotał z zimna, grzejąc dłonie nad piecykiem z kutego żelaza. Przynajmniej drewno oliwne paliło się dobrze, dając wiele ciepła.

Jednym z powodów założenia warownego obozu była potrzeba osłonięcia ludzi przed zimnymi wiatrami wiejącymi nad tesalską równiną. Nikt nie walczył zimą. Pomijając trudności z zaopatrzeniem, w zwykłych warunkach był to dla mężczyzn czas powrotu do domu, przebywania z żoną i dziećmi, wysypiania się i leczenia. W zimnych miesiącach krew gęstniała i ludzie popadali w odrętwienie jak niedźwiedzie lub kozatki. Latem i jesienią pracowali, uprawiając ziemię. Wiosną, gdy krew się budziła, ruszali na wojnę. Mardoniusz ziewnął, czując sztynność w stawach. Wiosna wydawała się daleko przed nimi.

Tętent kopyt i brzęk żelaza wybiły go z marzeń. Zbliżali się jeźdźcy. W obozie wokół, prawdziwym mieście zbudowanym z ziemi i drewna na pustkowiu, nieustannie trwała pracowita krzątanka. Mimo to usłyszał ich z daleka, bo spodziewał się ich przybycia. Mardoniusz miał nadzieję, że to ci, których wezwał w imieniu wielkiego króla. Wyglądał ich od tygodni.

Grupka konnych musiała schylić głowy, przejeżdżając przez obozową bramę. Trzech mężczyzn w futrach i płaszczach, z których jeden na pierwszy rzut oka



był przywódcą. Mardoniusz skinął głową zadowolony. Nie byli Persami. Mimo chłodu mieli gołe nogi na modłę grecką. Kierowali wierzchowcami za pomocą pięt i uzd. Same konie były jednak rumakami najczystszej perskiej krwi, wspaniałymi zwierzętami, silniejszymi i wyższymi od koni tesalskich. Grecy nie rozumieją siły jazdy, pomyślał kwaśno Mardoniusz. Tylko nieszczęśliwy traf sprawił, że na polu pod Maratonem jej nie użyto, inaczej bardzo prędko by się tego nauczyli. Miał nadzieję udzielić im tej lekcji przed powrotem do domu. Choć powtarzał synom, że prawdziwe zwycięstwo powinno się obyć bez stosu trupów, w sumie było mu wszystko jedno.

Mardoniusz wyczuł, jak Nieśmiertelni się zjeżyli, gdy obcy podjechali bliżej. Dobra setka odzianych w białe płaszcze wojowników pod wodzą czerwonego na twarzy dowódcy otoczyła ich półkolem, śledząc każdy ruch oczu Mardoniusza. Ten ukrył westchnienie. Najmłodszy synowie zawsze starają się za bardzo. Taką mają naturę. Chwalił zatem syna dość oszczędnie i tylko wtedy, gdy zrobił coś naprawdę dobrze.

Gdy Macedończycy zsiadali z koni, dwie półkoliste linie biało odzianych wojowników obserwowały ich uważnie, a Mardoniusz stał w najgłębszym punkcie tego półkola. Wódz podjął szybką decyzję. Macedończycy, choć nie znał ich dobrze, okazali się jednak przyjaciółmi, po pierwsze, pozwalając Persom przejść przez swoje terytorium, a po drugie, przyjmując jego osobiste zaproszenie. Mardoniusz wiedział, że mógłby nalegać na właściwe formy okazania mu posłuszeństwa, czyli położenie się przed nim na ziemi, nosem w błocie. Był w końcu przedstawicielem wielkiego króla. Zdążył już jednak zauważyć, że jego greccy sojusznicy niezbyt chętnie reagują, gdy próbuje się ich zmuszać do okazywania odpowiedniego szacunku. A potrzebował teraz ich współpracy, a przynajmniej współpracy ich przywódcy.

Wiedziony impulsem Mardoniusz wyciągnął do niego rękę, jak do kogoś równego sobie. Poczł siłę uścisku jego dłoni, który mógłby porównać do zaciśnięcia stalowych szczęk. Król macedoński był wysoki, ciemnooki i chodził tak sprężysto, jakby w każdym jego ruchu czaiła się groźba. Choć jechał konno trzy albo cztery dni na południe, ze swojej stolicy do Tesalii, promieniał zdrowiem. Miał jasne i bardzo gęste włosy, które Mardoniuszowi skojarzyły się z lwią grzywą.

– Witajcie w moim obozie – powiedział. – Kazałem przygotować dla was posiłek oraz kwatery, abyście mogli odpocząć i wziąć kąpiel. Wasza Królewska Mość, jestem wdzięczny, że zgodziłeś się przybyć.

– Dałem słowo – odparł mężczyzna – a poza tym jestem przyjacielem Persji.  
– Potem się uśmiechnął. – Cieszę się, że w końcu cię spotykam, Mardoniuszu. Kiedy witałem twego króla, otwierając mój kraj dla jego armii, ty akurat wyjechałeś ze swymi ludźmi.

Mardoniusz zauważył, że królewski płaszcz jest spięty zapinką w kształcie głowy lwa wykonaną ze złota będącego symbolem bogactwa i władzy. Uśmiechnął się. Na perskim dworze taka zapinka mogła zdobić ramię petenta albo wychowawcy dzieci. Tutaj wyróżniała Aleksandra z Macedonii jako króla.

– To zaszczyt – rzekł. – Proszę, pokażę ci, gdzie będziecie spać tej nocy. Są tam niewolnicy i czyste szaty, i wszystko, czego będzie wam potrzeba. Mam nadzieję, że ty i twoi towarzysze zechcecie przełamać się ze mną chlebem.

Mardoniusz zwyczajowo powiedziałaby więcej dopiero później tego wieczoru, gdy rytuały powitalne zostaną zakończone. Zobaczył jednak, że przybyli marszczą brwi i wymieniają spojrzenia i z każdą chwilą narasta w nich podejrzliwość. Ujrzeni perską siłę w obozie, w liczbie namiotów i długości ciągnących się między nimi alejek. Nie znaczyło to, że zrozumieli perską gościnność. Mardoniusz zmówił w duchu modlitwę z prośbą o wybaczenie. Wielki Macedończyk był w końcu tylko pastuchem z pałacem.

– Wasza Królewska Mość, zaprosiłem cię tutaj... abyś udzielił tego zaszczytu mnie, a za moim pośrednictwem również Kserksesowi, królowi królów. Ateńczycy traktują moich sojuszników jak zdrajców, których należałoby zabić. Macedończycy to jednak inna sprawa. Wierzę, że cię wysłuchają, a bardzo bym chciał, żeby wysłuchali słów, które dla nich przygotowałem.

Choć Temistokles potrafił być irytujący, Ksantyppos nie mógł protestować w sprawie tego konkretnego zadania. Być może Arystydes mógłby udać się do Sparty zamiast niego, ale trudno było pomyśleć o kimś innym. Zdecydowanie nie mógł to być sam Temistokles, zwłaszcza po awanturze ze spartańskim nauarchą.

W negocjacjach ze Spartą wszystko należało starannie rozważyć. Dla Spartan nie liczyły się bogactwo ani oznaki władzy. Co gorsze, wręcz pogardzali takimi rzeczami i uznawali je za jałowe. Ksantyppos jechał obok Kimona, a za nimi podążali dwaj służący, Relas i Onesimos, weterani spod Salaminy tuż po trzydziestce. Cała czwórka uzbrojona była w miecze, a Relas dodatkowo miał na plecach wytarty, lecz mocny sahajdak z łukiem. Razem tworzyli grupę dostatecznie groźną, by odstraszać rabusiów i włóczęgów, taką przynajmniej Ksantyppos miał nadzieję. Pogłoski mówiły, że tego roku drogi są spokojne. Przestępcy żyjący z rabowania i mordowania podróżnych zniknęli ze szlaków spłoszeni przemarszami wojsk. Uważał jednak, że wrócą, kiedy głód okaże się silniejszy od strachu.

Ksantyppos nie zauważył, żeby ktoś ruszył za nimi, gdy wraz z Kimonem opuścili zrujnowane mury Aten. Tereny wiejskie wydawały się opustoszałe. Całe demy złożone z kilkunastu lub więcej zagród stały puste i nie było w nich żywej duszy. Niektórzy mężczyźni stamtąd zginęli na morzu, innych zabili perscy zwiadowcy. Była to ponura myśl.

Zarządził krótki postój przy swoim zniszczonym majątku leżącym przy drodze wiodącej na północny zachód. Ktokolwiek go podpalił i splądrował, zrobił to systematycznie. Nawet konie zostały zaszlachtowane na pokarm dla wojska. Ksantyppos znalazł w podwórzu ich odrąbane łby i kopyta z wystającymi białymi ścięgnami. W odróżnieniu od tamtych zwierząt wierzchowce, które zgromadzenie kazało wyłapać i ogrodzić, były płochliwe i narowiste; dzięki temu ocalały, gdyż zerwały się i umknęły galopem na pierwszy sygnał zagrożenia. Kimon przeklinał tego, na którym siedział, i ściągał ciasno uzdę, koń zaś pochylał łeb i co rusz brykał, zataczając koła, najwyraźniej

podenerwowany. Ten młody człowiek może i jest przyszłością Aten, pomyślał Ksantyppos, ale jeździec z niego koszmarny.

– Poluzuj trochę wędzidło – zawołał. – On walczy z tobą, bo rozgniatasz mu język.

Odwrócił wzrok, gdy Kimon na niego popatrzył, ale chwilę później koń się uspokoił. Ksantyppos nie potrafił powiedzieć, czy cieszy go towarzystwo młodszego mężczyzny. Perspektywa spędzenia z Kimonem długich dni była nużąca, choć jego ojciec, Miltiades, dowodził dziesięć lat wcześniej pod Maratonem, gdzie Grecy odnieśli kluczowe zwycięstwo. Mieć Kimona przy sobie znaczyło przypomnieć Spartanom o sile Aten. Tak przynajmniej Ksantyppos zakładał. Podejrzał, że Temistokles to zaaranżował i miało to jakieś znaczenie w jego planach. Chciał, żeby tańczyli, jak on im zagra. Strateg pokręcił głową. Dzień zbliżał się ku końcowi i trzeba było znaleźć dobre miejsce na spętanie koni, posiłek i sen. Droga nie sprzyjała osłabieniu czujności.

– Chcesz objąć dziś pierwszą wartę? – zapytał Kimona.

Młody człowiek zastanowił się chwilę.

– Nie sypiam wiele. Przynajmniej wtedy, gdy nie chroni mnie dobry mur. Tutaj, jak mi się zdaje, wcale nie złożę głowy do snu. Więc to bez znaczenia. Mogę czuwać jako pierwszy.

Ksantyppos skrył irytację.

– A zatem czuwasz pierwszy. Ja mogę spać gdziekolwiek. Rozbijemy obóz, ale bez ognia. Mam w worku trochę mięsa i chleba, dość, żeby przetrwać. Jutro około południa powinniśmy dotrzeć do spartańskiego muru. Potem będziemy już na ich racjach.

Ta perspektywa nie budziła w nich entuzjazmu. Ksantyppos zauważył, że Kimon oblizuje wargi, jakby go bolały. Słyszał plotki, że młodzieniec potrafi wypić za trzech i wcale tego po nim nie widać. Pokręcił głową. Nie obchodziło go to, chociaż ciekaw był, na ile Kimon jest uzależniony.

Gdy wjechali na wzgórze i spojrzeli w płytką dolinę, ucieszył ich widok płynącego jej dnem strumienia. Były tam pola uprawne i mały domek, choć płoty miejscami leżały na ziemi, najwyraźniej przewrócone. Nie był to dobry znak. Ksantyppos skrzywił się, gdy zjechali w dolinę. Perscy zwiadowcy przejeżdżali tędy, szukając czegokolwiek, co mogliby zabrać. W takich sytuacjach prawo nie istniało. Niektórzy ludzie wykazywali się szlachetnością. Inni byli jak wilki.

Ksantyppos i Kimon zsiadli z koni, zostawiwszy Relasa i Onesimosa na straży, aby wypatrywali zasadzki. Strateg gestem dał znak i wyciągnął miecz. Ku

jego irytacji Kimon zostawił miecz w pochwie i wzruszywszy ramionami, zaczął rozglądać się wokoło.

Stali na podwórzu zagrody, która kiedyś była małym gospodarstwem, rodzinną farmą żyjącą z tego, co uda się wyrwać wysuszonej ziemi. Ksantyppos zauważył, że drzwi są otwarte i wiszą na jednym skórzanym zawiasie. Ledwo schylił głowę, przechodząc pod nadprożem, a odór powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. W środku, blisko wejścia, leżały trzy ciała, każde pokaleczone i poszarpane w inny sposób. Nie było tam piętra ani drugiego pokoju, tylko proste palenisko i zasłona, za którą ojciec i matka musieli sypiać w szczęśliwszych czasach. Muchy łąziły wszędzie, a smród był tak gęsty, że niemal lepił się do ciała. Przywołał wspomnienia wszystkich pól bitewnych, jakie Ksantyppos znał, jak również pamięć dzieciństwa, kiedy odkrył za oborą gnijące truchło borsuka i od tamtej pory ten smród nieodmiennie kojarzył mu się ze śmiercią.

– Nie ma tu nikogo żywego – zawołał do pozostałych.

Zastanawiał się, czy powinien pochować zabitych. Gdy tylko przeszła mu przez głowę ta myśl, pożałował jej, ale w końcu ci ludzie byli jego rodakami. Zaklął pod nosem. Kiedy się odwrócił, ujrzał Kimona wpatzonego w chodzącego po podwórzu samotnego kurczaka. Nie obchodził go los zamordowanej rodziny. Grzebał w ziemi i czynność ta pochłaniała całą jego uwagę. Ktokolwiek zabił tę rodzinę, przeoczył tę jedną brązową kurę.

Kimon powoli wyciągnął rękę w stronę jednego z hoplitów, typa z czarną brodą, zawsze cuchnącego kwaśnym winem i oliwą z oliwek. Ksantyppos przypomniał sobie, że Kimon przedstawił mu go jako Relasa z fyli Hippothoontis. Powoli, z wielką ostrożnością, Relas sięgnął za plecy po łuk. Unikając szybkich ruchów, podał go Kimonowi. Ksantyppos wstrzymał oddech, czekając, co będzie dalej. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, a w powietrzu czuło się chłód. Wykopanie nawet płytkiego grobu zajęłoby trochę czasu. Może, gdyby udało się prędko pochować ciała, powietrze oczyściłoby się na tyle, żeby mogli przenocować w chacie. W przeciwnym razie lepiej było owinąć się kocem i spędzić noc pod gwiazdami. Przynajmniej nie zanosiłoby się na deszcz.

Doskonale panując nad ruchami, Kimon założył cięciwę i osadził na niej strzałę, po czym bezgłośnie napiął łuk. Ksantyppos zauważył, jak silne miał ramiona. Był synem swego ojca. W panującej wokół ciszy kurczak grzebał w piasku i dziobał, czemu od czasu do czasu towarzyszyło gdakanie. Nagle zamarł i zaczął kręcić głową na wszystkie strony, wyczuwszy zagrożenie.

Strzała precyzyjnie przeszła mu pierś. Ksantyppos nic nie powiedział, gdy Kimon podskoczył, wydając triumfalny okrzyk, po czym rzucił kurczaka towarzyszowi, aby ten go oskubał i wypatroszył. Ksantyppos zmusił się do uśmiechu, choć w głębi duszy czuł jedynie rozpacz. Świat leżał w ruinie, oba jego domy zostały spalone na popiół, a on był tutaj, polując na kurczaki i bawiąc się w politykę.

– Jak już mówiłem, Kimonie, mam w sakwie trochę mięsa i chleba. Zamierzam pochować tę rodzinę. – Zwrócił się do Relasa, który już siedział z garściami pełnymi pierza, skubiąc kurczaka. – Ty – powiedział – i ty, Onesimosie. Pomożecie mi kopać groby.

Ku jego irytacji Relas spojrzął najpierw na Kimona, a ten gestem wyraził zgodę. Do połowy oskubany kurczak spoczął na pakunkach przy koniach. Onesimos z pochyłą głową, czując niezadowolenie Ksantypposa, poszukał narzędzi gospodarza. Kimon zmarszczył brwi i zerknął do wnętrza chaty. Wyszedł zaraz z wyrazem obowiązku na spochmurniałej twarzy. Wziął do ręki łopatę, którą mu podano.

Pracowali ciężko i sprawnie. Zanim słońce zaszło, dokończyli kopanie trzech płytkich grobów na podwórzu. Ksantyppos, zanim przysypano zwłoki, włożył monety do ust męża, żony i córki. To było wszystko, co mógł zrobić, choć zmówił też za nich modlitwę, mówiąc, jak mu przykro, że spotkał ich tak okrutny los. Było tam mnóstwo krwi. Gdy wzeszedł księżyc, strateg uznał, że mimo wszystko nie będzie nocował w chacie. Położył się na ziemi, patrząc w gwiazdy. Kimon stanął na pierwszej warcie. Miał dzikie oczy i cuchnący winem oddech.

\* \* \*

W normalniejszych czasach posłańcy macedońscy zatrzymaliby się przed jedną z wielkich bram Aten, czekając na pozwolenie wjazdu do miasta. Tego lata wszystkie fortyfikacje leżały w ruinie. Perska armia obróciła kamienne mury w perzynę. Dla zgromadzenia było to jak stanąć nago do bitwy w pierwszym szeregu, bez płaszcza, tarczy i włóczni.

Król macedoński i jego towarzysze zatrzymali się na skraju dawnej granicy wielkiego miasta. Aleksander zobaczył szeroki pas porozrzucanych kamieni po obu stronach oraz zwęglone resztki bramy obok zwałonej wieży. Za nimi tu i ówdzie wciąż jeszcze stały domy o barwie gliny, ocalałe z pożogi, a na niektórych położono już nowe dachy. W oddali wznosiły się nad miastem święte kamienie Akropolu, Areopagu, Pnyksu i innych wzgórz, które tworzyły

dekorację dla Aten. Teraz wszystkie stały obnażone, a ich cenne szaty poszarpano.

Zamiast muru w poprzek tego, co dawniej było główną drogą wiodącą na północny zachód, stała linia hoplitów. Trwali bez ruchu, przyodziani w spiż, z włócznie gotowymi odeprzeć każdego najeźdźcę. Powiadano, że Sparta nie potrzebuje murów. Ateny mimo wszystko boleśnie odczuwały ich utratę.

Arystydes podszedł wolno do przyjezdnych. Miał na sobie tylko spiętą na ramieniu szatę i sandały. Pod pachą niósł jeden zwój, a drugi trzymał w dłoni. Nie miał broni, mimo to hoplici byli mu posłuszni. Jeźdźcy wymienili między sobą nieufne spojrzenia.

– Mili panowie, znajdujecie nas w trudnej sytuacji – powiedział Ateńczyk. – Szukacie pracy? Potrzebujemy murarzy i cieśli... – tu zajrzał do trzymanego w ręce zwoju – ...oraz oczywiście garncarzy. Jeżeli macie którąś z tych umiejętności, mogę zapewnić wam zatrudnienie. Poza tym nie potrzebujemy nowych gąb do wyżywienia, przynajmniej do wiosny. Bardzo mi przykro.

Jego spojrzenie zatrzymało się przelotnie na najciemniejszym z całej trójki przybyszów, który miał elegancko ufryzowaną w loki i namaszczone brodę, a na jego palcach błyszczały złote pierścienie. Arystydes uniósł na chwilę brwi, gotów odwrócić się i odejść.

Największy z obcych najwyraźniej stracił cierpliwość. Stuknął dwoma palcami w ciężką złotą zapinkę z lwem, przyciągając ku niej uwagę Arystydesa.

– Jestem królem Macedonii, sojusznikiem wielkiego króla Persji, osobistym posłańcem wodza Mardoniusza, który dowodzi wszystkimi siłami perskimi na lądzie i morzu. Przybyłem, aby przemówić do waszego zgromadzenia z formalnym wezwaniem do rozejmu.

– A czy potrafisz także robić garnki? – dopytywał Arystydes. – Nawet nie wiesz, jak bardzo ich potrzebujemy. Wszystkie zostały rozbite. Piece garncarskie działają, ale bez tysięcy nowych garnków nie możemy przechowywać oliwy, zboża i wina.

Aleksander z Macedonii wolno zamrugął.

– Czy ty... *kpisz sobie ze mnie*, Ateńczyku? – zapytał.

Sięgnął do rękojeści miecza. W odpowiedzi Arystydes uśmiechnął się i uniósł dłoń. Za jego plecami czterdziestu hoplitów ze szczękiem zwarło tarcze i opuściło włócznie, gotując się do ataku. Król macedoński opuścił powoli dłoń, starając się nadać temu ruchowi pozory naturalności. Patrzył Arystydesowi w oczy.

– Mężczyzna, który przemawia jako perski niewolnik, nie potrzebuje moich kpin – odparł Arystydes. – On sam jest dla siebie kpiną. Chodź, zabiorę cię do zgromadzenia. Już prawie południe. Wasze konie muszą jednak zostać tutaj. Potrzebujemy ich do przewożenia gruzu i belek.

– Mój koń został wyćwiczony do wojny i nie jest to zwierzę juczne! – rzucił Aleksander, w szoku podnosząc głos.

Arystydes wzruszył ramionami.

– Potrzebujemy ich mimo wszystko. Twoi perscy przyjaciele wybili nam wszystkie muły i osły. Po prostu je zjedli. Nie będziemy źle traktować twoich zwierząt. Założymy im tylko uprząż i każemy ciągnąć. Jeśli to cię oburza, przemawiaj przed zgromadzeniem szybciej!

Nie czekając na zgodę przybyszów, Arystydes dał znak przez ramię. Podeszło sześciu hoplitów, patrzących gniewnie i gotowych do zabicia obcych. Macedończycy zacisnęli pięści, ale nic nie mogli zrobić. Ich wierzchowce odprowadzono, ich samych zaś niejako umniejszono.

– Jakież to imię nosisz, Wasza Wysokość? – zapytał Arystydes, prowadząc ich przez ruiny na ulice za murami.

– Mówiłem ci już: Aleksander, król Macedonii – odparł.

– Przyjaciel Persów – dodał Arystydes.

– Sojusznik wielkiego króla – poprawił Aleksander, zaciskając szczęki. Zerknął przy tym na jednego z towarzyszy, co nie umknęło uwagi Arystydesa.

Władca Macedonii był boleśnie świadomy, że każde wypowiedziane przezeń słowo może być przekazane dalej.

Arystydes podniósł nagle rękę, zatrzymując grupkę w miejscu. Tuż przed nimi drogę przecinały wóz za wozem. Na ich dnach leżały niczym kłody, jedne na drugich, owinięte w płótno ciała. Ateńczyk opuścił głowę i odmówił modlitwę, poruszając w milczeniu ustami. Po dłuższej chwili, która zdawała się wiecznością, wszystkie rozklekotane wozy przejechały. Arystydes pokręcił głową. Wyglądał na zmęczonego, jakby nagle bardzo się postarzał.

– Codziennie wypływają. Musimy zbierać ciała naszych ludzi i je zakopywać, aby zapobiec zarazie. Większość jest bezimienna i nieznaną nikomu poza bogami. Powinniście przed odjazdem zejść na nabrzeże i popatrzeć, jak wdowy i dzieci zagląдают w twarze wszystkich układanych tam zwłok. Nigdy nie zobaczycie bardziej żałosnego widoku. Tęsknią, by zobaczyć swoich ojców i mężów nawet w śmierci. Czy to nie dziwne? Ciała są już tak mocno naruszone, że byłbym zaskoczony, gdyby udało się kogoś rozpoznać.



Aleksander rozglądał się gniewnym wzrokiem, idąc za Arystydesem. Z każdej strony widział jedynie zniszczenie, skutki pożogi oraz zgębionych ludzi. Rozumiał gorycz mężczyzny, który prowadził ich na Pnyks. W miejscu tym, przemierzając ruiny dumnego niegdyś miasta, sojusznik perskiego króla nie miał już w sobie tej pychy co wcześniej.

Spojrzał w górę wzgórza, gdzie zbierało się zgromadzenie. Jego członkowie wciąż napływali, przechodząc koło niego i rzucając zaciekawione spojrzenia na obcych towarzyszących Arystydesowi. Aleksander zacisnął zęby i gestem wskazał gospodarzowi, aby szedł przodem. Mardoniusz powierzył mu zadanie. Choć czuł wokół siebie ból, gniew i upokorzenie, pamiętał jednak, że dał słowo. To oni postanowili stawić czoło perskiej masie, nie on! Otrzymali to, na co się pisali, stając się dla niego żywym dowodem jego własnej mądrości, kiedy uczynił Macedonię perskim sojusznikiem. Aleksander przyjął złoto i ofiarował ziemię oraz wodę obcemu królowi. Mądrość tego posunięcia widoczna była wszędzie dookoła. Mimo wszystko czuł ucisk w żołądku, oglądając się na spalone miasto.

– Dlaczego wzdychasz, Macedończyku? – zapytał nagle Arystydes.

– Smutno jest być świadkiem śmierci całego miasta – odrzekł Aleksander.

– Śmierci...? – zdziwił się Ateńczyk. – To *my* jesteśmy miastem, nie drewno i kamień. Odbudujemy je. Jeśli znów popadnie w ruinę, odbudujemy je jeszcze raz! Tysiąc razy! To święta ziemia, Macedończyku. Może tego nie rozumiesz, znając tylko swoje północne lasy i wzgórza. To zaś jest samo oko i serce świata. Wróć tu za rok lub dwa lata. Zobaczysz. Mamy plany nowej świątyni Ateny na Akropolu, przy której ta stara wyglądałaby jak stajnia. Śmierć miasta! – Pokręcił głową i zaśmiał się cicho.

Aleksander uśmiechnął się powściągliwie, ale nic nie odpowiedział. Widział trupy przewożone ulicą niżej. Widział spalone domostwa i płaczące dzieci przytulające się do matek, gdzie nie było żadnego mężczyzny, aby je obronił. Więcej: widział też już perską armię, która zburzyła mury Aten. Nie było nadziei dla tych ludzi, choć oni sami zapewne tego jeszcze nie wiedzieli. Nie było żadnej nadziei.

Ksantyppos zastanawiał się, czy zabranie ze sobą Kimona nie było mimo wszystko dużym błędem. Młody człowiek najwyraźniej znów był pijany. Miał czerwony nos i szkliste oczy. Ksantyppos podejrzewał, że Relas ukrył w pakunkach bukłaki z winem. Szeptali coś do siebie, rechocząc konspiracyjnie, a podczas postojów, kiedy zsiadali z koni, żeby pójść na stronę, wracali dość chwiejnym krokiem. Martwił się, że chcąc zrobić wrażenie na wstrzemięźliwych Spartanach, zabrał ze sobą nieodpowiedniego człowieka. Potem zaś spróbował jeszcze raz.

– Kimonie! Nie potakuj mi tak bezmyślnie. Muszę wiedzieć, że zrozumiałeś.  
– Po chwili nieco złagodził ton. – Mam doświadczenie ze Spartanami po pobycie w Koryncie. Znam ich dostatecznie dobrze, lepiej niż większość Ateńczyków. Będę więc przewodził. Obserwuj mnie i powstrzymuj się od własnych uwag. Rozumiesz?

– Oczywiście – rzucił Kimon.

Gdyby nie to, że zbliżali się do muru spartańskiej fortecy, Ksantyppos zatrzymałby konia i przywołał Kimona do porządku. Ale w tym miejscu byłoby to równie niebezpieczne jak obnażenie miecza.

Wiedząc, że Spartanie ich obserwują, Ksantyppos mógł tylko zignorować ten brak uprzejmości. Zagniewany zacisnął usta w cienką, bladą linię. To, co mówił, miało też trafić do uszu tamtych dwóch, Relasa i Onesimosa. Dopiero kiedy chrząknął, przestali się gapić z otwartymi gębami jak chłopcy na Agorze. Żaden z nich nie widział jeszcze ukończonego spartańskiego muru zbudowanego w poprzek lądowego przesmyku. Mur ciągnął się od wybrzeża do wybrzeża, godzina marszu od końca do końca, i miał wysokość trzech ludzi. Ksantyppos zaraz też zauważył, że był bardzo solidny. Za nim rozciągał się półwysep Peloponez, cały ukryty przed wzrokiem z wyjątkiem odległych miast-państw: Koryntu, Sparty i Argos, a także Arkadii, starożytnej siedziby bożka Pana, oraz Elidy, gdzie w Olimpii odbywały się igrzyska ku czci Zeusa! Wszystko zostało w tym roku oddzielone od reszty kraju. W oczach Ksantypposa była w tym jakaś

gorzka ironia. Przybył z pozbawionego murów miasta, które ich potrzebowało, i dotarł do muru postawionego przez ludzi, którzy murami pogardzali.

Na koronie muru stali spartańscy strażnicy. Nie mieli hełmów, tarcz ani włóczni, tylko słynne czerwone płaszcze, które chronić ich miały przed nocnym chłodem. Niektórzy pod nimi byli nadzy albo nosili tylko fartuszek i sandały. Ksantyppos zniósł jakoś ich bezczelne spojrzenia, zsiadając z konia dobre trzydzieści kroków od muru.

Droga była tutaj przetarta, choć nigdzie nie było widać śladu innych podróżnych próbujących tędy przejechać. Najbliższa brama, o bardzo mocnej konstrukcji, była zresztą zamknięta na głucho. Ksantyppos już się zastanawiał, jak najlepiej tam podejść, kiedy tamci opuścili na dół strażnika z jedną stopą w pętli zawiązanej na końcu liny. Ksantyppos zerknął na towarzyszy.

– Niech żaden z was się nie odzywa – mruknął ponownie. – Będą nieufni, mając perską armię w pobliżu. Nasze sprawy są za tym murem.

Spartanin, który się do nich zbliżył, był uzbrojony jak na wojnę. Podobnie jak inni, nie założył hełmu, ale miał pas i miecz u boku. Ksantyppos zauważył też za jego karkiem rękojeść drugiego miecza, łatwą do uchwycenia. Krótkie, ciężkie, uniwersalne ostrza kopisów były wszechstronnymi narzędziami do zabijania, cenionymi przez tych, którzy umieli się nimi posługiwać. Ksantyppos widział kiedyś, jak pewien Spartanin ściął kopisem młodą sosnę, rąbiąc nim, aż drzewo upadło. W walce z wrogiem była to straszliwa broń. Większość wołała przeciwnika ze zwykłym mieczem niż ze złowrogo zakrzywionym kopisem.

Ksantyppos zjeżył się nieco, gdy mężczyzna podszedł, aż znalazł się w zasięgu miecza, i stanął tuż przed nim. Spartanie znali swoją reputację lepiej niż ktokolwiek inny. Niektórzy z nich uważali respekt, jakim ich darzono, za coś im należnego. Inni wręcz się tym rozkoszowali. Ksantyppos zauważył, że niestety ten należał raczej do tego drugiego typu. Mężczyzna stał ze splecionymi za plecami rękoma, kołysząc lekko biodrami, i cały czas się uśmiechał. Nie był to przyjemny wyraz twarzy. Wyglądał jak nauczyciel patrzący na niesfornych wychowanków, już z góry cieszący się na myśl o karze, jaką im wymierzy. Ksantyppos zauważył, że spojrzenie Spartanina spoczęło na krzepkiej postaci Relasa. Cokolwiek w hoplicie zauważył, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Strateg nie mógł się obejrzeć, ale musiał znieść to, że Spartanin uniósł wyżej głowę, patrząc za jego plecy.

– No to jak, chłopcy, co tutaj robimy? – rzucił. Akcent brzmiał dziwnie dla ucha Ateńczyka, był tak surowy jak spartańskie maniery. – Jakież to rybki wpadły dziś do mojej sieci, prosząc miło o zgodę na przejście? – Sprawiał

wrażenie, jakby zwracał się do stojących z tyłu Relasa i Onesimosa, ale odpowiedział mu Ksantyppos:

– Nazywam się Ksantyppos z demu Cholargos, z fyli Akamantis. Jestem archontem Aten, strategiem spod Maratonu i Salaminy. Nauarcha Eurybiades może za mnie poręczyć. Kleombrotos też. Na polecenie naszego zgromadzenia przybywam z wiadomościami dla eforów i królów Sparty.

Spojrzenie mężczyzny przeniosło się na chwilę na niego. Był najwyraźniej poirytowany, że musiał oderwać wzrok od Relasa. Ksantyppos zaryzykował rzut oka za siebie i ujrzał hoplitę patrzącego gniewnie i sapiącego przez nozdrza jak rasowy byk. Prędko zaczął mówić dalej, zanim ten wariat wyprawi ich wszystkich na tamten świat:

– Mój towarzysz to Kimon, syn Miltiadesa, który dowodził pod Maratonem. Wnuk trzykrotnego zwycięzcy olimpijskiego w wyścigach rydwanów, swego imiennika. Strateg spod Salaminy.

Ksantyppos przyciągnął wreszcie uwagę Spartanina. Mężczyzna spojrzał na Kimona, żując obojętnie dolną wargę. Młody strateg odpowiedział mu spojrzeniem zaczerwienionych, podkrążonych oczu. Kimon przynajmniej wygląda na wnuka olimpijczyka, pomyślał Ksantyppos. Igrzyska odbywały się co cztery lata, w letniej porze, podczas tradycyjnego rozejmu między wszystkimi walczącymi miastami-państwami Grecji. Sparta zawsze wysyłała grupę swoich zawodników i szczyła się piękną historią odniesionych na igrzyskach zwycięstw. Jak Ksantyppos się spodziewał, informacja ta wzbudziła zainteresowanie Spartanina.

– Kimon... woźnica? Ten, który był znany jako Koalemos, szalony? – Pomimo przywołania tego miana sardoniczny ton ulotnił się z jego głosu.

– Nie był szalony – odparł Kimon, zerkając na Ksantypposa. Zadano mu pytanie, musiał więc na nie odpowiedzieć. – Ojciec opowiadał, że nazywano go tak, bo nie okazywał strachu nawet wtedy, gdy strach był... uzasadniony.

– Też o tym słyszałem – odrzekł Spartanin. – To zaszczyt poznać jego wnuka.

Ku zaskoczeniu Ksantypposa wyciągnął pokrytą bliznami dłoń, a Kimon ją uścisnął. Przez dłuższą chwilę, w zupełnej ciszy, obaj próbowali zmiażdżyć sobie nawzajem palce, po czym zwolnili uścisk. Strateg zauważył białe odciski na ich dłoniach.

– A tamci dwaj? – zapytał Spartanin. Nie okazywał w żaden sposób, że właśnie przetestował na Kimonie swoją siłę i że próba nie wypadła dla niego pomyślnie. – Muszę znać imiona was wszystkich.

– To nasi towarzysze podróży i służący – powiedział Ksantyppos. Nie spojrzął na Relasa i Onesimosa, którzy zachowali dość rozsądku, żeby wbić wzrok w ziemię.

– Czy to niemowy? – Spartanin przystąpił do nich tak blisko, żeby mogli poczuć bijący od niego zapach oliwy i potu rozgrzanego ciała.

Wyszczrzył zęby, gdy Relas pokręcił głową.

– Nazywam się Relas i należę do Hippothoontis. Byłem keleustesem w bitwie pod Salaminą. Też tam byłeś?

Spartanin uderzył go mocno w twarz wierzchem dłoni, co było gestem wyrażającym pogardę. Głowa Relasa odskoczyła, a na jego wardze ukazała się krew. Hoplita zachwiał się i cofnął o krok, po czym spojrzął zdumiony. Ksantyppos pośpiesznie przemówił, a jego głos przypominał warczenie:

– Jesteśmy sojusznikami, chronionymi obyczajem i przysięgą waszego króla...

Ledwo mógł uwierzyć w zuchwalstwo Spartanina. Stał naprzeciwko czterech mężczyzn na lekko uniesionych stopach, gotów ponownie wyciągnąć do nich ręce.

– Kyriosie? – rzucił Relas do Ksantypposa. – Mam ochotę mu odpowiedzieć, jeśli mi pozwolisz. Kiedyś matka uderzyła mnie w ten sposób, gdy coś do niej mówiłem.

Ksantyppos zauważył, że Relas przygarbił ramiona, po czym przechylił pytająco głowę. Ku zaskoczeniu stratega Kimon odpowiedział lekkim skinieniem, wystarczającym, by uznać je za przyzwolenie. Ksantyppos jeszcze raz spojrzął na Relasa, oceniając jego posturę i silne, spracowane dłonie. A jednak nie był pewien, czy Ateńczyk dobrze ocenił ryzyko.

– Nie. Wolałbym raczej przejść przez bramę i zająć się zadaniem, jakie powierzyło nam zgromadzenie – odparł powoli.

Relas odpowiedział głosem przywodzącym na myśl odległy grzmot nadciągającej burzy.

– Jestem mu winien odpowiedź, kyriosie.

– Jestem tu cały czas, synu. Jeśli chcesz, zaczekam na ciebie, gdy będziesz wracał – odezwał się Spartanin, ani na chwilę nie spuszczać z Relasa oczu. Uśmiechnął się do Ksantypposa. – Możecie przejść, kiedy tylko będziecie gotowi. Mieliśmy sygnał, żeby was przepuścić. Było to oczywiście jeszcze przed obraźliwym zachowaniem twojego niewolnika.

– Jestem wolnym człowiekiem – warknął Relas. – Ale co znaczą słowa?

– Dość tego. Wystarczy – powiedział Ksantyppos.

Relas stał jak posąg, oddychając wolno i głęboko, najwyraźniej gotów do konfrontacji. Przez chwilę zdawało się, że jego decyzja wisi na włosku.

– Otwórz bramę, Spartaninie – polecił Ksantyppos. – Mamy sprawę niecierpiącą zwłoki.

Mężczyzna spojrział na nich spod przymrużonych powiek i pokręcił głową. Zrobił taki grymas, jakby go obrazili.

– Jest tak, jak mi mówiono – odrzekł. – *Ateńczycy*. – To ostatnie wymówił jak przekleństwo.

Ksantyppos opanował gniew. Intencje Spartanina były aż nadto czytelne. Zwycięstwo polegało na tym, żeby nie dać mu tego, czego chciał. Relas też w końcu to zrozumiał.

– Ruszasz się dobrze, jak na niewolnika – rzucił jeszcze Spartanin.

Relas odpowiedział skinieniem głowy.

Ksantyppos wskazał gestem na bramę i strażnik ustąpił, wzruszywszy ramionami. Gdy stanęli pod wrotami, strateg usłyszał odgłos przesuwanych sztab albo łańcuchów. Ujrzał wyżej dwóch mężczyzn podnoszących i wyciągających w górę żelazne pręty. Na koniec brama się otworzyła i wszyscy się pochylili, aby przejść. Łuk był niski, czterej Ateńczycy musieli więc prowadzić konie, nachylając im łby rękoma. Krótkie przejście było ciasne i zimne, a na jego końcu widniała druga brama, przez którą wpadało światło. Będąc już po drugiej stronie, odwrócili się i spojrzeli za siebie. Mur ciągnął się na wschód i na zachód prostą kamienną linią przerywaną solidnymi wieżami. Spartanie, którzy stali na murze, zdawali się być niebezpiecznie blisko i z łatwością mogli zeskoczyć. Krzywo patrzyli na przybyszów z Aten wkraczających na ich ziemię.

Strażnik najwyraźniej stracił swój gniewny animusz. Po tym, jak odmówiono mu walki, okazywał już tylko pogardę. Wskazał ręką na drogę.

– Sparta leży trzy dni na południe stąd, dwa, jeśli wasza sprawa jest pilna. Eforów znajdziecie na akropolu. Odnoście się do nich z szacunkiem. Nie każdy spośród tych, których spotkacie, będzie tak cierpliwy i przyjazny jak ja.

Ksantyppos podziękował mu, ale mężczyzna stracił już zainteresowanie nimi. Upewnił się, że brama i tunel zostały zabezpieczone, po czym wszedł po schodkach na koronę muru. Został tam powitany przez dwóch innych. Jeden szturchnął go w żebra i cicho coś powiedział, na co on uśmiechnął się i pokręcił głową. Reszta strażników odwróciła się i powróciła do wypatrywania zagrożeń.

Ksantyppos spojrział na Kimona, potem na Relasa, który najwyraźniej znów pogрузzył się w posępny, cichy gniewie. Cała czwórka starała się ignorować zainteresowanie, jakie budzili wśród mężczyzn w czerwonych płaszczach

kręcących się po leżącym nieopodal obozie. Byli oni na tyle ciekawi, że porzucali swoją pracę i ćwiczenia i stawali przy drodze. Z dala ujrzeli tuman pyłu unoszący się spod stóp niosącego wieści biegacza, niemającego na sobie nic poza parą mocnych sandałów. Ksantyppos pomyślał o biednym Fejdippidesie, który przebiegł z Aten do Sparty, niosąc wieści o poprzedniej inwazji. Był cztery dni w drodze, śpiąc zaledwie kilka godzin na dobę. To raczej ten wysiłek, a nie bieg z Maratonu do Aten, kosztował go życie.

– Okazałeś wielką powściągliwość, Relasie – odezwał się nagle Ksantyppos. Sam wychował dwóch synów. Wiedział, jak ważne jest powiedzenie kilku słów w odpowiednim momencie. Odczekał parę uderzeń serca, zanim dodał: – Twoje zdyscyplinowanie zasługuje na pochwałę. Nie zapomnę o tym.

Relas tylko skinął głową w milczeniu, ale na jego twarz wystąpił lekki rumieniec.

Wsiedli na konie i ruszyli kłusem, mając nad prawym ramieniem zachodzące słońce. Ksantyppos milczał, kiedy Kimon wyłowił z sakwy bukłaczek i puścił go w obieg. Sam jednak odmówił napitku. Bywało, że strateg rozumiał młodych ludzi prawie tak dobrze jak Spartan albo nawet Persów. Wszyscy oni należeli do dziwnego gatunku.

\* \* \*

Aleksander z Macedonii zrobił wielkie wrażenie, gdy stanął przed zgromadzeniem. Płaszcz i kolczuga nie mogły ukryć jego wzrostu ani szerokości ramion. Jego włosy były jeszcze jaśniejsze od włosów Temistoklesa, wyglądały w słońcu jak polerowany spiż albo złoto.

Dobre dwadzieścia tysięcy ludzi zgromadziło się tego dnia na Pnyksie, uzasadniając jego nazwę odnoszącą się do ścisku. Poza nimi całe miasto wiedziało już o wizycie Macedończyków i wszyscy czekali, żeby się dowiedzieć, co ta wizyta oznacza. Przerwano nawet prace budowlane, wokół wzgórza panowała więc cisza i powiewy morskiego wiatru.

– Przemów zatem, Aleksandrze, królu Macedonii – powiedział Temistokles. Siedział obok Arystydesa, uniósłszy kolano i swobodnie objąwszy dłońmi nogę na wysokości piszczeli.

Mężczyzna patrzył przez chwilę w niebo, szukając właściwych słów.

– Wiedźcie, że przybywam jako wysłannik w pokoju i pod osłoną rozejmu. Ateny i Macedonia nie toczą ze sobą wojny.

Temistokles chciał coś odpowiedzieć, ale Arystydes wyciągnął rękę i klepnął go w opartą o kamień siedziska stopę. Mężczyzna ustąpił niechętnie.

Macedończyk zauważył to i skinął głową na znak podziękowania.

– Zagwarantowano mi autorytetem kogoś innego, żebym przemówił w jego imieniu i jego głosem. Jestem zaufanym człowiekiem w obozie wodza Mardoniusza z Persji. Co więcej, mój honor znany jest na dworze Kserksesa, wielkiego króla i władcy perskiego imperium.

Rozległy się szmery i pomruki, którym towarzyszyły niespokojne poruszenia na miejscach wokół. Zbyt wielu straciło przyjaciół pod Salaminą, aby słuchać spokojnie słów sojusznika wrogiego władcy wychwalającego jego imię w samym sercu Aten. Temistokles umknął wzrokiem, a Arystydes przewrócił oczyma.

Król Macedonii odczekał, aż umilkną szepty. Rozwinął zwój papirusu, który zatrzeszczał, gdy go rozprostowywał. Temistokles zauważył, że jego dłonie są pewne i spokojne.

– Mam odczytać te słowa: „Mieszkańcy Aten, wiecie jedno o Kserksesie, królu królów. Wiecie, że jego słowo jest pewne. Jego przyrzeczenie, raz dane, wykute jest w kamieniu. Mówię to ja, Mardoniusz, jego najbardziej zaufany wódz i przyjaciel. Przemawiam tutaj za niego, tak jak Jego Wysokość król Aleksander mówi za mnie. Wy, Helleni, przybyliście do Jonii i złupiliście miasta. Spaliliście Sardes. Dobrze wiecie, jaka była nasza odpowiedź...”.

Król macedoński musiał przerwać, gdyż zbyt wiele głosów zaczęło go przekrzykiwać. Skrzywił się i odczekał, ale okrzyki nie ustawały aż do chwili, gdy Arystydes podniósł się z siedzenia i objął ich spojrzeniem.

– Wysłuchajmy go! – rozkazał.

Hałasy umilkły. Temistokles się nie poruszył. Patrzył na obcego króla jak jastrzęb, próbując dowiedzieć się wszystkiego, co się da, z jego gestów, min i momentów wahania. Aleksander z wdzięcznością skinął głową Arystydesowi, ale jego twarz i szyję oblał rumieniec. Wznowił odczytywanie listu:

– „Król Kserkses będzie honorował każdą umowę, którą podpiszę w jego imieniu. Wysłuchajcie mojej oferty, która jest taka, jakbyście słyszeli jego głos. Jakby to sam Kserkses stał przed wami”.

Ktoś wykrzyknął głośno sprośną propozycję, co mogą z nią zrobić, jeśli jest prawdziwa. Przez tłum przetoczyła się fala śmiechu. Pers, który stał obok Aleksandra, zmarszczył brwi, zagryzł wargi i patrzył gniewnie na ten brak poszanowania. Arystydes to zignorował. W końcu byli Ateńczykami, nie posągami! Nie mógł zdławić w ludziach poczucia humoru.

– „Mocą nadanej mi władzy powiadam – czytał z determinacją Aleksander – że nie będzie żadnych warunków ani negocjacji. Składam tylko jedną



propozycję. Jeśli zostanie odrzucona, skutkiem będą wojna i zniszczenie wszystkich miast sprzymierzonych z Atenami i Spartą. Po Grecji zostaną popioły i kości. Słuchajcie uważnie i miejcie na względzie swoje dzieci”.

Król Macedonii przerwał znowu, jakby grał w sztuce teatralnej. Nie było słycać w tym momencie żadnych rozmów i Arystydes czuł się nieco zaniepokojony sztuczną milczeniem. Macedończyk rozkoszował się chyba zanadto swoją pozycją. Macedonia była biedną krainą na północy, a przy tym zazdrosnym sąsiadem. Chyba w tym leżała przyczyna. Ateny, nawet spalone, wciąż były większe od któregośkolwiek z macedońskich miast, choć nazwa „miasto” była tu raczej przesadą.

– „Jeśli zostaniecie naszymi wasalami i ofiarujecie nam ziemię i wodę, jak to jest w waszym zwyczaju, akceptując Kserksesa jako waszego króla i władcę Grecji, oszczędzę wam wojny, która jest bliska. Będziecie płacić Persji podatki. Będziecie dostarczać hoplitów do królewskiej armii. Przyjmiecie królewskich urzędników, którzy będą administrować waszymi miastami. W zamian za to zostaną oszczędzone wasze kobiety i dzieci, wasze świątynie nie spłoną, a bogowie pozostaną nietknięci. Będziecie mogli prowadzić takie życie jak przedtem. Bo jakie ma znaczenie, czyja twarz będzie przedstawiona na waszych monetach? Czy to ważne, kto wami rządzi? Oto moja propozycja, której nie musiałbym wcale przedstawiać. Dowodzę niezwyciężoną armią, nieprzeliczoną rzeszą wojowników. Chciałbym jednak okazać miłosierdzie, jak uczyniłem to wobec tych helleńskich miast, które wykazały się lojalnością. Przyjmijcie to jako dowód naszej dobrej woli. Oczekuję jedynie posłuszeństwa mojemu królowi. Albo będzie wojna. Moja reakcja zależeć będzie od waszej odpowiedzi”. –

Aleksander odetchnął głęboko i zwinął z powrotem pergamin. Przemówił donośnym głosem: – Pozostawię wam ten list, abyście mogli przeczytać go raz jeszcze. Proszono mnie, bym zaczekał na waszą odpowiedź.

– I będziesz czekał, bo jesteś wasalem Persji – rzucił Temistokles.

Macedoński król spojrzał na niego zimno, ale w oczach Ateńczyka była tylko pogarda.

Perski towarzysz Aleksandra szepnął coś przy jego ramieniu, na co król odpowiedział skinieniem głowy.

– No tak, musisz słuchać swojego perskiego przyjaciela – odezwał się znowu Temistokles. Arystydes ponownie szturchnął go w stopę, ale on nie zwrócił na to uwagi. – Zostaw ten zwój. Podyskutujemy nad nim, kiedy stąd pójdziesz. No dalej, Macedończyku. Ta skała jest tylko dla wolnych ludzi. Nie jesteś jednym z nas.

Aleksander rzucił zwój pod stopy Temistoklesa, obrócił się na pięcie i ruszył w dół wzgórza. Arystydes podniósł pergamin i chrząknął z irytacją.

– Co przez to zyskałeś? – zapytał.

Temistokles sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Satysfakcję. Nie mogę oddychać tym samym powietrzem co ten typ. Macedonia powinna stanąć przy naszym boku, a nie całować sandały obcego króla.

– Nie widzisz, co oni zrobili z Atenami? – spytał Arystydes. – Może próbował oszczędzić takiego losu swoim ludziom. Może Aleksander nie miał statków, żeby wywieźć swoich poddanych w bezpieczne miejsce.

Arystydes poczuł się rozdarty. Czuł, że powinien pójść za macedońską grupką torującą sobie drogę w dół wzgórza, ale przynajmniej połowa zebranego tłumu czekała na jego słowa, spodziewając się przywództwa.

– To niewolnik – stwierdził Temistokles, patrząc w ślad za macedońskim królem. – Chodzi jak wolny człowiek, ale to nie zmienia tego, kim jest.

Arystydes postanowił nie ciągnąć tej rozmowy. Uznał, że przeciwstawi się Temistoklesowi w debacie, która potem nastąpi, jak czynił to tyle razy wcześniej. Wszystko to nie było takie proste, jak Temistokles sobie wyobrażał. Prawdę należało odkryć w dyskusji i w szermierce na argumenty. Żeby tylko było dość czasu, zanim za poduszczeniem Temistoklesa zebrani zaczną wyć, domagając się perskiej krwi! Z westchnieniem rozpaczy Arystydes wepchnął zwój w ręce towarzysza i ruszył za macedońskim królem. Za plecami usłyszał głos Temistoklesa przemawiającego do zgromadzenia:

– Czemuż by nie? Oczywiście przeczytam to jeszcze raz! Przybliżcie się, chłopcy. Pozwólcie, że wam powiem, czego wróg od nas chce.

Ksantyppos obudził się w ciemnościach i sięgnął ręką po miecz wiszący na haku przy łóżku. Stłumił jęk. Gdyby chociaż można było nazwać to łóżkiem! Myślał dotąd, że wie co nieco o Spartanach z czasów, gdy przebywał w Koryncie. Spotykał ich tam wielu, ubranych w charakterystyczne czerwone płaszcze. Nigdy nie widział, żeby zajmowali się interesami albo dyskutowali o prawie, filozofii czy nawet taktyce wojskowej. Zachowywali się jak odrębny gatunek, przemieszczali się często biegiem, zwijając płaszcze i mocując je na ramionach. Korynt był dla nich tylko jednym z kierunków, choć wielu ćwiczyło w tamtejszych gimnazjonach.

Ksantyppos nie znał dobrze samego miasta-państwa Sparty. Był w nim co prawda kiedyś we wczesnej młodości. Jedyńm zaskoczeniem dla niego było to, że tak niewiele się tam zmieniło. W czasie jego życia Ateny przebudowywano więcej niż raz, i to jeszcze przed pojawieniem się Persów. Ale Sparta, odkąd był w niej z ojcem i bratem, mając osiemnaście lat, wyglądała, jakby zastygła w bursztynie.

Usiadł na łóżku i zaklął pod nosem. Jako osiemnastolatek mógł zasnąć na drzewie i obudzić się rześki, a jedyną sztywną częścią ciała był fiut. Teraz, mając niemal pięćdziesiąt lat, potrzebował do snu czegoś więcej niż pokrytego słomą kloca drewna z wyciętym wgłębieniem pod głowę. Nie był pewien, czy spędziwszy noc na wznak, wpatrzony w sufit, z dłońmi złożonymi na piersiach jak nieboszczyk, w ogóle zdołał zasnąć.

Posłyszał, jak Kimon mamrocze coś, nie całkiem jeszcze przebudzony. Chrapanie młodego mężczyzny nie pomogło Ksantypposowi w zasypianiu. Strateg pamiętał, że niejednym raz zrywał się ze snu na jego odgłos. Ach, czyli jednak zasypiał! Podniósł się i otworzył drewniane okiennice pociągnięte śliskim pokostem. Na niebie wciąż błyszczały gwiazdy, lecz widać już było ludzi zajętych codziennymi obowiązkami. Poczował, że się rumieni, a serce zabiło mu szybciej. Nie chciał, by Spartanie go zawstydzali. Miał chwilami wrażenie, że specjalnie demonstrują przed innymi swoje surowe cnoty. Po części podejrzewał, że się myli i że po prostu wstali wcześniej, trochę zjedli i wypili, po czym

ćwiczyli, aby pozostać mistrzami sztuki wojennej. Możliwe, że w ogóle nie było tu miejsca na miłą rozmowę, politykę, sztukę.

O szarym brzasku Ksantyppos odnalazł duży garnek, ustawił go na wiszącej na ścianie półce i z ulgą opróżnił pęcherz. Usłyszał Kimona, który wybełkotał jakieś pytanie, zaniepokojony dobiegającym do niego odgłosem. Ksantyppos cieszył się, że Temistokles z nim nie pojechał. Arystydes dogadywałby się ze spartańskimi gospodarzami, ale Temistokles bardzo prędko doprowadziłby do tego, że sięgnęliby po broń. Skończywszy, Ksantyppos westchnął. Bogowie kochali Temistoklesa, ale on sam sprawiał pozory, jakby był przekonany, że samodzielnie zwyciężył w bitwie pod Salaminą. Gdyby jeszcze raz wyciągnął to przed zgromadzeniem, zapewne potłukliby garnki i poddali go ostracyzmowi. To byłaby dopiero ironia!

– Ksantypposie? – odezwał się Kimon.

Jego posłanie miało grubość zaledwie letniego koca, lecz było przynajmniej mniej kłujące od podściółki ze słomy. Ksantyppos wylał zawartość garnka przez okno. Poprzedniego wieczoru, w świetle jedynej lampy oświetlającej budynek gospody, dostrzegł tam ściek.

– Obudziłem się – powiedział. – Wstawaj zaraz, zanim Spartanie przyjdą i zapytają, dlaczego wylegujemy się do południa.

Usłyszał, jak Kimon ziewnął przeciągle, i sam też to zrobił. Ubrał się szybko i wymknął za próg, żeby zastukać do sąsiednich drzwi. W budynku nie było zamków ani zasuw, wsunął więc głowę do środka. Zobaczył Relasa i Onesimosa wyciągniętych na podłodze. Jeszcze chrapali i musiał tupnąć mocno, żeby ich obudzić.

– Wstawajcie. Bądźcie gotowi.

Zszedł po skrzypiących drewnianych schodach. Zobaczył, że rozpalono już ogień, na którym gotowała się woda. Balwierz helota krzątał się już przy pracy. Natarłszy skórę gościa oliwą, operował brzytwą z wprawą wynikającą z długiej praktyki. Ksantyppos miał ochotę napełnić kubek wrzątkiem i wrócić z nim na górę do pokoju, ale uznał, że lepiej będzie najpierw się ogolić, a balwierz kończył już zabiegi wokół pierwszego gościa. Na zewnątrz wciąż panował mrok. Słońce z każdym dniem wstawało później. Słyszał dźwięki budzącego się miasta, kroki przechodniów i dalekie głosy nawołujących się ludzi. Dostarczano towary, gotowano pożywienie, otwierano sklepy. Sparta w porównaniu z Atenami była małym miastem-państwem, otoczonym górami, z przepływającą przez nie rzeką Eurotas, ale w jego granicach żyło ponad sto tysięcy dusz. Ksantyppos zastanawiał się, ilu helotów nazywa Spartę swoją ojczyzną i ilu

wyruszyliby ze spartańskimi wojownikami w pole, gdyby kiedykolwiek do tego doszło. Arystydes zrelacjonował mu swoją rozmowę z regentem Pauzanaszem. Nie były to dobre wieści. Ksantyppos wciąż miał nadzieję, że uda mu się uzmysłwić Pauzanaszowi, iż dotrzymanie złożonej przez jego ojca przysięgi jest dla Sparty jedyną drogą przetrwania.

Usiadłszy na krześle, poczuł mocne palce nacierające oliwą jego podbródek i policzki. Zmarszczył w zamyśleniu czoło. W taki czy inny sposób muszą pozyskać spartańską armię. Nikt nie zdoła się bez niej obronić przed Persami. Trzeba było tylko przekonać Spartan, że stanięcie przeciwko największej znanej armii świata leży w ich najlepszym interesie.

Balwierz był niski, miał silne ramiona, a dłonie, w których trzymał brzytwę, delikatne i spokojne. Kiedy skończył, Ksantyppos rzucił mu srebrną monetę. Mężczyzna zamrugał i natychmiast mu ją oddał, wbijając wzrok w ziemię. Ksantyppos zarumienił się. W zamyśleniu zapomniał, że helotom nie wolno niczego posiadać. W Atenach mógłby wręczyć balwierzowi niewolnikowi zapłatę, która powiększyłaby jego oszczędności. Poczuli się jak głupiec. Żaden helota nie pomyślałby nawet o tym, żeby wykupić sobie wolność, na pewno nie w Sparcie. Pozostawali więźniami swego stanu aż do śmierci.

Kimon zszedł hałaśliwie na dół. Gdy ujrzał balwierza, rozbłysły mu oczy. Relas i Onesimos zwlekli się za nim, rozglądając się wokół ciekawie. Gdy Kimon usiadł i helota natarł go oliwą, z ulicy dobiegły hałas i liczne głosy. Ksantyppos pierwszy doskoczył do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Spartański akropol leżał bardziej na obrzeżu miasta niż w jego sercu, jak to było w Atenach. Strumień ludzi zmierzał najwyraźniej w tym kierunku, na wzgórze. Między nimi przepychało się kilkunastu jeźdźców w czerwonych płaszczach powiewających na wietrze. Oczekiwali, że heloci albo zejdą im z drogi, albo zostaną stratowani. Większość umykała, ale jakaś starsza kobieta została potrącona i pchnięta na ścianę domu. Nie podniosła w górę pięści ani nie krzyknęła za nimi, jak stałoby się choćby w Atenach. Zamiast tego stanęła z pochyloną głową, dysząc ciężko z bólu i strachu.

Kimon też wyszedł na zewnątrz. Jego twarz lśniła od oliwy. Spojrzał w ślad za jeźdźcami.

– Jakie wieści? – zapytał.

Ksantyppos pokręcił głową.

– Chodź – rzucił i ruszył drogą nieco dalej.

– Czy w tym miejscu nie ma jakiegoś jedzenia? – zapytał z za jego pleców Kimon. – Nie jadłem zeszłego wieczoru i myślałem, że dziś rano coś

dostaniemy.

– Nie, zanim nie ukończymy pierwszej części naszego zadania. Nie nastąpi to wcześniej niż późnym rankiem.

Uśmiechnął się, widząc niezadowolenie Kimona. Po chwili z gospody wyszli Relas z Onesimosem. Dołączyli do nich i wszyscy razem wmieszali się w tłum zmierzający w stronę akropolu.

W drodze na górę czwórka Ateńczyków trzymała się w zwartej grupie, mijając setki milczących mężczyzn i niemal tyle samo kobiet. Ksantyppos starał się nie wpatrywać w nikogo zbyt uporczywie, lecz Onesimos co rusz szeptał i gapił się w zachwycie, szturchając przy tym Relasa. Wolne kobiety przechadzały się po ulicach Aten, choć znacznie rzadziej i zwykle w towarzystwie domowych strażników. Te tutaj wyglądały inaczej niż ateńskie matrony. Były młode i szczupłe, o poważnym wyrazie twarzy. Niektóre nie miały na sobie nic poza kawałkiem białej tkaniny, przepasanym i spiętym na ramieniu. Nie skrywał on zanadto kształtów młodego, promieniającego zdrowiem ciała. Ich włosy lśniły jak futerko wydry, budząc w Ksantypposie dawne wspomnienia. Spostrzegł, że Relas uśmiecha się do jednej z nich, zauważając jedynie jej urodę, nie zaś rosnący gniew.

– Jeśli mają krótkie włosy, są mężatkami, Relasie – mruknął Ksantyppos. – Wystarczy, że się do którejś odezwiesz, a zepsujesz wszystko, co próbuję tutaj osiągnąć. Rozumiesz? Jeśli któraś zwróci się do ciebie, odpowiedz jej, ale w przeciwnym razie nie chcę zostać oskarżony o molestowanie tutejszych kobiet.

– Czyli że długowłose nie są z nikim związane? – odparł Relas.

Ksantyppos spojrział na niego. Słońce nie wyszło jeszcze zza gór na wschodzie, nie zabłysło nad górą Parnon. Było już jednak sporo światła, a jego szary, spokojny poblask zapowiadał pojawienie się niebawem słonecznego złota. Relas uśmiechał się nieśmiało do biegnącej obok nich młodej Spartanki. Nie wyglądało na to, żeby czuła się skrępowana.

– Niezwiązane małżeńskim przyrzeczeniem córki spartańskich wojowników, owszem – sprecyzował Ksantyppos. – Nie chcę też tłumaczyć ich ojcom, dlaczego jeden z moich ludzi zawędrował do niewłaściwego ogródka!

Relas opuścił głowę i zarumienił się, słysząc tę reprimendę. Potem, aż do wejścia na akropol, patrzył już tylko prosto przed siebie.

Góry otaczały ich zewsząd, a oni stali jak we wnętrzu ogromnej misy. Wszędzie znajdowali się strażnicy w czerwonych płaszczach, a świątynie otwierały podwoje, za którymi ukazywały się wnętrza z szeregami zapalonych

lamp. Złocisty blask przegnał światło bladego świtu, oświetlając jeźdźców, których Ksantyppos widział po drodze. Zsiedli z koni i stanęli w najwyższym punkcie, na płaskim gładzie wytartym przez czas. Ich konie gdzieś odprowadzono i czekali w zwartej grupie.

Ksantyppos stał spokojnie, a jego towarzysze skupili się przy nim. Gdy tłum zgęstniał, znalazł się nagle w morzu głów stojących w milczeniu ludzi. Wydało mu się, że rozpoznaje tych na kamieniu po opisie słyszonym od Arystydesa. Regent Pauzaniasz musiał stać pośrodku. Zdecydowanie dźwignął tam przywództwo, bo słuchano go uważnie, gdy tylko coś do kogoś szepnął. Mężczyzna obok niego ubrany był w prostą szatę i miał rozpuszczone, niezaplecione włosy. Jego ramiona były równie szerokie jak barki regenta. Śmiali się z czegoś razem, a Ksantyppos skinął do siebie głową. To musiał być wróżbita Tisamenos. Ksantyppos przypomniał sobie pentatlon z igrzysk olimpijskich. Był tamtego dnia w tłumie, chroniony rozejmem. Pokręcił głową. Ci młodzi Spartanie torowali sobie nową drogę w świecie. Sprawiali, że czuł się stary, ale prawda była też taka, że wygrał wszystkie swoje bitwy! Walczył pod Maratonem na lądzie i pod Salaminą na morzu. Żaden człowiek nie mógł pozostać wiecznie młody. Spojrzał na Kimona i westchnął. Fakt, że rankiem odczuwał bolesne skrzywienie w stawach. Młodość była wielką chwałą człowieka. On swojej nie zmarnował, ale odczuwał żal, że odeszła.

Kiedy akropol zapełnił się tak jak Pnyks, Pauzaniasz podniósł rękę. Ksantyppos niemal się spodziewał, że zebrani wezwą go, aby przemówił, tak jak na zgromadzeniu. Zapomniał, że ten mężczyzna jest regentem syna Leonidasa. W owej chwili Pauzaniasz został wojennym królem Sparty i miał władzę, by posłać ich na wojnę albo się od tego powstrzymać. Eforowie rządzili w czasach pokoju, ale w sytuacji, gdy perskie armie przemierzały kraj, władza Pauzaniaza nie miała granic. To sprawiło, że stał się też niebezpieczny, i Ksantyppos nadstawiał uszu, by usłyszeć każde jego słowo.

– ...jeden z naszych słuchaczy przybył do mnie ostatniej nocy z Aten. Wieści są... niepokojące.

Ksantyppos wymienił spojrzenia z Kimonem. Światło z każdą chwilą stawało się ostrzejsze. Myśl, że stoją rozpoznawalni na spartańskim akropolu, podczas gdy gospodarze dyskutują wieści z Aten, nie była przyjemna. Zastanawiał się, czy nie powinien krzyknąć, zgłaszając swoją obecność, zanim ktoś go złapie i okrzyknie szpiegiem albo zdrajcą. Gdy Pauzaniasz przemawiał, strateg poczuł spływające po twarzy krople potu, choć może były to resztki oliwy po goleniu.

– Persowie pozyskali wsparcie pewnego pomniejszego króla z północy. Aleksander z Macedonii udał się do Aten, żeby wynegocjować pokój ze sprzedawczykami z ich zgromadzenia. On będzie...

Ksantyppos nie mógł stać tam dłużej i słuchać, jak znieważa się Ateny. Choć serce biło mu szybko, wyprostował się i krzyknął przez plac:

– Regencie Pauzaniu! Przybyłem z Aten jako posłaniec, aby rozwiązać twoje obawy. Czy w tym także widzisz dowód złej woli?

Tłum odwrócił się, aby zobaczyć śmiałka, który to powiedział. Przez kilkanaście rozpaczliwych uderzeń serca, które naprawdę trwały tylko chwilę, Ksantyppos czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej. Pauzaniusz pochylił głowę i mruknął coś do stojącego obok wróżbity.

– Wystąp, Ateńczyku – rozkazał po długim milczeniu.

Ksantyppos poczuł napór z tyłu i stało się jasne, że musi tam iść, niezależnie od swojej woli. Posłyszał, jak Kimon warknął coś komuś w odpowiedzi, ale grupka Ateńczyków została przepchnięta przez ciżbę aż do stóp kamienia mówców, skąd musieli patrzeć na Pauzaniusza, wznosząc oczy.

– Mieliśmy spotkać się w południe – zaczął Ksantyppos – lecz gdy zobaczyłem ciągnący tutaj tłum...

– Teraz to już bez znaczenia – Pauzaniusz zbył jego słowa. Wyglądał tak, jakby patrzył na świat, unosząc nieustannie brew, zauważył Ksantyppos. Arystydes opisał mu doskonale ten wyraz twarzy. – Znosi się na to, że jeszcze dziś będę musiał udać się do Aten, aby ocenić poczynione szkody. Kto by pomyślał, że Persowie będą mieli w sobie tyle przebiegłości, aby próbować zwrócić Ateny przeciwko nam? Spodziewałbym się raczej, że mając tak ogromną armię, powinni po prostu odpocząć przez zimę i zaatakować wiosną. Spędzają jednak te chłodne miesiące na spiskowaniu i napełnianiu gąb sprzymierzonych złotem.

– Ja... – Ksantyppos spojrzał ze zdumieniem. – Naprawdę wybierasz się do Aten?

Pomyślał, że Pauzaniusz nie zechce mu odpowiedzieć. Jego twarz wydawała się wykuta z krzemienia.

– Postępowałem z waszymi ludźmi uczciwie, Ateńczyku. Spotkałem się z Arystydesem w Eleuzis. Błagał mnie, abym pamiętał o przysięgach. Czy dlatego się tu pojawiłeś? Być może nadszedł czas, żeby Sparta przypomniała Ateńczykom o tym samym! Nie będzie podpisywania żadnego pokoju między Persją i Atenami!



Gdy Ksantyppos rozpaczliwie próbował zrozumieć tę nową informację, Pauzanasz ponownie zwrócił się do tłumu:

– Zaniosę im wiadomość. Kiedy mnie nie ma, mój ojciec Kleombrotos dowodzi wszystkimi wojennymi siłami Sparty, spartiatami, periojkami i helotami. Staje się regentem Plejstarchosa, syna Leonidasa. Słuchajcie króla Leotychidasa, eforów i bogów. Bądźcie czujni. Bądźcie posłuszni.

Wszyscy obecni na akropolu, mężczyźni i kobiety, ukłękli, pochylając głowy, odsłaniając czterech stojących niezręcznie Ateńczyków. Kimon i Ksantyppos wymienili uparte spojrzenia, nie dostrzegając w sobie żadnej skłonności do uległości. Wraz z Relasem i Onesimosem znosili wrogość Spartan, stojąc wyprostowani i nie kłaniając się. Kimon wzruszył ramionami. Pauzanasz nie był jego królem.

– Skoro wyjeżdżasz dzisiaj, Wasza Wysokość – powiedział Ksantyppos – wrócę do Aten razem z tobą. Moją główną troską było wyjaśnienie ci, dlaczego Ateny czują, że musimy walczyć. Widok mojego miasta przemówi lepiej niż ja.

Pauzanasz zwrócił się do niego z tym samym uniesieniem brwi, jakby jego twarz zamarzła po jednej stronie. Po długiej chwili, mającej uświadomić wszystkim, że nie podejmuje tej decyzji pod czyimkolwiek wpływem, skinął głową.

– Bardzo dobrze. Przygotujcie swoje konie. Postarajcie się dotrzymać nam tempa. Nie będziemy czekać na ludzi nieprzygotowanych.

\* \* \*

Ksantyppos stwierdził, że Pauzanasz nie przesadzał. Gdy odeszli królowie, nie pozostał na ceremonii ani nie wysłał nikogo w swoim zastępstwie. Spartański regent pędził, jakby była to jazda jego życia, odzywając się zdawkowo, gdy Ateńczyk próbował nawiązać z nim rozmowę. Wyruszył, gdy tylko słońce wychynęło zza gór, i skierował się na północ wraz z kilkunastoma członkami swojej osobistej straży, zmierzając w stronę Przesmyku Korynckiego. Około południa zmienili konie w miasteczku Argos. Tisamenos rozdał kawałki suszonego mięsa, które trzymał pod siodłem, ogrzane ciepłem końskiego ciała. Czwórka Ateńczyków jadła z rozkoszą, bo głód sprawiał, że nawet stare mięso smakowało wyśmienicie.

Kiedy wrócili na północny szlak, Ksantyppos zachował kawałek mięsa między zębami a policzkiem, aby ssąc go, przedłużyć posiłek. Zauważył, że Pauzanasz zrobił to samo. Regent patrzył chłodno na Kimona, który wyciągnął bukłak i przechyliwszy głowę w tył, dopijał w galopie resztkę wina, nie chcąc

uronić ani kropli. Jechali prędko i tym razem Ksantyppos nie pozazdrościł młodemu mężczyźnie tej przyjemności.

Noc spędzili przy drodze, spętawszy konie. Tisamenos rozdał kolejną garść brązowych kawałków mięsa do żucia. Nie rozpalili ognia i wyglądało na to, że to jedyne porcje pożywienia, jakie otrzymają przed nocą. Konie spały lekkim snem, aby w porę wyczuć pojawienie się wilków albo lwów. Ksantyppos uznał piaszczystą ziemię za znacznie lepsze podłoże do spania niż żałośnie cienki siennik z poprzedniej nocy. Zauważył, że Pauzaniasz i pozostali Spartanie śpią owinięci swymi czerwonymi płaszczami. Wiedział, że w tych okryciach również ich chowano, w prostych grobach opatrzonych jedynie wykutym w kamieniu imieniem. Helotów grzebano nawet bez tego, w bezimiennych dołach. Widzieli takie pochówki przy drodze za miastem, ciągnące się rzędami kopczyki ziemi. Ksantyppos zauważył na jednym z nich bukiet szkarłatnych kwiatów wysuszonych przez wiatr.

Grupa jeźdźców dotarła do muru na przesmyku, gdy słońce wzeszło ponownie. Ateńczycy czuli się zeszywniali, mieli zmierzwione włosy. Spartanie natomiast wyglądali tak jak zwykle. Poruszali się zwinnie, zeskakując z koni i przekazując je do oporządzenia.

Obóz po spartańskiej stronie zmienił się, gdy zwiadowcy donieśli o zbliżającej się grupie zbrojnych. Strażnicy nie zostali zaskoczeni we śnie, choć słońce właśnie wstawało za ich plecami. Pauzaniasz przeprowadził inspekcję, po czym skierował kroki do największego namiotu.

– Dokąd on idzie? – Ksantyppos zapytał Tisamenosa.

Wróżbita wydawał się najbardziej przystępny z całej spartańskiej grupy, być może dlatego, że choć należał do nich, był jednak odmiennej krwi. Nie miał za sobą trzech stopni przygotowań *agoge*, brutalnego wychowania, które przechodził każdy spartański chłopiec, gdy ukończył siedem lat. Trwało to do dwudziestego dziewiątego roku życia, kiedy zostawał pełnoprawnym obywatelem. Choć Tisamenos był silny i sprawny, nie doskonalił swego ciała codziennym cierpieniem. Wielu tego rygoru nie wytrzymało i opuściło Spartę. Tym, którzy okazali się obiecujący, pozwalano wziąć żonę, mieć dzieci i żyć jako periojkwowie, czyli „ci-którzy-żyją-wokoło”. Nie byli spartiatami i nigdy nie stawali się częścią elity. Tisamenos zajmował pozycję pośrednią, niemal wyjątkową. Spartanie traktowali go z szacunkiem, zwłaszcza Pauzaniasz. Nie był jednak jednym z nich i mógł się uśmiechać wtedy, gdy inni tylko gniewnie patrzyli.

Po dłuższej chwili zastanowienia, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie, Tisamenos wzruszył ramionami.

– Odwiedza ojca, Kleombrotosa, brata Leonidasa – odparł spokojnie.

Jeden z pozostałych Spartan odwrócił się i spojrział na niego spode łba, ale Tisamenos to zignorował. Znał swoją pozycję.

– Tego, który będzie rządził, kiedy Pauzaniasz uda się do nas – dopowiedział Ksantyppos.

Tisamenos uniósł brwi i wbił oczy w zmarszczonego gniewnie Spartanina, aż tamten odwrócił wzrok.

– Być może. Jest bardzo chory. Może się zdarzyć, że zanim wrócimy, wojennym królem zostanie syn Leonidasa. Choć jest bardzo młody, wielu chętnie powita go w tej roli.

– Nie powinniśmy dyskutować o naszych sprawach w obecności obcych – syknął do Tisamenosa Spartanin.

Wróżbita westchnął i skinął głową. Nie odezwał się już, a Ksantyppos nie zadawał więcej pytań.

Regent wrócił i cała grupa bezzwłocznie przeszła na drugą stronę muru, gdzie Spartanie wsiedli z powrotem na konie, gotując się do wyruszenia w drogę. Ksantyppos usłyszał, że Relas chrząknął znacząco.

– Chwileczkę, kyriosie, jeśli pozwolisz – zawołał.

– Co takiego? – zapytał strateg.

Hoplita nie odpowiedział. Rzucił uzdę Kimonowi i zsiadł z konia, po czym cofnął się do muru i spojrział w górę. Nie trwało długo, gdy ten, którego wcześniej poznali, zjechał do nich, oparłszy stopę na pętli.

– Co ma znaczyć ta zwłoka, Ateńczyku? – krzyknął Pauzaniasz.

Ksantyppos miał już trochę dość jego wyższościowych zachowań.

– Wydaje mi się, że jest tutaj dług do spłacenia – wyjaśnił. Zmówił w duchu modlitwę, żeby Relas wiedział, co robi.

Spartański strażnik zdjął płaszcz, zwinął go i odłożył na ziemię, po czym stanął naprzeciwko Relasa. Po chwili obaj rzucili się na siebie w nagłym, szybkim zrywie. Ksantyppos i Kimon aż się skrzywili na odgłos uderzeń kości o ciało. Mężczyźni używali kolan i łokci, aż w pewnym momencie Relas wyprowadził potężne uderzenie czołem. Pozostał po nim ślad krwi na jego twarzy, ale Spartanin padł bez czucia.

Hoplita stał, dysząc ciężko. Konfrontacja nastąpiła bardzo szybko i zakończyła się równie prędko. Na wszelki wypadek Relas trzymał jednak uniesione pięści.

Spartanin podniósł się ciężko na jedno kolano. Zerknął na Pauzanasza, świadomy, że ten go obserwuje. Chwilę dochodził do siebie, po czym, otarłszy krew z nosa i warg, zmarszczył brwi na jej widok. Spuchnięte oko było już tylko wąską szparką. Wstał jednak, owładnięty gniewem, przez co wydał się Ksantypposowi dużo większy.

Relas powitał go lawiną ciosów. Ateńczyk przyjął jeden cios na ramiona, uchylił się przed drugim i uderzył sierpowym, który trafił Spartanina tuż nad uchem, sprawiając, że się zatoczył, a nogi się pod nim ugięły. Hoplita nie ustawał, idąc do przodu i co rusz trafiając go pięściami w głowę, aż Spartanin upadł na plecy i leżał na piasku z otwartymi, zakrwawionymi ustami.

Relas odczekał chwilę, chcąc zyskać pewność, że mężczyzna już się nie podniesie, i dopiero wtedy odwrócił się i wsiadł na konia. Ksantyppos dostrzegł ślady krwi na jego twarzy i dłoniach. Zauważył też, że Kimon z trudem kryje satysfakcję.

Pauzanasz sprawiał wrażenie zde gustowanego. Spiął konia piętami i odjechał. Ksantyppos zbliżył się do pozostałych członków swojej grupki. Kimon poklepywał Relasa po ramieniu.

– To była... dobra robota, Relasie – mruknął strateg. – Zaskoczyłeś mnie.

– Zaskoczył też tego aroganckiego sukinsyna – rzucił Kimon odrobinę zbyt głośno.

Jeden ze słyszających to Spartan odwrócił ku nim głowę i Ksantyppos skrzywił się, ciekaw, czy Kimon opróżnił już ostatni bukłaczek, czy jeszcze coś wypił tego ranka.

– Gdybyś nie spędził ostatnich dziesięciu lat na wygnaniu – ciągnął młodzieniec – to wiedziałbyś, że Relas jest dość znany.

– Wiele mi umknęło, to prawda – zgodził się Ksantyppos. – Rzeczywiście powinienem cię znać? – Ostatnie słowa skierował do Relasa, który wydawał się zakłopotany.

Kimon odpowiedział za niego:

– Tak, gdybyś śledził walki bokserskie. On jest bokserskim mistrzem Aten. Nigdy nie myślałem, że będę świadkiem, jak nokautuje Spartanina! Kiedy ta przeklęta wojna się skończy, Relasie, powinieneś podjąć wyzwanie i wystąpić tu na następnych igrzyskach olimpijskich. Co prawda twój dzisiejszy występ może zmienić przyszłe notowania, ale i tak zarobisz fortunę.

Ksantyppos przymknął na chwilę oczy, jadąc za Pauzanaszem i zdając się w drodze na konia. Był zmęczony, obolały i głodny, a regent pozostawał wściekły na Ateńczyków. Kimon jednak zdawał się nie przejmować, co

Spartanie czują po tym, jak jeden z nich został znokautowany. Może miał rację! Mówiło się przecież, że oni cenią nade wszystko odwagę i sprawność. Spartanie nie wyrabiali garnków, nie rzeźbili w drewnie i w kamieniu. Te rodzaje pracy wykonywali heloci, których jedyną zapłatą była satysfakcja służenia swoim panom. Ksantyppos otworzył oczy, choć zaraz musiał je zmrużyć, oślepiiony ostrym światłem słonecznym. Po jego bokach jechali Relas i Onesimos, Kimon zaś odrobinę przed nimi. Nie wyglądali na wyczerpanych, siedzieli na wierzchowcach prosto i pewnie. Było w tym też coś innego, uświadomił sobie Ksantyppos. Przedtem byli ponizani, pogardzani przez Spartan. Teraz jechali jak mężczyźni, jak Ateńczycy.

Spartanie tylko prowadzili wojnę albo ćwiczyli, przygotowując się do wojny. W porównaniu ze zwykłymi ludźmi byli jak wściekłe psy, niepohamowane i dzikie. Ksantyppos stwierdził, że obserwowanie, jak jeden z nich powalany jest przez Ateńczyka, znacząco poprawiło mu samopoczucie.

Zbrojni jeźdźcy nie mogli zbliżyć się do Aten niezauważeni. W mieście-państwie zagrożonym pojawieniem się sił perskich nawet małą grupę Spartan wykrywano już w chwili przekroczenia przesmyku. Galopujący za wzgórzami zwiadowcy docierali z wieściami na długo przed przybyszami, ostrzegając miasto o niebezpieczeństwie. Ksantyppos był z tego bardzo dumny.

Gdy Pauzaniasz prowadził ich na wschód, szlak przebiegał blisko wybrzeża i Eleuzis. Triery niezmordowanie patrolowały morze w tamtej okolicy, wypatrując wrogów i ochraniając dostawy żywności mające teraz żywotne znaczenie. Z pewną satysfakcją Ksantyppos zauważył, że okręty porozumiewają się między sobą za pomocą sygnałów, które dla nich opracował, i na jeden znak mogą spłynąć zewsząd we wskazane miejsce. Była to z jednej strony część awaryjnego planu natychmiastowej ewakuacji, a z drugiej pozwalało ściągnąć załogi do domu, aby mogły wziąć udział w zgromadzeniu. W Atenach nie było „rządzących i rządzonych”, przynajmniej już nie. Miasto rządziło się samo i skoro Temistokles i Arystydes mogli zasłużyć na szacunek na Pnyksie, to stu innych również mogło, jeśli byli dobrymi mówcami. Sam epistates sprawował swoją funkcję tylko od jednego zachodu słońca do następnego, a każde mianowanie było efektem losowania spośród tych, którzy wysunęli swoje kandydatury. Mawiano, że w Atenach każdy może rządzić, przynajmniej przez jeden dzień.

Grupa spartańskich jeźdźców pokrytych kurzem i potem podjechała do zburzonych murów. Sam Arystydes wyszedł ich powitać w świetle księżyca przy tym, co kiedyś było bramą zwaną Dipylonem. Stu dwudziestu hoplitów blokowało wiodącą dalej drogę. Jeśli nawet ktoś widział przejaw śmieszności w blokowaniu miejsca po bramie, gdy mury leżały w gruzach, to Spartanie oszczędzili sobie komentarzy.

Arystydes stanął w świetle pochodni, a miasto za jego plecami znaczyły jasne punkciki kuchennych ognisk. W powietrzu rozchodził się zapach mięsa i mięty, a Ksantyppos zastanawiał się, czy kiedykolwiek dane mu będzie poczuć większy głód niż w tej chwili. O zachodzie słońca oddzielili się dyskretnie wraz

z Kimonem od Spartan, woląc zachować pewien dystans, gdy będą zbliżać się do Aten. Jechali bardzo intensywnie przez cały dzień i przemierzali trasę równie szybko jak wyprzedzający ich młodzi zwiadowcy. Pauzaniasz albo nie zdawał sobie sprawy z wyczerpania towarzyszy podróży, albo bawiło go ich cierpienie. Ksantyppos nie wiedział, jaka była prawda. Ateńczycy uświadomili sobie, że tego dnia nie zatrzymają się na odpoczynek i posiłek. Zawzięli się zatem w ponurym postanowieniu, aby nie osłabnąć. Kimon najwyraźniej rozumiał to bez słów, ponieważ wszystko pojmował w kategoriach współzawodnictwa. Najbardziej cierpieli Relas i Onesimos. Przywykli do wysiłku, ale raczej na pokładzie okrętu niż na końskim grzbiecie. Kiedy Pauzaniasz pozwolił wreszcie na krótki postój w celu opróżnienia pęcherzy i napicia się rozcieńczonego wodą wina z przekazywanych z rąk do rąk bukłaków, Onesimos zsiadł z wierzchowca na sztywnych nogach i natychmiast upadł na ziemię. Nikt się nie roześmiał. Relas pomógł mu wstać i wsiąść z powrotem na wierzchowca po tym, jak pozostawili już za sobą parę unoszącą się z przydrożnych krzewów.

Arystydes nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony widokiem spartańskiego regenta. Uniósł porozumiewawczo podbródek, gdy jego przenikliwy wzrok wyłowił w grupie Ksantypposa i Kimona.

– Dziękuję i jestem wdzięczny, że zaszczyciłeś nas swoją obecnością, Pauzaniasz – powiedział.

Ksantyppos spojrzał ze zdziwieniem na człowieka, którego nie posądzał o jakiegokolwiek przejawy uczuć, a zwłaszcza o to, że poda dłoń i ucałuje każdego z przybyłych: Pauzaniusza w policzek, a Tisamenosa w usta, wypowiadając też jego imię. Kiedy przyszła kolej na Kimona i Ksantypposa, ateński polityk ujął każdego dłonią za kark i pocałował w bok głowy, niemal w samo ucho. Ksantyppos spodziewał się, że coś przekaze mu szeptem, ale nic takiego nie nastąpiło.

Dziwne, jak bardzo to powitanie zneutralizowało wrogość w grupie Spartan czekających na wjazd do Aten. Czy było to zamiarem Arystydesa czy nie, przywitanie ich jak sojuszników, a wręcz członków rodziny, przełamało ich zimny, obojętny spokój. Niektórzy, czekając, przestępowali z nogi na nogę, jeden ziewnął i oparł głowę na końskiej szyi. Oni także jechali długo i szybko. I też nie byli z kamienia.

– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, archoncie Arystydesie – odpowiedział Pauzaniasz.

On jeden nie utracił całej swojej sztywności. Jak zwykle brew miał stale uniesioną, a jego formalna postawa ponownie narzuciła Spartanom sztywne

zachowanie. Jedynie wróżbita Tisamenos uśmiechał się łobuzersko w jego obecności.

– A ja ciebie, regencie. Wypatrywałem cię na wzgórzach. Mówiłem wszystkim, że spartański honor to nie byle co.

Ksantyppos zauważył, że Pauzanasz zacisnął wargi, gdy dotarł do niego sens tych słów. Wyglądało na to, że Arystydes uznał, iż Pauzanasz przybył do Aten, aby omówić wyruszenie w pole na wiosnę. Albo takie wrażenie archont chciał wywołać. Ksantyppos pochylił głowę, aby ukryć uśmiech.

– Chodźcie, moi panowie, jako honorowi goście – zawołał do nich Arystydes.

Gestem odwołał hoplitów na bok, ale Ksantypposowi nie umknęło, jak sprawnie uformowali zwarty szyk za ich plecami. Wyglądało na to, że ścisk i szcęk broni uzbrojonych ludzi miał towarzyszyć Spartanom aż do serca miasta.

Arystydes kroczył przodem, a oni poprowadzili za nim konie, mijając zrujnowane mury i kierując się w stronę Agory. Archont mówił do nich przez ramię, na tyle głośno, że wszyscy mogli usłyszeć:

– Rada Aten została uprzedzona o waszym przybyciu. Są przygotowane pokoje kąpielowe, gdzie będziecie mogli zmyć z siebie kurz drogi. Niewolnicy są gotowi, aby wam służyć. Są też woda, owoce, ryby i wino dla zaspokojenia apetytu. Księżyc właśnie wstaje. Powiedzmy, że za dwie godziny?

– A co z Macedończykiem? – wtrącił Pauzanasz.

Ksantyppos zauważył, że Arystydes zmarszczył brwi w udanym zakłopotaniu. Odnotował także, że cała ta gra sprawia archontowi przyjemność.

– Król Aleksander? – spytał i zczekał, aż regent potwierdzi skinieniem głowy. – Jest wciąż tutaj. Został w mieście. Jestem zaskoczony, że wieść o jego obecności dotarła aż do Sparty.

– Nie zawarliście z nim żadnej umowy, żadnego traktatu? – zapytał Pauzanasz.

Arystydes pokręcił głową. Ton jego głosu zmienił się nieznacznie na głębszy, jakby utracił całą sztuczność oficjalnej mowy gospodarza.

– Nie, Pauzanaszu, nie. Nie podpisaliśmy żadnej umowy z sojusznikiem armii, która spaliła Ateny, z ludźmi, którzy zbezczęścili nasze świątynie, zburzyli nasze mury i potopili tylu naszych.

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, była mroczniejsza i głębsza niż otaczająca ich noc. Spartanin wyglądał na nieco speszonego, ale Ksantyppos zauważył też, że doznał wyraźnej ulgi. Pauzanasz przybył, aby zapobiec sojuszwowi. Gniew, który przemawiał przez Arystydesa, był balsamem na jego



duszą. Ksantyppos zastanawiał się, czy drażliwe poczucie honoru archonta nie wzięło góry nad korzyścią. Pewnych rzeczy nie dało się ukryć.

W świetle księżycy przeszli w milczeniu przez otwartą przestrzeń Agory. Po jednej jej stronie stał budynek rady, gdzie zbierały się ateńskie fyle, aby wprowadzać w życie postanowienia zgromadzenia. Słudzy zaprowadzili Spartan do pokoi kąpielowych i stołów, gdzie wyłożono dla nich poczęstunek. Lampy oliwne rozjaśniały wszystkie izby, rzucając światło na Agorę. Ksantyppos miał wrażenie, że słyszy szmer głosów dobiegający z głównego wielkiego pomieszczenia. To rozmawiali głośno jego rodacy zarządzający otaczającym światem. Zastanawiał się, jak poczują się Spartanie w obliczu takiej widowni.

Ksantyppos nie zdziwił się, widząc zbliżającego się Arystydesa, który przygarnął też ramieniem Kimona. Relas i Onesimos stanęli przy jego drugim boku.

– Mamy mało czasu – powiedział Arystydes. – Persowie zaoferowali pokój.

Kimon prychnął z pogardą na samą myśl o czymś takim.

– Być może jako niewolnikom – odparł Ksantyppos. – Nie wiedzą nic o wolności. Czy to ten Macedończyk, o którym wspomniałeś wcześniej?

– Król Aleksander z Macedonii – potwierdził Arystydes. – Wysłany do nas jako wiadomo kto. Zdrajca całujący ziemię, po której stąpa Kserkses. Zobaczycie go w sali rady.

Zerknął przez ramię, ale żaden ze Spartan jeszcze się nie pojawił. Hoplici stali na straży i na pewno zareagowaliby, gdyby pokazali się obcy wojownicy.

– Nie może być pokoju – ciągnął Arystydes. – Nie wtedy, gdy zagraża nam perska armia. Sprawdzę wolę rady, ale nie wyobrażam sobie, żeby to zaakceptowali. Temistokles wypełni izbę gadaniem o zemście i wojnie. Nie mogę mu się przeciwstawić. Może wtedy Spartanie zrozumieją, że mówimy poważnie. Taki jest nasz cel, drodzy towarzysze: sprawić, że wyjdą razem z nami w pole na wiosnę.

– A jeśli nie wyjdą? – spytał Ksantyppos.

– Słyszałeś, że tego nie zrobią? – rzucił natychmiast Arystydes, patrząc mu w oczy.

Strateg pokręcił głową.

– W Sparcie spędziliśmy zaledwie jedną noc, po czym wzięliśmy udział w ich zgromadzeniu i wróciliśmy tutaj. Pauzaniasz ma własnych doradców... ale trochę mnie martwi. Wie, czego chcemy, wie, co obiecał jego ojciec Kleombrotos, składając przysięgę. Brat Leonidasa jest bardzo chory, jak się

dowiedziałem, zbyt słaby, żeby widzieć się z kimkolwiek, i zapewne bliski śmierci.

– Rozumiem. Jeśli umrze... czy to wpłynie na przysięgę, którą złożył? – mruknął Arsytydes. Usłyszał głosy dobiegające z przedsionka. Spartanie najwyraźniej nie wylegiwali się już w wannach ani nie mitrężyli czasu przy suto zastawionym dla nich stole. Byli już w ruchu i ubierali się ponownie.

Ksantyppos się zamyślił. Prawda była złożona.

– Sądzę, że może wpłynąć, jeśli Pauzanasz tak postanowi. Jeśli regent naprawdę zechce wyruszyć w pole i stawić czoło Persji, nie będzie to miało znaczenia. Nie widzę jednak, by szczególnie rwał się do bitwy, w każdym razie tego nie okazuje.

Arystydes wypowiedział gniewnie krótkie zdanie, czym zaskoczył Ksantypposa, który znał go przez większość życia i nigdy nie słyszał, żeby z jego ust padło choć jedno ostre słowo. Arystydes na prośbę obcego człowieka wydrapał na ostrakonie własne imię, gdy głosowano jego wygnanie. Jego honor i osobista dyscyplina były powszechnie znane. Usłyszeć, jak klnie, było dziwnie niepokojące.

– A może dałoby się skłonić Pauzanasza, żeby powtórzył przysięgę przed radą – powiedział archont. – Ten perski wysłannik, Aleksander, czeka tu kilka dni, żeby usłyszeć naszą odpowiedź. Czyba nam nie zaszkodzi, jeśli Spartanin usłyszy jego ofertę?

– Mogłoby zaszkodzić – odrzekł Ksantyppos. – Dziwi mnie, że dotąd nie odprawiliś tego wysłannika do perskiego obozu.

Arystydes machnął ręką, demonstrując frustrację, jaka towarzyszyła mu w ostatnich dniach.

– Było już blisko. Mamy jednak szansę przemówić za jego pośrednictwem do przywódcy Persów, samemu wybrać słowa, które ten Macedończyk wleje mu do ucha. Długo nad tym myślałem, Ksantypposie. Obecność spartańskiego regenta to dla nas wielka sposobność i nie możemy pozwolić sobie na jej utratę... Powinniśmy trzymać ich osobno? Czy może pozwolić im się zobaczyć? Za późno, już idą. – Odetchnął głęboko i wyprostował ramiona, podjąwszy decyzję. – Nie mamy już czasu. Odegramy to.

Pauzanasz ukazał się w głębi korytarza, wyszedłszy z oddzielonej zasłoną alkowy, i kroczył ku nim. Spartański regent miał na sobie czystą szatę i sandały, a jego włosy były jeszcze wilgotne. Wyglądał zdrowo, choć ramiona poznaczone miał białymi bliznami. Gdy się zbliżył, trudno było nie cofnąć się o krok, jak uczyniłby każdy na widok lwa.

Pauzaniasz był bratankiem Leonidasa i obecnym wojennym królem Sparty. Stojąc obok niego, Ksantyppos czuł na skórze brud drogi, jak również wciąż parujący z niej zapach własnego i końskiego potu. I on, i jego towarzysze zrezygnowali z kąpieli oraz posiłku, żeby porozmawiać z Arystydesem. Ksantyppos nie czuł jednak żalu z tego powodu. Widział, jak Kimon oblizuje spierzchnięte wargi, i pokręcił głową, kiedy poczuł na sobie spojrzenie młodego mężczyzny. Trwała wojna. Nic innego się nie liczyło. Ksantyppos zniósłby i tysiąc dni pragnienia i bólu, gdyby tylko mogło to sprawić, że Sparta wyruszy w pole.

– Czcigodny regencie! – zawołał na powitanie Arystydes, przybierając znowu wcześniejszy radosny ton. Ujrzał Spartan tłoczących się wokół władcy. Zmarszczył brwi. – Drodzy towarzysze, jesteście gośćmi chronionymi obyczajem i prawem. Przrzekam wam i daję na to osobiste słowo: jesteście chronieni, na mój honor. Zwołałem radę Aten, aby wysłuchać, co macie do powiedzenia. Nie trzeba tu żadnych strażników i mieczy, nie w tym miejscu. Jesteście między przyjaciółmi.

Pauzaniasz popatrzył na niego, po czym wzruszył ramionami.

– Tisamenos pójdzie ze mną – powiedział swoim ludziom. – Zostańcie tutaj. Przybądźcie, jeśli was zawołam.

Przekaz był dostatecznie jasny dla wszystkich, którzy go słyszeli. Gdyby krzyknął do nich, spartańscy wojownicy, żeby znaleźć się przy jego boku, rozplataliby głowy wszystkich stojących im na drodze. Ksantyppos zastanawiał się, czy Arystydes ściągnął dość hoplitów, żeby ich powstrzymali, gdyby do czegoś takiego doszło. Gdy mężczyzna wkroczył do pomieszczenia rady, Ksantyppos znalazł chwilę, żeby mocno przetrzeć knykciami oczy, aż ujrzał w nich zielone błyski. Ale gdyby do tego doszło, to już przegrali.

Wchodząc do sali, strateg stłumił ziewnięcie. Zobaczył, że wszystkie miejsca są już zajęte. Temistokles stał na podium, opierając się o mównicę, i przemawiał do zebranych członków rady. To jego głos usłyszeli wcześniej, coraz głośniejszy z każdym ich krokiem.

– Witam Pauzaniusza, regenta Sparty – powiedział nagle Temistokles, patrząc z żywym zainteresowaniem. – Syna Kleombrotosa, bratanka Leonidasa, czczonego po śmierci. Prosimy, Wasza Wysokość, podejdź i przemów do nas.

Człowiek siedzący po jego prawej stronie zerwał się na równe nogi na widok wchodzących uzbrojonych mężczyzn. Aleksander z Macedonii wydawał się skonsternowany obecnością Spartan. Nie powiedział nic, tylko powoli usiadł

z powrotem na swoim miejscu. Jego krtań poruszyła się w nagłym skurczu, gdy przełknął nerwowo ślinę.

Pauzaniasz nie okazał żadnego niepokoju, wkraczając do sali wypełnionej Ateńczykami. Siedzieli naprzeciw niego w półokręgach, im dalej w głąb pomieszczenia, tym wyżej, jak w amfiteatrze. Gdy stanął pośrodku, jego głos dobiegał do każdej części sali z ogromną siłą, co było zasługą jej przemyślnej konstrukcji. Tisamenos stanął przy nim, wodząc spojrzeniem po wszystkich twarzach, oceniając, zauważając, kto patrzy uważnie, a kto odwraca wzrok.

Regent podziękował Temistoklesowi skinieniem głowy. Spojrzał też krótko na Macedończyka, bez specjalnego uznania. Temistokles zauważył, że jego wzrok zatrzymał się przelotnie na lwiej broszy, którą Aleksander nosił na ramieniu. Pauzaniasz odwrócił z niechęcią głowę i z powrotem spojrzał na radę Aten. Oparł dłonie o mównicę i wolno odetchnął. W Sparcie słyszał o dziwnych politycznych zwyczajach Ateńczyków. Opisano mu to tak, że zgromadzenie wydało mu się dość chaotycznym tworem. Władza bez ustanowionego władcy, z prawami, jakie ludzie ustalali sobie sami, sądy ferowane przez pospolitaków z pominięciem wysokich rodów? To było jakieś szaleństwo. Widział spalone miasto i ruiny wszędzie wokół. Co więcej, ujrzał też nowe belki nad głową i poczuł świeży zapach sosnowego drewna. Trudno było nie pomyśleć o boskiej karze za ich *hybris*, uporczywą pychę. Utrzymywali jednak w tym wszystkim jakiś rodzaj porządku, nawet pośród wojny i panującego głodu. Rada rządziła miastem, a niektórzy jej członkowie, w rodzaju Temistoklesa, cieszyli się w niej szczególnym autorytetem, choć nie nazywano ich królami.

Tak, to jest to, pomyślał Pauzaniasz. Ludzie są stworzeni do tego, by nimi rządzono. Królowie rodzą się po to, by wykuwać z nich kształt wolny od niedoskonałości, jak na kowadle. Słabe fragmenty odpadają, aby każde pokolenie było silniejsze. Regent przywołał w pamięci pięciu eforów swego miasta-państwa, ludzi, którzy poświęcili się dla stabilności Sparty. Uznawali swoje długie życie za sukces, jeśli nic się nie zmieniało. W porównaniu z nimi ci siedzący teraz przed nim wypadali bardzo blado. Uśmiechał się do nich, ale był to uśmiech wilka patrzącego na stado baranów w słoneczny dzień.

– Wiecie, kim jestem – zaczął. Szybkim gestem dłoni zbył pogardliwie potrzebę dłuższych wstępów. – W Sparcie wieści o tej... dyskusji zdążyły do mnie dotrzeć. Zwiadowca znalazł drogę do mego ucha, by donieść, że Persja zaoferowała pokój naszym sojusznikom, Atenom. Powiedziałem, że to chyba niemożliwe, ale widzę, że się myliłem. Armia, która spaliła to miasto, zatopiła nasze okręty i naszych ludzi, teraz wyciąga do was dłoń z ofertą przyjaźni.

Wysyłają przedstawiciela do was, nie do mnie. Staję tu jednak jako świadek, jako oko Sparty patrzące na was. Jako sędzia i gwarant waszego honoru.

Kręcił głową w lewo i w prawo, jakby chciał się upewnić, że czują na sobie jego wzrok, mimo że wiercili się i mrużeli coś do siebie na jego arogancję. Temistokles wystąpił naprzód, aby odpowiedzieć, ale Pauzaniaz uniósł rękę, a jego głos zabrzmiał jeszcze donośniej.

– Jestem świadomy waszej biedy. Jeśli to przeważa szalę, mogę zdjąć z niej ten ciężar. Sparta wypłaci zapomogę waszym kobietom przez zimę. Jeśli odrzucicie propozycje zdrajców i wrogów, daję słowo, że nie pozwolimy wam głodować.

W miarę jak mówił, w sali narastał tumult. Niektórzy z zebranych wykrzykiwali gniewnie, inni mówili do swoich przyjaciół w ferworze, który wraz ze światłem lamp docierał daleko na Agorę. Pauzaniaz zmarszczył brwi, nienawykły do tak żywiołowych reakcji.

– Siadaj – rzucił do jednego, który podniósł się z siedzenia i wymierzył w niego palec.

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę i ujrzał opartą na rostrum dłoń Temistoklesa, który zaczął stukać w mównicę. Skonsternowany Pauzaniaz obrócił się ku niemu.

– Regencie Pauzaniazu – odezwał się Temistokles. – Przywykliśmy dyskutować o takich rzeczach. Odpowiedź nie ma tu jednego głosu, nawet mojego. Omówimy to, o czym wspomniałeś, a potem zagłosujemy.

Spojrzał na macedońskiego króla i zauważył połysk potu na jego czole. Mężczyzna po tym, co usłyszał, wyglądał na chorego. A może zrozumiał, jak niewiele w tym pomieszczeniu znaczy jego życie, z lwią zapinką czy bez.

– Czy powinniśmy się oddalić? – zapytał nagle Tisamenos. – Żebyście mogli przedyskutować, co zamierzacie?

On przynajmniej wyglądał na zadowolonego z siebie. Temistokles rozpoznał go z wcześniejszego opisu Arystydesa.

Temistokles powiódł spojrzeniem po czerwonych i gniewnych twarzach zgromadzonych. Zaśmiał się cicho i pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, aby tym razem było to konieczne. Czy to ty jesteś tym wróżbitą, który nie potrafi przewidzieć przyszłości?

Tisamenos się roześmiał.

– Tak mi się zdaje. Znam cię, kyriosie. Twoje imię wymawia się w Sparcie z wielkim szacunkiem.

– No chyba! – wykrzyknął Temistokles, wybałuszywszy oczy. – Biorąc pod uwagę, że ocaliłem nas wszystkich.

Kiedy Temistokles rozmawiał z Tisamenosem, podszedł do nich Arystydes. On również położył dłoń na rostrum. Temistokles cofnął swoją i pochylił ku niemu głowę, aby przekrzyczeć gwar tłumu, który wciąż narastał.

– Przemówisz, Arystydesie? – zagadnął. – Jaką szkodę zamierzasz tym razem wyrządzić w obecności królów Sparty i Macedonii? – Uśmiechał się, ale w jego głosie pobrzmiwała ostra nuta.

Arystydes westchnął.

– Przemawiam dla Aten, Temistoklesie, a nie dla własnej chwały.

– Ja zaś uważam, że moja chwała i chwała Aten są tym samym – odciął się prędko Temistokles.

Pomimo irytacji odsunął się na bok i dał znak Pazuwianaszowi, aby zrobił to samo. Tłum obserwował Arystydesa stojącego samotnie na podium. Hałas powoli cichł, a w miarę jak coraz więcej głów obracało się w stronę mównicy, zapadała cisza.

Arystydes przemówił:

– Wysłuchaliśmy wszyscy perskiej propozycji... Szanowni towarzysze, pozwólcie mi spokojnie się wypowiedzieć. Czy jesteście dziećmi, żeby krzyczeć? Niech podniesie rękę każdy, kto chce dodać coś od siebie. No dobrze. Będziemy głosować, bo w Atenach mądrość miasta nie leży w osądzie jednego człowieka, a nawet kilku eforów. Ona jest w was, w tych pięciuset z dziesięciu fylańskich. Widzę tu Akamantis, Kekropis, Ajgeis, Leontis, Ojneis, Antiochis, Ajantis, Erechteis... Pandionis i Hippothoontis. Wszyscy tu jesteście! My nie reprezentujemy ludu, my *jesteśmy* ludem. I powiem też, że miałem zamiar wystąpić przeciwko Temistoklesowi... nie pierwszy raz zresztą. – Odczekał, aż ustał chichot tych, którzy dobrze ich znali. – Miałem nadzieję móc przeanalizować z wami tę propozycję, niejako wypić ją do dna. Albowiem przetrwanie naszego miasta zależy od wspólnej, właściwie podjętej decyzji. Jeśli odrzucimy leżącą przed nami ofertę, jeśli odeślemy to macedońskie królewiatko do jego pana z naszą odmową, zapewne ruszą przeciwko nam ponownie. Wszyscy widzieliśmy skutki stacjonowania perskich wojsk w Atenach. Wiemy, co to oznacza, lepiej niż ktokolwiek inny. Nie będę teraz mówił o tym, co zaplanowaliśmy na wypadek ich powrotu do Attyki, na pewno nie wobec wszystkich uszu obecnych w tej sali. Musicie jednak zrozumieć jedno: stoimy w obliczu destrukcji, *unicestwienia*. W takiej chwili nie mam zamiaru podsycać w was gniewu, lamentować nad perskim zagrożeniem ani Persów przeklinać, ani im się odgrażać.

Pomimo tych słów w pomieszczeniu rozległ się groźny pomruk. Temistokles obserwował to z fascynacją. Znał Arystydesa jako mówcę najsurowszego i najbardziej oschłego ze wszystkich. Tej nocy po raz pierwszy zobaczył, jak trąca struny ludzkich emocji. On sam wyczuwał każdą nutę rozbrzmiewającą w tym miejscu. Zauważył, że Ksantyppos i Kimon słuchają mowy Arystydesa w niemym podziwieniu.

– Wysłuchaliśmy wiadomości od Persów, wysłuchaliśmy też Spartan. Okażmy grzeczność, drodzy towarzysze! Okażmy godność, na jaką sami

zasługujemy, bo nie jest ona rzeczą oczywistą. *Nigdy* nie jest! Stałem tutaj, w zapachu świeżego drewna, w miejscu, gdzie był tylko popiół, i zostałem pouczony przez spartańskiego króla, który przybył, aby mówić mi o moim honorze!

Temistokles poczuł, jak opada mu szczęka. W sali panowała cisza. Żaden z mężczyzn siedzących już długo na kamiennych ławach nawet się nie poruszył. Zamarli w zdumieniu, słysząc, jak Arystydes porzuca swój typowy styl.

– Znam Ateńczyków – powiedział mówca łagodniejszym, chłodniejszym już głosem – podobnie jak znam wszystkich Hellenów. Wiem, że nie zdradzimy naszych braci i sióstr. Sam ten pomysł jest odrażający. Nie mówię za wszystkich zebranych tutaj tej nocy. Przemawiam jednym głosem, moim własnym, a jednak jestem słyszany. Takie jest nasze prawo, nasz obyczaj. I tym jednym głosem powiadam: wierzę w Ateny, w nasz geniusz, w pracę naszych rąk, w nasze okręty i łona naszych kobiet. Ufam naszym bogom: Atenie, Apollinowi, Aresowi i Posejdonowi. Choć jestem tylko jednym głosem, to zapewne przemówię w imieniu wielu, gdy powiem Macedończykowi tak: co ci się stało, żeś tak zmałał, aby przybyć do nas jako posłaniec Persów? Moja odpowiedź jest taka, że wszyscy staniemy przeciwko tobie, do ostatniego mężczyzny, do ostatniej kobiety i ostatniego dziecka. *Nigdy* nie zostaniemy twoimi niewolnikami. Powiedz to swemu panu, królu.

Rozległy się wiwaty, lecz głos Arystydesa wzniósł się ponad nie. Przez wszystkie lata nie zdarzyło mu się ryknąć tak głośno na politycznym zebraniu. Lecz Temistokles pamiętał jego ryk na polu pod Maratonem. To skojarzenie sprawiło, że po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

– Natomiast Sparcie tym jednym głosem odpowiem tak! – przekrzyczał szum sali.

Hałas znowu ustał, gdy zebrani uśmiechnęli się szeroko, a oczy rozbłysły im w złotym świetle lamp.

– Powiem tak... – powtórzył, panując nad ogarniającą go euforią. To właśnie uwielbiał Temistokles, uświadomił sobie. Mówił im tylko to, co chcieli usłyszeć, ale było to... wspaniałe uczucie. – Powiem więc tak. Widzisz naszą reakcję. Wiesz, jak odpowiemy Persom. Odmówiliśmy przyjęcia perskiego złota. Nie będzie nam więc trudno odrzucić twoje. Oddal zatem od siebie wszystkie obawy, spartański regencie. Choć daliśmy więcej niż ktokolwiek inny, to możemy dać z siebie jeszcze więcej. Staniemy do walki. Pytanie tylko, czy staniecie przy naszym boku, czy pozostaniecie bezpieczni za swoim murem. – Mówiąc to,



zwracał się w stronę Pauzanasza, podczas gdy tłum zaczął krzyczeć i wiwatować za jego plecami.

Regent obejrzał się z gniewem w oczach. Arystydes wskazał gestem na podium, ale to król Macedonii zerwał się pierwszy i stanął na mównicy. Chwilę trwało, nim rada ateńska go zauważyła, ale Macedończyk wczepił się palcami w rostrum i stał tak długo, aż wrzawa ucichła.

– Przybyłem tu z kraju, w którym panuje pokój – powiedział Aleksander – kraju dobrze zaopatrzonych rynków, miast otoczonych murami. Przybyłem jako sojusznik Persji, zachowując swoją dumę, choć wy mnie obrażacie! Wjeżdżając do Aten, mijałem ruiny. Bo wy, głupcy, nie macie już murów! Nie możecie obronić tego miasta, a przynajmniej nie wtedy, gdy odrzucicie wyciągniętą ku wam przyjazną dłoń. Zachęcam was do ponownego przemyślenia tej oferty. –

Knykcie mu pobiełały, gdy zaciskając dłonie na mównicy, słuchał krzyków i obelg. – Zróbcie więc, jak uważacie – zwrócił się z niesmakiem do Arystydesa.

– Wydaje mi się – powiedział ten – że w tym wyborze jest właśnie wolność.

– Wybieracie swój koniec – rzucił król Macedonii. Pokręcił głową jakby przejęty smutkiem.

– Być może – odparł Arystydes. – Ale jednak wybieramy. Któregoś dnia to zrozumiesz.

Po chwili archont odwrócił się do Pauzanasza i Tisamenosa. Wróżbita patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, zachwycony tym, czego właśnie był świadkiem.

– Regencie Pauzanaszu, będziemy dyskutować nad ofertami aż do świtu. Myślę, że zagłosujemy potem na Pnyksie, gdy zbierze się całe zgromadzenie. Oczywiście czujcie się zaproszeni, choć jedynie w roli świadków. Twierdzą jednak, że będzie to już tylko formalność. Póki co, kazałem przygotować dla was pokoje w mieście. Są świeżo zbudowane i dość proste, ale nie sądzę, żeby było to dla Spartan problemem.

Jego słowom towarzyszył dobiegający z sali szum rozmów, niczym łopot gołębic skrzydeł wypełniający całe pomieszczenie. Był to pierwszy budynek odbudowany po pożarze wysiłkiem setek rąk. Pachniał trocinami, sosną, oliwą i potem.

Pauzanasz stracił wycucie atmosfery, gdy wybuchła wrzawa. Nawykł do milczenia i dyscypliny, nie zaś do wrzasków przekrzykujących się maniaków. Dostrzegł jednak pewność siebie Arystydesa, jak również jego autorytet. Było to jasne od pierwszej chwili, gdy archont zaczął przemawiać.

– Naprawdę zamierzacie odrzucić fundusze, które zaoferowałem? – zapytał wreszcie.

Pozostawiając czekającego Macedończyka z czerwoną twarzą, Pauzaniusz z Tisamenosem ruszyli za Arystydesem do znajdujących się za salą korytarzy i pokojów. Za ich plecami Temistokles z epistatesem zapraszali mówców do wystąpień. Hałas i napięcie wśród zebranych zaczęły jednak opadać, jako że główne wydarzenie dobiegło już końca.

– Jestem pewien, że tak zrobimy – powiedział Arystydes, gdy drzwi za nimi się zamknęły. – Zdaje mi się, że rozumiesz, czym jest duma. Oczywiście, że tak. Sparta straciła pod Salaminą osiem okrętów. My straciliśmy wielokrotnie więcej załóg. Każdy obecny w tej sali doświadczył żałoby. Nie chcemy więc twojego srebra. Chcemy tego, co zostało nam przyrzeczone słowem twego ojca. Chcemy, żebyś zebrał wiosną całą spartańską armię i stanął przy nas.

– Powiedziałem już, że wyjdziemy – odparł Pauzaniusz. – Kiedy moment będzie właściwy, zrobimy to.

Arystydes wbił w niego uważne spojrzenie.

– To brzmi jak kolejny unik, regencie. Kiedy moment jest właściwy? Stoimy w obliczu nieprzyjaciela, którego nikt z nas nie pokona samodzielnie. Tak jak pod Salaminą. Nie musisz przypominać mi zobowiązań ani przysięg. Jediną liczącą się kwestią jest ta jedna: czy staniecie wraz z nami do walki?

– Już powiedziałem – rzekł Pauzaniusz. Czuł wściekłość, będąc indagowany w taki sposób.

Arystydes nagle wydał się stary i zmęczony. Był zupełnie wyczerpany.

– No dobrze, mam nadzieję, że to nam wystarczy – odparł. – Chodź, ty też musisz odpocząć. Zaprowadzę cię do twego pokoju.

\* \* \*

Wygody obozu wojskowego były bardzo skromne, zwłaszcza zimą. Król Aleksander i jego trzech towarzysze jechali szybko, długimi etapami, spędzając noce przy szlaku z mieczami w pogotowiu. Nie było między nimi prawdziwej przyjaźni, tym bardziej że jeden z nich był osobistym tłumaczem Mardoniusza mającym przekazywać wodzowi wszystko, co mówiono, włącznie z podsłuchiwaniami tego, o czym sami rozmawiali albo szeptali między sobą. Uwagi Aleksandra nie umknęło też to, że zaraz po wjeździe do perskiego obozu tłumacz uklonił się i zniknął, zapewne po to, by złożyć raport w czasie, gdy Macedończycy szukali swego towarzysza, którego musieli pozostawić w obozie jako zakładnika. Aleksander powtarzał sobie, że ten brak zaufania nie ma

wielkiego znaczenia. Mardoniusz zapewniał go, że to wszystko jest tak zwyczajne, jak posłuszeństwo królowi czy jedzenie pistacjowych orzeszków. A jednak Mardoniusz kazał mu czekać na wezwanie. Król macedoński przekroczył bramę obozu późnym rankiem. Słońce stało już nisko nad wzgórzami, gdy został wreszcie wpuszczony do namiotu Mardoniusza. Samo to było już oznaką dezaprobaty, a przynajmniej tak sobie wyobrażał.

Aleksander z zaskoczeniem ujrzał Mardoniusza zatopionego w rozmowie z trzema innymi mężczyznami. Wódz przedstawił mu swego zastępcę Artabazusa oraz dowódcę Nieśmiertelnych Hydarnesa, których Aleksander poznał już wcześniej. Trzecim był dowódca konnicy Masistiusz.

Artabazus podczas ich wcześniejszego spotkania okazał się bardzo przyjazny, choć Aleksander nie potrafił stwierdzić, czy jego wesołość i ożywiony sposób prowadzenia rozmowy są autentyczne, czy też wynikają z perskiej uprzejmości. Mały Artabazus był zaskakująco opasły i przypominał wyglądem donicę. Pozostali, podobnie jak sam Mardoniusz, byli wysocy i szczupli, mieli ogorzałe, pobrużdżone twarze i oczy, które wydawały się zupełnie czarne. Zarówno Hydarnes, jak i Masistiusz patrzyli na Macedończyka zimnym wzrokiem. Nie musiał pytać, by się domyślić, że wieści z Aten już do nich dotarły.

– Proszę, Wasza Wysokość, bądź moim gościem – powiedział Mardoniusz. – Siądź i zjedz w moim towarzystwie.

Jego słowa zostały powtórzone przez tłumacza, który cały czas stał przy stole. Aleksander skinął głową z wdzięcznością i trzymając nerwy na wodzy, usiadł na ławce, która się pod nim zachwiała. Podłogę stanowił rodzaj plecionej maty położonej bezpośrednio na miękkiej ziemi. Aleksander musiał napinać mięśnie jednej nogi, żeby utrzymać siedzisko w pionie. Pozostali zasiedli naprzeciw niego, a tłumacz stał jak wcześniej, wisząc nad stołem niczym ozdoba. Aleksander był zdziwiony taką aranżacją miejsc. Wyglądało to, jakby wcześniej wybrali tamtą stronę stołu, aby zasiąść przed nim niczym sędziowie.

Służący przynieśli poczęstunek składający się z kilkunastu małych dań. Aleksander rozpoznał figi, liście szpinaku, a także pachnącą przyprawami pieczeń z zająca i kozy. Przeczekał modlitwy odmawiane w języku, którego nie znał. Nie tłumaczono ich na grecki, być może z szacunku dla świętości albo z jakiegoś innego, nieznanego mu powodu. Po raz pierwszy od roku, a może nawet dłużej, Aleksander zastanawiał się, czy nie oddał zbyt wiele za złoto i pokój.

Ale nie. Widział przecież spalone domy i zrujnowane mury Aten. Taka była cena oporu. Pierwszym obowiązkiem króla było zapewnienie ochrony ludności

przed powodzią, przed pożogą i... przed Persami. Gdy modlitwa się skończyła, Aleksander dalej siedział z pochyloną głową. Zaczęli jeść, przeważnie w milczeniu. Artabazus powiedział coś zabawnego na temat kozy, co rozśmieszyło Mardoniusza. Pozostali dwaj nawet się nie uśmiechnęli. Jedli bez specjalnego zaangażowania, jakby było to ich kolejnym obowiązkiem.

Kiedy otarli usta i dopili wino, weszli ci sami służący i uprzątnęli ze stołu wszelkie ślady posiłku. Sam stół również złożono i wyniesiono, choć robiący to człowiek musiał odczekać cierpliwie, aż Aleksander zrozumie, w czym rzecz, i wstanie z siedziska. Jego ławeczkę także wyniesiono z namiotu. Nagle poczuł się bezbronny i osamotniony w obliczu Persów. Musiał ponownie uświadomić sobie, że jest ich zaufanym sojusznikiem, a życie gwarantują mu swoim honorem.

– Jestem ci wdzięczny, Aleksandrze – zaczął Mardoniusz. – Wiem, jak... nieprzyjemne musiało być przedstawianie mojej oferty tym niewdzięcznym Ateńczykom. Mój obecny tu przyjaciel opowiedział mi, z jaką pogardą odrzucili pokój, który mogli mieć.

Tłumacz był bardzo umiętny i mówił o ton ciszej, zaledwie chwilkę opóźniając tłumaczoną wypowiedź, dzięki czemu Aleksander mógł wszystko zrozumieć niemal w tym samym momencie. Mardoniusz zauważył, że Macedończyk potakuje z wielką ostrożnością. Machnął dłonią, jakby nie miało to większego znaczenia.

– Nie obarczam cię odpowiedzialnością. Zapewniam cię. Nie ma tu nic do dodania.

– Próbowałem. Nie zdołałem ich przekonać – powiedział Aleksander.

Odrobina frustracji, jakiej wcześniej doznał, dała się wyczuć w jego tonie. Mardoniusz wyciągnął rękę i niemal po ojcowsku poklepał go po ramieniu.

– Niektórzy ludzie... nie potrafią się zmienić – rzekł. – Nie zrobią tego, nawet gdy spali się im dom.

Artabazus, słysząc to, wybuchnął śmiechem i dodał coś, czego tłumacz nie przełożył na grecki. Najwyraźniej komentarze perskich dowódców miały pozostać prywatne, co pomogło Aleksandrowi pojąć, że jest w tym miejscu obcy.

– Pozwól, wodzu... Skoro nie wierzyłeś, że przyjmą twoją propozycję, to dlaczego mnie wysłałeś, skazując na poniżenie? Dlaczego w ogóle o to prosiłeś?

Mardoniusz spojrzał z zainteresowaniem, gdy tłumacz pracowicie przekładał te słowa na perski. Dał znak ręką i dwaj służący wnieśli do środka nowe puchary i dzban wina, w półmroku namiotu ciemnego jak krew. Gdy tylko Aleksander o tym pomyślał, zapalono lampy, których blask rozświetlił najciemniejsze kąty.

– W tym kraju – odezwał się łagodnie Mardoniusz – mówię w imieniu Kserksesa, niech wieczna chwała opromienia jego imię i ród. W tym roku jestem głosem tronu Persji, a to oznacza coś więcej niż tylko dowodzenie tą ogromną rzeszą wojska. Zastanawiam się, czy potrafisz to zrozumieć. Siedzący tutaj Artabazus nie wierzy, że Grecy zdolni są do subtelności.

Artabazus prychnął i wzruszył ramionami, po czym wyciągnął rękę z pucharkiem do napełnienia. Mardoniusz się uśmiechnął.

– Myśli, że szanują tylko rzut włócznią albo cios pałką w czaszkę, a cała reszta jest niczym wiatr w polu.

– Ale ja jestem Macedończykiem – zaproponował nieco urażony Aleksander.

Artabazus mruknął coś, co uniosło kąciki ust Mardoniusza, ale nie zostało przetłumaczone. Aleksander zaczynał naprawdę nienawidzić tego małego sukinsyna.

– Oczywiście! – odparł wódz. – Przyjmij moje przeprosiny.

Było to zdecydowanie nieszczerze. Ten mężczyzna i jego kompani nie dostrzegali różnic między zachodnimi ludami. Aleksander zastanawiał się, czy uważają Medów i Lidyjczyków za równych Persom. Postanowił jednak zachować to pytanie dla siebie. Ludzi rzadko cieszy ujawnianie ich hipokryzji.

– Moje stanowisko jest jednak dostatecznie jasne – ciągnął Mardoniusz. – Jeśli człowiek straci dom z powodu burzy, to z pewnością będzie winił burzę. Ale jeśli burza powie mu wcześniej: „Ugnij przede mną kolana, a przejdę bokiem, oszczędzając twoją żonę i dzieci...” – tu Mardoniusz odczekał chwilę, aby tłumacz zdążył przełożyć jego słowa – ...a człowiek jej *wówczas* odmówi i straci wszystko, co posiadał i co kochał, to kogo może winić, jeśli nie samego siebie? Burza unicestwi wszystkie jego kalkulacje. Rozumiesz? Będzie wiedział, że sam to na siebie ściągnął.

– A ty jesteś burzą – mruknął Aleksander.

Mardoniusz potaknął tak szybko, że król zaczął go podejrzewać o pobieżną znajomość greckiego. Wódz dorastał w skrajnie konkurencyjnej kulturze dworskiej i awansował na prawą rękę króla. Warto było o tym pamiętać.

– *My jesteśmy burzą* oczywiście. Ale może jego dom upadłby tak czy inaczej? A co z następnym napotkanym? Kiedy powiem mu: „Ugnij kolana”, być może to zrobi, aby ocalić wszystko, co ukochał. Wydaje mi się... że to jest coś, co doskonale rozumiesz.

Aleksander pomyślał o dumie, której był świadkiem w Atenach, w porównaniu z jego własną. Na to wspomnienie poczuł gorycz w gardle. Zamienił swoją dumę na możliwość stanięcia w tym namiocie jako człowiek

zaufany. Powiódł spojrzeniem od Artabazusa, który obserwował go z humorem, do Hydarnesa i Masistiusza, ponurych mężczyzn wyraźnie wrogo nastawionych do jasnowłosego króla Macedonii.

– O szlachetni – powiedział – Persja leży daleko stąd. Pozwólcie, że opowiem wam o prorocztwie, które kiedyś słyszałem.

\* \* \*

Następnego dnia, kiedy zwijano obóz, Mardoniusz nie miał nic szczególnego do roboty. Dygotał, szcękając zębami. Z północy nadciągnął lodowaty wiatr. Fale zacinającego deszczu zamieniły grunt w grząskie błoto, a wszystkie czynności stały się przez to dwa razy trudniejsze. Ludzie byli zadowoleni, zajmując się swoimi obowiązkami, a przynajmniej tak zapewniali go dowódcy. Mardoniusz uśmiechnął się na widok jednego ze swoich synów, który przejechał obok w płaszczu tak przemoczonym, że przywarł do jego ud jak blacha.

Artabazus był jednym z najlepszych jeźdźców, jakich Mardoniusz kiedykolwiek widział, niemal tak sprawnym jak Masistiusz, który potrafił dosiąść wszystkiego, co miało kopyta. Jednak Masistiusz wyglądał na jeźdźca, podczas gdy krępy Artabazus był tłusty i okrągły jak kloc. Mardoniusz widział go kiedyś, jak wykonywał salta w powietrzu z którymś z dowódców. Mówił, że to wzmacnia kości i stawy. Gdyby zrzucił go koń, z pewnością potoczyłby się gładko po ziemi i nic by mu się nie stało. Mardoniusz uśmiechnął się na tę myśl, gdy Artabazus spał przed nim rumaka, zdziwiony nietypowym wyrazem twarzy wodza. Deszcz nasilił się w tym momencie, wlewając im zimną wodę za kołnierze i każąc koniom pochylać głowy.

– Będziemy kichać, a może nawet się potopimy, jeżeli pogoda się pogorszy – powiedział na powitanie Artabazus.

Mardoniusz skinął głową. Nienawidził zimy. Po prostu nie była to żołnierska pora roku.

– Zgromadziliśmy dość zapasów na miesiąc – powiedział. – Myślę, że nie zaszkodzi przypomnieć Ateńczykom, jaka jest cena za ich pychę.

– Jesteśmy burzą – rzucił Artabazus z uśmiechem. Powtórzył zdanie Mardoniusza z poprzedniej nocy.

– Rzeczywiście – odparł wódz. Czekał w ulewnym deszczu, aż oddziały zbiorą się i przemaszerują przed nim przemokłymi szeregami.

– Co myślisz o tej przepowiedni? – zapytał Artabazus. Musiał powiedzieć to głośniej, żeby przekrzyczeć chlupot i szum deszczu.

Mardoniusz wzruszył ramionami.

– Nie wierzę w przepowiednie, nawet jeśli on w nie wierzy.

– Nie uczynisz go więc satrapą całej Grecji? Okazał się w końcu lojalnym sprzymierzeńcem.

– Zdaje mi się, że zdecyduje o tym król Kserkses – odparł Mardoniusz. – I myślę, że będzie to raczej któryś z Persów... Może ty, Artabazusie, kto wie?

– Uważasz zatem, że to proroctwo było fałszywe? – nalegał Artabazus.

Mardoniusz spojrział na niego.

– Któż może wiedzieć o takich rzeczach? Sądzę jednak, że jeśli jego ród ma rządzić kiedyś całą Grecją, to na pewno nie jest to ten rok... – roześmiał się głośno. – Albo nie ten Aleksander Macedoński.

Szyki armii, które uformowały się, aby ruszyć na południe ku Atenom, ciągnęły się bez końca. Ulewy przeciągały nad nimi jak nad wzgórzami i bezkresnymi równinami. Zimowe słońce wyjrzało nagle zza chmur i Mardoniusz zawrócił konia w miejscu.

– Deszcz zmierza na południe. To dobry omen, jak mi się zdaje – powiedział.

– Jesteśmy burzą, Artabazusie. Przypomnijmy im o tym.

Perska armia zmierzała na południe w tempie piechura. Dwustu tysiącom wojowników groziło większe niebezpieczeństwo śmierci z głodu albo od przypadkowego zranienia niż na skutek starcia z jakąś wysłaną przeciwko nim siłą. Racje żywnościowe wydzielano na każdym postoju, a wszyscy zazdrośnie strzegli swojej miski. Ciągnęli na Ateny jak deszcz, który posuwał się przed nimi: wolno, szeroko, niepowstrzymanie.

Ateńscy zwiadowcy galopowali przed najeźdźcami. Gnali na złamanie karku, ryzykując życie własne i wierzchowców, aby kupić każdą dodatkową godzinę. Kryzysowe zebrania na Pnyksie odbywały się, jak zaplanowano, a każdy członek zgromadzenia był w pełni poinformowany, co ma robić. Z posępnymi minami debatowali nad drugą ewakuacją miasta. Nikt nie mógł zostać zapomniany i pozostawiony na śmierć lub poniżenie z rąk wrogiego żołdactwa.

Nie mogli obronić Aten, nie przy braku obronnych murów, nie przeciwko takiej masie. Przynajmniej pod tym względem nie było między nimi rozbieżności zdań. Stratedzy i archontowie nie marnowali czasu, ale pochylali się nad opracowaniem planu ratunku. Dowódcom floty powierzono zadanie sprowadzenia rodzin na nabrzeża. Obstawili drogę do morza, popędzając lub przenosząc przerażone kobiety i dzieci.

Rada przygotowana była na najgorsze od chwili, gdy wrócono do spalonych domów i zburzonych bram. Fyla za fylą, całymi rodzinami wraz ze swoimi niewolnikami uczyli się, dokąd mają się udać, gdy usłyszą głos rogów, gdzie mają stanąć. Nie mogli wszyscy rzucić się w panice do okrętów. Wszystko musiało odbyć się powoli.

Temistokles dwoił się i troił, był obecny wszędzie, przypominając tłumom o ich obowiązkach, wzywając matki, by trzymały dzieci przy sobie. Niektórym maluchom mimo wszystko udawało się wyrwać i wszędzie słychać było nawoływania zrozpaczonych krewnych. Płaczące łobuziaki stały po jednej stronie drogi, wyciągając pulchne rączki do przechodzących.

Zdarzały się też bójki wybuchające nagle, gdy jakaś rodzina broniła się przed zbyt obcesowym popychaniem albo gdy mężczyźni rzucali się na siebie



nawzajem, mając na względzie dobro wyłącznie swoich bliskich. Hoplici interweniowali wówczas gwałtownie, używając pałek albo długich kijów. Nie było współczucia dla tych, którzy krwawili z powodu ich niecierplivej reakcji, zasłużonej lub nie. Exodus zaczął się wielkim strumieniem zdeterminowanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Na przybrzeżnych wzgórzach rozpalono ogniska, które podsycano oliwą, gdy przygaszał je deszcz. Okręty patrolujące morze z łatwością odnajdywały owe jasne punkty, łatwo kierując się ku domowi. Wszyscy trierarchowie i wszystkie załogi wiedziały bez pytania, który pomost i które nabrzeże przeznaczone są dla nich. Modlili się, żeby nigdy nie musieć wcielać tego planu w życie, ale gdy potwierdzono wieść o pojawieniu się wroga, nie było już wahania.

Salamina raz jeszcze miała stać się ich schronieniem, ale nie była już takim jałowym miejscem jak wcześniej, gdy kobiety z dziećmi tuliły się na wydmach. Ksantyppos posłuchał rady żony, podobnie jak Temistokles. W rezultacie stworzono na całej wyspie schronienia oraz magazyny z żywnością. Nie były jeszcze ukończone, ale nikt się nie spodziewał, że okażą się potrzebne tak prędko. Pierwsze rodziny zaczęły przybywać na załadowanych pokładach trier tego samego ranka. Wysiadały na brzeg i drżały w porywach wiatru.

Agarysta z dziećmi była wśród tych, którzy najwcześniej dotarli na wyspę, tym razem wraz ze zdyscyplinowaną grupą wszystkich domowych niewolników i z płatnymi sługami w rodzaju Maniasa. Byli też z nimi dwaj hoplici przydzieleni przez Ksantypposa. Znaleźli dla niej miejsce pod długim dachem, w otwartym po bokach budynku przypominającym stajnię, lecz wąskim i pokrytym trawą, zieloną i niedającą porządnej osłony. Deszcz przeciekał do środka i każdy, kto tam usiadł, doświadczał dokuczliwej niewygody. A z każdą godziną przypływały setki, jeśli nie tysiące ludzi. Mieszkańcy Aten schodzili do portu w Pireusie i wsiadali na triery, znosząc zimno i wilgoć, aby uniknąć nadciągającej zgrozy.

Agarysta trzymała Eleni i Peryklesa blisko siebie, podczas gdy Aryfron stał w płaszczu, hełmie, spizowanych nagolenicach i napierśniku. Przy pasie miał miecz, który boleśnie mu ciążył. Tarczę oparł o drewniany słup, natomiast jego włócznia, *doru*, była zbyt długa, musiał więc położyć ją na ziemi. Jako że jego ojciec wciąż żył i nosił rodzinny zestaw uzbrojenia, Aryfron włożył pancerz i broń nabyte w kilku częściach od trzech będących w żałobie rodzin. Wdowy niedawno pozbawione męzowskiej opieki potrzebowały srebra na utrzymanie.

Agarysta ledwo widziała twarz syna pod osłoną hełmu. Wiedziała, że Aryfron nie czuje się jeszcze swobodnie w nowej zbroi. W normalnych czasach

otrzymałby zrobione na miarę nagolenice i dopasowaną do jego ręki rękojeść miecza, aby nie wypadł mu z dłoni po gwałtowniejszym uderzeniu. W wieku osiemnastu lat jej syn nie zdawał sobie jeszcze sprawy z takich rzeczy. Perykles jednak chodził wokół niego, jakby podziwiał jakiś posąg. Aryfron z pewnością myślał, że wygląda jak młody Herakles strzegący z powagą matki i siostry.

Agarysta nie uśmiechała się, obserwując jego dostojny krok. Miała jedynie nadzieję, że nie będzie musiał wyciągać miecza, nim minie zagrożenie. Siedziała, obejmując rękoma kolana, z dziećmi przy boku, nie mając pewności, czy jej życzenie się spełni. Niektóre twarze wokół były blade, otepiałe z powodu kapryśnego losu, który rozbudziwszy ich nadzieje, kazał im nagle wrócić na tę samą wyspę. Inni, znalazłszy schronienie, zachowywali się gniewnie i zaczepnie. Odzywali się do innych szorstko, niemal gwałtownie, wyklócając się o każdy skrawek wolnej przestrzeni pod dachem.

– Gdzie jest teraz twój ojciec, Peri? – spytała Agarysta młodszego syna.

Chłopiec natychmiast wykorzystał to oczywiście jako pretekst, by odejść w poszukiwaniu Ksantypposa. Wydawało się, że upłynął wiek, zanim wrócił, ale w tym czasie nikt nie odważył się zająć jego miejsca obok niej. Ponownie miała go sporo dla siebie i dzieci, ale doszła do wniosku, że zawdzięcza to raczej obecności dwóch hoplitów z żelazem u boku. Tak czy owak ludzie dobrze wiedzieli, że chroni ją opieka jej męża. Miała taką nadzieję. Zbyt wielu krzywiło się na jej widok, jakby była sprawczynią ich kłopotów! Inni popłakiwali, patrząc na nią, choć nie mogła nic dla nich zrobić. Gdyby przyszło do gwałtownych oskarżeń lub tylko ukradkowych zarzutów, Agarysta nie była pewna, czy rozpoznałaby w tym tłumie twarze i nazwiska. Słabi ludzie zawsze szukali winnych swoich nieszczęść, a Ksantyppos był znaną osobistością. Na każdego wioślarza lub trierarchę, który zginał przed nim z szacunkiem kolano, przypadało dziesięć żon i matek oskarżających go o śmierć mężów i synów. Agarysta przez cały czas czuła na sobie czyjeś oczy. Była w ich zasięgu. Widziała, jak czał się w nich bezkształtny gniew.

Ufała, że rozumieją rolę stojących obok niej mężczyzn zakutych w spiż. Gdy tylko schronienia się zapełniły i okazały niewystarczające, tysiące przybywających na wyspę musiały siadać na urwiskach, tuląc się do siebie w poszukiwaniu ciepła, podczas gdy padał coraz gęstszy deszcz, siekąc powierzchnię morza. Przestrzeń wokół jej rodziny zacieśniała się, w miarę jak ludzie tłoczyli się coraz bardziej, nierozumni jak zwierzęta. Przy wejściu dochodziło do bójek, gdy mężczyźni próbowali zrobić miejsce dla swoich matek albo podnosili dzieci i krzyczeli do innych, żeby zrobili im przejście. Ci, którzy

dostali się do środka, dziękowali z wdzięcznością za osłonę przed wiatrem i deszczem.

Przedtem wszyscy byli uchodźcami, przypomniała sobie Agarysta, po czym wrócili do normalnego życia. Nie wiedziała, czy szaleństwem jest liczyć na to samo, czy też obecny cios złamie ich i pokona. Może tym razem Ateny znikną na dobre. Słyszała, że Temistokles mówił o wielkiej wizji, przypominając, że to ludzie są miastem, nie zaś same mury i kamienie. W tłumie tłoczącym się na Salaminie nie było jednak widać szczególnej chwały.

Perykles wrócił, wyrrywając ją brutalnie z rozmyślań. Podeszedłszy, usiadł obok niej na ziemi.

– Ojciec jest przy nowych pomostach, rozmawia z innymi strategami i archontami. Posłuchałem chwilę... – Tu przerwał, przypomniawszy sobie zapewne, jak matka powtarzała mu kiedyś, że podsłuchując cudze rozmowy, nie usłyszy niczego dobrego.

Tym razem niecierpliwym gestem ponagliła go, by mówił dalej, on zaś obdarzył ją uśmiechem. Jest przystojny, pomyślała. Połowa dziewcząt w Atenach znała jego imię, przynajmniej tak jej mówiono. Dostrzegła w jego oczach ten rodzaj błysku, który ojców tych dziewcząt z pewnością nastawi do niego wrogo, jeśli już tak się nie stało. A zarazem była w nim jakaś niewinność. W jego wieku cała żaloba i gniew, które były wokół, po prostu go omijały albo wcale ich nie zauważał. W tym momencie, gdy owiał ją zapach czystego potu i morskiej soli, pozazdrościła mu. Uśmiechał się do niej, rozkoszując się jej miłością.

– Ojciec powiedział, że Temistokles zorganizował jakieś przeszukania pakunków na pomostach w Pireusie. Ma to mieć coś wspólnego z zaginionym kielichem ze świątyni Ateny. Potem Arystydes stwierdził, że nic nie słyszał o zaginionym kielichu, a ojciec na to, że wcale go to nie dziwi. Powiedział, że to, co znaleziono podczas tych przeszukań, przekracza wartością tysiąc kielichów. I że wszystko to powinno trafić do rąk wioślarzy albo coś w tym rodzaju. Konfiskata! – Perykles zauważył, że matka się skrzywiła i machnęła ręką. Natychmiast pochylił głowę i zniżył głos do szeptu. – Powiedział też coś o Spartanach, ale wtedy mnie zauważyli i odesłali.

– O co chodziło z tym kielichem? – zapytała Eleni.

Agarysta potrząsnęła głową z irytacją. Tłum spragniony był wszelkich nowin. Wszyscy nadstawiali uszu. Nie zaskoczyłoby jej wcale, gdyby usłyszała, że czuje urazę, bo na pomostach zarekwirowano jej rodzinne skarby. Gdyby wiedziała, że Perykles będzie mówić tak głośno, przyciągnęłaby go do siebie i kazała szeptać sobie do ucha. W tym również był niewinny.

Agarysta i Eleni pochylały się bliżej, a Perykles rozparł się na macie, gotów opowiedzieć wszystko raz jeszcze. Aryfron również stanął przy nich i nachylił się z narażeniem godności, rozdarty między poczuciem obowiązku a ciekawością. W końcu jednak obowiązek zwyciężył, Aryfron wyprostował się i dalej pełnił straż, kierując ciemną czeluść swego hełmu ku tym, którzy przyciskali się zbyt blisko jego rodziny.

\* \* \*

Temistokles patrzył na mężczyznę, a dokładnie na archonta, którego imię miało wyróżnić ten rok. Nigdy nie żałował, że sprowadził Ksantypposa z wygnania. Był on doskonałym strategiem i wielkim autorytetem na czas wojny. Niektórzy co prawda byli zdania, że autorytet ten sprowadzał się najwyżej do gromkiego głosu i zaplecza w postaci starego, szlachetnego rodu. Temistokles miałby ochotę obrzucić kamieniami przynajmniej kilkunastu takich nikczemników. Ksantyppos doskonale wiedział, jak wydawać rozkazy i jak trafnie dobierać tych, którym je wydawał. Była to rzadka umiejętność, dlatego Ateny wyznaczały tylko dziesięciu strategów na czas wojny, dowodzonych przez polemarcha. Zgromadzenie było wspaniałą rzeczą, która jakimś cudem działała dwa razy lepiej niż powinna. A jednak w bitwach, na lądzie czy na morzu, mężczyźni musieli słuchać rozkazów i ufać tym, którzy je wydawali. Wojna to czas tyranii.

Temistokles był świadomy, że jego szczególny geniusz polega na umiejętności dobierania właściwych ludzi. Znaczyło to, że kątem oka musi mieć baczenie na całe miasto, przewidywać wszystko z dużym wyprzedzeniem, planować i jeszcze raz planować. Bogowie go kochali i nie było co do tego wątpliwości. Być może to oni obdarzyli go swoim błogosławieństwem, zdolnością do ciężkiej pracy i wspaniałym umysłem. Nie obchodziło go, którzy spośród nich szczególnie o to zadbali. Ocalił Ateny więcej niż raz. Powtarzał sobie, że może zrobić to ponownie, jeśli po prostu przekona stojących przed nim ludzi, by złamali swoje przysięgi i narazili na szwank honor.

Jeszcze raz spojrział na Ksantypposa, wspominając, jak przed jedenastoma laty dowodził pod Maratonem. Arystydes i Kimon czekali zniecierpliwieni na tym samym pomoście. Dziesiątki innych cisnęły się wokół, mężczyzn starszych, zmęczonych, nieogolonych jak te chropowate drewniane pomosty, które sklecili w rekordowym czasie. Wyznaczony na ten dzień epistates z fyli Kekropis był właśnie pod ręką. W czasie wojny prawo było takie, że tam, gdzie stanęli oni, było też zgromadzenie. Temistokles odetchnął głęboko i zmusił się do zastanowienia.

– Nie możemy tak działać – powiedział. – Czy musimy się godzić na aż tyle? Spalą miasto znowu i nie wiem, czy ci biedni ludzie znajdą w sobie tyle siły woli, by odbudować je po raz drugi. Wycięliśmy już wszystkie drzewa w promieniu jednego dnia marszu!

– No to wyślemy ich dwa albo trzy dni stąd... – odpowiedział niemal odruchowo Arystydes.

Temistokles pokręcił głową.

– W jakim celu? Naszym jedynym atutem jest flota, wiecie jednak, że Persowie wciąż mają okręty, które odpłynęły z ich królem. Czy on pozostanie bezczynny? Kto to wie? Jeżeli zbudują ich więcej i wrócą, nie zdołamy już wywieźć ludzi w bezpieczne miejsce. Zadaliśmy im w cieśninie salamińskiej potężny cios, ale co będzie, gdy wrócą z flotą na wiosnę? Znajdziemy się w tym samym punkcie, w którym byliśmy, gdy to wszystko się zaczęło! Nie, drodzy towarzysze, musimy rozbić tę perską bandę. Musimy być bezwzględni.

– Nie sądzę... – zaczął Kimon, ale zamilkł, gdy Ksantyppos podniósł rękę.

Zdziwiony Temistokles uniósł brwi. Młodzieniec nauczył się szacunku. Oczywiście, że się nauczył. Gdyby Temistokles nie wpadł na pomysł, aby posłać Ksantypposa do Sparty, mógłby mieć kłopot tu, na miejscu, z zawieranymi przez niego sojuszami. A teraz mógł sobie pogratulować dobrego wyboru.

– Pozwól mi wysłuchać Temistoklesa – powiedział strateg.

Kimon potaknął, a Temistokles pokręcił głową na widok ich poważnych twarzy.

– Gramy o najwyższą stawkę – ciągnął. – Nie tylko o nasze życie i wolność, ale o wszystko, czym jesteśmy i czym moglibyśmy być. Jeśli nie zdołamy ich powstrzymać, stracimy Ateny, Grecję, ludzi. Wszystko przepadnie. A wiecie, że nie traktuję tego lekko.

– Dlaczego więc uśmiechasz się w taki dziwny sposób? – rzucił Arystydes.

– To nerwy i zmęczenie – odparł Temistokles trochę zbyt ostro. – Wyznanie tego wam trzem to trochę za wiele, nawet dla mnie. – Przerwał i milczał do chwili, kiedy przynajmniej jeden z tej trójki gotów był już chwycić go za gardło i zmusić do mówienia. – Drodzy towarzysze, powinniśmy negocjować pokój z Persją – powiedział w końcu niemal szeptem.

– Przysięgam, że powinienem kazać wyrwać ci język – warknął Arystydes. – Dla własnego spokoju. Gdybyśmy cię nie *potrzebowali*... Myślisz, że mam czas na takie bzdury? Na bogów, ja...

– Wysłuchaj go – odezwał się władczo Kimon.

Arystydes otworzył szeroko oczy, zdumiony rozkazem z ust tak młodego człowieka. Temistokles również był zaskoczony poparciem z jego strony. Ciekaw był, jaką część poranka Kimon spędził na sączeniu wina.

Młodzieniec wzruszył ramionami, kiedy ujrzał wszystkie spojrzenia skierowane na siebie.

– No co? Temistokles przekonał Kserksesa do podzielenia floty, a potem do ucieczki, prawda? Jeśli teraz ma podobny pomysł, to może warto go wysłuchać. Jeśli nie, to stracimy niewiele czasu.

– Widzę w tobie ojca – powiedział Temistokles. – I Kimon oczywiście ma rację. Ocaliłem Grecję niejedyn raz. Może zrobię to znowu. Och, nie pryčaj, Arystydesie! Byłeś za rozdaniem srebra z Laurion ludziom, zamiast wydać je na flotę, nieprawdaż? I cóż, to flota dała nam tę jedyną szansę, jaką mieliśmy. A kto się za tym opowiadał i uratował życie wszystkich kobiet i dzieci ateńskich? Ach tak, już sobie przypominam! A kto wysłał listy do namiotu Kserksesa? Jakiż to geniusz natchnął go do rozdzielenia floty? Kto odesłał go do domu? Czy był to może... Już zapomniałem, Arystydesie, mógłbyś mi przypomnieć imię tego bohatera?

Ten spojrział zimno w twarz człowieka, którego nienawidził. Temistoklesowi nigdy nie brakowało pewności siebie, ale od początku wojny jego zadufanie tak urosło, że stało się niczym spiżowy posąg.

Temistokles uśmiechnął się do niego, w pełni świadom różnicy poglądów między swymi sojusznikami. Słuchali go, bo nikt inny nie oferował ratunku w obliczu katastrofy.

– Czego chcemy najbardziej? – zapytał ich. – Tak naprawdę?

– Żeby Persowie opuścili Grecję albo żebyśmy ich pokonali – odparł Kimon, kiedy żaden z pozostałych się nie odezwał.

– Właśnie... – zgodził się Temistokles. – Chociaż zapewne nie odejdą, jak mi się zdaje, bez interwencji bogów, których nie możemy do tego zmusić. Możemy modlić się o śmierć ich króla, która z pewnością skłoniłaby Persów do powrotu do domu. W każdym innym przypadku... potrzebujemy Sparty na polu bitwy. To nasza *jedyna* nadzieja. Wydarzenia tego ranka są dla nas przypomnieniem, moi towarzysze. Nie możemy żyć w strachu. Nie możemy patrzeć raz za razem, jak płonie nasze miasto. Nie możemy też za każdym razem uciekać na Salaminę, żeby przymierać głodem na tej jałowej wyspie. Prędzej czy później oni przyplłyną z nową flotą. – Podniósł silne, ogorzałe ramię. Gwałtownym gestem powiódł dłonią dookoła, jakby miał na myśli cały świat. – Co za tym idzie: możemy przeżywać strach i zniszczenie, kiedy tylko im się spodoba, albo zostać

wasalami obcego króla. Nie da się tego zaakceptować. Czyli... skoro nie jest to możliwe, do diabła z tym! Co nam pozostaje? Tylko wojna, aż do końca, bez wytchnienia, bez rozejmów. Stałem pod Maratonem. Byłem na pokładzie okrętu pod Salaminą. Nie ugnę kolan ani przed Persją, ani przed żadnym innym królem. Urodziłem się w wolnym mieście, umrę jako wolny człowiek. Cokolwiek się zdarzy. – Cała lekkość i humor opuściły go nagle. Różnica była uderzająca, mimo że i tak wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego niż przedtem. Zadygotał jak pod wpływem zimnego wiatru. – Na końcu wszystko staje się proste. Skoro musimy ruszyć na wojnę, to musimy mieć Spartę. Pytanie tylko brzmi: co wyciągnie Spartan z za ich muru i co przełamie ich samozadowolenie i arogancję.

Spojrzał na ich twarze, aby zobaczyć, czy odgadli odpowiedź. Mroźny chłód jego ostatnich słów wciąż wisiał w powietrzu jak mgła. Patrzyli na niego, czekając.

– Sparta jest bezpieczna za murem tylko wtedy, gdy Persja nie ma floty. Jeśli zwiążemy się sojuszem z Persją, to nasza flota będzie mogła wysadzić Persów w dowolnym punkcie Peloponezu, już za murem. Spartanie nie zdołają obronić całego wybrzeża. Ulegną przewadze i zostaną pobici w jednym sezonie.

– Rozumiem... – zaczął Arystydes.

Jeszcze raz przerwał mu Kimon, nie mogąc opanować gniewu.

– *A ja nie.* Wspierałem cię, Temistoklesie! Chyba nie proponujesz serio, abyśmy połączyli się z Persją, żeby pokonać Spartę? Ale jeśli, to przysięgam...

– Kimonie – wtrącił się Ksantyppos.

Młody człowiek umilkł raz jeszcze. Temistokles zastanawiał się, co takiego wydarzyło się podczas ich podróży do Sparty, że powstała między nimi taka silna więź.

Ksantyppos podziękował Kimonowi skinieniem głowy. Ich wzajemny szacunek zaczynał grać na nerwach Temistoklesowi.

– Wydaje mi się, że Temistokles sugeruje, abyśmy tylko *sprawiali wrażenie*, że łamiemy dane słowo – wyjaśnił Ksantyppos. – Że tylko grozimy sojuszem z Persją. – Zamyślił się przez chwilę, po czym kiwnął głową. – To wyciągnie Spartę w pole, jak powiadasz, bo w grę będzie wchodziło ich unicestwienie, ale też potwierdzi wszystko, czego tak nienawidzą w ateńskiej polityce. Już nas nazwali sprzedajnymi dziewczkami, moi towarzysze. Ta opinia się ugruntuje, gdy zmusimy ich do wyjścia pod groźbą naszej zdrady. – Spojrzał na Temistoklesa i dostrzegł w nim narastające wyczerpanie. On sam oddychał powoli. –

Narobimy sobie kłopotów na przyszłość – mruknął. – Spartanie nam tego nie zapomną.

– Jeśli zwyciężymy, uznają, że od początku mieliśmy rację – powiedział Temistokles. – Ale mówiąc szczerze, nie obchodzi mnie, co sobie pomyślą. Ateny zostały spalone. Ja...

Nagle zmrużył oczy i zaklął pod nosem. Pióropusz dymu unosił się w oddali. Wszyscy zwrócili się w stronę, w którą spojrzął, po czym zaczęli kląć albo szeptać modlitwy. Persowie znów wkroczyli do miasta. Z ogniem, aby siać pożogę i zniszczenie.

– Musimy coś zrobić – odezwał się cicho Temistokles, niemal zagłuszony przez krzyk mew i szum morza omywającego Salaminę – bo nie możemy żyć w ten sposób.

Arystydes wyciągnął dłoń i Temistokles ją przyjął. Wszyscy, jeden za drugim, podchodzili z uściskiem dłoni jak z osobistą przysięgą, a gest ten przekazywano coraz dalej, znajdując pociechę w sile innych. Ten prosty uścisk pieczętował obietnicę zemsty, gdy Ateny po raz drugi stanęły w płomieniach.



Cichy lament podniósł się wśród tłumu, gdy zauważono unoszący się nad Atenami dym. Wiedzieli dobrze, co on oznacza. Sama myśl o powrocie do zniszczeń, które pamiętali, do spalonych budynków i walających się po ulicach ekskrementów pozostawionych przez żołdactwo, wystarczała, by wzbudzić u jednych szloch, a u niektórych ciche łkanie. Inni przeklinali i wygrażali pięściami w stronę wroga, by ściągnąć gniew bogów na głowy Persów i ich dzieci.

Z tłumu podniósł się jakiś mężczyzna i zaczął się rozglądać. Brodaty, potężnej budowy, wyglądał jak kowal, jak ktoś ciężko pracujący rękoma. Miał na sobie poplamiony skórzany fartuch, a obnażone ramiona porastało gęste owłosienie. Agarysta spoglądała mimo woli to na niego, to na jego żonę siedzącą na ziemi u stóp mężczyzny. Kobieta wznosiła ku niemu ręce, najwyraźniej błagając, aby z powrotem usiadł obok niej.

W odpowiedzi na to zwalisty mężczyzna odstąpił na krok od żony i dzieci, po czym podniósł głos, aby być jak najlepiej słyszany.

– Miasto znowu płonie! – ryknął nad ich głowami, niemal prosto w niebo. – Mój warsztat, mój *dom*, wszystko, co mam, jest teraz niszczone przez Persów. Moje oszczędności? Zostały mi odebrane na pomoście przez urzędników z rady. – Podniósł, jak talizman, karbowaną listwę z liczbami. – Mogę odzyskać straty, jak minie zagrożenie, tak mi powiedzieli!

Rzucił kawałki listwy na ziemię w nagłym przypływie furii. Ludzie patrzyli na niego szeroko otwartymi oczyma, a on splunął na ziemię, aż najbliżej siedzący odsunęli się raptownie. Krzyczał coraz głośniej i coraz więcej osób go słyszało.

– Moi rodacy rabują mnie w biedzie, podczas gdy armia tych malowanych psów plądruje Ateny i śmieje się z nas po raz drugi? Pracowałem na te monety! To mój pot i moja krwawica. To już za wiele!

– Siadaj! – krzyknął ktoś.

– To chodź i mnie do tego zmusz! – ryknął w odpowiedzi, zaśliniony i czerwony na twarzy. – Nasi archonci i stratedzy mają nas za nic! Co oni wiedzą

o ciężkiej pracy? O całych latach harówki, o oszczędnościach życia, które człowiekowi odebrali! Wezmą też naszą krew, a my ją pokornie oddamy, jak poczciwe jagniątko? O tak, bez wahania poświęcą nas na ołtarzu wojny, sami siedząc w pięknych domach i popijając wino. Pewnie się z nas śmieją, co? Oddaliśmy wszystko, co mieliśmy, i co za to mamy? – Wskazał ręką na wznoszący się w oddali dym. – To. To właśnie mamy.

Agarysta patrzyła, jak żona i dzieci mężczyzny błagają go rozpaczliwie, aby usiadł i przestał zaczepiać innych. Zauważyła też moment, w którym podjął decyzję. Rozpoznała u niego ten sam tępy wyraz twarzy, który widywała u męża podczas kłótni, to samo opuszczenie podbródka oznaczające, że zamierza rzucić wyzwanie całemu światu, przygarbiwszy się i wtuliwszy głowę w ramiona. Chciała krzyknąć do niego ostrzegawczo, ale ten mężczyzna nie był jej mężem.

– Persja zaoferowała nam *pokój!* – wrzasnął.

W tłumie ucichły rozmowy i zapadło milczenie. On mówił to samo, co w ciągu ostatnich tygodni szeptali tysiące razy do siebie. A jednak czymś innym było szepnięcie do własnej żony w intymności małżeńskiego posłania, a czym innym wykrzyknięcie tego w sytuacji, gdy perska armia paliła właśnie miasto, które tak kochali. Ucichli, zdumieni jego śmiałością, a raczej szaleństwem.

– Gdybyśmy się zgodzili, to czy podpaliliby miasto znowu? Nie. Żyłbym w moim mieście, pracował na swoje utrzymanie, a moje dzieci byłyby bezpieczne. Nie siedziałyby tutaj z pustymi brzuchami na zimnym wietrze, bez picia, pożywienia i ognia do ogrzania. Tak, głosowałem za przyjęciem pokoju, bo nie obchodzi mnie, kto zasiada na górze ubrany w złoto. Chcę tylko, żeby nie wchodzili mi w drogę. I nie obchodzi mnie, czy będą to Persowie czy Ateńczycy! Jeżeli nasze zgromadzenie i nasza rada nie potrafią nas ochronić, to na co nam one? Skoro nie mamy murów, to po co *znów* mam odbudowywać z ruin dom?

Ku zaskoczeniu Agarysty z otaczającego tłumu dobiegły okrzyki aprobaty. Spojrzała na surowe twarze swoich dwóch hoplitów i starszego syna. Uświadomiła sobie, że oni też na to patrzyli. Wszyscy patrzyli. Przełknęła nerwowo ślinę, przytulając mocniej Eleni. Nie wiedziała, czy powinna prosić hoplitów o interwencję, o uciszenie tego mężczyzny. Czy w ogóle istniały jeszcze jakieś reguły, gdy po raz drugi płonęło ich miasto? Kobiety znały wojnę z innej strony niż mężczyźni. Wojownicy i ich synowie wyobrażali sobie tylko zwycięstwa albo bohaterską śmierć na polu bitwy. Nikt nigdy nie marzył o panicznej ucieczce ani o zostaniu kaleką. To kobiety musiały radzić sobie już

po wszystkim, zdobywać środki utrzymania i przyjmować nowych mężczyzn w swoich domach i łózkach.

Od czasu pierwszej inwazji widziała nieszczęsne młode wdowy sprzedające się na ulicach, czekające po zachodzie słońca na klientów. Mężowie potonęli, oferowały więc na sprzedaż wszystko, co miało jakąś wartość. Agarysta zagryzła wargi i czekała, drżąc z zimna, a woda kapała jej na ramię.

– Proponuję złożyć ofertę w imieniu mieszkańców Aten – ciągnął kowal. – Wyślijmy poselstwo do wodza perskich wojsk i powiedzmy mu: „My, Ateńczycy, przyjmujemy twoją propozycję pokoju”.

Odpowiedział mu ryk wściekłości, gdy coraz więcej ludzi z tłumu zaczynało rozumieć, co się dzieje. Agarysta dostrzegła czerwone ze złości twarze, choć tu i ówdzie widać też było takich, którzy podnosili ręce w geście aprobaty, tak jak robili to czasem na Pnyksie.

– Oni chcą pokoju! – mówił mężczyzna. – Król Persji godnie traktuje swoich sojuszników, wiemy o tym. Jeśli chcemy pokoju, to wystarczy poprosić.

Kamień uderzył go w ramię i odbił się od niego. Kowal spojrzał zaskoczony, a na jego twarzy odmalował się szok. W tej krótkiej chwili, zanim ponownie się odezwał, poleciał ku niemu drugi kamień rzucony z wielką siłą, jaką daje furia. Uderzył go w usta, rozbijając wargi, a głowa odskoczyła mu w bok. Mężczyzna przysiadł bezwładnie, zakrywając twarz dłońmi. Agarysta posłyszała, jak jacyś ludzie krzyczą w jego obronie, i na szczęście wszystko się zakończyło.

Kowal był silnym mężczyzną. Choć żona próbowała go objąć i powstrzymać, strząsnął ją z siebie i podniósł się znowu. Po jego twarzy i szyi spływała krew, znacząc śliskimi plamami przód skórzanego fartucha. Zaczął przemawiać ponownie, ale widok krwi wyzwolił coś w tłumie. Czterech mężczyzn rzuciło się ku niemu z kamieniami w dłoniach, używając ich jak tłuczków. Zdążył tylko się odwrócić, kiedy pierwszy z atakujących uderzył go w policzek.

Żona krzyknęła, gdy upadł po raz drugi, ale mężczyźni nie odstępili ani nie odeszli zawstydzeni. Agarysta przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc krzyk, a oni zadawali mu kolejne ciosy, łamiąc kości. Jasne było, że kowal już więcej się nie podniesie.

Dyszeli, rzuciwszy kamienie na ziemię, ale tłum najwyraźniej nie miał dość. Agarysta zauważyła, że Aryfron zbiera się na odwagę, żeby ruszyć w tamtą stronę. Wyciągnęła rękę i złapała go za nagie udo, zatrzymując w miejscu.

– Zostań – syknęła. – Zabiją cię, jeśli tam teraz pójdziesz. Chroń mnie. Chroń brata i siostrę.

Zauważyła, że na dźwięk jej słów mroczny wyraz twarzy Aryfrona zmienił się i osłabła w nim wola działania. Potaknął skinieniem głowy, a ona dostrzegła, że dwaj hoplici przysłuchują się uważnie, czekając na rozkazy i wyraźnie ich potrzebując.

Przemoc wygasła i czterech zabójców zaczęło się oddalać, a na ich twarzach malowała się pustka połączona nawet z pewnym zmieszaniem. Agarysta ledwie zdążyła się podnieść, gdy zobaczyła gromadzące się nieopodal kobiety. Jedna z nich podniosła z ziemi upuszczony kamień i poplamiła nim palce. Agarysta ujrzała wyraźnie wyraz jej twarzy. Był gorzki jak wiatr albo morski chłód.

– Zdrajcy! – zawołała kobieta, wskazując palcem na siedzącą rodzinę.

– Nie! My nic nie mówiliśmy! – krzyknęła żona kowala.

Przytuliła dzieci i pochyliła nad nimi głowę. Agarysta stwierdziła, że wiele innych kobiet podnosi z ziemi czerwone lub brązowe od wilgoci kamienie. Deszcz wciąż padał, ściekając srebrzystymi strużkami przez szczeliny w dachu. Poczowała, jak oddech więźnie jej w gardle. Nie mogła oddychać, nie mogła znieść widoku, który miała przed oczyma.

Kobiety zaatakowały, spadając gwałtownie na małą rodzinę. Słysząc było tylko stłumione sukniami i kapturami krzyki. Uzbrojone w kamienie ręce unosiły się i opadały. Reszta patrzących zamarła w żałobnym milczeniu. Ich dłonie spoczęły na ustach, ale nie odwracali wzroku. Ci, którzy wcześniej wołali o wsparcie dla kowala, odsunęli się od tych, którzy mogli ich słyszeć, i siedzieli z opuszczonymi głowami.

Kiedy kobiety skończyły, odsunęły się. Drobne ciała leżały bezładnie, zmasakrowane, zaskakująco brudne, uwalane błotem i krwią, jakby toczono je wcześniej na wszystkie strony. Wszyscy, zarówno matka, jak i dzieci, nie żyli; widać to było na pierwszy rzut oka. Patrzyli zgasłymi oczyma na wiszący nad nimi trawiasty dach. Ich życie wbito kamieniami w ziemię.

Przestrzeń wokół nich się powiększyła, gdy kobiety wśliznęły się z powrotem w tłum, upuszczając kamienie na ziemię i stając w strugach deszczu, aby obmyć ręce z krwi. Cisza, jaka zapadła w siekającej ulewie, była jak żywa istota.

Agarysta uświadomiła sobie nagle, że szłocha cicho, łkając jak dziecko. Tuliła do siebie Eleni, pamiętając, że tamta kobieta tak samo mocno tuliła córeczkę. Była to słaba pociecha, ale Agarysta nie mogła mówić ani nawet myśleć. Perykles stał obok z szeroko otwartymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Agarysta bardzo chciałaby móc odwrócić mu głowę od tego, czego byli świadkami, ale było już za późno.

Posłyszała zbliżające się kroki hoplitów i szczeł spizu, który im towarzyszył. Były to dobrze jej znane odgłosy, zapamiętane z wojskowych ćwiczeń Ksantypposa. Temistokles przyprowadził kilkunastu zbrojnych, ale dopiero widok męża sprawił, że łzy naprawdę obficie popłynęły z oczu Agarysty. Przywarłszy do niego i wtuliwszy twarz w fałdy jego płaszcza, nie mogła wykrztusić słowa.

– Kto ich zabił? – dobiegł do niej głos Temistoklesa, który zwracał się do tłumu.

Nikt nie odpowiedział. Pokazali, co myślą o zdrajcach, i koniec. Agarysta chciała po prostu wrócić do domu, choć czuła, że domu już nie ma. W Atenach deszcz walczył z ogniem. Miała niewielką nadzieję, że deszcz zwycięży i ugasi płomienie.

Wiedziała, że wojna popchnęła ich wszystkich za daleko. Zniweczyła wszelkie reguły i prawa, jakie jej wuj pomagał ustanowić albo spisać w znanym do dziś kształcie. Nawet takie miasto jak Ateny było sztucznym tworem, kruchym jak czarka, gdzie wszyscy, mężczyźni i kobiety, udawali, że wilki nie istnieją, a sprawiedliwość jest realnym bytem. Nie potrafiła nic powiedzieć. Tuliła się do Ksantypposa, obejmując go ramionami. Po chwili Eleni zanurkowała pod jego ręką i też odnalazła bezpieczeństwo.

Agarysta poczuła, że zbliża się do nich Temistokles, a Ksantyppos unosi głowę znad jej włosów, do których przywarł ustami. Odsunęła się wówczas od męża, wiedząc, że ciemna kreska wokół jej oczu rozpułnęła się, a ona sama, z podpuchniętą twarzą, wygląda jak dzikuska. Strzepnęła dłońmi suknię i szybkimi ruchami zaczęła ocierać łzy, gdy Temistokles zatrzymał się przed nią. Wykonał jakiś żałobny gest na wspomnienie tego, co przed chwilą zobaczył.

– To nie ich wina – mruknął. – Boją się i czują gniew, ale wina leży po stronie tych, którzy zmusili nas do ucieczki, przynieśli nam wojnę. Te zbrodnie leżą u stóp Persów wraz ze wszystkimi naszymi topielcami.

Agarysta zobaczyła, że mówi do jej męża, choć jego wędrujące spojrzenie spoczywa co rusz na ich synach. Arystydes w swojej wytartej szacie też do nich podszedł. Ukłonił się jej i pozdrowił tak, jakby spotkali się na Agorze w dzień targowy. A jednak był blady i czuło się w nim napięcie.

Wokół Agarysty i jej męża zebrało się quorum rady. Było ich zaledwie kilka tuzinów, ale na wszystkich twarzach widać było powagę i skupienie. Najstarsi spośród nich reprezentowali cały autorytet ateńskiej władzy.

Podczas gdy deszcz kapał i bębnił w trawiasty dach, głos zabrał Temistokles, przemawiając ciszej niż zwykle:

– Kiedy Persowie wrócą do swego zimowego obozu, pošę wiadomość do Sparty. Ultimatum. Chciałbym też, abyś w tym samym czasie, Ksantypposie, wyprowadził flotę. Odnajduj i zatapiaj każdy perski statek, jaki mogą jeszcze mieć, gdziekolwiek się zaszyją. Wpływaj do ich portów, niech płacą za to również w domu. Może uda ci się wzniecić dość pożarów, żeby ich zmusić do powrotu.

Agarysta spojrzęła na męza i widząc, jak skinął głowę, ujrzęła w nim tylko pewność siebie. Serce zadrzęło jej z lęku. Oczywiście, że jej mąż będzie częścią tego planu. W końcu wyszła za niego dla jego siły. Zobaczyła Peryklesa i Aryfrona stojących u jego boku. W tym momencie zrozumiała, że zostali jej odebrani, że popłyną z ojcem. Przez chwilę poczuła się słabo. Temistokles znowu mówił, cichym i wyraźnym głosem:

– Co do reszty, doprowadzimy wszystko do końca. Działamy zgodnie z planem. Wyciągniemy Spartę z za muru, nawet gdybyśmy mieli zrobić sobie z niej wroga.

\* \* \*

Pauzaniasz stał na spartańskim akropolu, spocony i promieniejący zdrowiem. Razem z Tisamenosem przystanęli zdyszani w najwyższym punkcie wzgórza, otoczeni łańcuchem gór okalających nieskończonym pasmem kotlinę, wśród których najwyżej pięły się szczyty Tajgetu i Parnonu.

W ciszy wczesnego poranka czuli się tak, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie. Wbiegli razem na szczyt, ścigając się w tym dziwnym poczuciu lekkości ducha, jaki pojawia się przy wielkim wysiłku, pozwalającym uwolnić się od wszelkich ciemności. Stan ten nie trwał długo i ustąpił po kilku głębszych oddechach. Choć powietrze było mroźne, to jednak dni stawały się coraz dłuższe, bo najciemniejsze miesiące roku mieli już za sobą. Na wyniosłości ponad spartańskim miastem Tisamenos miał wrażenie, że czuje zapach kuchennych palenisk, a także wczesnej zieleni, krzewów garigu i szaławii, zapowiadających nadejście wiosny. Z takiej odległości góry wyglądały na zupełnie nagie i jałowe. Wiedział jednak, że roją się od zwierzyny – zajęcy, wilków, niedźwiedzi, dzików, a nawet lwów. Oczywiście jeszcze miały pojawić się mrozy i deszcze, które osadzą kurz i pył i pokryją mury budynków rozbryzgami błota. Wiosna jednak zbliżała się nieuchronnie. Ze wszystkich rzeczy na tej ziemi to jedno było zupełnie pewne. Ciemności odchodziły, słońce wstawało coraz wcześniej.

– Widziałem twojego bratanka rozmawiającego z eforami i królem Leotychidasem – powiedział Tisamenos. – Wyglądał bardzo dobrze. To wspaniały młody mężczyzna.

Pauzaniasz potwierdził skinieniem głowy, choć jego usta wykrzywiły się w sposób, jaki wieszcz dobrze znał, jakby w posmaku jakiejś goryczy.

Wiedział, że Pauzaniasz się martwi, że boi się decyzji, do której podjęcia został zmuszony. Wiedział też, że przyjaciel dysponuje potrzebną do niej odwagą. Jego stryj był wojennym królem Sparty do czasu, gdy wyruszył, aby powstrzymać Persów ze swoją osobistą strażą i kilkoma tysiącami ostatnich wojowników. Ten czyn wciąż odbijał się echem wśród wszystkich mieszkańców miasta. Jedyne ciężko ranny Spartanin, którego Leonidas odesłał na koniec wraz z pomocniczymi oddziałami, wykaraskał się z ran. Opowieść o ostatniej walce króla Leonidas w przesmyku termopilskim prędko stała się legendą, a jego śmierć manifestacją spartańskiej siły woli. Tisamenos na to wspomnienie pokręcił głową w niemym podziwieniu. Kiedy król perski zażądał od Spartan złożenia broni, Leonidas odpowiedział mu tylko dwoma słowami: *Molon labe* – „Chodź i weź”.

Tisamenos spojrział na Pauzaniusza, widząc ogrom zmartwienia w mrocznym spojrzeniu, gdy tak patrzył na odległe góry. Regent dźwigał tak ciężkie brzemię odpowiedzialności, które złamałoby słabszego człowieka. Jego ojciec zmarł zaledwie tydzień wcześniej. Odszedł nocą, we śnie, wydawszy ostatni okrzyk bólu, zakończył swoje dzieło. Mur w poprzek Przesmyku Korynckiego został już dawno ukończony, stając się jego testamentem. Ojciec Pauzaniusza był wcieleniem spartańskiego posłuszeństwa i spokojnej siły. Rzucał teraz długi cień na życie syna.

Pogrzeb Kleombrotosa był bardzo prosty. Złożono go w zwykłym grobie z wykutym w kamieniu imieniem. Pauzaniasz odziedziczył jego godność, jak oczekiwano. Choć Tisamenos niekiedy budził się późną nocą, wyrwany ze snu odgłosami łkania, to nigdy o tym nie wspominał. W ich przyjaźni była granica, której nie wolno było przekroczyć. Nawet tego dnia, gdy byli sami w porannej ciszy, nie ośmieliłby się zapytać, jak to jest być synem wielkiego człowieka i bratankiem wielkiego króla.

Uświadomił sobie, że Pauzaniasz nie odpowiedział wcześniej na jego słowa. Zaczął się zastanawiać nad ponownym zagajeniem, kiedy Spartanin nagle przerwał milczenie.

– Plejstarchos jest wspaniałym młodzieńcem – powiedział. Jego głos zabrzmiał cicho, niemal jak szept. – Czasem chciałbym, żeby urodził się rok

wcześniej. Wówczas nie potrzebowałby mnie. To *on* poprowadziłby nas wszystkich na wojnę.

Zamilkł, nie oczekując odpowiedzi, ale Tisamenos odpowiedział mimo wszystko. W końcu nie był Spartaninem. Wolał przemawiać do ciszy.

– Eforowie nie pozwolą synowi Leonidasa opuścić Sparty, dopóki nie zostanie obwołany mężczyzną i nie pocznie syna. Sam to powiedziałeś. Obawiam się, że decyzja należy wyłącznie do ciebie, przyjacielu. Czy to naprawdę aż tak ciężkie brzemię?

Pauzaniasz spojrział na niego, po czym odwrócił wzrok.

– Nie. Cieszę się z tego. Przeraza mnie tylko, jak nieoczekiwanie to na mnie spadło! Przed rokiem Sparta miała wojennego króla Leonidasa, większego od wszystkich, jakich mieliśmy. Mój ojciec był w dobrym zdrowiu, ja zaś miałem przed sobą życie w służbie wojskowej od wieku dwudziestu jeden do sześćdziesięciu lat, w wojskach lądowych albo jako dowódca okrętów. Morze mnie pociągało i nadal pociąga. Ale w ciągu jednego roku zginął lew, umarł mój ojciec, a w naszym kraju siedzi perska armia i z nas kpi. I kto ma podjąć decyzję? Wychodzi na to, że ja! Przepęlnia mnie cudowne uczucie, Tisamenosie... ale i obawa. To jest to, czego pragnąłem, gdy prosiłem cię, byś pozostał przy mnie. Masz zwyciężyć w pięciu wielkich zawodach, w pięciu bitwach! To właśnie ci przepowiedziano. Kiedy to usłyszałem, pomyślałem, że mogą to być i moje zwycięstwa. Modliłem się do Apollina, aby to sprawił, Tisamenosie. – Pauzaniasz potrząsnął głową, jakby coś go użądliło albo doznał skurczu jakiegoś mięśnia. – A teraz się zastanawiam, czy moja pycha nie doprowadzi nas wszystkich do zguby. Historia Sparty jest długa, Tisamenosie, żyliśmy w tej dolinie ponad trzysta lat i nigdy nie widzieliśmy tu wroga. Nie tutaj. Czy to ja będę tym, który zakończy tę historię? Co się stanie, gdy wyprowadzę armię...?

Nie powiedział głośno, że mogliby ponieść klęskę. Bogowie słuchają słów ludzi, wszyscy o tym wiedzieli. Nie było mądrze mówić o swoich najgorszych obawach, a nawet o wielkich marzeniach, które mogły przybrać mroczny kształt. Obaj wiedzieli tylko, że to działanie Apollina i Mojr sprowadziło na Pauzaniusza ten właśnie moment niezdecydowania. Tisamenos nie mógł podjąć za niego tej decyzji. Stali pośród gór, jakby trzymali w ręku rozpalone do czerwoności żelazo.

– Czy Sparta przetrwa, jeśli odmówię Ateńczykom? Czy naprawdę oddadzą swoje okręty Persom?

– Nie da się tego stwierdzić – mruknął Tisamenos.



Pauzaniasz wykonał gwałtowny gest, przecinając powietrze płaską dłonią jak mieczem.

– Przysięgali, że tego nie zrobią, ale Persowie wrócili i spalili Ateny po raz drugi! Wyobrażasz to sobie? Potrafię zrozumieć ich furję! Ale gdy Ateńczycy zostaną zmuszeni do podpisania pokoju, to wiosną ich okręty wysadzą Persów na naszym brzegu. Nie damy rady obronić się przed jednymi i drugimi, czyli... zostaniemy przymusowo wyprowadzeni na wojnę, jak było? Persów jest tak wielu, Tisamenosie! – Regent rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że wciąż są sami. – Co będzie, jeśli stąd wyjdziemy... a mimo to wszystko, co zrobię, okaże się niewystarczające?

Tisamenos otworzył szeroko oczy. Przyjaciel, być może po raz pierwszy, prosił go o radę. Odpowiedział bez wahania, a z każdym wypowiedzianym słowem jego głos nabierał mocy:

– Sparta nie ma murów, przyjacielu. Mówiłeś mi już o tym. Twój ojciec... wierzył, że to dobry powód, aby wybudować ten jeden mur w poprzek przesmyku. Może miał rację, ale wiosną... sam to powiedziałeś. Nie zdołasz przetrwać sojuszu Aten i Persji. Uważam, że...

– Muszę zaryzykować wszystko – zakończył za niego Pauzaniasz. – Muszę zabrać każdego spartańskiego wojownika, każdego periojka, i poprowadzić ich na wojnę. Aby uniknąć niebezpieczeństwa podczas naszej nieobecności, muszę też zabrać wszystkich helotów. Po raz pierwszy w historii poprowadzę na wojnę wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni, przeciwko tak wielkiej liczbie wojska, że nie wiem, jak moglibyśmy zwyciężyć. – Zniżył głos do szeptu. – Rozumiesz? Muszę zostawić tu eforów oraz kobiety i dzieci, wiedząc, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż nie wrócimy. Ale *i tak* muszę to zrobić. Przysięgam, Tisamenosie, to za wiele.

– Nie będziesz sam – powiedział wróżbita. – Będziesz miał hoplitów z Aten i Platejów, ze wszystkich pozostałych miast-państw. Będziesz miał mnie u swego boku... i dasz mi zwycięstwo, którego nie dałeś w pentatlonie! Delfy obiecały mi triumf! Pomyśl o tym, Spartaninie. To zwycięstwo mi się należy!

Pauzaniasz roześmiał się i poklepał Tisamenosa po ramieniu.

– Nie zawiodę cię – rzekł, poważniejąc. – Na bogów, obiecuję, nie zawiodę nikogo.

– Czyli jak? Postanowione? Zdecydowałeś? – rzucił Tisamenos.

Nastała chwila milczenia, po której Pauzaniasz uśmiechnął się znowu i skinął głową.

– Czuję, jakby zdjęto mi z barków wielki ciężar, wróżbito.

– Nigdy nie byłem wróżbitą, Pauzaniu, wiesz o tym. Tylko człowiekiem, któremu wyrocznia delficka obiecała pięć zwycięstw. Tylko tym.

– To wystarczy – powiedział Pauzaniusz.

Nie oddychał już ciężko i zaczął schodzić ze wzgórza, do leżącego niżej miasta. Po chwili obaj ruszyli biegiem, coraz szybciej, przeskakując z kamienia na kamień i ryzykując złamanie karku.

Arystydes stał na niskim murze, obserwując z dala zbliżającą się do Aten armię Sparty. Trudno było nie poczuć dreszczu lęku na widok tylu czerwonych płaszczy. Niewielu ludzi widziało tylu spartańskich wojowników w jednym miejscu. Wyglądało na to, że Pauzanasz dotrzymał słowa i złożonej przez ojca przysięgi. Przysięgi Leonidasa, która dotarła do nich ponad czasem, długo po jego śmierci.

Temistokles wdrapał się na mur tuż obok niego, lekko zdyszany, i osłonił dłonią oczy przed bladym południowym słońcem. Ranek był ciepły i suchy, a niebo błękitne jak wspomnienie z dzieciństwa. Dwa miesiące minęły od czasu, gdy Ateny spłonęły po raz drugi. Zgromadzenie wysłało wówczas do Sparty oficjalne ultimatum. Podczas wojny trzeba podejmować trudne decyzje. To, co było prawdą jednego dnia, mogło przestać nią być następnego. Obaj mężczyźni byli jednak zadowoleni, że nie musieli złożyć swego honoru na stosie ofiarnym Aten. W końcu nadeszła wiadomość od Pauzanasza jako regenta i tegorocznego wojennego króla Sparty. Została też zaakceptowana przez współrządzącego z nim króla Leotychidasa. Nikt się nie spodziewał, że ten drugi przyprowadzi wzdłuż wybrzeża małą flotyllę spartańskich okrętów i dołączy z nimi do floty sojuszników. Oczywiście Leotychidas zaczął natychmiast naciskać na Ksantypposa, żeby oddał mu dowództwo całej floty. Temistokles uśmiechał się, wspominając własne utarczki ze Spartanami o to samo. Ksantyppos wahał się tylko chwilę, nim wyraził zgodę, by załogi połączyły swoje siły.

Arystydes zdążył zauważyć, że spartańscy królowie musieli pozostawić kobiety i dzieci w domu. Żaden z ateńskich archontów nie przewidywał, że Spartanie zdołają wystawić tylu wojowników. Nieco nerwowo przełknął ślinę. Przypomniał sobie, że żaden Spartanin nie budował nigdy muru, nie wypalał garnków ani nie rąbał drewna na opał. Spartanie przez cały czas trenowali, ćwicząc swoje umiejętności i sprawność przez wszystkie jasne godziny dnia, od siódmego do sześćdziesiątego roku życia, kiedy to odkładali broń. W całej Grecji nie mieli sobie równych, co było dla Arystydesa oczywiste. Wojna była ich powołaniem i jedynym celem. Nie wiedział jednak, czy to wystarczy.

Mur, na którym stali razem z Temistoklesem, nie był jak dotąd wiele wyższy od okalających Ateny fundamentów dawnych umocnień, choć w jego wymurowanie po odejściu Persów zaangażowane były tysiące murarzy i pomocników. Płacono tym ludziom srebrem z Laurion. Wytapiano je z rudy, a po uzyskaniu czystego metalu cięto, formowano i wybijano monety opatrzone wizerunkami Heraklesa i Ateny. Murarze wydawali je na miejskich rynkach na zakup skromnych artykułów żywnościowych, jakie tylko udało się dostarczyć. Kamień po kamieniu budowali mury.

Łodzie rybackie wypływały każdego ranka, aby nakarmić ludzi, potem wyruszały jeszcze raz na nocny połów, wieszając na burtach lampy, aby przyciągnąć ciekawskie kalmary. Ateny miały już także sześć statków handlowych przebudowanych ze zniszczonych galer. W miejscu dawnych siedzisk dla wioślarzy zrobiono ładownie, gotowe do wypełnienia towarem. Ta mała flotyła handlowa zapuszczała się daleko na południe przez Morze Egejskie, aż na Krete, przywożąc stamtąd do ojczyzno miasta mięso, drewno, oliwę i wino. Dawało to ludziom pokroju Arystydesa nadzieję, że spracowani mieszkańcy odtworzą w końcu swoje majątki, jeśli nie będzie się im przeszkadzać. Ludność jakoś to wytrzymywała. Jeśli nad głowami przewalała się wielka burza, wynurzali się następnego dnia i ostrzyli narzędzia. Jeśli znajdowali zwłoki, chowali je w żałobie, ale potem pracowali dalej. Zawsze tak robili, z pewnym poczuciem dumy. Tego roku, nazwanego imieniem Ksantypposa jako archonta eponima, główną rzeczą, jaką mieli do zrobienia, było odparcie nieprzebranej rzeszy perskiego wojska w liczbie, jakiej dotąd nie widzieli.

– Nadchodzą – powiedział Temistokles.

Arystydes westchnął.

– Tak, widzę.

Towarzysz spojrział na niego sceptycznie.

– Odmawiasz mi najprostszyc przyjemności? Przepenia mnie radość. Dokonałiśmy tego, wyciągnęliśmy ich z za muru.

– Słyszę „my”, ale wydaje mi się, że myślisz „ja” – odparł Arystydes z grymasem, który trudno było wziąć za przejaw humoru. Wciąż obserwował nadchodzących Spartan, a był to widok napawający w jednakowym stopniu lękiem, trwogą i podziwem.

Temistokles prychnął.

– Nie neguję własnego wkładu w ocalenie miasta, Arystydesie. Jakże bym mógł? Nie neguję też twojego. Tylko po prostu... ja zrobiłem więcej. Jeśli po powrocie znajdziesz mój posąg, nie bądź zaskoczony. Może gdzieś na Akropolu.

W spiżu albo białym marmurze. Może ujrzysz tam też swój. U moich stóp. Patrzący na mnie z nabożnym podziwem.

Arystydes spojrział na niego. Nigdy nie byli przyjaciółmi. W gruncie rzeczy nienawidzili się serdecznie od tylu lat, że już nawet nie pamiętał dokładnie od kiedy. Ale zaczął uświadamiać sobie powoli, że jednak bardziej go lubił, niż nie lubił. Temistokles nigdy nie przegapił okazji, żeby wbić mu szpilę, ale zawsze stali po tej samej stronie i kochali te same rzeczy. Może tylko to się naprawdę liczyło.

– Jesteś pewien, że nie chcesz poprowadzić naszych hoplitów? – spytał Arystydes. – Mógłbym pod twoją nieobecność załatwić parę spraw w mieście. Jeśli zechcesz oczywiście.

Temistokles pokręcił głową.

– Ludzie pragną kogoś kochać, Arystydesie. Kogoś, kto byłby dla nich natchnieniem, rozumiesz chyba. Patrzą na mnie jak na ojca. Co więcej, znam wszystkich pracujących w kopalni i wszystkich wybijających monety. Teraz nie ma już czasu, by cię im przedstawiać.

Arystydes patrzył na mężczyznę, którego obserwował od ponad trzydziestu lat, jak wyrastał z młodego ateńskiego lwa na kogoś, komu grzywa posiwała srebrnymi pasemkami. Nie, jednak go nie cierpi.

Podobnie jak ta kpiąca maniera, która zdawała się specjalnie obliczona na doprowadzanie ludzi do szału, w Temistoklesie irytujące było coś jeszcze, a mianowicie to, że zachował tyle włosów. Wciąż wyglądał na mocnego i żywotnego, podczas gdy Arystydes wyłysiał i starannie golił nędzne resztki, które mu jeszcze zostały. Nie przywiązywał do tego wielkiej wagi, lecz tak po prawdzie to czuł się tym nieco zawstydzony. Żaden człowiek nie jest całkowicie wolny od próżności, jak się wydaje, nawet on. Arystydes czuł brzemień lat, zwłaszcza gdy budził się rano i pierwsze kroki przyprawiały go o ból całego ciała. Perspektywa wymaszerowania na wojnę u boku młodych Spartan była okrutna. Wsunął szczękę na znak zdecydowania i poczuł napięcie pod skórą szyi ścięgni. Zrobi to, co będzie konieczne, i nieważne, ile będzie go to kosztowało. Podejrzewał, że Temistokles musi czuć coś podobnego, ale wkłada co najmniej drugie tyle energii w to, by stwarzać pozory łatwości. Choć kto wie, może niektóre rzeczy istotnie były dla niego łatwiejsze. Arystydes postrzegał życie jako trudne zmagania, dzięki czemu miało prawdziwą wartość. Temistokles widział je... Pokręcił głową. Jedyne Atena wiedziała, jak naprawdę postrzega ją Temistokles.

Obaj patrzyli z ciekawością, jak osiem tysięcy ateńskich hoplitów wymaszerowało z miasta i zatrzymało się na równinie po jego zachodniej stronie. Połyskiwali złociście w słońcu, które odbijało się od ich szerokich tarcz, hełmów, włóczni i nagolenic. Wielu było w kwiecie młodości i siły. Inni pamiętali bitwę pod Maratonem sprzed jedenastu lat.

Arystydes patrzył na nich z dumą. Zgromadzenie mianowało go ich polemarchem. Na każdym innym polu, w każdym innym roku osiem tysięcy hoplitów byłoby straszliwym przeciwnikiem, postrachem każdego, kto by ich zobaczył. Tego dnia jednak przysłaniali oni oczy, żeby ujrzeć maszerujących Spartan w czerwonych, powiewających na wietrze płaszczach, którzy z każdym krokiem byli coraz bliżej. Spartanie nie nieśli swoich tarcz, nawet gdy szli na spotkanie z sojusznikiem. Ich tarcze lśniły na skrzydłach maszerujących szeregów, niesione przez helotów. Arystydesowi aż trudno było uwierzyć, jak wielka była ich liczba.

– Prawdę mówiąc, nie zazdrozczę ci, Temistoklesie – powiedział. Zarządzaj swoimi kopalniami i bij monety. Ja pomaszeruję z nimi.

– Myślę, że jednak trochę mi zazdrościsz – odparł Temistokles. – Ale któż by cię za to winił?

Arystydes puścił te słowa mimo uszu. Spartańska armia zdawała się rosnąć z każdym krokiem, idąc szerokim szykiem. Człowiekowi obeznanemu z polami bitew trudno było nie doznać szybszego bicia serca. Łatwo było powiedzieć, że przybyli tu jako sprzymierzeńcy, ale stać w tym miejscu i patrzeć, jak rośnie obłok pyłu i przystrojone w czerwień kolumny idą prosto na niego, wystarczało, by ścierpła skóra na karku. Przyspieszył mu oddech, jak u starego psa, który usłyszał granie myśliwskiego rogu.

– Trudno mi wyobrazić sobie siłę, która zdołałaby ich pokonać – powiedział. – Ale jeśli nie wrócę...

– Wrócisz – odparł Temistokles. – Któż inny by cię zechciał.

Pierwszy raz Arystydes zrozumiał, że Temistokles jest tak samo zdenerwowany jak on i tak samo martwi się o przyszłość. Jego zgryźliwy humor dobrze to maskował. Poczul się pewniej, gdy pojął, że nie jest sam.

– Miałem na myśli... Wciąż mam trochę ziemi i majątek, a nie mam spadkobierców. Chciałbym, żeby wystawiono to na aukcji, a pieniądze przeznaczone na wsparcie dla dramatopisarzy. Oczywiście, jeśli miasto przetrwa.

– Nie wiedziałem, że gustujesz w takich rzeczach – zdziwił się Temistokles.

Arystydes wzruszył ramionami.

– Gdy karmię biednych, to znów wracają do mnie głodni. Natomiast dobra sztuka jest rzeczą, która trwa przez stulecia. Ajschylos jest jednym z tych, którym chciałbym pomóc. On rozumie tragedię... i był z nami pod Maratonem. Tam zginął jego brat. Trierarchia, Temistoklesie. To też jest szlachetna sprawa. Okręty i sztuki dla miasta. To nasz obowiązek.

– Jeśli miasto przetrwa – dodał Temistokles.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Tak – odparł Arystydes. – Jeśli przetrwa. Niczego, jak dotąd, nie powstrzymaliśmy, Temistoklesie. Niczego. Ta wiosna zdecyduje o naszym losie. Myślałem, że przełomem był Maraton, a może Salamina, ale nie. Będzie nim ta wiosna.

– Życzę ci zatem szczęścia, bracie – powiedział Temistokles.

Arystydes spojrział na niego z uwagą, skinął głową, po czym przyjął wyciągniętą ku niemu dłoń krótkim, prostym uściskiem. Podniósł włócznie i hełm, narzędzia wojny, które leżały u jego stóp. Niewolnik miał ponieść jego tarczę i miecz. Zszedł z muru, rzucając za siebie zdawkowe spojrzenie, i ruszył stanąć z hoplitami.

\* \* \*

Ksantyppos starannie skrywał dumę, gdy jego synowie weszli na pokład. Eleni miała zostać z matką, doglądając odbudowy domu pod Atenami. Pozostawienie tego ongiś wielkiego domostwa w ruinie i popiele i czekanie na kolejny sezon w nadziei na zwycięstwo wydawało się czymś niewłaściwym. Co więcej, domowi niewolnicy potrzebowali zajęcia, bo inaczej popadliby w gnuśność i niezadowolenie prowadzące do drobnych wykroczeń. Wyzwolony Manias musiał zarobić na swoją zapłatę z chwilą, gdy przyjął na siebie rolę nadzorca budowy. Ksantyppos wiedział, że wróci albo do odbudowanego majątku, albo do zupełnego pustkowia. *Jeśli* wróci, oczywiście, poprawił się prędko. Bogowie karzą pychę.

Flota czekająca w salamińskiej cieśninie była wystarczającym dowodem ich planów. Tylko kilka statków rybackich i kilka handlowych miało zostać na miejscu, aby żywić tych, którzy pozostali w mieście. Wszystkie wojenne ateńskie okręty przypłynęły, by stanąć na kotwicy koło miasta. Nie było ich tyle co w bitwie pod Salaminą, ale teraz były wszystkim, czym dysponowali. Nie zostawili żadnego w odwodzie, bo w tym roku mieli tylko jednego wroga. Musieli stawić opór. Zostało to uzgodnione między Atenami i Spartą oraz całą resztą sojuszników. Chociaż Teby i Macedonia oraz kilkadziesiąt pomniejszych

miast związało swój los z Persami, to ci, którzy tego nie zrobili, zgodnie się stawili, by wyruszyć do walki. Wszyscy rzucili swój los na jedną szalę.

Ksantyppos zmarszczył brwi, patrząc na zatłoczony port. Przewalały się tam gęste tłumy kobiet i dzieci, które przyszły pożegnać odpływających mężczyzn. Mógł dostrzec lęk na ich twarzach, gdy tak stali w ścisłości. On jednak nie czuł tego, co oni. Czuł uniesienie. Wszystko było tak, jak powinno być. Jak powiedział Temistokles, nikt nie zachowuje rezerw w walce z niedźwiedziem. To było ich być albo nie być, walka o przyszłość w roli wolnych ludzi albo niewolników.

Triera kołysała się lekko, przycumowana do pomostu. Ksantyppos powitał obu synów oficjalnie, uściskawszy im dłonie, po czym obrócił ich, łapiąc za ramiona, by przedstawić załodze. Jego trierarchą był Erejus, weteran spod Salaminy, któremu ufał bez zastrzeżeń. Keleustes też opuścił na moment swoje stanowisko i stanął na baczność, by powitać Peryklesa i Aryfrona. Gdy chłopcy niezgrabnie uścisknęli jego wielką dłoń, Perykles posłał mu uśmiech czystej radości.

Mieli już okazję poznać przyjaciela ojca, Epikleosa, który dowodził drużyną hoplitów na pokładzie. Epikleos był obecny zarówno pod Maratonem, jak i pod Salaminą, był też tym, który przygalopował do ich domu z ostrzeżeniem o inwazji. Wiedzieli, że ojciec darzy go wielkim zaufaniem. Ksantyppos patrzył, jak żartuje i śmieje się z młodzieńcami. Na twarzy Epikleosa pojawiły się zmarszczki, których przed perskim najazdem nie było.

Ksantyppos potarł w zamyśleniu policzki. Był szczupły, a jego skóra ogorzała od długiego przebywania na pokładzie. Być strategiem na morzu oznaczało nieustanny młyn pracy i rozkazów, ale on z czasem odkrył, że kocha to zajęcie. Cieszyły go rutyna i morskie rytuały, a nawet racjonowane porcje skromnego pożywienia i wody. Odpowiadały mu tego rodzaju rzeczy. Życie na morzu było twarde, ale rozumiał je i z każdym kolejnym dniem flota stawała się w jego ręku coraz ostrzejszym narzędziem, jak ostrze włóczni.

Obecność synów na pokładzie była niejako dopełnieniem jego autorytetu. Czując to, ukazywał ludziom srogą, niemal gniewną twarz. Żaden inny wioślarz czy hoplita nie brał ze sobą synów. Nie wypadało więc okazywać radości z tego powodu.

Stał samotnie na dziobie, gdy Peryklesa i Aryfrona przedstawiano wolnym ateńskim wioślarzom. Dziewięćdziesięciu tych po jednej stronie okrętu było bez wyjątku żonatych i pracowało z poświęceniem dla miasta i swoich rodzin, które kochali. Ksantyppos poprzedniego wieczoru uprzedził Peryklesa, żeby traktował



ich z szacunkiem, choć pod tym względem nie musiał się niczego obawiać. Synowie cenili siłę i wytrwałość, tak jak ich nauczył.

– Ciekaw jestem, Ksan, czy pęknie z dumy – mruknął stojący przy nim Epikleos.

Ksantyppos rozluźnił się i odetchnął. Nie miał pojęcia, jak przed chwilą wyglądał. Epikleos zachichotał.

– Och, nie martw się. Ludzie cię za to kochają. Chyba że wolisz, aby widzieli w tobie tylko zimnego dowódcę floty? Coś mi się zdaje, że tak!

Ksantyppos skrzywił się na te słowa.

– Już nie. Nauarchą jest Spartanin Leotychidas.

– Oczywiście... – odparł z uśmiechem Epikleos. – Ale tylko do pierwszej różnicy zdań między wami. To ateńska flota, Ksan. Wiele razy to powtarzałeś.

Ksantyppos nie odpowiedział, tylko pokręcił głową. Nie obawiał się, że na okręcie znajdzie się jakiś szpieg. Ta załoga walczyła u jego boku pod Salaminą i nigdy nie wydałaby sekretów dowódcy. Ale mogliby powtórzyć jakąś jego wypowiedź, żeby się pochwalić. Coś takiego mogłoby lotem błyskawicy, w ciągu dwóch lub trzech dni, obiec całą flotę i dotrzeć w końcu do uszu Spartan.

Perykles i Aryfron wyszli w końcu z ładowni, przeciskając się z trudem przez luk, podczas gdy keleustes wyskoczył zeń zgrabnie jak małpa. Nauczą się jeszcze tysiąca nowych rzeczy, pomyślał Ksantyppos. Aryfron zachowywał się nieco sztywno, ale Perykles rozglądał się wokół z tak rozanielonym wyrazem twarzy, że Ksantyppos miał nagle ochotę sprawdzić, czy należycie zabezpieczono beczki z winem pod pokładem. W wieku prawie siedemnastu lat chłopaka można było zostawić z matką i siostrą, choć nieustannie próbował naśladować ojca. Początkowo Ksantyppos odmówił jego prośbie, by mógł towarzyszyć Aryfronowi, ale potem zauważył, z jaką godnością i powściągliwością Perykles przyjął jego decyzję, ukrywając głęboko swój żal i rozczarowanie. Ksantyppos wytrzymał dwa dni, aż wreszcie, mimo irytacji Aryfrona, pozwolił Agaryście się przekonać. W rezultacie miał dzielić swoją radość na morzu z oboma synami. Czuł się niemal upojony morskim powietrzem i kołysaniem fal.

Znał niebezpieczeństwa, ale zdążył wyćwiczyć flotę w taktyce i komunikacji za pomocą wojennych sygnałów. Nauczyli się skutecznie taranować, zatapiać i podpalać. Teraz mieli być rekinami polującymi na perskie okręty. Dobrze było poczuć się myśliwym; nie mógł się już doczekać pierwszych zwycięstw i wyczuwał to samo u pozostałych dowódców, kiedy się spotykali. Od kapitanów

z Koryntu i Megary po spartańskiego króla wszyscy w tym roku byli Grekami. Ksantyppos czuł rodzące się braterstwo, które miało szansę przetrwać wojnę. Pragnęli odpłacić Persom, którzy ich mordowali, palili i gwałcili. Ksantyppos słyszał, że ucierpiały również Plateje. To małe męzne miasto zostało splądrowane i spalone podczas przemarszu Persów. Jego ludność uciekła na wzgórze. Niektórzy przyłączyli się do Arystydesa pod Atenami, tak jak to było pod Maratonem. To było stare przymierze, opierało się na wspólnocie języka i wiary w bogów. W tym roku wszyscy byli jednym ludem.

Ksantyppos przypomniał sobie rodzinne gospodarstwo, które mijali w drodze do Sparty. Kimon, Relas i Onesimos byli z nim teraz w jednej flocie i zapewne też wspominali groby, które wspólnie wykopali, i suchą, piaszczystą ziemię sypaną na blade twarze zabitych. Słusznie było zapolować na tych, którzy dokonali takich zbrodni. W Ksantypposie nie było litości. Oglądał się na stojące obok okręty i czuł lekkość w sercu.

Morze było rozległe, ale wiedział, że perska flota pozostawiła ślady wszędzie, gdzie zawitała w poszukiwaniu żywności i towarów. Oczywiście niektóre okręty odpłynęły do domu wraz z królem. Inne z pewnością rozproszył wiatr. Jednak od miesięcy docierały raporty, że je widywano, krążyły plotki przekazywane ze statków rybackich i handlowych. Ksantyppos wiedział, że Persowie wciąż tam są. Miał nadzieję, że perscy kapitanowie obserwują morze i się boją. W końcu przybyli tu dla mordy. Wiele jeszcze trzeba było zrobić, wiele krwi rozlać, aby sprawę doprowadzić do końca i by mógł zapanować pokój. Gdziekolwiek Persowie staną na kotwicy, aby odpocząć i przeprowadzić konieczne naprawy, Ksantyppos podąży za nimi i każdego dnia będzie bliżej. W końcu żeglować będą po greckim morzu, nie po perskim.

Cumy zostały odwiązane od żelaznych słupków osadzonych w nabrzeżu. Wiosła zagrzechotały w dulkach, odpychając dziób, aż okręt się zakołysał. Ludzie na dole mościli się, szukając najwygodniejszej pozycji, sprawdzając stan owijek z tkaniny, a niekiedy szlifując kamieniami nowe, odstające drzazgi, które mogłyby pokaleczyć im boki. Zadr nie było wielu. Okręt w ciągu tygodni przygotowań został oszlifowany piaskiem i nasączony oliwą od dziobu do rufy. Mała ładownia z tyłu została wypełniona baryłkami z wodą, fasolą, suszonym mięsem, solą i workami z ziarnem, a nawet świeżymi owocami, które trzeba było zjeść prędko, zanim zgniją.

Ksantyppos patrzył, jak wielkie oko dziobu kieruje się na otwarte morze. Wioślarze pod jego stopami pochylili się i odchylili, wykonując jedno powolne

pociągnięcie, po czym unieśli wiosła nad wodę i trzymali je prosto. Sternicy poprowadzili okręt łagodnym skrętem, odwracając go rufą do portu.

Na pokładzie ustawiło się szeregiem dwudziestu hoplitów w pełnym uzbrojeniu. Przynieśli ze sobą piecyk i czekali w milczeniu, aż płomień ogarnie cedrowe wióry. Błady dym wzniósł się w niebo. Ksantyppos stanął z powagą i w nabożnym skupieniu razem z synami i Epikleosem.

Na nabrzeżu precyzyjnie się przez ciżbę kapłani, prowadząc ze sobą ofiarę mającą zapewnić przychyłność losu i powodzenie wyprawy. Ksantyppos patrzył, jak kilkunastu spoconych pomocników przyciągnęło za pomocą lin czarnego byka. Zwierzę szarpało się z ogromną siłą, za każdym razem ściągając ku sobie dwóch lub trzech z nich. Tłum cofał się z lękiem, bojąc się, że zwierzę wpadnie w szal i ich strati.

Kapłani mieli spore doświadczenie i zbliżyli się bez widocznej obawy, choć byk miotał wielką głową i chrapał groźnie. Jedni polali mu łeb wodą z wielkiego dzbana, inni rozrzucili wokół garście jęczmienia. Byk szarpnął się w tył na grzechotliwy odgłos ziarna, wybałuszając oczy.

W tym momencie główny kapłan podciął mu gardło jednym ruchem tak ostrego noża, że zdawało się, iż byk nic nie poczuł. Krew chlusnęła na pomosty, a zwierzę stało spokojnie, skłaniając się powoli, najwyraźniej zdezorientowane rozlegającym się wokół śpiewem i recytacją. Głos tłumu narastał wielką falą. Śpiewali do Ateny, której miasto ukochali. Wersy pieśni ciągnęły się tak długo, że kapłan w końcu podniósł ręce, dając znak, by wszyscy umilkli. Poświęcił ofiarę bogini, potem Posejdonowi, aby morze było łagodne, i Aresowi, bogu wojny, oraz Apollinowi, by posłał im swoje błogosławione światło. Wymienił długą listę herosów, prosząc o ich błogosławieństwo, z Odyseuszem, Tezeuszem i Heraklesem na czele jako tymi, którzy żeglowali po tym samym morzu, szukając przygód albo zemsty, albo po prostu drogi do domu.

Byk potknął się nagle i opadł na kolana, wciąż żywy. Zebrano trochę jego krwi i wiano ją do piecyka z węglem drzewnym, w którym zaczęła przyskać i syczeć, po czym w kłębach dymu uleciała do bogów. Na pokładzie okrętu flagowego dwadzieścia kroków od brzegu Ksantyppos posłał bogom własne życzenia i modlitwy. Pomodlił się głośno za zwycięstwo Arystydesa, a także za Temistoklesa, aby okazał mądrość i umiar w zarządzaniu miastem. Modlił się też o to, by zawsze mieć siły o godzinę dłużej niż wrogowie. Jego synowie pochylili głowy i zrobili to samo.

Kiedy kapłani na nabrzeżu podnieśli ramiona, aby dać znak, że ofiara dobiegła końca, Ksantyppos podszedł do burty i przyklęknął na jedno kolano.

W odpowiedzi na to ludzie pochyłili głowy i od tej chwili był już wolny. Wolny, by wyruszyć na polowanie.

Gdy zapalono lampy wokół obozu, Arystydes napił się zimnej wody, aby po długim marszu przepłukać gardło z suchego pyłu drogi. Pierwszy dzień był chwilami dość chaotyczny. Zgłosił swoich ludzi do patrolowania i trzymania nocnej warty, chcąc mieć pewność, że zostanie to zrobione jak należy. Miał także zwiadowców, współzawodniczących z chłopcami spartańskimi oraz ludźmi z leżącej na północy Potidai, trudno więc byłoby zaskoczyć sojusznicze armie. Było z tym na początku sporo zamieszania, gdy podwójnym zwiadowcom przedstawiano czekające ich zadania. Dawało to jednak ludziom zajęcie, on zaś nikomu nie ufał bardziej niż swoim.

Gdy rozbili obóz pierwszej nocy, napływające wciąż nowe siły składały się praktycznie z samych obcych, pomimo wspólnego wroga. Poszczególne frakcje siadały osobno albo w grupach składających się z tych, którzy dobrze się znali. Arystydes zauważył, że wojownicy z Koryntu rozkładali się blisko tych ze Sparty albo Sykionu, czując się lepiej w towarzystwie pochodzących z Peloponezu. Na podobnej zasadzie Plateje i Megara siadały bliżej hoplitów z Aten. Brakowało wśród nich Tebańczyków. Ludzie z Trojzeny i wyspy Eginy spluwali, słysząc o Tebach. Tego roku poprzysiężono nienawiść wszystkim, którzy przyjęli perskie złoto w zamian za honor, aby służyć perskiemu królowi. Nie miało to wielkiego znaczenia wtedy, gdy Persja była jeszcze dalekim imperium, ale inwazja zmieniła wszystko i nie mogli już tego tolerować.

Po całym dniu marszu na północ nie było to w sumie takie złe, pomyślał Arystydes. Był też zadowolony, że Pauzaniusz zaprosił starszych dowódców i strategów, aby przyszli zjeść i wypić do jego namiotu. Nie było wątpliwości, kto tu przewodzi, choć Pauzaniusz nie odebrał przysięgi od żadnego z nich z osobna. To nie flota, w której Ateńczycy dbali o równowagę władzy, a kiedy było trzeba, każdy kapitan działał na własną rękę. Sparta przyprowadziła dziesięć tysięcy swoich najlepszych wojowników i ponad trzydzieści tysięcy helotów. Byli największą obecną tu siłą i dobrze o tym wiedzieli.

Arystydes westchnął i przetaił oczy, czując ogarniające go zmęczenie. Maszerował przez cały dzień u boku młodszych mężczyzn. Nie było to bardzo

trudne, ale wiedział, że następny dzień będzie gorszy, kiedy obudzi się z bólem. Nie mówiąc już o przyszłej walce. Rozejrzał się wokół i dostrzegł prowadzone w napięciu rozmowy i zwrócone ku sobie ramiona. Musieli się poznać nawzajem, zaufać tym, którzy mieli walczyć po ich stronie. W tak różnorodnej grupie już samo to było wielkim wyzwaniem. Ku swemu zdziwieniu pożałował nagle, że nie ma z nim Temistoklesa. Jego niepohamowany optymizm byłby bardzo cenny, pomimo wszystkich innych irytujących cech.

Arystydes ujrzał, jak Pauzaniasz wybuchnął śmiechem po czymś, co powiedział jeden z Koryntczyków. Wszyscy oni zabrali własne zaopatrzenie i stół aż uginał się od dziwnych dań, których Arystydes nie znał. Zauważył, że Spartanie ledwo je skubali, lecz dla innych, pragnących najeść się do syta, było to znacznie trudniejsze.

Był zafascynowany spartańskim wojskiem. Nie zdradzali reszcie świata informacji na temat swoich ćwiczeń i rytuałów, co było częścią ich polityki. Ci, którzy słyszeli padające na polu bitwy spartańskie rozkazy, zwykle umierali, zanim zdążyli podzielić się z kimkolwiek swoją wiedzą. Jeśli jednak ktoś tak jak Arystydes maszerował z nimi ramię w ramię choćby przez jeden dzień, mógł wyłować parę rzeczy. Arystydes dowiedział się dotąd przynajmniej tyle, ile wiedział każdy Ateńczyk. Zyskał pewność, że Spartanie tworzą jednostki złożone z trzydziestu sześciu wojowników podzielonych na osiemnaście par, dowodzone przez jednego dowódcę. Poznał słowo „enomotarcha”, nie był jednak pewien, czy dotyczy ono tej właśnie funkcji. Fascynowały go te małe grupy. Zaczął przyglądać się pasującym do siebie guzom na ich tarczach i liczyć łątki na czerwonych płaszczach. Gdy już nauczył się je odszukiwać, stwierdził nagle, że widzi je wszędzie. Te ściśle grupy zdawały się funkcjonować prawie niezależnie, również jedząc i naprawiając swoją broń. Czuł się uprzywilejowany, mogąc ich obserwować. W końcu Spartanie byli mistrzami wojny. Czułby zresztą to samo w obecności wielkiego dramaturga lub malarza zdobiącego wazy.

Ocenił również siły helotów znacznie przewyższające liczbę ich spartańskich panów. Arystydes przypomniał sobie radę, jakiej udzielił Tisamenosowi, aby zabrali ze swoją armią wszystkich helotów, zamiast zostawiać ich w Sparcie! Niektórzy nieśli tarcze swoich panów, inni tylko narzędzia, żywność, płaszcze i wszystko, co niezbędne. Sadržili zgrabnie za swymi panami, sprawni jak jelenie. Arystydes miał nadzieję, że są również odważni, że nie załamają się i nie umkną, gdy padnie rozkaz ataku. Helotom nie pozwoli się stać z boku i przyglądać się bitwie, tego był całkiem pewien.

Wszystko to było daleką reminiscencją ateńskiej falangi, jej potwornego parcia i nacisku z tyłu, który pchał ich wszystkich i zmuszał do posuwania się naprzód, naprzód, naprzód. Arystydes zdrzął na wspomnienie Maratonu i poczuł, jak jeżą mu się włoski na przedramionach i karku. Choć tłumaczył sobie, że mógł to spowodować nocny chłód.

Każda z helleńskich grup miała inną strukturę i inne nazwy dla dowódców. Ale wszyscy nosili tarcze i włócznie. Nawet tutaj ateńska włócznia, *doru*, była najdłuższa. Arystydes wiedział doskonale, jak Temistokles by to skomentował. Czasem, ku własnemu zdumieniu, brakowało mu tego starego, wulgarneho zbója.

Siedzący niedaleko Puzaniasz kazał napełnić puchary do wzniesienia toastu, Arystydes pomyślał, że jego pierwsze wrażenie było poprawne. Spartanin nadal miał stale uniesioną brew, co sprawiało wrażenie głębokiego rozczarowania światem. Owszem, Arystydes widział też u niego chwile głębokiej troski. Puzaniasz nigdy nie spodziewał się, że zostanie regentem, zwłaszcza po kimś takim jak Leonidas. Niewątpliwie śmierć wojennego króla pozostawiła wielką pustkę w ich szeregach. Czasami Arystydes zastanawiał się, jak Puzaniasz zamierza tę lukę wypełnić.

Patrzył, jak mężczyzna podnosi się zza ustawionego bezpośrednio na ziemi stołu z surowego drewna, zwracając się twarzą do reszty strategów i dowódców, a obok niego staje Tisamenos. Puzaniasz zawsze miał swego „wróżbitę” przy sobie, jak talizman. Dla Arystydesa nie miało to większego znaczenia. Skoro kapłanka Apollina w Delfach przyobiegała mężczyźnie pięć zwycięstw, niechby przyniósł im chociaż to jedno. Minęły lata, odkąd brał udział w olimpijskim pentatlonie. Z pewnością należało mu się choć tyle.

– Szlachetni panowie, wodzowie, Spartanie, Helleni – wyrecytował Puzaniasz, zwracając się do wszystkich. Był lekko zarumieniony, zauważył Arystydes, być może od wina. – Jutro przekroczymy góry na północy. Nie wiem, czy Mardoniusz przeniósł swój obóz, czy będzie tam na nas czekał. Jestem pewien, że wybrał takie miejsce, w którym będzie mógł wykorzystać zalety swojej jazdy. Poza wierzchowcami części z was oraz końmi zwiadowców nie mamy przygotowanej dobrej odpowiedzi na to wyzwanie. Mam zamiar unikać dużych, otwartych przestrzeni, gdzie jazda będzie mogła nękać nas włóczniami i strzałami z łuków oraz proc.

Arystydes spodziewał się zwykłego toastu za powodzenie. W namiocie zapadła cisza, gdy uświadomili sobie, że słyszą właśnie rozkazy przed bitwą.

Pauzaniasz wydawał się spokojny i pewny siebie, gdy przemawiał, ale nastrój zrobił się zdecydowanie chłodniejszy.

– Wysłałem zwiadowców, którzy obserwowali perski obóz przez całą zimę – ciągnął Pauzaniasz. – Mamy dość dokładne wyobrażenie o ich liczbie. Jest ich dwieście tysięcy, może odrobinę więcej. Tak, moi panowie, to wielka masa wojska. Postanowiliśmy jednak ruszyć przeciwko nim mimo wszystko.

Spartanin rozejrzał się wokół, czekając, aż ustaną nagłe szepty. Arystydes skrył uśmiech. Myślał wcześniej o Pauzaniaszu jako aroganckim młodym mężczyźnie, do tego dość płytkim. Okazało się jednak, że potrafi skupić na sobie uwagę zgromadzonych. Jeśli regent znał równie dobrze teren przyszłego pola bitwy, to może ich sytuacja nie była tak rozpaczliwa, jak się wydawało.

Spojrzenie Pauzaniaza spoczęło przez dłuższą chwilę na Arystydesie. Zmarszczył brwi.

– Potrzebuję najbardziej zdyscyplinowanych falang na obu skrzydłach. Sparta zajmie prawe skrzydło wraz z Tegejczykami i kontyngentem tespijskim. –

Podniósł puchar w geście uznania dla wymienionych, a oni odpowiedzieli tym samym. Spartanin skinął głową i potoczył spojrzeniem po reszcie zebranych w namiocie. – Koryntczycy i siły z Arkadii będą stanowić nasz środek – kontynuował. – W tych formacjach będzie około trzydziestu tysięcy ludzi, jeśli uwzględnimy Chalkedończyków, Leukadyjczyków, Eretrejczyków...

Wymienił wszystkie grupy z łatwością, która przyjemnie zaskoczyła Arystydesa. Widział, że Tisamenos podszeptuje nazwy, niewątpliwie uzupełniając te, o których Pauzaniasz mógłby zapomnieć, ale tak czy inaczej był to imponujący popis wiedzy. Zapamiętanie nazwiska człowieka mogło zapewnić jego lojalność, o czym Arystydes dobrze wiedział. Domyślał się, że to samo dotyczy nazw miast-państw. Widział, jak mężczyźni uśmiechają się, słysząc, jak Spartanin wymienia głośno ich domy. Przybyli, aby ocalić siebie, ale również pozostałych. Ku swemu zdziwieniu Arystydes poczuł przypływ emocji, który ścisnął mu gardło i sprawił, że zaczęły go szczypać oczy. Najwyraźniej wino okazało się mocniejsze, niż przypuszczał.

– Po lewej – ciągnął Pauzaniasz – zajmą skrzydło Ateny wraz z Megarą i Platejami. Wiem, że nie zostaną zepchnięci, jestem tego pewien. Jutro, moi towarzysze, zobaczymy z góry ruiny Platejów, gdy będziemy przechodzić przez przełęcz masywu Kitajron. Cena obecności Persów w naszym kraju stanie się dla wszystkich oczywista, jeśli dotąd nie była. Staniemy w sile siedemdziesięciu tysięcy przeciwko trzykrotnie liczniejszemu wrogowi. Staniemy naprzeciwko wojowników z Macedonii i Teb, a także naprzeciwko Medów i Indusów obok,



rzecz jasna, samych Persów. Ja jednak się ich nie boję. Mają jazdę, której nam brakuje, i teren, który im odpowiada, ale to nie jest ich kraj, tylko nasz. Szlachetni panowie, tego wieczoru nie chciałbym przebywać nigdzie indziej. Nie wybrałbym też nikogo innego na wasze miejsce, żeby stanął przy moim boku. Unicestwimy wroga. Sami bogowie obiecali pięć zwycięstw memu wróźbicie Tisamenosowi. Ta bitwa, w pobliżu ruin Platejów, będzie pierwszym z nich.

Ponownie podniósł kielich i wszyscy stanęli sztywno, początkowo w skupionym milczeniu. Arystydes nie mógł się powstrzymać, by nie potoczyć spojrzeniem w poszukiwaniu jakichkolwiek przejawów lęku czy słabości. Ujrzał tylko determinację. Pauzaniasz też się im przyglądał. Archont napotkał jego spojrzenie i kiwnął głową. Regent odpowiedział mu skinieniem.

Wszystko było proste. Sami tak wybrali. Niektórzy z obecnych z pewnością polegą, może nawet wszyscy. A jednak przybyli, by stawić czoło przeważającej sile. Arystydesa zaszczypały oczy. Siła emocji go zaskoczyła.

– Można wznieść tylko jeden dobry toast przed wyruszeniem na wojnę, moi panowie – powiedział Pauzaniasz. – Za powrót do domu.

– Za powrót do domu – odpowiedzieli wszyscy zgodnym chórem.

\* \* \*

Ksantyppos patrzył, jak Perykles zjeżdża po linie przywiązanej do rei na maszcie. Chłopak nie był jeszcze tak sprawny jak niektórzy bardziej doświadczeni członkowie załogi, ale uczył się prędko. Aryfron wydawał się szczęśliwszy na pokładzie, ale gdy Perykles mu dokuczył, pokazał młodszemu bratu, ile znaczy o kilka miesięcy dłuższa praktyka we władaniu mieczem. Ich sparing przyciągnął tłumek dopingujących hoplitów. Perykles dość dobrze znosił kolejne ciosy, kiedy jednak Aryfron uderzył go płazem po knykciach, chłopak upuścił miecz. Aryfron uznał go za łup wojenny i nie chciał oddać. Ksantyppos usłyszał szczegóły od Epikleosa, ale ponieważ żaden z synów nie domagał się, by ich rozsądził, nie interweniował.

Flota dowodzona przez króla Leotychidasa była dostatecznie doświadczona, by unikać otwartego morza. Żaden z nich nigdy nie przepłynął wszerz Morza Egejskiego, gdzie sztorm mógł się pojawić dosłownie znikąd. Zamiast tego, podobnie jak Argonauci albo Odyseusz, wiosłowali od wyspy do wyspy, obierając znane szlaki, gdzie każdy kolejny cel można było ujrzeć z pokładu okrętu albo ze szczytu góry na którejś wyspie. Czynili powolne, lecz stałe postępy, na wschód od Aten, potem wzdłuż handlowego szlaku pomiędzy wyspami Syros i Tinos, z widoczną na horyzoncie wyspą Mykonos. Zawsze gdy

widzieli światła na brzegu albo rybackie statki zajęte połowem, zatrzymywali się i płacili za wieści o perskich galerach. Przez pierwsze trzy dni jedyną odpowiedzią były wzruszenia ramion i kręcenie głową. Żaden z miejscowych nie chciał mieć nic wspólnego z hoplitami czy jakimikolwiek galerami. Wiedli skromne życie, a wojna była dla nich czymś odległym. Niektórzy byli wręcz przekonani, że samo mówienie o wojnie może przynieść pecha. Wycofywali się, odmawiając rozmowy z żeglarzami i dowódcami floty.

Ksantyppos obserwował zbliżającą się łódź rybacką, już z dala zauważając w niej coś nietypowego. Większość małych statków skręcała i schodziła z drogi, widząc okręty. Ta jednak płynęła prosto na nich. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy kapitan zasnął, czy może jest pijany. W końcu dostrzegł jednak postać stojącą na rufie, z ręką na sterze. Wiatr tego dnia był łagodny. Cała flota skorzystała ze schronienia na Mykonos, gdzie wody miały cudownie błękitną barwę, jaśniejszą niż zwykle nad białym piaszczystym dnem.

Perykles także zauważył płynącą ku nim łódź. Zjechał po linie, parząc sobie palce i lądując z hałasem na pokładzie. Dał znak Ksantypposowi, a ten zasygnalizował, że już wie. Epikleos wyszedł z ładowni, Aryfron zaś podbiegł do ojca i stanął u jego boku ze srogą miną. Nie było to typowe dla innych okrętów, by ktoś czekał na rufie żądny wieści.

Rybacka łódź przepłynęłaby obok, gdyby Epikleos nie pomachał ręką. Załoga triery rzuciła liny i przywiązała łódź do burty. Niewielki żagiel opadł w fałdach nasiąkniętego solą płótna i mężczyzna wszedł na ich pokład. Był całkiem siwy i ogorzały od słońca i morza, barczysty i bosy. Miał na sobie luźny chiton z pasem spiętym klamrą. Rozejrzał się wokoło z zadowoleniem, widząc rozmiar wojennej galery, i kiwnął głową z aprobatą.

– Kto jest panem tego wspaniałego okrętu? – Ksantyppos usłyszał jego pytanie.

Szereg rąk wyciągnął się, wskazując na niego, a strateg poczuł uścisk jego szorstkiej, poznaczonej odciskami dłoni przypominającej rękawicę.

– Słyszałem, że oferujesz srebro w zamian za wiadomości o Persach – powiedział mężczyzna bez dłuższych wstępów.

Rozbawiony Ksantyppos kiwnął głową. Pomyślał, że mężczyzna chciałby zapewne powiedzieć mu cokolwiek za dobre ateńskie drachmy. Nie spodziewał się wówczas jeszcze, że ktoś naprawdę coś dostrzeże. Perski król zabrał część floty ze sobą, żeby obronić swój płynący most na Hellesponcie. Reszta okrętów po klęsce pod Salaminą rozproszyła się na dużym obszarze. Być może niektóre wróciły do imperium w kolejnych miesiącach, lecz inne krążyły po

morzu jak rekiny, paląc i rabując. To one stanowiły cel dla floty, która wyruszyła za nimi w pościg. Nie wiedział jednak, ile tych okrętów było.

Rybak pachniał słońcem, winem i rybą. Miał w sobie coś ciepłego i przyjaznego, choć trudno było orzec, czy można mu zaufać. Perskie złoto mogło z łatwością przeważać nad ateńskim srebrem.

– Z pewnością zapłacimy za prawdziwe informacje – rzekł powoli Ksantyppos. – Sześćdziesiąt drachm dla lojalnego Greka.

– Tak? No to dawaj te monety, kyriosie – rzucił rybak. – Wiem, gdzie oni są.

Na wzgórzach pojawiali się perscy zwiadowcy. Było to dla Greków dziwne uczucie: być obserwowanym w marszu, zwłaszcza dla Ateńczyków, którzy dobrze znali te góry. Pasma górskie oddzielało Attykę od Beocji, gdzie Teby miały swoje rynki i świątynie. Ponadto wysokie przełęcze prowadziły w dół na środkową równinę, gdzie rosły winorośle i jęczmień i gdzie jeźdźcy mogli galopować. Było zrozumiałe, że Mardoniusz założył obóz zimowy w takim miejscu, jak gniazdo robaków zagłębione w miękkim cieple.

Przez cały ranek pojawiały się nad nimi i przed nimi, na szczytach i graniach, samotne sylwetki zwiadowców. Niektórzy, w turbanach i płaszczach, dobrze zabezpieczeni przed chłodem, byli konno. Inni obserwowali z miejsc, do których dotrzeć mogli tylko kozica albo szczupły chłopiec, a było ich wielu, sądząc z liczby tych dostrzeżonych. Szybko umykali złożyć kolejny raport.

Sprzymierzeni weszli na wysokie przełęcze, gdy słońce stało jeszcze nisko, bo wyruszyli tego ranka bardzo wcześnie. Spartanie prowadzili kolumnę z Pauzaniem i Tisamenosem na czele. Ich zwiadowcy też biegli przodem z rozkazem, by zadać ostrzegawczo w róg, gdyby dostrzegli jakąś zasadzkę albo ukrywających się ludzi. Pauzaniusz kierował się zasadami prowadzenia wojny na wrogim terytorium. Jego heloci nieśli cały ciężki sprzęt. Każdy Spartanin sam niósł teraz swoją tarczę i włócznię, mając miecz przy boku, a straszliwy kopis zatknięty za pas. Ci, którzy znajdowali się dalej, stanowili zbitą, ruchomą masę czerwieni.

Pauzaniusz zauważył przed sobą biel przełęczy, za którą teren już opadał, a ponad nią widać było tylko bezchmurne niebo. Nie wiedział, co znajduje się za nią, i poczuł przyspieszone bicie serca. Nie była to jego pierwsza wyprawa wojenna w roli dowódcy, ale pierwsza, w której nie było Leonidasa podejmującego wszystkie kluczowe decyzje. Oddychał długo i powoli, nakazując sobie spokój. Gdyby poprowadził armię Sparty na zatracenie, dożyłby swoich dni w infamii jako człowiek pozbawiony ojczyzny. Odpowiedzialność ciążyła mu straszliwie, aż potknął się lekko w marszu. Tisamenos spojrzał na niego ze zrozumieniem.

– Przeszedłem kawał drogi, Pauzaniu – powiedział. – Może powinniśmy pobiec kawałek dla odmiany.

Spartanin zerknął na niego. Drżał z nerwów i podniecenia. Wszędzie wokół były uszy należące być może do kogoś, kto powtórzy tę banalną rozmowę w domu. Zacisnął usta i milczał. Był regentem Plejstarchosa, syna Leonidasa! Przed końcem tego roku chłopak zostanie mianowany wojennym królem Sparty, a on... będzie wolny. Albo martwy, ale na pewno nie będzie już regentem, pierwszym wojownikiem Sparty.

Przełknął nerwowo ślinę, zaciskając mocniej dłoń na uchwycie tarczy. Jakie to dziwne, że gardło wydaje się suche i spuchnięte! Wiedział, że między eforami toczyły się gwałtowne dyskusje. Wszyscy rozumieli, jaka jest stawka tej kampanii. Gdyby rada eforów kazała wyruszyć na nią Plejstarchosowi, sprawa byłaby zakończona. Ale spartańskie prawa są twarde jak żelazo. Dopóki Plejstarchos nie ukończy osiemnastu lat, nie może dowodzić ludźmi na wojnie. A zanim nie pocznie syna, nie może opuścić Lakonii. Krew jego rodu była zbyt cenna.

Pauzaniusz wymamrotał modlitwę do Apollina, dziękując za zdyscyplinowanie młodzieńca. Oczywiście pojawił się też i ból, kiedy eforowie oznajmili chłopcu swoją decyzję. To z pewnością zraniło syna Leonidasa cierpiącego z powodu śmierci ojca. Ale posłuchał, bo taka była reguła „peitarchii”, absolutnego posłuszeństwa, nawet za cenę śmierci.

Tisamenos spojrzał na niego z ukosa, czekając na jego słowa. Pauzaniusz poczuł nagłą potrzebę szybkiego biegu, lecz stłumił ją, zainspirowany postawą Plejstarchosa. Będą zdyscyplinowani, ale nie powolni.

– Podwójne tempo! – krzyknął do pozostałych.

W odpowiedzi zsunęli hełmy niżej, wciskając je na koki i zwinięte warkocze. Wyzierali zza ich złocistego spizu, nieporuszeni i zimni jak góry. Szeregi w tyle ruszyły za nimi natychmiast ze szczęką broni. Uderzyli włóczniami o tarcze, gotowi w każdej chwili na rozkaz Pauzaniaza przystąpić do ataku. On zaś wciągnął do płuc zimne powietrze i ruszył szybciej, mijając wapienne urwiska. Tisamenos z łatwością dotrzymywał mu kroku. Nie niósł tarczy, trzymał tylko długą włócznię, ubrany w powiewający na wietrze szaroniebieski płaszcz. Dziesięć tysięcy Spartan i periojków przeszło płynnie do szybkiego marszu, prawie biegu, jak robili to podczas codziennych ćwiczeń. Oddychali wolno i spokojnie, rozluźnieni, wydłużając krok. Gotowi byli wytrzymać tak długo, jak on im każe. Pauzaniusz poczuł, jak opuszcza go troska. Zakrzyknął głośno,

a jego głos odbił się echem od wzgórz. Wybiegli przez przełęcz w światło wstającego za nią słońca.

\* \* \*

Idący daleko w tyle Arystydes ujrzał tylko nagły ruch przed sobą. On również zauważył już wcześniej, że są obserwowani przez perskich zwiadowców. Nie było jednak wezwania do broni, nie słyhać było dźwięku rogów. Wyglądało na to, że Spartanie po prostu zareagowali na Persów i zwiększyli lukę między sobą a idącymi z tyłu. Ateńczyk patrzył, jak zwiększa się ta odległość, gdy Spartanie przebiegli przez przełęcz. Droga była tam wystarczająco szeroka, wydeptana przez kupców i pasterzy. Za przełęczą czekały równiny i być może też ich koniec. Arystydes poczuł na sobie wzrok dowódców. Westchnął i posłał modlitwę do bóstw tego miejsca. Tales z Miletu napisał kiedyś, że świat jest pełen bogów. W takim dniu, wysoko nad równiną, czuło się, że to prawda.

– Dostosować tempo, utrzymać szyk – rozkazał.

Jego kolana zaprotestowały, ale na szczęście cicho. Osiem tysięcy hoplitów przyspieszyło kroku z uśmiechem na twarzach, wznosząc wyżej włócznie, żeby nie zaplątały się w nogi idących obok. Powietrze wciąż było zimne. Niektórzy drżeli z chłodu, ale maszerowali ochoczo. Żaden z nich nigdy nie myślał, że będzie mu dane stawać razem ze Spartanami przeciw tym samym wrogom. Pomimo czekającej ich grozy i rozlewu krwi nastroje były doskonałe.

\* \* \*

Spartanie przebyli przełęcz i ujrzeli przed sobą wielką równinę. Nawet widoczna w oddali rzesza Persów zdawała się mniejsza w zestawieniu z ogromem tej krainy. Cała armia Mardoniusza ustawiła się przed obozem. W przejrzystym jak szkło powietrzu Pauzaniusz zatrzymał swoich ludzi. Poczuł, jakby blask słońca wypalił nagle całą lekkość z jego krwi. Spojrzał wstecz na zacienione przejście, gdzie nigdy nie docierało słońce i zawsze panował chłód. Heloci i sprzymierzeńcy wciąż wyłaniali się zza przełęcz. Wydał rozkaz Spartanom, aby ustawili się na północnym zboczu Kitajronu. Słońce ogrzewało ziemię. Wiedział, że od Persów dzieli jego armię kawał drogi, ale miał uczucie, że wyciągnąwszy rękę, mógłby rozgnieść ich między kciukiem a palcem wskazującym.

W oddali na równinie dostrzegł maleńkie kłęby kurzu wzbijane przez konie zwiadowców pędzących z raportami, wciąż jednak będących daleko od obozu.

Oddziały perskiej jazdy ustawiały się w formacjach wokół tego, co wydawało się całym miastem zbudowanym na pustkowiu. Wiedział, że Persowie zdążyli zrozumieć, że wyprowadził swoje wojska. Miał nadzieję, że patrzącym z równiny nie wydadzą się one aż tak małe.

Jego ludzie stali w gorącym słońcu. Na tej wysokości, bez jedzenia i wody, nie wytrzymają długo. Pauzaniaszowi serce zabiło szybciej, a mars na czołe się pogłębił. Gdyby zszedł z góry, Persowie użyliby jazdy, której on nie miał. Gdyby zdecydował się czekać, ludzie w ciągu paru dni zaczną dyszeć i krakać jak wrony, nawet z zapasami, jakie przynieśli heloci. Potem zaś nie da się zdobyć żadnej żywności na równinie, zwłaszcza po zimie, gdy każde żywe stworzenie zniknęło już w brzuchach Persów.

– No to... zejdziemy i odrąbiemy mu głowę? – powiedział Tisamenos.

Pauzaniasz się roześmiał. Ta sugestia przełamała jego poczucie osaczenia. Klepnął wróżbitę po ramieniu.

– Mardoniusz poczeka jeszcze jeden dzień. Musimy znaleźć miejsce na obóz na tej górze, za jakimś mniej stromym zboczem, żebyśmy nie stoczyli się we śnie. Jedno jest pewne. Nie wleżą tu, aby się z nami spotkać. Chociaż chciałbym, żeby tak zrobili! Sami zdecydujemy, gdzie i kiedy wydamy im bitwę. Póki co, pozwólmy tym perskim sukinsynom czekać.

Tisamenos dostrzegł pewność bijącą ze słów przyjaciela. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, ustąpiło to niepokojące uniesienie brwi, stając się odzwierciedleniem ufności, jaką Tisamenos pokładał w człowieku, który przez całe życie studiował wojskową taktykę. No i w końcu stryjem Pauzaniusza był sam Leonidas. W obliczu podejmowanych przed bitwą decyzji wszelka nerwowość po prostu zniknęła.

Pauzaniasz zwrócił się do spartańskich dowódców. Rozkazał rozdzielić wśród wojska przewidziane na ten dzień zapasy i wyznaczyć helotów do szukania na wzgórzach strumieni i wszelkich źródeł pitnej wody. Reszta miała zejść niżej i znaleźć płaskie miejsca na nocleg, gdzie mogliby się przespać owinięci płaszczami. Na koniec wezwał do siebie dowódców na naradę po wieczornym posiłku. Tym samym przywrócił w swoim życiu porządek. Patrzył w dół na nieubłaganego wroga, trzykrotnie liczniejszego od jego sił, mającego jeźdźców i łuczników, nie mówiąc już o Nieśmiertelnym pałającym żądzą zemsty za upokorzenie doznane pod Termopilami. Tak czy inaczej, los wziął go za rękę i poprowadził ku tej równinie w pobliżu Platejów.

\* \* \*

Ksantyppos trzymał ster małej łodzi, podczas gdy Perykles polewał żagiel wodą ze skórzanego wiadra. Słońce paliło, a wiatr był zaledwie słabym tchnieniem. W tej doskonałej ciszy Ksantyppos miał ochotę śmiać się z groteskowości całej sytuacji. Byli zaledwie osiem dni żeglugi od Aten. Spodziewali się, że spędzą całe tygodnie albo nawet miesiące, przeczesując Morze Egejskie, wypatrując Persów albo choćby wieści o nich, atakując każdy ich okręt we dwie lub trzy galery, podążając za każdą pogłoską i fałszywym doniesieniem, kosztem ogromnego wysiłku i ran, z trudem zdobywając zaopatrzenie. Zmarszczył brwi na tę myśl. Ze stu sześćdziesięciu okrętów, które zebrał na wyprawę w celu wywarcia zemsty na perskiej flocie, dwa zatoneły. Jeden uderzył w niewidoczną skałę i poszedł pod wodę, jakby uparł się jak najszybciej trafić na morskie dno. Tylko sześciu ludzi zdołano zeń uratować. W drugim zrobił się przeciek, którego cieśla nie zdołał załatać. Ten tonął na tyle wolno, że zdołali zabrać z niego całą załogę, choć ostatni brodzili już po zalanym pokładzie, co przywołało złe wspomnienie Salaminy.

Ksantyppos zachowywał w ciągu minionych dni ponurą powagę, choć czerpał pociechę z prostej pracy na okręcie. Ludzie wiosłowali, lecz nie wyteżali się zbyt. Lądowali na każdej dostrzeżonej wyspie, zadawali pytania i uzupełniali zapasy, kupując wszystko, co było potrzebne. Wiezorami jadał z synami na pokładzie albo dołączał z nimi do spartańskiego nauarchy, króla Leotychidasa. Ku wielkiemu zaskoczeniu Ksantypposa Spartanin okazał się wesołym kompanem, błyskotliwym rozmówcą i żartowniszem, którego anegdoty tak rozśmieszały Peryklesa, że nierzadko wydmuchiwał wino nosem i trzeba było klepać go po plecach. Gdyby nie to, że byli na wojnie ze straszliwym wrogiem, przypominałoby to niemal idyllę. Ksantyppos jednak wypełniał każdą godzinę dnia ćwiczeniami z użyciem flag sygnałowych i manewrami, powtarzając poszczególne akcje tyle razy, aż zyskał pewność, że nikt z sojuszników nie zawiedzie w boju pod presją. Taki był jedyny cel tej pracy, żeby ludzie ruszali się sprawnie dalej, kiedy okręty zetrą się ze sobą, a krew splami pokłady.

W sprawach ćwiczeń spartański król był zadowolony, mogąc powierzyć tę rolę Ksantypposowi. Ten ostatni spodziewał się zrazu, że będzie miał do czynienia z takim samym nadętym autorytetem jak Eurybiades pod Salaminą, ale okazało się, że cywilny król spartański zbyt dobrze znał swoją wartość, żeby czuć jakąś urazę. Gdy tylko Leotychidas zrozumiał, jak doświadczonym dowódcą jest Ksantyppos, wycofał się i pozwolił mu działać. Wielką radością było spotkać kogoś tak nawykłego do dowodzenia, by móc obdarzyć go pełnym



zaufaniem. Dzięki temu mogli zastępować się wzajemnie. W tym właśnie Spartanin przypominał Ksantypposowi Arystydesa.

Gdyby udało się przyłapać perską flotę na kotwicy, Ksantyppos gotów był wypłacić rybakowi tyle srebra, ile sam ważył, a i tak jego przysługa warta byłaby tej ceny. Teraz jednak mógł tylko ścisnąć w dłoni rumpel w cichej nadziei, że tak się stanie. Perykles obracał mały żagiel na rozmaite sposoby, szukając wiatru, jakby płachta była drugim sterem. Chłopiec w domu spędzał wiele czasu na wodzie, co bardzo cieszyło ojca. Umiejętności były wszystkim, czego mężczyzna wymagał od synów; przyjemnością, niemal cudem było patrzeć, jak nabywają ich coraz więcej, a teraz mógł się nawet zdrzemnąć na ławeczce wioślarza, pozwalając synom samodzielnie prowadzić łódkę.

Perykles, który błędził spojrzeniem po wodzie, szukając pojawiających się miejscami zmarszczek mówiących o wiejącej tam bryzie, oderwał na chwilę oczy od morza i spojrzał w dal. Okrążali właśnie wystający cypel lądu, gdy ojciec dostrzegł, jak twarz syna rozjaśnia się w zachwycie. Spojrzał w tę samą stronę i natychmiast położył dłoń na ustach chłopaka, aby powstrzymać go od głośnego okrzyku.

– Widzę ich – mruknął. Zmusił się do spowolnienia oddechu, choć serce biło mu jak szalone. – A teraz, chłopcy, zawróćmy tak spokojnie, jak tylko zdołacie. Ja zarzucę sieć, a po pewnym czasie ją wyciągniemy. Kto wie, może nawet uda się złapać i przywieźć na okręt parę ryb.

Persowie mieli miarę odległości zwaną „parasangiem”, która liczyła z grubsza trzydzieści stadiów. Flota zakotwiczona na Samos stała jakieś trzy, może cztery parasangi przed ich dziobem, jak ocenił Ksantyppos. Była to mniej więcej taka odległość, jaką człowiek mógłby przejść piechotą w ciągu jednego ranka.

Wyprowadził łódź z osłoniętej od wiatru strefy za wyspą Ikarią. Wiedział, że to tam właśnie, w innej epoce, spadł do morza Ikar po ucieczce z więzienia. Płynęli z synami wzdłuż tego wybrzeża przez cały dzień, kierując się opisem rybaka i mając inny ląd po prawej stronie, który Ksantyppos wziął za wyspę Furni. Morze było tam osłonięte, fala łagodna, co miało swoje zalety przy tak małej łodzi.

Wielka flota schroniła się za Samos, nie było już co do tego żadnej wątpliwości. Ksantyppos dostrzegł w oddali las masztów cienkich jak włos, zbyt trudnych do policzenia z tej odległości. Mogły to być tylko perskie okręty zakotwiczone na bezpiecznych wodach przy brzegach wyspy, blisko stałego lądu. Myśleli zapewne, że są zbyt daleko od Aten, aby ktokolwiek ich szukał. Zastanawiał się, czy bali się wrócić do domu po Salaminie, czy może tylko

zostali tam na zimę, skoro już znaleźli bezpieczny port. Jeśli to ostatnie było prawdą, to każdego dnia mogli stamtąd odpłynąć. Poczł narastające podniecenie.

Perykles zarzucił sieć i przeciągnął ją pod wodę. Drobne fale uderzały lekko o burłę, chlupocząc łagodnie. Ta chwila z synami na łodzi była doskonała. Ksantyppos poczuł jednak, że cierpliwość ma swoje granice.

– Och, wyciągaj to już, Peri. Nie ma w pobliżu nikogo, kto by nas zobaczył. Chcę wracać. Obróć łódź i płynmy na zachód. Wyczaruj wiatr, Aryfronie! Przeprowadzimy tu nasze okręty. Na Atenę, znaleźliśmy ich!

Perykles ułożył w łodzi zwoje mokrej sieci. Ku jego radości zaplątała się w niej duża ryba, która szamotała się, próbując wydostać się z pułapki. Chłopak patrzył na nią w zachwyceniu, podczas gdy Aryfron wziął do ręki pałkę i rąbnął rybę kilka razy, rozpryskując wokół krew i łuski, aż wyzionęła ducha.

– Musiałeś to zrobić? – zapytał brata Perykles.

Aryfron spojrział na niego.

– Tak – odparł.

Zachód słońca był ciepły. Płynęli z powrotem do sprzymierzonej floty z potwierdzeniem wiadomości. Ksantyppos z satysfakcją poklepywał synów po ramionach, gdy wreszcie zerwał się wiatr, który wypełnił mały żagiel. Ich szybkość wzrosła i łódź pomknęła po ciemnobłękitnym morzu.

# CZĘŚĆ TRZECIA

Na mnie spada ta burza.

*AJSCHYLOS, PROMETEUSZ W OKOWACH*

Arystydes obserwował perskich jeźdźców. Słońce wschodziło, zaczynał się nowy dzień. Wyłonili się w bladym świetle różowego świtu, w łuskowych kolczugach, kłębiąc się bezładnie, śmiejąc i rozmawiając przyjaźnie. Przywodzili mu na myśl osy. Poprzedniego wieczoru podjechali z wielką szybkością, rzucili włócznie i wystrzelili chmurę strzał, po czym odjechali, wzbijając kłęby pyłu. Mogłoby to wyglądać na zabawę, gdyby nie trupy Greków, które zostawili za sobą.

Hoplisci musieli zdobywać wodę, taka była prawda. Góry były suche w promieniu jednego dnia marszu w każdym kierunku. Siedemdziesiąt tysięcy hoplitów i helotów potrzebowało nieustannego zaopatrzenia, a woda sporo waży. Nie można było po prostu posłać ludzi, każąc im przynieść jej tyle, ile było trzeba dla wszystkich, którzy czekali i pełnili straż na flankach, pilnując góry. Kiedy wracali, sami dyszeli z upału i pragnienia. Dla Arystydesa było to jak napełnianie wodą dziurawego wiadra. Pomimo wyteżonych starań było jej zawsze za mało.

W niższej części góry, niedaleko podnóża, przepływał strumień. Był płytki i kręty, ale stanowił dla nich jedyne źródło przetrwania. Na jego brzegach rosło nawet kilka wątych drzew rozpaczliwie czepiających się życia. Każdego ranka i wieczoru Arystydes organizował wypad po wodę dla uzupełnienia zapasów. Za każdym jednak razem perski dowódca jazdy wysyłał z równiny jeźdźców, którzy krążyli i kłębili się wokół, czekając na sprzyjający moment do ataku. Trudno było powiedzieć, czy ich zamiarem było uniemożliwienie dostępu do wody, czy tylko zabicie kilku kolejnych Greków dla obeznania z krwią młodych wojowników.

Wyżej na zboczach góry Pauzaniusz ze Spartanami znalazł dogodne miejsce do obserwacji wroga. Była to naturalna grań nad krawędzią urwiska zwieńczona wielkim głazem, który stanowił jej pokryty mchem szczyt. Było tam sucho i na tyle płasko, że ludzie mogli rozłożyć płaszcze, aby się przespać. Reszta sprzymierzonych rozlokowała się na całym zboczu góry w mniejszych

kotlinkach i zagłębieniach, rozrzuconych tam jak ptasie gniazda, i wszędzie, gdzie znaleźli jakieś miejsce.

Podczas gdy Pauzaniasz układał plan bitwy, czekali, obserwując, jak ubywa żywności i wody. W tym jałowym miejscu dowódcy już musieli obciąć racje fasoli i jęczmiennej papki o połowę. Mieli pożywienia jeszcze na tydzień, a nie przeszli przez góry z juczną kolumną. Bez zabezpieczenia dróg powrotu do miasta istniałoby poważne ryzyko, że będą zbyt słabi, żeby walczyć. Pauzaniasz oczywiście wysłał zwiadowców z powrotem przez przełęcz, ale jeszcze nie wrócili. Jeśli gnali przed sobą świnie czy kozy, wiadomo było, że może upłynąć kilka dni, zanim znów ich zobaczą.

Arystydes nie spuszczał oka z obserwujących ich perskich jeźdźców. Nadjeżdżając, zwykle krzyczeli przeraźliwie, jakby to wszystko było rodzajem gry. Uznał, że chyba istotnie tak jest. Nie walczyli o zachowanie domu i ogniska domowego jak on ani też o wodę czy przetrwanie. O ile dobrze zrozumiał, przybyli tu, bo ich król kazał im wyruszyć na wojnę. Walczyli, bo posłuszeństwo było jedyną dopuszczalną reakcją.

Zastanawiał się, czy ci jeźdźcy nie pochodzą z warstwy nieco wyższej niż pozostali wojownicy z Lidii czy Egiptu. Ich okazałe płaszcze naszywane były drogimi kamieniami. Nie wiedział, czy są wyćwiczonymi wojownikami i po prostu noszą się w taki jarmarczny sposób. Nie znał się na tym zbyt dobrze, zwłaszcza gdy chodziło o konie i tych, którzy ich dosiadali.

Wydawali się jednak dosyć zuchwali. Jeden czy dwóch spędziło cały ranek na podjeżdżaniu do podnóża góry, wskazywaniu rękoma w stronę greckiego obozowiska i wyzywaniu Greków do walki. Naigrywali się z wroga pozostającego poza ich zasięgiem. W szeregach tkwiących na górze Spartan nie czuło się jednak żadnego napięcia. Arystydes wdrapał się tam nawet, żeby zbadać nastroje, ale zastał tylko porządek i determinację. Pomimo niedostatku wody i pożywienia budzili w nim otuchę.

Połowa Ateńczyków spodziewała się, że spartański król wojenny pomaszeruje prosto na wroga, jakby wojna była tylko kwestią spotkania się dwóch linii i rąbania ludzi na śmierć, aż ledwie kilku pozostanie przy życiu. Zamiast tego Pauzaniasz związał swoją obecnością wszystkie perskie siły, które czekały teraz, aż wykona ten ruch. Arystydes zastanawiał się, czy którykolwiek z Persów w ogóle spał przez kilka ostatnich nocy. Spodziewali się ataku: w ciemnościach, o brzasku lub o zachodzie słońca. Nie mieli pojęcia, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Miał nadzieję, że im to doskwiera. Jakiś głosik w nim, który nie odzywał się głośno, ufał też, że Pauzaniasz wie, co robi.

– Widzę ich dowódcę – powiedział stojący obok niego mężczyzna. – Czy to ten, o którego nam chodziło? W tym dziwacznym hełmie przypominającym ozdobny wyrób garncarski?

Arystydes nie obrócił się w stronę mówiącego ani w stronę kilkunastu niewidocznych łuczników przycupniętych w zagłębieniu terenu. Powoli skinął głową.

– To ten. Nie znam jego imienia, ale wczoraj dowodził jeźdźcami. Codziennie podjeżdża bliżej. Macie jedną szansę. Wątpię, żeby zaryzykował po raz drugi.

Zerknął na grupkę czekającą z dłońmi na cięciwach. Żaden ze strzelców nie był Ateńczykiem. Wezwał najlepszych, samych ochotników. Ci do niego przyszli, a teraz czekali ukryci wśród hoplitów, których przyprowadził tutaj, do stóp góry.

Rytuał był taki sam każdego ranka i wieczoru, a przynajmniej dotąd. Arystydes jak zwykle wysłał do strumienia sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu nieuzbrojonych chłopców z pustymi bukłakami. Kiedy je napełnili, każdy z nich próbował odbiec stamtąd jak najprędzej. Ich bezpieczeństwo zależało od dziesięciokrotnie większej liczby hoplitów stojących trochę dalej na zboczu, gotowych zbiec w ich obronie.

Nieco dalej na równinie, w świetle poranka, perscy jeźdźcy, a były ich setki, krążyli i wirowali, szukając okazji do zabijania. Wzbijali wielkie kłęby jasnego pyłu, które wznosiły się wysoko nad równiną. Arystydes wyteżał wzrok, starając się odczytać ich sygnały. Wiedział, że w końcu ruszą.

Pierwszego dnia tylko obserwowali, stwarzając wrażenie, jakby przestrzegali rozejmu albo akceptowali reguły wojenne. Drugiego wieczoru nagle zaatakowali, zabijając kilkunastu ludzi przy strumieniu, zanim hoplici zdążyli osłonić pozostałych tarczami i wycofać. Persowie patrolowali brzeg przez całą noc, aby uniemożliwić im dostęp. Nieustannie krążyli tam i z powrotem. Była w tym pewna złośliwość, a także zrozumienie sytuacji. W suchym terenie ludzie potrzebowali wody. Persowie dręczyli Greków, utrudniając im zdobycie tego, czego tak bardzo łaknęli.

Nikt nie wiedział, co dowódca perskiej jazdy rozkaże dzisiejszego ranka, ale sytuacja stawała się rozpaczliwa. Przez cały poprzedni dzień Grecy znosili pod gołym niebem dokuczliwe promienie słońca. Pocili się w upale. Każdy bukłak był zapisywany, każdy łyk liczony. Wszystkim, co do jednego, spierzchła i pociemniała skóra, popękały boleśnie wargi. W ciągu jednego, najdalej dwóch dni będą na tyle zdesperowani, że zaczną popełniać błędy.

Arystydes obejrzał się na zakutych w spiz hoplitów czekających cierpliwie w kilku liniach. Wszyscy znali stawkę, o jaką toczyła się gra.

– Bracia, szlachetni towarzysze z Aten! – zawołał do nich. – Już czas. Kiedy powiem, ruszycie naprzód w uporządkowanym szyku, złączając tarcze. Nosiciele wody pójdą za nami, pod osłoną naszych szeregów, i napełnią bukłaki tak prędko, jak zdołają. Potem będziecie czekać na mój znak. Nie cofniecie się, zanim nie usłyszycie rozkazu.

Spojrzał na perskich jeźdźców, których ruchy stawały się szybsze i coraz gwałtowniejsze. Osy wiedziały, że ich chwila nadchodzi; czuły to. Musiał ich być dobry tyśiąc, więcej niż poprzednim razem. Arystydes widział ich dowódcę na wielkim czarnym ogierze, jak krążył, ściągając uzdę bestii. Byli coraz śmielsi, radując się z pułapki, jaką Grecy sami na siebie zastawili.

– Będziecie musieli znosić włócznie i strzały – ciągnął Arystydes. Wzruszył ramionami. – Pochylajcie się i pamiętajcie o tarczach. Jeżeli podjadą zbyt blisko, może pojawić się pokusa, by ruszyć naprzód i posiekać te jaskrawo ubrane ladacznice. Nie zrobicie tego! Oni nas próbują, sprawdzają nasze zdecydowanie, to wszystko. Będziecie mieli szansę, kiedy wyjdziemy z głównymi siłami, a nie tutaj, w tej małej akcji. Waszym dzisiejszym zadaniem jest zapewnić nam wodę na jutro. To wszystko. – Spojrzał na łuczników wciąż przykucniętych w zagłębieniu gruntu. – A teraz wy, chłopcy. Trzymajcie się za moimi ludźmi, niewidoczni. Wszyscy widzieliście już tego, na którym nam zależy. Czekajcie na mój rozkaz, kiedy podjedzie bliżej.

Skinęli głowami. Pięciu było z Koryntu, jeden Megaryjczyk i czterech posępnych mężczyzn z Eginy, mamroczących po grecku twardym lokalnym dialektem. Najwyraźniej jednak rozumieli Arystydesa, patrząc płonącymi oczyma na wrogów swego kraju.

Słońce weszło, jakby cały horyzont nagle zapłonął. Światło było coraz mocniejsze i Arystydes wodził wzrokiem po równinie, wypatrując zapowiedzi jakiejś większej siły mogącej ich osaczyć. Wznoszący się pył utrudniał dostrzeżenie ich głównego obozu. Miał własne rezerwy, gotowe wkroczyć biegiem do akcji, ale ich zadaniem było raczej osłonić tamtych i pomóc im sprawnie się wycofać. Nie chciał dać się wciągnąć w większą bitwę, nie mając planu działania. Nie, tego ranka było tylko dwóch wojowników badających swoją odwagę i determinację. Kilka śmierci po jednej i drugiej stronie, kilka plam krwi na ziemi. Pauziasz będzie patrzył, aby dowiedzieć się jak najwięcej. Być może to samo robi perski wódz.

Arystydes wyszeptał osobistą modlitwę do Ateny. Ona także musiała obserwować, jak walczą jej dzieci: jej miłość czuło się w powietrzu i długich cieniach poranka. Wszystkie oczy wpatrzone były w archonta, gdy podniósł rękę i opuścił ją gwałtownie. Tym prostym gestem posłał swoich ludzi ku niebezpieczeństwu.

\* \* \*

Ksantyppos patrzył na wschodzące słońce, marszcząc brwi na myśl o tym, ile czasu zajęło mu ściągnięcie floty za wyspę Samos. Chciał dotrzeć z okrętami na miejsce i zablokować Persów o świcie, ale trwało to dłużej. Choć księżyc był niemal w pełni, poszczególne załogi miały sporo trudności z wiosłowaniem po ciemku na wodach, w których pełno było podwodnych skał mogących z łatwością rozerwać kadłub okrętu. Co gorsze, zerwał się przeciwny wiatr, przez co posuwali się naprzód w ślimaczym tempie. Wiele jego okrętów musiało przystawać, by osłonić kadłuby skórzanymi płachtami i owijkami od wioseł. Gdyby nie czarodziejska moc galery pracy pod silny wiatr, Ksantyppos tęskniłby zapewne do handlowych statków o wyższych burtach. A jednak, pomimo ciągłego zagrożenia i ryzyka, triera była wciąż cudem świata tnącym morze jak sztylet.

Nie zbliżyli się niezauważeni. Dostrzegł pierwszy ogień sygnałowy w najwyższym punkcie Samos, kiedy byli jeszcze dość daleko. Trudno było nie uśmiechnąć się na myśl o panice, jaka musiała zapanować wśród perskich załóg, gdy zobaczyli ten płomień. Sami byli kiedyś myśliwymi, gdy płynęli wzdłuż innego wybrzeża Morza Egejskiego pod wodzą swego króla, z armią wielu ludów. Po klęsce pod Salaminą umknęli, by lizać rany, ukrywając się po drugiej stronie wrogiego morza, a Grecy pojawili się nagle, gotowi dokończyć dzieła. Ksantyppos uśmiechnął się. Zapowiadał się dobry dzień.

Wraz ze wstającym słońcem cała wyspa Samos zapłonęła cudownym złocistym światłem, podczas gdy wybrzeże Jonii wciąż pogrążone było w cieniu. Ksantyppos wypatrywał masztów, które dostrzegł wcześniej, ale zniknęły. Poczł nagły przypływ paniki. Persowie w ciągu tych kilku godzin, które mieli do dyspozycji, najwyraźniej zdążyli przepłynąć z wyspy na rozległe perskie wybrzeże. Wyciągnęli na brzeg wszystkie swoje okręty. Poczł dławienie w gardle.

Grecka flota zablokowała oba końce cieśniny między Samos a stałym lądem. Symetryczność tej sytuacji nie umknęła Ksantypposowi, bo było to dokładnie to, co Persowie chcieli zrobić im rok wcześniej pod Salaminą. Król Leotychidas ze



Sparty podpłynął od południa z flotyllą sześćdziesięciu okrętów. Może i był cywilnym królem, ale i tak został wychowany na wojownika. Mógł przeprowadzić plan każdej batalii zarówno na lądzie, jak i na morzu.

W Ksantypposie wezbrał gniew. Przez cały ranek miał poczucie, że zarzuca na Persów sieć, zaciskając ją w taki sposób, że nie zdołają z niej umknąć. Oni zaś, zamiast stawić mu czoło, po prostu przepłynęli na drugą stronę i przybili do stałego lądu, gdzie majaczyła góra Mykale. Było to ich wybrzeże, nie jego, a czekające go zadanie okazało się nagle trudniejsze niż bitwa morska, którą z pewnością by wygrał.

Wody cieśniny pod kilem były głębokie. Ujrzał zbliżające się z naprzeciwka okręty Sparty i Koryntu, jakby były przeciwnikami w bitwie. Ksantyppos zawołał do keleustesa i usłyszał swój rozkaz powtórzony pod pokładem. Syk fal ucichł i okręt płynął rozpedem. Cała flota zwolniła, jeszcze tnąc wodę przed sobą. Na okrętach trwało przez chwilę milczenie, a wiatr był jedynie spokojną bryzą.

Ksantyppos patrzył, jak perskie okręty wciąż wypływają na ląd swoich ludzi. Ich załogi i wojownicy wyglądali z tej odległości jak mrówki biegnące w głąb lądu. Z dala od zagrożenia niesionego przez Greków. Persowie spotkali już ich na morzu i w żadnym razie nie mieli ochoty powtarzać tego doświadczenia. Gdy tylko dostrzegli grecką flotę, umknęli bezpiecznie.

Kimon był zbyt daleko, by zobaczyć reakcję Ksantypposa. Trudno było nie wspomnieć jego ojca, Miltiadesa. Ścigał on Persów na wybrzeżu i wpadł w pułapkę. Kosztowało go to wojenną sławę, wolność, a na koniec również życie, gdy zmarł od zakażonej rany w ateńskiej celi. Ksantyppos miał w tym swój udział. Poczł gorycz w gardle. Los potrafi nieźle wykoleić ludzkie życie. Przybył tutaj przygotowany na bitwę morską. Myśl o zapuszczeniu się w głąb wrogiego lądu sprawiła, że zacisnął z wściekłości szczękę. Odchrząknął, bardziej z gniewu niż z potrzeby.

Aryfron odwrócił się ku niemu z pytającym wyrazem twarzy, spodziewając się, że ojciec jak zawsze doskonale będzie wiedział, co robić. Ksantyppos uśmiechnął się do niego blado. Wpłynęli w cień Samos, a od klifów stałego lądu wciąż wiało chłodem. Miał świadomość wyznaczonego mu zadania i zamierzał je wykonać, niezależnie od trudności.

– Wyślijcie sygnał królowi Leotychidasowi – zawołał. – Przygotujcie mi łódź. Wszyscy starsi dowódcy mają stawić się u nauarchy na jego flagowym okręcie.

Gdy zbliżył się Epikleos, Ksantyppos zmusił się do uśmiechu. Rola kapitana nie była rolą prywatną, ale podejmowane decyzje były jego własnymi

postanowieniami. Skinął głową na widok zmartwienia, jakie dostrzegł na twarzy przyjaciela, który znał go od lat i stał u jego boku pod Maratonem.

– Z łatwością moglibyśmy spalić te okręty – powiedział Epikleos. – Kilka strzał umoczonych w smole i cała ich flota stanie w ogniu. To załatwiłoby sprawę.

– Doświadczone załogi potrafią zbudować nowe triery – stwierdził ponuro Ksantyppos. – Nie, musimy wyjść na ląd. Przybyliśmy tutaj, aby ich ukarać i zyskać pewność, że już nie wrócą do Grecji. Jest tylko jeden sposób, aby to osiągnąć.

Epikleos zrozumiał i skinął głową.

– A zatem wysadzimy hoplitów. Chyba jestem ich wyższym dowódcą.

Ksantyppos spojrział na towarzysza, który był z nim przez całe życie, wierny i lojalny.

– Nie dzisiaj. Ja będę z tobą, Epikleosie. I będę dowodził.

Przyjaciel potaknął kiwnięciem głowy. Razem obserwowali brzeg.

\* \* \*

Jazda przerażała piechurów. Jej oddział mógł w kilka chwil przejść do galopu po jednej stronie pola bitwy i przejść jak burza przez szeregi, nie dając im czasu na obronę lub wycofanie. Arystydes nienawidził jazdy z całą żarliwością hoplity. Wciąż stał z resztą wojowników w szyku o głębokości trzech szeregów. Unosili ukosem włócznie, tworząc las kolców. Konie nie mogły się przebić przez taką zaporę, za co był wdzięczny. Sama masa konia i jeźdźca w zbroi budziła przerażenie. Nie sądził, by dało się zmusić zwierzęta do szarżowania na mur tarcz, ale gdyby do tego doszło, to sterczące groty włóczni miały je powstrzymać i zabijać.

Odetchnął głęboko i zakrzyknął spiszowym głosem, który niósł się daleko:

– I trzymajcie! Tak. Bardzo dobrze. Tego wieczoru oceniają nas Spartanie, mniejsza o Persów. Trzymajcie szyk. Unoście połączone tarcze wysoko. Włócznie w pogotowiu, na wypadek gdyby zaszarżowali. Drzewce wbić w ziemię i przydepnąć stopą. Pozwólmy naszym chłopakom nabrać wody, której tak potrzebujemy.

Przerwał. Nie radził sobie z tym tak łatwo jak Temistokles i dobrze o tym wiedział. Ludzie lubili proste instrukcje, bez zbędnej ornamentyki.

Perscy jeźdźcy spięli konie piętami i ruszyli ku nim, gwałtownie nabierając prędkości. Arystydes obejrzał się przez ramię tam, gdzie przyklękawszy na kolano, czekała grupka łuczników ukrytych za linią tarcz.

– Jesteście gotowi?

– Tak, ale będziesz musiał krzyknąć, kiedy nadejdzie ta chwila – zawołał jeden z nich. – Nic nie widzę.

– To znaczy, że oni też was nie widzą – odparł Arystydes. – Bardzo dobrze. Na mój rozkaz wstaniecie i strzelicie do tego Persa, którego pokazywałem wam wcześniej. Na czarnym ogierze. – Tu spojrział na chmurę pyłu, który już zaczynał ich dusić, wypełniając powietrze. – Jeżeli go nie zauważycie, patrzcie na mnie. Ja wam go wskażę.

Przed nimi galopowało tysiąc jeźdźców z zamiarem stratowania Greków i zmuszenia ich do ucieczki. Gdyby Persom się to udało, hoplici zostaliby wyróżnieni. Arystydes czuł, jak ziemia drży pod stopami. Hoplici musieli ustać w miejscu, nie cofając się ani nie posuwając do przodu. Oczywiście znaczyło to, że Persowie zachowają swobodę manewru, rzucając w nich włóczniami z potworną siłą, a potem zawracając i atakując ponownie. Ateńczyk z mrocznym obliczem obserwował ich pierwszy atak. Udało mu się dostrzec dowódcę, którego zauważył wcześniej. Mężczyzna dowodził gestami rąk, tym samym stając się bardziej widoczny. Był szczupły i miał czarną brodę. Jego koń był wspaniałym zwierzęciem, o dłoń wyższym od pozostałych. Arystydes wskazał go wcześniej łucznikom obserwującym wroga zza pleców hoplitów.

– *Zbliżają się!* – krzyknął ktoś ze stojących w szeregu.

Jeden z tych głupców, którzy nie potrafią być cicho. Arystydes widywał już sporo takich typów, którzy rzucali idiotyczne uwagi, maszerując na linie wroga. Słyszał je przed laty zwłaszcza pod Maratonem: bezsensowne żarty i wulgarne określenia, które prowokowały idących obok do śmiechu albo przekleństw. Ludzie rozmaicie radzili sobie ze strachem. Nie miało to jednak większego znaczenia, dopóki słuchali rozkazów i utrzymywali miejsce w szyku.

Patrzył na zbliżających się coraz bardziej jeźdźców. Musieli mieć mocne nerwy, ryzykując tak nadzianie się na ostre groty. Hoplici wbili w ziemię zaostrzone tylne końce włóczni, zwane zabójcami jaszczurek, i przydepnęli je, przykucnąwszy lekko za tarczami.

Arystydes przełknął ślinę. Persowie byli bardzo pewni siebie. Słyszał, jak wyją i pokrzykują, zagrzewając się nawzajem. Wzbijali pył z suchej ziemi, który unosił się nad nimi gęstą chmurą. Nie spuszczał oka z tego, którego uznał za ich dowódcę. Modlił się o błogosławieństwo Odyseusza, jeśli cień bohatera przyglądał się bitwie. Nie był pewien, czy jego łucznicy mają choćby połowę umiejętności dawnego króla Itaki.

W ostatnim momencie, niebezpiecznie blisko, jeźdźcy skręcili w lewo wzdłuż greckiej linii. Włócznie, które rzucili, uderzyły o tarcze hoplitów z niewiarygodną siłą. Niektóre, odbiwszy się, przeleciały wyżej nad ich głowami. Niektóre przebiły spiżową blachę, a nawet drewno pod nią, i utkwily w tarczach na dobre. Rozległ się głośny łomot, któremu towarzyszyły krzyki bólu i zaskoczenia, zagłuszone grzmotem kopyt i kwikiem koni, które w galopie niemal otarły się o ludzi.

– Tam! Wstawać, łucznicy! – ryknął Arystydes, przekrzykując hałas. – Tam, gdzie pokazuję! Szybko. Strzelać!

Dostrzegł dowódcę jazdy na czarnym ogierze. Pędził z uniesioną włócznią, wyważonym ruchem podnosząc wysoko prawe ramię, wpatrzony z uwagą w wybrany cel. Nie dla niego były szalone rzuty młodszych wojowników. Arystydes odniósł wrażenie, że czas nagle zwalnia, gdy poczuł na sobie wzrok Persa. Był w odległości zaledwie dwunastu kroków od niego. Czuło się w tych dodatkowych sekundach niedostępne pozostającym mistrzostwo wielkiego atlety. Arystydes z Aten i Masistiusz z Persji mierzyli się wzrokiem pośród tabunu gnających koni.

Łucznicy zerwali się na nogi, napięli łuki i wypuścili strzały, jakby ich ręką kierował sam Odyseusz. Arystydes zobaczył, jak na ciele mężczyzny pojawiają się, jak ciernie, czarne ślady. Jedna strzała trafiła go w biceps, wywołując nagły skręt ręki. Druga wbiła mu się w szyję. Pers puścił uzdę i spadł z konia, czemu towarzyszył wielki krzyk rozpaczliwych przejeżdżających jeźdźców.

Łucznicy napinali cięciwy, strzelając raz za razem. Szczęrzyli zęby z przejęcia, że cel jest tak blisko. Mieli bardzo mocne łuki, sami zaś byli wypoczęci, zmobilizowani i pełni energii. Strzały jedna za drugą przeszywały perskich jeźdźców, z których ponad trzydziestu leżało już na ziemi, jedni bez ruchu, drudzy czołgali się, by odpełznąć dalej. Atak załamał się na chwilę, a wraz z nim ucichł grzechot włóczni i strzał. Tylko trzech Ateńczyków zginęło. Arystydes zerknął za siebie i ujrzał oddalających się nosicieli wody kuśtykających pod ciężarem pełnych bukłaków. Uznał, że na razie wystarczy.

– Sześciu za mną – rozkazał, robiąc krok naprzód.

Jeźdźcy grupowali się właśnie do kolejnej szarży. Wyglądali na mocno urażonych, jakby nie rozegrał z nimi tej gry według uzgodnionych reguł. Zachciało mu się śmiać na widok gniewnego wyrazu ich twarzy. Przybyli do Grecji i spalili Ateny. Należało im się.

Przeszedł tylko mały kawałek i zbliżył się do wciąż wierzgających kopyt wielkiego czarnego konia. On także miał strzałę w szyi. Arystydes nie sądził, by

udało mu się przeżyć. Natomiast jego pan był z pewnością martwy. Ateńczyk pomyślał, by na wszelki wypadek poderżnąć mu gardło, ale Pers leżał nieruchomo, martwymi oczyma patrząc w niebo.

Zza pleców i z wysoka dobiegło granie rogów. Wezwanie do wycofania. Arystydes zatrzymał się tylko na chwilę, by spojrzeć na szeregi stojących na górze czerwono odzianych Spartan, po czym rzucił swoim ludziom szybki rozkaz powrotu na pochyłość zbocza. W podnieceniu tym pierwszym zwycięstwem niemal zapomniał o swoich wcześniejszych ostrzeżeniach. To nie była bitwa, tylko zwykła potyczka, próba sił. Oczywiście dla tych, którzy polegli, nie stanowiło to wielkiej różnicy. Był zadowolony, że to nie on zginął.

– Wracamy. Dobra robota. Łucznicy, byliście wspaniali.

Nie wiedział, czy Temistokles na jego miejscu powiedziałby coś bardziej poruszającego, co przyprawiłoby ich o rumieniec albo łzy. Wydawali się jednak dość zadowoleni. Wdrapując się na kamienny rumosz i zostawiając równinę za sobą, trzymali głowy wysoko.

Arystydes zatrzymał się na chwilę w pół drogi. Był zdyszany, ale wielu młodszych mężczyzn też sapało z wysiłku, więc nie przejął się tym zbyt. Widział, że perscy jeźdźcy spływają do głównego obozu, gromadząc się wokół niego jak krew wokół plastra świeżej wołowiny. Zebrali swoich poległych, co bardzo mu się spodobało. Zmarli nie powinni być porzucani ani ograbiani. Wrogowie nie byli zwierzętami, ale cywilizowanymi ludźmi, choć nie nienawidził ich przez to mniej. Już zaczął się odwracać, gdy kątem oka zauważył w oddali jakiś ruch, zbyt daleko, by Persowie w dole mogli go dostrzec. Przystłonił dłonią oczy i przymrużył powieki. Poczł nagły ucisk w gardle, kiedy zrozumiał.

Przez równinę ku ich pozycjom podążał wolno sznur wozów. Nie wiedział, czy wezwał je Pauzaniasz, czy może był to dar od jakiejś osady, która postanowiła wesprzeć Greków żywnością i zapasem wody. To musiało być dla nich. Persowie nie mieli placówek w terenie, żadnych swoich miast, które mogłyby wysyłać im zaopatrzenie. Chyba że był to transport z Teb. Byłaby to jeszcze gorsza perspektywa. Mogłaby uniemożliwić wzięcie Persów głodem i zmuszenie ich do kapitulacji. Tak czy inaczej, Arystydes wiedział, że powinien wyruszyć wozom naprzeciw.

Nikt na równinie nie dostrzegł jeszcze karawany. Miał godzinę, nie więcej. Oddychał głęboko, bijąc się z myślami. Pomiedzy nim a granią, na której czuwał Pauzaniasz, stali heloci. Mogliby przenieść żywność z wozów. Przełknął ślinę, jakby nagle poczuł się chory. Persowie zareagują, to jasne. Zranieni po akcji nad

strumieniem, z pewnością znów uderzą, gdy podejmie jakieś działanie. Poczł szybsze bicie serca, wiedząc, że nie ma wiele czasu na decyzję. Potrzebowali żywności i wina, aby przetrwać, ale jego instynkt buntował się przeciwko kolejnemu wypadowi tuż po ostatnim. Trzeba było jednak wziąć też pod uwagę, że gdyby Persowie się ruszyli, to znaleźliby się na szerokiej równinie, mając Pauzaniusza i Spartan na flance.

Arystydes przygryzł kciuk, mając w głowie gonitwę myśli. Co na jego miejscu zrobiłby Temistokles? No cóż, odpowiedź była aż nazbyt oczywista. Podjąłby ryzyko.

Arystydes wciąż układał wiadomość dla Pauzanasza, kiedy Spartanin pojawił się osobiście, zbiegając na złamanie karku po stromym zboczu. Regent nie był człowiekiem, który cierpliwie wyczekuje wiadomości, widząc, że coś się dzieje. Ateńczyk zauważył, że wróżbita schodzi również, z większą ostrożnością wybierając drogę.

Pauzanasz oddychał z łatwością, gdy przysiadł, żeby odpocząć. Arystydes skinął mu głową.

– Dlaczego się tam zatrzymałeś? – zapytał Pauzanasz. – Nie wysyłałem żadnych nowych rozkazów. Woda była już przyniesiona.

Wydawało się, że patrzy na niego krytycznie, i Arystydes także uniósł brew, aby odpowiedzieć Spartaninowi tym samym. Czy on naprawdę wyobrażał sobie, że zejdzie tu, żeby go obsztorcować?

– Regencie Pauzanaszu, spójrz na wschód, a zobaczysz długi sznur wozów zmierzających w naszą stronę. Persowie jeszcze ich nie dostrzegli, ale lada chwila zauważą.

Odczekał chwilę, aby Pauzanasz zdążył zmrużyć oczy i popatrzeć w stronę wschodzącego słońca. Jego blask skrywał jeszcze karawanę przed wzrokiem pozostających na równinie, ale Arystydes z przyjemnością zauważył, że Spartanin skinął głową.

– Moja linia zaopatrzenia prowadzi przez góry za nami. Kontrolujemy tamten teren. Nie wiem, kto wysłał tych... – Tu przerwał i zamyślił się.

Arystydes przeciął dłonią powietrze, nagle zniecierpliwiony.

– Jeżeli to jedna z ich karawan, powinniśmy uniemożliwić Persom jej przyjęcie. Myślę jednak, że raczej nasza. Jakiś dar od Platejów albo od Leuktry.

– Plateje zostały splądrowane... – mruknął Pauzanasz. Osłonił oczy.

Ateńczyk czekał. Młodszy mężczyzna chciał dowodzić. To była dla niego okazja. Jednakże mimo doskonałego wyćwiczenia ta całkiem nowa sytuacja każdemu kazałaby się zastanowić. Arystydes stał spokojnie, oddychał równo i czekał, aż Spartanin odniesie to wszystko do swego planu.

– To może być podstęp, żeby wyciągnąć nas z gór – powiedział w końcu.

Arystydes zmrużył oczy. Rozwahał już taką ewentualność, ale teraz milczał, jakby była to całkiem nowa myśl. Po chwili pokręcił głową.

– To by się im zdarzyło po raz pierwszy. Persowie przybyli do Grecji z młotem, nie ze sztyletem. Nie widziałem u nich oznak subtelności. Oczywiście wszystko jest możliwe... – Przerwał, nienawidząc tego ziarna wątpliwości, które nagle w nim zakiełkowało.

Arystydes przemawiał z wielką pewnością siebie, wiedząc, że musi Spartanina przekonać. Oczywiście, jeśli się mylił, będzie to oznaczało, że Persowie wykonali mistrzowskie posunięcie.

Życie albo śmierć, sukces albo porażka. Dowodzenie to samotna dziedzina, a od wyniku zależy tak wiele. Ta myśl sprawiła, że jakby powiało chłodem. Stojąc tak i czekając na decyzję, Arystydes czuł własny pot. Żadna część ich armii nie ruszy się z miejsca bez rozkazu Pauzanasza. Taka była rzeczywistość sojuszu ze Spartą. Arystydes godził się na to, uznawszy, że to uczciwa cena.

W tej właśnie chwili dołączył do nich Tisamenos. Zdyszany wróżbita ostatnie kilka kroków zjechał po luźnym piasku. Ta część zbocza była bardzo stroma i wszyscy trzej stali niewygodnie pod ostrym kątem do podłoża. Wieść o tym, co zauważono, rozchodziła się wśród ludzi. Wokół stali hoplici, czekając na rozkazy. Ich życie było w rękach kilku dowódców.

– Karawana tam, na równinie... – powiedział Pauzanasz, próbując zyskać na czasie.

Arystydes poczuł, że jego cierpliwość się wyczerpuje. Był dwa razy starszy od spartańskiego regenta. Wszystko wydawało się trudne tego ranka, a on ciągnął z nim bezprzedmiotową pogawędkę! Skoro brakowało im żywności i wody, trzeba było osłonić te wozy. Odchrząknął, ale zanim zdążył się odezwać, Pauzanasz przemówił. Powziął decyzję.

– Weź swoich hoplitów, Arystydesie, całe osiem tysięcy. Ja zostanę tutaj. Jeżeli Persowie ruszą przeciwko tobie, niech wiedzą, że uderzę na nich z flanki.

Ateńczyk skinął głową, wyrażając zgodę. Każda stracona chwila mogła okazać się potem bardzo potrzebna.

– Mają tylu ludzi, że bez problemu mogą wysłać dwadzieścia tysięcy przeciwko mnie i nadal być gotowi na ciebie, gdy zejdiesz na równinę.

– Nikt nie jest na nas gotowy – odparł łagodnie Pauzanasz. – Ilu chcesz?

– Pod ręką mamy tylko twoich helotów, których możemy wysłać od razu. Dasz mi ich, powiedzmy, jakieś trzydzieści tysięcy? Persowie będą musieli rozdzielić armię, żeby zaatakować taką liczbę. Jeśli to zrobią, będziesz mógł ich



zajść z flanki. Jeżeli złączą się prowokacji i zostaną w obozie, ochronimy karawanę.

Pauzaniasz się zawahał. Arystydes ujrzał w nim zmianę, poczucie nagłej presji. Spartanin opuścił niżej głowę i spojrzał na archonta takim wzrokiem, że ten miał ochotę cofnąć się o krok. Cokolwiek wywołało to napięcie, minęło jak powiew wiatru.

– Bardzo dobrze, Ateńczyku – powiedział Pauzaniasz. Była to dość dziwna forma. – Ale moi heloci nie są wojownikami. I nie uczynisz ich nimi. Mają co prawda jakieś tam miecze i włócznie... i odegrają swoją rolę, jeżeli im rozkażę. Tylko że... – Skrzywił się nagle, jakby zjadł coś kwaśnego, jakby nie chciał czegoś powiedzieć. – Oni są jak dzieci, Arystydesie. Nie daj... pozabijać ich wszystkich.

Arystydes otworzył szeroko oczy. Przypomniał sobie starą legendę o Aresie i Afrodycie. Bóstwa sprowadziły na świat syna. Dziecko, będące połączeniem wojny i miłości, zostało nazwane Fobosem, czyli strachem. Arystydes zastanawiał się, ilu innych ludzi zdołało dowiedzieć się tak wiele o spartańskim społeczeństwie, po czym natychmiast stracili życie, zanim zdążyli opowiedzieć o tym komukolwiek. Myśl ta wywołała u niego nagłą suchość w gardle.

– Czyli uzgodnione? – zapytał. Potrzebował formalnego rozkazu.

Pauzaniasz skinął głową.

– Osłoń karawanę. Przyprowadź ją albo spal. Weź hoplitów... i helotów. Niech Apollo ma cię w opiece, Arystydesie.

Krótko uścisnęli sobie dłonie, po czym postawa Arystydesa nagle się zmieniła. Podniósł głos, aby wydać rozkazy, jakby spartański regent i jego wojownicy stali się nieobecni.

– Heloci! Do mnie. Na rozkaz Pauzaniaza. Za mną na równinę.

Nie był zaskoczony, jak prędko podnieśli się i ruszyli za nim, zabierając broń i narzędzia. Byli urodzonymi niewolnikami od stu pokoleń. Tylko to potrafili.

Hopliti zebrali się równie prędko. Poszli tą samą drogą do stóp wzgórza, a heloci podążyli za nimi. Sama ich liczba przydawała im pewności siebie w obliczu masy perskiego wojska. Arystydes dostrzegł, jak perska jazda zaczyna wsiadać na konie w reakcji na ich wymarsz. Zastanawiał się, czy czują się zagubieni po utracie swego dowódcy. Miał taką nadzieję. Gdyby zdecydowali się zagrozić jego nieopierzonej armii, niewiele mógłby zrobić, aby ich powstrzymać. Mogliby też zanieść do swoich wieści, że heloci nie są elitarnym wojskiem. Nic nie mógł na to poradzić, choć marzył o własnych oddziałach jazdy, aby ich odpędzić, a przynajmniej wzbić dla osłony tumany kurzu wokół swoich ludzi.

Hopliti uformowali szyki, zszedłszy na równinę. Włócznie nieśli pionowo, a tarcze na plecach, gotowi jednym ruchem przerzucić je na lewy bok, łapiąc lewą ręką za wewnętrzny uchwyt. Arystydes poczuł dumę na widok ich wyszkolenia, lecz po chwili zmarszczył brwi. W porównaniu z nimi heloci wyglądali szmatławo.

– Utrzymać szyk! – ryknął do swoich. – Lochagoi do mnie!

Zaczekał, aż komenda dotrze do setki dowódców, którzy opuszczają swoje szeregi i podbiegną do niego. Arystydes szedł niemal na samym końcu, gdy stawili się przed nim, by wysłuchać rozkazów.

– Heloci potrzebują przywódców. Wasi ludzie wytrzymają bez was przez jakiś czas. Chcę mieć rząd tarcz na każdej flance, gdyby jazda zbliżyła się zanadto. A co do tamtych... stwórzcie z nich budzące respekt szyki marszowe z jak największą liczbą włóczni. Jasne? Dobrze, zatem do dzieła!

Umilkł. Jego ludzie nie byli głupcami ani dziećmi. Uznał, że próbując kierować każdym ich krokiem za pomocą rozkazów, co było kuszące, zmęczy się i doprowadzi do zupełnego wyczerpania. Lepiej będzie patrzeć z tyłu nad ich głowami i sprawiać wrażenie, że widzi wszystko, a oni niech się pocą i przeklinają, usiłując sprawić, by heloci wyglądali jak prawdziwa armia, a nie chłopcy na przechadzce po wiejskim jarmarku.

Arystydes zerknął przez ramię i zauważył wyraźną konsternację w perskich szeregach. Nie mieli jeszcze pojęcia, co się dzieje. Ich dowódcy musieli wysłać paniczne rozkazy ze swoich namiotów za wałami obozu. Uśmiechnął się na tę myśl. Przy odrobinie szczęścia pył wzbijany przez jego ludzi całkowicie zasłoni karawanę, a Persowie nigdy się nie dowiedzą, dlaczego duży kontyngent Greków wymaszerował nagle na wschód.

Poczuł ból w szyi, nieustannie próbując mieć nieprzyjaciół na oku, ale ich śladem mozolnie posuwali się heloci, też wzbijając kłęby kurzu. Arystydes potrząsnął głową, patrząc, jak wloką się bezładnie. To wstyd, że Spartanie nie wyszkolili ich na wojowników, choć rozumiał dlaczego. Jeśli Tisamenos mówił prawdę, ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie spartiaci, była masa wyszkolonych wojskowo mężczyzn zajmujących się uprawą pól i pielęgnujących spartańskie niemowlęta. Zauważył jednak, że wyglądają silnie i zdrowo. Może nie rozumieli dobrze, czego się od nich oczekuje, ale nie sapali i nie dyszeli. To jednak nie czyniło z nich wojowników.

Arystydes ciekaw był, czy Persowie w ogóle wyjdą z obozu. Ze Spartą czekającą na zboczach góry jak jastrząb, gotowy spaść na nich w każdej chwili, na pewno węszyli zasadzkę. Jaki dowódca rozdzieliłby siły, kiedy jego głównym

atutem była liczba wojska? Zrobili to pod Salaminą przez zadufanie. Wątpił, czy uczynią to ponownie.

Kiwnął głową, skrzywiwszy się kwaśno, gdy dostrzegł jedynie część jazdy wyjeżdżającą im na spotkanie, słabo niewidoczną w kłębach pyłu. Oczywiście młodzi szlachetnie urodzeni Persowie byli żądni zemsty. Niewątpliwie jednak zawrócą z raportem, aby wódz mógł zdecydować, co robić.

Przed nimi, o niecałą godzinę marszu, zbliżała się karawana. Znalazłszy się na równinie, Arystydes stracił ją z oczu. Jediną rzeczą, jaką mógł zrobić, było kierowanie swoich ludzi we właściwą stronę i modlenie się w duchu, by to wszystko nie okazało się perską pułapką, którą uruchomią we właściwym momencie, by ściągnąć na nich klęskę.

Ksantyppos stał na dziobie swego wojennego okrętu, który zmierzał do brzegu z pełną prędkością. Zachował równowagę, gdy pokład zatrzęsł się pod nim, a kil przeorał przybrzeżny piasek, po czym okręt zatrzymał się z jękiem żeber. Wszędzie wokół hoplici wyskakiwali z łodzi i spuszczaali się po burtach okrętów, bezradnych na lądzie jak wyrzucone na brzeg wieloryby. W szczęku i zgrzycie zbroi biegnących mężczyzn Ksantyppos po raz pierwszy od wielu lat postawił stopę na perskim terytorium. Poczuł, jak ziemia chwieje mu się pod stopami, ale był to tylko skutek długiego czasu spędzonego na morzu.

Hoplici uformowali szyk w pewnej odległości od brzegu, w cieniu wielkiej granitowej skały. Spartański król wyskoczył z małej łodzi i wyszedł na brzeg, brodząc przez płyciznę. Spiżowi nie szkodziła słona morska woda, ale wszyscy wojownicy krzywili się, musząc zanurzyć w niej żelazne miecze. Wszystkie rękojeści i ostrza trzeba było później rozbierać, czyścić i oliwić. Niektóre ulegały uszkodzeniu po takiej operacji. Z pokładów ściągnięto liny i powiązano je ze sobą. Okręty nie stały w pobliżu perskich kadłubów, gdzie byłyby narażone na niebezpieczeństwo. Liny przywiązano też do brązowych pierścieni na rufach tych jednostek, które pozostały na wodzie. Wioślarze na nich zanurzyli wiosła i pociągnęli odrobinę wstecz. Był to ryzykowny manewr, choć morze było spokojne. Po chwili, gdy każdy okręt znalazł się już na głębszej wodzie, zatrzymali je. Ksantyppos podziękował wioślarzom w duchu za tę przezorność.

Perykles stał na piasku, trzymając tarczę i włócznię, najwyraźniej zagubiony w tym miejscu. Na jego widok Ksantyppos poczuł skurcz niepokoju. Chłopak był zbyt młody, by się tu znaleźć.

– Peri, chodź do mnie – nakazał.

Zacisnął zęby, aż nabrzmiały mu mięśnie pod skórą policzków. Wszędzie wokół kręcili się Ateńczycy na tyle blisko, by podczas sprawdzania broni i wyposażenia usłyszeć ich rozmowę. Jego autorytet był absolutny w obliczu wroga, ale to byli twardzi ludzie. Pogardzaliby nim, gdyby odesłał syna z powrotem. Zazgrzytał zębami. Wolał, żeby Perykles został na pokładzie, jak mu wcześniej przykazał.

– Chciałbym ponieść Aryfronowi włócznie – powiedział krótko Perykles.

Młodszy syn wysunął szczękę i zagryzł wargi, co nadało jego twarzy ten zacięty wyraz, który ojciec znał tak dobrze. Chłopak przynajmniej otwarcie rzucił mu wyzwanie. Miał na tyle szerokie ramiona, by móc uchodzić za hoplitę. Łatwo mógł się wkręcić między pozostałych mężczyzn, choć nawet gdyby mu się to udało, a hoplici go przepuścili, nie było dla niego hełmu. Poza tym wszyscy znali się nawzajem, było to częścią więzi łączących ich w bitwie: przyjaciele i członkowie jednej fyli maszerowali obok siebie w falandze. Żaden obcy nie mógłby tam stanąć niezauważony. Nie, uświadomił sobie Ksantyppos, Perykles nie miał wyjścia. Chłopak czekał z wyzywającą miną, przerażony, że zostanie odesłany z powrotem.

Ksantyppos spojrział na Aryfrona, który stał w pełnej zbroi na brzegu, po uda obsypany białym piaskiem. Starszy syn obserwował go, ufając jego decyzji. Zapewne Perykles zapytał wcześniej ojca, bo inaczej Aryfron sam odesłałby brata na okręt. Obaj synowie czekali na jego ostatnie słowo.

Ksantyppos czuł, że cała sytuacja przyprawia go o nerwowy rozstrój. A jednak była w tym także duma, że oto stoi tu razem z synami, chłopcami, których kiedyś podrzucał wysoko w powietrze. Było to jeszcze przed wygnaniem, przed inwazją, przed wojną. Ksantyppos poczuł, że jego życie się zmieniło, gdy Agarysta po raz pierwszy położyła mu na rękach Aryfrona. W tym krótkim momencie wyszedł z roli syna i wszedł w rolę ojca. Obok radości towarzyszył mu lęk. W głębi serca czuł, że nie zdoła uchronić ich przed wszystkimi niebezpieczeństwami, a gdyby to zrobił, zrujnowałby im życie. Stojąc tak, czuł spływający mu spod pach pot.

Spartanie by zrozumieli, pomyślał. Słyszał kiedyś, jak porównywano tam życie do jaskółki, która wpada nocą przez okno do oświetlonego pokoju, po czym znowu wylatuje w ciemność. Jeśli istnienie na tym ma polegać, *niezależnie od tego, co jest poza nim*, to nic na świecie nie jest więcej warte od wychowania syna. Nic. O Spartanach mówiono, że żywią wielką „pogardę dla przyjemności” i dostrzegają tylko to, co najważniejsze. Nie wiedział o tym wcześniej. Myślał, że wiedzą smętne życie. A jednak ujrzeć Aryfrona, silnego i zdrowego, stojącego w hełmie i nagolenicach, zobaczyć Peryklesa z tarczą na plecach i włócznie w ręku było chlubą, której Ksantyppos nie umiałby nikomu wytłumaczyć. Mimo to poczuł nagle, że odgina palcem paznokiec kciuka, aż pokazuje się krew.

– Proszę, ojczu – mruknął Perykles.

Aryfron także skinął głową, dając do zrozumienia, że się zgadza.

– Dobrze. Trzymaj się blisko za Aryfronem. Patrz na jego plecy w falandze.

Zobaczył łzy, które po tych słowach zakręciły się w oczach syna, niemogącego uwierzyć, że nie został odesłany na okręt. Chłopak obdarzył go promiennym uśmiechem, a Ksantyppos zauważył przy tym, że Aryfron poklepał go po zawieszanej na plecach tarczy, aż zadźwięczała głucho. Chłopcy roześmiali się, a Ksantyppos poczuł nagły ucisk w żołądku, już żałując podjętej decyzji. Patrzący na nich Ateńczycy kiwnęli głowami, aprobując ten wybór. Perykles cieszył się wielką popularnością wśród załogi.

Falanga sformowała się na brzegu, na głębokość ośmiu gęstych szeregów. Twarze mężczyzn spochmurniały. Przeczucie czekającego ich krwawego dzieła mieszało się ze starymi wspomnieniami. Epikleos zebrał wszystkich hoplitów z Aten i kilku mniejszych miast-państw. Ksantyppos nie zauważył, żeby wyznaczył nad nimi starszego dowódcę. Jeden lochagos wśród ludzi Kimona miał spuchnięty policzek i pękniętą wargę, lecz kiedy zbliżył się Leotychidas, Epikleos z Kimonem zaczęli zgodnie sprawdzać szyki.

Ksantyppos zwrócił uwagę, jak sprężyste szedł po piasku król Sparty. Uśmiechnął się na myśl, że mężczyźni, spotykając się, oceniają nawzajem swoją zdolność do bitwy i to samo robią po walce. Ta subtelna obserwacja przeszłaby zapewne niezauważona w jakiś letni wieczór w Atenach. Tutaj jednak, na tym nieprzyjaznym wybrzeżu, miło mu było postrzegać Leotychidasa jako wielkiego kota utrzymującego doskonałą równowagę ciała. Spartanin miał na sobie czerwony płaszcz i spiżowy hełm z białym grzebieniem, sandały i nagolenice. Poza tym jego biodra opasywał tylko skórzany rzemień. Poskręcane w drobne loczki włosy na głowie, piersiach i wokół penisa miały barwę siwego żelaza. Choć Leotychidas musiał być już po sześćdziesiątce, zachował doskonałą kondycję. Ksantyppos pochylił głowę przed osobą krwi królewskiej.

– Nie widzę tu więcej niż sześć tysięcy ludzi, Ksantypposie – zauważył Spartanin. – Sądząc po liczbie pustych okrętów, Persowie musieli wysadzić na ląd dużo więcej.

– Większość to zwykli wioślarze – powiedział Epikleos.

Król zerknął na niego oceniająco. Po chwili skinął głową.

– A jednak. Nasi wioślarze zostali na okrętach.

Ksantyppos odczekał chwilę. Hoplici milczeli, stojąc w ciągnących się daleko szeregach. Gdzieś tam byli też jego synowie. Niczego nie ukrywał. Przyszło mu do głowy, że stoi przed człowiekiem, który przez długie dziesięciolecia pozostawał w bliskich relacjach z Leonidasem, wojennym królem Sparty. Pomimo całej osobistej siły Leotychidas nie nawykł do podejmowania decyzji wojennych, jedyńskich, których nie można było cofnąć, od których zależały życie

albo śmierć. Było to interesujące spostrzeżenie i Ksantyppos, odpowiadając, złagodził swój ton.

– Wasza Wysokość, stoją przed tobą hoplici weterani, najlepsi z całej Grecji, w pancerzach i pełnym uzbrojeniu. Każdy z nich mógłby stawić czoło tuzinowi wioślarzy uzbrojonych w pałki lub sztylety. Wyszukoleni ludzie pokonują niewyszukolonych, jak lwy rozszarpują psy. Twoja własna trzystuosobowa straż najlepiej o tym świadczy, jestem tego pewien.

Król kiwnął głową, przyjmując ten argument, a Ksantyppos ciągnął dalej:

– Nasi wioślarze są w dobrej formie, ale nie są wyszkoleni. Przy perskich wojownikach byliby jak owce, tak samo jak ich wioślarze wobec nas. – Przerwał na chwilę, chcąc, aby spartański król poważnie przyjął jego punkt widzenia. – Wolałbym, Wasza Wysokość, pozostawić flotę obsadzoną, nie narażając naszych wioślarzy na uczestnictwo w walce. Tak czy inaczej, przyjmuję twoje dowództwo. Jeśli taka jest twoja wola, wysadzę na brzeg dodatkowe dziesięć tysięcy ludzi, którzy pójdą z nami. W końcu mają noże.

Król machnął ręką.

– Nie, wystarczająco dobrze to uzasadniłeś, Ksantypposie. Jestem ci wdzięczny za rozważne podejście. Dobrze. Myślę, że ci ludzie podołają wyzwaniu. Prawa flanką jest moja oczywiście. Obejmiesz lewą?

To pytanie było równocześnie rozkazem i Ksantyppos potaknął.

– Tak, jeśli tego sobie życzysz. Za twoim pozwoleniem Epikleos i... – zaczął na przyzwolenie Kimona – ...obecny tu Kimon obejmą dowództwo nad środkiem. Pozwoliłem sobie posłać zwiadowców w głąb lądu, aby odszukali naszych wrogów. Jest ich tylu, że nie ukryją się przed nami.

– Może też być i tak... że uciekli – powiedział Leotychidas.

Ksantyppos kiwnął głową. To też było możliwe, w końcu Persowie porzucili swoje okręty. Pomyślał jednak o zasadzce, w jaką przed laty wpadł biedny Miltiades. Kimon wyglądał dość niepewnie, lustrując wzrokiem wznoszący się dalej teren. Z miejsca, w którym stał, niepodobna było stwierdzić, co znajduje się za linią drzew. W przypadku Miltiadesa była to przeważająca perska siła i koniec wszystkich nadziei.

– Wówczas będą uciekać dalej, Wasza Wysokość. Zamierzam zakończyć sprawę w tym miejscu. Jako że nasze okręty są bezpieczne, pozwolę sobie... za twoim pozwoleniem... spalić ich galery. Nie będzie już dla nich powrotu na morze.

– Bardzo dobrze. Działajmy – nakazał Leotychidas.

Ksantyppos skłonił się przed nim, a gest ten powtórzyli Kimon i Epikleos. Czterej mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, odnajdując w tym geście wzajemne wsparcie. Gdy król dotarł do swoich Spartan na prawym skrzydle, podniósł rękę, gotów wydać rozkaz.

Jeden ze zwiadowców wrócił, gnając jak na wyścigach. Ksantyppos uniósł dłoń, dając znak Spartaninowi. Odczekał chwilę, aż biegacz odetchnie, i pochylił głowę, aby go wysłuchać.

– Oni są... kawałek dalej w głębi lądu, uformowali szyk i czekają na nas. Piętnaście albo dwadzieścia tysięcy. Nie mają jazdy...

Ksantyppos kiwnął głową. Mogli uciec, ale nie spodziewał się, że to zrobią. Nagle przypomniał sobie bójkę, którą stoczył kiedyś w dzieciństwie. Gonił chłopaka przez kilkanaście ateńskich ulic, aż tamten dobiegł do domu i stanął na progu. Choć przedtem uciekał, teraz odwrócił się, woląc stawić czoło losowi. Ksantyppos dobrze widział jego zdecydowanie i w jakimś sensie je podziwiał. Gdy wybiegła jego matka, Ksantyppos wycofał się i pobiegł, śmiejąc się i wykrzykując. Wtedy byli chłopcami. Teraz było inaczej.

Pchnął jednego posłańca do Leotychidasa, a drugiego do Kimona i Epikleosa. Po czasie tak długim, że zdawało się, iż upłynął wiek, wszyscy otrzymali wiadomość i podnieśli ręce, sygnalizując gotowość do wymarszu. Ksantyppos wciągnął głęboko powietrze.

– Wróg w pobliżu! Tarcze w pogotowiu! Przygotować włócznie... Naprzód!

Przepuścił dwa pierwsze szeregi i włączył się do trzeciego, obok Aryfrona. Obejrzał się za siebie, gdzie śladem brata podążał Perykles, smukły i trzymający się prosto pomimo ciężkiej tarczy i włóczni.

Hoplici z kilkunastu miast-państw parli naprzód, opuściwszy hełmy ze spizu albo lżejsze, z filcu, unosząc włócznie na tyle wysoko, aby nie poranić nóg idących przed nimi. Spizowe zbroje i hełmy lśniły w słońcu. Prędko przeszli przez wydmy i wkroczyli między pierwsze drzewa. Za nimi widać było smużki dymu wylatujące z greckich okrętów i lądujące między zakotwiczonymi okrętami perskiej floty. Niebawem wszystkie one stanęły w ogniu, a płomienie przeskakiwały z rykiem z pokładu na pokład. Ciemny dym wznosił się wysoko i może widać go było aż w Grecji, taką przynajmniej mieli nadzieję. Ta flota nigdy już nie wyruszy w morze, by stwarzać zagrożenie i zabijać. Persowie przybyli na wojnę. To zaś był koniec, na który zasłużyli.



Arystydes rozkazał mocno przyspieszyć kroku, aby zdążyli dotrzeć do karawany wozów jadącej przez równinę. Perska jazda poczyniała sobie coraz śmieiej. W ciągu zaledwie godziny podjechała niebezpiecznie blisko. Napotkała opór ze strony skrajnych linii hoplitów, gdzie w narzucony porządek powoli wkradał się chaos. Hoplici nie zdołali skutecznie osłaniać helotów tarczami i nastawiać włócznie, utrzymując zarazem szyk.

Skutkiem tego trasę ich pochodu znaczył krwawy ślad. Po każdej zastawie z tarcz, od których odbijały się strzały i rzucone oszczepy, przynajmniej jeden Grek krzyczał z bólu i potykał się, zostając w tyle. Niektórzy upadali i leżeli nieruchomo. Inni, ranni, nie mogli dotrzymać kroku towarzyszom. Wykrzykiwali słowa pożegnania, po czym samotnie zwracali się przeciwko wrogom.

Gdy po raz pierwszy coś takiego się zdarzyło, jeźdźcy zawrócili w wielkim podnieceniu. Krążyli z wyciągniętymi mieczami, najeżdżając na rannego hoplitę. Zapomnieli, że wciąż może być niebezpieczny. Rozległy się wiwaty, gdy zdążył przeszyć włócznią dwóch jeźdźców, zanim trzeci podciął mu nogi. Zdarli z niego pancerz i tarczę i triumfalnie wymachiwali nimi na oczach maszerujących Greków.

Pył pomagał. Trzydzieści tysięcy helotów wzbijało ruchomą ścianę kurzu, mieniającą się złoto i różowo na tle prześwitującego przez nią słońca. Arystydes, choć kaszłał i mrugał, przecierając oczy, wdzięczny był za suszę ostatnich dni. Oczywiście znaczyło to również, że zarówno on, jak i pozostali maszerowali z wyschniętymi ustami, w których zgrzytał piasek. Jego naprędce zebrana armia niosła zaledwie kilka bukłaków pospiesznie napełnionych wodą ze strumienia, zmieszaną lekko z winem dla dodania wigoru. Gdy tak szli, wznosząc tumany pyłu, stracili z oczu coraz bardziej malejący perski obóz, który znajdował się daleko za ich plecami. Było tak, jakby sama ziemia stawała się ich sojusznikiem. Arystydes miał nadzieję, że rzeczywiście tak jest.

Przywódca karawany patrzył zaszokowany, gdy nagle przed nim, jak z wnętrza burzy piaskowej na podobieństwo pustynnego dzina wyłoniła się cała

armia. Na ten widok zatrzymał swoje zwierzęta i zsiadł, po czym rzucił się na kolana. Arystydes podszedł i podniósł go.

– Skąd jesteście? – zapytał.

– Z miasta L-Leuktry, kyriosie... Przywieźliśmy dary na ofiarę za zwycięstwo nad Persami. Mięso i wino dla ludzi. Kyriosie, ta nędzna karawana jest wszystkim, co zdołaliśmy dla was zebrać, a-ale...

– Jedźcie dalej – rzucił Arystydes. – Trzymajcie się blisko nas, a może dotrzecie bezpiecznie. Jeżeli zostanieie w tyle, spalę wozy i zostawię was na pastwę wroga.

Gdy przywódca karawany stękał, ciągnąc swoje wyjaśnienia, Arystydes wypatrywał w dali pierwszych perskich jeźdźców. Spragnieni zwycięstw Persowie w końcu okrążyli greckie siły, wykorzystując swoją szybkość i zasięg. Pył wokół stojących szeregów zaczął opadać, ukazując je oczom jeźdźców.

Arystydes był wystarczająco blisko, by dostrzec, jak pokazują ich sobie palcami z wyrazem konsternacji. Zawracali wierzchowce w miejscu, krzycząc coś do siebie nawzajem i przypatrując się greckiemu wojsku. Heloci nie wyglądali jak hoplici, na pewno nie dla patrzących z bliska. Choć niektórzy mieli tarcze i włócznie, to jednak większość miała po prostu noże albo pałki. Nie mieli nagolenic ani hełmów. Ich nogi były gołe. Niektórzy mieli czapki z filcu albo psiej skóry, a tuniki spięte rzemieniami.

Z daleka wyglądali na potężną siłę, wielką armię. Jeźdźcy zobaczyli jednak w końcu, jaka jest prawda. Arystydes wzdrygnął się, gdy od strony wroga dobiegł wielki krzyk. Polowanie się zaczęło i tym razem to on był zwierzyną. Nie mając żadnej szansy na reakcję, mógł tylko biernie obserwować, jak setki jeźdźców popędziły w stronę obozu. W jaki sposób odpowie wódz Mardoniusz? Wciąż musiał liczyć się z zagrożeniem ze strony spartańskich sił na flance, gotowych uderzyć na niego, gdy tylko wyściubi nos. Wiedział jednak zarazem, że dowodzi dwustoma tysiącami ludzi. Z pewnością nie musiał się obawiać żadnej greckiej siły.

Arystydes zawrócił wraz z karawaną, która została wchłonięta przez masy helotów. Ruszyli za hoplitami, którzy w powrotnej drodze pomaszrowali przodem, stanowiąc czoło kolumny. Niewolnicy wyglądają na bardzo zdeterminowanych, pomyślał Arystydes. Heloci wokół niego trzymali w zaciśniętych dłoniach noże i szli z podniesionymi głowami. Myślał, jak to jest, dorastać do męskości u boku Spartan i wiedzieć, że niezależnie od tego, jak silny się staniesz, zawsze będziesz dzieckiem w oczach tych, których własność

stanowisz. Zadrzał na tę myśl. Uczynić dziecko z dorosłego mężczyzny było czymś potwornym, nawet jeśli mówiono, że to z miłości.

Perska jazda zniknęła w tyle, niosąc wieści swemu panu. Tylko kilku zostało, aby obserwować hoplitów i ich dziwnych towarzyszy. Ci młodzi mężczyźni wyrzucili już wszystkie swoje włócznie, mogli więc tylko patrzeć i szczerzyć szyderczo zęby. Arystydes podbiegł truchtem do przodu, gdzie hoplici maszerowali w szyku o grubości czterech szeregów jako spiżowa osłona helotów. Dotrzymał kroku ich pierwszemu szeregowi, obserwując swoich ludzi idących przodem. Stanowili w marszu imponujący widok. Blask bił od grotów włócznie, spiż połyskiwał złociście. Był z nich bardzo dumny.

Poczuł jednak gwałtowny skurcz w żołądku, gdy uderzyła go jedna myśl. Nie wiedział, czy w tym momencie maszeruje do bitwy, a jeśli tak, to czy heloci stawią opór, czy też pójdą w rozsypkę i uciekną na pierwszy bitewny okrzyk. Czy kiedykolwiek zdoła zrozumieć takich ludzi? Urodzili się w niewoli. Byli tutaj tylko dlatego, że Pauzaniusz bał się zostawić ich w Sparcie! Idąc obok nich, zastanawiał się, czy mają pośród siebie kogoś w rodzaju przywódców. W ludzkich grupach to naturalne, że wyznacza się jednego lub dwóch, aby przewodzili reszcie. Czy odnosiło się to także do tych, którzy żyli jako niewolnicy? Spojrzał na najbliższego, o kilka kroków od niego. Był to niski, zarosnięty mężczyzna o czarnych oczach i ostrym nosie.

– Czy w ogóle potraficie walczyć? Wy, heloci? – zawołał do niego.

Mężczyzna schylił głowę, gdy zrozumiał, że to do niego się zwraca. Jego reakcja przywodziła na myśl często bitego psa. Arystydes spróbował jeszcze raz.

– Będziecie walczyć, jeśli Persowie zaatakują? Czy mam was odesłać do waszych panów na wzgórzach? Macie tylko kilka tarcz i włócznie.

Ponury helota wciąż nie odpowiadał. Arystydes sięgnął, by złapać go za ramię, ale tamten otrząsnął się i gwałtownie odskoczył, znikając w tłumie swoich towarzyszy.

– Dlaczego mielibyśmy walczyć? – zapytał nagle inny.

Był młodszy, miał pokryte bliznami ręce i mocno zniekształcony mięsień na udzie, pewnie po starej ranie, która źle się zagoiła. Kulał, jak zauważył Arystydes, dostosowując do niego krok.

– Czy Persowie są naszymi wrogami? – ciągnął mężczyzna. – Dlaczego? Czy oni w ogóle coś nam zrobili?

– Nasączą tę suchą ziemię waszą krwią, jeśli uciekniecie – odparł twardo Arystydes. – W tym rzecz.

– Chcecie, żebyśmy walczyli bez tarcz? Dla was, tak? Dla Spartan?

Arystydes przyglądał mu się przez chwilę. Jakiegoś innego dnia mógłby z przyjemnością rozważać tę kwestię, na przykład na Pnyksie z Temistoklesem, Ksantyposem i Kimonem czyniącymi rozmaite uwagi. W tym jednak miejscu zarówno hoplita, jak i helota maszerowali w stronę ogromnego obozu nieprzyjaciół, którzy już zbierali się przeciwko nim. Nie miał cierpliwości, by wytaczać jakieś mocne, przekonujące argumenty. Wojna zabrała mu wszystko, co ukochał. Wszystko, co nadawało wartość jego życiu. Poczł narastający gniew.

– Czy kiedykolwiek przedtem opuszczałeś Peloponez? – zawołał, podnosząc głos na tyle, by dotarł do jak największej liczby idących.

– W normalnych czasach to zabronione – odrzekł młody mężczyzna, wzruszając ramionami. Odwrócił wzrok, zawstydzony swoim stanem i niską pozycją w świecie. Mówił do wolnego człowieka z Aten i nie potrafił spojrzeć mu w oczy.

Arystydes pokręcił głową.

– Powiedz mi zatem, kiedy znowu trafi ci się taka szansa. Jeśli nie walczysz dla Sparty, to walcz dla Aten! My wyzwoliliśmy niewolników, którzy sięgnęli po broń pod Salaminą. Pomyśl o tym dzisiaj.

Poczł, jak setki głów obracają się w jego stronę, i przełknął ze wstydu ślinę. Sparta nigdy nie wyzwoli tych ludzi, choćby nie wiadomo co zrobili. Wolność była czymś, czego nigdy wcześniej im nie oferowano, czego nawet sobie nie wyobrażali. Temistokles by to zrozumiał, pomyślał. To byli prości ludzie, ale on ich potrzebował, żeby wytrwali za wszelką cenę. Nawet gdyby miał im dać fałszywą nadzieję. Trudno było odpowiedzieć na ich pełne respektu spojrzenia, ale zrobił to.

Arystydes ujrzał w oddali przed sobą rosnącą na równinie ciemną linię. Wokół niej wznosił się tuman pyłu niczym wzmagająca się z każdą chwilą burza. Przełknął pęczniącą w gardle grudkę strachu. Persowie wyszli w pole. Hoplici byli tylko cienką złocistą kreską. Nagle pojął, że będzie świadkiem ich śmierci, że sam straci życie, a wszystko dla głupiej karawany z żywnością. Miał gonitwę myśli. Szyk to podstawa. Musiał zadbać, aby był właściwy. Musiał...

Jakaś dłoń dotknęła jego ramienia. Był to starszy z dwóch helotów, ten, który się usunął, gdy do niego przemówił.

– Sparta nie wyzwala helotów – powiedział szorstko. – Nigdy. Nie ma dla nas żadnej nadziei.

Arystydes otworzył usta, ale nie zdołał temu zaprzeczyć. Nie potrafił. Kiedy milczał, mężczyzna kiwnął głową z wyraźnym smutkiem.

– A to, co mówiłeś, to prawda? Ateny naprawdę uwalniają swoich niewolników? Nigdy o tym nie słyszeliśmy.

– Archont Ksantyppos zaręczył za to słowem. Ktokolwiek walczył albo wiosłował dla nas tamtego dnia, został wyzwolony. Nawet jeden z jego domowych niewolników odzyskał wolność, jak słyszałem.

Arystydes wiedział, że Temistokles znalazłby odpowiednie słowa, żeby zmanipulować tego mężczyznę. Sam takich szukał, ale helota wyciągnął rękę i ponownie poklepał go po ramieniu uciszejacym gestem.

– Co roku urządzają wielkie polowanie – oznajmił – żeby ograniczyć naszą liczbę.

Z szeregów dobiegł pomruk tych, którzy usłyszeli jego słowa. Sama pamięć o tym była dla nich trudna do zniesienia. Mężczyzna ciągnął dalej:

– Ich młodzi wojownicy ćwiczą się na nas, goniąc nas po ulicach i wzgórzach. Biją nas i ścinają za spojrzenie, wiedziałeś o tym? Albo zmuszają do wypicia dużej ilości wina, po czym każą tańczyć dla śmiechu. *Nigdy* nie będziemy wolni. A jednak... niektórzy z nas będą wolni już dzisiaj, jak mi się zdaje. Na imię mam Poliemos. Może któregoś dnia zobaczę Ateny. Bardzo bym chciał.

Uśmiechnął się, ale był to dziwny, gorzki uśmiech. Klepnął Arystydesa w ramię, po czym spojrzał w lewo i w prawo, jakby czegoś oczekiwał. Wszyscy heloci wokół rozmawiali o czymś z ożywieniem. Arystydes słyszał ich głosy już wcześniej, ale nie zrozumiał, że naradzają się, co robić. Szmer ich głosów był jak morze albo szum wiatru wśród drzew. Jeden z nich bez zapowiedzi podniósł głos do krzyku, który zabrzmiał jak ryk komendy na paradzie.

– Heloci! My, którzy jesteśmy zapomniani! My, którzy jesteśmy jak psy! My, którzy jesteśmy *liczni*! Czy kiedy Spartanie na nas patrzą, spróbujemy im o sobie przypomnieć?

Najpierw rozległ się cichy ryk, jak warkot bez słów, który sprawił, że Arystydes obrócił głowę, rozglądając się wokół. Oto byli gniewni mężczyźni, a może po prostu mężczyźni. Jeśli nawet wiedzieli, że ich obserwuje, to chwilami o nim zapominali. Rozmawiali tylko między sobą. Któryś zawył jak wilk. Odpowiedziały mu tysiące gardeł, a kiedy wycie przycichło, jego głos stał się żałobny, niemal trudny do zniesienia.

– Jest dla nas tylko jedna wolność! – krzyknął nad głowami jeszcze inny. – Przez wybór walki i śmierci. Jeśli tak powiemy, tak będzie. My, zapomniani! My, psy! My, którzy jesteśmy *liczni*!

Słowa te zostały podjęte przez tysiące pozostałych i były jak rozlegający się wokół zaśpiew. Arystydes nie myślał już o nich, maszerując naprzód. Byli jak jeden mur, który każe Persom się zawahać. Poczuł, jak serce mu rośnie, i wiedział już, że będą walczyć, zębami i pięściami, jeśli będzie trzeba. Mieli przypomnieć Spartanom, ilu ich jest i że są mężczyznami. Ciekaw był, czy Pauzaniasz wciąż będzie ich potem kochał.

Z przeciwka, z każdym krokiem bliższa, zmierzała im na spotkanie perska piechota. Arystydes przełknął ślinę, tłumiąc w sobie strach na widok takiej liczby wojska, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Mieli na sobie przeszywane kubraki i nieśli wiklinowe tarcze. Byli tam Medowie, Egipcjanie, Etiopczycy i Persowie czystej krwi, fala wojowników wielka jak ocean, gotowa zgnieść ich i zatopić.

Posłał modlitwę do Ateny. Spotka ich z hoplitami na przedzie, jak spizowym grotem włóczni, za którymi pójda heloci. Będzie musiał rozciągnąć ich dość cienko, aby uniknąć sytuacji, gdy perski front ogarnie ich z boków jak rogi byka. Wątpił, czy to wystarczy. Tamci szli szeroko, obejmując cały horyzont.

Szyk złożony z dwóch szeregów zostanie przełamany w tysiącach miejsc, przytłoczony liczebną przewagą. Ale tylko tyle mógł zrobić. Właśnie nabrał powietrza, by wykrzyczeć rozkaz, gdy opadła mu szczęka na widok helotów wokół, którzy nagle przyspieszyli kroku i pobiegli przodem. Byli jak potop. Dowódcy, których im przydzielił, zostali w tyle, nagle widoczni i osamotnieni w marszu.

Arystydes poczuł przypływ lęku. Heloci niewątpliwie zostaną rozsiekani. Nie sądził jednak, żeby się cofnęli, gdyby im rozkazał. Patrzył, jak wroga linia rośnie, i modlił się, żeby Pauzaniasz śledził rozwój sytuacji i sprowadził swoje główne siły. Gardło miał suche jak pergamin, usta mu popękały. Za późno było na wypicie czegokolwiek. Chcieli czy nie chcieli, czekała ich bitwa.

Mardoniusz ruszył. Jego koń rzucał głową, walcząc z ograniczeniami wędzidła i uzdy. Podobnie jak jeździec, wierzchowiec czuł narastające podniecenie. Mardoniusz od samego rana obserwował wymarsz znacznych greckich sił, od początku podejrzewając podstęp. Grecy byli przebiegłymi draniami; wiedział o tym, mając do czynienia z greckimi sojusznikami. Tutaj jednak nie potrafił zrozumieć, o co Grekom chodzi. Ale to nie zwodniczy ruch wojsk wyciągnął go z obozu. Podstęp zawierał się w tym, *kim* oni byli – niewolnikami maszerującymi jak wojsko. W towarzystwie grupki ateńskich hoplitów, których obecność miała przydać im groźnego wyglądu, jakiego nie mieli.

Jego jazda krążyła w pobliżu środka armii, pozbawiona dowódcy Masistiusza. Mardoniusz dotkliwie odczuł tę stratę, kiedy wyruszył na czele piechoty. Kiedy po raz drugi powściągnął konia, stanął jak skała w bezkresnym morzu ludzi przepływających we wszystkich kierunkach. Mardoniusz dowodził środkiem, Artabazus lewym skrzydłem, Hydarnes zaś wraz z Nieśmiertelnymi i Tebańczykami zajął skrzydło prawe. Sam poprosił o ten zaszczyt. Nieśmiertelni dążyli do walki z czerwono odzianymi Spartanami, pragnąc zemsty za Termopile. Mogli odzyskać swoją reputację jedynie po spartańskich trupach.

Mardoniusz zerknął na zbocze góry, skąd nagle zaczęły schodzić połyskujące złotem i srebrem greckie siły. Podążały zrazu równolegle do niego wzdłuż podnóża górskiego masywu, po czym schodziły na równinę, występując przed czoło jego armii. Wyszczerył zęby w uśmiechu. Teraz był już pewien, że bitwy nie da się uniknąć. On był burzą, a oni zostali w nią wciągnięci. Kawalek po kawałku, miasto za miastem mieli doświadczyć perskiej sprawiedliwości.

Na tle ogromu gór wyglądali niemal jak dziecięce zabawki, błyszczące jak szkło. Mardoniusz odetchnął, wciągając do ust suchy pył. Jego armia była wichrem, wiatrem pustyni! Nawet Spartanie wydawali się maleńcy w porównaniu z nim. Mardoniusz widział przez jakiś czas ich czerwone płaszcze, do chwili, gdy wszyscy znaleźli się na równinie, łącząc się razem w większą siłę. Kiwnął głową z satysfakcją. Zeszli z gór, tak jak się spodziewał. Wyruszył przeciwko ich niewolnikom, a oni musieli na to zareagować.

Mardoniusz stracił ich z oczu, gdy pył zgęstniał i utworzył wielką chmurę. Sam też wciągał go do płuc, czując jego smak.

Wódz wydał głośny wojenny okrzyk, triumfalny ryk, który dotarł do uszu maszerujących oddziałów. Bał się tylko tego, że Spartanie wedrą się na jego flankę, gdy uderzy na ateńskie siły na równinie. Nie dbał o niewolników maszerujących jak wojsko! Jego ludzie mogli przejść przez nich na wskroś, ledwo zwalniając kroku. Nie, to Ateny i Sparta rzuciły wyzwanie królowi Dariuszowi, a potem Kserksesowi. To oni byli fundamentem całej rebelii i za nimi poszła reszta. Był pewien, że pozostali Grecy upadną, kiedy siły tych dwóch miast-państw zostaną rozbite.

Tymczasem ostatni Grecy zeszli na równinę. Kłęb pyłu posuwał się naprzód i rósł przed nimi jak drzewo, utrudniając widzenie. Mardoniusz spojrzał z dumą, gdy obok przejechał jeden z jego synów. Byli ludźmi imperium, pochodzili z dobrego rodu. Król Kserkses obiecał mu w darze całe miasto, jeśli zdoła wiać Greków pod but. Mardoniusz pokręcił głową w zachwycie, gdy przypomniał sobie złożoną przez króla obietnicę. Być może któryś z jego synów będzie rządził tam po nim, a dynastia zacznie się właśnie dzisiaj. Była to złota myśl.

Na przedzie pierwsze piesze oddziały odtrąbiły rozkaz do ataku. Szeregi greckich niewolników pokrył wzbijany przez nich kurz, gdy obie strony ruszyły na siebie. Serce zabiło mu szybciej, gdy pofrunęły pierwsze włócznie, padły pierwsze ciosy i zaczęli ginąć pierwsi ludzie. Oto była broń, jaką umiał się posłużyć. Grecy spotkali się z nim na suchej równinie i to go cieszyło.

\* \* \*

Cud polegał na tym, że nie załamali się w pierwszych chwilach. Przez gęstniejącą chmurę kurzu Arystydes zobaczył helotów uderzających na uzbrojone linie wroga. Z podziwem patrzył, jak rzucają się na nich setkami, zabijając w szale. Ilu z nich praktykowało spartańską sztukę walki w ciemnościach sypialnych pokojów, ucząc się jej na uboczu? Wiedzieli, że Spartanie nade wszystko cenią odwagę i umiejętności, bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Może niektórzy próbowali uszczknąć z tego coś dla siebie. A może po prostu nie bali się śmierci.

Heloci nie mieli zbroi. Zanim przykryły ich obłoki pyłu, Arystydes zdążył dostrzec, jak wciąż wbijają noże w gardła i uda, we wszystko, czego mogli dosięgnąć. Od pierwszych chwil ginęli setkami, zabijani przez ciemnoskórych mężczyzn w przeszywanych kubrakach. Byli nadziewani na włócznie i rozrąbywani długimi mieczami. A jednak ci, którzy uderzyli pierwsi, nie



tchórzli. Oddawali życie z gwałtowną żarliwością, na co nigdy dotąd im nie pozwalano.

Pył stanowił również odrębne źródło strachu dla tych, którzy walczyli w jego chmurze. Gwałtowne kroki dziesiątków tysięcy wzbijały kurz i pokrywały nim wszystkich, zalepiał oczy i sprawiał, że blask słońca stał się tylko przyćmioną poświatą. Arystydes ogarniał wzrokiem tylko trzydziestu, najwyżej czterdziestu ludzi po obu stronach. Przypominało to zagubienie we mgle. Kroczył w kręgu w miarę przejrzystego powietrza, podczas gdy cała reszta była jak koszmarne sen.

Szczęk żelaza i krzyki brzmiały przeraźliwie. Hałas zdawał się rozrywać twarz i przygniatać piersi. Mężczyźni krzyczeli ze wszystkich stron, a on nagle powrócił myślą do wszystkich bitew, które znał, przelęknięty i wściekły, i marzył tylko o tym, żeby przeżyć, zabijając wszystkich będących przyczyną tego uczucia. Maszerował w szeregu hoplitów, a przed nim heloci umierali jak jagnięta. Nawet nie wyobrażał sobie, że można stanąć przed perską piechotą bez tarczy i zbroi, tylko z pałką w ręku albo kuchennym nożem. Oni jednak to robili i ginęli z powodu tej dzikiej odwagi. Miał nadzieję, że na koniec osiągną jakiś rodzaj wolności.

W tej pyłowej burzy trudno było ocenić upływ czasu. Arystydes stracił rozeznanie pola bitwy i nie wiedział już, gdzie znajdują się główne siły. Wiedział, że powinien kierować się ku nim i połączyć ze Spartą i Koryntem. Jednakże w powstałym chaosie szyki napierały i zmieniały kierunek, trudno więc było stwierdzić, dokąd iść. Nienawidził tego, nie cierpiał zamieszania. Znaczyło to zaś tyle, że odebrano mu rolę dowódcy i stał się nagle zwykłym wojownikiem w szeregu innych, z włócznią i tarczą, jak wszyscy. Arystydes parł do przodu w ciasnym szyku, deptając po ciałach martwych helotów.

Kiedy ci w końcu zaczęli ulegać, rozległ się wielki krzyk rozpacz, przez który poczuł wielki żal w sercu. Tysiącami rzucali się na włócznie i miecze Persów, oddając życie. Być może wszyscy najdzielniejsi zginęli albo leżeli ranni gdzieś na ziemi, nie mając siły, by wstać i walczyć dalej. To był największy lęk, który nagle go opanował. Gdy heloci zaczęli się cofać, spychali hoplitów. Ateńczycy mieli stanąć przeciwko perskim szeregom, ale nie mogli ciąć helotów, zakrwawionych i zdyszanych, którzy usiłowali się przez nich przepchnąć.

Arystydes ryknął do swoich ludzi, żeby utrzymywali linię z tarcz, ale było to już niemożliwe. To, co zrazu było bitwą, przeszło miejscami w pogrom. Heloci napierali na nich z szeroko otwartymi, dzikimi od strachu oczyma. Potknął się i niemal upadł na ziemię. Ateńczykom udzieliła się częściowo ich panika i w tym

straszliwym chaosie i zaślepieniu również zaczęli się cofać przed nieprzeliczonym, bezlitosnym wrogiem. Nie mogli zwyciężyć, nie tego dnia. Śmierć stała obok nich. Ostatni heloci przedarli się przez nich, ale panika i chaos wciąż się szerzyły. Arystydes nie mógł powstrzymać przeciwnika, który wyczuł ich słabość i zaczął przeć do przodu.

– Falanga! Utworzyć falangę! Osiem szeregów! – ryknął do swoich. – Na Atenę, zbierzcie się! *Tarcze razem! Złączyć tarcze!*

Jego ludzie patrzyli w okrutne twarze Persów i zaczęli się bać. Słyszał raczej, niż widział, że hoplici próbują sformować sześć zwartych szeregów. Po rozgromieniu i masakrze helotów nie było potrzeby tworzenia szerokiej linii. Falanga nadal mogła najeżyć się włóczniami i uratować im życie. Modlił się o to.

Arystydes rozglądał się nerwowo, gdy nagle z lewej strony dobiegło wycie. Uświadomił sobie, że walka nadal trwa. Przeklęty pył uniemożliwiał zorientowanie się, w którym miejscu pola bitwy się znaleźli. Usłyszał jednak perskie rogi i z dziwną pewnością uświadomił sobie, że jego hoplici zostali otoczeni przez przeważającą liczbę Persów. Gdzie był Pauzaniasz? Wszyscy heloci uciekli i cały cud ich odwagi ulotnił się wraz z nimi. Karawana zniknęła, pociągnięta gdzieś przez przerażone zapachem krwi i odgłosami bitwy zwierzęta. Arystydes otarł pot z oczu. Potrzebował wsparcia albo będzie skończony. Za każdym razem, gdy odrobinę rozwiewał się kurz, wyglądał choćby śladu czerwonych płaszczy. Widział jednak tylko własnych ludzi ubranych w spiz i ich drżące od naporu włócznie. Byli otoczeni przez wroga.

Ksantyppos po przekroczeniu wydmy cały zlany był potem. Persowie czekali kawałek dalej. Nie uciekli. Zamiast tego załogi i wojownicy z sześćdziesięciu okrętów sformowali na równym gruncie nierówny szyk. Wiatr wiał od ich strony, niosąc ze sobą zapach korzennych przypraw oraz dawnych wspomnień. Ksantyppos przyłapał się na tym, że wraca myślami do Maratonu, jedenaście lat i całe wieki wstecz. Był wtedy młodszy i znacznie pewniejszy swoich sił. Ale i teraz nie było w nim żadnych wątpliwości. Ściągał Persów aż do domu, aby mieć pewność, że nie powrócą. Ich flota płonęła za jego plecami, a on wyłonił się jak z ognistego piekła. Może hoplitów było mniej, ale wszyscy byli dobrze wyćwiczeni i uzbrojeni. Był też z nimi król Sparty oraz Grecy z wszystkich miast-państw, które nie chciały się pokłonić Persom, ofiarowując wodę i ziemię.

Spojrzał w lewo i w prawo na zwartą falangę. Przed sobą słyszał perskich dowódców rzucających komendy. Z ich szeregów wzniosła się wolno w górę chmura strzał, tak bardzo powoli! Jak pączkujące kwiaty. Ksantyppos wykrzyczał rozkaz nie tylko do ateńskich hoplitów, ale do wszystkich, którzy tu z nim przyszli. Hellenów, swoich synów, wszystkich.

– Tarcze wysoko... i czekajcie! Zewrzeć tarcze!

Na jego szeregi spadł deszcz złocistych kropel. Zagrzechotały o tarcze jak grad, ale nie było między nimi luk i nie rozległy się żadne okrzyki bólu. Hoplici warknęli gniewnie, opuszczając tarcze. Niektórzy użyli mieczy, aby obciąć utkwione w nich i drżące promienie strzał. Inni pozostawili je jako trofea. Hoplici oddychali ciężko, gotowi przystąpić do najtrudniejszej w życiu pracy, po której nawet najsilniejsi byli ceglasto czerwoni na twarzy. Nic nie kosztowało mężczyznę tyle wysiłku, co zabijanie w falandze, które tak nadwerężało mięśnie, że już po wszystkim trudno było nawet unieść ramię. Połowa tych, którzy ginęli w bitwach, umierała dlatego, że nie mieli siły, by zablokować spadający cios. Ksantyppos posłał modlitwę do syna Apollina, Asklepiosa, boga zdrowia. Poprosił też o błogosławieństwo Aresa, który zawsze był tam, gdzie przelewano krew. Bóg wojny musiał być obecny na tym polu nad morzem, pod patrzącą na wszystko wyniosłą górą. Śmierć będzie czuwała nad jego prawym ramieniem.

Może będzie też z nim któraś z Mojr, ubrana w białą suknię, gotowa przeciąć nożycami nić życia. Ateńczyk zadrżał, wyobraziwszy sobie jej wpatrzony w niego wzrok.

Spojrzał na Aryfrona. Ostrze lęku, który on wcześniej poczuł, oczywiście nie dotknęło młodego mężczyzny. To ojcowie mieli się martwić, nie synowie. Jeszcze raz się rozejrzał. Żaden z mężczyzn nie odpowiedział mu spojrzeniem. Całą uwagę skierowali na wroga. Poczuli jednak na sobie jego wzrok zakłócający koncentrację. Najpierw jeden, potem dwóch, trzech, a wreszcie kilkudziesięciu innych zerknęło, by sprawdzić, kto na nich patrzy. Kiedy zrozumieli, że to sam Ksantyppos, skłonili głowy. Niektórzy się uśmiechnęli, pokazując, że mają do niego zaufanie. Byli ludźmi ze spiżu, złotymi hoplitami. Persowie może i byli liczni, ale to słabi wojownicy. Grecy byli myśliwymi, gończymi psami. Osaczyli jelenia i zamierzali dokończyć dzieła.

Kolejna fala strzał wleciała w górę, tym razem niższym łukiem. Ksantyppos wykrzyknął rozkaz, ale nie był on już potrzebny. Hoplici znowu zwarli tarcze i nie zwalniali marszu. Jeden zaklął, gdy strzała przeszła mu nadgarstek. Ksantyppos zobaczył, jak mężczyzna owija wokół rany pasek tkaniny, po czym przywiązuje dłoń do uchwytu tarczy, zaciskając go mocno zębami. Któryś z towarzyszy pochylił się ku niemu, mrużąc słowa wsparcia. Wielu z tych mężczyzn było ojcami. Wiedzieli, co powiedzieć. W takich chwilach nie dobroć, lecz rubasny humor i żart sprawdzały się najlepiej. Nie dopuszczały słabości, zwłaszcza gdy naprzeciwko roіło się od nieprzyjaciół.

Ksantyppos opuścił niżej tarczę. Ciężko było nie osłaniać syna, gdy nadlatywały strzały, ale tysiące dni ćwiczeń wyrobiły w nim żelazne nawyki. Szedł razem ze swoimi ludźmi, trzymając w dłoni dorycką włócznię. Miała półtorej długości dorosłego mężczyzny i była straszliwą bronią. W ciasnym szyku, ze wsparciem napierających z tyłu szeregów, budziła przerażenie.

Persowie poruszyli się nieco, gdy tak szli na nich szybkim marszem. Nie było żadnych markowanych ruchów, żadnych manewrów. Żadnych flank ani wzmocnień, tylko parcie do przodu, tylko nacisk falangi. Ci z tyłu parli krok za krokiem, ci z przodu dźgali, cofali włócznie i dźgali znowu. Nie mogli się zatrzymać, nie mogli odpocząć pod tym straszliwym naciskiem z tyłu. Mieli przebić się przez wroga na wskroś albo umrzeć.

– Bądź blisko mnie, Aryfronie – powiedział Ksantyppos.

Starszy syn skłonił głowę, jak zwykle ufając jego osądowi. Bardziej niż Perykles. Aryfron od najmłodszych lat rozumiał, że ojciec cieszy się wielkim poważaniem i wie, co robi. Postanowił słuchać i uczyć się, aby stać się

mężczyzną podobnym do ojca, idąc za jego przykładem. Tego dnia miał się sprawdzić na polu bitwy, krocząc jego drogą. Ksantyppos czuł, jak pierś pęcznieje mu z dumy.

Nadleciała jeszcze niejedna chmura strzał, gdy zbliżyli się do Persów na sześćdziesiąt kroków. Perskim łucznikom strzelało się lepiej z tej odległości, wypuszczali więc strzały raz za razem, aż do opróżnienia kołczanów, które wcześniej obficie napełnili. Strzały nadlatywały i pękały, łamiąc się o spiż. Ksantypposowi głowa odskoczyła, gdy jedna ze strzał odbiła się od hełmu i pofrunęła w bok, zbyt szybka, żeby nadążyć za nią spojrzeniem. Jego tarcza przyjmowała ich uderzenia jak serie bokserskich ciosów, ale żaden grot nie przebił się przez nią na wylot, by zranić mu rękę. Grad odbitych drzewców spadał na ziemię, tworząc trzeszczącą pod stopami masę.

Ksantyppos zauważył, że łucznicy, opróżniwszy kołczany, wycofują się powoli. Pamiętał ich spod Maratonu. Pamiętał też, jak potem umierali w płytkiej wodzie, barwiąc morze na czerwono.

– Przednie szeregi! Włócznie w pogotowiu! – ryknął do swoich ludzi.

Grecy wzdłuż całej linii zgodnie opuścili długie drzewce z macedońskiego jesionu. Niektóre z nich były starsze od właścicieli, którzy dbali o nie, oliwili i szlifowali piaskiem, zabezpieczając groty przed rdzą. Teraz, opadając, zabłysły srebrzyście. Szerokie liściaste groty były zbyt grube, by je zgąć, i dostatecznie mocne, by przebić zbroję, nie tracąc ostrości.

Niektórzy Persowie rzucili własne krótkie włócznie. Kilka z nich trafiło w cel, inne jednak zginęły w powodzi złocistego spiżu, nie czyniąc Grekom szkody. Zostało czterdzieści kroków. Ksantyppos czekał z tym do ostatniej chwili i robił to świadomie. Epikleos wskazywał na niego, podkreślając wydany rozkaz. Dalej po prawej król Leotychidas opuścił hełm. Jego czerwone płaszcze wysunęły się nieco przed linię, prąc niepowstrzymanie do przodu. Ksantyppos widział to wszystko z wielką wyrazistością, jakby moment ten został wyrzeźbiony w szkłe. Poczł ukłucie lęku, że zbliża się jego śmierć, jakby nożyce losu miały przeciąć nić jego życia.

Chwila lęku przeminęła. Z tysięcy gardeł wyrwał się krzyk gniewu, wyzwania, nieczułości na ból. W odległości dziesięciu kroków Persowie utworzyli mur solidnie zaparty w ziemię. Ksantyppos nabrął do płuc powietrza i ryknął głośno:

– Uderzać! Włócznie! Uderzać!

Z odległości trzech kroków przednie szeregi rzuciły się nagłym zrywem do przodu, jak olimpijscy oszczepnicy wyrzucając nagłym ruchem ramiona

i wbijając włócznie w perskie zbroje. Zgodnie zagłębiły się w nich i wysunęły z powrotem, czerwone od krwi, po czym ponowiły ten ruch jeszcze raz i jeszcze. Za każdym uderzeniem falanga wydawała głośny okrzyk. Tarcze towarzyszy były ich ochroną, a włócznie zębami. Niektóre frakcje z każdym krokiem zadawały nowe pchnięcie, prąc naprzód skokami. Inne z każdym pchnięciem suwały stopami po ziemi, wzbijając tumany pyłu.

Zgniatani Persowie uginali się przed nimi. Choć niektórzy nadstawiali swoje włócznie, nie mogły one sprostać długością włóczniom greckim. Wrogowie z pierwszych szeregów padli, zanim zdążyli odebrać Grekom choćby jedno życie. Każde pchnięcie greckich włócznie przebijało ich tarcze i zbrojone blachą kubraki, po czym się cofało. Zanim zdołali zareagować, przychodziło nowe pchnięcie, któremu towarzyszył okropny jęk, i tak bez końca.

Persowie ulegli panice, gdy nie dostrzegli u Greków żadnej słabości. Szyk falangi był jak błyszcząca w słońcu opancerzona skóra. Odważni mężczyźni w zetknięciu z nią umierali jak dzieci, podczas gdy po greckiej stronie tylne szeregi napierały coraz mocniej, rycząc jak morska burza. Nie było sposobu powstrzymania tego naporu, gdy już się zaczął. Mogli przejść na wskroś albo zostać zmiażdżeni jak ziarna pszenicy w kamiennych żarnach.

Ksantyppos też parł do przodu. Naprzeciw niego część perskiej linii walczyła z rzadką umiejętnością. Nie zwykł bać się ich oddziałów, z wyjątkiem Nieśmiertelnych, których tu nie było. Ci ludzie jednak ubrani byli w obszywane blaszanymi pasami fartuchy i napierśniki. Mieli krótkie, ostre miecze i dobre tarcze. Nie było ich więcej niż stu w tej części szyku, ale zdołali się przebić przez pierwsze szeregi Greków i Ksantyppos stanął nagle twarzą w twarz z młodszymi i silniejszymi mężczyznami.

Dźgnął jednego włócznią w udo. Odpowiedział mu głośny jęk. Szarpnął mocno, ale grot utknął w ciele na dobre. Pers zaczął rąbać mieczem w drzewce włócznie, której grot tkwił w jego nodze. Ksantyppos zaklął i sięgnął po własny miecz. Liściaste ostrza włócznie robiono tak, by łatwo dało się je wyciągnąć, ale czasem i tak więzły. Zbyt wielu ludzi straciło życie, próbując je wyszarpnąć.

Wyciągnął miecz i uniósł wysoko tarczę, chroniąc towarzysza po lewej. Zauważył, że po jego prawej stronie znalazł się Aryfron. Stracił włócznie i Ksantyppos dostrzegł, że zablokował cios tarczą, po czym sięgnął po miecz. Poczł nagle spływający obficie z czoła pot, który zalewał mu oczy. Kiepsko widział i ciężko dyszał, ledwie nadążając z blokowaniem spadających na niego potężnych uderzeń młodego mężczyzny, który zadawał cios za ciosem. Był taki szybki! Jego miecz wydawał się żywą istotą. Instynkt wiele razy uratował

Ksantypposowi życie, ale wiedział, że jedno cięcie go dosięgło. Poczł zimno w miejscu zranienia i modlił się tylko, żeby nie okazało się na tyle poważne, aby odebrać mu siłę do walki i miejsce u boku syna.

Mężczyzna po lewej stronie padł z gardłem przeciętym pod hełmem niemal na wylot. Dwaj inni zajęli jego miejsce i natarli na Persów włóczniami, zabijając jednego i raniąc drugiego, który krzyknął głośno, po czym został cięty przez Aryfrona. Ksantyppos poczuł, że walczy o oddech, że rozmywa mu się wzrok, a serce bije tak mocno, że aż boli. Nie wolno mu było umrzeć, nie wolno! Ale ci, przeciwko którym walczył, byli młodzi i nie wydawali się zmęczeni. Zadawali mu szaleńcze ciosy, jakby zamierzali zrąbać stare drzewo. Czuł, że opuszczają go siły. Nie było szans na odpoczynek, na zaczerpnięcie tchu.

Aryfron zauważył, że tarcza ojca nieco opadła. Krzyknąwszy z furją, spróbował zbliżyć się do jego boku, ale Persowie wyczuli, że załamanie jest blisko, i zdwoili wysiłki. Rozpoznali grzebień na hełmie Ksantypposa i jego tarczę z lwem poprzecinaną jasnymi, złocistymi śladami po uderzeniach. Niemal zrąbali stary dąb i teraz pragnęli ujrzyć, jak upada.

Ksantyppos poczuł bezwład w jednej nodze i opadł na kolano. Nie wiedział, czy przyczyną jest rana, czy może serce odmówiło mu posłuszeństwa. Młody mężczyzna naprzeciwko marnował siły, tłukąc w jego tarczę, zamiast próbować zepchnąć ją w bok. Więcej włóczni pojawiło się po lewej i prawej, gdy falanga uzupełniła szyk i z rykiem wznowiła napór. Ksantyppos usłyszał krzyk przerażenia Peryklesa.

Ten głos poderwał go na nogi, jakby pociągnęła go jakaś nić owinięta wokół serca, pozwalając wstać. Odetchnął, próbując pozostać żywy na tyle długo, by zdążyć odzyskać nieco siły. Potrzebował po prostu kilku chwil. Kiedy Perykles krzyknął przeraźliwie, Ksantyppos zdążył zerknąć w tę stronę przez chwilę, schroniwszy się przysiadem hoplity pod uniesioną tarczą. Atakujący go mężczyzna widział jedynie hełm, tarczę i spiżowe nagolenice, lecz ani skrawka żywego ciała. Ale każdy cios rozlegał się głośno i odbierał mu siły.

Perykles nie krzyczał z powodu ojca. Ksantyppos nagle to zrozumiał. Ujrzał Aryfrona, jak trzyma się za bok i oddycha z trudem. Coś przełamało jego obronę i zraniło go.

Ksantyppos poczuł przejmujący chłód, gdy Aryfron się zachwiał. Krew płynęła z rany, ale wróg nie zamierzał pozwolić mu jej opatrzyć. Naciskał coraz śmieiej, zachęcony wahaniem, jakie wyczuł w tej części szyku.

Ksantyppos był zmuszony bronić się albo umrzeć. Od trzydziestu lat nosił miecz, tarczę i włócznię. Nagle powróciły stare instynkty, choć żalność

wykrzywiła mu twarz. Przez chwilę walczył bezwiednie. Jego ramiona pracowały tak, jakby były z żelaza, wznosząc się i opadając, dźgając i cofając. Walczący z nim Pers pochylił się, gdy ciął go w podbrzusze, przecinając arterię. Krew chlusnęła i wypłynęła zeń wraz z życiem. Następny pośliznął się w jej kałuży i upadł, a Ksantyppos zabił go straszliwym pchnięciem, które przyszpiliło go do ziemi.

Z całego perskiego szyku tylko ta mała grupa wytrwała. Na prawej flance Spartanie przełamali wrogie szeregi. Król Leotychidas ze swoją strażą wdarł się w ich głąb i przeszedł przez nie szybkim krokiem. Widać było tylko powiewające poły ich czerwonych płaszczy, gdy szybko pokonywali dystans. Reszta Persów rozsypała się jak pod naporem burzy, pokazując Grekom plecy i usiłując umknąć, by ratować życie. Strach ogarnął ich wszystkich, zaraźliwy jak plaga. Uciekali z wybałuszonymi oczyma, krzycząc z przerażenia. W ciągu paru chwil wola oporu i walki została starta w pył.

Ksantyppos nie mógł ich ścigać. Dotknął uda i z konsternacją ujrzał na dłoni plamę świeżej krwi. Odniósł ranę, która wciąż krwawiła. A jednak nie czuł bólu. Było to dziwnie nieprzyjemne wrażenie. Mężczyźni wokół niego wciąż parli naprzód, bo ci, którym nie dane było zadać ciosu, za wszelką cenę chcieli jeszcze to zrobić, zanim padnie rozkaz, żeby się zatrzymać. Widok Persów w panicznej ucieczce był dla nich jak odurzający napój. Śmiali się głośno, biegnąc coraz prędzej. Niektórzy patrzyli z trwogą na tych, którzy polegli. Byli jednak młodymi ludźmi, a ich zwierzyna uciekała. Zdawało się, że minęło zaledwie parę chwil, gdy pobiegli dalej, a Ksantyppos pozostał sam ze swoimi synami.

Poblady Aryfron opadł na kolano i wyglądało to tak, jakby kłaniał się ojcu, po czym usiadł, garbiąc się i przyciskając dłonie do rany. Ksantyppos rzucił się do niego i kucnął przy nim. Gwałtownymi szarpnięciami oderwał kilka pasów ze swojego chitonu. Reguła była taka, żeby najpierw opatrywać własne rany, a dopiero potem cudze. Nie mógł jednak beczynnie patrzeć na krwawiącego Aryfrona. Zaklął, gdy uświadomił sobie, jak drżą mu palce. Trzymanie miecza w ręku ma swoją cenę, a zakończenie tego wszystkiego będzie jeszcze wiele kosztowało.

Epikleos przybiegł do niego z drugiego krańca pola. Kimon walczył gdzieś dalej, ale gdy Ksantyppos podniósł wzrok, był wdzięczny, że przyjaciel się pojawił. Bitwa przeniosła się dalej, śladem uciekających Persów. Tylko kilkuset Greków pozostało na miejscu, aby podrzynać gardła. Wielu rannych po obu stronach wolało umrzeć szybko. Persom nie dawano wyboru.



Epikleos szybkim ruchem wziął do ręki skrawek płótna. Choć Ksantyppos próbował protestować, obwiązał mu nim nogę.

– Trzeba będzie oczyścić ranę jak należy, winem i miodem, a potem zszyć – powiedział Epikleos jak do dziecka. – Jest głęboka, ale przy odrobinie szczęścia i dbałości w przyszłym roku pozostanie po niej tylko kolejna blizna.

Ksantyppos spojrzął na niego, ale poczuł zawrót głowy i nie zdołał się odezwać. Próbował odwrócić uwagę Epikleosa od siebie i skierować ją na swoich synów. Zobaczył, jak Perykles owija paskami tkaniny tułów Aryfrona. Robił to szybkimi, nerwowymi ruchami drżących dłoni. Nie miał w tym żadnej biegłości ani wiedzy. Bezradnie odrywał tylko kawałki swojego chitonu, owijał nimi bok Aryfrona i przyciskał do rany. Ocierał pot z twarzy, pozostawiając na niej krwawe smugi. Patrzył w panice szeroko otwartymi oczyma, jak tkanina ciemnieje od krwi.

Jęknąwszy z bólu, Aryfron przetoczył się na wznak i spojrzął w niebo. Ksantyppos poczuł, jakby świat wokół niego zamarł. Oddychając płytko i prędko, wstał i kulejąc, postąpił krok w stronę syna. Przyklęknął na kolano przy jego boku. Jego własna rana była tylko strużką czerwieni, choć widział w niej ślady brudu. Nie mógł jednak myśleć o swoim bólu w tym dziwnym ośpieniu, które wraz z upływem krwi odebrało mu jasność myśli. Pomyślał o Miltiadesie, który przed laty umarł od takiej właśnie rany.

– Pozwól mi spojrzeć – powiedział łagodnie Epikleos do Peryklesa.

Chłopak odchylił się i mężczyzna zaczął badać zranione miejsce między żebrami Aryfrona. Znał go całe życie, uświadomił sobie Ksantyppos. Też nosił go na ramionach, biegając z nim wokół dziedzińca. Kiedy Ksantyppos przebywał siedem lat na wygnaniu, Epikleos był dla chłopców drugim ojcem.

Akceptowali go, zauważył. Zarówno Aryfron, jak i Perykles patrzyli na Epikleosa z pełnym zaufaniem, gdy obmacywał ranę. W jego oczach, pomimo ich nadziei, pojawił się jednak wielki smutek. Ksantyppos zauważył to, gdy przyjaciel odwrócił się lekko ku niemu i nieznacznie pokręcił głową. Ksantyppos odebrał ten ruch niemal jak zdradę i poczuł nagły przypływ siły. Podpełzł bliżej, wziął Aryfrona za ramiona i podciągnął ku sobie, po czym przytulił.

– Nie – powiedział ochrypłym głosem. – Nie odejdziesz.

Siedząc tak, czuł wciąż płynącą z rany syna krew, jej ciepło na swoim ciele.

– Przepraszam – wyszeptał Aryfron. Dostrzegł łzy w oczach ojca i nagle ogarnął go strach. – To poważna rana?

Ksantyppos nie mógł mówić. Rana nie była duża, ale tak głęboka, jak głębokie może być pchnięcie mieczem, które trafia między żebra. Krew płynęła

z niej nieprzerwanie.

– Nie jest tak źle – odparł. – Poczekamy, aż krwawienie ustanie, i zaniesiemy cię z powrotem na okręt.

Aryfron się odprężył, ale Perykles zauważył krótką wymianę spojrzeń między Epikleosem i ojcem. Z otwartymi ustami wodził szklistym wzrokiem od jednego do drugiego.

– Jestem... bardzo dumny z ciebie – powiedział Ksantyppos. – Nieczęsto to mówiłem, ale zawsze tak było. Wiesz o tym?

– Wiem – odrzekł Aryfron. – I zawsze wiedziałem.

Umilkł, gdy zrozumiał. Ksantyppos zauważył, jak westchnął i pogodził się z tym. Powoli dotarło to do jego świadomości. Nie mogli już więcej udawać, że to powierzchowna rana.

– Robiłem wszystko jak trzeba – odezwał się Aryfron. Oczy mu pociemniały i Ksantyppos nie wiedział, czy syn jeszcze go widzi. – Tak bardzo chciałem być mężczyzną, którego mógłbyś podziwiać.

– Ależ jesteś! Jesteś dwa razy lepszym mężczyzną niż ja, przysięgam. Przypominasz mi ojca, Ari. Jesteś człowiekiem honoru. – Ksantyppos poczuł, że jego wola słabnie, a głos drżał mu jak u dziecka. – Wiedz o tym, kochany chłopcze. Zobaczymy się znowu. Przysięgam na wszystkich bogów. Zobaczymy się na pewno.

W tej chwili Aryfron odszedł. Głowa mu opadła, a Ksantyppos poczuł nagle jego ciężar, wcześniej nieznaną. Pochylił się nad synem, a Perykles zaczął szlochać. Trwali tak razem z Epikleosem na polu bitwy, nieporuszeni, jak grupa żałobna.

Mardoniusz poczuł w cieniu góry Kitajron, jak tutejsza ziemia dusi go, sięgając w głąb gardła i płuc. Była to niefortunna myśl. On sam nazwał dwieście tysięcy swoich wojowników wielką burzą, ale burza pyłu i piasku, a nawet samo powietrze, miała posmak metalu. Jadąc na wspaniałym perskim ogierze, Mardoniusz widział ledwie na sto kroków. Dalszy widok zasłaniały mu chmury wirującego kurzu. Chwilami dostrzegał większe części swojej armii nacierającej z impetem, aby w końcu zgnieść wroga. Na pewno gdzieś tam, na skrzydłach, pędziła jazda. Nie mógł jej jednak dostrzec.

Wypatrywał Nieśmiertelnych. Dowodził nimi Hydarnes. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że okaże się nazbyt pochopny, że żądza zemsty i własna brawura uderzą Nieśmiertelnym do głowy. A przecież taki gniew można ująć w karby. Mardoniusz dał im szansę odzyskania honoru. Hydarnes obiecał poprzedniego dnia, że nazajutrz włoży czerwony płaszcz, czyniąc go częścią swego oficjalnego stroju i znakiem zwycięstwa Nieśmiertelnych. Mardoniusz wysunął szczękę, mrużąc oczy w tumanach pyłu. Nie lubił próżnej pychy. Aby cieszyć się trofeami, trzeba je najpierw zdobyć.

Posłańcy jechali tuż za nim, dotrzymując mu tempa, ale póki co, nie miał żadnych nowych rozkazów. Dobry dowódca wyprowadza swoich ludzi do walki wtedy, gdy przeciwnik jest najsłabszy. To z pewnością uczynił. Poza tym oddziały miały swoich dowódców, którzy dobrze znali wroga.

Ta myśl kazała mu spojrzeć w prawo, gdzie maszerowali Tebańczycy. Nosili takie same spizowe nagolenice i hełmy jak Ateńczycy, ale ich włócznie były krótsze. Nie mieli sztandarów ani długich proporców, jak niektóre perskie formacje. Wyglądali zupełnie tak jak wrogowie. Zastanawiał się, czy staną do walki, czy uciekną, kiedy nadejdzie czas.

Król Dariusz ufał tym Grekom, którzy przeszli na jego stronę, podobnie jak ufał Medom, Lidyjczykom, Egipcjanom czy ludziom z gór indyjskich. Kserkses postępował tak samo, akceptując obce języki i obcą krew z miłości do swego ojca. Mardoniusz, zaciskając szczękę, czuł zgrzytanie piasku między zębami. Nie zamierzał przegrać bitwy z powodu dziecinnej wiary w honor swoich

sojuszników. Miał perskie oddziały gotowe wkroczyć do walki, gdyby Grecy go zawiedli.

Pocił się obficie, cierpiąc na znane od wieków rozterki wodza. Czy pomyślał o *wszystkim*? Czy był jakiś drobiazg, o którym zapomniał? Modlił się, by tak się nie stało.

Przejrzał pierwszy podstęp, gdy dziesiątki tysięcy tamtych wymaszerowały w pole. W Persji żyły ptaki, które powłóczyły skrzydłami po ziemi, żeby odciągnąć drapieżniki od swoich gniazd. Szczury czasem za nimi goniły, ale lisy nauczyły się wybierać im w tym czasie jaja.

Wszystko się zmieniło, kiedy perscy jeźdźcy zaryzykowali życie, podjeżdżając blisko, aby dokładniej przyjrzeć się Grekom. Było ich wielu, ale ubrani byli jak rybacy lub rolnicy i nie mieli na sobie spiżowych pancerzy, przez które tak trudno było zabić hoplitę. Mardoniusz dostrzegł swoją szansę, a także niebezpieczeństwo okrążenia, wiedząc o Grekach czekających jak wilki na zboczu góry.

Odchrząknął. Jego armia nie była zbieraniną wieśniaków, lecz wyćwiczoną i zdyscyplinowaną armią czterdziestu ludów. Zamierzał skierować sto tysięcy wojowników, aby strzegli tej strony, podczas gdy on zmiecie resztę. Jednakże gdy tylko się ruszył, zauważył Spartan i ich sojuszników zbiegających z górskich zboczy! Mardoniusz pomyślał, że zaatakują natychmiast, ale oni wyprzedzili ich maszerujące szeregi. Gdy podniosły się chmury pyłu, stracił ich z oczu, ale dowiedział się przy tym czegoś niezwykle ważnego. Spartanie przywiązywali wagę do tych ludzi, którzy teraz się z nim starli. Cenili ich na tyle, by zejść na równinę i zrezygnować z przewagi, jaką zapewniały im górskie wyżyny.

Jego piechota zderzyła się z wrogiem z wielkim hałasem, który zabrzmiał jak bicie dzwonu. Mardoniusz podjechał do przodu, nakazując dyscyplinę i porządkując szyki. Jego wojownicy szlachtowali tych ludzi bez zbroi, z każdym jego oddechem zabijając ich setki, coraz szybciej i szybciej.

Pył pokrył swoich i wrogów, przysłaniając poszczególne akty męstwa. Zamiast tego bitwa objawiała mu się w ciałach leżących na ziemi, śladach przechodzących szeregów i krwi wsiąkającej w piasek. Wyłaniały się z tumanów kurzu jak z mgły, a z każdym krokiem odkrywał ich coraz więcej, jakby ukazywały mu się na zawołanie. Myśl ta zmroziła mu krew w żyłach. Wielu leżących krzyczało z bólu, zanim wydali ostatnie tchnienie. Inni wili się na ziemi i pełzali, przypominając kraby, które łowił w dzieciństwie.

Niewielu miało na sobie perskie płaszcze. Dobrze przygotował swoją armię i wdrożył do walki, wzmacniając jej ducha. Wszędzie wokół widział swoich

ludzi maszerujących z podniesioną głową i bronią w pogotowiu i szukających wroga w kłębach pyłu.

Mardoniusz dobrze znał z domu jesienne mgły. Obrócił gwałtownie głowę, nadstawiając uszu, gdy po jego lewej stronie wybuchła nowa walka. Wiedział, że wiatr potrafi przenosić dźwięki w dziwny sposób. Gwizdnął na jednego z posłańców. Młody jeździec, który do niego podjechał, był niemal chłopcem. Miał zaczerwienione oczy i spoconą twarz brudną od piasku. Dotknął ręką oczu i ust, po czym uklonił się w siodle. Mardoniusz zamierzał przemieścić część sił ze środka w celu wzmocnienia lewego skrzydła. Gdy zaczął mówić, pył przed nim rozwiął się na chwilę i wódz mógł spojrzeć nieco dalej. Słowa uwięzły mu w gardle.

W głębi białej burzy ukazały się stojące szeregi wojowników, którzy wyłonili się jak skała ze spienionego morza. Mieli okrągłe tarcze ze złoczonego spiżu, hełmy i włócznie. Ubrani byli w czerwone płaszcze. Mardoniusz spróbował przełknąć ślinę, ale nagle poczuł suchość w ustach. Widział już, jakie zniszczenie potrafiło siał trzystu takich. Ci stali spokojnie jak kamienie na wyschłej ziemi, ale były ich tysiące. Nie uciekli na jego widok. Nie próbowali też uderzyć na jego flankę, jak się spodziewał. Nie, po prostu wybiegli przed front jego armii i stanęli mu na drodze, czekając spokojnie, aż do nich dotrze. Skłębiony pył wirował za nimi, ale on zdążył ich zobaczyć i wciąż widział zarysy ich szyku. Byli tam, jak duchy, i czekali.

Mardoniusz usłyszał, jak któryś z oddziałów po jego prawej stronie wzniósł wielki bojowy okrzyk. Ujrzawszy wroga, zwietrzyli krew. Sam też krzyknął, tłumiąc w sobie strach. Nagle cała perska armia zaczęła ryczeć głośno, napełniając krzykiem powietrze. Strzały poleciały w górę wielkimi chmurami, przesywając tumany piasku i tworząc w nich gwałtowne wiry. Dostrzegł ruchomą złocistą falę, gdy Spartanie unieśli tarcze, ale żaden z nich nie upadł. Mardoniusz poczuł pierwsze ukłucie bezradności. Widział już raz spartańskiego króla stojącego przeciwko łucznikom i perskiej wojskowej elicie. Sprawił, że poczuli się słabi, a to była już połowa bitewnej przewagi. Mardoniusz zdusił w sobie wątpliwości. Bóg Światła z pewnością wysłucha modlitw jego ludzi.

Podniósł wysoko rękę, posyłając ich wszystkich do boju. Będą tam też inni Grecy, wiedział o tym. Nie bał się ich. Nie, bał się tylko tych czerwonych diabłów, którzy walczyli tak spokojnie, ze skupieniem na twarzach, sprawiając, że Persowie dławili się własną krwią.

Mardoniusz ruszył naprzód, wyciągając miecz, gdy tempo wzrosło. Pył zgęstniał, a Spartanie znikali w jego wirujących tumanach i pojawiali się znowu.

Wciąż stali w miejscu, czekając, aż zaleje ich i przytłoczy morze atakujących.

W odległości dwudziestu kroków jego oddziały przeszły do biegu, szarżując z rykiem. Mardoniusz ujrzał, jak ich pierwsze szeregi docierają do spartańskich włócznie. Ci pierwsi odważni wojownicy nie odnieśli sukcesu. Rzucali się, próbując zepchnąć na bok włócznie i przedostać się za nie. Liściaste groty rozcinały ich płaszcze, przebijały tarcze, dosięgały ciała. Mardoniusz słyszał gromkie głosy ich dowódców, monotonnie skandujących rytm pchnięć. Były doskonale spokojne i brzmiały regularnie jak powtarzalny rytuał ćwiczeń. Włócznie były długie, a w każdym ich pchnięciu i ciosie były ciężar i siła. Rany, które zadawały, odbierały ludziom życie, gdy jeszcze stali.

Spartanie dzielnie stawiali czoło tej wielkiej nawale. Nie panikowali, gdy Persowie ich otoczyli. Mardoniusza uczono, że żadna armia nie zdoła walczyć w otoczeniu. Świadomość, że są atakowani z więcej niż jednej strony, nie mówiąc już o tyłach, przerażała ludzi. Ale Spartanie utrzymywali szyk i Mardoniusz mógł tylko wspominać ich determinację, której świadkiem był pod Termopilami. Nie poddali się wtedy, wbrew wszystkim ocenom. Poczł zimną dłoń zaciskającą się na jego żołądku. Nie. Wciąż miał swoich Nieśmiertelnych.

Pchnął posłańca w głąb piaskowej burzy, aby sprowadził Hydarnesa. Chłopak odjechał, przeklinając tych, którzy stali mu na drodze. Minął jakiś czas, po czym rosnący basowy ryk obwieścił, że nadchodzą. Mardoniusz się uśmiechnął.

Imperium nie przegrywa, nie w ostatecznym rozrachunku. Bóg wie, że doświadczali wcześniej wielu klęsk, ale byli jak morski przypływ. Szli naprzód, napędzani złotem, krwią albo strachem, i nie miało wielkiego znaczenia czym. Wciąż parli przed siebie.

Podjechał bliżej do spartańskiego czworoboku, przyciągnięty odgłosami śmierci, szczękiem broni uderzającej o ciało i krzykami bólu. Szaleńczy ruch kołującej się czerwieni i złota przyciągał wzrok, budząc straszliwą fascynację. Podprowadził konia jeszcze bardziej i w tym momencie zrozumiał, że podjechał zbyt blisko. Jeden ze Spartan podniósł wzrok na jeźdźca, którego przyniosła ze sobą fala atakujących. Rozpoznał pancerz i hełm starszego znaczącego dowódcy i wycelował. Mardoniusz nie mógł się cofnąć, nie wtedy, kiedy wszędzie ginęli jego ludzie. Gdyby zawrócił, pomyśleliby, że się przestraszył. I rzuciliby się do ucieczki.

Spartanie byli przerażający. On zaś zachowywał spokój, czując na sobie coraz więcej spojrzeń. Nie zauważył leżącej z odległości dwudziestu kroków włócznie. Mknęła szybko i mocno trafiła go między brzegiem hełmu i krawędzią napierśnika w zagłębienie tuż nad obojczykiem. Kilkanaście innych włócznie

przeleciało obok, ale ta jedna go trafiła. Mardoniusz spadł z konia na ziemię z przebitym gardłem. Z oczami wybałuszonymi z przerażenia podniósł się na nogi. Uciskając szyję jedną ręką, walczył o każdy oddech. Czuł bicie tętna pod palcami i nie mógł mówić. Odwrócił się, gdy dostrzegł nadciągających Nieśmiertelnych, którzy ujrawszy czerwone płaszcze, biegli coraz szybciej, przedzierając się przez własne szeregi. Mardoniusz podziękował im w duchu. Stał obok konia, z jedną ręką na łęku siodła, drugą zaś uciskając ranę, by ratować sobie życie.

Spartanie znali ubranych w białe płaszcze Nieśmiertelnych i wiedzieli, co znaczą. Jakimś sposobem obrócili swój czworobok, aby stawić czoło atakującym. Kiedy się zderzyli, Mardoniusz poczuł, że powoli rozwiewa się i ginie jego nadzieja. Spartanie blokowali i kłuli włóczniami sprawnie jak w tańcu. Uchylali się lekko przed ciosami, a siła Persów w nie wkładana szła na marne. Trudno ich było dosięgnąć, za to oni doskonale znali swoją broń i umieli się nią posługiwać. Przebili się przez Nieśmiertelnych z taką szybkością, że Persowie ledwo zdążyli reagować. Zanim zrozumieli, co się dzieje, kolejne ich szeregi padały pod ciosami włóczy.

Kiedy włócznie zostały połamane, Spartanie sięgnęli po miecze i zabijanie szło im jeszcze sprawniej. Zdawało się, że wcale się nie męczą jak zwykli ludzie. Mardoniusz patrzył na wielkie kłębowisko masakrowanych Nieśmiertelnych. Cała jego armia tłoczyła się wokół Spartan i nie mogła zgnieść ich czworoboku. W innych miejscach również walczone, ale tu biło serce bitwy. Od początku wiedział, że tak się stanie.

Nie przyprowadził dość ludzi. Patrzył, jak sam Hydarnes próbuje rozerwać konno spartańskie szyki. Prędko przeszły go rzucone włócznie, a on wraz z dwoma innymi spadł na ziemię, po czym uczepił się konia, aby na nim umknąć. Zwierzę zakwiczało, a może to wrzasnął sam Hydarnes, tego Mardoniusz nie wiedział. Patrzył i czekał całą wieczność, a jego ludzie kotłowali się wokół niego, próbując walczyć, lecz wpadali w panikę, po czym rzucali się do ucieczki. Wszyscy wyżsi dowódcy padli, jeden po drugim. Kiedy Mardoniusz zrozumiał, że nie zdołają przełamać Spartan, do których należał ten dzień, nie mógł ani chwili dłużej znieść ogarniającej go rozpacz, odjął dłoń od gardła i osunął się na ziemię.

Persowie pojęli, że łaska Boga odwróciła się od nich. Jakiś czas temu stracili dowódcę jazdy Masistiusza, a teraz Hydarnesa z Nieśmiertelnych. Kiedy upadł Mardoniusz, opuściła ich wola walki. Gdy kurz zalepił im gardła, odbierając

oddech, opadł w nich ten szal bitewny, który wiódł ich przez tyle krain, a wreszcie kazał przepłynąć morze.

Mardoniusz spojrział na majaczące nad nim twarze. Jego ludzie. Przebyli taki szmat drogi, aby znaleźć się w tym miejscu. Dwa razy spalili wielkie greckie miasto, a jego mieszkańcy, co niepojęte, mimo to chwycili za broń. Inni zawsze wiedzieli, kiedy się poddać. Wyglądało na to, że Grekom nikt tego nie powiedział. Choć zakrawało to na szaleństwo, to jednak była w tym także siła. Jego oczy pozostały otwarte, gdy zasklepił je opadający pył.



Śmierdziało ogniem, spalenizną i krwią. Ksantyppos czuł ten zapach na własnej skórze, stojąc na miejskim placu i spoglądając w dół na klęczącego przed nim namiestnika. Mężczyzna wciąż miał na sobie nocną koszulę poplamioną krwią ciekącą z rozbitego nosa i warg. Na południu, gdzie Ksantyppos był poprzedniego wieczoru, nadal unosił się słup dymu. Okręty wciąż na niego czekały, choć nie było już wśród nich jednostek korynckich i spartańskich. Sojusznicy nie rozumieli, jak ważną rzeczą jest pozostawienie po sobie śladów, o których Persja nigdy nie zapomni. Przybył tutaj, aby zrobić coś więcej, niż tylko spalić ich flotę! Czarne żebra spalonych okrętów pozostały za nim, daleko na południu. Popędzał swoich ludzi, aby znaleźli i zniszczyli sławetny pływający most, ale to również zostało mu odebrane. Ukradzione. Na brzegach Hellespontu pozostało tylko kilka zrujnowanych pomostów oraz wyrzuconych przez wodę wzdłuż całego wybrzeża drewnianych szczątków.

Ksantyppos myślał, że spalenie tego mostu przyniesie mu ulgę w cierpieniu. Ale został on już zerwany i zniszczony przez sztormy. Wielki król przeszedł po nim przed wieloma miesiącami. Kserkses wrócił do swoich pałaców i ogrodów i przebywał teraz w głębi swego imperium, daleko od wybrzeża. Zapomniałby tam o Grekach zupełnie, pomyślał Ksantyppos. Gdyby mu na to pozwolili.

Leotychidas ze Sparty najwyraźniej uznał, że ich misja dobiegła końca. Ksantyppos długo mu tłumaczył, dlaczego tak nie jest. Król spojrział wtedy na niego dziwnie i przytrzymał jego dłoń w silnym uścisku, po czym ucałował w oba policzki. Jego okręty odpłynęły rankiem. Te z Koryntu oraz kilka innych podążyły za nimi.

Ksantyppos pokręcił głową. Nie potrzebował sprzymierzeńców, którzy pragnęli przywództwa Sparty. Przybył na to wybrzeże, aby dokonać zemsty na wszystkich Persach, za ich arogancję, za mordy, gwałty i ludzi uprowadzonych w niewolę. Widział już zbyt wiele trupów. Czasem wydawało mu się, że już nigdy nie będzie spał spokojnie bez zrywania się w środku nocy, gdy co rusz budził się spocony i rozdygotany.

Namiestnik, który klęczał przed nim na kamieniach z rękoma splecionymi na podbrzuszu, mówił doskonałą greką, jak wielu na jońskim wybrzeżu imperium. Wszyscy oni byli potomkami Hellenów, od których dzieliły ich najwyżej dwa pokolenia. Dziećmi mężczyzn i kobiet, którzy przybyli w to miejsce, aby uprawiać rolę, dawać nowe życie i budować miasta, takie jak Ateny. Zamiast cieszyć się wolnością, zostali wchłonięci przez perskie imperium.

Ksantyppos zauważył, że mężczyzna płacze. Pochylił się, aby z bliska spojrzeć mu w twarz, która jeszcze bardziej wykrzywiła się w płaczącym grymasie.

– Proszę, kyriosie. Pozwól żyć memu synowi. Pozwól mi przysiąc wierność Grecji i tobie. Pozwól odejść mojemu chłopcu. On nic nie zrobił.

Ateńczyk rozejrzał się wokoło. Na ulicach widniały plamy świeżej, jasnoczerwonej krwi. Postanowił uczynić z tego miasta przykład, który dotrze do uszu samego króla, czego sam Ksantyppos nie zdołałby mu przekazać. Imperium było zbyt wielkie i zbyt wielu ludzi miało pod bronią, aby mógł pomaszerować do jego centrum. Zamiast tego spalił dużo miast i wsi na wybrzeżu. Pozwalał wolnym Grekom uciec, zanim pożoga ogarnęła ich domostwa, ale gdy natykał się na perskich poborców podatków albo ich urzędników próbujących się przed nim ukryć, wieształ ich na miejskich placach.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio zaznał pokoju. Patrzył czerwonymi oczyma na klęczący przed nim tłum drżących ludzi, niepewnych swego losu.

– Wy – zaczął – przyjęliście Persów w swoich domach i wychowywaliście ich dzieci jak własne. Zapomnieliście naszych bogów i naszej mowy. Płacicie podatki obcemu królowi i zapominacie, kim jesteście i kim byliście... – Tu przerwał, przejęty żalem tak wielkim, że nie śmiał nawet o nim pomyśleć.

– Proszę, kyriosie. Archoncie... – błagał namiestnik. – Wypuść mojego syna. Jest niewinny. Przyjmiesz zapłatę za jego życie? Mam dwadzieścia talentów srebra, to wszystko, co posiadam. Pokażę ci, gdzie są, kyriosie. Proszę.

Ksantyppos pokręcił głową.

– Nie zdołasz mnie przekupić. Nie zdołasz kupić jego życia...

– Ojczy...

Słyszając to, Ksantyppos odwrócił się gwałtownie. Za nim stał Perykles. Ksantyppos poczuł wzbierającą złość. Twarz pociemniała mu z gniewu.

– Powiedziałem, żebyś został przy okrętach! – krzyknął. Złapał młodzieńca i szarpnął za tunikę na piersiach. – Ile razy zamierzasz okazać mi nieposłuszeństwo?

– Dość już tego! – odparł Perykles. – Aryfron odszedł. Po prostu wróćmy do domu.

– Do tych popiołów? – rzucił szorstko Ksantyppos. – Do spalonego miasta? Nie, zostawię tu po sobie ślad, którego ci ludzie nigdy nie zapomną. Weźcie chłopaka.

Namiestnik zaszlochał ze zgrozy i żalu, kiedy zbliżył się do nich Epikleos. Był w pełnej zbroi, zakuty w spiż. Na jego twarzy malowała się powaga, ale i troska o przyjaciela.

– Ksan... – odezwał się. – Nie trzeba...

– Mój rozkaz brzmi, żeby przybić jego syna do drzewa, Epikleosie – warknął Ksantyppos. – Jako przykład dla nich wszystkich. A potem wykonać wyrok śmierci na tym perskim namiestniku. Jeśli nie potrafisz tego znieść, zwolnij się ze służby i wracaj na okręt.

– Proszę, kyriosie! – jęczał mężczyzna. – Weź mnie zamiast mego syna! – Chwiał się jakby ogłuszony, a głowa zwisała mu na piersi.

– Jeśli odmówię wykonania rozkazu, moje życie będzie skończone, kiedy wrócimy – odparł łagodnie Epikleos. – Jeśli jesteś moim przyjacielem, Ksantypposie, nie każ mi wybierać.

Nie ujrzał w twarzy dowódcy niczego poza szaleństwem. Gdy to zrozumiał, zadrżał.

– Każ mi zamiast tego odprowadzić Peryklesa na okręt, Ksan. Jeśli kiedykolwiek nazywałeś mnie przyjacielem, zrób to dla mnie.

Ksantyppos spojrział na syna, który płakał, stojąc obok i patrząc na drugiego chłopca. Miał on nie więcej niż osiem, najwyżej dziesięć lat i był przerażony.

– Bardzo dobrze – warknął. – Weź Peryklesa z powrotem na okręt.

– Chodź z nami – powiedział Perykles. – Zostaw to, ojcze, proszę.

– Wystarczy – rzucił szorstko Epikleos.

Chwycił chłopaka mocno za ramię i nie oglądając się za siebie, niemal siłą wyprowadził go z placu. Morze było bardzo błękitne, a oni oddalali się od jęków strachu i szlochania.

– Dlaczego? – zapytał Perykles. – Dlaczego on jest taki? To nie przywróci Aryfronowi życia.

– Jest zagubiony – odparł Epikleos. – Albo załamany. Jakaś część niego pozostanie tutaj, Peryklesie, razem z twoim bratem. Przykro mi. Twój ojciec jest moim przyjacielem od czasu, gdy byłem jeszcze chłopcem. Widziałem, jak cierpiał, w bitwie, na wygnaniu. Doświadczył wielkiej straty. A jednak nigdy nie

widziałem, żeby był okrutny. Nigdy... nie sądziłem, że zobaczę w nim coś takiego.

Gdy tej nocy księżyc wzeszedł, Ksantyppos wrócił do czekającej nań ateńskiej i sojuszniczej floty. Tylko triery peloponeskie odpłynęły, ale wciąż wiele zostało. Wszedł na okręt flagowy, zrzucił zbroję i stanął nago na pokładzie. Na linie opuszczano do morza wiadro za wiadrem i podawano mu je w świetle księżycy, on zaś zmywał z ciała sadzę, krew i pot najlepiej, jak zdołał, szorując skórę pumeksem, a potem nacierając oliwą. Kiedy był już czysty, Epikleos przyniósł mu chiton, sandały i płaszcz dla osłony przed nocnym chłodem. Ksantyppos owinał się nim i legł do snu na pokładzie. Wszędzie wokół niego leżały, jak kokony, owinięte w płaszcze postacie ponurych mężczyzn, którzy nie spali, patrząc w milczeniu na świecące nad głową gwiazdy.

Epikleos ukląkł obok archonta i stratega Aten.

– Twój syn... długo był pogrążony w żalu. Powiedziałem mu, że w końcu wydobrzejesz i znów będziesz jego ojcem.

– Jestem nim – odparł Ksantyppos.

Milczenie wśliznęło się między nich jak nóż i pozostało. Dopiero po długim czasie Ksantyppos mruknął, już na granicy snu.

– Zabiłem syna tamtego człowieka. – Zaczął cicho szlochać. – Zostawiłem ojca przy życiu, żeby wiedział, jak ja się czuję.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział z westchnieniem Epikleos.

Cały czas łudził się nadzieją, że Ksantyppos w ostatniej chwili zapanuje nad gniewem. Jedną rzeczą było zabijać ludzi w bitwie, co należało robić. Inną zaś rzeczą było zabicie dziecka z czystej złości, czyn, który wołał o pomstę bogów. Ksantyppos o tym wiedział.

– Gdybym mógł od nowa przeżyć ten dzień, cofnąć czas i zmienić...

– Wiem, Ksan. Wiem – odezwał się Epikleos.

Była to skarga wszystkich słabych ludzi, on zaś nie spodziewał się tego po swoim starym przyjacielu. Zamiast powiedzieć coś jeszcze, wstał i zostawił Ksantypposa samego, aby wypłakał swój żal w fałdy płaszcza. Jego stłumiony szloch brzmiał okropnie. Burza minie, wiedział o tym. A przynajmniej straci swoją siłę, straszliwą ostrość pierwszego uderzenia. Rany z czasem się goją, ale skóra nigdy nie jest już tak mocna jak przedtem.

Epikleos stanął na dziobie i pozostał tam przez dłuższy czas. Czuł dym w powietrzu. Okręty zmieniły swoje ustawienie na kotwicy i czekały teraz skierowane na zachód. Ateny leżały za horyzontem. Wiedział, że znów są

w ruinie, zniszczone przez zwycięskich Persów. Modlił się, by Arystydes z sojusznikami im nie uległ.

\* \* \*

Arystydes czuł się stary. Wszystkie dawne rany i nadwerężone kończyny boleśnie dawały o sobie znać. Od pierwszych godzin dnia maszerował i walczył. Widział helotów pozarzynanych jak owce. Ateńczycy zostali otoczeni, a potem cofali się w morzu nieprzyjaciół, coraz bardziej spychani. A jednak w samym sercu bitwy Pauzanasz ze Spartanami wciąż stawiał opór. Byli głazem w otaczającej ich powodzi, o który rozbijały się fale. Arystydes pomyślał, że nigdy tego nie zapomni, nawet gdyby miał żyć jeszcze pięćdziesiąt lat.

Kiedy Persowie próbowali wycofać się do obozu, nie zaznali ani chwili wytchnienia. Pauzanasz wydał rozkaz pościgu i Spartanie cały czas deptali im po piętach. Wrogowie nie mieli dokąd uciekać, nie pozwolono im zebrać się gdziekolwiek. Przybyli do Grecji przy dźwiękach trąb, wrócić do siebie już nie zdołają. Arystydes pochylił głowę, tłumiąc w sobie odruch litości.

Na czole miał brązową plamę krwi, która zdążyła zaschnąć. Powstrzymał jednego z Persów, którego zaraz zakłuli dwaj hoplici. Ten nie miał łatwej śmierci. Inni na swoje szczęście tak, choć w ostatecznym rozrachunku wszyscy byli po prostu martwi. Była to ponura praca i gdy słońce stanęło nad horyzontem, wszyscy Grecy byli zupełnie wyczerpani. Nawet długiego letniego dnia było za mało. Okrutna rzeź trwała, a kiedy ludzie nie mogli już wytrzymać ze zmęczenia, po prostu siadali lub klękali, dysząc z wysiłku i wypuszczając miecze z bezwładnych dłoni.

Pauzanasz stanął pośrodku perskiego obozu i kazał zapalić lampy. Wróżbita Tisamenos stanął przy nim, a władca co rusz klepał go z radości po ramieniu. Wygrał swoje pierwsze zawody, miał swoje zwycięstwo.

Obóz był wielki i całkiem opuszczony. Trwało gruntowne przeszukiwanie namiotów. W teorii celem było odnalezienie ukrywających się, ale przynajmniej połowa Greków zdążyła przy tej okazji obficie przystroić się w złoto. Tylko Spartanie stali z boku, bo i tak nie używali monet. Ich pogarda jednak najwyraźniej nie gasiła entuzjazmu goniących za łupem sojuszników.

Arystydes musiał dwa razy opowiedzieć się przed spartańskimi dowódcami, zanim pozwolono mu przejść. Miał wrażenie, że nie przypomina już człowieka, którym był jeszcze tego ranka. Skórę pokrywała mu warstwa pyłu, był poplamiony cudzą krwią rozmazaną wraz z brudem po całej twarzy. Jednak tu,

w obozie, wciąż reprezentował Ateny. A co najważniejsze, nie mógł dopuścić do tego, by Pauzaniasz ogłosił to jako zwycięstwo samej Sparty.

Kiedy już go przepuszczono, ujrzał, że zebrało się więcej dowódców. Co prawda widać było, że Pauzaniasz stanowi ośrodek uwagi, ale Arystydes wiedział, że dobrze na to zasłużył.

– Składam bogom dzięki za to zwycięstwo – powiedział Ateńczyk.

Pauzaniasz odwrócił się, żeby zobaczyć, kto przemówił, i uśmiechnął się.

– Naprawdę zostaliśmy pobłogosławieni – odparł.

Był zbyt pobożny, aby przypisywać sobie całą chwałę, ale Arystydes zauważył, jak bardzo jest dumny.

– Regencie Pauzaniasz – odezwał się oficjalnie – to był dla Aten wielki zaszczyt móc walczyć u twego boku. Mam nadzieję, że będzie to początkiem wielkiej przyjaźni. Oddaję honor naszym sprzymierzeńcom. Osobno nie dalibyśmy rady. Razem zwyciężyliśmy imperium.

Nie wyglądało na to, by te słowa szczególnie poszły Pauzaniaszowi w smak. Jego brew uniosła się nieco wyżej, a uśmiech znikł.

– Nie wydaje mi się, by Sparta mnie wysłała, gdyby niektórzy w Atenach nie zagrozili, że staną u boku tych wrogów, których właśnie pokonaliśmy. Pomyśl o tym, kiedy znajdziesz chwilę na refleksję.

Arystydes nie przejął się gniewem młodego mężczyzny. Założył, że to jeden z możliwych punktów widzenia, ale nie mógł pozwolić, żeby Spartanin definiował warunki współdziałania, kiedy na świecie wstawał nowy dzień, z Grecją uwolnioną od wrogów.

– Gdybyś ruszył w pole, regencie Pauzaniasz, zanim spalono Ateny po raz drugi, nie zostalibyśmy sami, bezdomni i rozpaczeni. A jednak uznaję dziś wielkość Sparty. Mam nadzieję, że dostrzegłeś to także w moich ludziach.

– Przykro mi, ale nie widziałem, jak walczyliście – stwierdził Pauzaniasz. Patrzył na stojącego przed nim zakrwawionego, wyczerpanego Ateńczyka, i starannie dobierał słowa. – Mimo to nie wątpię w waszą dzielność. – Mógł na tym poprzestać, ale coś go podkusiło, by dodać jeszcze parę słów: – Prosiłem cię jednak, żebyś nie wmawiał helotom, że mogą walczyć. Powiedziano mi, że uderzyli na pierwszą linię perskich wojsk. Tysiące straciły życie. Rano będę znał dokładne liczby, ale tak czy inaczej, zapłaciliśmy wielką cenę.

Arystydes uznał, że nie jest to dobry czas i miejsce na pojeździe. Przypomniał sobie stare prawo, wedle którego ludzie nie powinni dyskutować o bitwie, zanim nie pośpią i zjedzą, a potem jeszcze raz pośpią. Bezpośrednio po walce nastroje były zbyt napięte, a ludzie zbyt łatwo tracili panowanie nad sobą.

Krew się burzyła i przemawiano ostrym tonem, nawet do sojuszników. Ukłonił się głęboko przed Spartaninem, obejmując tym gestem również Tisamenosa. Wróżbita odpowiedział tym samym, ale Pauzaniusz tylko skinął sztywno głową.

– To było wielkie zwycięstwo – powiedział Arystydes. – A teraz się oddalę.

– Musisz odbudować całe miasto – rzucił Tisamenos.

– O tak – odparł z uśmiechem Ateńczyk. – To prawda. Uczynię je jeszcze wspanialszym.

Wraz z tą obietnicą pozostawił ich i poszedł szukać w ciemnościach swoich ludzi. Ciała syczały i podrygiwały w nocy. Nie było wielkich szans na spokojny sen, gdy na równinie wciąż coś się ruszało i dobiegały stamtąd różne odgłosy. Znalazł swoich, a gdy podchodził do nich, jeden podniósł bukłak z winem, chwając się nim przed przyjaciółmi.

– Przechowałem go przez całą bitwę tylko po to, żeby uczcić zwycięstwo.

– Mogę to dostać? – zapytał Arystydes.

Mężczyzna obrócił się, gotów zaprotestować. Kiedy zobaczył archonta i usłyszał jego imię wyszeptane z szacunkiem przez towarzyszy, oddał bukłak bez wahania.

Arystydes podziękował i zabrał go. Wyznaczył na tę noc specjalnych ludzi, których zadaniem było statkować hoplitów po odniesionym zwycięstwie. Musieli jeszcze wysłać posłańców do Temistoklesa, aby powiadomić go, że Grecja została ocalona.

Powoli, czując ból we wszystkich stawach, Arystydes wspiął się na górskie zbocze i przeszedłszy kawałek, znalazł spokojne i ciche miejsce, z dala od ludzkiego zgiełku. Usiadł na omszałym skalnym występie i napił się wina. Było kwaśne, ale go rozgrzało. Pomyślał, że posiedzi tu aż do wschodu słońca. Nie spodziewał się, że dane mu będzie ujrzeć kolejny świt. Oparł się plecami o skałę, która wciąż zachowała trochę słonecznego ciepła. Po krótkiej chwili zasnął smacznie, tuląc w ramionach bukłak jak niemowlę.

Ksantyppos wracał do domu. Wieść o zwycięstwie pod Platejami lotem błyskawicy obiegła Morze Egejskie, od wyspy do wyspy, ze statku na statek, aż dotarła do jego floty. Zebrał na swoim pokładzie wszystkich kapitanów i wypił z nimi ostatnią beczułkę wina. Był w tym rodzaj braterstwa, które połączyło ich w trakcie wspólnych akcji. Perykles słyszał, jak ojciec z Epikleosem rozmawiali potem o tym zwycięstwie w tonie pijackiego zdumienia. Nawet bez peloponeskich okrętów kapitanowie ci reprezentowali trzydzieści miast-państw pozostających pod dowództwem Aten. Przed wojną wszyscy byli osamotnieni. Tej nocy wielu z nich po raz pierwszy uznało się za członków greckiego ludu.

Zbliżali się do ateńskiego portu. Perykles zauważył, że ojciec poszedł na dziób i objął ramieniem wygiętą belkę kilu, mrocznym spojrzeniem śledząc prującą fale taran. W tym czasie wiosłarze zrobili wspaniały popis podejścia do brzegu, w doskonałej harmonii unosząc i opuszczając wiosła.

Ludzie, dowiedziawszy się o powrocie floty, gromadzili się w Pireusie, stopniowo zbiegając z miasta na nabrzeże, gotowi witać wpływające okręty. Nieśli pomalowane amarantową czerwienią gałązki i wymachiwali nimi, wiwatując na wzgórzach, gdy przepływały okręty, a potem biegli co tchu do portu w rozpaczliwej nadziei, że zobaczą ojców, braci i synów. Dzień był ciepły, a niebo czyste. Niektórzy mężczyźni odpowiadali machaniem, wzruszeni widokiem bliskich, nareszcie wolnych od lęku. Cień perskiej inwazji wisiał nad nimi od lat. Ateńczycy żyli w tym zagrożeniu na co dzień. Widzieli pierwsze bitwy i to, jak Persowie spychali ich flotę, jak dwukrotnie spalili ich święte miasto, jak mieszkańcy umykali jako uchodźcy. Nie mieli nic, a teraz musieli po raz kolejny zabrać się do odbudowy.

Ksantyppos stał nieruchomo, z nieobecnym wyrazem twarzy, podczas gdy jego okręty przyływały, a załogi wysiadały na ląd. Pireus miał kilkanaście wielkich kamiennych nabrzeży, okręt nie musiał więc czekać, tylko dopłynął do jednego z nich, gdzie go przycumowano. Kiedy tłum rozpoznał Ksantypposa, zaczął wiwatować jak szalony, raz po raz wykrzykując jego imię. Przynieśli nawet trap z desek, ale Ksantyppos nie zwracał na nich uwagi. Perykles patrzył,



jak ojciec zeskoczył prosto na pomost i odczekał chwilę, aż przestanie się pod nim kołysać. Potem skłonił się nisko i ucałował ziemię, przypadając do niej jak pies, którego kamień nagrobny wciąż widniał na brzegu Salaminy.

Niektórzy z tłumu podchodzili i próbowali dotknąć albo uścisnąć człowieka, który ocalił ich, wywożąc na Salaminę, a później podjął walkę z Persami. W ciągu kilku miesięcy jego nieobecności do Aten dotarły wieści o jego czynach i spustoszeniu perskiego wybrzeża. Mieszkali w mieście, które zostało dwukrotnie spalone, wciąż pachniało popiołem podczas deszczu. Niewielu się za niego nie modliło i nie błogosławiło jego imienia.

Ksantyppos odwrócił się od tych, którzy poklepywali go z radości po plecach. Jakaś kobieta usiłowała przycisnąć jego dłoń do swego policzka, ale on wyrwał ją gwałtownie. Idący obok Epikleos odwrócił się i zagwizdał po hoplitów. Natychmiast otoczyli archonta, dając mu chwilę oddechu. Rok ten został nazwany imieniem Ksantypposa. Nie oznaczało to jednak, że on sam stał się własnością tłumu.

Perykles włożył zbroję i tarczę Aryfrona do worka, który zarzucił sobie na ramię. Był ciężki, a jemu nie uśmiechała się perspektywa dźwigania tego ciężaru przez całą drogę do miasta i dalej, do domu. A jednak musiał to zrobić. Zauważył, że ojciec rozgląda się, wypatrując matki, ale nie było jej w tłumie. Z pewnością już się dowiedziała. Nauarcha ateński miał przywilej wysłania okrętu z wieściami kilka tygodni wcześniej. Perykles nie wiedział jednak, co jej nieobecność oznacza.

Straż honorowa otoczyła ojca gęstym kordonem, a Perykles ruszył ich śladem, niechroniony przed wiwatującą ciżbą. Po długim czasie spędzonym w ciszy na pokładzie okrętu, gdzie słychać było tylko szum fal, znalezienie się pośród ludzi, którzy nic nie wiedzieli o porządku i dyscyplinie, było deprymujące, a nawet przerażające. Napierali coraz bardziej i Perykles obawiał się, że ojciec w końcu rozkaże hoplitom wyciągnąć miecze. Na twarzy Ksantypposa malował się gniew, gdy ludzie próbowali precyzyjnie się i dotknąć go, jakby taki gest mógł uzdrawiać. Niektórzy łkali albo krzyczeli, nie bacząc na jego niechęć.

Wioślarze podążali tłumnie za Peryklosem. Na lądzie oni również, krzycząc i wymachując rękoma, stali się radosnym tłumem. Zaczęli śpiewać na tysiąc głosów, niemal zupełnie gubiąc melodię, marsz Ateny. Załogi dwunastu trier tłumnie opuściły swoje okręty. Na wodzie dowódcy innych jednostek wykrzykiwali gniewnie, szukając wolnego miejsca do rzucenia liny i przycumowania.

Kroczący na czele tego chaosu Ksantyppos stanowił mroczne serce całego pochodu. Zimny i wściekły, był mimo wszystko obiektem powszechnej uwagi i radości dla wszystkich, którzy go ujrzeli. Miltiades przed laty powrócił zbyt ciężko ranny, by iść samodzielnie. Ksantyppos był silny i sprawny, wzmocniony wojenną zaprawą. Nie potrzebował żadnej pomocy. Droga do rodzinnego majątku prowadziła na północny zachód od miasta. Najlepsza trasa wiodła przez Agorę, ale to oznaczało, że rosnący z każdą chwilą tłum ruszył przez centrum miasta, jak w dzień świąteczny.

Uginający się pod ciężarem ekwipunku swego brata Perykles czuł, jak ludzie napierają na niego, poczynając sobie coraz śmielej. Byłoby łatwiej włożyć zbroję na siebie, niż dźwigać ją w ten sposób. Rozejrzał się wokół, szukając Aryfrona, żeby mu powiedzieć... i ponownie dotkliwie odczuł jego brak. To niemożliwe, że tak odszedł jego mądry, rozważny brat, który zawsze wiedział tak wiele. Ojciec nie chciał pochować go na perskiej ziemi, bojąc się także zbezczeszczenia grobu. Owinęli go w płótno żaglowe i oznaczyli miejsce pochówku na Ikarii. Mieli po niego wrócić.

Perykles poprawił na ramieniu ciężki worek. Pocił się pod nim i w otaczającym go tłumie. Kiedy Epikleos zapytał, czy potrzebuje pomocy, chłopak potrząsnął głową. Przyjaciel ojca dobrze to rozumiał.

Przechodząc przez Agorę, Perykles zauważył, że centrum miasta już odbudowywano. Budynek rady znów piął się w górę, otoczony rusztowaniami. Podobnie jak wzgórze Pnyksu oczywiście. Stopnie oskrobano do czysta, lśniły bielą w popołudniowym słońcu. Ponad tym wszystkim górował Akropol. Usunięto dotychczasowe fundamenty, ale wiedział, że świątynie zostaną odbudowane. Było to w końcu miasto Ateny. Nawet perska armia nie mogła utrzymać go długo. Oczy zaszły mu łzami, gdy rozejrzał się wokoło. Ludzie nieśli tyle kwiatów! Krzyczeli i ściskali żeglarzy i hoplitów z floty, która szczęśliwie powróciła. Coraz więcej ich wpływało ze wszystkich stron na Agorę, ale jego ojciec nie zatrzymywał się, tylko parł naprzód, zdecydowany przejść na drugą stronę. Perykles z wysiłkiem za nim nadążał, lecz ponieważ go nie rozpoznawano, przeciskał się przez tłum bez trudu. Ksantyppos z Epikleosem przekroczyli zewnętrzny krąg i nagle mieli już rynek za sobą. Wiwatujące tłumy patrzyły w stronę środka Agory i nie dostrzegły, że strateg, z twarzą skupioną i ponurą, oddala się od nich.

Perykles z Epikleosem szli obok siebie i tak przekroczyli Dipylon. Grunt został tam oczyszczony i położono już oznakowania pod nową, ogromną konstrukcją. Przepęłniło to Peryklesa ekscytacją i radością. Miano odbudować

Ateny nie takie, jak były przedtem, ale wyższe, wspanialsze. Dlaczego nie? Głowę wypełniły mu obrazy szerokich ulic, placów, wielkich bram i pomników, a także strzelistych świątyń, które miały przypominać o chwale bogini.

Za bramą wciąż rozciągały się ruiny grobowców. Persowie zburzyli wszystkie młotami. Perykles myślał początkowo, że robili to dla rabunku i trofeów, aby zdobyć starą broń i zbroje Ateńczyków. Kiedy jednak przechodził przez tereny cmentarzyska, jego zniszczenie wydało mu się nazbyt gruntowne. Potłuczone kamienne płyty z wyrytymi imionami złożono na drodze. Wszystko to sprawiało takie wrażenie, jakby chodziło wyłącznie o zranienie uczuć ludzi, którzy zmarłych kochali. W jednym miejscu widać było, że zwłoki owijano i grzebano ponownie. Leżały na stosach, a kilkunastu ludzi układało je w wielkim wykopanym w tym celu dole. Ktoś wydał ten nakaz wbrew woli rodzin, uświadomił sobie. Perykles pomyślał, jaki ból poczuje Kimon, kiedy o tym usłyszy. Gdzieś tam, wśród innych kości, leżały przecież szczątki jego ojca.

Perykles wiedział, że za kilka miesięcy, najdalej za rok, Aryfron zostanie zabrany ze swego tymczasowego miejsca spoczynku i przeniesiony do rodzinnego grobowca, kiedy ten również zostanie odbudowany. Na tę myśl przeszły go ciarki, ale wiedział, że matka będzie pragnęła mieć jakieś miejsce, do którego będzie mogła przychodzić i opłakiwać syna.

Droga za miastem była cicha. Ksantyppos wciąż szedł, jakby był sam, nie oglądając się za siebie. Perykles z wysiłkiem podążał za nim, ale gdy Epikleos dwukrotnie wyciągał rękę, żeby pomóc mu nieść worek ze zbroją, chłopak kręcił głową. Czuł, że nastrój, w miarę zbliżania się do domu, pogarsza mu się z każdą chwilą. Kiedy go opuszczali, był spalony i rozmyślnie zniszczony. Persowie śmiali się, rozbijając wszystko, co było piękne i miało jakąkolwiek wartość. Perykles nie był pewien, czy zdoła ponownie zamieszkać w tym miejscu, ale gdy się zbliżyli, ich oczom ukazał się nowy dom, niski i przestronny, z dachem z czerwonej dachówki i drewnianymi słupami. Wydawał się nieco mniejszy niż ten, który zapamiętał.

Mur posiadłości nie był ukończony i Ksantyppos po prostu przekroczył granicę swego domostwa. Jakiś niewolnik krzyknął ostrzegawczo i cała domowa służba zerwała się, żeby sprawdzić, kto przybył. Peryklesowi do oczu napłynęły łzy, gdy ujrzał Maniasa i kilkunastu innych, uzbrojonych w miecze i pałki. W głębi krużganka zamajaczyła jakaś niewyraźna postać, a po chwili wyszła matka.

Agarysta zbliżała się, idąc zrazu powoli. Jej oblicze było spokojne, szła jednak coraz szybciej, jakby nie potrafiła się zatrzymać. Ksantyppos stanął

i czekał, a ona zbliżyła się do niego i spojrzała w górę. Perykles chciał krzyknąć do ojca, żeby ją objął. Zamiast tego stali oboje nieruchomo i patrzyli na siebie. Nagle Agarysta spoliczkowała męża. Ten mógł zablokować to uderzenie. Nawet nie próbował.

Kiedy nie zareagował, zrobiła to ponownie, a potem po raz trzeci. Perykles szlochał, nie wiedząc, jak długo będą tak stali, lecz Epikleos zbliżył się do Agarysty i złapał ją za rękę.

– Przepraszam, Agarysto – powiedział. – Aryfron zginął, walcząc sprawnie i odważnie.

Wyszarpnęła rękę z jego uścisku, nie odrywając wzroku od Ksantypposa. Jej twarz wykrzywiła się, ale był to raczej grymas żalu niż wściekłości. Nie powiedziała nic, tylko odwróciła się i weszła z powrotem do domu.

Ksantyppos podniósł dłoń do twarzy i dotknął puchnącego już policzka. Skinął smętnie głową, zdejmując ekwipunek. Perykles wykorzystał ten moment, aby odstawić worek z bojowym rynsztunkiem Aryfrona, który tak mu ciążył przez całą drogę od zejścia na ląd. Wyobrażał sobie, że teraz on będzie go nosił, chyba że odziedziczy zbroję ojca. W tym momencie nie czuł się jednak godzien ani jednego, ani drugiego.

Z domu wypadła Eleni. Stała się już młodą kobietą, wysoką i szczupłą. Wyciągnęła ręce do ojca i uściskała go niezgrabnie. Ksantyppos nie powiedział nic. Panowało niezręczne milczenie i Perykles pokręcił głową, gdy siostra spojrzała na niego. Próbował wzrokiem usprawiedliwić ojca za jego chłód. Zastanawiał się, co na jego miejscu zrobiłby Aryfron. Uznał za pocieszające to, że brat będzie odtąd dla niego wzorem, być może do końca życia.

Podszedł do siostry i objął ją ramionami.

– Tak mi przykro... – powiedział. Głos mu się załamał i przez jakiś czas nie zdołał wykrztusić słowa.

Epikleos wziął worek z bronią Aryfrona i podniósł go z łatwością.

– Wszystko to trzeba wyczyścić, naprawić i wypolerować. Każę wygrawerować na tarczy imię twojego brata.

Perykles otarł oczy, odsuwając się od Eleni.

– Sam to zrobię – powiedział, powstrzymując jego rękę. – Nie chcę przekazywać jego zbroi nikomu innemu.

Epikleos nie wahał się długo i oddał rzeczy Peryklesowi. Ten odetchnął głęboko, wdychając wiszący w powietrzu zapach świeżego drewna i oliwy, woń świeżo posianych i wznoszących roślin. Matka musiała pracować dzień i noc, aby przygotować dom na ich przybycie. Zauważył paliki nowego płotu wokół

poletka, gdzie uczył się jeździć konno, jeszcze niepołączone. Mimo wielkiego smutku przywróciło mu to nadzieję.

– Zostaniesz tu dziś na noc? – Epikleos zapytał ojca.

Ksantyppos zerknął na drzwi, za którymi zniknęła jego żona. Skrzywił się i skinął głową.

– Tak myślę. Czuj się zaproszony, Epikleosie, jak zwykle. Nic tego nie zmienia.

– Nie... Znajdę jakieś pokoje w mieście. Chciałbym posłuchać szczegółów naszego zwycięstwa od tych, którzy tam byli. Postawię im parę kolejek, no i sam też się napiję.

Ksantyppos patrzył na córkę i na syna. Oblizął dolną wargę. Kolano drżało mu w rytm uderzeń serca. Był zmęczony do szpiku kości. Spełnił jednak swój obowiązek. Myśl o spędzeniu nocy z pogrążoną w żałobie Agarystą była jeszcze innym rodzajem cierpienia.

– Peryklesie – odezwał się w końcu. – Zostań tutaj z matką i siostrą. To rozkaz. Muszę pójść do miasta. Zobaczymy się, kiedy wrócę.

Chłopak tylko pochylił głowę, nie odważając się odpowiedzieć. Nastrój ojca był o krok od wybuchu, a on już nie chciał ryzykować jego gniewu. Był wyczerpany i cieszył się na myśl, że udało się uniknąć burzy. Objąwszy ramieniem siostrę, patrzył, jak dwaj mężczyźni ruszają w stronę bramy, a potem drogą do miasta.

– Nie mogę uwierzyć, że Aryfron już nie wróci – powiedziała nagle Eleni. – Tak bardzo chciałam, żeby zobaczył nasz nowy dom. Zrobiłam... mnóstwo rzeczy, żeby zobaczyć, jak się cieszy... i uśmiecha w taki sposób jak zawsze. A teraz już nie będzie... Nigdy nie usłyszę jego głosu i nie zobaczę, jak się śmieje.

Perykles pokręcił głową. Czuł na sobie wzrok brata.

– On wie – odpowiedział, odwracając się, żeby wejść do środka. – On już jest w domu. Jestem pewien, że dotarł tutaj przed nami.

Ksantyppos obudził się z imieniem syna na ustach, wołając go w panice, po czym nagle się zawstydził. Nie mógł dotrzeć do Aryfrona, nie mógł ściągnąć go z powrotem. Nie mógł powtórzyć ani jednego dnia, ani jednego uderzenia serca spośród tych, które minęły. Jęknął, siadając, i poczuł na sobie smród wymiocin. Gorzej jeszcze: wypróżnił się bezwiednie! Wiedział, że to się czasem zdarza tym, którzy wypiją tyle wina co on. Ale jemu nigdy się nie przydarzyło. Wszystko oczywiście zaschło w ciągu nocy, przylepiając się wraz z ubraniem do skóry. Pożałował, że nie jest na morzu, mógłby przynajmniej popływać. Potrzebował wiader i mnóstwa wody, całej rzeki... Rozejrzał się, usiłując odgadnąć, gdzie się znajduje. Minęły dwa dni, odkąd znów postawił stopę w Atenach... a może trzy, nie był już niczego pewien. Próbował zapić się na śmierć, ale tylko wymiotował, a potem zaczynał od początku. Na Atenę, czuł pustkę w brzuchu! I ból głowy! Noga była jak z drewna, a kolano zupełnie sztywne. Gdziekolwiek spojrzał, w powietrzu widział plamki światła.

Uświadomił sobie, że nie jest w pokoju sam. W przeciwnym rogu leżał pogrążony w ciężkim pijackim śnie obnażony mężczyzna z zadartym wysoko chitonem, a obok niego chrapiąca głośno kobieta z gęstymi brązowymi włosami pod pachami. Mężczyzna miał potężnie podbite oko, a żadnego z tych dwojga Ksantyppos nie pamiętał.

Chciał zawołać Epikleosa, wiedząc, że przyjaciel nie zostawi go w takiej sytuacji. Pierwsze przebłyski pamięci pojawiły się, kiedy zwlókł się z posłania i z trudem wstał, krzyknawszy z bólu, gdy poczuł, że nie może zgiąć nogi w kolanie. Sądząc po świetle i chłodnym powietrzu, musiał być wczesny ranek. Poczł skurcze w żołądku. Nie! Rozglądał się rozpaczliwie, gdzie mógłby zwymiotować, ale w pomieszczeniu nie było żadnej miski ani wiadra. Schylił się i pozostawiając za sobą długi strumyczek żółci, wykuśtykał na słońce.

O tej porze teren gimnazjonu nie był już pusty. Wielu Ateńczyków zaczynało każdy dzień pływaniem, inni zaś uprawiali zapasy albo biegali, zanim ruszyli do swoich zajęć. Persowie oczywiście wycinali drzewa i rozpalali ogień, gdzie tylko się dało. Zniszczenia wciąż były widoczne, ale ludzie cały czas ciężko pracowali

i gdziekolwiek Ksantyppos spojrzeł, zauważał pierwsze oznaki porządku. Bolesnie mrużył oczy w słońcu. Pomogło mu trochę ściśnięcie głowy dłońmi.

Rzeka Ilisos przepływała niedaleko. Kulejąc, podszedł do wody i zstąpił w nią po specjalnie zrobionych w tym celu schodkach. Była lodowato zimna, gdy z jękiem zanurzył w niej głęboko głowę. Powolnymi, niezgrabnymi ruchami rozebrał się do naga i obmył do czysta. Brudny chiton odpłynął z prądem, ale nie zatrzymał go. Poczuci się lepiej i stopniowo zaczęła mu powracać sprawność. Nie był zaskoczony, widząc wychodzącego na zewnątrz Epikleosa, który zauważywszy go, natychmiast podbiegł. Miał jedno oko przymknięte, jakby nie mógł go otworzyć.

Gdy Ksantyppos wyszedł z wody i stanął na brzegu, żeby wyschnąć, poczuł mrowienie skóry. Zawstydzony pochylił się ponownie, czując odruch wymiotny, ale nie pozostało w nim już nic, co mógłby zwrócić, nawet odrobinki śliny. Epikleos taktownie odwrócił wzrok. Na jego twarzy widniały ślady zaschniętej krwi. Miał też spuchnięty nos, jak zauważył Ksantyppos. Zastanawiał się, czy to on pobił się z tym nieznanym, który spał w pokoju.

Ksantyppos przycupnął powoli i usiadł na błotnistym brzegu, nie bacząc, że się pobrudzi. Zanurzył stopy w wodzie i zaczął nimi przebierać, czując napływające znowu żal i winę, zimniejsze nawet od rzeki. Epikleos skinął głową i niemal upadł, pośliznąwszy się na schodkach prowadzących do wody. Też zanurzył w niej głowę i trzymał ją długo pod powierzchnią.

Zimno przedarło się przez mgłę zasnuwającą ich umysły. Ksantyppos ani razu nie poprosił o pomoc. Pamiętał, jak śmiano się z niego, gdy kiedyś upadł i skręcił to cholerne kolano. Teraz było w nim wielkie jezioro smutku, dość głębokie, by się w nim utopić. Po przyjściu do miasta Epikleos pozostał ze swoim przyjacielem archontem i nauarchą, próbując go chronić i nie pozwalając mu się oddalić. Poprzedniej nocy pojawiały się rozmaite propozycje, jak również zagrożenia. Ksantyppos był bohaterem spod Salaminy, który powrócił. Wielu go kochało, choć byli i tacy, którzy mieli mu za złe wyzwolenie niewolników bez zapewnienia stosownej rekompensaty.

Epikleos pozostał u jego boku także z innych przyczyn, wiedział bowiem, że przyjaciel pozostawiony samemu sobie może popaść w grobowy nastrój. Niektórzy mężczyźni nigdy nie myślą o śmierci przyjaciół albo ukochanych osób ani o tych, których sami zabili. Ksantyppos do nich nie należał. Jego sny były zawsze koszmarami. Prześladowała go śmierć, a najbardziej śmierć syna.

Nieznajomy wyszedł z pokoju i zataczając się, dotarł do rzeki, po czym wpadł do wody z głośnym pluskiem. Ksantyppos usłyszał głos kobiety wołającej

z budynku. Rozejrzał się, mrużąc oczy.

– Jest tu gdzieś Temistokles? – zapytał. – Zjawia się tutaj, prawda? Byłem tu kiedyś. – Skrzywił się na wspomnienie innego wieczoru sprzed wielu lat. To było jak w innym życiu.

– Mam nadzieję. Nie mam już pieniędzy – powiedział Epikleos, nie otwierając oczu.

Obcy najwyraźniej się topił, nie było co do tego wątpliwości. Epikleos rozważał poważnie, żeby pozwolić głupcowi dalej się rzucać, ale się zreflektował, wszedł ponownie do rzeki i wyciągnął go na trawę. Mężczyzna złapał wielki haust powietrza i wypluł wodę. Epikleos odwrócił się z obrzydzeniem i zostawił go.

Ksantyppos skinął głową. Wspomnienia poprzedniego wieczoru wypłynęły na powierzchnię. Pamiętał, że miał ochotę zobaczyć tego, który posłał go na wygnanie i odebrał mu siedem lat życia. Czy zamierzał walczyć z Temistoklesem? O to chodziło? Skrawki wspomnień napływały i odpływały, drocząc się z nim. Obwiniął Temistoklesa za wiele rzeczy. Oczywiście wojna z Persją się zakończyła. To była interesująca myśl. Jakikolwiek rozejm między nimi również należał do przeszłości. Ale było coś jeszcze, czuł to wyraźnie.

– Jestem mu coś winien – powiedział.

Epikleos skinął głową i wzruszył ramionami.

– Tak mówiłeś wczoraj. Powtórzyłeś to ze sto razy. Tak też mówiłeś Arystydesowi. Nie pamiętasz? Powiedział, że musisz zaczekać z tym, aż Spartanin zrobi swoje. Że dla ciebie może już wiele nie zostać.

Ksantyppos przez długą chwilę zapatrzył się w przestrzeń. Wysunął dolną wargę, jakby na próżno próbował coś sobie przypomnieć.

– Jaki Spartanin? – zapytał w końcu.

Epikleos spojrział na człowieka, którego podziwiał bardziej niż kogokolwiek innego. Jednym z powodów, dla których przez ostatnie dni trzymał się tak blisko Ksantypposa, była zemsta, jaką ten poprzysiągł Temistoklesowi. Był to ten rodzaj groźby, który mógł pijaka kosztować życie. Nie sądził, by nawet na trzeźwo Ksantyppos mógł go pokonać, nie kogoś, kto swoje pierwsze pieniądze zarabiał na placu pięściarskim. Sprawiedliwość musiała czekać w kolejce za szybkością i umiejętnościami, przynajmniej kiedy chodziło o walkę na pięści.

Właśnie miał to znowu powtórzyć, gdy dostrzegł idącego przez plac ćwiczeń człowieka w czerwonym płaszczu. W tejże chwili obu mężczyznom przyszło to samo do głowy: mieli ostrzec Temistoklesa po trwającym trzy dni otumanieniu, przekazać mu wiadomość. Nie był to najszcześniejszy plan. Epikleos zmrużył



oczy, a raczej jedno oko, bo drugie i tak miał zamknięte, próbując zapanować nad bólem głowy, który rozłupywał mu czaszkę na równiuteńkie połowy.

– Ten? – zapytał, chwiejnie podnosząc się na nogi.

Eurybiades wyruszył ze Sparty tydzień wcześniej, pieszo. Wychylił puchar wina z regentem Pauzaniem i rodakami, gdy powrócili triumfalnie do domu. Kobiety i dzieci helotów ustawiły się w milczeniu, aby usłyszeć, czy ich mężowie, synowie i bracia znaleźli się wśród zabitych. Tysiące ich pozostały na równinie pod Platejami. Nie wykopano im grobów. Kruki i lisy miały dokonać dzieła, rozrywając ciała na sztuki; wiatr zaś oraz słońce miały pozostawić z nich same kości. Kobietom nie pozwolono płakać, aby nie psuły świątecznego nastroju zwycięstwa. Imiona poległych mieli zebrać ci heloci, którym udało się przeżyć. Odczytywano je głośno, a kobiety po prostu odwracały się i ruszały do domu albo do pracy.

W centrum miasta uformował się wielki pochód, który wyruszył na akropol. Pauzaniusz ukląkł tam przed synem Leonidasa, co było publicznym hołdem i miało zapewnić mu bezpieczeństwo, gdy Plejstarchos zostanie wojennym królem. Złożył też przysięgę wierności i posłuszeństwa, które było duchem Sparty.

Eurybiades słyszał, jak Pauzaniusz poprosił o stanowisko we flocie, odległe od spraw polityki i władzy. Nie zamierzał stać się dla młodego króla niewygodną przeszkodą. Było to bardzo mądre posunięcie ze strony mężczyzny, który poprowadził ich do największego zwycięstwa w historii. W ciągu jednego dnia spartiaci i periojkwowie potwierdzili zasadność całego ich systemu i dyscypliny. W kółko opowiadano sobie historie o zwycięstwie, ze wszystkimi szczegółami, lecz bez próżnej pychy.

Jedenaście lat wcześniej Maraton był zwycięstwem samych Aten, a Sparta nawet tam nie dotarła, bo bitwa została już wygrana. Bitwy morskie pod Artemizjum i Salaminą zostały rozegrane przez przymierze greckich państw. Plateje natomiast przypadły w udziale Spartanom i sile ich oręża, kiedy musieli walczyć w otoczeniu i w obliczu liczebnej przewagi wroga. I wykazali swoją wartość.

Wojna dobiegła końca. Ta wiadomość kazała Eurybiadesowi ruszyć w drogę, w czerwonym płaszczu i sandałach, z mieczem i kopisem. Teby splądrowano

i ukarano za udział w zdradzie, a ci, którzy przeżyli, zostali wygnani bez zbroi, ze śladami bicia na plecach i z włosami posypanymi popiołem. Wszyscy ich dowódcy zostali zabici i porzuceni w polu wraz ze szczątkami zabitych Persów. Nie było w zwycięstwach wiele litości. Persja otrzymała srogą lekcję za sięganie poza granice swego imperium. Tak samo jej greccy sojusznicy.

Idąc do Aten, Eurybiades zastanawiał się, czy perskie dominium w ogóle przetrwa. Po tym, jak straciło swoją armię i flotę, z pewnością spojrzy na nie wiele łakomych oczu, widząc szansę zagrabienia jego bogactw i ziem i ponownego rozszarpania go na czterdzieści królestw. Miał taką nadzieję.

Po przybyciu na miejsce Eurybiades wynajął pokoje w mieście. Jakaś wdowa z radością go powitała, mówiąc, że znacznie lepiej sypia, mając mężczyznę pod swoim dachem. Uprała jego zakurzoną w drodze odzież i ugotowała mu posiłek. Nie miał na sobie wiele i jadał skromnie, nie musiała więc zanadto się wysilać. Tak czy inaczej opiekowanie się nim sprawiało jej wielką przyjemność.

Kiedy wyszedł następnego ranka, stwierdził z niesmakiem, że ceny w Atenach bardzo wzrosły. Mały mieszek srebrnych monet był podarunkiem od jego brata. Godzina w łaźni kosztowała go jednak połowę dziennego żołdu! Musiał zmyć z siebie brud drogi, a także skorzystać z latryny, i wciąż kosztowało to zbyt wiele. Płacenie za posiłki było bardzo nieprzyjemne, ale zaczął rozglądać się za ulicznymi sprzedawcami żywności. Żaden Spartanin u siebie nie jadał w ulicznych kuchniach. Wojownicy otrzymywali posiłki we wspólnych salach, gdzie zapewniano im też miski i łyżki. Z pewnością nie poprawił mu nastroju zakupiony plaster mięsa, który okazał się tak słabo przyprawiony, że zachciało mu się płakać.

Zauważył, że minionej nocy wdowa cały czas przesiadywała pod jego drzwiami. Tutaj, w Atenach, wszystkie były kurwami. Musiał zrzucić z łóżka poduszki, a potem zrolować swój płaszcz i zasnąć na drewnianej podłodze. Pomodlił się do Apollina, aby strzegł go od tutejszych plugawych pokus.

Odkąd wrócił do Sparty, powodziło mu się znacznie gorzej. Najwyraźniej rozeszły się wieści, że jego funkcja nauarchy traktowana była pogardliwie przez Ateńczyków, a także samego Temistoklesa. Spartańscy kapitanowie donieśli o wszystkim, czego byli świadkami, ale nie zadali sobie trudu, żeby wyjaśnić, w jak trudnej znajdował się sytuacji. Eurybiades przeszedł drogę od darzonego najwyższym szacunkiem dowódcy do człowieka, którego dobre imię legło w gruzach. Jeśli w Sparcie istniała jakaś waluta naprawdę warta posiadania, to była nią reputacja i dlatego też Eurybiades, po raz pierwszy w życiu, doświadczył ubóstwa.

Kiedy zaczął rozpytywać o Temistoklesa, zaskoczyło go, ilu ludzi chciało stawiać mu trunki. Gdy tylko widzieli jego czerwony płaszcz, klepali go po ramieniu i wołali o wino. Pomimo zupełnego braku honoru byli wyraźnie przekonani, że w tym roku Spartanie są ich sojusznikami. Eurybiades stracił już rachubę, ile razy pytano go, czy był pod Platejami. Oczywiście nie był. Ten głupiec Pauzaniasz pozostawił kilku starszych mężczyzn, aby zarządzali miastem. Eurybiades był jednym z tych, którzy doświadczyli tego zaszczytu.

Marszczył brwi, idąc przez miasto i kierując się w stronę, gdzie, jak mu powiedziano, znajdował się gimnazjon, którego właścicielem był Temistokles. Eurybiades zastanawiał się, czy to możliwe, że ten próbuje go unikać. Dwa razy tego ranka trafiał do miejsc, gdzie kłębił się tłum, ale zawsze mówiono mu, że Temistokles właśnie wyszedł. Niemal spotkał go na Pnyksie, lecz gdy nadeszło południe, doszedł do wniosku, że raczej trafi na niego tam, gdzie będzie jadł posiłek. Właściciel tawerny przyjął srebrną monetę w zamian za udzielenie wskazówek.

Na szczęście nie zamierzał zostać tu przez kolejne dni, pomyślał Eurybiades. Garść ateńskich monet, jakie miał przy sobie, niemal się już rozeszła. Wiedział jednak, że tyle mu wystarczy. Miał dług do spłacenia i byłby szczęśliwy, mogąc go uregulować. Mogłoby to nawet usunąć zadrę, jaka w nim utkwiała, gdy musiał pozostać w domu w czasie, gdy inni odnosili wielkie zwycięstwo. Zacisnął szczęki. Dotarłszy do granicy miasta, wyszedł za mur, który miejscami wciąż jeszcze odbudowywano. Wykrzywił usta w szyderczym grymasie. Spartanie nie potrzebowali murów. Jaki wróg ośmieliłby się rzucić wyzwanie wojownikom, którzy pokonali Persję? Och, Ateńczycy byli przy tym też obecni, owszem, ale gdyby istniała waga o tak ogromnych szalach, Sparta przeważałaby całą resztę. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Eurybiades próbował tego ranka wytłumaczyć to grupie robotników. Zaproponowali mu wodę i nie chcieli za to ani grosza. Pragnęli tylko jego wspomnień spod Platejów. Kiedy skończył swoje wyjaśnienia, potraktowali go dość chłodno. Dwaj z nich podążali nawet jakiś czas jego śladem, aż musiał odwrócić się na środku ulicy, odrzucając połą płaszcz i wyciągając kopis. Zwiali wtedy, i to szybko! Wszyscy oni to dziwki i złodzieje. Samo przebywanie pośród nich sprawiało, że czuł się zbrukany. No cóż, przybył tu, by spełnić obowiązek. Potem będzie mógł wrócić do domu i w spokoju wypocząć.

Nikt nie zatrzymał Eurybiadesa przy wejściu do gimnazjonu. Dwaj zwaliści niewolnicy pokłonili mu się, a trzeci ruszył dokądś biegiem, niewątpliwie po to, by powiadomić swego pana. Wyjście poza granice miasta odprężyło

Eurybiadesa, co w jego wieku było bardzo ważne. Zastanawiał się, czy powinien poćwiczyć kamiennymi ciężarkami, czy raczej zrobić jedno okrążenie bieżni. Lewe biodro sztywniało mu czasami, a tego rodzaju ćwiczenie mogłoby podziałać rozluźniająco. Stanął w zamyśleniu, obserwując dwóch pływających mężczyzn i kilkunastu innych ćwiczących w porannym słońcu. Panował tu spokój, który działał nań kojąco. Miejsce to bardziej przypominało mu place ćwiczeń w Sparcie, jakże odmienne od karczm i jaskiń rozpusty w mieście, które właśnie opuścił. Eurybiadesa nauczono pogardy dla przyjemności, ze względu na słabość, jaką ze sobą niosły. Czasem niemal życzył sobie, by Persja zagarnęła tych ludzi dla siebie. Jednakże, póki co, los Sparty związany był ściśle z ich losem. Taka przychylność Apollina mogła się już nigdy więcej nie powtórzyć.

Poczuł nagłe ukłucie zadowolenia, gdy ujrzał nadchodzącego Temistoklesa. Mężczyzna miał na sobie zwykły przepasany chiton. Zbliżając się, otarł usta chustką. Podobnie jak Eurybiades, nie miał zbroi ani tarczy. Spartanin nie przybył tu w końcu na wojnę, tylko po to, by odpłacić za doznaną obrazę. Nie był pewien, czy to, że Temistokles jest nieuzbrojony, nawet bez miecza, traktować jako komplement czy zniewagę.

– Nauarcho Eurybiadesie – powiedział Ateńczyk na powitanie.

Spartanin skłonił głowę.

– Temistoklesie – odparł sztywno. – Wojna się skończyła, a ja zapowiedziałem, że przybędę.

– Dotrzymujesz słowa – odpowiedział Temistokles. Ku zaskoczeniu Eurybiadesa Ateńczyk klepnął go po plecach jak starego przyjaciela. – Masz za sobą długą drogę. Zatrzymałeś się w mieście czy przybywasz tu prosto z domu? Proszę, bądź moim gościem. Napijmy się wina.

Eurybiades zrozumiał, że nie ma pośpiechu, by zaczynać od razu. Docenił mężczyznę, który nie przejawiał najmniejszego lęku w obliczu bliskiej śmierci. Warte to było uczczenia, a prawdę mówiąc, czuł pewną suchość w gardle. Skłonił głowę.

– Bardzo chętnie, dziękuję.

Temistokles dał znak służącym i natychmiast wyniesiono stół i dwa krzesła. Gdy zasiedli, słońce świeciło już jasno. Eurybiades patrzył, jak nalewano wino z pięknej, czerwono-czarnej amfory. Na jej ściankach widniały sceny walki i tańca. Była dziełem mistrza. Przyciągała jego wzrok.

Temistokles dolał sobie do wina nieco wody z mniejszego dzbanka, po czym pociągnął łyk i przepłukał usta.

– Doskonałe, czysta przyjemność. Proszę, wypij. Chyba wiesz, że nie otruję swego gościa, nawet Spartanina.

Eurybiades uśmiechnął się blado, ale skoro zakwestionowano jego odwagę, opróżnił puchar do dna i podstawił służącemu do powtórnego napełnienia. Wspaniały aromat i ciepło rozeszły się po jego ciele, kojąc zmysły.

– Bardzo dobre. Zawsze byłeś prędko do przytyków, Temistoklesie. Czasem żałuję tego, co zaszło między nami.

– Rozumiem – odparł życzliwie gospodarz. – No cóż, zastanawiam się, czy choć przez chwilę pomyślałeś, że mogłeś nie mieć racji.

Spartanin spojrzał na niego, a Temistokles wzruszył ramionami, po czym ciągnął, żywo gestykulując:

– Cofaliśmy się i cofali. Wojna na morzu była dla nas wszystkich nowością, dobrze o tym wiesz! Mieliśmy flotę dopiero od kilku lat i nigdy nie walczyliśmy w wielkich formacjach. Persowie mieli tyle okrętów, że ich końca nie było widać. Myślę, że ty i ja, mniej więcej w tym samym czasie, doszliśmy do tego samego wniosku. Że nie zdołamy zwyciężyć, nie tam i nie przeciwko takiej flocie. Mogliśmy walczyć, tylko się cofając, aby zwolnić ich impet. To był dla mnie... o tak, najgorszy dzień.

Eurybiades przymrużył oczy. Temistokles rozprawiał, zapatrzony w przestrzeń. Nagle jego spojrzenie się wyostrzyło, a on uśmiechnął się i znowu wzruszył ramionami. Spartanin uświadomił sobie, że nie jest to człowiek zamartwiający się z powodu dawnych decyzji. Przeszłość była dla niego martwa. Kto wie, może Temistokles nie rozumiał dobrze, dlaczego Eurybiades tu jest, i nie wierzył do końca, że tylko jeden z nich wyjdzie stąd żywy.

– W tym momencie rozpaczy i zamieszania – kontynuował ponuro Ateńczyk – wydałeś jako nauarcha rozkaz, którego nie mogłem posłuchać: aby wycofać całą flotę i zostawić Ateny na łaskę Persów. Powiedziałeś, że możemy zablokować i ochronić Peloponez, na którym leżą Sparta i Korynt, ale nie moją żonę i dzieci, które stałyby się zabawką perskich wojowników. – W spojrzeniu, którym obdarzył Spartanina, zapłonęła iskra gniewu.

Eurybiades skinął głową, jakby to rozumiał. Znał już pogardę. Widział ją u Pauzanasza, u eforów. Zawsze jednak postępował w sposób zdyscyplinowany i z honorem.

– Łatwo jest zajrzeć w przeszłość i orzec, co trzeba było zrobić – odparł. – Wszystko, co powiedziałeś, jest prawdą. Rozumiem to! Oczywiście, że tak! Czy utrudniałem? Walczyłem, żeby ocalić flotę i wygrać na dłuższą metę. Chciałem

zbyt wiele, a ty odebrałeś mi dowództwo. Ośmieszyłeś moją decyzję i mnie też wystawiłeś na pośmiewisko.

– I powiem, że miałem rację – rzekł Temistokles, a jego głos zabrzmiał jak warknięcie. – Powiedz, że twój rozkaz był niedorzeczny i nigdy nie powinieneś był go wydać.

– Nie, nie powiem tego. Powinieneś był przegrać pod Salaminą! Wiesz o tym. Tylko szczęście i okpienie perskiego króla dały ci zwycięstwo. Nie mogłeś z góry przewidzieć, że Kserkses rozdzieli swoją flotę! Bitwa byłaby przegrana, a wasze kobiety i dzieci na Salaminie pojmane w niewolę! Zwyczajny łut szczęścia ocalił was wszystkich. Nie, to ja miałem rację, Ateńczyku! Choć cię to złości, taka jest prawda. – Eurybiades uświadomił sobie, że wychylony do przodu dźga palcem powietrze. Ponownie rozparł się na krześle. – Tak czy inaczej – ciągnął – nie posłuchałeś mego rozkazu w czasie wojny. Podważyłeś moje dowództwo. Sprawy potoczyły się w taki sposób, że Ateńczycy nie postawią cię przed sądem i nie skażą na śmierć...

– Nie za to – rzucił lekko Temistokles. – Są rzeczy, które zrobiłem nie po ich myśli, ale na pewno nie to! Uratowałem mieszkańców Aten, Eurybiadesie! Dobre kilka razy, jeśli dobrze liczę! Na każdym rogu powinien stać mój złoty posąg! Przez tysiąc lat każde dziecko powinno recytować historię mego życia. Zamiast tego oni nie wiedzą, co ze mną począć. Życie płynie naprzód i w jakiś sposób... chcą zapomnieć już o tej wojnie. Albo zaliczyć mnie do tysiąca herosów. – Machnął ręką zniechęcony. – A w miejsce złota, ziemi i posągów mam... *ciebie*, upierającego się, by pomścić coś tak małego i nikczemnego, że po prostu chce mi się płakać. Wydałeś zły rozkaz, pompatyczny głupcze. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby go wykonać.

Eurybiades skinął głową. Podniósł się powoli i stanął nad Temistoklesem. Ten wydał się nagle szary i starszy niż w rzeczywistości.

– Mam za sobą długą drogę – powiedział Spartanin. – Już czas.

– *Doprawdy?* – odparł gospodarz. – Zacisnął szczęki i także wstał. – Chcesz może załatwić to tak, żeby żaden z nas nie zginął? – Gestem wskazał na plac ćwiczeń. – Trzydzieści kroków stąd jest plac pięściarski. Spotkam się tam z tobą i przyrzekam, że po wszystkim postawię ci posiłek, niezależnie od wyniku.

– Spartanie nie walczą na pięści – odrzekł sztywno Eurybiades. – Nie, wybieram miecze. Powiedz mi, gdzie mam stanąć, i rozkaż któremuś z twoich ludzi, żeby przyniósł ci broń. Zamierzam być w drodze powrotnej, zanim dzień zbliży się ku końcowi.

Temistokles skinął na służących, którzy z otwartymi ustami przysłuchiwali się rozmowie. Gdy uprzątnęli stół i krzesła, zerwał się silniejszy wiatr. Jeden z nich ruszył po miecz i wrócił z nim truchtem.

Temistokles rozejrzał się wokół, próbując wymyślić dla siebie jakąś taktykę. Zobaczył dwóch nagich mężczyzn stojących nad rzeką i rozpoznał Ksantypposa i Epikleosa. Poprzedniego wieczoru przyszli tak pijani, że obawiał się, iż rankiem znajdzie ich bez życia. Ujrzanie ich obu na nogach poprawiło mu samopoczucie. Ksantyppos machnął ręką na powitanie i pytającym ruchem kiwnął głową. Dziwili się, dlaczego Temistokles przypasuje miecz. Sam się temu dziwił.

Temistokles zaklął pod nosem, gdy ujrzał ruszającego ku niemu Ksantypposa. Nie potrzebował widowni, choćby nie wiadomo co się działo. W gruncie rzeczy wolał, żeby pewne rzeczy odbyły się bez świadków. Byli z Eurybiadesem na placu sami, niezależnie od tego, kto będzie się im przyglądał.

– Jesteś gotów? – zapytał Spartanin. – Dałem ci dość czasu na przygotowanie. Dalej, wyciągaj miecz.

Temistokles podniósł rękę. Pocił się; pot spływał mu po żebrach. Eurybiades miał około sześćdziesięciu lat, lecz był sprawny i krzepki jak każdy Spartanin. Aby osiągnąć takie stanowisko, musiał być jednym z najlepszych szermierzy. Z pewnością był zaskakująco szybki i niezmordowany. Temistokles patrzył na niego i nie widział w nim żadnych oznak słabości. Kiedy Spartanin zdjął płaszcz i go złożył, ukazało się ciało jak wyrzeźbione z drewna. Temistokles poczuł zimny kamień w żołądku. Strach. Myślał, że Eurybiades jest pozbawionym poczucia humoru głupcem i kiepskim dowódcą. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia, gdy trzeba było stawić mu czoło z mieczem w ręku.

– Temistoklesie? – zawołał Ksantyppos, podchodząc bliżej. – Co to ma znaczyć?

Stanęli z Epikleosem naprzeciwko obu mężczyzn. Ksantyppos drgnął z zaskoczenia, rozpoznając Spartanina.

– Eurybiades!

– No tak, jakiś Spartanin szukał cię wczoraj – rzucił z udawaną powagą Epikleos.

Temistokles się roześmiał, ale Ksantyppos spojrział spode łba, kiedy zrozumiał.

– To nie... Na bogów, Eurybiadesie, wojna się skończyła! Powiedz, że nie przybyłeś tutaj, aby pojedynkować się z sojusznikiem.



Eurybiades zerknął na mężczyznę, który do niego przemówił. Łatwo rozpoznał Ksantypposa, podobnie jak jego władczy głos. Słyszał już taki ton, gdy na rozkaz regenta Pauzanasza musiał pozostać w domu, a jego kariera legła w gruzach. Zbyt dobrze jednak znał ateńską chytrą, by spuścić oko z Temistoklesa. Nie da się zaskoczyć wrogowi.

– Nie wydaje mi się, by nasz przyjaciel był otwarty na rozsądne argumenty – powiedział łagodnie Temistokles.

Ksantyppos potrząsnął głową.

– On nie ma prawa stać tutaj, na ateńskiej ziemi, i grozić ci! Eurybiadesie! Odstąp. Opuść miecz i oddaj mi go. Nie masz już dostatecznie wysokiej rangi, by móc wyzwąć Temistoklesa. A w Atenach nie masz żadnej władzy!

Eurybiades nie spuszczał oczu z mężczyzny, którego zamierzał zabić. Kiedy przemówił, w jego głosie drżał gniew.

– Umówiliśmy się... wcześniej. I to nie jest twoja sprawa. Proszę raz jeszcze, Temistoklesie. Wyciągnij miecz albo zabiję cię i tak.

– To byłoby niehonorowe – rzucił Ksantyppos. – I nielegalne. Zabraniam. Jeśli zaatakujesz Ateńczyka, postawię cię przed zgromadzeniem, Eurybiadesie.

– Dla mnie to nie jest niehonorowe – odparł nagle rozwścieczony Spartanin. – Zapowiedziałem temu człowiekowi, że się pojawię. On to zaakceptował, kiedy jeszcze mógł sobie drwić i śmiać się ze mnie! No więc przybyłem! Pozwól mu teraz wyciągnąć broń, a ja zakończę sprawę i wrócę do domu. Nic więcej nie powinno cię interesować.

– Ma rację – powiedział cicho Temistokles. Ksantyppos obrócił się ku niemu z przerażeniem, ale on powstrzymał go gestem dłoni. – Ma ją we własnym przekonaniu. Bardzo dobrze, Spartaninie. Cóż znaczy jeszcze jedno życie?

Temistokles wyciągnął powoli swój miecz. Był niewiele dłuższy od jego przedramienia, ale dobry do przerażania kości i ciała. Błysnął w południowym słońcu. Ksantyppos i Epikleos cofnęli się o kilka kroków, wiedząc dobrze, jak łatwo jest zostać rannym, gdy walczą inni.

– Pozwólcie, że zaprowadzę was na Pnyks! – spróbował raz jeszcze Ksantyppos. – Niechaj sądy o tym zadecydują. Dlaczego mamy stracić dobrego człowieka? W jakim celu?

Temistokles uświadomił sobie, że wyczerpał wszystkie argumenty i całą swoją zdolność przekonywania. Niemal fizycznie poczuł, jak śmierć bierze go w objęcia. Być może wszyscy, którzy stawali przeciw Spartanom w bitwie, czuli to samo. Mógł też jednak obrócić to na swoją korzyść.

– No dalej, nauarcho – rzucił. – Czyń to, po co przyszedłeś.

Eurybiades skinął głową. Stał zupełnie nagi. Włosy miał szpakowate, o barwie żelaza. Mięśnie piersiowe uwypukliły się nieco; jego skóra była jak wygarbowana, pełna fałd i zmarszczek. Poruszał się jednak doskonale i Temistokles poczuł przenikający go chłód.

Obaj wyciągali szyje i naprężali barki, przygotowując się do starcia. Temistokles czekał na pierwszy atak. Musiał się dowiedzieć, jak szybki jest jego przeciwnik.

Kiedy atak nastąpił, niemal go przeoczył. Eurybiades ruszył w bok, jakby krążył po obwodzie niewidzialnego kręgu. Bez zapowiedzi, dwoma szybkimi krokami skrócił dystans i Temistokles został nagle zmuszony do obrony. Ostrza zderzyły się dwukrotnie i Ateńczyk syknął, poczuwszy cięcie na żebrach. Ledwo zdążył odskoczyć, unikając głębokiej rany w boku.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Eurybiades nie dał mu czasu nawet na dotknięcie i ocenę skaleczenia. Spartanin przybył nie po to, by pojedynkować się na punkty, ale by zabić człowieka. Temistokles poczuł, że wszystkie jego zmysły zapłonęły, gdy ostrza zderzyły się po raz kolejny. Udało mu się zablokować dwa uderzenia, ale na jego przedramieniu pojawiło się następne cięcie. Gdy uniósł rękę, krew grubymi kroplami skapywała mu z łokcia. Bolało, ale jeszcze bardziej dokuczala zraniona duma. Tęsknił do tarczy albo czegokolwiek, co zapewniłoby mu przewagę nad tym sukinsynem krojącym go na plasterki. Zmrużył oczy, myśląc intensywnie, gdy Eurybiades zaatakował znowu. Ateńska chytryść była jedyną rzeczą, do której Temistokles mógł się w tej sytuacji odwołać.

Szybki jak myśl, schylił się i przeciągnął palcami po trawie, po czym zacisnął dłoń. Czynność ta sprowokowała atak Eurybiadesa, przed którym znów musiał się desperacko bronić. Spartanin jednak widział, że Temistokles złapał coś w rękę. Kiedy szybko wyrzucił przed siebie lewe ramię, Eurybiades odruchowo się uchylił, spodziewając się piasku albo kamienia. W dłoni nie było nic, zabrakło czasu, by podnieść z ziemi cokolwiek. Zamiast tego Temistokles postąpił krok do przodu i rąbnął potężnym lewym sierpowym w bok głowy Spartanina.

Nie był to doskonały cios. Padając, Eurybiades zdążył pchnąć mieczem, raniąc Temistoklesa głęboko w łydkę. Ale uderzenie trafiło wystarczająco celnie, zadane z całym impetem stojącej za nim masy. W ułamku sekundy Spartanin legł ogłuszony. Dysząc ciężko, mrugał w oślepiającym słońcu. Temistokles opuścił miecz, przytknął mu go do gardła, nacisnął i trzymał tak nieruchomo, patrząc leżącemu w oczy.

– Spartanie nie walczą na pięści – przypomniał mu. – Twoje życie należy do mnie, Eurybiadesie. Daj mi słowo, że nie będziesz więcej mnie prześladował, a pozwolę ci żyć. Poddaj mi się.

Spartanin spojrział w bok, tam, gdzie upadł jego miecz. Oko zaczęło mu puchnąć, a na twarz występował wielki siniak. Westchnął.

– Nie.

Temistokles skinął głową i wcisnął miecz głęboko, potem cofnął i wbił raz jeszcze, aż wszelkie ruchy ciała ustały. Kiedy się wyprostował, wyciągnięty z gardła trupa miecz błysnął w słońcu jasną czerwienią. Rzucił go na trawę obok broni Eurybiadesa.

Ksantyppos zauważył, że Temistokles drży, co było zrozumiałe po tym, jak otarł się o śmierć.

– Tak naprawdę to przyszliśmy cię ostrzec – wyznał Epikleos. – Chodził po całym mieście, rozpytując o ciebie i wymieniając twoje imię. Prawdę mówiąc, miał szczęście, że twoi hoplici go nie zabili.

– Tak – odparł Temistokles, patrząc na zwłoki. – Rzeczywiście szczęściarz.

Potem zaklął, widząc, ile krwi wycieka z niego samego. Spojrział na Ksantypposa i nie dostrzegł w nim śladu humoru ani litości. Strateg powrócił z wojny znacznie bardziej ponury niż przedtem. Nie on jeden. Ksantyppos nie był już tym młodym mężczyzną, którego Temistokles posłał na wygnanie, ani nawet tym, który objął dowództwo nad flotą i opracował sygnały dla okrętów oraz taktykę bitwy pod Salaminą. Wszyscy stali się innymi ludźmi. Temistokles pokręcił głową. Rany naprawdę go bolały. Wojna się skończyła, ale zabrała ze sobą ich młodość i wszystko, co było dobre.

# CZEŚĆ CZWARTA

Wiem, jak wygnańcy żywią się nadzieją.

*AJSCHYLOS, AGAMEMNON*

Zgromadzenie, które zebrało się o pierwszym brzasku, liczyło ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, zapewne tylu, ilu mogło zmieścić się na Pnyksie. Lud ateński gromadził się na zboczach wzgórza, przyciągnięty wagą wyników dochodzenia na temat wydarzeń z wojennego okresu. Pisarze pisali jak szaleni, wypisując tyle kart, ile zdołali. Sprzedawali je cztero- lub pięciokrotnie drożej w porównaniu do cen sprzed wojny.

Kobiety nie mogły zasiadać na kamiennych ławach. Zamiast tego zbierały się niżej, na Agorze. Te, które miały pieniądze, płaciły niewolnikom lub chłopcom na posyłki, aby wciskali się w tłum i donosili im o tym, co usłyszeli. Dla wielu była to jedyna szansa, by dowiedzieć się czegoś o losie mężów z ust świadków ich śmierci. Czasem była to jedynie nazwa okrętu, który został staranowany lub stanął w ogniu, albo śmierć dowódcy potwierdzona przez walczących u jego boku. Rodziny czekały na wiadomości, które często były dla nich trudne do zniesienia. W grupkach złożonych z sióstr, ciotek i dzieci stały z pochylonymi głowami, trzymając na rękach niemowlęta. Były tam też matki o stwardniałych rysach, zimne i nieprzyjmujące żadnych wyrazów współczucia. Były ich tysiące, przybyły z demów całego miasta i jego okolic, nadstawiając uszu, by usłyszeć cokolwiek.

Przeszłość była tylko częścią ich troski. Kiedy zgromadzenie zbierało się tak licznie, także samo prawo zmieniał się w wyniku głosowań. Czasami wołano o sprawiedliwość, po czym zapadały szybkie i nieodwołalne wyroki. Dla wielu zebranych była to też okazja do oceny czynów tych, którzy na wojnie nimi dowodzili, i podjęcia decyzji, czy postęпки owe, wydobyte na światło dzienne, zasługują na nagrodę czy potępienie. Każdy sąd w Atenach pełen był sędziów podległych radzie fyl i wyznaczanych w drodze losowania. Spływały do nich nieustanne petycje o zwrot i rekompensatę mienia zajętego na wojenne potrzeby. Oskarżonych doprowadzano przed sądy pod zarzutami kradzieży, gwałtów, morderstw lub współpracy z wrogiem w czasie wojny. Były to sprawy poważne. Mniejsze przestępstwa zwykle karano grzywną, ale tłum żądał często czegoś więcej. Egzekucje odbywały się bezzwłocznie. Trzech mężczyzn przykuto na

całą noc do belki na Agorze, wydając na pastwę znęcających się nad nimi przechodniów, aż w końcu zostały z nich tylko krwawe szczątki.

Kolejne trzy dni zarezerwowano na wysłuchanie sporów dotyczących własności. Roszczenia wiązały się jednak ze sporym ryzykiem, bo tłum nie miał ochoty wysłuchiwać szczegółowych argumentów i się niecierpliwił. W najbardziej skomplikowanych przypadkach szukający sprawiedliwości tracili często dużą część swoich majątków, których sąd nie potrafił uczciwie rozdzielić. Majątki takie sprzedawano na aukcjach, na czym korzystały bogatsze rodziny.

Ani stratedzy, ani archonci nie byli przed sądami chronieni. Było tam też ponad stu *epistatai*, a każdy rządził Atenami przez jeden dzień podczas kryzysu. Byli kluczowymi postaciami całej tej historii, wychodzili kolejno na mównicę i opowiadali, czego byli świadkami i czego dokonali od zachodu do zachodu słońca.

Arystydes wysłuchiwał tyłu, ilu zdołał. Stał w swojej starej, wysłużonej szacie blisko kamiennej mównicy, aby dobrze słyszeć. Musiał często bronić się łokciami, gdy inni chcieli go stamtąd zepchnąć, ale nie opuścił swego miejsca. Zauważył, że przyszli też Ksantyppos z Epikleosem w towarzystwie Peryklesa. Choć młody człowiek nie miał jeszcze prawa głosowania na zgromadzeniu, to ojciec starał się mieć go zawsze blisko siebie. Nikt nie protestował, widząc stratega z synem.

Przybył też Kimon i stanął w grupie czterdziestu młodych ludzi w pięknych płaszczach, dowódców jego skrzydła we flocie. Rozpoczął negocjacje w sprawie remontu trzech starszych trier na koszt miasta. Jak mówiono, sam również uczył się szkutnictwa, asystując mistrzom ciesielskim w porcie i poznając tajniki ich pracy. Upierał się, by znać się na naprawach okrętów. W jakimś sensie dawało to Arystydesowi nadzieję.

Ciągle nadchodziły raporty o perskich warowniach na greckich wyspach nietkniętych wojną. Nowe pokolenie już następnej wiosny miało wykurzyć stamtąd Persów mieczem i ogniem. Arystydes lękał się jedynie, że wyprawy te nie zamienią się w wielkie pijackie hulanki. Mieszkańcy Aten przeżyli mroczne lata. Potrzebowali nowych legend podnoszących ich na duchu w trakcie odbudowy. Z błogosławieństwem bogów mężczyźni w rodzaju Kimona mieli tworzyć historię porównywalną z opowieściami o Odyseuszu czy Argonautach, aby zapadło ludziom w pamięć, że dni chwały jeszcze nie przeminęły.

Temistokles również był na wzgórzu Pnyksu, w samym jego sercu. Gdy Arystydes zerknął na jego srebrzyście siwą głowę, Temistokles rozmawiał właśnie szeptem z najstarszymi archontami, którym upływ czasu i wojna

odebrały znaczną część autorytetu, jakim cieszyli się w młodości. Wszyscy każdego ranka brali udział w postępowaniach, które ciągnęły się już ponad dwa tygodnie, a każdego dnia wybierany był nowy epistates, który powoływał nowych świadków i ogłaszał nowe głosowania na potrzeby zgromadzenia.

Porządku pilnowali scytyjscy łucznicy, którzy toczyli podejrzliwym wzrokiem po tłumie i wkraczali, gdy zebranych zbyt ponosił temperament. Choć byli publicznymi niewolnikami należącymi do społeczności ateńskiej, mieli jednak w razie konieczności, gdyby wybuchły zamieszki, prawo okładania ludzi pałkami. Sześćdziesięciu ich stało tego dnia na obrzeżach Pnyksu, mając stanowić ostrzeżenie. Tłum często stawał się niespokojny, zarówno w porywach euforii, jak i gniewu. Scytowie nie musieli już jednak używać lin umoczonych w czerwonej farbie, aby przywoływać niesfornych do porządku. Odkąd zgromadzenie ogłosiło wielkie przesłuchania w sprawie uczynków ludzi podczas wojny, sędziowie zbierali się każdego dnia o świcie, gorliwie biorąc w nich udział.

Postępowania miały cechy wielkiego procesu, choć liczni mówcy nie zawsze dodawali coś istotnego do publicznego zapisu faktów. Zabieranie głosu, pomimo licznych kar grożących za nierzetelność, było też szansą na opowiedzenie, co widzieli, gdy cudem uszli z życiem, a co teraz skrętnie zapisywali skrybowie. Obecni też byli dramatopisarze, którzy również notowali najbardziej soczyste fragmenty zeznań, z palcami i ustami wysmarowanymi na czarno węglem lub atramentem.

Pierwszego dnia ubiegłego tygodnia Arystydes był pierwszym archontem, którego przesłuchano. Formalnie złożył swój los w ręce zgromadzenia, akceptując jego władzę nad sobą. Nawet tłumy na zboczach Pnyksu umilkły. W końcu przysięgę składał człowiek, którego zesłano kiedyś na wygnanie i który został z niego wezwany.

W suchych i zwięzłych słowach opisał swoje relacje ze Spartą, jak również cały przebieg bitwy pod Platejami i swój w niej udział. Przeszedł surowe przesłuchanie prowadzone przez trzech ze swoich dowódców, dotyczące decyzji podejmowanych na polu bitwy oraz okoliczności chaosu, jaki powstał w szeregach helotów. Tłum słuchał w trwożnym skupieniu, gdy opisywał tych ostatnich, całe niewolnicze państwo w państwie, liczebnością przerastające swoich panów. Arystydes doskonale nad sobą panował, odpowiadając na każde pytanie ze zwykłym spokojem, opisując wszystko wnikliwie i ze szczegółami, a ludzie słuchali, nie chcąc uronić ani słowa. Mówił od świtu do samego wieczora i aż ochrypł na koniec. Kiedy słońce dotknęło horyzontu, epistates

oddalił wszystkie czekające jeszcze pytania. Arystydesowi pozwolono zstąpić z mównicy. Głosowaniem przez podniesienie rąk zgromadzenie zgodziło się dodać go do listy osób o nieposzlakowanym honorze, wolnych od jakiegokolwiek dalszej krytyki. Większe zaszczyty miały go czekać dopiero w przyszłości albo już pośmiertnie, bo miasto wciąż jeszcze było w odbudowie.

Ksantyppos złożył swoje świadectwo po nim i robił to przez dwa dni i cztery spotkania. Opisał bitwy morskie pod Salaminą ze szczegółami, choć styl miał raczej monotony i w miarę upływu czasu ludzie zaczynali ziewać. Przepytywano go na temat przygotowań do drugiej ewakuacji na wyspę, aż zrobił się czerwony na twarzy i rozdrażniony. Pod koniec pierwszego dnia swoich zeznań musiał tłumaczyć się przed rodzinami żądającymi rekompensaty za niewolników, których wyzwolił. Wyglądało na to, że ponad trzy tysiące skorzystały z jego oferty, wiosłując we flocie w zamian za wolność. Zarzuty te zostały oddalone jako pozbawione podstaw, choć stało się tak nie tylko z przyczyn prawnych, ale i z braku wystarczających funduszy w skarbcu. Więcej niż raz Ksantyppos odmawiał odpowiedzi, zasłaniając się niepamięcią odnośnie do szczegółów. Widać było jednak, że bardziej wiązało się to z jego pogardą dla nagabujących niż z prawdą. Epistates tego dnia był mocno podenerwowany jego uporem.

– Kyriosie, nie znajdujesz żadnych słów dla rodzin tych, którzy zginęli? – zawołał w końcu. – Czy w grę wchodzi tylko utrata okrętów, wiosł i srebrnych monet?

Ksantyppos opuścił głowę, usiłując zapanować nad sobą, zupełnie jak byk w obliczu rzeźnickiego noża. Oddychał powoli i głęboko, podczas gdy epistates zbladł, widząc groźne spojrzenia znacznej części zebranych. Ksantyppos powrócił do Aten, żeby dowodzić flotą, i doskonale się z tego wywiązał.

Strateg odchrząknął.

– Wszyscy oni zasłużyli na moją miłość – powiedział. Jego powtórzone szeptem słowa przemknęły po zboczach jak fala. – Każdy, kto stanął przeciwko naszym wrogom...

Zamilkł na dłuższą chwilę, a epistates poruszył się z zażenowaniem. Nie wiedzieli, jak zareagować, bo Ksantyppos nie patrzył na nikogo szczególnego. Dopiero gdy mężczyzna otworzył usta, strateg znowu przemówił:

– Niektórzy chętnie oddawali życie, z odwagą i radością, jakiej nie umiecie sobie wyobrazić. Inni zaś bardzo niechętnie i wbrew swej woli oddawali to, co było dla nich najdroższe. Widziałem akty poświęcenia tak wielkie, że nic nie zdoła ich wynagrodzić! Ludzie tacy jak my, którzy chcieli jeszcze poczuć słońce,



a zamiast tego wkroczyli w ciemność... – Jego oczy były straszne, a twarz tak spokojna, jakby wykuta z kamienia. – Powinni mieć pomniki, ale winni zostać też zapamiętani. Ich historie należy opowiadać tak jak te, których wysłuchałem dzisiaj. Żaden z nich nie miał pewności, że uda nam się zwyciężyć! A jednak w obliczu tej niepewności wzięli do rąk tarczę i miecz. Bo to czyniło ich mężczyznami. Ojcami, braćmi... i synami. – Wtedy jego głos się załamał. Kiedy Ksantyppos przemówił znowu, zabrzmiał w nim głęboki żal. – Bogowie, błogosławcie ich, a wśród nich mego syna Aryfrona. Kiedy żył, byłem dużo lepszym człowiekiem.

Epikleos położył mu dłoń na ramieniu i Ksantyppos odetchnął głęboko, raz i drugi, po czym zakończył swoją mowę. Posiedzenie też zamknięto.

Przez cały następny dzień Ksantyppos nie okazywał już więcej żalu i emocji, kiedy opisywał działania na jońskim wybrzeżu. Nie szczędził szczegółów swoich decyzji i czynów. Na koniec, gdy zstąpił z mównicy, żegnano go owacjami, a wiwaty niosły się daleko po mieście, od demu do demu, od dzielnicy do dzielnicy. Patrzył na to wszystko zmieszany.

\* \* \*

Wieść, że zeznania składać będzie Temistokles, tylko zagęściła obozujące na Pnyksie tłumy. Wszystkie gospody i wolne pokoje w Atenach były już zajęte, a on sam przebywał pod strażą w budynku rady. Arystydes poszedł go tam odwiedzić i zastał go krążącego niespokojnie po izbie. Temistokles, przygotowany już na poranne przesłuchania, nie sprawiał wrażenia aresztanta. Jedynie scytyjskie patrole krążyły po korytarzach i na zewnątrz budynku. Rozstąpiły się, aby przepuścić Arystydesa. Częściowo było tak dlatego, że zgromadzenie uwolniło go już od wszelkich zarzutów. Ale niewykluczone, że miał znaczenie również fakt, że gdyby go zatrzymali, wróciliby z tysiącem swoich ludzi, którzy jako hoplici walczyli wraz z nim pod Platejami. Że odniosą takie zwycięstwo, żaden z nich się nie spodziewał. W panującym pod koniec chaosie, w którym Spartanie stali jak skała pośród powodzi, również Ateńczycy dotrzymani pola i ostatecznie cofnęła się przed nimi największa armia świata. Scytowie wiedzieli, że gdyby Arystydes zawołał, zostaliby zmieceni z drogi. Ta świadomość była widoczna, gdy przystawali z szacunkiem i pytali go o zdrowie.

– Chodź ze mną – powiedział do Temistoklesa Arystydes, zajrzawszy do środka. – Ten pokój jest tak mały, że można go nazwać celą.

– Powiedziałem im to już podczas odbudowy – odparł Temistokles. Miał na sobie stary chiton sięgający do połowy uda i znoszone sandały. Wychodząc za

przybyłym, rzucił za siebie tylko jedno krótkie spojrzenie. – Człowiek powinien móc chodzić, myśleć. Te pokoje są zbyt małe. Architekt musiał być szalony, próbując zmieścić dwadzieścia izb tam, gdzie przedtem było ich tylko dwanaście. A koszta! Doprawdy, nigdy dotąd nie widziałem takich sum.

Umilkł, gdy podążyli korytarzem prowadzącym na otwartą przestrzeń Agory. Scytyjski dowódca był zwalistym mężczyzną z kosmykiem siwizny w brodzie. Stał im na drodze, tak że żaden z nich nie zdołałby przejść bez jego zgody. Na jego twarzy odmalował się wewnętrzny konflikt, gdy patrzył na nich przepraszającym wzrokiem, ale nie ruszył się nawet o krok.

– Nie mam rozkazów dotyczących ciebie, archoncie Arystydesie.

– Nie masz także rozkazów dotyczących mego przyjaciela – odparł uprzejmie Arystydes. – Niczego, co dawałoby ci prawo. Odsuń się, proszę.

Mężczyzna wciąż się wahał, a jego dłoń wykonywała w powietrzu drobne, szybkie ruchy, gdy zapewne próbował zważyć przeciwstawne autorytety. Arystydes ruszył naprzód, zmuszając go do ustąpienia. Scyta ledwo zdążył usunąć się z drogi, przywierając plecami do ściany. Temistokles wyczuł frustrację mężczyzny, lecz Arystydes sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Wyszli na chłodne nocne powietrze i Temistokles odetchnął głęboko, z ulgą czując się znowu wolny.

– Widziałeś to? – zapytał. – Skoro nie mogę iść, dokąd chcę, to jak mogą twierdzić, że nie jestem więźniem?

Arystydes wzruszył ramionami.

– Przyszedłem tutaj, bo mnie wezwali. Ten typ robi to, co nakazał mu któryś epistates. Zanim formalnie nie zakończą się wszystkie przesłuchania i procesy, nie chce ponosić odpowiedzialności za to, że zniknąłeś w środku nocy. Wyobrażam sobie, że tłum obdarłby go żywcem ze skóry, gdybyś rano nie pojawił się na Pnyksie.

Temistokles skinął głową.

– A przecież powinni raczej mnie uhonorować. Mnie spośród wszystkich innych. Ocaliłem ich, niewdzięcznych sukinsynów.

Arystydes westchnął. Obrócił się ku niemu i zatrzymał go w miejscu, kładąc mu dłoń na piersi.

– No jak? Dlaczego tak trudno to przełknąć? Wiwatowali na cześć Ksantypposa! Czy to nie ja przekonałem go, żeby zbudował flotę, którą wyprowadził w morze? Ty byłeś za rozdaniem srebra ludziom! Gdyby za tym zagłosowali, teraz rządziłaby tu Persja, a po nas nie byłoby śladu. Za to jedno...

– To było lata temu – przypomniał mu Arystydes. – Pamięć ludzka jest krótka. Od tamtego czasu przeżyli wojnę, ewakuację, pożogę, która strawiła wszystko, co posiadali, stratę najbliższych... – Machnął ręką ze zniechęceniem i ruszył dalej. Powietrze było chłodne, a on wdychał je, pozwalając, by wypełniło go bez reszty.

– Wojnę, której nie wygralibyśmy beze mnie! Powiadam ci, Arystydesie, przypomną sobie o tym jutro. Powiem im prawdę, kiedy będą mnie przesłuchiwać, krzywiąc się groźnie i wbijając we mnie wściekłe oczka. Powiem im dokładnie, co zrobiłem i dlaczego powinni być mi wdzięczni. Powinni słać pod moje drzwi najpiękniejsze córki, zamiast stawiać pod nimi Scytów łąpiących na mnie spode łba, gdy proszę o kubek wina!

– Uspokój się, Temistoklesie.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Nocą Agora była rozległa i otwarta, a wszystkie stragany i przykryte płótnem kramy starannie wysprzątane. Akropol przesłaniał ciemną bryłą jedną część nieba, podczas gdy na drugiej jego części skrzyły się gwiazdy. Panował spokój. Tu i ówdzie widać było śpiących żebraków, ale wystrzegali się oni przemocy i nie byli skorzy zacząć dwóch samotnych mężczyzn.

– Jutro czekają mnie inne zmartwienia – stwierdził w końcu Arystydes.

Temistokles zwrócił się ku niemu, w świetle księżyca wyglądał nagle na niewypowiedzianie zmęczonego. Pomimo całej swojej złości martwił się.

– Co słyszałeś? – zapytał Arystydesa.

– Rośnie frakcja tych, którzy chcą cię potępić za odebranie im kosztowności na nabrzeżach Pireusu.

– Chodziło o zapłatę dla wioślarzy – warknął Temistokles. – I dla niewolników, których uwolnił Ksantyppos. Chyba że sami wynagrodziliby to sobie gdzie indziej, u Persów albo w zamkniętych kopalniach Laurion!

– Chodzi jeszcze o ten zaginiony kielich...

Temistokles machnął ręką ze zniechęceniem.

– Sam rozpuściłem tę plotkę, żeby mieć pretekst do przeszukiwania bagaży – rzucił. – Gdybym mógł cofnąć czas i unieważnić te słowa, zrobiłbym to, szczerze mówiąc. Wpadłem na ten pomysł pod wpływem chwili i nie było to potrzebne. Po prostu zobaczyłem tulony w objęciach woreczek srebrnych monet, który ktoś przewoził na Salaminę. Pomyślałem, że przyda się dla wioślarzy. Podjąłem szybką decyzję.

– Okazało się, że... bardzo niepopularną. W jednej chwili rozgniewałeś wszystkie bogate ateńskie rodziny. Zrobiłeś sobie wrogów. I na pewno wyjdzie

to jutro. Powinieneś przygotować się, że będą cię o to pytać.

– Może powinienem im powiedzieć, że beze mnie byliby dziś niewolnikami albo nieboszczykami. Oto dobra odpowiedź!

Arystydes ze zmęczeniem potarł dłońmi twarz.

– Nie ująłbym tego w ten sposób na twoim miejscu, Temistoklesie. W mieście jest dużo gniewu, który nie znajduje ujścia. Tysiące gniewnych ludzi pogrążonych w żałobie. Stracili wszystko i na kogo mają zrzucić winę? Persów już nie ma! Życie musi wrócić do normy, ale rodzinne interesy są w ruinie, domy spalone, rodziny rozbite. Oni... miotają się w poszukiwaniu kogoś, kogo mogliby za to ukarać. Nie chcę, żebyś stał się ofiarą ich frustracji.

Znowu zamilkli na jakiś czas, mijając puste wyloty ulic na granicach Agory. Nad nimi Akropol przesłaniał księżyc, obojętny na drobne sprawy ludzi żyjących w jego cieniu.

– Poświęciłem całe życie dla tego miasta i jego mieszkańców – powiedział w końcu Temistokles. – Moja matka nie była Atenką, wiedziałeś o tym? Była drobną blondynką z Tracji. Pracowała rękami, aby zarobić na chleb dla nas, kiedy byłem chłopcem. Nie byliśmy bogaci, nie pochodziliśmy z długiej linii archontów, Arystydesie. Gdy miałem jedenaście lat, ojciec nas zostawił. Gdy tylko mocniej stanąłem na nogach, zacząłem pracować. Zarabiałem monety, walcząc na pięści, uprawiając zapasy i trenując innych. Wszystko wydawałem na nauczycieli, aby nauczyć się pisać. Sam siebie stworzyłem, pracowałem nawet nad sposobem mówienia, żeby nikt nie mógł powiedzieć o mnie „obcy” albo „niewykształcony”. Rozumiesz? Wrobiłem sobie w tym mieście imię człowieka bogatego i wpływowego, wspinając się coraz wyżej krok za krokiem. Miałem też rok swego imienia i ludzie mówili do mnie „archoncie”.

– Pamiętam, że użyłeś części swoich wpływów, aby wygnać z miasta tych, którzy mogli pokrzyżować ci plany – rzucił Arystydes.

Gdy znów wyszli na światło księżyca, jego spojrzenie pociemniało. Zauważył, że w oczach Temistoklesa pojawiło się coś w rodzaju poczucia winy lub zażenowania. Mężczyzna machnął niedbale ręką.

– To naprawdę było bardzo dawno – powiedział. – Tłum bywa kapryśny. Zdawało mi się wówczas, że ich rozumiem, Arystydesie! Życie było... prostsze. A potem nadeszli Persowie... Czasem myślę, że całe moje życie zostało rozdzielone przez nich na połowy. Na to, kim byłem przedtem i kim stałem się potem. – Westchnął. – Stanę jutro przed zgromadzeniem, które zażąda ode mnie wyjaśnienia wszystkich decyzji, jakie kiedykolwiek podjąłem, podczas gdy żaden z nich nie miał odwagi stanąć u mego boku i mnie wesprzeć! Miałem rację

częściej, niż jej nie miałem. Tylko to w ostatecznym rozrachunku się liczy. Jeśli popełniałem błędy, a kto ich nie popełnia, to przecież moje triumfy przeważają...

Słowa te zabrzmiały jak skarga i Arystydes wzruszył ramionami, po czym odpowiedział:

– Nie wiem. Spotkałem mężczyznę, który głosował za moim wygnaniem. Nie znał mnie, ale szczerze nie cierpiał, gdy ludzie nazywali mnie „Arystydesem Sprawiedliwym” albo „Arystydesem Dobrym”. Skazał mnie na wygnanie, bo nienawidził mojej zaszczytnej reputacji.

Słuchając tego, Temistokles sprawiał wrażenie chorego.

– Naprawdę? Jest więc dla mnie jakaś nadzieja?

Arystydes spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Masz popleczników, którzy wiedzą, jaką rolę odegrałeś podczas wojny. A jednak... – Tu się zawahał. Był temu człowiekowi winien więcej niż fałszywą nadzieję. – W mieście krążą tysiące drobnych plotek, prawdy i fałszu wymieszanych jak wino z wodą. Mówią one, że brałeś dla siebie srebro z Laurion, nawet w czasie wojny. Niektórzy mówią, że wykorzystałeś ich rodzinne nagrobki, aby położyć nowe fundamenty pod Dipylon.

– To ostatnie jest prawdą! – rzucił Temistokles. – Wykorzystałem wszystkie rozrzucone wokół gruzy, popękane kamienie. Zamierzają obarczyć mnie odpowiedzialnością za to, co zrobiły młoty Persów?

– Myślę, że tak, przynajmniej niektórzy – odparł Arystydes. Pokręcił głową. Pamiętał, że Temistokles nie zaprzeczał też oskarżeniom o fundusze z kopalni. –

Słyszałem pogłoski, że masz zbyt wielką władzę, że wzięłeś zbyt wiele... zarówno przed wojną, jak i po niej, zwłaszcza po niej.

Ta ostatnia pozycja z listy zarzutów sprawiła, że Temistokles nagle się zatrzymał.

– Arystydesie, jeśli tak wielu mnie teraz nienawidzi, to jakże zdołam jutro uniknąć wygnania?

Zapytany otworzył szeroko oczy z konsternacją.

– Och, przyjacielu, tak mi przykro. Przyszedłem do ciebie, aby się upewnić, że rozumiesz. Myślę, że mają dość albo są tego bliscy. Chciałem po prostu dać ci czas na przygotowanie.

– Co takiego? – Temistokles wpatrywał się w niego. – Chcesz powiedzieć, że nie ma dla mnie żadnej nadziei? Mogę wyliczyć wszystkie moje zaszczytne dokonania, zaczynając od Maratonu, a kończąc na Salaminie, gdzie nas ocaliłem. Czy wiesz, że Eurybiades przybył, aby stanąć ze mną do pojedynku, jak obiecał? Widziałeś tę ranę albo tę? – Pokazał blizny na żebrach i szew na łydce. – On

wiedział o wszystkim, co zrobiłem, nawet jeśli moi ziomkowie tego nie wiedzieli! Chciałbym móc powołać go na świadka, aby uświadomić im, ile mi zawdzięczają. Niewdzięcznicy...! – Wyrzucił ręce w górę i oddalił się od Arystydesa. Zatoczył duże koło, a kiedy wrócił, był już spokojniejszy. – Czego im trzeba? Sześciu tysięcy głosów? Może zawołam wioślarzy z floty, żeby obalili urnę.

– I zaczniesz nową wojnę? – spytał Arystydes. – Nie, jeśli zostaniesz skazany na wygnanie, wyjedziesz tak samo spokojnie jak kiedyś ja albo Ksantyppos.

– Ach, więc o to chodzi, co? – rzucił gorzko Temistokles. – Oczywiście. Jesteście zachwyceni, widząc mnie w poniżeniu pod gradem nikczemnych oskarżeń, z których większość to zwykłe plotki. – Odetchnął głośno z oburzeniem.

Arystydes patrzył na niego z troską i ledwo mógł uwierzyć w jego słowa. Nie było w nim ani śladu mściwej satysfakcji. U Ksantypposa też nie, już nie.

Temistokles stał, czując się wycieńczony i pusty. Wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo.

– Zawsze jest nadzieja, Arystydesie. Dopóki są tacy, którzy mnie kochają, jest nadzieja.

– Była ostatnim, co wyłoniło się z puszek Pandory – powiedział Arystydes – kiedy już wypełzły wszystkie okropności świata.

– To nie jest *żadna* pociecha. – Temistokles zmusił się do uśmiechu. – Chodźmy. Powinienem choć trochę się przespać. Nie chcę, aby ominęły mnie jutro słowa wielkich i szlachetnych Ateńczyków mówiących, jakim to złym i nikczemnym jestem człowiekiem.

Zawrócił i skierował kroki w stronę budynku rady, gdzie majaczyły sylwetki Scytów.

– Widzisz ich? – mruknął. Mając widownię, Temistokles się ożywił. Uniósł głowę i wyprostował ramiona, idąc w świetle księżyca przez Agorę. – Nigdy nie pozwól im zauważyć, że cię zranili – zawołał przez ramię, a jego głos poniósł się echem przez plac.

Temistokles opuścił budynek rady o świcie. O tej porze na ulicach było już rojno, a tłumy walczyły o lepsze miejsca na wyższych zboczach Pnyksu, a nawet na kamiennych ławach, gdzie słyhać było najlepiej. Wyglądał świeżo i czysto, a jego szata lśniła w różowym świetle poranka. Towarzyszyła mu setka Scytów, na których spoglądał ze zmarszczonym czołem, czując się bardziej więźniem niż świadkiem.

– Co się tak gapisz? – rzucił do ich dowódcy. – Martwisz się o mnie?

Ten nie odpowiedział, a Temistokles zaklął pod nosem, mrużąc coś o niskich mężczyznach i ich godności.

Arystydes czekał u stóp wzgórza wraz z Ksantyposem i Kimonem. Temistokles na ich widok uniósł ze zdziwieniem brwi. Wśród Scytów wynikło niewielkie zamieszanie, zanim ich dowódca uznał, że nie może zakazać znanym Ateńczykom towarzyszenia człowiekowi, którego uważał za więźnia.

– Przyszliście zobaczyć, jak skazują człowieka? – zawołał do nich Temistokles.

W istocie był wdzięczny, widząc znajome twarze, nawet w takim miejscu. Arystydes przyłączył się do niego, a Ksantyppos i Kimon ruszyli przodem. Żaden z nich nie zatrzymał się w prącym w górę tłumie Ateńczyków. Temistokles wyobraził sobie, że nie zdoła znaleźć dla siebie miejsca na własnym procesie, i uśmiechnął się. Co by wtedy zrobili, nie mając nikogo, kogo mogliby oskarżyć?

– Przybyliśmy, aby cię wesprzeć – powiedział Kimon.

Słowa te uderzyły Temistoklesa. Potknął się lekko i cmoknął z niezadowolaniem.

– Ludzie mnie kochają – mruknął. Potem jego głos nabrał mocy. – Ocaliłem ich wszystkich, każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w Atenach. – Zerknął na Ksantypposa i jego pociemniała z wysiłku twarz. Kiedyś był w lepszej formie. Jak wszyscy. – To wiele dla mnie znaczy, chłopcy – dodał Temistokles – że przyszliście tutaj. Nie zapomnę tego. Nie oczekujcie jednak, że będę potulny. Jeśli to ma być proces, to mogę go wygrać, a jeśli uznają mnie za winnego, sam

mogę wybrać sobie znośną karę. No, chyba że zechcą poddać mnie ostracyzmowi.

– Wtedy okaż pokorę – rzekł Ksantyppos. – Tylko tego chcą. Pokaż, że to wszystko nie jest ci obojętne.

Temistokles milczał przez dłuższą chwilę.

– A ty byś tak zrobił, Ksan? Ukorzyłybyś się przed tymi wszystkimi, którzy chcą zobaczyć, jak szlocham i rozdieram szaty? Powinienem wcierać popiół we włosy i kołysać się jak stara kobieta? Czy to ich zadowoli?

Ujrzał, jak na zaciśniętej szczęce Ksantypposa nabrzmiały mięśnie. Mężczyzna z trudem powstrzymywał złość. Temistokles zauważył, że schudł, a w jego włosach pojawiło się więcej siwizny. Żaloba i poczucie winy znacznie go postarzyły.

– Zgadzam się z Ksantypposem – powiedział Arystydes, gdy widać już było, że strateg nie odpowie. – Na całą resztę, na te wszystkie oskarżenia o kradzież i nieuczciwe postępowanie da się odpowiedzieć. Można wypłacić rekompensaty. Ludzie po prostu chcą być wysłuchani. Pozwól im zobaczyć, że nadal jesteś jednym z nich, a oni znów cię pokochają.

Temistokles spojrzał na przyjaciela. Arystydes był ubrany w szatę, która wyglądała na starszą od każdego z nich. Nie afiszował się ze swoimi cnotami i trudno było go nie lubić. Temistokles wiedział jednak, że archont surowo ocenia jego słabości. Arystydes nigdy nie przywłaszczył sobie nawet drachmy. Cały swój majątek rozdał biednym Ateńczykom. Temistokles skłonny był uwierzyć, że wszystko, co posiadał, nosił na własnym grzbiecie. W zwyczajnym dniu Kimon przechadzał się w towarzystwie przyjaciół ubrany w piękne stroje tylko po to, by rozdać je biednym w łachmanach, którzy o to poproszą. Przed wojną Ksantyppos wzenił się w majątek, który ściśle wiązał się z władzą. Temistokles nie miał wątpliwości, że ma w nich wiernych przyjaciół. A jednak nie zaznali biedy, a jeśli nawet tak się zdarzyło, było to wynikiem świadomego wyboru. Pokręcił głową. Bieda była czymś narzuconym. Gdyby sam postanowił ją znosić, a potem odrzucił ją jak stary płaszcz, nie byłaby prawdziwa. Zdawał sobie sprawę, że na swój sposób wszyscy oni byli wielkimi ludźmi. Miał jednak poczucie, że go nie rozumieją. Po wszystkim, co razem przeżyli i widzieli, nie powinien czuć się w tej grupie obcy. Ale tak było.

Zaczął dyszeć, w miarę jak stopnie pięły się coraz bardziej stromo w górę. Tłum wokół nich gęstniał. Jego ukochani Ateńczycy. Pochylił się i powiedział cicho:



– Nie pamiętam, żeby któryś z was był ze mną wtedy, gdy musiałem walczyć o każdy kęs chleba albo gdy pisałem podania dla niepiśmiennych. Myślę, że jesteście wytworem waszych ojców, podczas gdy ja sam siebie stworzyłem, i taka jest między nami różnica. Możecie przyjąć stratę pokornie, co też mi doradzacie, ale zdaje mi się, że jakaś część was pozostanie wówczas nietknięta. Już po wszystkim wracacie do swego życia i żaden z was nie czuje na skórze piekącego piętna. – Uśmiechnął się smętnie, krzywiąc usta w bolesnym grymasie. – Ale ze mną jest inaczej. Niech więc robią, co chcą. Nie dam im niczego. A zwłaszcza nic z tej godności, którą zdobyłem. Ani jednego słowa, żadnych przeprosin, żadnej łzy. Jeśli ma to oznaczać ostracyzm, przyjmę to.

– Czy to jest warte twego życia? – zapytał łagodnie Arystydes. – Wszystkiego, na co pracowałeś?

– Oczywiście! Po tym wszystkim? – rzucił Temistokles. – Jestem Ateńczykiem. Sam stworzyłem siebie takim, jaki jestem. I ocaliłem nas wszystkich. Nic więcej się nie liczy. Nawet ich wdzięczność.

Kiedy dotarli do kamienia mówców, zauważył, jak towarzysze, rozstępując się, wymienili między sobą zrezygnowane spojrzenia. Temistokles ruszył przodem, przestępując przez kordon eskortujących go Scytów.

– Wystarczy, chłopcy – zawołał nad ich głowami. – Straż honorowa to piękna rzecz. Moja matka byłaby bardzo dumna. A teraz zajmijcie swoje miejsca i bardzo wam dziękuję. Kto jest dzisiaj epistatesem? Któremu z was, szlachetni Ateńczycy, przypadł w udziale ten zaszczyt? Czy tobie, wspaniały brodaczu? A więc wystąp i pokaż się nam! Niech cię zobaczą.

Arystydes i Kimon stali obok siebie, patrząc, jak Temistokles zagrzewa tłum. Gdy mówił, na twarzach pojawiały się uśmiechy. Tak wyrażał się jego sprzeciw i trudno było go za to nie kochać.

– Myślisz, że zdoła siebie ocalić? – zapytał Kimon bardzo cichym głosem.

Arystydes spojrzał na niego uważnie. Od lat był świadkiem, jak z żalosego pijaczyny Kimon wyrasta na przywódcę. Wojna przyczyniła się do tego, czyniąc go mężczyzną, z którego ojciec byłby dumny.

– Myślę, że miał szansę – odparł – zdać się na łaskę zgromadzenia. Zamiast tego postanowił nie dać im nic. To odważna decyzja... ale chyba jednak niezbyt dobra. Ludzie są bardziej rozgniewani, niż przypuszcza. Chcą kogoś poniżyć, obarczyć jakieś wielkie imię winą za swoje straty i problemy, za żalobę i smutek po tych, których już nie zobaczą. Nie jestem dziś z nich dumny, ale sądzę, że ich rozumiem. – Zamilkł na chwilę, po czym się poprawił: – Sądzę, że *nas* rozumiem.

Gdy mówił, coraz większe tłumy parły do środka, aż Scytowie musieli zacząć odprawiać ludzi na niższe zbocza. Niektórzy z przybyłych krzyczeli, że nie po to szli taki kawał, żeby teraz zagradzano im drogę włóczyniami. Nastrój zmienił się w mgnieniu oka i uśmiechy wokół Temistoklesa znikły.

On patrzył z wysokości kamienia mówcy na kłębiący się wokół tłum i kręcił bezwiednie głową, aż wreszcie się zmobilizował, odzyskując pewność siebie i spokój. Epistatesem na ten dzień rzeczywiście był brodacz, który wcześniej podniósł rękę. Stał u boku Temistoklesa, teraz wystąpił krok naprzód i przemówił:

– Uspokójcie się, proszę. Cisza! Zgromadzenie się zebrało – ogłosił. Odczekał, aż zapanuje spokój, choć trwało to dość długo. – Wy, którzyście się zbrali! Czy godzicie się sprawować swój święty obowiązek z honorem i sprawiedliwie, zgodnie z prawem ateńskim i boskim?

W przeszłości ofiarowywano przy tym barana i znaczone jego krwią wielki krąg wokół kamienia mówcy. Mnogość ostatnich sesji oraz brak odpowiednich ofiar położyły kres tej praktyce, przynajmniej w bieżącym roku. Tłum zgodnie skinął głowami i odpowiedział, że tak. Arystydes i Kimon zrobili to samo, mając takie samo prawo stawania tutaj, jak każdy wolny człowiek. Arystydes zauważył, jak Ksantyppos powitał swego przyjaciela Epikleosa, który przyprowadził jego młodszego syna. Scytowie ich nie zatrzymali, co nie umknęło uwagi Arystydesa. Zmarszczył brwi, podczas gdy pierwsi świadkowie podchodzili do kamienia mówcy, dumni i przejęci zarazem.

\* \* \*

Do głosowania za ostracyzmem wezwano już pod koniec pierwszego dnia, ale wniosek ten odrzucono. Rodziny, które straciły pieniądze na nabrzeżach Pireusu, wniosowały o to jako pierwsze, ale zabrakło rąk, by wymusić formalne liczenie głosów. Temistokles skinął głową z wyraźną ulgą. Drugiego dnia tłum wysłuchiwał skarg szlochających rodzin, których kamieni nagrobnych użyto do budowy Dipylonu. Głosowało wtedy więcej ludzi, ale wciąż nie dość wielu. Trzeciego dnia wysłuchano wszystkich szczegółów bitwy pod Salaminą, zarówno z ust Temistoklesa, jak i setek jego dowódców. Niektórzy wiwatowali, słysząc opowieść o listach wysłanych do perskiego króla. Inni krzyczeli, że wszystko to wierutne kłamstwa.

Kimona i Ksantypposa wezwano, by potwierdzili świadectwa innych. Każda sesja trwająca około czterech godzin kończyła się poruszeniem wśród tłumy, ale bez zdecydowanych rezultatów. Czwarty dzień był inny. Pojawili się nadzorcy

i robotnicy z kopalni w Laurion. Opisywali straty na wadze, puste worki, płatności dla obcych dokonywane bez zapisów. Niczego nie można było udowodnić, ale coraz więcej podejrzliwych spojrzeń kierowało się na Temistoklesa. W końcu to on zarządzał kopalnią w krytycznych miesiącach wojny.

Nie zaprzeczył, że zabierał kosztowności z bagaży na nabrzeżach, że odbudowywał mury miejskie i przechowywał w swoim prywatnym domu pokaźne sumy srebra, z których opłacał wioślarzy. Stwierdził natomiast, że zawdzięczają mu życie. Czwartego dnia, gdy rozległy się krzyki, aby głosować za ostracyzmem, podniosło się dość rąk, by podjąć formalną decyzję. Wielu ludzi patrzyło po sobie z niedowierzaniem. Chcieli tylko zaprotestować, nie zaś go pograć.

Arystydes uznał, że nadszedł krytyczny moment, aż poczuł bolesny skurcz żołądka. Miał nadzieję, że wniosek w końcu upadnie. Dla tych, którzy chcieli ukarać Temistoklesa, był to niebezpieczny ruch. Tylko jedno takie głosowanie było dopuszczalne w ciągu roku. Gdyby upadło, Temistokles byłby bezpieczny i mógłby też uniknąć innych kar. Poprzednie trzy dni były przykre, niewątpliwie, choć trudno było stwierdzić, czy Temistokles wciąż jeszcze trzyma głowę nad wodą, czy już utonął. Zgromadzenie ateńskie nie wybaczało tak łatwo. Nie ufano ludziom władzy, a Temistokles nie okazywał skruchy z powodu tego, co robił w czasie wojny.

Arystydes pomyślał, że sam mówca nie miał pewności, co się wydarzy, gdy zejdzie z kamienia. Osiem sesji pozostawiło go mocno poturbowanym, ale wciąż nie bez poparcia. Problem stanowiło to, że w głosowaniu nad ostracyzmem nie było drugiej urny. Jego zwolennicy nie mogli za nim głosować.

Temistokles wyglądał dość ponuro, gdy schodził ze wzgórza na Agorę, aby coś zjeść i wypić. Nikomu nie wolno już było przemówić do ludzi, gdy ogłoszono głosowanie za ostracyzmem. Na wynik trzeba było jednak zaczekać kilka godzin. Ci, którzy chcieli zagłosować przeciwko niemu, mieli znaleźć małe kawałki potłuczonej ceramiki i wydrapać jego imię w glazurze. Ci, którzy mieli jakieś osobiste powody, mogli dodać jakieś szczegóły, a nawet obelgi, ale tylko sam głos się liczył. Gdy Temistokles przechodził przez tłum, przyniesiono właśnie wielką urnę, wielokrotnie naprawianą drutem i zaprawą. Mrugnął nerwowo na odgłos pękających mniejszych garnków, tłuczonych na kawałki zwane ostrakonami, ale nie obejrzał się za siebie.

Arystydes pozostał na Pnyksie. Był obecny na wszystkich sesjach i choć nie przemawiał w obronie Temistoklesa, uważnie obserwował przebieg procesu.

Zamierzał też obserwować wrzucanie ostrakonów do urny, dbając o to, by nie głosowano podwójnie i rzetelnie liczono oddane głosy. Widział, że Ksantyppos zszedł ze wzgórza w towarzystwie Epikleosa, ale Perykles pozostał. Oczywiście, uświadomił sobie Arystydes, wszystko to było dla niego nowe i ekscytujące. Młody człowiek widział jednak tylko dramaturgię, w jej sercu nie dostrzegął losu człowieka.

Kiedy Perykles podszedł do niego, epistates stanął obok, obserwując ich podejrzliwie. Arystydesowi nie wolno było mówić na bieżący temat. Pozostało jednak trochę czasu do formalnego głosowania, wziął więc Peryklesa za ramię i wyprowadził z kłębiącego się tłumu.

– Nie możesz tego powstrzymać? – szepnął chłopak.

Arystydes uniósł w zdziwieniu brwi. Zakładał, że syn Ksantypposa należy do przeciwników Temistoklesa. Perykles wyglądał jednak na bardzo zmartwionego. Arystydes zastanawiał się, czy jego brat Aryfron stanąłby w kolejce, żeby wrzucić skorupę do urny.

– Nic nie mogę zrobić – odparł. – Wcześniej tego nie zarządzono. Wolałbym nawet, żeby doprowadzili do głosowania pierwszego dnia. Miałyby wtedy większe szanse. Od tamtej pory Ateńczycy zdążyli już usłyszeć wszystkie plotki, pogłoski i oskarżenia, uczciwe i nieuczciwe, ze szczegółami. Mogli już solidnie ugruntować swój wyrok, można tak powiedzieć. Mnie i twego ojca wygnano za dużo mniejsze przewiny.

– Czyli tak to wygląda? – naciskał Perykles. – Powiedz, co mogę zrobić.

– Nic, zupełnie nic – odrzekł Arystydes, a w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie. – Gdyby była druga urna dla jego zwolenników, zapewne by przeważała. On *ma* przyjaciół i tych, którzy go kochają, Peryklesie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Najbardziej obawiam się tych, którzy go nienawidzą, a przy tym nie znają. Wszystko, co wiedzą o Temistoklesie, usłyszeli w ostatnich dniach, słuchając świadków przemawiających z gniewem i goryczą. Nie wierzą już w żadne jego słowo, a skoro są takimi głupcami, to ja nie potrafię ich zmienić. Prawo jest proste. – Tu przytoczył cytaty z dawno nieżyjącego Klejstenesa. – „Jeśli eklezja zwróci się przeciwko jakiemuś człowiekowi, to niezależnie od jego imienia i pozycji może zagłosować za wygnaniem go na dziesięć lat z Aten i całej Attyki. Od wyroku ludu nie ma odwołania. W ten sposób bronimy się przed dochodzeniem tyranów do władzy”.

– Trudno pokochać takie prawo – rzucił Perykles.

Arystydes złapał go za ramię.

– Pamiętaj, że ja sam stałem kiedyś w tym miejscu, słuchając wyroku ludu, który wygnał mnie z Aten. Sądzę, że gdyby twój ojciec był tutaj, powiedziałby to samo. Obaj wiemy, co to oznacza, a jednak ani Ksantyppos, ani ja nigdy nie próbowaliśmy zmienić tego prawa. Jest ono ostatnią obroną prostego człowieka.

Zamiast odpowiedzieć, Perykles potrząsnął głową. Arystydes opuścił dłoń, ciekaw, co młody człowiek powie. Wcześniej zaskoczył go Kimon. Miał nadzieję, że Perykles zrobi to samo. Czuł się pokrzepiony myślą, że młodzi rozumieją, co jest ważne, a co nie.

– Podobne głosowanie odebrało mi ojca na siedem lat – odparł Perykles. Przykre wspomnienia sprawiły, że jego twarz i szyję oblał rumieniec. – Byłem tylko dzieckiem. Czy pomyśleli o mnie wtedy, gdy głosowali za wygnaniem bohatera spod Maratonu? Nie. Mali ludzie, w odwecie za własne porażki, wyskrobali jego imię na kawałkach garnków. To samo zrobili z tobą. Szczerze mówiąc, nie chce mi się wierzyć, że tego bronisz. Temistokles zrobił więcej dla ocalenia tych ludzi niż ktokolwiek inny! A mimo to zamierzają go wygnąć? Za co? Za wykorzystanie płyt nagrobnych do budowy bramy? Za rewidowanie ich bagaży w poszukiwaniu srebra, kiedy jego flota niosła im ratunek?

– Nasza flota – mruknął Arystydes.

Dostrzegł, że epistates patrzy krzywo w ich stronę, i odszedł nieco dalej. Żadne rozmowy nie były dozwolone, gdy ogłoszono głosowanie. Gdyby sprowokował mężczyznę do interwencji, ten wezwałby Scytów. Gdy odeszli razem kilkanaście kroków, Perykles spojrzał na niego skonsternowany, nie rozumiejąc.

– Co?

– Flotę zakupiono za ateńskie srebro, Peryklesie. Jej załogi tworzyli Ateńczycy, którzy wiosłowali i walczyli. Temistokles miał w tym swój udział, oczywiście, dał z siebie wszystko w służbie miastu. Podobnie czynili twój ojciec i Kimon, do zupełnego wyczerpania. Zrobili, co w ich mocy, podobnie jak wioślarze i hoplici na pokładach. Ale to nie oni ocalili ludzi. Ludzie sami siebie ocalili! Zrozum to, a pojmiesz także, dlaczego tak wielu czuje do niego urazę. Temistokles nie pozwolił im odczuwać dumy z powodu tego, co zrobili. Ileż to razy powtarzał, że to jemu zawdzięczają wolność? Przysięgam, że ten człowiek mógłby pychą kruszyć kamienie. I oto masz skutki!

– Liczby nie oznaczają sprawiedliwości – powiedział Perykles stanowczo.

Arystydes zamilkł na chwilę.

– Nie? A co innego się liczy? Czy może powinniśmy dać po trzy głosy bogaczom? Albo tym, którzy dowodzili podczas wojny?

– Może właśnie tak! – rzucił Perykles, ponownie się rumieniąc, zażenowany własną porywcznością.

Arystydes mówił z absolutnym spokojem, odpowiadając kolejno na jego zastrzeżenia. Perykles miał ochotę krzyczeć. W tym czasie długi rząd Ateńczyków ustawił się ze skorupkami, by wrzucić je do urny, decydując o życiu człowieka.

– Gdybyśmy tak zrobili – odparł Arystydes – to nasze społeczeństwo dość prędko zostałoby przysposobione do wojny. Tak jak chociażby Sparta! Gdyby głosować mogli tylko stratedzy, mielibyśmy nieustanną wojnę, w której ginęliby młodzi, aby ludzie władzy mogli rosnąć. A może powinni nami rządzić bogacze? Słyszałem, że twój ojciec przed poślubieniem twojej matki nie był bardzo majątny. Czy zatem bogactwo gwarantuje mądrość? Czy stał się lepszym człowiekiem po ślubie? Być może. Niektórzy tak uważają.

Uśmiechnął się pod nosem na myśl o swojej przebiegłości, ale Perykles patrzył na niego z zimnym wyrazem twarzy, nieugięty. Arystydes zauważył, że młodzieniec tęskni do czegoś. Dostrzegł to w jego oczach. Westchnął.

– Zanim Klejstenes, ojciec twojej matki, otrzymał zadanie powtórnego spisania ateńskich praw, ich głównymi filarami były prawa pochodzące od innego wielkiego człowieka, Solona. Poświęcił on najlepsze lata swego życia na spisanie praw dla Aten. Jego przyjaciel Anacharsis żartował z niego, że przeznaczył na to aż tyle czasu. Anacharsis był Scytą. Mawiał, że prawa są jak pajęczyna, która usidla biednych i słabych, natomiast silni rwą ją na strzępy, i dobrze widać, że tak jest wszędzie. Solon jednak pracował dalej. Kiedy skończył, sprezentował swój kodeks wszystkim Ateńczykom, bogatym i biednym, posiadaczom ziemskim i tym, którzy nie mieli własnych majątków. Potem opuścił miasto i przez dziesięć lat podróżował po świecie. Dobrze znał swoich rodaków. Wiedział, że gdyby został, żądaliby od niego ciągłych zmian, mówiąc: „Ach, ale co w sytuacji, gdy mężczyzna żeni się po raz drugi?”, i tak dalej. Wyjechał, a oni nie mogli zmienić już ani słowa. – Arystydes pokręcił smutno głową. – Nie uratowało to dzieła jego życia. W ciągu kilku następnych lat ludzie odłożyli na bok jego prawa, kierując się tylko własnym uznaniem. Na cóż argumenty, kiedy ktoś ma setkę wojowników, lojalnych tylko wobec niego? Któż zdoła powstrzymać go, gdy zechce wziąć sobie coś, czego zapragnie? – Arystydes westchnął. – Kiedy Solon powrócił do Aten, a był już bardzo stary, włożył swoją starą zbroję hoplity i stanął w niej przed domem tyrana, wzywając go, by ustąpił.

– I co na to tyran? Ustąpił? – zapytał Perykles, mimowolnie zaciekawiony.

– Nie – odparł Arystydes. – Oni nigdy tego nie robią. Solon zmarł w wieku osiemdziesięciu kilku lat. Był wielkim myślicielem i przeżył wspaniałe życie.

– Ale przecież przegrał! – powiedział zdumiony Perykles. – Wszystko, co opisałeś, to historia przegranego życia.

– Doprawdy? – zdziwił się Arystydes. – Nie sądzę. Tyrani byli zawsze. Ludzie w rodzaju Solona to znacznie rzadsze zjawisko. Albo twój dziadek Klejstenes, który stworzył ostracyzm jako ostateczny ratunek dla ludu, coś jak ostatni rzut kośćmi. Powinieneś zapytać ojca, Peryklesie, jak się z tym czuł. Ksantyppos, na ile go znam, powiedziałyby to samo. Nie ma innej władzy poza bogami... i nami samymi.

Pomyślał o Temistoklesie i uśmiechnął się, choć nie wyjaśnił dlaczego. Pozwolił, by ta myśl pokierowała jego słowami.

– Jeśli ktoś mówi, żebyś ugiął przed nim kolana, bo jest królem, napluj mu w oczy, tak jak zrobiliśmy z Persją. Jeśli powie, że jest wykształconym sędzią, powiedz mu: „Czy to czyni cię szlachetnym? Jesteś nieomylny? Nie... nie jesteś”. Jeśli ktoś ci powie, żebyś policzył jego złoto, a potem ugiął kolana, zaśmiej mu się w twarz. Widzisz władzę w kawałku srebra? Z której strony?

– Naprawdę wierzysz, że władza jest w tym tłumie? – zapytał Perykles.

Dobrze o nim świadczyło, że patrzył na ludzi na Pnyksie świeżym okiem, szukając w nich jakichś przejawów szlachetności. Potem spojrzał na Arystydesa, który skwitował to śmiechem.

– Na Atenę, nie! Tylko wtedy, gdy prawo mu to zapewnia. Nie zrozum mnie źle, chłopcze! Są tam i mściwość, i małe występki, zawiść i korupcja. Są tam i słabość, i strach. Gdy wszyscy oni wołają o sprawiedliwość, pokaż mi takiego, który zakłada ręce i milczy. Jestem gotów kupić mu wino za ostatnią drachmę. –

Pokręcił głową. – To mój lud, ale trudno go kochać. Nie, nie chodziło mi o to, że są lepsi czy szlachetniejsi, ale że *nikt poza nimi* nie ma władzy samodzielnego rządzenia. Nikt. Wszyscy jesteśmy ułomni, Peryklesie. Jesteśmy... małymi ludźmi. Klejstenes wiedział o tym, podobnie jak Solon. A jednak, gdy dostatecznie wielu z nas wstanie, żeby wychwalać lub potępiać, to mamy tyle samo szans na to, że ocenimy sprawiedliwie, co każdy kodeks. To nie *czyni* nas sprawiedliwymi, bo to, co ludzkie, nigdy nie jest doskonałe. Ale to zawsze jest lepszy wybór. Ufaj ludowi, Peryklesie.

\* \* \*

Wiele godzin zajęło przygotowanie i obserwacja głosowania, a potem liczenie głosów. Temistokles po raz ostatni wspiął się na wzgórze, by usłyszeć ostateczny

wynik, a jego jasne włosy wydawały się ciemniejsze, gdy zmoczył je w kąpieli i pozostawił, by wyschły na powietrzu. Widać było po nim rosnące napięcie, gdy tarł dłońmi o siebie, nieświadom coraz bardziej zaczerwienionej skóry. Stosy skorupki układane były starannie, sprawdzane, liczone wciąż od nowa, a rezultaty zapisywane kredą przez urzędników rady. Słońce zaczęło zachodzić, gdy liczba osiągnęła tysiące, ale na wzgórzu wciąż czekały tłumy. Kiedy rozeszła się wieść, że doliczono się już czterech tysięcy, po zboczach wzgórza przemknęła fala podniesionych głosów, i nie było całkiem jasne, czy były to głosy wzburzenia czy szyderstwa.

Rodzina Temistoklesa wyszła przed tłum, przepychając się przez szeregi Scytów. Stanowili niewielką grupę czterech młodych mężczyzn i pięciu dziewcząt. Byli dziećmi z jego dwóch małżeństw. Druga żona Temistoklesa, szczupła i urodziwa kobieta, podeszła, by stanąć przy nim. Miała włosy tak ciasno zaczesane, że jej głowa połyskiwała jak nakryta kawałkiem jedwabiu. Z tłumy dobiegły nieprzyjemne pomruki, ale byli też ludzie wciąż okazujący im wsparcie. Cała grupka czekała w napięciu na wynik głosowania.

Kiedy liczba przekroczyła sześć tysięcy, liczenie zakończono. Pozostałe ostrakony nie miały już znaczenia. Były ich jeszcze setki. Prawo jednak było jasne i wyraźne.

Temistokles kolejno uściskał żonę i dzieci. Niektórzy ze zgromadzonych przyjęli wiwatami słowa epistatesa, który ogłosił zakończenie głosowania. Inni stali w oszołomieniu, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Temistokles pochylił głowę. Nie miał prawa zabrać głosu, nawet wtedy. Scytowie dobrze znali prawo, ale nawet ich dowódca wyglądał na zbitego z tropu.

– Niechaj bogowie was błogosławią – zawołał do nich Temistokles. – Dziękuję. Jestem wolny.

Scytowie warknęli coś do niego, ale on odwrócił się i wraz z całą rodziną zaczął schodzić ze wzgórza.



Dom i ogród leżały na samym skraju dzikiego wybrzeża, dzień drogi na południe z miasta Argos na Peloponezie, poza zasięgiem władzy Aten. Było to spokojne miejsce, gdzie słyszało się tylko szum morza i głosy ptaków. W drzewach oliwnych dzwoniły cykady rozkoszujące się południowym słońcem.

Nie było tam drogi w dosłownym tego słowa znaczeniu. Na skraju posiadłości Kimon zsiadł z konia przy kępie wysokiej trawy i zarzucił uzdę na stary słupek bramy. Rozejrzał się wokół z uznaniem, wdychając zapach morza. Pojmował piękno tego miejsca.

Kawałek dalej grunt opadał w stronę kamienistej zatoczki nad błękitną wodą, ograniczonej skałami zapewniającymi cień. Przy wodzie stała wyciągnięta na brzeg rybacka łódź z jednym masztem. Pod nim, na zbielejącej od słońca ławeczce, leżał złożony żagiel. Łódź przywiązano do żelaznego palika na wypadek nagłego sztormu, który mógłby porwać ją w morze. Kimon dostrzegł tam również rozwieszone i suszące się w słońcu sieci. Gdzieś zza domu dobiegło do niego gdakanie kur. Ta maleńka posiadłość miała wygląd szczęśliwego miejsca, zadbanego i być może nawet kochanego. Kiwnął głową z uznaniem.

Wydawało się, że nikt nie zauważył jego przybycia.

– Hej tam, w domu! – zawołał, po czym zaczekał, stojąc pod murem otaczającym domostwo.

Nie był on wysoki. Z łatwością mógłby go przekroczyć, ale mur ten wyznaczał granicę między tym, co na zewnątrz, a własnością Temistoklesa. Po jednej stronie domu ciągnęły się rzędami krzewy winorośli o ciemnozielonych liściach. Mężczyzna, który właśnie je podlewał i przycinał, wyszedł na ścieżkę. Temistokles otarł czoło wierzchem dłoni i odstawił koszyk wypełniony winogronami. Nie wyglądał na zachwyconego widokiem stojącego przy bramie Kimona. Stanął mu na drodze z sierpem w ręku.

Kimon czekał cierpliwie, powstrzymując się od gwałtownych ruchów. Wiedział, że domownicy muszą zostać ostrzeżeni o przybyciu gościa. Dzień był gorący i Kimon wyobrażał sobie, że niektórzy członkowie rodziny śpią albo siedzą w chłodnym cieniu wewnątrz. Dostrzegł, jak senny dom powoli ożywa.

Kilka razy mignęły mu w drzwiach na dole albo w oknie na górze loki młodej kobiety, ale zaraz znikwały. Temistokles wciąż trwał na ścieżce, stojąc między swoimi dziećmi a mężczyzną, którego kiedyś nazywał przyjacielem.

Kimon, wciąż za murem, uniósł puste dłonie, choć u jego biodra wisiał miecz, a zza pasa wystawała rękojeść kopisa. Odbył długą drogę, a samotny mężczyzna na szlaku mógł łatwo stać się ofiarą złodziei lub łowców niewolników. Temistokles oceniał jego obecność przez długą chwilę, która zdawała się wiecznością, po czym gestem dał znak, żeby Kimon podszedł bliżej. Ten wkroczył na teren posiadłości i ruszył sztywno ścieżką w stronę domu. Staął, gdy Temistokles wyciągniętą płaską dłonią go zatrzymał.

– Jesteś moim gościem – zawołał. – Jeśli przybyłeś, aby mnie zabić, to proszę, żebyś się określił.

Gdy to powiedział, z domu wyszli dwaj młodzi mężczyźni podobni do ojca i stanęli za nim jak ściana. Kimon zauważył, że synowie byli uzbrojeni i otwarcie okazywali wrogość. Nie znali go. Temistokles wyglądał na znacznie spokojniejszego niż oni.

– Daję ci słowo – powiedział Kimon – i przysięgam na honor mego ojca. Nie stanowią żadnego zagrożenia dla ciebie i twoich bliskich. – Jeszcze raz uniósł puste dłonie. – Przybyłem, aby przekazać ci wiadomości... od przyjaciół z Aten.

Wspomnienie miasta przywołało wyraz napięcia wokół oczu Temistoklesa, ale także uczucia tęsknoty. Już od roku przebywał z dala od serca świata. Kimon pomyślał, że w ciszy wzrastających winorośli ten czas mógł mu się dłużyć.

Zauważył, że Temistokles podjął decyzję. Gdy powiedział coś cicho do synów, Kimon nie dosłyszał jego słów i poczuł nagłe napięcie. Młodzi mężczyźni kiwnęli głowami, odwrócili się i weszli do domu. Temistokles uśmiechnął się i gestem zaprosił go do środka.

– Wybacz mi tę ostrożność, Kimonie. Gdy cię zobaczyłem... nie spodziewałem się, że jakiś Ateńczyk zechce pokonać tak długą drogę, aby mnie odwiedzić.

Kimon musiał pochylić głowę, aby przejść pod belką nadproża. Wnętrze domu było zdecydowanie chłodniejsze, co wydawało się błogosławieństwem po panującym na zewnątrz upale. Nigdzie nie zauważył żony ani córek i domyślił się, że ukryły się na piętrze. Miał wrażenie, że dobiegły go stamtąd ściszone głosy. Pozostał z nim tylko Temistokles i jeden z jego synów.

– Kimonie? To Diokles, mój syn. Jeśli wręczysz mu swoją broń, będę mógł swobodniej cieszyć się twoim towarzystwem. Oczywiście pozostawiam ci

wybór. Skosztujesz wina oraz odrobiny sera i fig? Jest też rybna potrawka, która zaraz będzie gotowa.

Jego syn wyciągnął rękę i Kimon zmusił się do uśmiechu. Temistokles też musiał mu zaufać. Pozostanie bezbronnym w towarzystwie trzech mężczyzn nie było miłe. Był jednak gościem. Kimon odpiął pas i miecz, a na wierzchu położył kopis. Temistokles uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Czyżbyś został Spartaninem?

Kimon wzruszył ramionami.

– Zaoferowali mi rolę swego przedstawiciela w Atenach. Przysłali to jako znak tej funkcji. Już po twoim wyjeździe.

Temistokles zmarszczył brwi.

– Co powiedział na to Ksantyppos? Albo Arystydes?

– Zupełnie nic, bo ich o to nie pytałem – odparł Kimon ze sztywną godnością. – Sparta jest naszym sojusznikiem, nie zapominaj o tym, podobnie jak Argos, które udzieliło ci schronienia. Poznałem paru ich ludzi, gdy podróżowałem z Ksantypposem... – Tu przerwał. – Nie przybyłem, aby o tym rozprawiać, Temistoklesie.

– Siądź zatem i powiedz, z czym przybywasz – odrzekł gospodarz.

Usadził gościa na krześle przy ciężkim stole, zza którego nie mógłby zerwać się prędko na nogi. Nalał wody z dzbana, pozwalając Kimonowi obmyć się i osuszyć dłonie i twarz czystą tkaniną. Gdy już częściowo zmył z siebie kurz drogi, Temistokles ustawił na stole pucharki i nalał do nich rozcieńczonego wodą wina, a Diokles przyniósł półmisek z kozim serem, oliwkami i chrupiącym chlebem. Kimon pochylił głowę, gdy Temistokles zmówił modlitwę do bogini Demeter, dziękując za jej szczodrość.

Umierał z głodu po kilku dniach podróży z odrobiną suszonego mięsa i owoców. Tęsknił zwłaszcza za chlebem, a gdy skosztował wszystkiego, wymamrotał podziękowania, po czym pozwolił gospodarzowi dokończyć. Kiedy już wszystko zjedli, Temistokles rozsiadł się, splatając dłonie na stole przed sobą. Kimon skinął głową. Uprzejmościom stało się zadość.

– Arystydes nadal ma przyjaciół wśród eupatrydów i wszystkich innych szlachejnych rodzin – powiedział Kimon. – Przybyłem na jego prośbę. Potwierdza, że... zamierzają wysłać ludzi, żeby cię aresztowali, Temistoklesie.

– A cóż takiego znaleźli teraz, żeby mnie znów oskarżyć? – zapytał gospodarz. – Moje wygnanie już im nie wystarcza?

Kimon się skrzywił. Zastał tę rodzinę żyjącą w spokoju i wiedział, że jest dla niej niczym kamień wrzucony do cichego stawu. Nie było mu przyjemnie

przekazywać te wieści, ale nie miał wyboru.

– Niektórzy właściciele ziemscy wciąż obarczają cię winą za swoje straty. Jest wśród nich jeden zwany Timodemosem, którego twarz na dźwięk twego imienia ciemnieje i nabiega krwią.

– Tylko nie znowu to śledztwo na temat nabrzeży! – warknął Temistokles.

Kimon machnął ręką.

– Częściowo. On twierdzi, że zabrałeś mu jakieś osobiste rzeczy, które zachowałeś dla siebie. – Kimon rozejrzył się wokół, jakby spodziewał się ujrzeć złote ozdoby na ścianach. Westchnął. – Mam wrażenie, że bardziej chodzi tu o srebro z kopalni w Laurion, które wykorzystałeś do opłacenia niewolników wyzwolonych na polecenie Ksantypposa. Twierdzą, że był to akt nielegalny i że w tamtym momencie nadal byli oni niewolnikami. – Kimon poczuł, że rumieni się z zażenowania. Wszystko to zakrawało bardziej na polowanie z nagonką na człowieka niż na wymiar sprawiedliwości. Nie potrafił wytrzymać spojrzenia, jakim obrzucił go Temistokles.

– Wygląda na to, że chcą mnie po prostu zniszczyć – powiedział gospodarz.

Kimon skinął powoli głową.

– Arystydes rzeczywiście powiedział coś takiego. Uznał, że może mi zaufać, i wysłał mnie, abym cię ostrzegł, zanim po ciebie przyjadą. To będą Scytowie, przynajmniej dwunastu, którzy przybędą cię aresztować z nakazu zgromadzenia.

– Jeśli zgodzę się z nimi jechać, powiedzą, że złamałem nakaz wygnania... – mruknął Temistokles – co jest karane śmiercią. – Jeśli zaś będę walczył, zabiją mnie.

Kimon opróżnił pucharek. Zauważył, że na rękach wciąż ma kurz drogi, który wżarł mu się w skórę jak tatuaż. Pędził jak szalony, ryzykując upadek z konia i skręcenie karku na nierównym gruncie, ale chciał dać Temistoklesowi jak najwięcej czasu, przynosząc informacje, które kazały mu się wstydzic, że jest Ateńczykiem.

– Wciąż może być nadzieja – odparł Kimon. – Masz sprzymierzeńców, Arystydes z pewnością przemówi w twojej sprawie, podobnie jak Ksantyppos, choć choruje od kilku miesięcy.

– Nie... odparł cicho Temistokles. – Nie, widzę to teraz jasno. Zbyt wiele mi zawdzięczają i dlatego zawsze będą mnie nienawidzić. Nie mogę nawet zostać tutaj, na wygnaniu, i żyć w spokoju. I to im nie wystarczy. – Nagle spojrzał ostrzej, jakby obudził się z transu. Jego głos zabrzmiał bardziej stanowczo. Wyciągnął rękę i złapał Kimona za nadgarstek. – Jestem ci winien

podziękowanie, Kimonie. Wiem, że twój ojciec byłby dumny z mężczyzny, jakim się stałeś.

– Przemawiałeś na jego pogrzebie – odparł Kimon – kiedy cały świat obrócił się przeciwko niemu. Za to, co zrobiłeś, zawsze będę twoim dłużnikiem.

– A teraz cały świat zwrócił się przeciwko mnie – powiedział ponuro Temistokles. Wstał zza stołu i wziął broń z rąk syna, po czym oddał ją Kimonowi. – Jak się wiedzie Atenom? – zapytał nagle, jakby wyrывая z siebie te słowa.

– Rozrastają się, prosperują... są pełne życia. Ajschylos napisał nową sztukę o bitwie pod Maratonem. Oczywiście uwzględnił w niej ciebie.

Temistokles aż jęknął.

– Byłbym szczęśliwy, mogąc ją obejrzeć. Może znajdzie się kopista, który ją dla mnie przepisze i wyśle.

Kimon skinął głową.

– Dobrze znam jednego. Sądzę, że na moją prośbę zrobi to z czystej uprzejmości. – Uniósł ręce, gdy Temistokles chciał zaprotestować. – Proszę, to będzie dla mnie zaszczyt.

Gospodarz ujął jego dłoń z wdzięcznością.

– Nawet nie wiesz, co czuje moje serce! Nie mam tu żadnych sztuk ani poematów, zupełnie nic. Apollo nazwałby to pustynią, zaręczam ci. Człowiek potrzebuje więcej niż tylko chleba i ryb... – Urwał i zapatrzył się w nieokreśloną dal, najwyraźniej ponownie rozważając przywiezione przez Kimona wieści.

Młody mężczyzna przypasał broń i stanął przy nim niepewnie.

– Co teraz zrobisz? – zapytał.

– To, co muszę – odparł Temistokles. – Jak zawsze. Zrobię to, co muszę, żeby przeżyć.

Patrzył, jak gość podchodzi do konia, którego zostawił przy bramie. Ziemia pod nim poznaczona była ciemnymi plamami wilgoci schnącymi w słońcu. Widać było, że w czasie, gdy on przebywał w środku, zwierzę zostało napojone, zupełnie jakby zrobiły to duchy. Jego sierść błyszczała, ślady potu i kurzu wyszczotkowano. Kimon rozejrzał się, ale nie dostrzegł nikogo, kto mógłby to zrobić. Tak czy owak był wdzięczny. Poczul, jak ogromny ciężar spada mu z barków, być może dlatego, że wypełnił swoje zadanie, a może po prostu z tego powodu, że przerzucił ów ciężar na kogoś innego.

\* \* \*

Gdy Kimon odjechał, Temistokles wrócił do cienia i chłodu swego domu. Jego córki i synowie zeszli do głównej izby, napełniając ją życiem i gwarem. Żona Nikomacha też się pojawiła, z oczami pełnymi łez. Oczywiście wszystko słyszeli.

– Będziemy musieli porzucić to miejsce – powiedziała. – Po całej pracy, jaką w nie włożyliśmy.

– Obawiam się, że tak – odparł łagodnie, rozglądając się wokół. – Przykro mi. To był bardzo szczęśliwy czas w moim życiu. Jeśli jednak wyjadę sam, nie będę mógł zaufać, że przysłani Scytowie was nie skrzywdzą.

– Dokąd udamy się tym razem? – zapytał najmłodszy syn.

Temistokles czułym gestem zmierzył mu włosy. Podjął już decyzję, choć nie wiedział jeszcze, jak im ją przekazać.

– Ruszycie z matką, aby znaleźć bezpieczne schronienie w... Argos, jak mi się zdaje?

Żona skinęła głową i Temistokles poczuł ulgę. Miasto leżało niecały dzień konnej jazdy stąd, ale nie byli tam dobrze znani. Popatrzył na córki i synów. Przez ostatni rok spędził z nimi więcej czasu niż przez dwanaście ubiegłych lat. Choć w tym domku panowały tłok i ciasnota, zżyli się ze sobą bardzo.

– A co z tobą? – zapytała Nikomacha, znając go dobrze.

Uśmiechnął się i przyłożył dłoń do jej policzka. Czuł, że żona potrzebuje jego pocałunku.

– Jest tylko jedno miejsce, w którym zostanę powitany z życzliwością, daleko poza zasięgiem wszystkich moich wrogów. Pojadę tam i zobaczę, czy moje imię jeszcze coś znaczy. Jeżeli tak, to dam wam znać, żebyście do mnie przyjechali! Jeśli nie, to odczekam rok i dołączę do was w Argos.

– Jakież to miejsce jest poza zasięgiem twoich wrogów? – zapytała jedna z córek.

Na pytanie odpowiedziała jej matka, spoglądając pociemniałymi od smutku oczyma:

– To Persja.

Temistokles skinął głową.

– Chodźmy więc – powiedział, klasnąwszy w dłonie. Odgłos ten zabrzmiał tak głośno, że aż podskoczyli. – Zabierzcie wszystko, z czym nie możecie się rozstać. Niech któreś zwiąże liną dwa muły... do dzieła! Nie stójcie tak, gadając! Dalejże!

Po kilku chwilach został sam na sam z żoną, matką połowy jego dzieci. Nikomacha przywarła do niego, ucałowała go w policzek, po czym przytuliła

głowę do jego piersi.

– Tak mi przykro – szepnęła. – Należały ci się pomniki, a nie to.

– Słyszałem, że stawiają jeden Ksantypoosowi! – Pokręcił głową. – Och, powinienem wiedzieć, że tak łatwo nie wypuszczą mnie z rąk. Popełniłem zbyt wiele błędów pomiędzy porywami geniuszu. – Zaśmiał się do siebie, ale spojrzenie miał mroczne.

Dzieci już wychodziły na zewnątrz, dźwigając swoje ukochane rzeczy. Dotknął dłonią oczu i zamrugał.

– Ruszajcie się, najdrożsi! Nie mogę się z wami rozstać, zanim nie zobaczę, że będziecie bezpieczni! Chcę ujrzeć was w drodze do Argos, uzbrojonych jak hoplici! – Znowu odwrócił się do żony, pocałował ją w czoło i dodał cicho: – Zanim wyruszę prosić perskiego króla o łaskę i wybaczenie.

– A co, jeśli Kserkses cię zabije? – zapytała.

Temistokles wzruszył ramionami.

– Spodziewam się, że ponownie wyjdiesz za mąż – odparł.

Klepnęła go dłonią w pierś, bardziej z miłości i troski niż ze złości.

\* \* \*

Znalazł koję na statku handlowym wypływającym z zatoki Argos i biorącym kurs na południe. Miał wysokie burty i jeden wielki żagiel i tak się różnił od znanych mu okrętów wojennych jak młot od sztyletu. Mógł jednak zabierać duże ładunki i stawiać opór wzburzonym falom lepiej niż jakakolwiek triera. Temistokles spał pod pokładem razem z załogą i tysiącem glinianych amfor wypełnionych oliwą i winem. Szczury skrobały w głębi ładowni, a powietrze było gęste od wilgoci, ale przynajmniej był osłonięty od bryzgów morskich fal i porywów wiatru. Jeśli nawet ktoś z załogi lub sam kapitan go rozpoznał, to nic nie powiedział. Zabrał ze sobą miecz, sakiewkę ze srebrem, zapasową parę sandałów i niewiele więcej.

Temistokles nigdy dotąd nie wypływał w morze z Peloponezu. Bał się, że zostaną zatrzymani i przeszukani przez ateński okręt wojenny. Gdyby triera zażądała od kapitana opuszczenia żagla i poddania się inspekcji, ten zrobiłby to w mgnieniu oka. Na spokojnym morzu nic nie mogło umknąć przed trierą.

Temistokles starannie wybrał handlowy statek z ładunkiem przeznaczonym dla miast leżących dalej na wschodzie. Chciał znaleźć się tak daleko od wód ateńskich, jak tylko było to możliwe. Kiedy jednak od południa nadciągnął chłodniejszy wiatr, kapitan zmienił pierwotny kurs. Popłynął wzdłuż greckiego wybrzeża, zawsze mając ład na widoku. Wyglądało na to, że nie był to żeglarz

nawykły do głębokich wód. Część każdego dnia spędzał, modląc się do Posejdona przed małą kapliczką ustawioną na pokładzie. Temistokles tego nie komentował. Miasto Argos było neutralne podczas wojny i nie posłało na nią nikogo. Jako weteran traktował ich widoczne bogactwo i wygody z wyraźnym niesmakiem. Zostali ocaleni dzięki wysiłkom wojennym Aten i Sparty, a sami nie zapłacili żadnej ceny.

Temistokles spojrzął na sternika, gdy statek zrobił zwrot. Dwaj członkowie załogi wleźli na maszt, zmieniając ustawienie ciężkiej sosnowej rei utrzymującej żagiel. Ku przerażeniu Temistoklesa kapitan wyraźnie zmierzał do Pireusu.

Poczuł, jakby ścisnęła go jakaś wielka, zimna dłoń. To właśnie tak bogowie ingerowali w życie ludzi. Nie wiedział, jak zaprotestować, nie budząc zarazem podejrzeń kapitana, który mógłby uznać to za wystarczający powód, by wysadzić go na ląd. A przecież to on odbudowywał ten port! Z pomocą tysięcy niewolników i wolnych ludzi pogłębił go i zbudował nowe nabrzeża i pomosty pozwalające przyjąć całą wojenną flotę. Po Salaminie Pireus stał się centralnym ośrodkiem handlu dla setek miast i miasteczek leżących na wyspach Morza Egejskiego. Gdy podpłynęli bliżej, a sztormowe chmury zebrały się za nimi, Temistokles poczuł dumę z zapracowanych tłumów tłoczących się na nabrzeżach, które sam pomagał zaprojektować. W porcie stały też trzy wyremontowane triery błyszczące od świeżej oliwy. Niestety było to także jedyne miejsce, gdzie Temistokles zostałby natychmiast rozpoznany i nazwany swoim prawdziwym imieniem, którego oczywiście nie podał kapitanowi statku.

Przycisnął dłoń do żołądka, jęcząc, przeciął pokład i zaczął schodzić do ładowni. Kapitanowie statków handlowych lękali się zarazy, podobnie jak pozostali członkowie załóg. Mężczyzna bardzo prędko usłyszał, że jeden z jego pasażerów nagle zachorował, zbiegł więc pod pokład, żeby go zobaczyć. Temistokles wiedział, że stąpa po cienkiej linii. Jeśli dostrzegą u niego jakieś objawy gorączki, kapitan natychmiast wysadzi go na te nabrzeża, których tak się obawiał. Gdy wyciągnął dłoń, była zupełnie sucha. Kapitan ujął ją ostrożnie, ale nie wyczuł żadnego nienaturalnego gorąca.

– Moi ludzie powiedzieli, że zachorowałeś – powiedział kapitan z Argos.

Temistokles potrząsnął głową.

– To stara rana. Walczyłem pod Maratonem w pierwszej linii. Oberwałem włócznią w brzuch... – Pokręcił głową na znak, że nie jest to przyjemne wspomnienie i nie chce do niego wracać. – Wciąż czasem mi dokucza i nie mogę wtedy jeść. To przejdzie. Nie obawiaj się o mnie. Przeżyję, żeby dotrzeć do jońskiego wybrzeża, tak jak zapłaciłem.



Kapitan wyglądał na nieco zakłopotanego.

– Będę musiał poprosić cię o więcej, jeśli zostaniemy w porcie dłużej. Niezależnie od tego, czy sztorm się zerwie czy nie, musimy cię karmić i opróżnić twoje wiadro. Jedna srebrna moneta dziennie to stawka, jaką uzgodniliśmy.

Temistokles miał ochotę go udusić. Jedyne statek w zatoce Argos, który miał nie zatrzymywać się w Atenach, cumował właśnie do nabrzeża w Pireusie, a z niego wyciskano kolejne pieniądze. Mogło dojść do tego, że w końcu zażądają od niego wszystkich monet, a na dodatek, jeśli będzie do tego zmuszony, odda im parę zapasowych sandałów.

Pojęczał jeszcze chwilę, a potem wsunął palec między policzek a zęby, żeby wyłuskać stamtąd kolejną srebrną drachmę. To połowa dziennej zapłaty robotnika. Na monecie widniała sowa Ateny. Z pewnością bogini śmiała się z niego w tym momencie.

– Proszę, kyriosie – powiedział Temistokles z grymasem, podając ją kapitanowi. – Modłę się, żeby wystarczyło.

Zamknął oczy i sprawiał takie wrażenie, jakby miał zemdleć. Kapitan pochylił się nad nim i przyłożył mu dłoń do czoła, po czym wzruszył ramionami.

– Na razie wystarczy. Nabierzemy świeżej wody i dokupimy żywności na dzisiaj. Może to złagodzi twój ból. Mam jeszcze ładunek do odebrania w Jonii, ruszymy więc w drogę, gdy tylko minie sztorm. Nie martw się, dostarczę cię tam.

Kapitan poklepał Temistoklesa po ramieniu i zostawił go pojękującego lekko w mroku pod pokładem.

Temistokles zmarszczył brwi, gdy wpłynęli do zatoki w Smyrnie na jońskim wybrzeżu. Miasto zostało założone przez Hellenów jako jeden z załączków ich osadnictwa za Morzem Egejskim. Nie uchroniło się jednak przed drapieżczą wyprawą Ksantypposa. Temistokles słuchał relacji jego kapitanów i dowódców, ale prawda okazała się inna. Smyrna leżała na północ od wyspy Samos i pola bitwy pod Mykale. Ksantyppos wciąż przepełniony był żalem, gdy kotwiczył swoje okręty wzdłuż tej części wybrzeża. Nic nie mogło złagodzić jego bólu po stracie syna. Skutki tego wciąż było widać w zrujnowanych świątyniach i spalonych budynkach, nadal jeszcze nieodbudowanych.

Pokręcił głową. Wątpił, czy w tym miejscu będzie mógł się pochwalić swoją przyjaźnią z Ksantypposem. Na jakiś czas popadł on w szaleństwo, ale do Aten wrócił jako bohater. Stawiano mu nawet posąg na Akropolu! Temistokles przygarbił ramiona. Nie mógł osądzać drugiego człowieka po głupocie tłumów.

Poczuł, że jego nerwowość rośnie, gdy podpłynęli bliżej nabrzeża. Statki handlowe nie mogły kotwiczyć w zatoce, gdy miały towar do wyładowania. Musiały wpłynąć do portu na niemal zwiniętych żaglach, prowadzone przez sternika i stojącego na dziobie kapitana. Kilku członków załogi wspięło się na maszt i zawisło na rei, oparłszy stopy tylko na cienkiej linie. Wyglądało to tak, jakby robili to dla zabawy, a nie po to, by ostrzegać tych na dole.

Temistokles zauważył inny statek handlowy, który holowany był przez sześciowiosłową łódź portową, ale ich kapitan odrzucił gestem ofertę podobnej pomocy. Przy bryzie słabej jak oddech wprowadzał powoli swój statek do portu. Dwaj marynarze rzucili grube liny obsłudze nabrzeża. Temistokles usłyszał, jak naprężyły się ze skrzypieniem, gdy obwiązano je wokół słupków cumowniczych. Statek się zatrzymał, a załoga krzątała się przez chwilę jak w ulu, po czym zapanował spokój. Mieli przed sobą dzień ciężkiej pracy przy wyładunku amfor z ładowni. Temistokles nie miał już tego oglądać. Przełknął nerwowo ślinę. W tłumie na brzegu byli też Persowie oraz perscy urzędnicy. Dwaj z nich podeszli do statku, gotowi do sprawdzenia ładunku i przyjęcia łapówki, którą zwali lokalnym podatkiem.

Temistokles stał kiedyś w bojowym szyku i walczył z podobnie wyglądającymi mężczyznami, którzy mieli naoliwione brody i nosili wzmacniane kubraki sięgające kolan. Nie było ich wielu w ciżbie na brzegu, ale ci, których zauważył, byli dobrze uzbrojeni. Ręka Persji wciąż dosięgała Smyrny leżącej na ich zachodnim wybrzeżu. Zacisnął szczęki, stając za innym pasażerem gotowym do zejścia na ląd. Do burty przyczepiono trap z desek, aby mogli po nim przejść. Skrzypiał, oparty o brzeg, wraz z lekkimi ruchami statku, który wciąż zachowywał się jak żywy, mimo że był mocno przycumowany.

– Dziękuję, kyriosie – zawołał Temistokles do kapitana.

Ten odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy, zaprzątnięty targowaniem się o wysokość opłat portowych. Temistokles zszedł na ląd i przez kilka kroków czuł, jak ziemia chwieje mu się pod nogami. Zerknął na kapitana pochłoniętego rozmową z urzędnikami i pokręcił głową. Potrzebował kogoś znaczniejszego, żeby jego plan miał jakąś szansę powodzenia. Miał już bardzo niewiele pieniędzy na łapówki, a nawet na jedzenie. W tym miejscu, w słońcu palącym go w kark, z zaschniętym gardłem, czuł się jak człowiek zdesperowany.

Wrócił do swego kapitana, przerywając negocjacje, na skutek czego wszyscy trzej zwrócili się ku niemu z grymasem niezadowolenia.

– Bardzo przepraszam, ale mam wiadomości, które kapitan portu musi usłyszeć – powiedział.

– Powiedz mi jakie, a ja mu przekażę – odparł natychmiast jeden z Persów.

– To sprawa osobista... Kazano mi porozmawiać z najważniejszym urzędnikiem w tym mieście.

– W takim razie jak może to być sprawa osobista? – zapytał jeden z uśmiechem, zachwycony własną przemyślnością.

– W tym sensie, że jeśli mi nie pomoże, będzie go to kosztować głowę.

Uśmiech zniknął i obaj urzędnicy zmierzli go podejrzliwym wzrokiem. Temistokles przywykł do radzenia sobie z małą władzą. Czekał cierpliwie, aż jeden z tamtych wzruszył w końcu ramionami, zadowolony, że może przerzucić problem na kogoś innego.

– Jeśli zamierzasz trwonić jego czas, pożałujesz. Nazywa się Dżawan i o tej porze... – tu spojrział na słońce – ...znajdziesz go w magazynach na końcu tego nabrzeża. Bądź grzeczny, Greku. Jeśli mu się nie spodoba, wymierzy ci karę.

– Och, nie obawiaj się – odparł Temistokles z uśmiechem. – Lepsi próbowali. Urzędnicy udali, że nie słyszą.

– Ufam, że z twoim brzuchem już lepiej – powiedział kapitan. Nieznacznym ruchem głowy dał Temistoklesowi do zrozumienia, żeby odszedł.

Ten potaknął.

– Dużo lepiej, dziękuję.

Skłonił głowę i zostawił ich. Długo patrzyli za nim, gdy odchodził.

\* \* \*

Temistokles wyobrażał sobie ciche pomieszczenia zastawione pod sufit workami z ziarnem. W rzeczywistości panował w nich ten rodzaj chaosu, jaki kojarzył mu się z ateńską Agorą. Sterty towarów oddzielone były od sąsiadujących z nimi innych stosów drewnianymi przepierzeniami lub tylko wymalowanymi na podłodze liniami. Tysiąc głosów zdawało się krzyczeć równocześnie, a harmider ten narastał, w miarę jak szedł wzdłuż nabrzeża, a potem obok kilkunastu budynków, które w istocie były jedynie dachami wspartymi na słupach w narożnikach. Słyszał zarówno język perski, jak i grecki, ale głównym językiem był najwyraźniej język handlu, z cenami i ofertami wykrzykiwanymi tak głośno, jak tylko się dało. Na przestrzeni pięćdziesięciu kroków dwa razy pytał o drogę i musiał odmówić kupna płaszcza, który zarzucono mu na ramiona. Jedną dłoń trzymał na rękojeści miecza, drugą zaś ścisnął sandały i sakiewkę z pieniędzmi.

Mężczyznę, do którego go skierowano, otaczało kilkunastu perskich skrybów zapisujących ładunki i wypisujących pozwolenia albo przyjmujących pieniądze i wręczających za nie, wedle jakiegoś systemu, pokwitowania lub talony. Masywni strażnicy stali obok z mieczami i włóczniami, strzegąc przepływającego tam bogactwa. Temistokles nie widział tyle srebra w jednym miejscu od czasu rozpoczęcia wojny, rozglądał się więc ciekawie. Przedsiębiorczy człowiek mógł z pewnością znaleźć coś do kupienia lub sprzedania w takim miejscu, pomyślał, choć większa część obrotów trafiała w ręce Persów. Widać było, że zarówno port, jak i miasto nie były już greckie, mimo że wszędzie wokół słyszał wykrzykiwane po grecku słowa. Była to smutna myśl po tym wszystkim, co ci ludzie zrobili, żeby pozostać wolni.

Gdy zbliżył się do zarządcy portu, zatrzymała go jakaś dłoń, którą oparto mu na piersi.

– Czego chcesz? – rzucił obcesowo nieznajomy.

– Mam osobistą sprawę do zarządcy portu. Dżawana, jeśli się nie mylę? Zechce mnie wysłuchać.

Obcy spojrział na niego przeciągle, po czym wzruszył ramionami.

– Zaczekaj tutaj.

Temistokles obserwował, jak tamten podchodzi do Dżawana i szeptuje mu coś na ucho. Perska władza zdawała się zależeć od kręgów ludzi otaczających centrum, uświadomił sobie. Ciekaw był, ile jeszcze takich kręgów będzie musiał przekroczyć jako suplikant. Myśl nie była przyjemna, ale przybył tutaj z własnej woli i teraz już nie mógł się zaliczyć ani wycofać.

Zauważył, że zarządca portu wyciąga szyję, aby mu się przyjrzeć, po czym przywołuje go gestem. Temistokles wziął głęboki oddech i ruszył ku niemu. Strażnicy niemal warknęli, gdy zbliżył się do ich pana, dając wyraźnie do zrozumienia, że każdy gwałtowny ruch będzie miał konsekwencje. Tymczasem harmider i krzyki handlarzy rozbrzmiewały z taką samą intensywnością.

– Dziękuję za przyjęcie – powiedział Temistokles. – Mówisz po grecku?

– Owszem – odparł Dżawan z ciężkim akcentem. – Z czym przychodzisz?

– Och, nie jestem kupcem – zaczął Temistokles. Poczł uścisk dłoni na ramieniu, gdy jeden ze strażników pociągnął go w tył. Zaczł mówić prędzej, gdy kapitan portu powrócił do swoich spraw. – Jestem archontem z Aten! Temistoklesem, który dowodził okrętami pod Salaminą.

Dłóń puściła jego ramię, a Dżawan powoli się odwrócił, otwierając ze zdziwieniem usta. Jestem we władzy tego człowieka, pomyślał Temistokles z narastającym złym przeczuciem. Zastanawiał się, czy zdoła przeżyć to spotkanie. Najdziwniejszą rzeczą było to, że równocześnie czuł wewnętrzną radość. Nie miał wokół żadnych przyjaciół, żony, synów i córek, których musiałby strzec i bronić. W tym momencie poczuł się nagle jak młody człowiek, którym kiedyś był. Kapryśny, beztroski, bystry i pewny siebie, przekonany, że zdoła osiągnąć to, co sobie zamierzył. Było to oszałamiające uczucie, jakby napił się nierozcieńczonego wina na pusty żóładek. Tak czy owak nie mógł cofnąć słów, które wypowiedział. Doszedł do brzegu urwiska i postąpił krok naprzód.

\* \* \*

Kimon siedział na skraju kamiennego nabrzeża, opuściwszy nogi poza krawędź. Był zmęczony. Starłszy płamę oleju z twarzy, zaklął cicho pod nosem. Okręt, który majaczył nad nim, nie miał jeszcze imienia, ale to on go odbudował, a raczej ją odbudował. Nie miał wątpliwości, że będzie nosić kobiece imię. Dobry okręt potrafił na wietrze wlać radość w serce mężczyzny, ale jeśli ten go rozgniewał, mógł zwrócić się przeciwko niemu, psując całą tę radość. Zamknął oczy i siedział tak, czując w nogach i ramionach ciężar całodziennej pracy. Słońce zachodziło nad Pireusem, a on zdążył wetrzeć gęstą oliwę z oliwek w każdą belkę i deskę pokładu, zabezpieczając drewno przed morską wodą.

Połysk oleju zmatowiał nieco w miarę wsiąkania, ale drewno mogło teraz wytrzymać pokolenia ciężkiej służby, zwłaszcza gdy ponawiało się ten zabieg co roku. Niektórzy cieśle proponowali egipski werniks zawierający takie dziwne substancje, jak sosnowa żywica, której dodatek zapewniał twardszą powłokę. Oliwa działała jednak najlepiej i wnikała najgłębiej. W końcu mieszkańcy Aten wybrali swoją patronkę dzięki oliwnemu drzewu, jakie bogini posadziła. Nie zaś Posejdona, boga słonego morza.

Nagle pojawił się Perykles, który usiadł przy nim. Syn Ksantypposa miał dopiero osiemnaście lat, ale harował równie ciężko jak inni, żeby przygotować okręty. Jeden z nich został przebudowany, a raczej zbudowany od nowa, od samego kilu, co kosztowało miesiące ciężkiej pracy przy dźwiganiu i osadzaniu wręg za pomocą lin i bloków. Rezultat był taki, jakiego Kimon oczekiwał. Jego trzech kapitanowie wiedzieli już, jak te okręty będą służyć wioseł i żagli. Wszyscy byli weteranami spod Salaminy. A teraz znali triery do najmniejszego wiązania i gwoźdźca. Kimon wiedział, że gdy zostawią za sobą Ateny, będą mogli spędzić na morzu rok lub dwa, niczego się nie obawiając. Będą rysować mapy nieopisanych dotąd obszarów i poprawiać te, które były tak stare, że rozsypywały się w proch.

– Mamy jeszcze dwanaście wioseł do wytoczenia – powiedział Perykles.

Gestem ręki wskazał stojące na nabrzeżu wielkie tokarki, gdzie zmęczeni robotnicy pedałowali, obracając pasami założonymi na drągi, podczas gdy inni przykładali do kręcącego się drewna żelazne dłuta. Woda pełna była wiórów, trocin i płam oliwy.

– Potem trzeba już tylko załadować na pokład narzędzia, tokarki, świeżą żywność i... wodę. To wszystko, jak mi się zdaje.

Patrzył na Kimona z podziwem młodszego mężczyzny dla drugiego, godnego szacunku. Kimon nalegał, by nauczyli się zawodu cieśli okrętowych. Początkowo uważali to za dobry żart, kaprys młodego bogacza i jego przyjaciół. Zmieniło się to, gdy każdego dnia ponad czterdziestu z nich zaczęło pojawiać się wczesnym rankiem na nabrzeżu. Wypełniali każde powierzone im zadanie z najwyższym zaangażowaniem i skupieniem. Perykles był wśród nich. Rozumiał, że jest to rodzaj sprawdzianu, że Kimon ich obserwuje, by wiedzieć, jak współpracują i jak szybko się uczą. Wiedział też, że bywają gorsze sposoby doboru załóg. Na koniec tylko dwóch mężczyzn odesłano, bo odnieśli poważne rany. Kimon zapłacił za lekarzy, którzy mieli ich leczyć, i niewolników, którzy mieli ich pielęgnować. Mimo to obaj płakali, wiedząc, że stracili miejsca w załodze.

– Chyba wszystko, prawda? – powtórzył Kimon. Uniósł powieki, ukazując białe kreski w kącikach oczu, w miejscach, do których rzadziej docierało słońce. – Musimy jeszcze nadać imiona naszym trzem okrętom i dla każdego wybrać załogę.

– Zdaje mi się, że już dokonałeś wstępnego wyboru – powiedział Perykles.

Był niemal pewien, że pozwolą mu płynąć. Choć był jednym z najmłodszych, należał już jednak do zgromadzenia i miał prawa wyborcze. Kimon kazał mu poprosić ojca o zgodę, ale była to czysta formalność. Ksantyppos nie dbał o to. Wydawało się, że jest mu wszystko jedno i nie przywiązuje już wagi do niczego. Z upływem dni po prostu przesiadywał, pijąc nierozcieńczone wino, czytał i patrzył w przestrzeń. Kiedy mu przeszkadzano, potrafił wybuchnąć dzikim gniewem.

Perykles od miesiący mieszkał na pokładzie okrętu, z dala od matki i siostry, które opiekowały się ojcem. Jego domem stały się nabrzeża i miejsce dla załogi. Kiedy zdarzało mu się myśleć o ojcu, myślał raczej o mężczyźnie, jakim był przed wygnaniem i przed wojną, a nie o takim, jakim stał się teraz.

Kimon zerknął na niego, przerywając tok jego myśli.

– Masz jakiś ulubiony okręt? Gdybyś mógł wybrać jeden z tych trzech?

Perykles zmrużył oczy, patrząc w stronę zachodzącego słońca. Komuś, kto nie poznał każdego cała tych okrętów, wydawać by się mogło, że są identyczne albo tak podobne, że wszelkie różnice są bez znaczenia. On jednak w jednej chwili znał odpowiedź. Oczywiście okręt obok, którego dziób wznosił się nad potężnym bojowym taranem. Miała to być ich główna broń przeciwko wrogom na morzu. Wymalowano nad nim, na naoliwionym drewnie, dwoje oczu, które miały patrzeć tuż nad powierzchnią spienionej taranem wody. Dzioby dwóch pozostałych były czyste i wypolerowane, a ich wygięte w górę belki na tyle mocne, by sternik, oparłszy się, mógł się wychylić. Ten jednak pokryty został siatką rzeźbionych linii tworzących obraz kobiety oplecionej pędami winorośli. Perykles po zakończonej pracy przyglądał się, jak cieśla wykonuje swoje dzieło za pomocą młotka i dłuta. Nie należał do ich załogi, był rzemieślnikiem wynajętym w mieście. W taki lub inny sposób upiększał wszystko, czego dotknął, dodając na wiązaniach rozmaite zawijasy i ornamenty. Kobieta patrząca na ciemne morze była zapewne syreną, za którą mężczyźni mieli zawsze podążać. Sprawiała, że dla Peryklesa wybór okazał się łatwy.

– Ona – powiedział. – Jest moją ulubienicą.

Kimon spojrział na niego i uśmiechnął się, widząc na jego twarzy czystą radość.

Skinął głową.

– Rzeczywiście. Też mi się tak wydaje.

– A czy... jesteśmy dość silni, by namierzać perskie obozy?

Kimon spojrzał na niego oceniająco. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Wrócili na jońskie wybrzeże, wiedziałeś o tym? Królewscy kupcy już tam handlują, przystawiają swoje pieczęcie i... ściągają podatki. Powrócili jak muchy. – Kimon zmarszczył na chwilę czoło. Ciemne brwi nadały mu groźny wygląd. – Ale morze jest nasze. Wyspy są nasze. Tego się nauczyłem pod Salaminą, Peryklesie. Ateny rządzą na morzu. Powiadają, że jest jeszcze kilkanaście wysp wzdłuż jońskiego wybrzeża, które są przez nich zachwaszczone. Są na nich garnizony obserwujące morze. Persja używa ich jak przejściowych punktów oparcia służących do kontrolowania okolicznych wód. No cóż, jestem wolnym Ateńczykiem i nie zgadzam się na to. Nasze trzy okręty, a raczej nasze trzy załogi, wykurzą ich stamtąd. Morze należy do Aten. –

Spojrzał ponownie na Peryklesa, tym razem trochę nieufnie. Jednak to, co zobaczył, najwyraźniej go uspokoiło. – Jest coś jeszcze. Nie wspominałem o tym żadnemu z pozostałych...

Perykles skłonił głowę, pokazując, że można mu zaufać.

– Mój ojciec... – zaczął Kimon – wierzył, że gdzieś tam wciąż spoczywają kości Tezeusza. Mam nadzieję je odnaleźć.

Perykles usiadł prosto i otworzył usta ze zdumienia.

– Wiesz gdzie?

Kimon pokręcił głową.

– Wiem, gdzie zacząć poszukiwania. Powiadają, że zginął na wyspie Skiros. Legenda głosi, że jego ciało zabrano, lecz ojciec słyszał, że jest tam stary grób pośród wzgórz. Zawsze chciał go odszukać, ale... zabrakło mu czasu. I oto pojawiliśmy się my z naszymi trzema okrętami i z hoplitami uzbrojonymi we włócznie i tarcze. Jeśli na Skiros jest perski garnizon, odbiorę tę wyspę dla Aten i przeszukam każde urwisko, każdą jaskinię i każde pole. – Zamilkł na dłuższą chwilę, zapatrzony w morze. Kiedy znów przemówił, jego głos był jak szept: – Tezeusz był moim bohaterem. Miał pałac na Akropolu i rządził Atenami jako wielki król, ale oddał władzę ludowi. Wszystko, co przyszło później, Solon, Klejstenes, zgromadzenie, zaczęło się od tego pierwszego kroku. Był człowiekiem władzy, który wszystko dobrze rozpatrzył i sam usunął się na bok.

Perykles uśmiechnął się na tę myśl. Wiedział, że Kimon chciałby zostać herosem jak Achilles, Tezeusz czy Herakles, ale nie przywiązuje do tego wielkiej



wagi. Każdy, kto odnajdzie kości Tezeusza, stanie się częścią opowieści o nim.  
Zatarł dłonie. Palce lepiły mu się od oliwy, potu i brudu.

– Pozostawił po sobie ślad – powiedział.

Kimon spojrzał na niego ze zrozumieniem.

– Owszem. I my też tak zrobimy.

Temistokles patrzył na mijany krajobraz. W młodości spędził jakiś czas na jońskim wybrzeżu. Nie wiedział wówczas, jak daleko ciągnie się ląd. Wciąż się rumienił na wspomnienie rozbawienia, jakie okazali jego gospodarze, gdy po czternastodniowej podróży w głąb lądu zapytał, czy napotkane miasto Ankara to Persepolis, w którym siedzibę ma wielki król Persji. Kazano mu teraz czekać w nieskończoność, przygotowując karawanę, co było bardzo poważnym przedsięwzięciem. Dwa tuziny wozów zaprzęgnięto w muły i woły. Wynajęto osiemdziesięciu strażników, aby towarzyszyli karawanie, strzegąc ją przed pustynnymi plemionami szukającymi mordy i rabunku. Wieźli ze sobą żywność i wodę jak wielka ekspedycja lub wypływająca w morze flota, niemająca możliwości uzupełnienia zapasów w drodze. Z perskim akcentem nazywali Temistoklesa „honorowym gościem” i „archontem”, ale nie odpowiadali na jego pytania. Dżawan z portu powierzył go opiece swego szwagra z Sardes i za ten dar został z wielkim szacunkiem pocałowany w oba policzki. Wyglądało na to, że Ateńczyk okazał się ważną figurą w grze, będąc szansą na zdobycie bogactwa lub lepszego statusu. Nie myślał, że stał się więźniem, choć w tym momencie zmiana planów ani zawrócenie z drogi nie wchodziło już w grę.

Karawana podążała skrajem wielkiej pustyni, dni upływały, a jemu broda i włosy rosły coraz dłuższe. Czterdziestego dnia, kiedy już nie mógł znieść swego wyglądu dzikusa, poprosił balwierza, by naoliwił i utrefił mu brodę, a włosy ułożył na modłę perską. Po tym zabiegu ciążyły mu na szyi, ale swędzenie ustało.

Przez kilka dni zmagał się z gorączką, a trzy dni z biegunką, zmuszony zatrzymywać wóz i przysiąść z jękiem na skraju drogi. Większość tego czasu spędził w stanie błogosławionego oszołomienia, jak we mgle, choć w szybkim tempie tracił siły i masę ciała. Jego woźnica wciąż podsuwał mu owoce niewypowiedzianie brudnymi rękoma, najwyraźniej zatroskany jego stanem.

Około sześćdziesiątego dnia Temistokles zrozumiał, że sam nigdy nie odnalazłby drogi powrotnej, choćby nawet go uwolnili. Człowiek mógłby spędzić całe życie, błakając się pośród tych gór i lasów. Przejeżdżali przez

zupełnie odludny świat, tylko od czasu do czasu widując samotnych pasterzy, żyjących z dala od innych ludzi. Gdy przejeżdżali przez bród na rzece, strażnicy wypłoszyli z zarośli młodego lwa, tłukąc mieczami o tarcze i czyniąc taki hałas, że przerażone zwierzę uciekło. Niektórzy mieli wyraźną ochotę zapolować na nie dla skóry, ale przewodnik karawany tylko wskazał na Temistoklesa. Przez długie dni zerkali na niego spode łba, nic nie mógł na to poradzić.

Każdy dzień spędzał w stanie bliskim stuporu, nie mając nic do roboty poza spoglądaniem w przeszłość. Jadał wraz z innymi z miseczek, które wycierał i oddawał. Czuł, że jego umysł tępieje z czasem jak długo nieużywany nóż, ćwiczył więc go, przypominając sobie różne słowa albo twarze dzieci. Za każdym razem, po tyśiąckroć, powtarzał sobie, że nie ma już odwrotu. Jeśli się pomylił, wybór i tak został dokonany. Przyłapał się na tym, że mruży do siebie, prowadząc całe rozmowy, które zamierzał odbyć, albo rozmawia z żoną, jakby stała obok. Woźnica nie tylko nie mówił słowa po grecku, ale był też bardzo kiepskim nauczycielem własnego języka. Kiedy Temistokles wskazywał na coś, pytając o nazwę, mężczyzna patrzył na niego tępo. Był wynędzniałym starcem, może nieco onieśmielonym tym obcowaniem z Grekiem. A może kiedyś kopnął go w głowę muł albo wielbłąd? Temistokles nie zdołał się tego dowiedzieć.

Wedle jego oceny minęły już dobre cztery miesiące, odkąd wylądował na jońskim wybrzeżu. Niemal pogodził się z tym, że nigdy nie zobaczy wielkiego króla, jakby on i pozostali członkowie karawany byli skazani na wieczną tułaczkę po wzgórzach i pustkowiach, aż spotka ich śmierć i nigdy już nie usłyszą przyjaznego głosu. W gorączkowych majaczeniach Temistokles zaczął wyobrażać sobie, że błąka się po jakichś równinach, gdzieś w zaświatach. Jedynie obecność Persów wskazywała, że jest to mało prawdopodobne.

Właśnie uśmiechał się do siebie na jakieś wspomnienie z odległej przeszłości, gdy nagle uświadomił sobie, że wóz przestał się kołysać na wyboistym gruncie jak statek na falach. Zaczął odzyskiwać zmysły. Znaleźli prawdziwą drogę, a ona wiodła do... Zapatrzył się w dal, dostrzegając domy, świątynie, most na rzece. Most! Poczuł, że łzy napływają mu do oczu na widok tego skromnego przejawu cywilizacji. Temistokles pokryty był pyłem i własnym brudem. Włosy zmatowiały mu od kurzu, a chiton był tak brudny, że niemal czarny. Chudy jak grabarz, prezentował się równie odrażająco. Drogą szli ludzie niosący różne towary, którzy przyglądali się karawanie. Po raz pierwszy od wieków poczuł na sobie zaciekawione ludzkie spojrzenia. Rozpaczliwie spróbował przypomnieć sobie wszystko, czego nie chciał zapomnieć, kwestie z rozmów, jakie po wielokroć ćwiczył.

Wszystkie jego plany obróciły się wniwecz, gdy do wozów podeszli perscy strażnicy, aby sprawdzić ich dziwny ładunek. Doszło do długich wyjaśnień, z których udało mu się zrozumieć jedynie kilka słów. Usłyszał swoje imię wymienione wielokrotnie. Jeden ze strażników gwizdnął na konia, wskoczył na jego grzbiet i spiąłszy go piętami, pomknął w dal jak dobry zwiadowca. Temistokles patrzył za nim przez chwilę, czując się jak duch, który powrócił do świata.

– Gdzie to jest? – zawołał. – Gdzie jesteśmy?

Kilku strażników, usłyszawszy obce słowa, sięgnęło do rękojeści mieczy. Dowódca karawany wymachiwał rękami i przemawiał do nich surowo. Nie zamierzał pozwolić, by jego cenny towar został zabity, tyle Temistokles rozumiał. Szwagier zarządcy portu poświęcił zbyt wiele czasu i pieniędzy, by dotrzeć aż tutaj.

Zauważył, że ruch uliczny się wzmógł. Uświadomił sobie, że miasto nie ma żadnych murów i że karawana zatrzymała się po prostu przy okrężnej drodze obok czegoś, co wyglądało na komorę celną albo jakiś inny urzędowy budynek. Domyślał się, że skoro miasto należy do imperium, to murów nie potrzebuje. W tej odległości od zewnętrznych granic trudno było wyobrazić sobie, aby jakaś wroga armia zdołała tu w ogóle dotrzeć. Z tego, co zaobserwował, pomarliby wcześniej z głodu i pragnienia pośród bezkresnych gór i lasów.

Temistokles powoli zszedł z wozu i stanął na drodze. Jego ruch natychmiast przyciągnął uwagę strażnika. Mężczyzna wskazał na niego i szczerknął coś, najwyraźniej nakazując mu pozostać na wozie. Temistokles zignorował go i stał dalej, ziewając. Przebył długą drogę i w tym momencie czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Być może był to przejaw siły, sam dobrze nie wiedział. Z pewnością poczuł się znowu sobą, choć był wychudły i wycieńczony. Nie był mężczyzną, jakiego chciałaby widzieć jego żona, ani nawet... archontem z Aten. Być może nadal był synem swojej matki. Pozbawiony całej władzy i bogactwa, pozostał sprytny i miał wolę przetrwania. Żywił jedynie nadzieję, że przebywszy pół świata, nie został tu dostarczony na egzekucję, jako prezent dla wielkiego króla. Myśl ta sprawiła, że zaczął się nagle śmiać niepowstrzymanym suchym śmiechem, który brzmiał jak kaszel.

W oddali widniały góry, choć on widział wcześniej już tyle ośnieżonych szczytów, że ledwo je zauważał. A jednak przywieziono go do miejsca, gdzie ludzie nosili dobre ubrania i sandały chroniące przed żarem słonecznym i gdzie, niedaleko, piekarz wyciągał bochenek chleba do przechodniów. Temistokles poczuł nagłą tęsknotę za obecnością innych ludzi. Zawsze uważał siebie za lwa,

który nie potrzebuje nikogo poza swoją samicą. Prawda była bardziej złożona, co odkrył po długim czasie spędzonym w drodze. Potrzebował rozmowy, wylewania z siebie potoków greckich słów, bez obaw, że zwariuje w ciszy. Potrzebował napić się dobrego wina, a nie czegoś, co smakiem przypominało ocet, jeść świeżą żywność zamiast krążków sera nadających się co najwyżej do łątania sandałów. Potrzebował towarzystwa przyjaciół. Taka była prawda.

Człowiek, który podjechał do niego konno, był mniej więcej w jego wieku, lecz sprężyste zeskoczył na ziemię. Temistokles patrzył nieufnie, gdy obcy podszedł i stanął przed nim, wpatrując się w niego tak, jakby znalazł na ulicy cenny klejnot.

– To ty jesteś Temistokles? – zapytał. – Archont Aten?

Temistokles skinął głową z ulgą, słysząc w ustach tamtego grecką mowę.

Mężczyzna pokręcił głową w zadziwieniu.

– Widzę, że nie najlepiej zniosłeś podróż. Wybacz moją słabą grekę. Minęły lata, odkąd mieszkałem na zachodzie.

Temistokles milczał, gdy tamten pochylił się i ucałował go w oba policzki. Nie był pewien, czy to jego status cudzoziemca, czy może zapach powstrzymały Persa przed pocałowaniem go w usta.

– Nazywam się Omid Sajed Karrubi. Jestem... jak to powiedzieć? Satrapą? Nie, raczej namiestnikiem tego miasta. Od tej chwili jesteś moim gościem. Kiedy się wykąpiesz i posilisz, i oczywiście odpocznesz, zabiorę cię do wielkiego króla miłościwie nam panującego.

Oczy Persa były otwarte bardzo szeroko, gdy mówił, jakby wciąż nie do końca wierzył w to, co widzi. Temistokles skłonił głowę. Zbyt późno sobie przypomniał, że powinien raczej przypaść do ziemi na znak posłuszeństwa. Obiecał sobie, że zrobi to przed Kserksesem, ale dla wolnego Greka nie była to miła perspektywa. Zauważył, że namiestnik mierzy go spojrzeniem, jakby był jakimś niezwykle dziwnym zjawiskiem. Przypuszczał, że istotnie był.

\* \* \*

Wczesnym wieczorem Temistokles został wykąpany i dostał nowe szaty i sandały. Niewolnicy namiestnika pracowali nad nim jak rzeźbiarze, wyszukując najmniejsze ślady zabrudzeń, po czym oczyszczali te miejsca szczoteczkami, oliwą, a nawet maleńkimi szczypczykami w zagłębieniach uszu. Był zdziwiony ilością brudu, jaki spłynął z niego w kąpieli, barwiąc zawartość wielkiej wanny na czarno, aż musiano wylać z niej wodę i napełnić ją na nowo. Trzy młode kobiety rozczesywały mu włosy, delikatnie rozplątując palcami każdy supełek

i kołtun. Przez najgorszą gęstwinę przeciągały grzebieniami, zalewając mu oczy wodą, aż zaczął się śmiać nad dziwacznością swego położenia. Uśmiechały się razem z nim, ale kończyły swoją pracę z wielkim skupieniem i powagą.

Potem przyszedł fryzjer i zaczął ścinać mu włosy, które w grubych srebrno-złoty pasemkach spadały na marmurową posadzkę. Temistokles zauważył, że zbierano je starannie i zawijano w kawałek płótna. Taka ich barwa była zapewne rzadkością w tym zakątku świata. Odmówił, gdy chciano związać mu je na sposób perski. Fryzjer zrobił się czerwony na twarzy, próbując z naciskiem go przekonać, i pokazywał uparcie na coś znajdującego się poza pomieszczeniem, w którym się znajdowali. Temistokles musiał wreszcie odtrącić jego ręce, po czym mężczyzna wycofał się z wyrazem urażonej godności.

Pozostawszy sam, Temistokles był już gotów zasnąć, gdy przybiegł bardzo przejęty namiestnik, który aż drżał na całym ciele. Zmęczenie opuściło go w jednej chwili pod wpływem strachu. Czy zamierzali go stąd wywlec i stracić? Zacisnął pięści, gdy mężczyzna wybełkotał po grecku:

– Jesteś już czysty! To lepiej. Doskonale. Musisz teraz pójść ze mną. Proszę, tędy. Król chce cię widzieć. Myślałem, że zaczeka z tym do rana, ale Jego Miłość zna twoje imię! Przesłał seneszala, aby cię do niego przyprowadził. Prędko!

Temistokles pozwolił wyprowadzić się z komnaty. Czuł się trochę zdezorientowany, ale przynajmniej wiedział, że jest czysty. Gdyby miał tu bukłaczek dobrego wina, mógłby nawet radować się wszystkim, co mu się przydarza. Znał wina z perskich winnic. Niektóre z najlepszych czerwonych win docierały do Aten każdego roku, w każdym razie było tak przed wojną. Mlasnął, tęskniąc choćby za jednym łykiem, który pomógłby mu zapanować nad lękiem.

Zapadała już noc, gdy wyszli na zewnątrz. Ujrzał grupę żołnierzy stojących na dziedzińcu domu namiestnika, w którym go ugoszczono. Posiadłość wraz z ogrodami leżała w głębi miasta, ale on nie miał pojęcia o jej położeniu ani wielkości samego Persepolis. Wyszli w asyście wojowników, którzy utworzyli wokół nich kordon. Stukot ich sandałów na kamiennym bruku rozlegał się głośnie echem.

Gdy przechodzili przez miasto, obserwował długie ulice po obu stronach, pełne kupców i przechodniów przystających na widok zbrojnego oddziału. Temistokles dostosował krok do kroku namiestnika. Mężczyzna pocił się, choć zrobiło się chłodniej. Temistokles był za to wdzięczny. Po szwagrze z Sardes, posępnym towarzyszu jego trzymiesięcznej podróży, nie było już śladu. Miał nadzieję, że odprawiono go, nie płacąc mu grosza.

Zaczął się pocić dopiero wtedy, gdy strażnicy zapalili pochodnie, aby lepiej widzieć drogę. Ulice były ciemne i coraz bardziej pustoszały. Wyglądało na to, że większość miasta kładzie się właśnie spać, choć mogło być i tak, że ludzie woleli nie wchodzić w drogę maszerującym zbrojnym. Temistokles przełknął nerwowo ślinę. Wciąż nie wiedział, czy Kserkses zamierza go zabić, czy nie. Nigdy nie spotkał młodego króla i cały jego osąd tej postaci opierał się na kilku obserwacjach z czasów wojny. Szeptał modlitwy do Ateny, zastanawiając się, czy docierają one do niej, gdy jest tak daleko od domu.

Przechodził pod bramami, w których każdy mający bielą w mroku filar był osobnym budynkiem o odrębnym charakterze. Słyszał nawołujące się głosy, rzucane pytania i odpowiedzi. Jego towarzysze nie zwalniali kroku. Weszli po kilku szerokich stopniach, potem maszerowali dalej pod nocnym niebem, mijając kolejne warty pod krużgankami z zielonego marmuru. Od czasu do czasu jakaś część grupy się oddzielała. Zastępowali ich inni, w odmiennych uniformach albo bez formalnego stroju. Służący? Królewscy domownicy? Wszystko było dla niego niejasne. Przynajmniej Omid... Zapomniał resztę jego imienia. Dobrze, że namiestnik wciąż mu towarzyszył, choć sprawiał wrażenie spiętego i zdenerwowanego.

Otworzyły się przed nimi ogromne drzwi, co było tak doskonale zgrane z ich przejściem, że nie musieli się zatrzymywać ani nawet zwalniać. Światło odbijało się od kamiennej podłogi tak wypolerowanej, że Temistokles widział w niej iskrzące odblaski ich pochodni. Wkroczyli do sali, w której cicho i bez ruchu stały długie szeregi mężczyzn i kobiet. Wciąż idąc, zerkał na boki, na ludzkie twarze lub na własny dziwny strój. Namiestnik zwolnił, a Temistokles dyszał ze zmęczenia. Jak to się stało, że tak stracił kondycję?

Siedzący na końcu sali mężczyzna podniósł się ze złotego tronu i zszedł po kilku stopniach. Temistokles zrozumiał, co się dzieje, kiedy namiestnik zaczął szeptać modlitwę. Chwilę później wszyscy zatrzymali się i legli brzuchami na marmurowej posadzce. Byli przed obliczem Kserksesa, wielkiego króla Persji.

Temistokles zawahał się, a potem położył razem z innymi. Obiecał sobie wcześniej, że to zrobi, choć był wdzięczny, że nie ma tu Arystydesa, który z pewnością by to skomentował. Przebywał jednak z dala od domu i wciąż miał nadzieję na coś w rodzaju łaski.

\* \* \*

Król zbliżył się wraz z innym mężczyzną u boku. Kserkses mówił po persku, a tłumacz przekładał jego słowa na grecki.

– Wstań, proszę. Możesz się podnieść. Usłyszałem tego wieczoru, że odbyłeś długą drogę, żeby się ze mną zobaczyć – powiedział Kserkses.

Młody król uśmiechał się, ale Temistokles nadal nie był pewien, czy jest to uśmiech niewinnej radości, czy może mrocznej satysfakcji.

– Nie mogłem czekać do rana! – ciągnął Kserkses. – To w końcu ty, człowiek, który mnie ocalił! Który zaproponował mi poddanie greckiej floty pod Salaminą. Ty, pierwszy w Atenach! Czuję się zaszczycony, Temistoklesie.

Ten zaś otworzył szeroko oczy, gdy tłumacz powtarzał słowa, które tak bardzo pragnął usłyszeć. Podczas podróży do serca Persji rozmyślał na sto sposobów, by posłużyć się tym samym argumentem. Wszystko, co Kserkses o nim wiedział, zawarte było w dwóch listach, które do niego wysłał. W jakimś sensie rzeczywiście uratował królowi życie. Poczul spływającą nań ulgę, jakby stanął w nurcie górskiego strumienia. Zachwiał się, a Kserkses wyciągnął rękę i podtrzymał go. Gest ten sprawił, że przez salę przemknęła fala zdumienia. Oto król dotknął Greka, i to w swoim własnym pałacu. Temistokles miał nadzieję, że dotknięcie króla nie jest jakąś wielką zbrodnią. Był w tym miejscu jak dziecko, przynajmniej do czasu, zanim pozna lepiej tutejszy język i obyczaje.

– Wasza Królewska Mość – przemówił – czynisz mi zaszczyt swoją łaską. Zostałem wygnany przez własny lud. Pomyślałem... Miałem nadzieję, że znajdę dobre przyjęcie i schronienie na twoim dworze.

Kserkses kiwał głową, gdy tłumacz powtarzał te słowa.

– Tobie jednemu spośród wszystkich ludzi winien jestem więcej, niż potrafię wyrazić. Oddam ci trzy miasta, Temistoklesie z Aten, którymi będziesz mógł zarządzać. Będziesz miał złoto, klejnoty, dziesiątki tysięcy niewolników. Uczynię cię satrapą przy moim tronie, Ateńczyku, aby uhonorować cię za wszystko, co zrobiłeś. Gdybym miał jeszcze kilku takich jak ty, zapewne nie utraciłbym biednego Mardoniusza.

Temistokles poczuł, jak mimowolnie do oczu napływają mu łzy. Marzył o takiej odpowiedzi, ale rzeczywistość przeczyła tym oczekiwaniom. Kserkses stracił w Grecji bardzo wiele. Istniała obawa, że każe go zabić i odesłać jego głowę do Aten. Był to jeden z głównych powodów napięcia, w jakim Temistokles pozostawał podczas swej długiej podróży do wnętrza Persji. Zniknięcie zagrożenia sprawiło, że poczuł radosny zawrót głowy i wielką lekkość.

– Dobrze się czujesz, Temistoklesie? – zapytał z troską Kserkses. – Chciałbyś już może odpocząć?



– Wasza Królewska Mość, nigdy nie czułem się lepiej. Błogosławię cię za twoją szczodrość i wielkoduszność. Ciekaw jestem tylko... czy znajdzie się dla mnie trochę wina?

Temistokles spoglądał na miasto, rozległe jak Sparta, z zielonymi górami po jednej stronie i dziesięcioma tysiącami rodzin na ulicach i rynkach ofiarowanych mu we władanie. Zajął pałac na zboczu wzgórza ze względu na piękny widok, jaki się z niego roztaczał. Był pozbawiony lokatora, ale wyposażony i umeblowany, jakby jego poprzedni właściciel po prostu odszedł. Temistokles wolał nie pytać o człowieka, który mieszkał tu przed nim. Chyba znał odpowiedź. Co król dał, mógł też odebrać.

Trójka domowych niewolników przynosiła całe półmiski winogron i sera oraz dzbanki wina tak dobrego jak najlepsze z tych, które pamiętał z Aten. Temistokles wiedział, że pije za dużo. W pierwszych tygodniach niewiele brakowało, aby w nim bez reszty zatonął, ale jakoś wypłynął na powierzchnię, choć z wielkim żalem.

Nie było niczego, czym mógłby się zająć, i wieczory ciągnęły się w nieskończoność. Dni były przyjemnie ciepłe, mimo że nastąpiła już jesień. Zapewniono go, że zima przyniesie chłód. Nie mógł się żalić, choć już po kilku dniach poczuł rozczarowanie. Nic nie było takie, jak sobie wyobrażał.

Kserkses uczynił go namiestnikiem albo satrapą, jakimkolwiek terminem Temistokles chciałby określić swój nowy status. Prawda była skromniejsza. Miał strażników, ale nie byli oni wobec niego lojalni. Nie mówili po grecku, a kiedy już nauczył się właściwych słów po persku, reagowali zbyt wolno albo wcale, a na ich twarzach malowała się pogarda. Czasem zupełnie go ignorowali, stojąc sztywno i z drętwym wyrazem twarzy. Temistokles nie próbował dotąd zwolnić ich z tej funkcji, żeby zastąpiono ich innymi. Był niemal pewien, że by nie odeszli, a cała farsa stałaby się nazbyt widoczna.

Nawet niewolnicy byli po części jego i nie jego. Przycinali w ogrodach żywopłoty, które były tam długo przed nim i nie wątpił, że pozostaną długo po nim! Podawali skwapliwie posiłki i wino, ale nie patrzyli mu w oczy. Czuł się jak więzień.

Pomyślał o skarbcu, który pokazano mu pierwszego dnia. Była to przyjemna myśl i uśmiechnął się do niej. Dowódca straży otworzył wielkie żelazne drzwi.

Temistokles wszedł do pomieszczenia z niedbale ułożonym złotem i srebrem. Wyglądało to na wielką fortunę, większą niż kiedykolwiek widział. Przyłapał się na rozmyślaniu, jak mógłby przewieźć to wszystko z powrotem do Aten.

Uśmiech zgasł na jego ustach, gdy powróciło poczucie rzeczywistości. Opróżnił kielich, nie zauważywszy nawet, kiedy został ponownie napełniony. Nie było już powrotu do domu, to jedno było pewne. Co kilka dni wielki król wzywał go do pałacu i przechadzał się z nim przed przyjaciółmi, książętami i krewnymi, pokazując go jak ciekawostkę, jak ptaka w złotej klatce. Temistokles nie wątpił, że przyjemność, jaką król czerpał z jego obecności, była autentyczna. Chodziło tylko o to, że on sam dotarł do ostatniego domu swego życia. Nie miało już być nowych wyzwania, żadnych triumfów ani klęsk, już nigdy. Wszystkie lata, jakie miał przed sobą, leżały przed nim widoczne jak na dłoni, oczywiste jak wino, które pił. Skrzywił się.

– Nie smakuje ci, panie? – zapytała niewolnica.

Tłumacz przetłumaczył te słowa monotonnym tonem, który Temistokles zdążył już znienawidzić. Rozpoczął lekcje perskiego, by nie czuć się wśród Persów tak bezradnie. Zbyt wielu szlachetnych przyjaciół króla uważało, że na świecie istnieje tylko jeden język. Zadawali mu pytania we własnej mowie i wyglądali na urażonych, gdy wzruszał ramionami albo rozglądał się za mówiącym po grecku skrybą.

Temistokles westchnął. Zaczął uczyć się ich imion, ale tej domowej niewolnicy nie znał. Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

– Jest bardzo dobre. Po prostu myślałem o przeszłości.

Zaczekała, aż jego słowa zostaną przetłumaczone na perski, po czym skinęła grzecznie głową i wyszła. Zaklął pod nosem. W takich warunkach rozmowa była niemożliwa. Czuł się tu niemal tak samotnie jak podczas podróży przez pustkowia, ale bez szalonej nadziei, która kazała mu wytrwać w drodze. Nikt nie pomyślałby nawet, żeby udać się do Persji, do samego serca królewskiego miasta! A on tak. Był mężczyzną, który *nigdy* się nie poddawał, choćby wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Taki miał dar i dzięki niemu wygrywał za każdym razem.

Jego wielki plan polegał na tym, żeby przypomnieć królowi, jak wiele mu zawdzięcza, przynajmniej we własnych oczach. Było w tym ogromne ryzyko, ale Temistokles miał bardzo niewielu przyjaciół i nie miał dokąd się udać. Gdyby sprawy ułożyły się po jego myśli, zamierzał sprowadzić tu rodzinę. Rozejrzał się wokoło. Ostatni namiestnik tego miasta żył w tym samym pałacu. Bez wątpienia zdążył poznać imiona wszystkich domowych niewolników. Może jego dzieci

biegały i bawiły się na dziedzińcach i w krużgankach. A jednak został usunięty i zniknął za sprawą kaprysu króla. Temistokles zastanawiał się, jak długo jeszcze pozostanie nowością na dworze, zanim król obdarzy zainteresowaniem kogoś innego. Myśl ta przyprawiała go o dreszcz. Był daleko od domu, niemal na drugim końcu świata, i jednego był pewien: mimo wszystkich swoich tytułów i bogactwa nie mógł opuścić tego miejsca.

Usłyszał ciche chrząknięcie za plecami i zerknął przez ramię. Stał tam jego seneszał, kolejny człowiek, którego odziedziczył. Osobnik ten traktował pałac tak, jakby był jego właścicielem, a Temistokles kłopotliwym gościem. Tego wieczoru mężczyzna stał przed nim na baczność, co sprawiło, że serce mu zamarło.

– Satrapo Temistoklesie, oczekuje się twojej obecności...

– Tak, wiem, w pałacu króla... – przerwał mu, podnosząc się.

Przez chwilę stał z dłonią na oparciu krzesła, zdając sobie sprawę z tego, że jest pijany. Minęło już kilka dni, odkąd Kserkses ostatnio prezentował go u siebie w pałacu, to zachodnie, ateńskie dziwo, które wierzy w demokrację i inne śmieszne rzeczy. Niewątpliwie jakaś kolejna grupa krewnych i pochlebców przybyła go obejrzeć i posłuchać jego dziwacznej mowy. Westchnął. Ostatnia taka grupa przyniosła ze sobą dorycką włócznię, prosząc go, by pokazał, jak posługuje się nią hoplita. To było... Zadrzał.

– Twojej obecności... – zaczął znowu seneszał, krzywiąc się z niesmakiem. Najwyraźniej nie aprobował wina.

Temistokles skinął głową i machnął ręką na znak, że słyszy.

– *Jadę!* – ryknął.

Nagle poczuł się głupio, że krzyczy na służbę, ale nie mógł już tego cofnąć. Wyszedł. Nie miało to znaczenia. Pałac królewski znajdował się o dzień konnej jazdy od najbliższego z jego nowych miast. Kserkses trzymał go blisko, co, jak mu wytłumaczono, było dla niego wielkim zaszczytem. Wolności jednak nie miał. Temistokles znalazł swego wierzchowca na dziedzińcu, osiodłanego i gotowego do drogi. Dziwnie było ujrzeć przy nim sześciu strażników czekających spokojnie z kamiennym wyrazem twarzy. W końcu na perskich drogach nie było rabusiów. Królewscy wyłapali wszystkich i powiesili.

Temistokles pamiętał, jakim szczęśliwym był pijakiem w Atenach. Wino pobudzało w nim miłość do zabaw i pieśni, przez co łatwiej niż ktokolwiek inny mógł się potłuc, spadając z ławy. Jednak perskie czerwone wina z jakiegoś powodu sprowadzały tylko melancholię. Czuł to podczas jazdy.

Kiedy Temistokles wszedł do królewskiej sali tronowej, poczuł ulgę, nie widząc żadnej nowej grupy Persów spodziewających się, że ich zabawi. Długa komnata była ciemniejsza niż zwykle i wolna od dotychczasowych tłumów, a nawet służących, którzy zwykle krążyli wokół władcy jak duchy. Tylko tłumacz stał u boku króla jak drewniany posąg.

Kserkses siedział na tronie, przerzuciwszy jedną bosą stopę przez poręcz. Kiedy z niego wstał, zachwiał się. Temistokles wolał jednak zagryźć wargi, niż zaryzykować uśmiech. Król był co najmniej tak samo pijany jak wcześniej Temistokles. Długa jazda sprawiła, że wytrzeźwiał i poczuł się bardziej sobą. Był jednak bardzo głodny. Pochylił się i przypadł czołem do wypolerowanej kamiennej posadzki. Odczekał chwilę, po czym podniósł się i spojrzał na Kserksesa.

Młody król miał na sobie fartuszek ze złotych pasków i coś w rodzaju złotego pancerza na samych ramionach. Spojrzał na gościa szklistym wzrokiem.

– Wiedziałem, że przybędziesz, Temistoklesie, kiedy cię poproszę. Jesteś lojalnym człowiekiem – powiedział. Lekko plątał mu się język, ale oczywiście nie było tego słycać w przekładzie tłumacza.

Temistokles ukłonił się. Nigdy przedtem nie widział Kserksesa w takim stanie. Podejrzewał, że władca jest po pijanemu równie niebezpieczny jak na trzeźwo... Zdawał też sobie sprawę, że tak naprawdę nie są sami. Gdzieś w mroku, po bokach sali, gdzie nie sięgało światło pochodni, z pewnością stali uzbrojeni ludzie. Odetchnął głęboko, starając się zachować spokój.

– Przychodziłem tutaj na widzenia z ojcem – ciągnął Kserkses. Gdy poruszył ręką, wino prysnęło z trzymanego w niej kielicha. Patrzył, jak rozpląwa się niczym krew po lśniących kamieniach i machnął niedbale drugą ręką, wzruszywszy ramionami. – Przychodziłem, gdy umierał, gdy prosił mnie, abym dokończył dzieło, które on rozpoczął. – Jego twarz skrzywiła się w nagłym wyrazie smutku niczym u dziecka. – Nie zdołałem tego uczynić. Zawiodłem go. Straciłem Mardoniusza i jego synów. Hydarnesa i Nieśmiertelnych... Masistiusza, dowódcę konnicy. Setki okrętów. Wszystko przepadło.

Temistokles poczuł spływające mu po plecach krople zimnego potu. Mimo woli patrzył na kielich, którym kołysał król. Zauważył, że nie ma niewolnika, który mógłby go napełnić. Czy w takiej sytuacji wypadało mu prosić o wino?

– Gdyby nie... ty, Ateńczyku, straciłbym też życie. – Kserkses dźgnął palcem w jego kierunku. – To ty uprzedziłeś mnie, abym ratował mój most z okrętów. Wyszło na to, że ocalił mnie Grek. – Zaczął śmiać się, choć sądząc po odgłosach, równie dobrze mógł to być szloch. – Wyobrażasz sobie?

Temistokles pomyślał, że nie oczekuje się od niego odpowiedzi. Milczał, od czasu do czasu zerkając na króla. Ten był kompletnie pijany, uświadomił sobie. Młodzi ludzie potrafili doprowadzać się do stanu „ekstazy”, w którym świat stawał się nagle prosty, a oni wykraczali poza siebie. Wyglądało na to, że Kserkses osiągnął taki właśnie stan.

– Zebranie armii i floty do najazdu na Grecję zajęło ojcu całe lata. Próbowiałem ukończyć jego dzieło, ale... nie zdołałem. Poniosłem klęskę. Wiesz jednak, czego nie miałem? Czego nie miał mój ojciec?

Temistokles podniósł wzrok, czując nagły ucisk w żołądku.

Kserkses gestem wskazał na niego.

– Nie miał ciebie, Temistoklesie. Tego wieczoru, gdy przybyłeś do mnie, krzyknąłem: „Mam Temistoklesa!”, ponieważ jesteś kluczem do mego powrotu do Grecji. To ciebie uczynię swoim wodzem, który... – pochwycił dłoń powietrze, zaciskając ją jak szpony – ...zbierze ich wszystkich pod władzę jednego tronu i będzie nimi rządził... jako mój satrapa całej Grecji. – Popatrzył w dół na Temistoklesa z triumfem w oczach. – Czy przyjmiesz moją dłoń? Przysięgniesz na wszystkich twoich bogów, że poprowadzisz moje armie, Temistoklesie? Twoje słowa... ocaliły mnie kiedyś. Wiem, że jesteś lojalny i znasz Greków lepiej niż ktokolwiek. Masz w sobie... spryt, którego potrzebuję, masz wielki umysł. Zrobisz to?

Temistokles przeznaczył chwilę na to, by ponownie paść na podłogę. Poczł chłód kamieni na całym ciele. Wstając, spojrział w dół, spodziewając się ujrzeć rozmyty w kroplach potu własny obraz. Podniósł się, na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech, oczy rozbłysły mu w świetle pochodni i odpowiedział:

– To będzie dla mnie największy w życiu zaszczyt, Wasza Królewska Mość. Zrobię to.

– Przysięgnij na swoich bogów, Temistoklesie. Wiem, że jesteś pobożnym człowiekiem. Przysięgnij na nich, a ucałuję cię jak brata.

Temistokles się roześmiał.

– To zbyt wielki zaszczyt, Wasza Miłość, ale przysięgam ci służyć i przysięgam wierność twemu tronowi. Przysięgam na poetę Apollina, na Aresa, boga wojny, i na samą Atenę. Poprowadzę perskie armie z powrotem do Grecji.

Kserkses zbiegł po stopniach tronu tak prędko, że Temistokles myślał przez chwilę, że upadnie. Ku jego zdziwieniu młody król uściskał go, obsmarowując mu kark winem i łzami.

– Chciałbym poznać twoje plany, Temistoklesie – powiedział król, cofając się odrobinę. Powoli ucałował Ateńczyka w oba policzki, a potem w usta.

– Będę pracował nad tym od tej chwili, Wasza Królewska Mość, przysięgam. Nie zmrużę oka, zanim nie powrócę do ciebie z gotowym planem kampanii. Zaszczycasz mnie bardziej, niż na to zasługuję, Wasza Miłość.

Gdy tłumacz powtórzył jego słowa, Kserkses skinął sennie głową, a jego dziki entuzjazm zaczął się rozplýwać, gdy w żołądku wezbrał mu nadmiar wypitego wina. Jęknął i przycisnął dłoń do brzucha. Ponownie zaczął się wspinać po stopniach, szukając kąta, w którym mógłby wymiotować.

– Wróć za trzy dni, Temistoklesie. Wezwę całą starszyznę mojej armii, aby wysłuchali, co będziesz miał do powiedzenia. Idź z Bogiem, Ateńczyku. Jesteś błogosławiony i przynosisz nam zaszczyt.

Temistokles po raz trzeci wyciągnął się jak długi na posadzce, po czym wyszedł z długiej sali, a echo jego kroków podążało za nim.

\* \* \*

Wrócił do swego pałacu na wzgórzu następnego dnia. Kiedy słońce wstało ponownie, miał za sobą długą noc gorączkowego pisania. W rezultacie na jego biurku piętrzył się cały stos listów, a na każdym widniało imię jakiejś osoby, którą kochał. Arystydes, Ksantyppos, a także Kimon. Temistokles napisał też do żony oraz dzieci, do każdego z osobna. Przy stole w małym piecyku płonął ogień chroniący go przed zimnem tej nocy. Opatrzył wszystkie listy woskowymi pieczęciami, w które wcisnął srebrne monety do opłacenia wysyłki.

Noc była cudownie chłodna, za co był wdzięczny. Nalał sobie wina, lecz poczuł, że znowu grozi mu nawrót melancholii. Kielich stał przed nim, nieruszony. Gdy świt zaróżowił niebo, spojrział na dolinę, w której usadowiło się jego miasto. Smużki dymu z kuchennych palenisk zaczynały unosić się nad domami, ludzie budzili się, by rozpocząć nowy dzień. Było to bardzo piękne. Zapragnął, żeby jego żona mogła to zobaczyć, choćby jeden raz.

Zebrał wszystkie listy i przycisnął je do ust, po czym wrzucił je wraz z monetami do piecyka. Zwinęły się i poczerniały, a on wziął do ręki nóż, który przygotował wcześniej. Opróżnił do dna kielich i przyłożył ostrze do przegubu ręki. Słońce wyjrzało zza horyzontu. Zapowiadał się dobry dzień. Pociągnął ku sobie mocno, tnąc głęboko.

Kiedy domowi niewolnicy go znaleźli, zaczęli krzyczeć, alarmując strażę. Seneszał sprawdził ciało i pokręcił głową, blady i przestraszony, że na nim spocznie odpowiedzialność.

Ateńczyk nie żył. Słońce wstało i robiło się coraz cieplej.

# NOTA HISTORYCZNA

Filozof John Stuart Mill opisał kiedyś bitwę pod Platejami jako znacznie ważniejszą dla historii niż bitwa pod Hastings. Choć często niedoceniane w zestawieniu z Termopilami albo niezwykłą bitwą morską pod Salaminą, Plateje uratowały Grecję, a wraz z nią ideę demokracji. Być może narodziłaby się ona ponownie gdzie indziej, a może nie. Prawdą jest, że gdyby nie doszło do sojuszu miast-państw greckich, Persowie utworzyliby zachodnie imperium. Gdyby to zrobili, nie byłoby też starożytnego Rzymu, miasta, które w okresie perskiej inwazji liczyło sobie zaledwie czterdzieści tysięcy mieszkańców.

Historia ma wielu ojców, wiele momentów, na których przyszłość zdaje się opierać. Dziś mogą wydawać się nieuniknione, ale w tamtych czasach nikt nie mógł przewidzieć, że Grecja przetrwa. Ateny zostały spalone, a ogromna wroga armia przemierzała równiny wraz z tysiącami Greków, którzy zwiążali swój los z Persją. Najbardziej znanymi z nich byli tebańscy hoplici, ale byli tam również jeźdźcy z Larisy i Fery, peloponeskie miasto Argos zaś pozostało neutralne. Wpływy Persji były rozległe, bogactwo nieprzebrane. Nawiasem mówiąc, legendarne bogactwa Krezusa stanowiły tylko ułamek wartości perskiego skarbcza.

\* \* \*

Prawdą jest, że na Salaminie pies Ksantypposa próbował płynąć za swoim panem i utonął. Nie znamy jego imienia. Grób psa znajdował się tam przez całe stulecia, ale dziś już nie istnieje.

Na morzu Temistokles, Ksantyppos i Kimon współpracowali, dowodząc częściami sojuszniczej floty w obronie cieśniny przed przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, że nie



zwyciężyliby, gdyby Temistokles nie wysłał listu z wiadomością dla króla Kserksesa. Władca perski miał już greckich sojuszników na lądzie i na morzu. Nie wydało mu się więc to zapewne aż tak dziwne. Pierwsza wiadomość była podstępem mającym spowodować rozdzielenie jego floty, co stanowiło szansę na przekucie beznadziejnej sytuacji w zwycięstwo.

Gdy połowa perskiej floty opływała Salaminę, Temistokles wysłał drugi list, który był prawdziwie genialnym posunięciem. Przez „ujawnienie” zagrożenia dla okrętowego mostu na Hellesponcie sprawił, że Kserkses wpadł w panikę, spakował swój stojący na brzegu pawilon i opuścił Ateny, zabierając ze sobą znaczną część floty i armii mających osłaniać jego odwrót. Fortel ten, wymyślony przez Temistoklesa, niewątpliwie pozwolił Grekom wygrać wojnę. Jeśli dodamy do tego fakt, że to Temistokles przekonał zgromadzenie do budowy – na pierwszym miejscu – wielkiej floty, to trudno przecenić rolę, jaką odegrał. Okazało się, że niemal samodzielnie ocalił Zachód. Zawsze uwielbiałem zwracać uwagę na takie momenty, w których historia zdaje się zależeć od jednego ludzkiego życia, jak choćby wtedy, gdy mongolskie armie Subedeja wróciły do domu z wielkiej wyprawy, gdy chan umarł na atak serca. Wydarzenia związane z Salaminą miały równie wielkie znaczenie albo jeszcze większe.

\* \* \*

Odesłałem Kserksesa do domu na pokładzie jego okrętu flagowego, choć Herodot pisał, że władca powrócił lądem, zabierając ze sobą dużą część armii. To przypuszczalnie tłumaczy, dlaczego tak znaczna liczba jego okrętów popłynęła na Samos w celu dokonania napraw. Jak to często bywa, prawdziwa historia jest powolniejsza, niż by się chciało, i znacznie bardziej szczegółowa, niż da się tu opisać. Kserkses odjechał, owszem, lecz Ateńczycy zdążyli jeszcze wysłać do niego list z zapytaniem, jak zamierza zapłacić za wszystkie szkody, jakie poczyniły jego wojska! Nie można powiedzieć, żeby Kserkses kiedykolwiek zrozumiał Greków. W pomieszeniu król wskazał Mardoniusza i powiedział, żeby to od niego domagali się odszkodowania. Mógł to rozumieć jako groźbę, a Mardoniusz rzeczywiście zapłacił pod Platejami własnym życiem.

Prawdą jest także to, że Mardoniusz nie był szczególnie wojowniczo nastawiony i że początkowo próbował skłonić Ateny do poddania się z pomocą Aleksandra z Macedonii (ten macedoński król był przodkiem Aleksandra Wielkiego). W owym czasie Macedonia została lojalną sojuszniczką Persji. Aleksander odwiedził Ateny jako jej wysłannik i przedstawił perską propozycję.

\* \* \*

Uwaga: Pisałem o Spartaninie ściskającym dłoń Kimonowi na Przesmyku Korynckim. Obecnie funkcjonuje mit, że starożytni Grecy i Rzymianie nie ściskali sobie rąk. Być może nie był to powszechny zwyczaj, ale jednak istnieją wzmianki o tym, sięgające IX wieku p.n.e. Wspomina o tym geście Homer w scenie podpisywania porozumień jako o wyrazie zaufania, ale mimo wszystko wydaje się, że jego znaczenie było niewielkie. Sceny takie pojawiają się także na płaskorzeźbach starożytnych ateńskich steli grobowych, najczęściej w znaczeniu ostatniego uścisku ręki z ukochanym zmarłym.

\* \* \*

Kiedy Spartanie usłyszeli, że Mardoniusz i Aleksander z Macedonii rozpoczęli rozmowy z Atenami, wysłali do Aten poselstwo z żądaniem zakończenia negocjacji, po czym zaferowali wsparcie dla ateńskich kobiet. Zgromadzenie zareagowało na te sugestie wściekłością, oficjalnie odrzucając zarówno spartańską, jak i perską propozycję. W odpowiedzi Mardoniusz pomaszerował na południe i złupił Ateny po raz drugi. Persowie ponownie splądrowali i zniszczyli wszystko, co Ateńczycy odbudowali. Nie jest to powszechnie znany fakt, ale dość niezwykły dla tego okresu. Warto wiedzieć, że Persowie zniszczyli Ateny nie raz, lecz dwa razy w ciągu kilku miesięcy w latach 480/479 p.n.e.

\* \* \*

Ten drugi najazd na Ateny był tak traumatyczny, jak tylko można sobie wyobrazić. Doszło wówczas do aktów przemocy między uciekinierami, którzy klócili się, czy przyjąć perską ofertę. Niektórzy zostali zatłuczeni kamieniami przez rodaków. Ateńscy stratedzy wysłali wiadomość do Sparty, że nie wytrzymają kolejnego perskiego ataku i jeśli Sparta nie ruszy wiosną w pole, zostaną sojusznikami Persji. Co najważniejsze, zagrozili, że oddadzą Persom swoją flotę, która będzie mogła wylądować w dowolnym punkcie peloponeskiego półwyspu, na którym leży Sparta. Gdyby wówczas do tego doszło, nie mielibyśmy wielkiego rozkwitu ateńskiej kultury, demokracji, sztuki i filozofii. Żaden z wielkich greckich dramatopisarzy nie napisałby niczego pod rządami perskiej dyktatury. Na szczęście tak się nie stało. Dziesięcioletnie zmagania, do których należało między innymi zwycięstwo ateńskich hoplitów

pod Maratonem, okrętowych załóg pod Salaminą i Spartan pod Platejami, uratowały Grecję.

\* \* \*

Głównymi perskimi dowódcami pod Platejami byli Mardoniusz, jego zastępca Artabazus oraz Masistiusz dowodzący konnicą. Pozostaje pytanie, czy Hydarnes, dowódca Nieśmiertelnych, też tam był. Herodot wspomniał, że nie chciał opuścić Kserksesa, mógł więc udać się razem z nim do domu. Zapisy te są jednak nieco mylące, bo sugerują, że Kserkses wyznaczył Hydarnesowi zadanie przyprowadzenia armii do Persji, a wiemy, że armia pozostała w Grecji.

\* \* \*

Bitwę pod Mykale tradycyjnie datuje się tak samo jak bitwę pod Platejami. Miejsca dzieliły jednak setki mil, trudno więc to stwierdzić z całkowitą pewnością. Ksantyppos był pod Mykale wraz z królem Leotychidasem, który sprawował nominalne dowództwo. Nie wiemy, czy znaleźli się tam Perykles i jego brat Aryfron. Nie mając potwierdzenia w źródłach, gdzie wówczas byli, umieściłem ich tam, gdzie przebywać mogli. Trochę zaskakujące jest to, że zupełnie nie wiemy, co stało się z Aryfronem, ani nie znamy imienia siostry Peryklesa. Zniknęli z kart historii. Próbowałem jednak jakoś wytłumaczyć koszmar, który potem nastąpił, gdy Ksantyppos wykazuje się niepojętym okrucieństwem. Kara przez ukrzyżowanie nie była w starożytności rzadkością, ale w tym przypadku zupełnie nie pasuje do charakteru mężczyzny, w którego życiu tylko jeden raz pojawia się coś takiego. Z tego powodu uznałem, że należy podać jakąś przyczynę jego nienawiści.

\* \* \*

Obraz jaskółki wylatującej z ciemności, przelatującej przez jasny pokój, a potem wylatującej z powrotem w ciemność pochodzi z *Rubajjatów* Omara Chajjama, co jest ewidentnym anachronizmem, bo Omar Chajjam żył dobre piętnaście wieków po Ksantypposie. A jednak obraz ten mocno do mnie przemówił, bo mam swoje nadzieje związane z tym, co leży poza wspomnianym jasnym pokojem.

\* \* \*

Temistokles popełnił podczas wojny szereg błędów, choć w porównaniu z jego dokonaniem były one dość trywialne. To prawda, że kazał przetrząsać toboły uciekających na Salaminę Ateńczyków w poszukiwaniu pieniędzy i wartościowych rzeczy. Za jednym zamachem skonfiskował zasoby wszystkich bogatych ateńskich rodzin. Zrobił to, żeby zapłacić wioślarzom z floty, na co potrzebowano wielkich sum pieniędzy w sytuacji, gdy miasto było praktycznie bankrutem. Mimo wszystko ściągnął na siebie wówczas wiele niechęci. Prawdą jest również, że wykorzystywał potłuczone nagrobki z miejskiego cmentarza do budowy nowej bramy i murów. Wygląda to na klasyczny błąd polityka – po prostu nie zdawał sobie sprawy, jak źle zostanie to przyjęte. A przy tym ten człowiek, który ocalił Ateny, nie potrafił powstrzymać się od powtarzania ludziom, jak wiele osobiście mu zawdzięczają. W społeczeństwie, które posłało na wygnanie „Arystydesa Sprawiedliwego”, człowieka słynącego z prawości i godności, nie powinno dziwić, że Temistokles też w końcu tam trafił. Zaskakiwać może jedynie, że stało się to tak późno, bo około roku 472 p.n.e., dobre kilka lat po Platejach. Mieszkał jakiś czas w Argos na Peloponezie. Pozbawiony ochrony ze strony Aten został wówczas oskarżony o korupcję i był zagrożony nowymi procesami. Postanowił uciec do Persji. Skróciłem te lata.

\* \* \*

Ostatnia część opowieści o Temistoklesie – o tym, jak umarł – jest najtrudniejsza. Przetrwiała legenda o tym okresie i zgodnie z nią wszystko opisałem. Kserkses podobno powitał go z entuzjazmem, wykrzykując: „Mam Temistoklesa! Mam Temistoklesa!”. Z jego punktu widzenia był on Ateńczykiem, który próbował się poddać pod Salaminą, a ponadto udzielił mu dobrej rady dotyczącej mostu z okrętów, co rzeczywiście mogło uratować Kserksesowi życie. Fakt, że Ksantyppos przyprowadził później flotę, aby spustoszyć tamto wybrzeże, mógł dodatkowo przekonać Kserksesa, że Temistokles rzeczywiście był po jego stronie.

Perski król ofiarował Temistoklesowi na własność kilka miast. Kiedy ten chłopiec, który kiedyś jako dziecko walczył w Atenach o przetrwanie, stał się bogaty jak pomniejszy król, Kserkses podobno zapytał go, co myśli o powrocie do Grecji na czele armii.

Biorąc pod uwagę okoliczności, trudno powiedzieć, co nastąpiło później. Dostępne są jedynie źródła perskie i jak to zwykle bywa, nie relacjonują zapewne wszystkiego, co wówczas się wydarzyło, zwłaszcza jeśli mogło to źle świadczyć o Kserksesie. Legenda głosi, że Temistokles odebrał sobie życie, nie

chcąc zdradzić swego kraju. Nie poznamy już szczegółów poza tym, że nigdy nie wrócił do domu. Miał wspaniałe życie. Nie wiem, czy udało mi się oddać je sprawiedliwie. Tym, którzy chcieliby bliżej zapoznać się z tantym okresem, polecam: *Dzieje Herodota*, *Życie codzienne w Grecji za czasów Peryklesa* Roberta Flacelière'a, *Żywot Peryklesa z Żywotów sławnych mężów* Plutarcha oraz *The Spartan Army* J.F. Lazenby'ego. Moje ulubione źródło zachowam dla siebie do czasu wydania następnej książki.

\* \* \*

Kserkses nie panował długo. Został zamordowany przez swego strażnika i eunucha około roku 465 p.n.e. Po jego śmierci kultury Persji i Grecji nie miały ze sobą styczności aż do czasu, gdy perski książę imieniem Cyrus zaczął szukać w Grecji wojska, które miało mu pomóc pokonać jego brata Artakserksesa. Tę historię dziesięciu tysięcy greckich najemników próbujących wrócić do domu opowiadam w książce *Sokół spartański*.

\* \* \*

Gdy Temistokles schodzi ze sceny, w Grecji pozostają dwa wielkie miastopństwa: Sparta i Ateny. Skutkiem jest walka między demokracją a królami, której korzenie sięgają jeszcze niełatwego sojuszu przeciwko Persji. Ateny i Sparta walczyły ze wspólnym wrogiem pod Artemizjum, pod Salaminą, pod Platejami i pod Mykale pod dowództwem Ksantypposa. Kiedy straszliwy wróg został pokonany, nie potrzebowały siebie już więcej. Wycofały się, równie wrogie jak zawsze. Spartanie, powróciwszy do domu, skupili się na sprawach wewnętrznych. Ateńczycy jednak nie. Przekonali się, jak wspaniale działa ich flota, skuteczniejsza razem niż w rozdzieleniu. W tych okrętach zrodził się naród.

\* \* \*

W Atenach wyrosło nowe pokolenie: Kimon, syn Miltiadesa, Ajschylos, ojciec tragedii, oraz Perykles, syn Ksantypposa. Miał on przeprowadzić swój lud przez konflikt tak wielki jak żaden do tej pory, w którym miasto bogini Ateny przeszło kolejną ciężką próbę.

Conn Iggulden, Londyn 2020

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Mapy

Terminy wojskowe

Miejsca

Postaci

Dziesięć fyl ateńskich

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

CZĘŚĆ DRUGA

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

CZĘŚĆ TRZECIA

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

#### CZĘŚĆ CZWARTA

33

34

35

36

37

38

Nota historyczna

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Protector*

Copyright © 2021 by Conn Iggulden

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Urszula Gireń

Fotografia na okładce

© Stephen Mulcahey / Trevillion Images

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Protektor*, wyd. I, Poznań 2023)

ISBN 978-83-8338-697-3

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**